

MARGARET MITCHELL

# PRZEMINEŁO Z WIATREM

Tom 1

*Gone With The Wind*

*Tłumaczyła Celina Wieniewska*



# **CZEŚĆ PIERWSZA**

## ROZDZIAŁ I

Scarlett O'Hara nie była piękna, ale mężczyźni, zadurzeni w niej tak jak dwaj młodzi Tarletonowie, rzadko zdawali sobie z tego sprawę. W twarzy jej zbyt ostro odcinały się delikatne, arystokratyczne, po matce Francuzce odziedziczone cechy, od grubych rysów, odziedziczonych po rumianym ojcu Irlandczyku. Twarz ta jednak, o mocnych szczękach i spiczastym podbródku, przykuwała do siebie uwagę. Oczy miała Scarlett jasnozielone, w oprawie czarnych, sztywnych, ku górze odwiniętych rzęs. Jej szerokie czarne brwi były nieco skośne i przecinały śmiałą, łamaną linią jej śnieżnobiałą skórę - skórę, która stanowiła przedmiot podziwu kobiet Południa i którą Scarlett troskliwie osłaniała czepeczkami, woalkami i mitenkami przed gorącym słońcem Georgii.

Siedząc w to słoneczne popołudnie kwietnia 1861 r. ze Stuartem i Brentem Tarletonami w chłodnym cieniu ganku w Tarze, Scarlett wyglądała jak obrazek. Nowa jej sukienka z zielonego muślinu w kwiatki, o bardzo sutej krynolinie, była dokładnie dobrana do koloru zielonych safianowych pantofelków na płaskich obcasach, które ojciec przywiózł jej niedawno z Atlanty. Suknia doskonale uwydatniała talię Scarlett, mierzącą w obwodzie zaledwie siedemnaście cali - najcieńszą talię w trzech powiatach! - a ciasny stanik uwypuklał jędrne, dobrze jak na jej szesnaście lat rozwinięte piersi. Mimo jednak skromności, jaką tchnęła ta suknia, włosy gładko upięte w kok i białe rączki, spokojnie skrzyżowane na kolanach - prawdziwą swoją naturę trudno było Scarlett ukryć. Zielone oczy w przykładnie uśmiechniętej twarzyczce wyrażały bunt, wolę, radość życia i wyraźnie kłóciły się z jej wytwornym zachowaniem. Maniery Scarlett były wypadkową łagodnych napomnień matki i surowych nakazów murzyńskiej piastunki; wyraz oczu należał wyłącznie do niej.

Bracia-bliźniaki, wygodnie rozłożeni w krzesłach po obu stronach Scarlett, mrużąc oczy patrzyli w słońce przez wysokie szklanki pełne wody miętowej, śmiali się i rozmawiali, krzyżując niedbale długie muskularne nogi w wysokich butach. Liczyli sobie po dziewiętnaście lat, mierzyli przeszło sześć stóp wzrostu, byli szczupli i mocno zbudowani, włosy mieli kasztanowate, twarze bardzo opalono, oczy wesołe i zuchwałe; w swoich jednakowych granatowych marynarkach i spodniach koloru musztardowego tak byli do siebie podobni jak dwa ziarnka bawełny.

Na dworze promienie zachodzącego słońca skośnie padały na podwórze zalewając blaskiem drzewka dereni, odcinające się gęstą masą białego kwiecia od tła młodej zieleni. Konie chłopców przywiązane były do słupka przy podjeździe; były to wielkie zwierzęta,

kasztanowate jak włosy ich panów; pod nogami ich gryzła się sfora chudych, nerwowych psów gończych, które towarzyszyły Tarletonom wszędzie. Osobno, jak przystało arystokracji, leżał łaciaty wyżeł złożywszy pysk na łapach i czekał cierpliwie, aż chłopcy wyruszą do domu.

Między psami, końmi i dwoma chłopcami istniała więź głębsza, niż tego wymagało stałe ich współżycie. Byli wszyscy zdrowymi, beztriosko młodymi zwierzętami, zgrabnymi, gładkimi, wesołymi; chłopcy byli niemniej ogniści od koni, których dosiadali, ogniści i niebezpieczni, dla tych jednak, którzy umieli z nimi postępować, mili i łagodni.

Jakkolwiek cała trójka urodziła się i wyrosła w dostatku, jakkolwiek nie spuszczano ich od dzieciństwa z oczu, twarze ich nie były ani gnuśne, ani miękkie. Mieli w sobie siłę i żywość wieśniaków, którzy całe życie spędzili na otwartym powietrzu i nie łamali sobie głowy nudnymi problemami z książek. Życie w Clayton, północnym powiecie Georgii, było bardzo sielskie i wedle miary miast jak Augusta, Savannah czy Charleston trochę prymitywne. Spokojniejsze i wcześniej skolonizowane części Południa z góry patrzyły na mieszkańców Georgii, tutaj jednak, na Północy, brak znajomości greki i łaciny nie przynosił wstydu, o ile człowiek znał się na rzeczach istotnie ważnych. Do spraw ważnych zaś należała uprawa bawełny, dobre trzymanie się na koniu, celne strzelanie, lekkość w tańcu i galanteria w stosunku do dam oraz mocna, jak na dżentelmena przystało, głowa.

W tych sztukach Tarletonowie trzymali prym; wyróżniali się także przysłowiową niezdolnością nauczenia się czegokolwiek z kart książki. Rodzice ich posiadali więcej pieniędzy, koni i niewolników niż ktokolwiek inny w powiecie, chłopcy jednak byli mniej wykształceni niż większość małorolnych sąsiadów.

Z tej właśnie przyczyny Stuart i Brent zbijali bąki tego popołudnia w Tarze. Właśnie zostali wydalenii z uniwersytetu Georgii, czwartej z rzędu uczelni, która ich w ciągu dwóch ostatnich lat usunęła; a starsi ich bracia, Tom i Boyd, wrócili do domu razem z nimi, ponieważ nie chcieli zostać na uczelni, która tak się obeszła z ich braćmi. Stuart i Brent bardzo byli dumni z tego, że ich wyrzuciono, Scarlett zaś, która nie zajrzała do książki od roku, to znaczy od skończenia pensji w Fayetteville, także uważała to wydalenie za zabawne.

- Wiem, że ani wy, ani Tom niezbyt się tym przejmujecie - powiedziała. - Ale co będzie z Boydem? Przecież on postanowił studiować, a przez was musiał przerwać studia w Wirginii, Alabamie, Karolinie Południowej i teraz znowu w Georgii. W tym tempie niczego nie będzie mógł skończyć.

- Och, prawa może się uczyć w kancelarii sędziego Parmalee w Fayetteville - odpowiedział niedbale Brent. - Poza tym, to naprawdę nie ma znaczenia. I tak musielibyśmy

wrócić do domu przed końcem trymestru.

- Dlaczego?

- Z powodu wojny, gąsko! Wojna wybuchnie lada dzień, a chyba nie przypuszczasz, że któryś z nas usiedziałyby wtedy w budzie?

- Żadnej wojny nie będzie - rzekła Scarlett, znudzona. - Tak się tylko mówi. Ashley Wilkes i jego ojciec powiedzieli papie w zeszłym tygodniu, że nasi przedstawiciele w Waszyngtonie dojdą do... do... pokojowego porozumienia z panem Lincolnem w sprawie Konfederacji. Poza tym Jankesi zanadto się nas boją, aby z nimi walczyć. Nie będzie żadnej wojny i nudzi mnie już słuchanie tych głupstw.

- Nie będzie wojny! - zawołali chłopcy z takim oburzeniem, jak gdyby ich ktoś zawiódł.

- Ależ kochanie, wojna będzie z pewnością - rzekł Stuart. - Jankesi boją się może z nami walczyć, ale teraz, gdy generał Beauregard zbombardował Fort Sumtera, będą musieli walczyć, inaczej cały świat uzna ich za tchórzów. Przecież Konfederacja...

Scarlett wyduła usta ze zniecierpliwieniem. - Jeżeli raz jeszcze powiecie słowo „wojna”, pójde do pokoju i zamknę za sobą drzwi. Żaden temat na świecie nie nudzi mnie tak jak „wojna”, chyba może jeszcze „secesja”. Papa mówi o tym rano, w południe i wieczorem, wszyscy panowie, którzy go odwiedzają, krzyczą o Forcie Sumtera, o prawach Stanów i Abrahamie Lincolnie, a ja tak się nudzę, że aż mi się płakać zachciewa! Chłopcy też o niczym innym nie rozmawiają, tylko o tym i o swoim Oddziale. Na żadnym wieczorku ostatnio nie było zabawy, bo chłopcy o niczym innym nie chcą mówić. Strasznie się cieszę, że Georgia dopiero po Bożym Narodzeniu przystąpiła do secesji, bo w przeciwnym razie świąteczne zabawy także byłyby stracone. Jeżeli jeszcze raz powiecie „wojna”, pójde do mieszkania.

Gotowa była spełnić pogroźkę, bo nie potrafiła długo znieść rozmowy, która nie kręciłaby się dokoła niej. Mówiąc to uśmiechała się jednak, kokietowała dołączkami w policzkach i trzepotała czarnymi rzęsami jak skrzydłami motyla. Chłopcy byli tym wyraźnie zachwyceni, na co Scarlett zresztą liczyła, i pośpiesznie zaczęli ją przeproszać. Nie brali jej za złe tego braku zainteresowania. Przeciwnie, bardzo im zaimponował. Wojna była sprawą mężczyzn, nie pań, więc oświadczenie Scarlett uznali za dowód prawdziwej kobiecości.

Przerwawszy rozmowę na nudny temat wojny Scarlett powróciła z zainteresowaniem do nowej sytuacji chłopców.

- Co powiedziała wasza matka na wiadomość, że znowu was wyrzucono?

Chłopcy spojrzeli po sobie z zakłopotaniem, przypominając sobie zachowanie się matki przed trzema miesiącami, po ich ostatnim przymusowym powrocie z uniwersytetu w

Wirginii.

- Właściwie - rzekł Stuart - nie miała sposobności nic nam jeszcze powiedzieć. Wszyscy trzej z Tomem wyjechaliśmy z domu wcześniej, zanim mama wstała. Tom pojechał do Fontaine'ów, a my przyjechaliśmy tutaj.

- Czy nic nie mówiła, kiedyście wczoraj przyjechali do domu?

- Wczoraj nam się upiekło. W chwili gdyśmy przyjechali, przyprowadzono także nowego ogiera, którego mama kupiła miesiąc temu w Kentucky i na nim skupiła się uwaga całego domu. To wspaniała bestia, cudowny koń, Scarlett. Musisz poprosić swego ojca, aby przyjechał go obejrzyć - już zdążył ugryźć stajennego i skopać dwóch Murzynów mamy, którzy czekali na jego przybycie w Jonesboro. I właśnie przed naszym przyjazdem omal nie potratował całej stajni i nie zabił Kasztana, starego ogiera mamy. Kiedyśmy zajechali do domu, mama była w stajni z torbą cukru i starała się go ugłaskać, ze skutkiem zresztą. Murzyni poobsiadali wszystkie krokwie, z wytrzeszczonymi ze strachu oczyma, a mama mówiła do konia, jak gdyby mógł ją zrozumieć, i karmiła go z ręki. Nikt nie potrafi się tak z koniem obchodzić jak mama. A kiedy nas zobaczyła, powiedziała: „Wielkie Nieba, a cóż wy tutaj robicie? Gorsz jesteście od plag egipskich!” Koń w tej samej chwili zaczął parskać i wspinać się, więc powiedziała: „Wynoście się stąd! Czy nie widzicie, jaki on podniecony, ten mój najpiękniejszy? Rozmówię się z wami jutro rano!” Położyliśmy się zatem spać, dziś wyjechaliśmy, aby nas mama nie złapała, a Boyda zostawiliśmy, żeby ją udobruchał.

- Czy sądzicie, że zbije Boyda? - Scarlett, jak i reszta powiatu, nie mogła zrozumieć, jak mała pani Tarleton potrafi wymyślać swoim dorosłym synom i zdiela ich szpicrutą przez plecy, gdy okazja tego wymaga.

Beatrice Tarleton była kobietą energiczną. Zajmowała się nie tylko wielką plantacją bawełny, setką Murzynów i ośmiorgiem dzieci, ale i największą w całym powiecie hodowlą koni. Była gwałtowna, łatwo wpadała w gniew z powodu częstych „wykroczeń” swoich czterech synów i jakkolwiek nikomu nie pozwalała smagać batem ani konia, ani niewolnika, uważała, że dobre lanie od czasu do czasu wcale chłopcom nie zaszkodzi.

- Boyda nie zbije na pewno. Nigdy jeszcze na Boyda nie podniosła ręki, bo jest najstarszy, a poza tym najmniejszy z nas - rzekł Stuart, dumny ze swoich sześciu stóp wzrostu. - Dlatego właśnie zostawiliśmy go w domu, aby jej wszystko wytłumaczył. Boże jedyny, właściwie to mama mogłaby już nas przestać tłuc! Mamy po dziewiętnaście lat, Tom ma dwadzieścia jeden, a mama ciągle nas traktuje, jakbyśmy mieli po sześć!

- Czy wasza mama pojedzie na nowym koniu na jutrzejszą barbakoe<sup>1</sup> do Wilkesów?

- Mama chciałaby, ale ojciec powiada, że koń jest zbyt ostry. Poza tym nie pozwolą jej na to dziewczynki. Chcą, aby na jedną przynajmniej zabawę pojechała powozem jak dama.

- Mam nadzieję, że jutro deszczu nie będzie - powiedziała Scarlett. - Od tygodnia już pada prawie dzień w dzień. Nie ma nic gorszego nad barbakoe, która się przekształca w zabawę w salonie.

- Ach nie, jutro będzie ładnie i gorąco jak w czerwcu - rzekł Stuart. - Spójrz, jaki dziś zachód słońca. Nigdy nie widziałem podobnie krwawego. Ładny zachód zawsze wróży pogodę.

Spojrzeni wszyscy poprzez nie kończące się morgi świeżo zoranych pól Geralda O'Hary w stronę czerwonego horyzontu. Teraz, kiedy słońce w plamie purpury skryło się za wzgórze na przeciwległym brzegu rzeki Flint, ciepło kwietniowego dnia przeistoczyło się w lekki, pachnący chłód.

Wiosna przyszła tego roku wcześniej; przyniosła ze sobą ciepłe, krótkie deszcze i nagłe wytryskanie różowych kwiatów brzoskwiń i białych gwiazdek dereni na bagnistych gruntach nad rzeką i na dalekich pagórkach. Orka miała się już ku końcowi i ognista wspaniałość zachodu barwiła kolorem szkarłatu świeżo odwalone skiby czerwonej georgijskiej gliny. Wilgotna, głodna ziemia, oczekująca ziaren bawełny, była różowawa na wierzchu pierzastych bruzd, cynobrowo-szkarłatna i brązowa tam, gdzie po bokach rowków leżały cienie. Pobielony wapnem murowany dom plantacji wydawał się wyspą na groźnym, czerwonym morzu spienionych, falujących bałwanów, znieruchomiałych w chwili gdy fale o różowych czubach miały rozbić się w pianę. Bruzdy nie były tutaj długie i proste jak na żółtych polach Georgii środkowej czy na błyszczącym czarnoziemie plantacji bliżej wybrzeża. Nierówną, pagórkowatą krainę północnej Georgii orano w najrozmaitszych kierunkach, aby tłusta ziemia nie była zmywana w łożyska rzek.

Ziemia ta, czerwona, koloru krwi po deszczu, pokryta ceglastym pyłem w czasie suszy, była najlepszą w świecie ziemią pod uprawę bawełny. Była to przyjemna kraina białych dworców, spokojnych pól uprawnych i leniwych, żółtych rzek, kraina kontrastów - ostrego blasku słońca i gęstych cieniów. Karczowiska i akry ból bawełny uśmiechały się do gorącego słońca spokojne, ciche. Na skraju pól rosły dziewicze lasy, ciemne i chłodne nawet w najgorętsze południa, tajemnicze, trochę groźne, a szumiące sosny zdawały się czekać z

---

<sup>1</sup> Barbakoa - zabawa na wolnym powietrzu, połączona z pieczeniem wołów na rożnie, z wypitką i tańcami.

odwieczną cierpliwością, straszyć cichymi westchnieniami: „Strzeż się! Strzeż! Rządziłyśmy tobą długo. Możemy cię znowu odzyskać”.

Do uszu trojga na ganku doszedł tętent kopyt, dzwonienie uprząży i ostre, beztrioskie śmiechy murzyńskie: to parobcy z mułami wracali z pól. Z wewnątrz domu płynął łagodny głos matki Scarlett, Ellen O'Hara, wołającej małą czarną dziewczynkę, która nosiła za nią klucze. Wysoki, dziecinny głosik odpowiedział: „Tak, p'sze pani”, i zaraz rozległy się odgłosy kroków kierujących się tylnymi drzwiami do wędzarni, gdzie Ellen zwykła była wydzielać jedzenie wracającym z pola pracownikom. Słychać było dźwięk porcelany i szcęknięcie srebra, kiedy Pork, lokaj Geralda, zaczął nakrywać stół do kolacji.

Słyszając te dźwięki bracia uświadomili sobie, że czas wyruszyć w powrotną drogę do domu. Nie bardzo im się chciało stanąć przed matką, ociągali się więc na ganku w Tarze czekając, aby Scarlett zaprosiła ich na kolację.

- Słuchaj, Scarlett. Jeszcze coś co do jutra - rzekł Brent. - Dlatego, że nie było nas tutaj i że nie wiedzieliśmy o zabawie u Wilkesów, nie mamy zamiaru być pokrzywdzeni. Nie masz chyba wszystkich tańców już zajętych, co?

- Niestety, mam. Skądże mogłam wiedzieć, że wy się zjawicie w domu? Nie mogłam się przecież narazić na podpieranie ściany dlatego, że na was czekam.

- Ty miałabyś podpieierać ścianę?! - Chłopcy zaśmiali się głośno.

- Słuchaj, kochanie. Musisz dla mnie zarezerwować pierwszego walca, a dla Stuarta ostatniego i musisz siedzieć między nami przy stole. Będziemy siedzieli u wylotu schodów tak jak na poprzednim balu i sprowadzimy sobie starą Jincy, aby nam znowu powróżyła.

- Nie lubię przepowiedni starej Jincy. Powiedziała mi, że wyjdę za pana o kruczych włosach i długich czarnych wąsach, a ja nie lubię brunetów.

- Wolisz rudych, prawda, kochanie? - zaśmiał się Brent. - Ale teraz przyrzeknij nam walca i kolację.

- Jeżeli przyrzekniesz, zdradzimy ci pewien sekret - rzekł Stuart.

- Jaki? - zawołała Scarlett, nagle ożywiona jak dziecko.

- Czy mówisz o tym, co słyszeliśmy wczoraj w Atlancie, Stu? Wiesz przecież, że tego obiecaliśmy nie powtarzać.

- Ale przecież powiedziała nam o tym panna Pitty.

- Jaka panna Pitty?

- Wiesz, ta kuzynka Ashleya Wilkesa, która mieszka w Atlancie, panna Pittypat Hamilton, ciotka Karola i Melanii Hamiltonów.

- Wiem. Nigdy w życiu nie widziałam śmieszniejszej starej panny.



- A więc, kiedyśmy wczoraj w Atlancie czekali na pociąg do domu, powóz jej przejeżdżał koło dworca, zatrzymała się, porozmawiała z nami i powiedziała nam, że jutro u Wilkesów zostaną ogłoszone pewne zaręczyny.

- Och, o tym przecież wiem - rzekła Scarlett z zawodem. - Tego jej głupiego bratanka Karola Hamiltona z Honey Wilkes. Wszyscy już od lat twierdzą, że oni się ze sobą pobiorą, chociaż Karol wcale się do tego nie pali.

- Czy naprawdę uważasz, że Karol jest głupi? - zapytał Brent. - Na Boże Narodzenie pozwałałaś mu się koło siebie kręcić.

- Na to, że się kręci, nie mogłam nic poradzić - odrzekła Scarlett niedbale. - Uważam go za straszną babę.

- To zresztą wcale nie jego zaręczyny zostaną ogłoszone - rzekł z tryumfem Brent - tylko Ashleya z siostrą Karolka, panną Melanią.

Twarz Scarlett nie zmieniła się wcale, tylko wargi jej pobladły - czuła się jak osoba, która nagle otrzymała przeraźliwy cios i w pierwszych chwilach osłupienia nie zdaje sobie sprawy z tego, co się stało. Twarz jej, zwrócona ku Stuartowi, była tak nieruchoma, że ten, niezbyt uważny, pewien był, że Scarlett jest jedynie bardzo zdziwiona i zaciekawiona.

- Panna Pitty powiedziała nam, że chcieli to ogłosić dopiero na przyszły rok, bo panna Mela czuła się ostatnio niezbyt dobrze. Teraz jednak, gdy tyle się mówi o wojnie, obydwie rodziny uważają, że lepiej będzie, jeżeli ślub odbędzie się szybko. Jutro więc wieczorem podczas kolacji zaręczyny zostaną ogłoszone. Teraz, Scarlett, skorośmy ci już powiedzieli sekret, musisz nam przyrzec, że usiądziesz z nami do stołu.

- Bardzo chętnie - powiedziała Scarlett bez zastanowienia.

- I wszystkie walce będą nasze?

- Wszystkie.

- Jesteś słodka! Założyłbym się, że inni chłopcy się powściekają.

- Niech się wściekają - rzekł Brent. - Damy sobie z nimi radę. Słuchaj, Scarlett, usiądź przy nas także i rano.

- Co takiego?

Stuart powtórzył prośbę.

- Z chęcią.

Bracia spojrzeli po sobie tryumfalnie, ale z pewnym zdziwieniem. Mimo że uważali się za wyróżnianych przez Scarlett kawalerów, nigdy dotąd nie mieli tak przekonywujących dowodów jej sympatii. Zwykle musieli długo prosić i nastawać, a ona ich zwodziła nie chcąc nigdy powiedzieć ani „tak”, ani „nie”, śmiejąc się, gdy się dąsali, stając się zimną, gdy

zaczynali być źli. A teraz nagle przyrzekła właściwie, że im poświęci cały swój jutrzejszy czas - będzie z nimi siedziała rano przy uczcie, obiecała wszystkie walce (a już oni postarają się o to, aby grano tylko walce!) i kolację. Takie osiągnięcie warte było wyrzucenia z uniwersytetu.

Pełni nowego animuszu po tym sukcesie, nie śpieszyli się z pożegnaniem, mówili o balu i barbakoi, o Ashleyu Wilkesie i Melanii Hamilton, przerywając sobie nawzajem; robiąc dowcipy i śmiejąc się z nich, dając do zrozumienia, że czekają zaproszenia na kolację. Upłynęła spora chwila, zanim się spostrzegli, że Scarlett mówi teraz bardzo mało. Nastrój jakoś się zmienił. Jak to się stało - bracia nie wiedzieli, ale przyjemna atmosfera wizyty uleciała bezpowrotnie. Scarlett zdawała się zwracać mało uwagi na to co mówili, jakkolwiek odpowiadała sensownie. Wyczuwając coś, czego nie mogli zrozumieć, zniechęceni tym i zmartwieni, chłopcy walczyli z sobą przez chwilę, po czym niechętnie wstali spoglądając na zegarki.

Słońce stało już nisko nad świeżo zaoranymi polami; wysokie lasy rysowały się ciemną linią za rzeką. Nad podwórzem chyżo krążyły jaskółki, a kurczęta, kaczki i indyki tłoczyły się i puszyły wracając z pól.

Stuart krzyknął: „Jeems!” Po krótkiej chwili wysoki czarny chłopak, w tym samym co bracia wieku, przybiegł bez tchu zza domu i skierował się biegiem do spętanych koni. Jeems był przybocznym sługą młodych Tarletonów podobnie jak psy, towarzyszył im wszędzie. Był od dzieciństwa towarzyszem ich zabaw: dostali go na własność na swoje dziesiąte urodziny. Na widok Murzyna psy podniosły się z pokrytej czerwonym pyłem ziemi i spojrzały wyczekująco w stronę swoich panów. Chłopcy skłonili się, pożegnali, przypominając Scarlett, że będą czekali na nią u Wilkesów z samego rana. Potem szybko zbiegli po podjeździe, wsiedli na konie i galopem puścili się aleją cedrową, powiewając kapeluszami i wołając jeszcze do Scarlett.

Kiedy minęli zakręt zapyłonej drogi i Tara znikła im z oczu, Brent zatrzymał konia pod kępą dereni. Stuart także przystanął, a za nim, w odległości kilku kroków, i czarny chłopak. Konie, poczuwszy zwolnienie lejc, pochyliły głowy, aby poskubać miękkiej, wiosennej trawy, cierpliwe zaś psy legły znowu w czerwonym pyłe i patrzyły poządlawie na jaskółki wirujące w gęstniejącym mroku. Szeroka, szczerą twarz Brenta wyrażała zdziwienie i lekkie oburzenie.

- Słuchaj - rzekł - czy nie uważasz, że Scarlett powinna nas była zaprosić na kolację?

- Przypuszczałem, że nas zaprosi - odparł Stuart. - Czekałem, aż to zrobi, ale jakoś nic nie powiedziała. Jak to sobie tłumaczysz?

- Wcale sobie tego nie tłumaczę. Wydaje mi się jednak, że powinna nas była poprosić. Ostatecznie, jest to nasz pierwszy wieczór po przyjeździe, a nie widziała nas od dawna. Mieliśmy jej jeszcze wiele rzeczy do powiedzenia.

- Zdawało mi się, że bardzo się ucieszyła, kiedyśmy przyjechali.

- I ja tak myślałem.

- A potem, może pół godziny temu, nagle ucichła, jak gdyby ją głowa rozbolała.

- Zauważyłem to także, ale nie zwróciłem uwagi. Jak myślisz, co jej się mogło stać?

- Nie wiem. Czyżbyśmy powiedzieli coś takiego, co ją rozzłościło?

Obydwaj zastanawiali się przez chwilę.

- Nic mi nie przychodzi na myśl. Poza tym, kiedy Scarlett jest zła, poznać to od razu. Nie stara się panować nad sobą, jak inne panny.

- Tak, i to w niej właśnie lubię. Nie jest napuszona i sztywna, kiedy jest zła, tylko od razu mówi, o co chodzi. Pewien jednak jestem, że tak na nią podziałało coś, co zrobiliśmy czy powiedzieliśmy, bo zamilkła i wyglądała jak chora. Mógłbym przysiąc, że cieszyła się, kiedy nas zobaczyła, i że z początku chciała nas zatrzymać na kolacji.

- A może nas nie poprosiła dlatego, że nas wyrzucono z uniwerku?

- Ach, skądże znowu! Nie bądź głupi. Śmiała się przecież, kiedyśmy jej o tym powiedzieli. Poza tym zaś Scarlett tak jak my nie dba o książki.

Brent odwrócił się w siodle i zawołał młodego Murzyna:

- Jeems!

- Słucham?

- Czy słyszałeś, o czym rozmawialiśmy z panną Scarlett?

- Ależ skąd, paniczu! Czyż ja bym podsłuchiwał rozmowę białych ludzi?

- Czyś podsłuchiwał? Boże drogi! Wy, Murzyni, wiecie o wszystkim, co się dzieje. Kłamco jeden, na własne oczy widziałem, jak przekradałeś się koło ganku i przycupnąłeś za krzakiem jaśminu przy murze. A więc, czy słyszałeś, żeśmy powiedzieli coś takiego, co pannę Scarlett mogło rozzłościć czy urazić?

Zapytany w ten sposób Jeems przestał się upierać, że nie słyszał rozmowy, i zmarszczył czarne czoło.

- Nie, paniczu, nic takiego nie słyszałem, co by ją mogło rozzłościć. Tak mi się zdaje, jakby się panna Scarlett cieszyła, że paniczów widzi, i swiergotała wesoło jak ptaszek aż do czasu, gdy panicze powiedzieli, że pan Ashley i panna Mela Hamilton się ze sobą ożenią. Potem panna Scarlett umilkła jak ptak, który widzi jastrzębia.

Bracia spojrzeli na siebie i skinęli głowami, jeszcze nie rozumiejąc.

- Jeems ma rację. Ale nie rozumiem, dlaczego - rzekł Stuart. - Mój Boże! Ashley nie jest przecież dla niej niczym więcej jak przyjacielem. Nie kocha się w nim przecież. Kocha się w nas.

Brent kiwnął głową.

- Ale może - powiedział - Ashley nie powiedział jej, że ogłosi zaręczyny jutro wieczorem, i Scarlett jest zła na niego, że nie zawiadomił o tym jej, swojej starej przyjaciółki, zanim powiedział o tym innym? Dziewczeta wielką wagę przywiązują do tego, aby o takich rzeczach dowiadywać się najwcześniej.

- Wiesz, że to możliwe. Ale cóż z tego, że nic jej nie powiedział? Miał to być sekret i niespodzianka, a mężczyzna ma prawo trzymać swoje zaręczyny w tajemnicy, prawda? My byśmy także o tym nic nie wiedzieli, gdyby ciotka Meli nie wygadała się przed nami. Scarlett z pewnością wiedziała, że Ashley ma się ożenić z Melą. My sami wiemy o tym od lat. Wilkesowie i Hamiltonowie zawsze się pobierają między sobą. Wszyscy wiedzieli, że Ashley kiedyś się z Melą ożeni, tak samo jak o tym, że Honey Wilkes wyjdzie za jej brata, Karola.

- Dobrze, ale nie mówmy już o tym. Szkoda jednak, że nie zaprosiła nas na kolację. Przysięgam, że nie mam ochoty wracać do domu i wysłuchiwać wymówek mamy, że znowu nas wylano. Tym bardziej że zdarza się to już nie pierwszy raz...

- Może Boyd udobruchał już mamę. Wiesz przecież, jaki z niego świetny adwokat. Zawsze potrafi ją ugłaskać.

- Tak, to prawda, ale musi mieć na to dużo czasu. Musi gadać i gadać, aż mama przestaje wiedzieć, o co chodzi, poddaje się i każe mu swoją wymowę zachować na sąd. Mam jednak wrażenie, że Boyd jeszcze nie zdążył zacząć. Założę się nawet, że mama tak jest podniecona nowym koniem, że przypomni sobie o nas dopiero przy kolacji, kiedy spostrzeże Boyda. Podczas jedzenia będzie wymyślała i parskająca. Zrobi się dziesiąta, zanim Boyd będzie jej mógł powiedzieć, że byłoby poniżej naszej godności, gdyby który z nas został w budzie po tym, co nam dwóm powiedział rektor. I dopiero około północy tak jej głowę zawróci, że będzie wściekła na rektora i będzie się pytała Boyda, dlaczego go nie zastrzelił. Nie, nie możemy wracać do domu przed północą.

Bracia popatrzyli na siebie ponuro. Nie bali się ani dzikich koni, ani pijatyk ze strzelaniem, ani opinii sąsiadów, ale surowe słowa matki, poparte razami szpicruty, którą okładała ich poniżej pleców, napawały ich niekłamanym lękiem.

- No, więc słuchaj - powiedział Brent. - Pojedziemy do Wilkesów. Ashley i dziewczęta chętnie nas zaproszą na kolację.

Stuart był zakłopotany.

- Nie, tam nie jedźmy. Mają pewnie zawracanie głowy w związku z jutrzejszą zabawą, a prócz tego...

- Ach, zapomniałem o tym - szybko powiedział Brent. - Nie, wobec tego nie jedźmy tam.

Cmoknęli na konie i przez chwilę jechali w milczeniu. Na ciemnych policzkach Stuarta ukazał się rumieniec zakłopotania. Jeszcze niecały rok temu Stuart starał się o Indię Wilkes, za aprobatą obydwu rodzin i całej okolicy. Opinia twierdziła, że zimna i opanowana India Wilkes wyrze na niego zbawienny wpływ. Tego w każdym bądź razie wszyscy pragnęli. Sam Stuart także by się może zdecydował na tę partię, ale Brent nie był zadowolony. Brent lubił Indię, uważał ją jednak za bardzo brzydką i nudną i po prostu nie mógł się w niej zakochać, by dotrzymać towarzystwa Stuartowi. Wtedy to po raz pierwszy zdarzyło się, że zainteresowania braci nie były zgodne, Brent był więc trochę urażony atencjami brata dla panienki, która nie wydawała mu się ich godna.

Aż tu latem ubiegłego roku, na zebraniu politycznym w lasku dębowym pod Jonesboro, obaj nagle zauważyli Scarlett O'Hare. Znali ją od wielu lat i jeszcze w dzieciństwie bardzo lubili się z nią bawić, bo umiała jeździć konno i wspinać się na drzewa nie gorzej od nich. Teraz jednak ku wielkiemu zdumieniu stwierdzili, że stała się dorosłą panną i w dodatku najbardziej uroczą na świecie.

Po raz pierwszy zauważyli, jak skrzą się jej zielone oczy, jakie ma dołeczki, kiedy się śmieje, jak małe ręce i nogi i jak cienki stan. Żarty ich wywoływały z jej strony wybuchy wesołego śmiechu, więc podnieceni myślą, że ich uważa za niezwykle chłopców, przeszli samych siebie.

Był to pamiętny dzień w życiu braci Tarletonów. Odtąd, ilekroć rozmawiali o nim, nie przestawali się dziwić, że dopiero wtedy zauważyli wdzięki Scarlett. Nie przyszło im jednak wcale na myśl, iż stało się to dlatego, że Scarlett dnia tego postanowiła ich zdobyć. Nie znosiła po prostu, aby jakikolwiek młody człowiek był nie w niej zakochany, więc widok Indii Wilkes i Stuarta na zebraniu rozbudził w niej instynkty zaborcze. Nie zadowolając się samym Stuartem, zagięła parol także i na Brenta, a okazała tak gruntowną znajomość sztuki zdobywania, że całkowicie podbiła obu chłopców.

Teraz obaj byli zakochani w Scarlett, a India Wilkes i Letty Munroe z Lovejoy, z którą Brent zresztą niezbyt chętnie flirtował, odsunięte zostały na dalszy plan. Nad tym, co pocznie ten z nich, którego Scarlett odrzuci, bracia nie zastanawiali się wcale. Na nieprzyjemne myśli zawsze jest mnóstwo czasu. Chwilowo byli zadowoleni, że podoba im się ta sama panna, bo wcale nie byli o siebie zazdrośni. Sytuacja ta pasjonowała sąsiedztwo i martwiła ich matkę,

która nie darzyła Scarlett zbytnią sympatią.

- Zobaczycie, co to będzie, kiedy ta sprytna szelma wybierze jednego z was - mawiała pani Tarleton. - Może zresztą przyjmie was obu, a wtedy będziecie się musieli wynieść do Utah, jeżeli mormoni was zechcą, o czym śmiem wątpić... Jedyne, co mnie obchodzi, to fakt, że w niedalekiej przyszłości staniecie się o siebie zazdrośni z powodu tej dwulicowej małej bestyjki o zielonych oczach i pozabijacie się po pijanemu nawzajem. Co zresztą bardzo mi się uśmiecha.

Od dnia tego zebrania Stuart zaczął się czuć nieswojo w obecności Indii. Nie znaczy to bynajmniej, iżby India słowem czy gestem dała mu kiedykolwiek odczuć, że zauważyła nagłą zmianę jego uczuć. Na to była zbyt dobrze wychowana. Stuart jednak poczuwał się do winy w stosunku do niej. Wiedział, że rozbudził jej uczucia, wiedział, że dziewczyna kocha go jeszcze, i w głębi serca czuł, że nie zachował się wobec niej szlachetnie. Lubił ją bardzo i szanował za chłodną dystynkcję, za wykształcenie i wszystkie zalety, jakie posiadała. Ale, u licha, była bladziutka, nieładna i zawsze jednakowa, podczas gdy Scarlett była błyskotliwa i żywa. Postępki Indii można było zawsze z góry przewidzieć - Scarlett była wciąż inna. To wprawdzie doprowadzało człowieka do rozpacz, ale miało swój urok.

- No, więc pójdźmy na kolację do Cade'a Calverta. Scarlett powiedziała, że Kasia wróciła już z Charlestonu. Może będzie wiedziała coś nowego o Forcie Sumtera.

- Kasia? Założę się z tobą, że ona nie wie nawet, iż Fort leży u wejścia do portu, tym bardziej zaś, że pełno w nim było Jankesów. Jedyne, co ją zajmuje, to bale, na których była, i adoratorzy, których zdobyła.

- To prawda, ale ona bardzo zabawnie papie. A zresztą chodzi o to, abyśmy przeczekali gdzieś, aż mama pójdzie spać.

- Nie, nie! Lubię Kasię, bo to zabawna dziewczyna, chciałbym usłyszeć nowinki o Caro Rhett i innych charlestońskich znajomych, ale niech mnie diabli wezmą, jeżeli potrafię się zmusić do siedzenia przy kolacji z tą jej jankeską macochą.

- Nie bądź dla niej zbyt surowy, Stuarcie. Ma dobre intencje.

- Wcale jej surowo nie sędzę. Żal mi jej tylko, a nie lubię ludzi, których mi żal. Tak bardzo się stara robić to, co trzeba, i dobrze zabawiać gości, że zawsze zaczyna mówić i robić rzeczy niewłaściwe. Denerwuje mnie. Uważa ponadto, że ludzie z Południa są dzikimi barbarzyńcami. Powiedziała to nawet mamie. Boi się południowców. Ilekroć tam przyjeżdżamy, ma taką minę, jak gdyby się nas śmiertelnie obawiała. Przypomina mi chudą kure, o przerażonych jasnych oczach bez wyrazu, gotową gdakać i trzepotać skrzydłami za lada ruchem z czyjejkolwiek strony.

- Nie możesz mieć o to do niej żalu. Postrzeliłeś przecież Cade'a w nogę,

- Tak, ale wtedy byłem wstawiony. Inaczej nigdy bym tego nie zrobił - rzekł Stuart. - Cade zresztą nie miał do mnie wcale żalu, jak również Kasia, Raiford i pan Calvert. Tylko ta ich jankeska macocha podniosła krzyk i gadała, że jestem dzikim barbarzyńcą i że przyzwoici ludzie nie są bezpieczni wśród niecywilizowanych południowców.

- Nie możesz jej mieć tego za złe. Jest Jankeską i nie ma zbyt dobrych manier. A poza tym postrzeliłeś naprawdę Cade'a, który jest jej pasierbem.

- No dobrze już, dobrze! Ale to wszystko nie daje jej jeszcze prawa, aby mnie obrażać! Ty jesteś mamy rodzonym synem, a mama wcale się nie przejęła, kiedy Tonio Fontaine zranił cię w nogę! Posłała tylko po starego doktora Fontaine, aby cię opatrzył, i zapytała go, dlaczego Tonio tak marnie celuje. Powiedziała, że to pewno wódka źle podziałała na celność jego strzału. Pamiętasz, jak to Tonia rozgniewało?

Obaj chłopcy zaśmiali się głośno.

- Nasza mama to dobry numer! - rzekł Brent z pełnym czułości podziwem. - Można zawsze liczyć na nią: umie się znaleźć i nie robi człowiekowi wstydu przed innymi.

- Tak, ale bardzo się boję, że dzisiaj, gdy wrócimy do domu, zrobi nam wstyd w obecności ojca i dziewcząt - rzekł Stuart posępnie. - Słuchaj, Brent. Mam wrażenie, że będziemy musieli się pożegnać z podróżą do Europy. Wiesz, że mama nam zapowiedziała, że nie pojedziemy, jeżeli nas wyrzucą z jeszcze jednej uczelni.

- No, więc co z tego? Czy nam na tym zależy? Cóż tam jest do oglądania w Europie? Założę się, że wszyscy cudzoziemcy razem nie mogą nam nic takiego pokazać, czego byśmy nie mieli tutaj w Georgii. Założę się, że konie ich nie są tak szybkie ani dziewczęta tak piękne, i mógłbym przysiąc, że ich żytniówka nie umywa się do żytniówki ojca.

- Ashley Wilkes mówi, że w Europie są piękne krajobrazy i dobra muzyka. Podobało mu się tam bardzo. Ciągłe opowiada o swojej podróży.

- No tak, ale wiesz przecież, jacy są Wilkesowie. Trochę zwariowani, jeżeli chodzi o muzykę, książki czy widoki. Mama mówi, że to dlatego, że ich dziadek pochodził z Wirginii. Uważa, iż wszyscy ludzie z Wirginii zbyt wielką wagę przywiązują do tych rzeczy.

- Niech zostaną przy swoich gustach. Daj mi dobrego konia, dobry trunek, przyzwoitą pannę do flirtu i mniej porządną do rozkoszy, a daruję im tę ich Europę... Czy nam właściwie zależy na tej podróży? A przypuśćmy, że bylibyśmy w Europie właśnie teraz, kiedy zbliża się wojna? Nie moglibyśmy zdążyć na czas do domu. Wolę wojnę niż podróż do Europy.

- Ja także, oczywiście... Słuchaj, Brent! Wiem już, dokąd moglibyśmy pojechać na kolację. Przeprowadźmy się przez moczary do Abła Wyndera. Powiemy mu, że wróciliśmy

wszyscy do domu i jesteśmy gotowi do musztry.

- To świetny pomysł! - wykrzyknął Brent z entuzjazmem.- Opowie nam wszystkie nowości i dowiemy się, jaki kolor został ostatecznie wybrany na mundury.

- Jeżeli taki jak żuawów, to raczej skonam, niż się zaciągnę. Czułbym się jak pajac w tych workowatych czerwonych spodniach. Wyglądają jak damskie barchanowe majtki.

- Czy panicze chcą jechać do pana Wyndera? To panicze nic nie dostaną na kolację - rzekł Jeems. - Kucharka ich umarła i jeszcze sobie nie kupili drugiej. Gotuje im robotnica z pola i mówili mi Murzyni, że to najgorsza kucharka w całym powiecie.

- Więc dlaczego, na Boga, nie kupią sobie lepszej?

- Skąd by zaś „biała nędza” mogła sobie pozwolić na Murzynów? Nigdy tam nie było więcej czarnych niż najwyżej czworo.

W głosie Jeemsa brzmiała wyraźna pogarda. Jego własna pozycja społeczna była niezachwiana, ponieważ Tarletonowie mieli ponad stu Murzynów, dlatego więc, podobnie jak wszyscy niewolnicy z wielkich plantacji, patrzył z góry na farmerów posiadających tylko kilku Murzynów.

- Wygarbuję ci skórę za to, coś powiedział! - zawołał ze złością Stuart. - Nie nazywaj mi Abła Wyndera „białą nędzą”. Pewnie, że jest biedny, ale pochodzi z porządnej rodziny i niech mnie kule biją, jeżeli pozwolę komukolwiek, białemu czy czarnemu, wygadywać na niego. W całym powiecie nie ma lepszego od niego człowieka. Inaczej bowiem Oddział nie mianowałby go porucznikiem.

- Tego to wcale nie rozumiem - odparł Jeems nie bacząc na gniew swego pana. - Tak mi się zdaje, że oficerami powinni być prawdziwi panowie, a nie nędza z moczarów. On nie jest żadną „nędzą”! Jakże można go porównywać z prawdziwą „białą nędzą” jak rodzina Slatterych? Abel nie ma tylko majątku. Jest małym farmerem, a nie wielkim plantatorem, i jeżeli chłopcy cenią go tak wysoko, że obwołali go porucznikiem, to nie jest rzeczą byle Murzyna źle o nim mówić. Oddział wie, co robi.

Oddział kawalerii zorganizowano przed trzema miesiącami w dniu, gdy Georgia odłączyła się od Unii, i od tego czasu ochotnicy marzyli o wojnie. Oddział nie miał jeszcze dotąd żadnej nazwy, jakkolwiek pomysłów nie brakło. Każdy miał na ten temat inną ideę, od której nie chciał odstąpić, każdy też dawał projekt kroju i koloru mundurów. „Dzikie koty z Olaytonu”, „Pożeracze ognia”, „Huzarzy Północnej Georgii”, „Żuawi”, „Strzelcy krajowi” (jakkolwiek oddział uzbrojony miał być w pistolety, szable i długie noże, a nie strzelby). „Szarzy z Claytonu”, „Krwawe pioruny”, „Nieustraszeni” - wszystkie te nazwy miały swoich zwolenników. Do czasu ostatecznego wyjaśnienia tej sprawy wszyscy określali organizację



jako Oddział i mimo górnolotnej nazwy, którą ostatecznie wybrano, wojsko Georgii zawsze zwane było „Oddziałem”.

Oficerowie wybierani byli przez członków organizacji, ponieważ nikt w całym powiecie, z wyjątkiem kilku weteranów wojny meksykańskiej i seminolskiej, nie miał doświadczenia wojennego, ponadto zaś Oddział nie respektowałby dowódcy, którego by większość członków nie lubiła i dobrze nie znała. Wszyscy lubili czterech młodych Tarletonów i trzech Fontaine’ów, ale z zalem musieli zrezygnować z ich wyboru, bo Tarletonowie mieli zbyt słabe głowy i po pijanemu płatali psie figle, Fontaine’owie zaś byli porywczymi zabijakami. Ashley Wilkes został wybrany kapitanem, ponieważ był najlepszym jeźdźcem w powiecie, chód zaś jego i opanowanie dawały jaką taką gwarancję, że potrafi utrzymać porządek. Raiford Calvert został porucznikiem, bo był przez wszystkich lubiany, zaś Abel Wynder, syn trapera z moczarów i właściciel małej fermy - porucznikiem.

Abel był obrotnym, małomównym olbrzymem, starszym od reszty chłopców; nie miał wykształcenia, ale za to dobry charakter, do kobiet odnosił się równie dobrze, jeżeli nie lepiej niż większość z nich. W Oddziale nie było snobizmu. Ojcowie czy dziadowie jego członków także dorobili się pieniędzy, zaczawszy od małej własności wiejskiej. Co więcej, Abel był najlepszym strzelcem w organizacji; trafiał w oko wiewiórki z odległości siedemdziesięciu pięciu jardów, ponadto zaś znał dobrze życie obozowe, umiał rozpalać ogniska podczas deszczu, tropić zwierzynę i znajdować wodę. Organizacja ceniła te wszystkie zalety - Wynder był powszechnie lubiany, mianowano go więc oficerem. Abel nosił tę godność z powagą, jak gdyby słusznie mu się należała, i nie okazywał żadnej zarozumiałości. Jednakże żony plantatorów i ich niewolnicy nie mogli przejść do porządku dziennego nad faktem, że Wynder nie urodził się dżentelmenem - o czym mężczyźni zupełnie nie pamiętali.

Początkowo do Oddziału należeli wyłącznie synowie plantatorów, dżentelmeni, z których każdy miał własnego konia, własne uzbrojenie, ekwipunek, mundur i ordynansa. W nowym powiecie claytońskim bogatych plantatorów było jednak niewiele, aby więc sformować pełen oddział, trzeba było rekrutów zbierać spośród synów małych farmerów, leśniczych z głębokich lasów, traperów z moczarów, małorolnych i w bardzo nielicznych wypadkach nawet „białej nędzy”.

Małorolni z równym zapałem rwali się do walki z Jankesami jak ich bogatsi sąsiedzi, ale od zaciągnięcia się do Oddziału wstrzymywała ich kłopotliwa sprawa finansów. Nie wszyscy drobni farmerzy posiadali konie. Do prac rolnych używali mułów, a i tych nie mieli wiele, rzadko więcej niż cztery. Farmy nie mogły obyć się bez mułów, nawet na wypadek, gdyby komenda Oddziału chciała je przyjąć - a tego robić nie chciała. „Biała nędza” zaś

uważała się za dobrze sytuowaną, jeżeli miała choć jednego muła. Ludzie z głębi lasów i traperzy z moczarów nie mieli ani koni, ani mułów i żyli wyłącznie z płodów swojej ziemi lub z łowów. Trudnili się przeważnie handlem wymiennym i rzadko miewali więcej niż pięć dolarów w gotówce rocznie, konie zatem i umundurowanie były dla nich niedostępne. W ubóstwie swoim byli jednak równie hardzi, jak plantatorzy dumni ze swego bogactwa, i nie przyjęliby od swoich zamożnych sąsiadów niczego, co mogłoby wyglądać na zapomogę. Tak więc, aby nie razić niczyich uczuć, a doprowadzić Oddział do właściwego stanu liczebnego, ojciec Scarlett, Jan Wilkes, panowie Munroe, Tarleton i Calvert - słowem wszyscy wielcy plantatorzy powiatu, z wyjątkiem Angusa MacIntosha - złożyli datki pieniężne na wyposażenie Oddziału w konie i mundury. W rezultacie więc każdy plantator podjął się wyposażenia nie tylko swoich własnych synów, ale i pewnej liczby obcych. Zrobili to w taki sposób, że mniej zamożni członkowie Oddziału mogli przyjąć konie i mundury bez uszczerbku dla własnego honoru.

Oddział zbierał się dwa razy w tygodniu w Jonesboro, aby ćwiczyć i wzdychać do co rychlejszego wybuchu wojny. Jak dotąd wciąż jeszcze brakowało koni, ale ci, którzy konie już mieli, odbywali, jak im się zdawało, „manewry” na łące za gmachem sądu, wzbijali wielkie tumany kurzu, wrzeszczeli co sił w płucach i wymachiwali szablami z czasów rewolucji, zdjętymi ze ścian salonów. Ci, którzy koni nie mieli, siedzieli na schodkach przed składem Bullarda i przyglądali się konnym kolegom, żując tytoń i opowiadając anegdotki. Czasem też urządzali konkursy strzelania. Żadnego z członków Oddziału nie trzeba było strzelania uczyć. Mężczyźni Południa przychodzili niejako na świat z pistoletem w garści, a lata spędzane na polowaniach czyniły z nich wyborowych strzelców.

Z domów plantatorów i chat na moczarach do każdego przeglądu przedstawiano najdziwniejsze rodzaje broni. Były tam fuzje, których młodość przypadała na okres pierwszego przekroczenia Gór Allegańskich; stare muszkiety, które miały na sumieniu niejednego Indianina w czasie kolonizowania Georgii, pistolety do siodeł z roku 1812, z wojen z Seminolami i z Meksykiem, okute srebrem pistolety do pojedynku, małe kieszonkowe derringery, dubeltówki i piękne angielskie karabiny o polerowanych kolbach.

Musztra kończyła się zawsze w szynkach Jonesboro i o zmierzchu wynikało tak wiele bójek, że oficerom z trudem przychodziło zapobieganie nieszczęśliwym wypadkom, do czasu gdy przeciwnikami w walkach będą Jankesi. Podczas jednej właśnie z takich burd Stuart Tarleton postrzelił Cade'a Calverta, a Tony Fontaine Brenta Tarletona. Bracia w tym czasie siedzieli w domu, bo świeżo ich wyrzucono z uniwersytetu w Wirginii; do organizującego się oddziału przystali z entuzjazmem, po tym epizodzie jednak, przed dwoma miesiącami, matka

wysłała ich na inny uniwersytet i surowo nakazała tam siedzieć. Bardzo brakło im tam wzruszeń musztry i uważali, że nie warto się kształcić zamiast jeździć konno, krzyżeć i strzelać z karabinu w towarzystwie kolegów.

- No, dobrze, jedźmy zatem polami do Abła - zdecydował Brent. - Jeżeli pojedziemy przez bród koło Tary i pastwisko Fontaine'ów, dostaniemy się tam bardzo szybko.

- Dadzą nam do jedzenia najwyżej pieczeń z oposa i kapustę - sprzeciwił się Jeems.

- Ty w ogóle nic nie dostaniesz - zaśmiał się Stuart - bo pojedziesz do domu i powiesz mamie, że nie będziemy na kolacji.

- Nie, nie pojedę! - wykrzyknął Jeems w przerażeniu. - Nie chcę! Wcale mi się nie uśmiecha spotkanie z panią Beatrice. Zapyta mnie pewnie, dlaczego dopuścił do tego, aby paniczów znowu wyrzucono, i dlaczego nie przyprowadziłem paniczów na kolację do domu, aby mogła was wyłajać. A potem zacnie na mnie jeździć jak na łysej kobyle i w końcu to ja będę wszystkiemu winien. Jeżeli mnie panicze nie zabiorą do pana Wyndera, to zostanę na noc w lesie. Złapie mnie pewnie patrol, ale wolę, żeby mnie patrol zabrał, niż rozmawiać z panią Beatrice, kiedy jest zła.

Bracia spojrzeli na młodego Murzyna z zakłopotaniem i oburzeniem.

- Rzeczywiście jest tak głupi, że może wpaść w ręce patrolu, a to dałoby mamie znowu temat na całe tygodnie. Przysięgam, że z tymi Murzynami to tylko kłopot. Czasami wydaje mi się, że abolicjoniści mają słuszość.

- Nie byłoby sprawiedliwe, gdybyśmy Jeemsa skazali na to, czemu sami boimy się spojrzeć w oczy. Będziemy go musieli zabrać ze sobą. Ale słuchaj, ty bezczelny czarny głuptasie, jeżeli będziesz mi się puszył przed Murzynami pana Wyndera i opowiadał im, że my stale jadamy drób i szynkę, podczas gdy oni mają tylko króliki i oposy, ja powiem mamie o wszystkim. Poza tym, nie pojedziesz z nami na wojnę.

- Ja miałbym się puszyć? Ja... przed tymi tam tanimi Murzynami? Nie, proszę panicza, ja mam lepsze maniery. Pani Beatrice uczyła mnie manier tak samo jak wszystkich paniczów.

- Nie doczekała się pociechy z tych swoich nauk! - zaśmiał się Stuart. - Chodźcie, ruszamy. Zawrócił wielkiego kasztana i spinając go ostrogami, lekko przeskoczył przez płot na miękką ziemię plantacji Geralda O'Hary. Za nimi skoczył Brent, a na końcu Jeems, trzymając się kurczowo kuli i grzywy swego konia. Jeems nie lubił przesadzać płotów, ale dla dotrzymania kroku swoim panom przeskakiwał już niejednokrotnie i przez wyższe.

Gdy w gęstniejącym mroku kierowali się między czerwonymi skibami w dół wzgórza ku rzece, Brent krzyknął na brata:

- Słuchaj, Stu! Czy nie zdaje ci się, że Scarlett chciała nas zaprosić na kolację?

- Byłem pewny, że nas zaprosi - odwrzasnął Stuart. - Co jej się mogło stać?...

## ROZDZIAŁ II

Kiedy Tarletonowie odjechali i umilkły odgłosy kopyt, Scarlett, stojąca dotąd nieruchomo na ganku, zawróciła do swego krzesła jak lunaticzka. Twarz miała sztywną z bólu, usta paliły ją od rozciągania w wymuszonych uśmiechach, którymi pokrywała swój sekret. Usiadła ciężko z jedną nogą podwiniętą pod siebie, a serce jej tak bardzo nabrzmiało cierpieniem, że zdawało się nie mieścić w piersiach. Biło szybko i nierówno, ręce miała zimne, przepelniało ją poczucie klęski. Na twarzy jej malowało się zdumienie rozpieszczonego dziecka - dziecka, którego zachcianki zawsze spełniano i które po raz pierwszy styka się z brutalnością życia.

Ashley zaręczony z Melanią Hamilton!

Och, to chyba nieprawda! Tarletonowie się mylą. Wyplatali jej swoim zwyczajem figla. Ashley na pewno, na pewno nie kocha Meli. Niepodobna się przecież kochać w tak niepozornej osobce jak Mela. Scarlett przypomniała sobie ze wzgardą drobną, dziecinną figurkę Melanii, jej poważną, owalną twarzyczkę, nieładną, raczej nawet brzydką. Ashley nie widywał jej ostatnio wcale. W Atlancie był co najwyżej dwa razy od czasu, gdy Hamiltonowie bawili rok temu w Dwunastu Dębach. Nie, Ashley nie mógł być zakochany w Meli, ponieważ - och, nie, nie myli się z pewnością! - ponieważ kochał ją! Ona, Scarlett, była jedyną, którą kochał! Tego była pewna!

Scarlett usłyszała z hallu ciężkie, rąbane kroki Mammy, szybko więc usiadła jak należy i postarała się doprowadzić twarz do względnego porządku. Byłoby źle, gdyby Mammy domyśliła się czegoś. Mammy była przekonana, że panuje niepodzielnie nad O'Harami, że rządzi ich ciałami i duszami, że ich tajemnice są jej własnością i węszyła jak pies gończy za najmniejszym nawet śladem sekretu. Scarlett wiedziała z doświadczenia, że jeżeli nie zaspokoi natychmiast ciekawości Mammy, niania omówi sprawę z jej matką, a wtedy Scarlett albo będzie zmuszona wyznać wszystko Ellen, albo wymyślić jakieś odpowiednie kłamstwo.

Z hallu wynurzyła się wielka czarna kobieta o małych, przenikliwych oczkach słonia. Była lśniącej, prawdziwej afrykańskiej czarności. Oddana całą duszą rodzinie O'Harów, stanowiła podporę Ellen, plagę jej trzech córek i postrach reszty służących. Mammy, chociaż Murzynka, miała równie wysokie czy nawet wyższe niż jej właściciele pojęcie o godziwym sposobie postępowania i równie wielką dumę.

Wychowała się w sypialni Solange Robillard, matki Ellen O'Hara, wytwornej, zimnej,

wyniosłej Francuzki, która ani dzieciom, ani służbie nie szczędziła kar za najmniejsze wykroczenie przeciw temu, co wypada. Była piastunką Ellen i po jej ślubie przyjechała z nią z Savannah. Mammy lubiła karcić tych, których kochała. A ponieważ miłość jej do Scarlett i duma z niej były niezmiernie, proces karcenia trwał prawie nieprzerwanie.

- Czy młodzi panowie odjechali? Dlaczego nie prosiłaś ich, aby zostali na kolacji, Scarlett? Powiedziałam Porkowi, aby położył dla nich nakrycia na stole. Jakież ty masz maniery?

- Och, tak mnie znudzili swoim opowiadaniem o wojnie, że nie mogłabym już tego znieść przy kolacji, tym bardziej że tatuś pewnie by im pomógł i zaczęłby pomstować na prezydenta Lincolna.

- Masz równie złe maniery jak zwykła wyrobnica z pola, mimo że i pani Ellen, i ja takeśmy się nad tobą namęczyły. No i dlaczego siedzisz tutaj bez szala? Zaraz schwyci chłód. A przecież powtarzam ci ciągle, że dostaje się gorączki od siedzenia na chłodzie bez ciepłego szala na ramionach. Wejdz do pokoju, Scarlett.

Scarlett odwróciła się od Mammy z udanym lekceważeniem, zadowolona, że Murzynka, zajęta sprawą szala, nie zwróciła uwagi na wyraz jej twarzy.

- Nie, chcę siedzieć tutaj i patrzeć, jak słońce zachodzi. Piękny dziś zachód. Przynieś mi szal. Proszę cię, Mammy, zrób to dla mnie, a ja tu posiedzę, aż papa wróci do domu.

- Masz taki głos, jak gdybyś już złapała katar - rzekła Mammy podejrzliwie.

- Nie, nic mi nie jest - odparła ze zniecierpliwieniem Scarlett. - Przynieś mi szal.

Mammy poczłapała do hallu i Scarlett usłyszała, jak cicho woła do pokojówki na górze:

- Rózo, Rózo! Zrzuć mi tu szal panny Scarlett. - Potem głośniej: - Przebrzydła Murzynka! Nigdy jej nie ma tam, gdzie powinna być. Teraz muszę sama włązić na schody.

Scarlett usłyszała skrzypienie schodów i cicho wstała. Mammy wróciwszy znacznie znowu kazanie na temat niegościnnosci Scarlett, Scarlett zaś czuła, że teraz, gdy jej serce pęka, nie zniesie gadaniny o tak błahej sprawie. Kiedy tak stała niezdecydowana, zastanawiając się, gdzie by się ukryć, dopóki ból w sercu nie ustąpi, przyszła jej do głowy myśl, która przyniosła iskierkę nadziei. Ojciec jej pojechał tego popołudnia do Dwunastu Dębów, plantacji Wilkesów, w sprawie kupna Dilcey, tegiej żony jego lokaja, Porka. Dilcey była przodownicą i akuszerką w Dwunastu Dębach, więc od czasu swego małżeństwa przed sześciu miesiącami Pork dniem i nocą zamęczał swego pana w sprawie jej kupienia do Tary. Tego dnia Gerald czując, że nie oprze się jego namowom, zdecydował się wreszcie kupić Dilcey.

„Z pewnością - myślała Scarlett - papa będzie wiedział, ile jest prawdy w tej strasznej plotce. Jeżeli nawet nie wie nic konkretnego, zauważył pewnie lub wyczuł podniecenie w rodzinie Wilkesów. Jeżeli uda mi się porozmawiać z nim na osobności przed kolacją, dowiem się może prawdy - że mianowicie bliźnięta znowu mi spletały figła”.

Zbliżała się pora powrotu Geralda. Aby go zobaczyć bez świadków, Scarlett postanowiła poczekać na niego w miejscu, gdzie podjazd łączył się z szosą. Zeszła cicho po schodkach, oglądając się chyłkiem, by upewnić się czy Mammy nie patrzy na nią z okien pierwszego piętra. Nie widząc między firankami szerokiej czarnej twarzy w białym turbanie, wysoko uniosła zieloną kwiaciastą suknię i pobiegła po ścieżce w stronę szosy tak szybko, jak mogły ją unieść nogi w małych, sznurowanych wstążką pantofelkach.

Gałęzie ciemnych cedrów rosnących po obu stronach zwirowanego podjazdu łączyły się tak, że długa aleja wyglądała jak ciemny tunel. Kiedy Scarlett znalazła się pod sękatymi konarami drzew, poczuła się bezpieczna i zwolniła kroku. Zadyszała się, bo miała mocno ściśniętą sznurówkę i nie mogła długo biec, zaczęła więc iść szybkim krokiem. Wkrótce znalazła się u końca alei i na szosie, ale przystanąła dopiero za dużą kępą drzew koło zakrętu.

Zarumieniona i zziajana usiadła na pniu i czekała na ojca. Powinien już być w domu, ale zadowolona była, że się spóźnia. Czekanie pozwoli jej odpocząć i uspokoić się, aby ojciec niczego nie mógł wyczytać z jej twarzy. Nadśluchiwała tętentu kopyt końskich i wypatrywała ojca zjeżdżającego swoim zwyczajem na złamanie karku z pagórka. Minuty jednak mijały, a Gerald nie przyjeżdżał. Wyjrzała na drogę raz i drugi i ból w jej sercu wezbrał na nowo.

„Och, to na pewno nieprawda! - myślała. - Dlaczego ojciec nie wraca?”

Oczy jej błędziły po krętej szosie, krwawoczerwonej po porannym deszczu. W myślach kreśliła jej kierunek: w dół do leniwej rzeki Flint, poprzez błotniste, zarosłe jej koryto - potem w górę, po zboczu pagórka aż do Dwunastu Dębów, gdzie mieszkał Ashley. Droga ta tylko to teraz znaczyła - wiodła do Ashleya i do pięknego białego domu z kolumnkami, który wieńczył wzgórze niczym grecka świątynia.

„Och, Ashleju, Ashleju!” - myślała z szybkim biciem serca.

Zimne przerażenie i poczucie klęski, które przygniotły ją w chwili, gdy młodzi Tarletonowie opowiedzieli jej o zaręczynach, usunęły się teraz na dalszy plan, a miejsce ich zajęła namiętność, zrodzona już dwa lata temu. Teraz wydawało jej się dziwne, że dorastając tak mało uwagi zwracała na Ashleya. W dzieciństwie widywała go często, ale nigdy nie poświęcała mu wiele uwagi. Od tego jednak dnia przed dwoma laty, gdy Ashley wróciwszy z trzyletniej podróży po Europie złożył w Tarze swoje uszanowanie, Scarlett kochała go, po prostu go kochała.

Stała wtedy na ganku, a on konno przejechał przez długą aleję, nosił szare sukienne ubranie i czarny szeroki krawat, który doskonale zdobił plisowaną koszulę. Jeszcze teraz dokładnie pamiętała najmniejsze szczegóły jego stroju, połysk butów, kameę z głową Meduzy w szpilce do krawata, szeroki panamski kapelusz, który Ashley zdjął w chwili, gdy ją spostrzegł. Zatrzymał się, rzucił lejce Murzynowi i stał, patrząc na Scarlett marzącymi, szarymi oczyma, rozjaśnionymi uśmiechem, stał w promieniach słońca, a jasne jego włosy lśniły jak srebrny hełm. Powiedział: Jakżeś ty wyrosła, Scarlett i lekko wszedłszy na schodki pocałował ją w rękę. A jego głos! Nigdy nie zapomni drżenia w sercu, gdy usłyszała jak gdyby po raz pierwszy ten dźwięczny, przeciągły, melodyjny głos.

Zapra gnęła go w tej pierwszej sekundzie, zapra gnęła tak po prostu i naturalnie, jak pragnie się jedzenia, przejażdżki konnej czy miękkiego łóżka, na którym można by spocząć.

Przez dwa ostatnie lata Ashley towarzyszył jej na bale, pikniki i zebrania w dni sądowe, nie tak często jak młodzi Tarletonowie czy Cade Calvert, nie narzucając się nigdy jak młodszy Fontaine'owie, przeciętnie jednak odwiedzając ją raz na tydzień w Tarze.

Prawda, że nigdy się do niej nie zalecał i że jego jasne, szare oczy nigdy nie rozżarzyły się tym gorącym ogniem, który Scarlett tak często widywała w oczach innych mężczyzn. A jednak mimo to - pewna była, że Ashley ją kocha. Nie myliła się z pewnością. Instynkt silniejszy od rozsądku i zrodzonej z doświadczenia wiedzy mówił jej, że Ashley ją kocha. Oczy jego, gdy na nią patrzył, nie były zamglone ani dalekie, lecz wyrażały tęsknotę i smutek, który ją zastanawiał. Wiedziała, że Ashley ją kocha. Dlaczego jej o tym nigdy nie mówił? Tego nie mogła pojąć. Ale nie tego tylko jednego w nim nie rozumiała.

Był zawsze dla niej miły, ale daleki, nieprzystępny. Nikt nie wiedział, o czym Ashley myśli, najmniej zaś wiedziała o tym Scarlett. W okolicy, w której każdy mówił, co ma na myśli, z chwilą gdy sobie to pomyślał, rezerwa Ashleya stawała się dręcząca. Celował jak inni młodzieńcy w zwykłych rozrywkach powiatu - polowaniu, grze w karty, tańcu i polityce, i był najlepszym w okolicy jeźdźcem - różnił się tym jednak od innych, że tych przyjemności nie uważał za cel i treść życia. W swoim zainteresowaniu dla książek, muzyki i pisaniu wierszy był zupełnie odosobniony.

Och, czemu był tak jasnowłosy i przystojny, tak uprzejmy i daleki, tak wściekle nudny, gdy mówił o Europie, książkach, muzyce, poezji i rzeczach, które nie interesowały Scarlett wcale - czemu był tak bardzo godzien miłości? W noce po spędzonych z Ashleyem szarych godzinach Scarlett rzucała się bezsennie na łóżku i pocieszała tylko myślą, że już za następnym widzeniem Ashley oświadczy się jej z pewnością. Przychodził jednak następny raz i mijał - a skutku nie było: tylko zżerająca ją namiętność stawała się silniejsza.



Kochała go, pragnęła go, ale nie rozumiała. Była tak bezpośrednia i prosta jak wiatry wiejące nad Tarą i żółta rzeka, która wiała się dokoła, i do końca swoich dni nie miała zrozumieć żadnej skomplikowanej sprawy. W osobie Ashleya po raz pierwszy w swoim życiu zetknęła się z naturą złożoną.

Ashley był potomkiem ludzi, którzy wolny swój czas poświęcali myśleniu, a nie działaniu - snuciu barwnych marzeń, które nie miały w sobie ani cienia realności. Żył w wewnętrznym swoim świecie, o wiele piękniejszym od Georgii, i do rzeczywistości powracał z niechęcią. Przypatrywał się ludziom, ale nie darzył ich sympatią, ani ich nie nienawdził. Przypatrywał się życiu, ale bez smutku i bez zapału. Przyjmował wszechświat i swoje w nim miejsce bez buntu i wzruszając ramionami wracał do muzyki i książek, do swojego lepszego świata.

Czym przykuł do siebie Scarlett, która go nie rozumiała wcale, Scarlett sama nie wiedziała. Inność jego potęgowała jej ciekawość - niczym drzwi, które by nie miały ani klucza, ani zamka. Wszystko to, czego w nim nie rozumiała, wzmagало jej miłość, a jego dziwne, pełne rezerwy zaloty umacniały tylko w niej postanowienie, że zdobędzie go sobie na własność. Że Ashley oświadczy się jej kiedyś - o tym nie wątpiła nigdy, ponieważ była zbyt młoda i zbyt rozpieszczona, aby znać smak niepowodzenia. Teraz zaś jak piorun spadła na nią ta straszna wieść. Ashley zaręczony z Melanią! Nie, to nie może być prawdą!

Ależ przecie dopiero tydzień temu, kiedy o zmroku wracali z Fairhill do domu, Ashley powiedział: - Scarlett, mam ci coś tak ważnego do powiedzenia, że wcale nie wiem, jak ci to powiedzieć.

Spuściła oczy skromnie, serce jej zabiło szybko i rozkosznie. Pomyślała, że wielki moment wreszcie nadszedł. Potem Ashley dodał: - Nie teraz! Jużemy prawie w domu i nie mamy zbyt wiele czasu. Och, Scarlett, jakimże ja jestem tchórzem! - I spiąwszy konia ostrogami szybko pocwałował w stronę Tary.

Scarlett, siedząc teraz na pniu, myślała o tych słowach, które takim ją napełniły szczęściem, i nagle nadała im inne, straszne znaczenie. A cóż, jeżeli chciał jej wtedy powiedzieć o swoich zaręczynach.

Och, oby papa wrócił wreszcie do domu! Nie zniesie tej niepewności ani chwili dłużej. Spojrzała ze zniecierpliwieniem na drogę i znowu doznała zawodu.

Słońce stało teraz poniżej horyzontu i czerwony żar na kraju świata z wolna różowiał. Niebo zmieniało się stopniowo z lazurowego w niebieskozielone i nieziemska cisza wiejskiego zmierzchu kładła się dokoła. Cienisty mrok opadł na pola. Czerwone bruzdy i wyboista wonna droga straciły swą magiczną barwę krwi i stały się zwykłe, brunatne. Za

drogą, na pastwisku, konie, muły i krowy czekały spokojnie, położywszy łby na płocie, aż je ludzie popędzą do stajni i obór. Nie lubiły widocznie cienia zarośli brzeżących strumyk na pastwisku, bo strzygły uszami na Scarlett, jak gdyby ceniąc sobie towarzystwo ludzkiej istoty.

W dziwnym półświatle wyniosłe sosny nad brodem, tak soczyście zielone w świetle słonecznym, na tle pastelowego nieba stawały się rzędem czarnych olbrzymów, kryjących leniwą żółtą wodę u swych stop. Na pagórku za rzeką wysokie kominy białego domu Wilkesów zlewały się stopniowo z ciemnością starych, otaczających go dębów i tylko światełka drobne jak łebki szpilek wskazywały, że w tej stronie mieszkają ludzie. Otaczała Scarlett wilgotna, ciepła balsamiczność wiosny, tchnąca wonią zoranej ziemi i młodych nikłych pędów.

Zachód słońca, wiosna i świeża zieleń nie wydawały się Scarlett cudem. Przyjmowała ich piękno za rzecz tak oczywistą jak powietrze, którym oddychała, i woda, którą piła, ponieważ nigdy świadomie nie szukała w niczym piękna - z wyjątkiem twarzy kobiecych, koni, jedwabnych sukien i innych rzeczy namacalnych. Mimo to pogodny półmrok nad polami Tary przyniósł ukojenie jej niespokojnym myślom. Nie wiedząc o tym wcale, że bardzo kocha tę ziemię, kochała ją nie mniej niż twarz matki pod lampą w czasie wieczornej modlitwy.

Geralda ciągle jeszcze nie było słyhać na cichej krętej drodze.

Gdyby Scarlett miała czekać zbyt długo, mogła być pewna, że Mammy wyjdzie jej szukać i przy akompaniamencie wymówek zapędzi do domu. Ale w chwili gdy wyteżając wzrok wypatrywała ojca na ciemnej drodze, usłyszała stukot kopyt na pastwisku u stóp pagórka i zobaczyła, jak konie i krowy rozbiegają się w popłochu. Gerald O'Hara wracał pędem przez pola do domu.

Wjechał galopem na wzgórze. Z daleka, na roslym wierzchowcu o cienkich pęcinach, wyglądał jak chłopiec na zbyt dużym koniu. Długie jego siwe włosy rozwiewały się w biegu, pogaśniał konia szpicrutą i głośnym krzykiem.

Mimo, że tak pełna własnych niepokojów, Scarlett przyglądała się ojcu z czułością i dumą, bo Gerald był doskonałym jeźdźcem.

„Ciekawam, dlaczego ojciec zawsze tak skacze przez płoty, kiedy trochę wypije - myślała. - I robi to stale, mimo tego wypadku w zeszłym roku, gdy złamał sobie kolano. Wcale się nie nauczył rozumu, choć przysiągł mamie pod słowem honoru, że nigdy nie będzie już skakać”.

Scarlett nie bała się ojca i była z nim w zażyłszych stosunkach niż z siostrami. Skakanie przez płoty i ukrywanie tego w tajemnicy przed żoną napawało Geralda chłopięcą

dumą i przekorną radością, bardzo podobną do przyjemności, jaką Scarlett czerpała z każdego podejścia Mammy. Teraz wstała nawet ze swego pnia, aby się ojcu lepiej przyjrzeć.

Wielki koń dobiegł do płotu, zebrał się w sobie i wzbił w górę jak ptak, jeździec zaś krzyknął z zachwytu, śmignął batem w powietrzu, a siwe włosy rozwiały mu się wokół głowy. Gerald nie widział córki stojącej w cieniu. Na drodze ściągnął cugle, klepiąc z uznaniem konia po szyi.

- Nie ma drugiego w całym powiecie ani w całym stanie, który by ci mógł dorównać - powiedział z dumą do konia; irlandzki akcent ciążył dotąd na jego wymowie, mimo że Gerald już trzydzieści dziewięć lat mieszkał w Ameryce. Potem zabrał się pośpiesznie do przyglądania włosów, poprawiania zmiętej koszuli i krawata, który przekręcił mu się aż za ucho. Scarlett wiedziała, iż celem tego gwałtownego doprowadzania się do porządku było przekonanie żony, że wracał do domu jak przystało na dżentelmena: spokojnie i stępa. Wiedziała także, że teraz ma dobrą sposobność rozpoczęcia rozmowy bez odsłaniania jej istotnego celu.

Roześmiała się głośno. Gerald przestraszył się tego dźwięku. Potem, gdy poznał córkę, rumiana jego twarz przybrała wyraz na poły wyzywający, na poły zakłopotany. Zsiadł z konia z pewnym trudem, bo kolano miał po swoim wypadku sztywne, i zarzucając sobie lejce na ramię, pokuśtykał do Scarlett.

- No co, panienko? - rzekł szczypiąc ją w policzek. - A więc szpiegowałaś mnie teraz, tak, jak w zeszłym tygodniu twoja siostra Zuela. Obgadasz mnie pewnie przed mamusią?

W ochryplym jego, niskim głosie brzmiało oburzenie, ale i nutka pochlebstwa. Scarlett zamiast odpowiedzi mlasnęła tylko językiem o zęby i wyciągnęła ręce, aby poprawić ojcu krawat. Oddech Geralda przesycony był zapachem whisky i mięty. Unosiła się także dokoła niego woń tytoniu do żucia, dobrze naoliwionej skóry i koni - kombinacja zapachów, które Scarlett zawsze łączyła z osobą ojca i bezwiednie lubiła u innych mężczyzn.

- Nie, papo, ja nie jestem płociuchem jak Zuela - zapewniła go cofając się, aby krytycznym spojrzeniem ocenić jego doprowadzony do porządku wygląd.

Gerald był mężczyzną niskiego wzrostu, mierzył niewiele więcej nad pięć stóp, ale był tak szeroko zbudowany i kark miał tak gruby, że gdy siedział, ludzie nie znający go mogli przypuszczać, że jest roślejszy i wyższy. Szeroki jego tułów spoczywał na krótkich, mocnych nogach, zawsze wytwornie obutych i zawsze szeroko rozstawionych jak u nadrabiającego postawą małego chłopca. Ludzie małego wzrostu są przeważnie śmieszni, gdy nadrabiają miną, karłowaty kogut jednak cieszy się szacunkiem podwórka. Tak też rzecz się miała z Geraldem. Nikt nie ośmieliłby się nawet pomyśleć, że Gerald O'Hara jest śmieszną małą

figurką.

Miał lat sześćdziesiąt, kędzierzawe jego włosy były bielutkie, ale sprytna twarz zupełnie nie pomarszczona, a jasnoniebieskie małe oczy pełne beztróskiej młodości człowieka, który nigdy się nie głowił nad sprawami bardziej abstrakcyjnymi niż liczba kart, jakie ma dokupić w pokerze. Miał twarz najtypowej irlandzkiej, okrągłą, rumianą, zawadiacką twarz o krótkim nosie i szerokich ustach.

Pod tymi sangwiniicznymi pozorami kryło się najczulsze z serc. Nie mógł znieść, gdy niewolnik martwił się z powodu nagany, choćby dobrze zasłużonej, ani gdy miauczał kociak lub płakało dziecko. Wstydził się jednak przyznać do tej słabości. Nie wiedział o tym, że każdy, kto go poznał, w ciągu pięciu minut odkrywał dobroć jego serca. Próżność jego cierpiałaby zresztą nad tym, bo lubił myśleć, że kiedy mocnym głosem wydaje rozkazy, wszyscy drżą i słuchają go ślepo. Nigdy mu nie przyszło na myśl, że tylko jednemu głosowi plantacja jest posłuszna - cichemu głosowi jego żony Ellen. Była to tajemnica, której Gerald nie miał nigdy poznać, bo wszyscy, poczynając od Ellen, a kończąc na najgłępszym parobku, łączyli się w milczącej i dobrotliwej zмовie, żeby utrzymywać go w mniemaniu, iż słowo jego jest prawem.

Scarlett mniej jeszcze od innych przejmowała się gniewem, i krzykami ojca. Była najstarsza w rodzinie i teraz, odkąd Gerald już wiedział, że nie będzie miał synów, którzy by mu zastąpili trzech pochowanych na rodzinnym cmentarzyku, zaczął ją traktować jak równy równego, co bardzo jej przypadło do gustu. Scarlett więcej cech odziedziczyła po ojcu niż jej młodsze siostry, bo Karina, a właściwie Karolina Irena, była wrażliwa i rozmarzona, Zuela zaś - Zuzanna Eleonora - chełpiła się swoją elegancją i dystynkcją.

Co więcej, Scarlett związana była z ojcem milczącym przymierzem. Jeżeli Gerald przyłapał ją na przełazieniu przez płot - bo nie chciało jej się chodzić do odległej o pół mili bramy - lub siedzącą zbyt późno na ganku w towarzystwie adoratora, karciał ją osobiście i gwałtownie, ale nie wspominał o tym Ellen ani Mammy. Kiedy zaś Scarlett widziała, że ojciec przesadza płoty po solennym przyrzeczeniu, że tego nie będzie robił, albo dowiadywała się, ile naprawdę przegrał w pokera - co nie było rzeczą trudną wobec szybkiego kursowania plotek w powiecie - w przeciwieństwie do Zueli nie mówiła o tym nigdy przy stole. Scarlett i ojciec zapewnili się uroczyście nawzajem, że podawanie takich spraw do wiadomości Ellen sprawiłoby jej tylko przykrość, obydwójce zaś pod żadnym pozorem nie chcieli ranić jej serca.

Scarlett przyglądała się ojcu w gasnącym świetle i nie wiedząc dlaczego, poczuła się rażniej w jego obecności. Posiadał w sobie żywotność, przyziemność, pewne, nieokrzesianie, które dobrze na nią działały. Jako istota, nie potrafiąca niczego analizować, nie zdawała sobie

sprawy, że dzieje się tak, ponieważ odziedziczyła w pewnej mierze te cechy swego ojca i nawet szesnaście lat wysiłków ze strony Ellen i Mammy nie mogło ich w niej zdusić.

- Teraz wyglądasz bardzo przyzwoicie - rzekła - i nie przypuszczam, aby ktokolwiek domyślił się, żeś znowu broił, chyba że głośno się do tego przyznasz. Zdaje mi się jednak, że po złamaniu nogi w zeszłym roku skakanie przez ten sam płot...

- Niech mnie licho porwie, jeżeli pozwolę własnej córce dyktować sobie, przez co mam skakać, a przez co nie! - krzyknął szczypiąc ją po raz drugi w policzek. - To własna moja sprawa, która nikogo nie powinna obchodzić. Poza tym zaś, panienko, co ty właściwie robisz o tej porze, bez szala, na szosie, sama?

Widząc, że ojciec sprytnym manewrem chce się wykręcić od nieprzyjemnej rozmowy, Scarlett wzięła go pod ramię i powiedziała: - Czekałam tu na ciebie. Nie myślałam, że tak bardzo się spóźnisz. Chciałam wiedzieć, czyś kupił Dilcey.

- Kupić kupiłem, ale cena mnie zrujnowała. Kupiłem ją i jej małą córeczkę Prissy. Jan Wilkes chciał mi je odstąpić darmo, ale nie mogłem przecież dopuścić do tego, aby mówiono, że Gerald O'Hara korzysta w interesach z przyjaźni. Zmusiłem go do przyjęcia trzech tysięcy za obie.

- Na miłość boską, papo, trzy tysiące! Przecież wcale nie musiałeś kupować Prissy!

- Czy to już takie teraz czasy nastały, że rodzona córka krytykuje ojca? - krzyknął Gerald. - Prissy jest miłą dziewczynką, więc...

- Znam ją. Jest głupim, podstępym stworzeniem - odparła Scarlett spokojnie, niewzruszona krzykiem ojca. - I kupiłeś ją prawdopodobnie tylko na prośbę Dilcey.

Gerald był wyraźnie zbity z tropu i zakłopotany jak zwykle, gdy odkrywano jego dobre uczynki, Scarlett zaś śmiała się już teraz otwarcie z jego naiwności.

- No, a jeżeli tak nawet było? Czy opłacało mi się kupować Dilcey, gdym wiedział, że będzie mi tu cały czas tęskniła za dzieckiem? Już nigdy w życiu nie pozwolę, aby mój Murzyn żenił się z kobietą z innej plantacji. Zbyt droga przyjemność. No chodź, kochanie, pójdziemy na kolację.

Cienie zgęszczały się teraz, ostatni zielonkawy blask znikł z nieba i lekki chłód mroził wiosenne powiewy. Scarlett jednakże szła ociągając się, rozmyślając nad tym, jak zacząć rozmowę o Ashleyu, by Gerald nie domyślił się jej prawdziwych intencji. Sprawiało jej to trudność, dyplomatyzowanie nie było jej mocną stroną, Gerald zaś był tak do niej podobny, że zawsze odkrywał jej podstępny - ta samo zresztą, jak Scarlett jego. Robił to zaś w sposób raczej nietaktowny.

- Jakże się tam wszyscy miewają w Dwunastu Dębach?

- Jak zwykle. Cade Calvert był tam także, więc kiedy załatwiłem sprawę Dilcey, siedliśmy na balkonie i piliśmy trochę. Cade wrócił właśnie z Atlanty i opowiadał, że wszyscy tam bardzo zdenerwowani i że mówią o wojnie i...

Scarlett westchnęła. Skoro Gerald raz zaczął o wojnie i secesji, mógł mówić bez przerwy przez godzinę lub więcej. Spróbowała więc z innej strony.

- A nic nie mówili o jutrzejszej barbakoi?

- A tak, przypominam sobie teraz, że mówili. Panna... jakże się ona nazywa?... Ta miła mała panienczka, która tu była w zeszłym roku, wiesz, ta kuzynka Ashleya - już wiem: panna Melania Hamilton - ona i brat jej Karol przyjechali już z Atlanty i...

- Ach, to ona przyjechała?

- Tak, przyjechała. Jest miła, cichutka i nigdy nie pytana słowa nie piśnie, jak przystało prawdziwej damie. Chodź teraz, córko, nie marudź. Matka będzie nas szukać.

Serce Scarlett zadrżało na tę nowinę. Wbrew wszystkiemu wierzyła jeszcze, że coś nieprzewidzianego zatrzyma Melanię Hamilton w Atlancie, gdzie było jej właściwe miejsce - kiedy więc usłyszała, że nawet jej ojcu podoba się łagodne, spokojne usposobienie Meli, tak różne od jej własnego, postanowiła zagrać w otwarte karty.

- A czy Ashley był także z wami?

- Tak, był - Gerald odsunął od siebie córkę i popatrzył przenikliwie w jej twarz. - Jeżeli po to wyszłaś na drogę, aby mnie o niego zapytać, dlaczego mi od razu nie powiedziałaś, tylko owijałaś sprawę w bawełnę?

Żadna odpowiedź nie przychodziła Scarlett do głowy, a przy tym czuła, że rumieni się z przykrości.

- No, dlaczego nie odpowiadasz?

Nadal nic nie mówiła złorzecząc się w duchu, że nie może własnym ojcem mocno potrząsnąć i powiedzieć mu, aby zamknął buzię.

- Ashley był, bardzo grzecznie pytał o ciebie, tak samo jak jego siostry, i wszyscy wyrażali nadzieję, że z pewnością zobaczą cię jutro na barbakoi. Pewien jestem i ja, że cię jutro zobaczą - rzekł chytrze. - A teraz, córeczko, powiedz, co to za sprawa między tobą a Ashleyem?

- Kiedy między nim a mną nie ma żadnej sprawy - odparła krótko, przytulając się do ramienia ojca. - Chodźmy do domu, tatusiu.

- A więc z kolei ty chcesz wracać - zauważył. - Ja jednak zostanę tutaj, póki mi nie wytłumaczysz, jak sprawy stoją. Teraz uprzytomniam sobie, że byłaś ostatnio jakaś dziwna. Czyżby ci Ashley głowę zawrócił? Czy oświadczył ci się?

- Nie - odrzekła krótko.

- I nie oświadczy się wcale - rzekł Gerald.

Pasja nią zatrzęsała, ale ojciec skinieniem ręki nakazał jej spokój.

- Trzymaj język za zębami, panienko! Dziś po południu dowiedziałem się od Jana Wilkesa w najściślejszej dyskrekcji, że Ashley żeni się z panną Melanią. Zaręczyny zostaną ogłoszone jutro.

Ręka Scarlett, obejmująca ramię ojca, opadła. A więc to była prawda!

Ból schwyił ją za serce mocno, jak kły dzikiego zwierzęcia. Czuła przy tym na sobie spojrzenie ojca trochę współczujące, trochę zakłopotane problemem, który trudno było rozwiązać. Kochał Scarlett, ale nie lubił, kiedy na niego spadały jej dziecinne kłopoty. Ellen знаła wszystkie lekarstwa. Scarlett jej powinna była zwierzać swoje zmartwienia.

- A więc to tak? Więc robiłaś z siebie i z nas wszystkich widowisko? - wrzasnął podnosząc głos jak zwykle w chwilach podniecenia. - Narzucałaś się mężczyźnie, który cię nie kocha - ty, która możesz mieć każdego z naszych tutejszych chłopców?

Złość i zraniona duma przyćmiły w niej na chwilę ból.

- Ja... nie narzucałam mu się wcale. To wszystko... dziwi mnie tylko.

- Zdaje mi się, że kłamiesz! - rzekł Gerald, po chwili zaś, patrząc w jej zbolaną twarz, dodał łagodnie: - Przepraszam cię, córeczko. Zrozum jednak, że jesteś jeszcze dzieckiem i masz całą masę innych wielbicieli.

- Mamusia miała piętnaście lat, kiedy wyszła za ciebie, a ja już mam szesnaście - rzekła Scarlett zdławionym głosem.

- Twoja matka była inna - odparł Gerald. - Nigdy nie była tak płocha jak ty. No, a teraz, Scarlett, uspokój się, zabiorę cię w przyszłym tygodniu do Charlestonu z wizytą do ciotki Eulalii i tam, w tym rozgardiaszu z powodu Fortu Sumtera, zapomnisz o Ashleyu w tydzień.

„Uważa mnie za dziecko - pomyślała Scarlett, z żalu i wściekłości nie mogąc wydobyć z siebie słowa - myśli, że jak mi pokaże nową zabawkę, od razu zapomnę o swoich guzach”.

- No, no, tylko się nie marszcz tak na mnie - ostrzegł ją Gerald. - Gdybyś miała szczyptę rozumu, wyszłabyś już dawno za Stuarta albo Brenta Tarletona. Zastanów się nad tym, córeczko. Wyjdź za jednego z bliźniaków. Plantacje nasze połączą się wtedy, a Jim Tarleton i ja wybudujemy wam piękny dom, właśnie na samej granicy, w tym lasku sosnowym, i...

- Przestań mnie traktować jak dziecko! - zawołała Scarlett. - Nie chcę jechać do

Charlestonu ani mieć domu, ani wyjść za żadnego z bliźniaków. Chcę tylko... - Przerwała, ale już za późno.

Głos Geralda brzmiał dziwnie spokojnie. Mówił wolno, jak gdy by wydobywając słowa z rzadka używanego zapasu myśli:

- Chcesz tylko Ashleya i nie będziesz go nigdy miała. A gdyby nawet Ashley chciał się z tobą ożenić, niechętnie bym się na to zgodził, mimo wielkiej przyjaźni, jaka mnie łączy z Janem Wilkesem. - Widząc zaś jej zdumione spojrzenie, ciągnął dalej; - Chcę, aby moja córka była szczęśliwa, a z nim szczęśliwa nie byłabyś nigdy.

- Ach, byłabym, była!

- Pewien jestem, że nie, córeczko. Małżeństwo jest tylko wtedy szczęśliwe, kiedy łączą się ze sobą ludzie podobni.

Scarlett miała zdradziecką ochotę wykrzyknąć: - Ale wy jesteście przecież szczęśliwi z mamusią, a wcale nie jesteście do siebie podobni! - Powstrzymała się w obawie, że ojciec skórę jej wygarbuje za taką zuchwałość.

- My różnimy się bardzo od Wilkesów - ciągnął wolno dalej, szukając słów. - Wilkesowie różnią się od wszystkich naszych sąsiadów... ba, od wszystkich rodzin, jakie kiedykolwiek w życiu znałem. To są dziwni ludzie, najlepiej więc, aby pobierali się między sobą w rodzinie i dziwactwa swoje zachowywali dla siebie.

- Ależ papo, Ashley nie jest...

- Zamilcz, malutka! Nic nie mam przeciw temu chłopcu, bo lubię go bardzo. A kiedy mówię „dziwny”, nie myślę „postrzelony”. Ashley nie tak jest dziwny jak Calvertowie, którzy cały majątek potrafią postawić na konia, czy Tarletonowie, w których każdym pokoleniu zdarza się nałogowy pijak, czy Fontaine’owie, porywcze i brutalne chłopaki, skore do mordowania ludzi pod byle pozorem. Ten rodzaj dziwactwa jest łatwo zrozumiały, to pewne, i z łaski Pana Boga Gerald O’Hara tylko przypadkiem tych wad nie posiada! Nie zdaje mi się także, aby Ashley miał kiedyś uciec od żony z inną kobietą czy bić swoją żonę. Byłabyś szczęśliwsza, gdyby to robił, bo to jest przynajmniej zrozumiałe. Ale on jest dziwny pod innymi względami i zrozumieć go w ogóle nie można. Lubię go, ale według mnie większa część tego, co mówi, nie ma żadnego sensu. Powiedz mi szczerze, malutka, czy ty rozumiesz tę jego gadaninę o książkach i poezji, muzyce, obrazach olejnych i takich tam głupstwach?

- Ach, tatusiu - zawołała Scarlett niecierpliwie - gdybym wyszła za niego, zmieniłabym w nim to wszystko!

- Ach tak, tak ci się wydaje? - rzekł Gerald złośliwie, rzucając jej ostre spojrzenie. - To tylko dowodzi, jak mało wiesz o mężczyznach w ogóle, nie mówiąc już o Ashleyu. Żadna



żona w świecie nie potrafi zmienić męża na jotę, pamiętaj o tym. Cóż dopiero mówić o zmianie upodobań jednego z Wilkesów! Cała ich rodzina już taka jest i zawsze wszyscy byli tacy sami. I pewnie zawsze tacy będą. Powiadam ci: oni rodzą się dziwakami. Weźmy chociażby to ich jeżdżenie do Nowego Jorku lub Bostonu na opery czy wystawy obrazów! Albo to sprowadzanie całymi skrzyniami francuskich czy tam niemieckich książek od Jankesów! No i siedzą u siebie, czytając i marząc Bóg wie o czym, zamiast czas spędzać na polowaniu czy kartach, jak inni, prawdziwi mężczyźni!

- Nikt w całym powiecie lepiej nie jeździ konno niż Ashley - rzekła Scarlett, wściekła, że ktoś Ashleyowi zarzuca zniewieściałość - nikt, z jednym może wyjątkiem jego ojca. A jeżeli chodzi o pokera, to któż jak nie Ashley wygrał od ciebie w Jonesboro dwieście dolarów w zeszłym tygodniu?

- Młodzi Calvertowie, jak widzę, naplotkowali ci znowu - rzekł Gerald z rezygnacją - inaczej nie mogłabyś wiedzieć, ile przegrałem. Ashley jeździ konno najlepiej i gra w pokera z najlepszymi graczami, i nawet ze mną, malutka! Nie przeczę także, że kiedy zasiądziesz do wypitki, może spoić nawet Tarletonów. Robi te wszystkie rzeczy, ale robi je bez serca. Dlatego twierdę, że jest dziwakiem.

Scarlett umilkła i serce jej zmartwiało. Nie mogła ojcu nic odpowiedzieć, bo czuła, że ma rację. Ashley tych wszystkich rzeczy, które tak świetnie potrafił, nie robił z przejęciem. Zdradzał mierne zainteresowanie dla spraw, które innych zajmowały najżywiej.

Tłumacząc sobie milczenie Scarlett w sposób właściwy, Gerald poklepał ją po ramieniu i rzekł z tryumfem: - No widzisz, Scarlett! Przyznajesz, że mam rację. Cóż byś ty poczęła z takim mężem jak Ashley? To jacyś pomyleni ludzie, ci wszyscy Wilkesowie. - Po chwili zaś dodał łagodząco: - Jeżeli wspomniałem przed chwilą młodych Tarletonów, to wcale nie znaczy, abym ich popierał. To porządni chłopcy, ale jeżeli upatrzyłaś sobie Cade'a Calverta na przykład, to rozumie się, że także nic nie będę miał przeciw temu. Calvertowie to przyzwoici ludzie, mimo że stary ożenił się z Jankeską. A kiedy mnie już nie będzie... Słuchaj, słuchaj mnie, kochanie! Zostawię Tarę tobie i Cade'owi.

- Nie chcę Cade'a, choćby był ze złota! - wykrzyknęła Scarlett z pasją. - I bardzo bym prosiła, abys raz na zawsze przestał mi go swatać! Nie chcę Tary ani żadnej innej plantacji. Plantacje nic nie są warte, jeżeli...

Chciała powiedzieć „jeżeli nie ma się mężczyzny, którego się kocha”, ale Gerald rozłoszczony nonszalancją, z jaką potraktowała jego dar - Tarę, którą poza Ellen kochał najbardziej w świecie, ryknął groźnie.

- A więc ty, Scarlett O'Hara, ośmielasz się mnie powiedzieć, że Tara, ta nasza ziemia,

nic nie jest warta?

Scarlett uparcie kiwała głową. Serce zanadto ją bolało, aby mogła się przejmować takim czy innym humorem ojca.

- Ziemia jest jedyną rzeczą w świecie, która jest coś warta - krzyczał Gerald wykonując krótkimi rękami gest oburzenia - bo to jest jedyna trwała rzecz w świecie! O tym nie zapominaj! To jedyna rzecz, dla której warto pracować, warto walczyć i warto umierać.

- Ach, papo - odrzekła wzgardliwie - mówisz jak typowy Irlandczyk!

- A czy ja się kiedykolwiek wypieram tego, że nim jestem? Przeciwnie, dumny jestem z tego. I proszę cię, nie zapominaj nigdy, córeczko, że i ty jesteś pół-Irlandką. A dla każdego, kto ma choćby kroplę krwi irlandzkiej w żyłach, ziemia, na której mieszka, jest jak matka. W tej chwili wstydzę się za ciebie. Ofiarowuję ci najpiękniejszą ziemię w świecie - poza hrabstwem Meath w mojej ojczyźnie - a ty co robisz? Kręcisz nosem!

Gerald zaczął już sam siebie podzegać do stanu przyjemnej pasji, kiedy powstrzymało go nagłe spojrzenie na zbolaną twarz Scarlett.

- Ale to prawda, że jesteś jeszcze młoda. Przyjdzie i na ciebie ta miłość, ziemi - nie można od niej uciec, jeśli się pochodzi z Irlandii. Na razie jesteś dzieckiem, strapionym teraz z powodu chłopca. Kiedy dorośniesz, zrozumiesz, co to znaczy... Mówię ci, Scarlett, zdecyduj się na Cade'a, na jednego z bliźniaków albo na któregoś z młodych byczków Evana Munroe, a zobaczysz, jak pięknie cię urządzi!

- Och, tatusiu!

Gerald jednak był już zupełnie wyczerpany rozmową i zły, że na jego ramiona spadł taki problem. Rozżalony był także, że Scarlett miała zrozpaczoną minę, mimo że ofiarował jej do wyboru najlepszych chłopców okolicy i Tarę na dokładkę. Gerald lubił, aby prezenty jego przyjmowano klaskaniem w dłonie i całusami.

- A teraz dość już dąsów, panienko. Nie jest ważne, kto będzie twoim mężem, byleby to był dżentelmen, południowiec i człowiek dumny. Dla kobiety miłość zaczyna się po ślubie.

- Ach, tatusiu, to taki staroświecki pogląd! Tak typowo irlandzki!

- Ale mimo to słuszny! Cóż mi tam po tych amerykańskich zwyczajach pobierania się koniecznie z miłości - jak służba, jak Jankesi! Najlepsze małżeństwo jest wtedy, gdy rodzice wybierają męża dla córki. Bo powiedz sama, czy taka gąska jak ty może odróżnić przyzwoitego człowieka od łotra? Przypatrz się tylko Wilkesom. Dzięki czemu od wielu pokoleń są silni i dumni? No, pobierają się z ludźmi podobnymi do siebie, bo pobierają się z kuzynami czy kuzynkami, których im wybierają rodzice.

- Och! - zawołała Scarlett, którą znowu targnęła ból, bo słowa ojca uświadomiły jej na

nowo nieodwołalną prawdę. Gerald patrzył na jej pochyloną głowę i niepewnie przestępował z nogi na nogę.

- Nie masz chyba zamiaru płakać? - zapytał pełen już teraz współczucia, niezgrabnie biorąc ją za podbródek i starając się podnieść jej twarz.

- Nie! - zawołała gwałtownie, wyrywając mu się.

- Zdaje mi się, że kłamiesz, ale dumny jestem z tego. Cieszę się, że masz dumę, malutka. I chcę, abyś tę dumę okazała jutro na zabawie. Nie życzę sobie, aby cała okolica plotkowała i śmiała się z ciebie, że wypłakujesz sobie serce za człowiekiem, który nic do ciebie nie czuł poza przyjaźnią.

„A właśnie że czuł - pomyślała Scarlett ze smutkiem. - Och, i jak czuł! Wiem o tym. Mogłabym przysiąc. Gdyby się tylko była nadarzyła okazja, pewna jestem, że powiedziałby mi o tym. Och, gdyby ci Wilkesowie nie musieli się koniecznie żenić ze swymi kuzynkami!”

Gerald wziął jej ramię i wsunął pod swoje.

- A teraz pójdziemy na kolację i wszystko zostanie między nami. Nie chcę tym wszystkim martwić mamusi, i ty także nic jej nie mów. Wytrzymaj sobie nos, córeczko.

Scarlett wytarła nos w swoją podartą chustkę i ramię w ramię z ojcem poszła przez ciemną aleję wjazdową, za nimi zaś wolno szedł koń. W bliskości domu Scarlett znowu chciała coś powiedzieć, ale w gęstym cieniu ganku zobaczyła matkę. Ellen miała na sobie czepek, szal i mitenki, za nią zaś stała Mammy o twarzy jak chmura gradowa i trzymała w ręku czarną skórzaną torbę, w której Ellen przechowywała bandażę i lekarstwa. Mammy miała wielkie usta o obwisłych wargach, a w chwilach oburzenia dolna jej warga wydłużała się jeszcze dwukrotnie. I teraz była wydłużona, więc Scarlett wiedziała, że Mammy pieni się, bo prawdopodobnie coś się dzieje nie po jej myśli.

- Panie O'Hara! - zawołała Ellen widząc męża swego i Scarlett.

Ellen należała do pokolenia kobiet, które mówiły do męża oficjalnie po siedemnastu latach małżeństwa i urodzeniu sześciorga dzieci. - Panie O'Hara, u Slatterych znowu ktoś chory. Dziecko Emray już się urodziło, umiera podobno i musi zostać ochrzczone. Idę tam z Mammy zobaczyć, co można zrobić.

Głos jej brzmiał pytająco, jak, gdyby zależało jej na zgodzie Geralda - co było formalnością bardzo jego sercu drogą.

- Na miłość boską! - zagrział Gerald. - Czemuż to ta „biała nędza” zajmuje ci czas akurat w porze kolacji i wtedy w dodatku, gdy chciałem ci opowiedzieć, co mówią w Atlancie o wojnie! Ale idź, pani O'Hara. Nie mogłabyś spać spokojnie, gdybyś wiedziała, że coś gdzieś stało bez twojej pomocy.

- Nie może spać spokojnie, bo lata po nocach, dogląda chorych Murzynów i „białą nędzę”, która sama sobie nie może dać rady - zamruczała Mammy półgłosem, kiedy po schodach szła do czekającego przed bramą powozu.

- Zajmij moje miejsce przy stole, kochanie - rzekła Ellen głaszcząc dłonią w mitence policzek Scarlett.

Mimo nie przelanych, palących łez, Scarlett drgnęła czując dotknięcie matki, czując zapach werbeny, który unosił się z jej szeleszczącej jedwabnej sukni. Dla Scarlett Ellen była cudownym zjawiskiem, które mimo swojej stałej obecności napawało ją nieustannym zachwytem, czcią, spokojem.

Gerald pomógł żonie wsiąść do powozu i nakazał woźnicy jechać bardzo ostrożnie. Tobiasz, który od dwudziestu lat miał pieczę nad końmi Geralda, wyduł wargi w niemym oburzeniu, że mu się zwraca uwagę, jak ma powozić. On i siedząca obok niego Mammy stanowili żywy symbol murzyńskiego oburzenia.

- Gdybym nie robił dla Slatterych darmo tego, za co gdzie indziej musieliby płacić - gniewał się Gerald - zgodziliby się na sprzedanie tych nędznych, bagnistych kilku akrów i okolica pozabyłaby się raz na zawsze tej „białej nędzy”.

Potem rozjaśnił się, ciesząc się z góry na nowy figiel, który sobie obmyślił.

- Chodź, córeczko, powiem Porkowi, że zamiast kupić Dilcey, jego sprzedałem Janowi Wilkesowi.

Rzucił uzdę swego konia Murzynkowi stojącemu nie opodal i wszedł po schodach do domu. Zapomniał już zupełnie o złamanym sercu Scarlett i zajęty był wyłącznie myślą o nastraszeniu lokaja. Scarlett szła za nim wolno, a nogi ciążyły jej jak ołowiane. Myślała o tym, że związek jej z Ashleyem nie byłby dziwniejszy od małżeństwa jej ojca z Ellen Robilard. Jak zwykle, tak i teraz zastanawiała się nad tym, jakim sposobem jej hałaśliwy, niesubtelny ojciec zdołał ożenić się z kobietą taką jak jej matka, niełatwo bowiem było znaleźć dwoje ludzi bardziej różnych pod względem urodzenia, wychowania i całego sposobu myślenia.

### ROZDZIAŁ III

Ellen O'Hara miała trzydzieści dwa lata i zgodnie z pojęciami swojego czasu uważana była za kobietę w średnim wieku. Urodziła sześcioro dzieci i pochowała troje. Była wysokiego wzrostu, o głowę wyższa od zwawego, niskiego małżonka, ale poruszała się z tak spokojnym wdziękiem, krynolina opływała jej kształty tak harmonijnie, że wzrost jej nie zwracał uwagi. Szyja jej, wychylająca się z pancerza czarnego taftowego stanika, była okrągła, szczupła, jasna i wydawała się zawsze przechylona lekko ku tyłowi pod ciężarem wspaniałych, upiętych w duży węzeł włosów. Po matce swojej, Francuzce, której rodzice uciekli z Haiti w czasie rewolucji 1791 r., Ellen odziedziczyła czarne włosy i skośne ciemne oczy, ocienione czarnymi rzęsami, po ojcu, żołnierzu napoleońskim, miała długi prosty nos i ścięty podbródek, którego linię łagodził miękki owal policzków. Przeżycia wypisały na twarzy tej dumę, w której nie było pychy, wdzięk, melancholię i zupełny brak humoru.

Ellen byłaby kobietą uderzająco piękną, gdyby oczy jej miały blask, uśmiech - ciepło, a głos - łagodną melodią brzmiący w uszach rodziny i służby - więcej ożywienia. Mówiła akcentem mieszkańców wybrzeża Georgii, zamazując samogłoski, podkreślając spółgłoski i tracąc lekkim nalotem francuszczyzny. Głos jej nigdy nie podnosił się w rozkazie dla służby czy w naganie dla dziecka, ale wszyscy w Tarze byli mu natychmiast posłuszni, a na hałasy i ryki Geralda nie zwracali żadnej uwagi. Jak daleko sięgała pamięć Scarlett, matka jej była zawsze jednakowa, chwając czy ganiąc mówiła łagodnie i cicho, wyglądała poprawnie, mimo codziennych niespodzianek w burzliwym domu Geralda była zawsze spokojna i nieugięta - nawet podczas śmiertelnej choroby trzech malutkich synków. Scarlett nigdy nie widziała matki opierającej się o poręcz krzesła, na którym siadła. Nigdy też nie widziała Ellen siedzącej bez robótki w ręku, jedynie podczas posiłków, odwiedzania chorych lub przy prowadzeniu buchalterii plantacji. Robótką w obecności osób trzecich były delikatne hafty - częściej jednak zniszczone koszule Geralda, sukienki córek czy ubrania dla niewolników. Scarlett nie mogła sobie wyobrazić rąk matki bez złotego napastrka ani szeleszczącej sukniami jej postaci bez eskorty małej dziewczynki murzyńskiej, której jedyną funkcją życiową było wyciąganie fastrygi i noszenie skrzyneczki z przyborami do szycia z pokoju do pokoju, podczas gdy Ellen kręciła się po domu doglądając gotowania, sprzątanania i szycia ubrań dla niewolników.

Scarlett nigdy nie widziała, aby matka jej była wytracona z równowagi i aby ubrana była niedokładnie - niezależnie od pory dnia. Kiedy Ellen ubierała się na bal czy na przyjęcie

gości lub nawet na dzień sesji sądowej w Jonesboro, trwało to dwie godziny oraz wymagało pomocy dwóch pokojowych i Mammy, zanim była całkowicie z siebie zadowolona. W nagłych jednak okazjach potrafiła się ubrać sama z niesłychaną szybkością.

Scarlett, która zajmowała pokój naprzeciw pokoju matki, od dzieciństwa znała cichy pośpieszny tupot bosych stóp po drewnianej podłodze, nagłące stukanie o świece do drzwi sypialni i przyciszone, przerażone głosy, które szeptały o chorobach, narodzinach i śmierci w jednej ze stojących długim szeregiem chat murzyńskich. Jako dziecko często skradała się do swoich drzwi i podglądając przez szparkę widziała Ellen wynurzającą się z ciemnego pokoju, w którym chrapanie Geralda brzmiało rytmicznie, w smugę migotliwego blasku trzymanej wysoko świecy - Ellen niosącą apteczkę pod pachą, mającą przygładzone włosy i dokładnie na wszystkie guziki zapięty stanik.

Zawsze też czuła ukojenie, gdy słyszała stanowczy choć współczujący szept matki, na palcach idącej korytarzem: - Cicho, uspokójcie się. Obudzicie pana O'Hare. Nie obawiajcie się, choroba nie jest śmiertelna.

Tak, dobrze było zakopać się znowu pod kołdrę wiedząc, że choć Ellen wyszła na noc, wszystko jest w najlepszym porządku.

Rankiem, po całonocnym czuwaniu przy porodach i śmierci, do których ani stary doktor Fontaine, ani młody doktor Fontaine nie mogli na czas przyjechać, Ellen jak zwykle prezydowała przy śniadaniu i tylko jej podkrążone oczy mówiły o umęczeniu, ale głos i zachowanie wcale nie świadczyły o przebyтым trudzie. Pod dumną łagodnością kryła się stalowa wytrwałość, która wciąż napełniała Geralda, dziewczynki i wszystkich domowników, jakkolwiek Gerald wolałby raczej umrzeć, niż przyznać się do tego.

Czasem, kiedy Scarlett na palcach podchodziła wieczorem do matki, aby ucałować ją na dobranoc w policzek, przyglądała się ustom Ellen - wrażliwym ustom o zbyt krótkiej, zbyt delikatnej górnej wardze, i zastanawiała się, czy kiedykolwiek rozchyłały się one w głupiutkim, dziewczęcym chichocie, czy szeptały podczas długich wieczorów sekrety do uszu serdecznych przyjaciółek. Ale nie, to chyba było niemożliwe. Matka zawsze musiała być taka sama, zawsze była źródłem siły, kolumną mądrości, jedyną na świecie osobą, która miała odpowiedź na wszystko.

Scarlett jednak myliła się bardzo, bo przed laty Ellen Robillard z Savannah tak samo chichotała bez powodu jak każda inna piętnastolatka w tym uroczym mieście nadbrzeżnym i całymi wieczorami szeptała w kąciu z przyjaciółkami, wymieniając zwierzenia, mówiąc o wszystkich swoich tajemnicach - z wyjątkiem jednej. Działo się to w roku, gdy o dwadzieścia osiem lat starszy od niej Gerald O'Hara zjawił się w jej życiu - w tym samym roku, kiedy

młodość jednocześnie z czarnookim kuzynem Filipem Robillardem opuściła życie Ellen na zawsze. Bo kiedy kuzyn Filip o gorących oczach i niespokojnym charakterze wyjechał z Savannah, zabrał ze sobą wszystek żar serca Ellen, zostawiając dla niepozornego Irlandczyka tylko wystygłą skorupę.

To jednak wystarczyło Geraldowi, obezwładnionemu ze szczęścia, że mógł się w ogóle z Ellen ożenić. Nie zauważył też nigdy, że coś od niej odeszło na zawsze. Jako człowiek rozsądny dobrze wiedział, że cudem nieledwie było, iż on, Irlandczyk z niebogatej, nikomu nie znanej rodziny, pozyskał sobie córkę jednego z najbogatszych i najdumniejszych rodów wybrzeża. Gerald bowiem był człowiekiem, który wybił się własnymi siłami.

Przybył do Ameryki z Irlandii mając lat dwadzieścia jeden.

Przeprawił się przez ocean pośpiesznie, jak przedtem i potem wielu lepszych i gorszych od niego Irlandczyków, mając jedno ubranie na grzbiecie, dwa szylingi w kieszeni i wyznaczoną na swoją głowę cenę, która zdaniem jego była niewspółmierna z jego występkiem. Na tym ziemskim padole nie było bowiem takiego Orańczyka, który byłby wart stu funtów dla rządu angielskiego czy dla samego diabła: jeżeli jednak rząd tak się przejął zabójstwem rządcy wiecznie nieobecnego lorda, był to znak, że Gerald O'Hara musi wiać i to jak najprędzej. Nazwał wprawdzie rządcę „bękartem orańskim”, to jednak zdaniem Geralda wcale rządcy nie uprawniało do obrażenia go gwizdaniem w jego obecności pierwszych taktów „Nad wodami Boyne”.

Bitwa nad Boyne odbyła się co prawda przed stu laty, ale O'Harom i ich sąsiadom wydawało się, że to zaledwie wczoraj wszystkie ich nadzieje i marzenia, bogactwa i ziemie znikły w tumanie kurzu, który pokrył ucieczkę przerażonego Stuarta, gdy Wilhelm Orański i jego zniechęcone wojska w pomarańczowych kokardach dziesiątkowały irlandzkich stronników Stuarta.

Z tych i innych względów rodzina Geralda była skłonna uważać fatalne zakończenie jego sprzeczki za poważne tylko dlatego, że pociągnęło za sobą poważne konsekwencje. Już bowiem od lat żandarmeria angielska krzywo patrzyła na O'Harów, podejrzewając ich o działania przeciw rządowe, i Gerald nie był pierwszym z rodziny, który musiał wziąć nogi za pas i pożegnać Irlandię pod osłoną nocy. Dwóch swoich najstarszych braci, Jakuba i Andrzeja, ledwie pamiętał; wiedział tyle tylko, że byli to młodzieńcy o wąskich wargach, którzy przychodzili i wychodzili w rozmaitych porach nocy w tajemniczych sprawach lub też ku rozpaczyci matki znikali na całe tygodnie. Oni to przed wielu laty uciekli do Ameryki, kiedy wykryto mały arsenał karabinów, zakopanych pod chlewem O'Harów. Teraz byli zamożnymi kupcami w Savannah, „choć Bóg jeden wie, gdzie jest to miasto”, jak wtrącała matka, ilekroć

wspominała najstarszych synów, i właśnie do nich wysłano młodego Geralda.

Opuścił więc dom rodzinny, opatrzony spiesznym pocałunkiem matki i jej gorącym, wyszeptanym mu w ucho katolickim błogosławieństwem oraz napomnieniem ojca: „Pamiętaj, kim jesteś, i nigdy cudzego nie tykaj”. Pięciu jego roślących braci pożegnało go pełnym podziwu i lekkiego niedowierzania uśmiechem, ponieważ Gerald był najmłodszym i najmniejszym z całej rodziny.

Wszyscy jego bracia i ojciec mierzyli przeszło sześć stóp wzrostu, ale mały Gerald mając lat dwadzieścia jeden rozumiał, że pięć stóp i cztery cale - to wszystko, czego może oczekiwać od Wszchemogącego Boga. Gerald nigdy nie rozpacział z racji swojej niskiej postury; nigdy też nie uważał jej za przeszkodę w zdobyciu tego, czego pragnął. Przeciwnie - ta jego krzepka małość uczyniła go tym, czym się stał, ponieważ dość wcześnie zrozumiał, że ludzie małego wzrostu muszą być silni, aby móc wyżyć wśród wysokich. Gerald był bardzo mocny.

Bracia jego byli ponurymi, spokojnymi ludźmi, w których rodzinna tradycja dawnej, straconej na zawsze chwały jątrzyła się tłumioną nienawiścią i wytryskiwała zgryźliwością. Gdyby Gerald był do nich podobny, obrałby sobie zwykłą drogę O'Harów i krążyłby spokojnie i posepnie między buntownikami. Gerald jednak był „głośny i natarczywy”, jak z miłością powtarzała matka, zapalczywy i skory do wybitki. Przechadzał się między roślącymi O'Harami jak napuszony karłowaty kogut między olbrzymimi kochinchinami, oni zaś kochali go, drażnili, aby śmiać się z jego pasji, poszturchiwali olbrzymimi pięściami tyle ile trzeba, aby brata beniaminka osadzić na właściwym miejscu.

Gerald wcale nie zdawał sobie sprawy z tego, że do Ameryki jedzie z bardzo skąpym bagażem wykształcenia. Nie przejąłby się zresztą zbyt, gdyby mu to ktoś powiedział. Matka nauczyła go czytać i ładnie pisać. Był dobry w rachunkach. Na tym też kończyła się jego wiedza. Po łacinie umiał tylko odpowiadać do mszy, z historii pamiętał różnorakie krzywdy Irlandii. Nie znał innej poezji prócz Moore'a i innej muzyki prócz odwiecznych pieśni irlandzkich. Mimo że darzył żywym szacunkiem tych wszystkich, którzy mieli więcej wykształcenia od niego, nie bolał nad swoimi brakami. I cóż by mu zresztą przyszło z wykształcenia w nowym kraju, gdzie najciemniejsi ignoranci irlandzcy porobili wielkie fortuny? W tym kraju, który od człowieka wymagał tylko siły i pracowitości?

Bracia jego, Jakub i Andrzej, w których składzie zaczął pracować w Savannah, także nie martwili się jego nieuctwem. Czytelne pismo Geralda, dokładność w rachunkach i umiejętnie targowanie się pozyskały mu ich szacunek, podczas gdy znajomość literatury i muzykalność wywołałyby tylko uśmiechy lekceważenia. Ameryka w początkach stulecia



dawała Irlandczykom duże możliwości. Jakub i Andrzej, którzy zaczęli swoją karierę od przewożenia towarów wozami z Savannah do miast środkowej Georgii, dorobili się własnego składu, Gerald więc dorabiał się razem z nimi.

Polubił Południe i stał się wkrótce, we własnym przekonaniu, południowcem. Wiele było cech Południa - i południowców - których nigdy nie umiał zrozumieć, ale z właściwym sobie zapalem przejął sposób myślenia i zwyczaje, które rozumiał - pasję do pokera i wyścigów, manię politykowania, kodeks honorowy, prawa Stanów i nienawiść do Jankesów, niewolnictwo i kult bawełny, pogardę dla „białej nędzy” i przesadną kurtuazję dla dam. Nauczył się nawet żuć tytoń. Do picia whisky nie potrzebował się zaprawiać, urodził się z mocną głową.

W gruncie rzeczy jednak nie zmienił się wcale. Zmieniły się jego poglądy i rodzaj życia, ale manier swoich nie byłby zmienił, choćby mógł to zrobić. Podziwiał niedbałą elegancję bogatych plantatorów bawełny i ryżu, którzy na rasowych koniach wjeżdżali do Savannah, poprzedzając karety pełne niemniej eleganckich pań i wozy pełne niewolników. Gerald nigdy nie mógł stać się eleganckim. Niewyraźne leniwe głosy mężczyzn przyjemnie głaskały mu uszy, ale mimo to nie pozbył się nigdy swego twardego irlandzkiego akcentu. Podobał mu się obojętny wdzięk, z jakim ludzie Południa załatwiali ważne sprawy, stawiając fortunę, plantację czy niewolnika na jedną kartę i pokrywając przegraną z beztróskim humorem i takim samym gestem, jakim rzucali groszaki murzyńskim dzieciom. Gerald jednak zaznał biedy i nie umiał tracić pieniędzy wesoło i lekko. Ci Georgijczycy z wybrzeża, ze swymi nagłymi wybuchami gniewu i pełną wdzięku nieodpowiedzialnością, byli czarującymi ludźmi, więc Gerald bardzo ich polubił. W nim jednak, młodym Irlandczyku, świeżo przybyłym z kraju, gdzie wiały wilgotne i przejmujące wiatry, gdzie opary znad moczarów nie niosły choroby, tkwiła niespokojna żywotność, która odróżniała go od leniwych arystokratów kraju półtropikalnej pogody i malarycznych bagien.

Nauczył się od nich tego, co mu było potrzebne, resztę zaś odrzucił. Uznał, że poker jest najpożyteczniejszym obyczajem Południa - poker i dobra głowa. I właśnie wrodzona zdolność do kart i wytrzymałość na trunki przyniosły Geraldowi dwie z trzech jego najcenniejszych zdobyczy, to jest służącego i plantację. Trzecią była jego żona, ale zdobycie jej przypisywał wyłącznie niezbadanej dobroci Pana Boga.

Służący, imieniem Pork, smoliście czarny, pełen godności i biegły w tajnikach męskiej elegancji, był rezultatem całonocnej partii pokera z plantatorem z Wyspy Św. Szymona, który odwagą w bluffowaniu nie ustępował Geraldowi, natomiast nie dorównywał mu w wytrzymałości na nowoorleański rum. Mimo, że poprzedni właściciel Porka

ofiarowywał za niego później podwójną cenę, Gerald uparcie odmawiał odstąpienia służącego, ponieważ posiadanie pierwszego niewolnika i w dodatku „najlepszego z lokajów na całym wybrzeżu” było pierwszym krokiem w kierunku spełnienia jego najgorętszych życzeń. Gerald chciał stać się właścicielem niewolników i obszarnikiem.

Postanowił już sobie, że nie spędzi reszty swoich dni wzorem Jakuba czy Andrzeja na targowaniu się w składzie, a wieczorów na sumowaniu długich kolumn cyfr przy świeczce. W przeciwieństwie do braci żywo odczuwał niższość towarzyską ludzi „handlujących”. Gerald pragnął być plantatorem. Nienasycony głód Irlandczyka, który był tylko dzierżawcą gruntów, niegdyś należących do jego praojców, gnał go do zdobycia zielonych akrów własnej ziemi. Jedynym jego wyraźnie wytkniętym celem było posiadanie własnego domu, własnej plantacji, własnych koni, własnych niewolników. Tutaj, w nowym kraju, wolnym od niebezpieczeństw ojczyzny, którą opuścił - podatków zjadających zbiory i wiecznie żywej obawy nagłej konfiskaty - zamierzał wszystko to zdobyć. Z biegiem czasu przekonał się jednak, że dążenie do czegoś i realizacja dążenia - to dwie odmienne rzeczy. Stara arystokracja zbyt mocno rozsiadła się w nadbrzeżnej Georgii, aby Gerald mógł tam kiedykolwiek zdobyć miejsce, jakiego pragnął.

Aż wreszcie ręka Opatrzności i dobra karta w pokerze złożyły się na to, by dać mu plantację, którą później nazwał Tarą, i przenieść go z wybrzeża w wyżynny kraj północnej Georgii.

Pewnej gorącej wiosennej nocy w szynku w Savannah przypadkowo zasłyszane opowiadanie nieznajomego wzbudziło zainteresowanie Geralda. Nieznajomy, który pochodził z Savannah, właśnie wrócił tam po spędzeniu dwunastu lat w głębi kraju. Był jednym z ludzi, którzy wygrali ziemię na loterii urządzonej przez państwo na rok przed wyjazdem Geralda do Ameryki w celu rozdziału wielkich terytoriów, ustąpionych przez Indian. Przeniósł się więc tam i założył plantację. Teraz jednak, kiedy dom mu się spalił, znudziło mu się „to przekłete miejsce” i chętnie by go się pozbył.

Gerald, którego nigdy nie opuszczało marzenie o posiadaniu plantacji, przedstawił się nieznajomemu. Zainteresowanie jego wzrosło jeszcze, kiedy nowo przybyły zaczął opowiadać, jak to północ Georgii zapełnia się przybyszami z obydwu Karolin i Wirginii. Gerald dość już długo mieszkał w Savannah, aby przejąć się poglądem mieszkańców wybrzeża, że cała reszta stanu to puszczyna, w której gąszczu czają się Indianie. W interesach „Braci O’Hara” Gerald odwiedził Augustę, miasto leżące nad rzeką Savannah w odległości jakichś stu mil od brzegu, i zapuścił się w głąb kraju o tyle, że mógł zwiedzić stare miasta na zachód od Augusty. Wiedział, że ta część stanu jest równie gęsto zaludniona jak wybrzeże.

Jednak z opisu nieznanego wynikało, że plantacja jego leży z górą dwieście pięćdziesiąt mil na północo-zachód od Savannah i niewiele mil na południe od rzeki Chattahoochee. Gerald sądził, że na północ od owej rzeki kraj należy jeszcze do Czerokozów, ze zdumieniem więc stwierdził, że nieznanomy śmieje się z jego pytania, czy Indianie nie napadają tam na białych, opowiada natomiast, jak się w tej okolicy rozbudowują kwitnące miasta i rozwijają plantacje.

Nieco później, gdy rozmowa przestała się kleić, z chytryścią, którą tuszował niewinny blask jego jasnoniebieskich oczu, Gerald zaproponował partię pokera. Po kilku godzinach, gdy trunki zaczęły częściej krążyć, nadeszła taka chwila, że pozostali partnerzy odrzucili karty, a rozgrywka odbywała się między Geraldem a nieznanym. Obcy postawił wszystkie swoje sztony, potem akt własności plantacji, Gerald - wszystkie swoje i całą zawartość portfela. Mimo że pieniądze należały do firmy „Bracia O’Hara”, Gerald nie czuł wyrzutów sumienia, z których by uważał się za stosowne wypowiadać. Wiedział dobrze, czego chce, a kiedy czegoś chciał, zmierzał ku temu w sposób najprostszy. Ponadto zaś tak bardzo ufał swemu szczęściu i czterem asom, że nie zastanawiał się wcale, w jaki sposób spłaci przegraną, gdyby karta jego przeciwnika okazała się mocniejsza.

- Nie wydaje mi się, żeby pan dobrze na tym wyszedł, ja natomiast bardzo się cieszę, że wreszcie nie będę musiał płacić podatków - westchnął właściciel fulla asowego wołając o atrament i pióro. - Dom mieszkalny spalił się rok temu, a pola zarastają chwastami i karłowatą sosną. Ale co pańskie, to pańskie.

- Nie mieszaj nigdy kart i whisky, chyba że już matka karmiła cię irlandzką gorzałką - oświadczył poważnie tej samej nocy Gerald Porkowi, gdy Murzyn pomagał mu się rozbierać. Służący zaś, który z podziwu dla swego pana starał się mówić irlandzkim akcentem, odpowiedział coś mieszaniną gwary murzyńskiej i irlandzkiej, niezrozumiałą dla nikogo z wyjątkiem ich dwóch.

Mulista rzeka Flint, tocząc się cicho między murem sosen i wierzb obrosłych bluszczem, otaczała nową ziemię Geralda niczym zgięte ramię i obejmowała ją z dwóch stron. Geraldowi, stojącemu na małym pagórku, gdzie dawniej był dom, ta wysoka bariera zieleni wydawała się tak widoczną i pochlebną oznaką posiadania, jak gdyby był to żywopłot posadzony jego ręką. Stał na poczeriałych fundamentach spalonego budynku, patrzył na długą aleję drzew, prowadzącą do szosy, i kłął siarczyście, zbyt uradowany, aby składać modły dziękczynne. Jego własnością były bliźniacze rzędy ciemnych drzew, jego własnością pełen chwastów zapuszczony trawnik pod obsypanymi białym kwieciami drzewkami magnolii. Nie uprawiane pola, zarosłe krzewami i karłowatą sosną, które rozciągały swą

czerwoną powierzchnię daleko w cztery strony świata, należały do Geralda O'Hary - były jego własne, bo miał twardą, irlandzką głowę na karku i odwagę postawienia wszystkiego na jedną kartę.

Gerald przymknął oczy i w ciszy leżących odłogiem pól poczuł, że znalazł wreszcie spokojną przystań. Tutaj, pod jego stopami, wyrośnie dom z pobielonej cegły. Po drugiej stronie drogi staną nowe płoty, odgradzające pastwiska dla bydła i rasowych koni, a czerwone zbocza pagórków łagodnie spadające ku rzece będą lśniły w słońcu białością edredonu - porośnie je bawełna, całe mile bawełny! Fortuna O'Harów odrodzi się na nowo. Ze swego małego kapitału, z tego, co pożyczył od nie dzielających jego entuzjazmu braci, i z okrągłej sumki, którą wziął na hipotekę ziemi, Gerald kupił pierwszych niewolników i przeniósł się do Tary, aby żyć po kawalersku w czterech pokojach dawnego domku rządcy, do czasu gdy wznosić się zaczęły białe ściany właściwego dworu.

Wykarczował pola, zasadził bawełnę i znowu pożyczył od Jakuba i Andrzeja pieniędzy na kupno nowych niewolników. O'Harowie stanowili zwarty klan i pomagali sobie wzajemnie w okresach tak powodzenia, jak i przeciwności, nie dla jakiejś przesadnej miłości rodzinnej, ale dlatego, iż w ciężkich latach zrozumieli, że aby przetrwać, rodzina musi zwartym frontem przeciwstawić się światu. Pożyczyli Geraldowi pieniędzy, a te w latach następnych wróciły im się z procentem. Plantacja rozszerzała się stopniowo, bo Gerald skupywał pobliskie grunta i wreszcie nadszedł czas, gdy biały dom przerodził się z marzenia w rzeczywistość.

Zbudowany został pracą niewolników; był niezgrabnym, rozłożystym budynkiem - stał na wzniesieniu, górującym nad zieloną ziemią pastewną, która dochodziła aż do rzeki. Gerald jednak był nim zachwycony, bo już, choć nowy, nosił na sobie patynę lat. Stare dęby, pod którymi przechodzili byli Indianie, ciasno otaczały dom i krzyżowały nad dachem swe gałęzie. Oczyszczony z chwastów trawnik zielenił się koniczyną i trawą bermudzką. Gerald pilnował osobiście, aby był należycie strzyżony. Wszystko w Tarze, od alei cedrów do rzędu białych chat niewolników, tchnęło solidnością i trwałością. Ilekroć Gerald skręcał kłusem w stronę domu i widział przeświecający między gałęziami własny swój dach, serce jego napępniało się taką dumą, jak gdyby widział go po raz pierwszy.

Bo wszystko to stworzył on sam - mały, porywczy Gerald. O'Hara był w znakomitych stosunkach ze wszystkimi sąsiadami, z wyjątkiem MacIntoshów, których grunta łączyły się z jego plantacją po lewej stronie, i Slattery'ch, których marne trzy akry rozciągały się po stronie prawej, między błotnistym brzegiem rzeki a plantacją Jana Wilkesa.

MacIntoshowie byli na wpół Szkotami, na wpół Irlandczykami i stronnikami dynastii

orańskiej, więc choćby nawet posiadali połączone cnoty wszystkich świętych katolickiego kalendarza dziedzictwo to skazywało ich na wieczną niełaskę w oczach Geralda. Prawda, że byli osiedleni w Georgii od siedemdziesięciu lat i że przedtem przez jedno pokolenie mieszkali w Karolinie, ten ich przodek jednak, który pierwszy stanął na ziemi amerykańskiej, pochodził z Ulsteru, a to Geraldowi wystarczyło.

Byli to ludzie małowówni i hardzi. Mało się udzielali, trzymali się razem, a związki małżeńskie zawierali z krewnymi swymi z Karoliny. Gerald nie był jedynym, który ich nie lubił, ponieważ inne rodziny były gościnne i towarzyskie i niezbyt pobłażliwe dla tych, którym cnót tych brakło. Plotki o sympatiach abolicjonistycznych także nie przyczyniały się do popularności MacIntoshów. Stary Angus nie wyzwolił wprawdzie żadnego ze swoich ludzi i popełnił niewybaczalny w oczach sąsiadów błąd, że sprzedał kilku swoich Murzynów handlarzom niewolników, którzy byli w przejeździe do plantacji trzciny w Luizjanie, ale mimo to plotki krążyły dalej.

- To jest niewątpliwy abolicjonista - mawiał Gerald do Jana Wilkesa. - Ale jeżeli Orańczyk ma do wyboru między zasadą a swoim szkockim skąpstwem, zasada musi przegrać.

Z rodziną Slatterych miała się sprawa inaczej. Ponieważ ludzie ci byli niezamożni, mimo że biali, nie darzono ich nawet tym niechętnym szacunkiem, jaki mimo wszystko sąsiedzi żywili dla surowej niezależności Angusa MacIntosha. Stary Slattery, który uparcie trzymał się swoich kilku akrów mimo ciągle ponawianych przez Geralda i Jana Wilkesa propozycji kupna, był słaby i niezaradny. Żona jego była rozczochraną chorowitą kobietą o wyblakłej twarzy, matką całej gromadki pochmurnych i do królików podobnych dzieci - gromadki regularnie powiększającej się co rok. Tomasz Slattery nie miał niewolników i sam przy pomocy dwóch najstarszych synów uprawiał kilka akrów ziemi pod bawełnę, podczas gdy żona i młodsze dzieci zajmowały się tak zwanym szumnie „ogrodem warzywnym”. Jednakże, nie wiadomo dlaczego, bawełna nie udawała się tam nigdy, ogród zaś z powodu ciągłych macierzyńskich kłopotów pani Slattery rzadko kiedy rodził tyle, aby wyżywić sporą rodzinę.

Tomasza Slattery często można było spotkać, gdy wystawał pod domami sąsiadów i prosił o nasiona bawełny do zasadzenia czy poleć boczku „na przetrwanie”. Slattery nienawidził swoich sąsiadów całą siłą, na jaką mógł się zdobyć, ponieważ wyczuwał pod maską grzeczności ich pogardę, a najbardziej chyba nie znosił „bezczelnych Negrów bogaczy”. Murzyńska służba domowa z powiatu uważała się za coś wyższego od „białej nędzy”, Slattery więc jednocześnie i cierpiał z powodu ich nie ukrywanego lekceważenia, i zazdrościł im lepszej sytuacji życiowej. W przeciwieństwie do niego byli dobrze odżywieni,

dobrze odziani, dogładani w chorobach i zaopatrzeni na starość. Byli dumni z dobrego imienia swoich właścicieli i szcycili się należeniem do dobrych rodzin, podczas gdy on był dla wszystkich przedmiotem pogardy.

Tomasz Slattery mógłby być sprzedać swoją farmę za cenę jej trzykrotnej wartości każdemu z plantatorów w powiecie. Uważaliby, że pieniądze te są wydane rozsądnie, bo pozbyliby się sąsiedztwa - on jednak wolał siedzieć na miejscu, produkować belę bawełny rocznie i korzystać z litości sąsiadów.

Z całą resztą swego sąsiedztwa Gerald był na stopie przyjaźni i pewnej zażyłości. Wilkesowie, Calvertowie, Tarletonowie i Fontaine'owie uśmiechali się przyjaźnie, kiedy mała figurka na wielkim białym koniu zajeżdżała galopem przed ich domy, uśmiechali się i kazali podawać wysokie szklanki, do których na szczyptę mięty i łyżeczkę cukru nalewano miarkę whisky. Gerald był miły i z biegiem czasu sąsiedzi przekonali się o tym, co dzieci, Murzyni i psy wyczuwały na pierwszy rzut oka, że pod jego grzmiącym głosem i wojowniczym temperamentem kryje się dobre serce, współczujące ucho i otwarta kieszeń.

Przyjazd jego w odwiedziny odbywał się zawsze przy akompaniamencie przeraźliwego szczekania psów oraz krzyków małych Murzyniątek, które wybiegały mu na spotkanie, sprzeczały się o przywilej trzymania mu konia i śmiały z jego dobrodusznym wymyślań. Białe dzieci domagały się, aby brał je na kolana, kiedy przed starszymi narzekał na perfidną politykę Jankesów; córki przyjaciół zwierzały mu się z przeżyć miłosnych, a młodzieńcy z całej okolicy, nie mając odwagi przyznać się ojcom do wysokości długów honorowych, w nim znajdowali wybawiciela.

- A więc już od miesiąca jesteś winien tę sumę, ty szelmo! - krzyczał Gerald. - Na miłość boską, dlaczego wcześniej nie poprosiłeś mnie o pieniądze?

Niepowściągliwość jego języka była zbyt dobrze znana, aby się na niego obrażać, więc młodzi ludzie śmiali się tylko z zakłopotaniem i odpowiadali: - Bo proszę pana, nie chcieliśmy pana niepokoić, a ojciec...

- Ojciec twój jest dobrym człowiekiem, nie ma gadania, i trochę surowym, więc bierz, i żebyś mi więcej o tym nie wspominał.

Żony plantatorów skapitulowały przed O'Harą ostatnie. Ale kiedy Pani Wilkes - „wielka dama i wyjątkowo dyskretna”, jak ją scharakteryzował Gerald - powiedziała mężowi pewnego wieczoru, gdy Gerald odjechał: „Pan O'Hara ma wprawdzie niezbyt powściągliwy język, ale jest dżentelmenem”, znaczyło to, że Gerald zdobył sobie wreszcie pozycję towarzyską.

Nie zdawał sobie wcale sprawy z tego, że proces ten trwał dziesięć lat, nie wiedział, że

z początku sąsiedzi dość krzywo na niego patrzyli. W jego jednak mniemaniu nie było żadnej wątpliwości, gdzie przynależy, od chwili gdy znalazł się w Tarze.

Kiedy Gerald skończył trzydzieści trzy lata, był tak krzepki i tak rumiany na twarzy, że wyglądał jak ziemianin z angielskiego sztychu; wtedy też przyszło mu po raz pierwszy na myśl, że nie wystarcza mu już ani Tara, chociaż bardzo bliska jego sercu, ani sąsiedzi o otwartych sercach i otwartych domach. Zaprażył żony. Tara po prostu domagała się pani. Gruba kucharka - dziewczka od krów z konieczności wyniesiona do tej rangi - nigdy nie zdążyła przygotować na czas posiłku, a pokojówka niegdyś wyrobница z pola, zostawiała warstwy kurzu na meblach i nigdy nie miała czystej bielizny pod ręką, tak że przyjazd gości zawsze był powodem bieganiny i podniecenia. Pork, jedyny wykwalifikowany służący w majątku, miał nadzór nad resztą służby, ale nawet i on stał się opieszalszy i niedbały po kilku latach pobytu u Geralda. W charakterze służącego utrzymywał sypialnię jego w porządku, w charakterze lokaja podawał posiłki z godnością i wielkim stylem, inne jednak sprawy z całym spokojem pozostawiał ich własnemu biegowi.

Z nieomylnym instynktem ludzi prymitywnych Murzyni szybko odkryli, że Gerald należy do gatunku stworzeń głośno ujadających, ale nie gryzących, wykorzystywali więc bezwstydnie jego dobroć. W powietrzu unosiła się stale groźba sprzedania niewolników na Południe lub srogiego batożenia, ale żaden niewolnik z Tary nie został nigdy sprzedany, batożenie zaś odbyło się jeden jedyny raz i dostało się Murzynowi, który nie wytarł ulubionego konia Geralda po jego powrocie z całodziennego polowania.

Żywe, niebieskie oczy O'Hary dostrzegły, jak doskonale są prowadzone domy sąsiadów i z jaką swobodą rządzą służbą gładko przyczesane damy w szeleszczących sukniach. Nie miał pojęcia o nie kończącej się nigdy pracy tych kobiet, obarczonych na całe życie nadzorem nad sprawami kuchni, wychowania dzieci, szycia czy prania. Widział tylko zewnętrzne wyniki i te mu imponowały. Gwałtowną potrzebę ożenku uświadomił sobie jasno pewnego ranka, gdy wybierał się do miasta w dzień sesji sądowej. Pork podał mu jego ulubioną plisowaną koszulę tak niezdarnie zacerowaną na przodzie przez pokojówkę, że była nie do noszenia.

- Mój pan Gerald - rzekł wtedy Pork zwijając koszulę, którą mu O'Hara pieniać się ze złości podarował - bardzo potrzebuje żony, i to żony, która będzie miała dużo murzyńskiej służby.

Gerald zbeształ Porka za zuchwałość, ale w duszy musiał przyznać Murzynowi rację. Chciał mieć żonę i dzieci i czuł, że jeżeli szybko się o to nie postara, będzie może za późno. Nie miał jednak zamiaru żenić się z byle kim, jak pan Clavert, który za żonę pojął jankeską

guwernantkę swoich osieroconych dzieci. Chciał, aby jego żona była damą, i to damą prawdziwą, o równie dobrych manierach i wielkiej dystynkcji jak pani Wilkes i o takiej samej umiejętności prowadzenia domu.

Nasuwały się jednak dwie trudności, jeżeli chodziło o połączenie się związkiem małżeńskim z którąkolwiek z rodzin w powiecie. Pierwszą była skąpa ilość panien w odpowiednim wieku do małżeństwa. Drugą i znacznie poważniejszą to, że Gerald mimo dziesięcioletniego pobytu w tej okolicy był „człowiekiem nowym” i w dodatku cudzoziemcem. O jego rodzinie nic nie było wiadomo. Mimo, że rodziny z środkowej Georgii nie były tak nieprzystępne jak arystokracja nadbrzeżna, nikt nie zgodziłby się wydać córki za człowieka, o którego dziadku nic nie było wiadomo.

Gerald wiedział, że żaden z zaprzyjaźnionych z nim serdecznie sąsiadów, z którymi polował, pił i rozmawiał o polityce, nie odda mu córki. Nie życzył sobie także, aby plotkowano przy kolacji, że ten, tamten czy ów ojciec z żalem odmówił Geraldowi O'Hara prawa starania się o rękę swej córki. Mimo tej świadomości Gerald bynajmniej nie czuł się gorszym od swoich sąsiadów. Nic nie mogło wpłynąć na to, aby Gerald czuł się gorszym od kogokolwiek. Po prostu tylko - w powiecie panował dziwny zwyczaj, że córki dawano wyłącznie za synów rodzin osiadłych na Południu dłużej niż od dwudziestu dwu lat, posiadających dużo ziemi i niewolników i oddających się tylko powszechnie przyjętym grzeszkom.

- Pakuj rzeczy. Jedziemy do Savannah - powiedział Porkowi. - A jeżeli usłyszę, że starasz się mówić irlandzkim akcentem, sprzedam cię od razu, bo ja się już swego akcentu wyzbyłem.

Gerald liczył na to, że Jakub i Andrzej doradzą mu coś w związku z małżeństwem, mogło się także zdarzyć, że któraś z córek ich starych przyjaciół będzie odpowiadała jego wymaganiom i zgodzi się wyjść za niego. Jakub i Andrzej uważnie wysłuchali Geralda, ale nie dodali mu wcale otuchy. Nie mieli w Savannah krewnych, którzy mogliby im dopomóc, bo do Ameryki przyjechali już z żonami. Córki zaś ich starszych przyjaciół od dawna powychodziły za mąż i dochowały się własnego potomstwa.

- Nie jesteś człowiekiem bogatym i nie pochodzisz z dobrej rodziny - rzekł Jakub.

- Mam pieniądze i sam stworzę dobrą rodzinę. Ożenić się z pierwszą lepszą nie mam zamiaru.

- Wysoko mierzysz - krótko zauważył Andrzej.

Zrobili jednak dla Geralda wszystko, co mogli. Jakub i Andrzej byli starymi ludźmi i cieszyli się w Savannah poważaniem. Mieli wielu znajomych i przez miesiąc prowadzili



Geralda z domu do domu, na kolacje, wieczorki i pikniki.

- Jest jedna dziewczyna, która wpadła mi w oko - powiedział w końcu Gerald. - Tylko że kiedy przyjechałem do Ameryki, jej jeszcze nie było na świecie.

- Kto to taki?

- Panna Ellen Robillard - rzekł Gerald starając się mówić obojętnie, ponieważ lekko skośne, ciemne oczy Ellen Robillard nie tylko wpadły mu w oko, ale i zaryły się w serce. Mimo spokoju swego, tak niezwykłego w piętnastoletniej dziewczynie, Ellen oczarowała go zupełnie. Co więcej, unosiła się dokoła niej atmosfera rezygnacji czy rozpacz, która sprawiła, że Gerald odnosił się do niej łagodniej niż do jakiegokolwiek innej istoty na świecie.

- Mógłbyś przecież być jej ojcem!

- Jestem w sile wieku! - zawołał Gerald, dotknięty.

Jakub powiedział spokojnie:

- Jerry, nie ma drugiej dziewczyny w Savannah, u której miałbyś mniejsze szansę. Jest córką bogatego Robillarda, a ci Francuzi są dumni jak sam Lucyfer. A matka jej - Panie świeć nad jej duszą! - była bardzo wielką damą.

- Wszystko mi jedno - rzekł Gerald. - Zresztą matka jej nie żyje, a stary Robillard bardzo mnie lubi.

- Jako człowieka może, ale nie jako zięcia.

- Dziewczyna ciebie w każdym razie nie zechce - wtrącił Andrzej. - Kocha się w tym swoim dzikim kuzynie Filipie Robillard już od roku, mimo że rodzina dzień i noc ją męczy, aby dała temu spokój.

- On od miesiąca już jest w Luizjanie - rzekł Gerald.

- A ty skąd wiesz o tym?

- Wiem - odrzekł Gerald, który nie chciał się przyznać ani do tego, że cennej wiadomości dostarczył mu Pork, ani do tego, że Filip wyjechał na Zachód na wyraźne życzenie swojej rodziny. - Nie przypuszczam też, aby tak w nim była zakochana, by nie móc zapomnieć. W piętnastym roku życia jeszcze się nie zna miłości.

- Robillardowie z pewnością woleliby dla niej tego obwiesia niż ciebie.

Toteż Jakub i Andrzej byli zdumieni nie mniej od innych, gdy rozeszła się wiadomość, że córka Piotra Robillarda wychodzi za małego Irlandczyka z głębi Georgii. Savannah huczała od plotek i domysłów na temat Filipa Robillarda, który wyjechał na Zachód, ale plotki nie przynosiły żadnej odpowiedzi. Dlaczego najładniejsza z córek Robillarda chciała wyjść za człowieka o donośnym głosie i czerwonej twarzy, od którego wyższa była o głowę, pozostało tajemnicą dla wszystkich.

Gerald sam dobrze nie wiedział, jak się to wszystko stało. Wiedział tylko, że zdarzył się cud. I po raz pierwszy w życiu był onieśmielony, gdy Ellen, bardzo blada, ale bardzo spokojna, położyła mu lekką dłoń na ramieniu i powiedziała: - Zostanę pańska żoną, panie O'Hara.

Zdumieni Robillardowie dowiedzieli się ułamka prawdy, ale tylko Ellen i jej piastunka znały dzieje owej nocy, gdy młoda dziewczyna płakała do samego świtu jak skrzywdzone dziecko i wstała rano z dojrzałą decyzją kobiety dorosłej.

Niania z dziwnym przeczuciem zaniósła swojej młodej pani małą paczuszkę z Nowego Orleanu, zaadresowaną obcym charakterem pisma, zawierającą miniaturę Ellen, którą z krzykiem rzuciła na podłogę, cztery jej listy do Filipa Robillarda i krótkie pismo od księdza z Nowego Orleanu z zawiadomieniem, że kuzyn jej został zabity podczas jakiejś awantury w barze.

- To oni go stąd wygnali: ojciec, Paulina i Eulalia! Wygnali go! Nienawidzę ich, nienawidzę ich wszystkich. Nie chcę ich nigdy w życiu widzieć, chcę stąd uciec. Chcę uciec tak daleko, aby nigdy więcej nie zobaczyć ani ich, ani tego miasta, ani nikogo, kto będzie mi przypominał jego...

A kiedy noc miała się już ku końcowi, Mammy, która sama płakała tuląc do siebie ciemną główkę swojej pani, próbowała oponować: - Ależ dziecko, tego zrobić nie możesz.

- Zrobię. To dobry człowiek. Zrobię to albo wstąpię do klasztoru w Charlestonie.

Groźba klasztoru spowodowała w końcu zgodę przerażonego i zboląłego Piotra Robillarda. Był zatwardziałym protestantem, mimo że córki były katoliczkami, i z dwojga złego wolał, aby córka została żoną Geralda O'Hary niż zakonnicą. Ostatecznie nie można było mu nic zarzucić prócz tego, że nie pochodził z odpowiedniej rodziny.

Tak więc Ellen, już jako pani O'Hara, zostawiła za sobą Savannah, której nigdy nie miała zobaczyć, i w towarzystwie niemłodego męża, Mammy i dwudziestki „domowych Murzynów” wyruszyła w stronę Tary.

Następnego roku urodziło się ich pierwsze dziecko, które nazwali Katarzyną Scarlett, po matce Geralda. Gerald był trochę rozczarowany, bo życzył sobie syna, ale mimo to tak ucieszył się z tej małej czarnowłosej córeczki, że poczęstował rumem wszystkich niewolników w Tarze i sam upił się błogo i hałaśliwie.

Jeżeli Ellen kiedykolwiek żałowała swojej nagłej decyzji poślubienia Geralda, nie wiedział o tym nikt, najmniej zaś Gerald, którego rozpierała duma, ilekroć patrzył na żonę. Savannah i wszystkie wspomnienia zostawiła za sobą, gdy opuściła to przyjemne miasto nad morzem, i od chwili przybycia do Tary domem jej stała się północna Georgia.

Opuściła dom rodzinny o liniach tak harmonijnych jak ciało pięknej kobiety czy statek pod żaglami; jasny, pokryty sztukaterią dom we francuskim stylu kolonialnym, do którego prowadziły schody o delikatnych balustradach z kutego żelaza; spokojny, bogaty dom, miły - choć trochę sztywny.

Zostawiła za sobą nie tylko urocze otoczenie, ale i całą cywilizację, w której wyrosła, i znalazła się w świecie tak obcym i odmiennym, jak gdyby przyjechała na inny kontynent.

Tutaj w Georgii teren był nierówny, a ludzie twardzi. Kraj był płaskowyżem u stóp Gór Błękitnych. Gdzie spojrzeć, Ellen widziała czerwone pagórki o wielkich występach spodnich warstw skały oraz wysokie sosny, ponuro wznoszące się wszędzie. Krajobraz zdawał się dziki i trochę straszny dla oczu przywykłych do piękności wysp przybrzeżnych, porośniętych szarym mchem i zieloną, bujną roślinnością, do białych przestrzeni piasków rozpalonych podzwrotnikowym słońcem, do płaskich wydm, na których gdzieś stały palmy.

Tej części kraju nieobce były chłody zimowe zarówno jak żar lata, w ludziach zaś tutejszych kryła się energia i siła, całkowicie Ellen nie znane. Byli mili, uprzejmi, hojni, o bardzo dobrych charakterach, ale twardzi, męscy, skorzy do gniewu. Ludzie z wybrzeża, które opuściła, szczycili się, że wszystkie swoje sprawy, nawet pojedynki i spory, załatwiają z nonszalancją - mieszkańców północnej Georgii znamionowała wielka gwałtowność. Na wybrzeżu życie było dojrzałe i słodkie, tutaj - młode, krzepkie, zielone.

Wszyscy ludzie, których Ellen знаła w Savannah, byli jakby urobieni wedle tego samego wzoru, tak podobne były ich poglądy i przyzwyczajenia; tu znalazła nagle wielką różnorodność charakterów. Osadnicy tutejsi pochodzili z rozmaitych miejsc, a więc z innych części Georgii, z Karoliny i Wirginii, z Europy, z północnych Stanów. Niektórzy z nich, jak Gerald, byli nowymi przybyszami, którzy szukali tutaj szczęścia. Inni, jak Ellen, byli członkami starych rodzin, którzy nie mogli dłużej znieść życia w dawnym otoczeniu i w dalekiej okolicy znaleźli spokojną przystań. Bardzo wielu przeniosło się tylko dlatego, że gnał ich niepokój, który odziedziczyli w spadku po ojcach pionierach.

Ludzie ci, z różnych stron świata i różnego pochodzenia, prowadzili bezceremonialny tryb życia, nowy dla Ellen, do którego nigdy nie mogła się całkowicie przyzwyczaić. Na wybrzeżu wiedziała zawsze, jak zachowa się większość ludzi w każdej sytuacji. Jak postąpią w danej chwili mieszkańcy Georgii - nie można było przewidzieć.

Życie okolicy ożywiła fala zamożności przewalająca się wtedy przez całe Południe. Świat domagał się bawełny, a nowa część Georgii, żyzna i nie zużyta, rodziła ją obficie. Bawełna była pulsem okolicy, sadzenie jej i zbiory stanowiły kurcze i rozkurcze serca

czzerwonej gleby. Bogactwo rodziło się z falistych bruzd, wraz z nim zaś pewność siebie, wyrosła z zielonych krzaczków i z akrów wełnistej bieli. Jeżeli dzięki bawelnie można było zdobyć majątek w ciągu jednej generacji, o ileż bogatsze będą następne pokolenia!

Ta pewność jutra nadawała życiu smak i rozmach, więc ludzie z powiatu używali życia z entuzjazmem, którego Ellen nigdy nie mogła pojąć. Mieli dość pieniędzy i dość niewolników, aby mieć dużo czasu na przyjemności, poświęcali się im zatem z oddaniem. Nigdy nikt nie był zbyt zajęty, aby nie móc rzucić pracy dla polowania czy wyścigów konnych, i nie było tygodnia bez pikniku w sąsiedztwie czy balu.

Ellen nigdy nie mogła upodobnić się do innych - za wiele z siebie zostawiła w Savannah - ale szanowała ich i z czasem nauczyła się podziwiać szczerłość i prostotę tych ludzi, którzy mówili to, co myśleli, i cenili człowieka za to, jakim był.

Stała się najbardziej lubianą kobietą w okolicy. Była oszczędną i dobrą gospodynią, kochającą matką i oddaną żoną. Złamane serce i wyrzeczenie się siebie, które chciała złożyć w darze Kościołowi, poświęciła zamiast tego służbie, dzieciom, domowi i mężczyźnie, który wyrwał ją z Savannah, odsunął od wspomnień i nigdy o nic nie pytał.

Kiedy Scarlett miała rok i była zdrowsza i mocniejsza, niż zdaniem Mammy przystało pańskiemu dziecku, Ellen urodziła drugą córkę, ochrzczonej imionami Zuzanna Eleonora, ale zawsze zwaną Zuelą, w odpowiednim zaś czasie po niej przyszła na świat Karina, zapisana w Biblii rodzinnej jako Karolina Irena. Potem zjawili się trzej chłopcy, z których wszyscy pomarli, zanim nauczyli się chodzić - trzej mali chłopcy, spoczywający teraz pod cedrami na cmentarzyku o sto jardów odległym od domu - pod trzema nagrobkami, z napisem „Gerald O’Hara, junior”.

Od chwili gdy Ellen przyjechała do Tary posiadłość zmieniła się nie do poznania. Mimo że Ellen miała zaledwie piętnaście lat, była dojrzała do obowiązków dziedziczki. Przed małżeństwem młode dziewczęta musiały być przede wszystkim słodkie, łagodne, piękne i strojne, po ślubie jednak wymagano od nich umiejętności prowadzenia gospodarstwa dla przeszło stu osób, białych i czarnych, i wychowywano je z myślą o tym.

Ellen otrzymała takie samo przygotowanie do małżeństwa jak każda dobrze wychowana młoda dama, ponadto zaś miała przy sobie Mammy, która mogła przeistoczyć najępszego Murzyna w źródło energii. Ellen szybko wprowadziła porządek, godność i wdzięk do domu Geralda i dała Tarze piękno, którego tam nigdy przedtem nie było.

Dom został wybudowany bez określonego planu i w miarę potrzeby dobudowywano pokoje tam, gdzie było ich potrzeba, pod okiem jednak Ellen budynek zyskał wdzięk, który zastąpił brak stylu. Aleja cedrów prowadząca od szosy do domu - charakterystyczna aleja, bez

której trudno było sobie wyobrazić dom plantatora w Georgii - była chłodna i cienista i stanowiła tło dla jasnej zieloności innych drzew. Glicynia wijąca się dokoła ganków odcinała się jaskrawo od pobielonych cegieł i wraz z różowymi krzaczkami mirtu i białymi kwiatami magnolii rosnącej przed oknami kryła niezgrabne zarysy domu.

Wiosną i latem trawa i koniczyna na murawie stawały się szmaragdowe i tak kuszące, że ściągały do siebie stada indyków i białych gęsi, które powinny były kręcić się tylko na tyłach domu. Przodownicy tych stadek ciągle robili wypadki przed dom, przyciągnięci zielonością trawy i nęcącą obietnicą pączków jaśminu i grządek cynii. Przeciw ich zakusów wystawiano wartę w postaci małego Murzynałka. Mały, uzbrojony w strzęp ścierki Murzynek siedzący na schodkach ganku był częścią obrazu Tary - częścią bardzo godną politowania, bo ponieważ nie wolno mu było straszyć ptactwa, musiał odganiać je ścierką i sykiem.

Ellen zasadzała kolejno mnóstwo małych chłopców do tego zajęcia, które było pierwszą odpowiedzialną funkcją niewolnika płci męskiej w Tarze. Po ukończeniu dziesiątego roku życia chłopcy byli oddawani na naukę do Dziadzia, starego szewca plantacji, do Amosa, kołodzieja i stolarza, Filipa, krowiarza, albo Kuffiego, poganiacza mułów. Jeżeli nie wykazywali zdolności do żadnego z tych rzemiosł, stawali się parobkami i w opinii Murzynów tracili prawo do jakiegokolwiek pozycji społecznej.

Życie Ellen nie było łatwe ani szczęśliwe, ale nie spodziewała się wcale łatwego życia, szczęście zaś nie było udziałem kobiety. Żyła w świecie mężczyzn i pogodziła się z tym. Mężczyzna był właścicielem majątku, kobieta zaledwie rządziła nim. Mężczyzna zyskiwał pochwały za dobre rządy, a kobieta chwaliła jego mądrość. Mężczyzna ryczał jak byk, kiedy drzazga weszła mu w palec, a kobieta nie śmiała jęczeć przy porodzie, aby mu nie zakłócać spokoju. Mężczyźni byli plugawi w języku i często pijani, kobiety udawały, że nie słyszą ordynarnych słów, pijanych zaś bez słowa układały do snu. Mężczyźni byli brutalni i szczerzy, kobiety zawsze łagodne, wdzięczne i wyrozumiałe.

Ellen wychowana została w tradycji wielkich dam, które nauczyły ją, jak dźwigać brzemień kobiece nie tracąc wdzięku, życzyła więc sobie, aby jej trzy córki także się stały wielkimi damami. Z młodszych córek miała pociechę, bo Zuela tak się starała wszystkim podobać, że z uwagą i posłuszeństwem chłoneła nauki matki, Karina zaś była nieśmiała i łatwa do prowadzenia. Scarlett jednak, nieodrodna córka Geralda, z trudem dawała się urobić na damę.

Ku oburzeniu Mammy najulubieńszymi towarzyszami jej zabaw nie były skromne siostry ani dobrze ułożone panny Wilkes, ale dzieci murzyńskie z plantacji i chłopcy z

sąsiedztwa. Właziła też na drzewa i rzucała kamieniami nie gorzej od każdego z nich. Mammy była bardzo strapiona, że takie upodobania przejawia córka Ellen i często napominała ją, aby „zachowywała się jak mała dama”. Ellen jednak miała bardzo pobłażliwy i dalekowzroczny pogląd na tę sprawę. Wiedziała, że towarzysze dziecinnych zabaw wyrastają z czasem na wielbicieli i że pierwszym obowiązkiem dziewczyny jest małżeństwo. Mówiła sobie, że Scarlett jest po prostu bardzo żywa i że zawsze będzie dość czasu, aby nauczyć ją sztuki podobań się mężczyznom.

W tym celu Mammy i Ellen połączyły swoje wysiłki. W miarę jak Scarlett wyrastała, stawiała się pod tym względem bardzo pojętną uczennicą, jakkolwiek niczego innego uczyć się nie chciała. Mimo procesji szybko zmieniających się guwernantek i dwóch lat spędzonych na pensji w Fayetteville, wykształcenie Scarlett posiadało luki, żadna natomiast panią w okolicy nie umiała tańczyć piękniej niż ona. Wiedziała, jak się uśmiechać, aby na twarzy tworzyły się dołeczki, jak się poruszać, aby szeroka krynolina chwiała się zalotnie, jak patrzeć w oczy mężczyźnie, a potem spuszczać wzrok i tak trzepotać powiekami, aby wydawało się, że drży z niepokoju. Przede wszystkim zaś nauczyła się, jak przed mężczyznami ukrywać żywą inteligencję pod maską słodkiej i łagodnej minki dziecka.

Ellen łagodnymi napomnieniami i Mammy przy pomocy ciągłych nagan starały się wpoić Scarlett cnoty, które by z niej uczyniły materiał na doskonałą żonę.

- Musisz być bardziej łagodna, kochanie, bardziej opanowana - uczyła córkę Ellen. - Nie powinnaś przerywać, kiedy panowie coś do ciebie mówią, nawet jeżeli uważasz, że o danej sprawie wiesz więcej od nich. Panowie nie lubią roztropanych pańienek.

- Młode panny, które marszczą czoło, nadymają usta i mówią: „To chcę” i „Tego nie chcę”, nigdy nie dostają mężów - przepowiadała Mammy posepnie. - Młode pańienki powinny spuszczać oczy i mówić: „Tak, proszę pana, chętnie” i „Ma pan świętą rację”.

Wspólnymi siłami uczyły ją wszystkiego, co dama powinna umieć, ale Scarlett nauczyła się tylko zewnętrznych znamion dobrego wychowania. Wewnętrznej dystynkcji, z której te znamiona powinny wypływać, nie nauczyła się nigdy i nie wiedziała po co by się jej miała uczyć. Pozory zupełnie wystarczały, by zyskiwały jej powodzenie, a o to jej wyłącznie chodziło. Gerald chętnie się, że Scarlett jest najpiękniejszą dziewczyną w pięciu powiatach, i miał trochę racji, bo oświadczała się jej wszyscy młodzi ludzie z sąsiedztwa i wielu nawet z miejsc tak odległych jak Atlanta czy Savannah.

Mając lat szesnaście wyglądała dzięki naukom Mammy i Ellen na osóbkę słodką, czarującą i płochą, była zaś w rzeczywistości uparta, próżna i samowolna. Miała popędliwość i egoizm swego irlandzkiego ojca, przykryte cieniutką warstwą cierpliwości i łagodności

odziedziczonej po matce. Ellen nigdy nie zdawała sobie sprawy z tego, że te cechy córki są tylko nabyte, bo Scarlett zawsze starała się pokazać matce z najlepszej strony, ukrywając swoje eskapady, hamując gniew i będąc w stosunku do niej możliwie uległą, ponieważ Ellen potrafiła ją doprowadzić do łez jednym pełnym wyrzutem spojrzeniem.

Mammy jednak nie miała co do Scarlett złudzeń i dokładnie widziała rysy na tej zewnętrznej warstwie poloru. Spojrzenie jej przenikało głębiej od oczu Ellen i Scarlett nie mogła się nigdy poszczycić, że na długo wprowadziła nianię w błąd.

Nie znaczyło to wcale, aby kochające mentorki biadały nad żywością, wesołością i wdziękiem Scarlett. Były to cechy, z których kobiety Południa były dumne. Lękiem napawała je tylko zapalczywość jej i samowolność, odziedziczone po Geraldzie, i chwilami bały się, że nie zdołają stuszować tych szkodliwych właściwości do czasu zrobienia przez Scarlett odpowiedniej partii. Scarlett zaś chciała wyjść za mąż - za Ashleya - i godziła się udawać potulną, zimną i głupią, jeżeli to były zalety przyciągające mężczyzn. Dlaczego mężczyźni te rzeczy lubili, nie umiała sobie wytłumaczyć. Wiedziała tylko, że metoda jest dobra, bo odnosi skutek. Nie starała się nigdy dociec przyczyny tego stanu rzeczy, bo nic nie wiedziała o wewnętrznym mechanizmie ludzkiego umysłu, nawet swego własnego. Wiedziała tylko, że jeżeli zrobi czy powie to a to, mężczyźni niechybnie zareagują tak a tak. Było to proste jak matematyczna formułka i równie dla niej łatwe - bo matematyka była jedynym przedmiotem, w którym Scarlett celowała w szkole.

Jeżeli wiedziała mało o umysłach mężczyzn, jeszcze mniej wiedziała o kobietach, ponieważ kobiety ją nie obchodziły. Nigdy nie miała przyjaciółki i nie czuła jej braku. Wszystkie kobiety, nie wyłączając jej dwóch sióstr, były jej naturalnymi rywalkami w pogoni za tą samą zdobyczą - mężczyzną. Wszystkie kobiety z wyjątkiem jednej - matki. Ellen O'Hara była inna i Scarlett uważała ją za istotę świętą i różną od reszty ludzkości. Kiedy Scarlett była dzieckiem, obraz matki mieszała z obrazem Najświętszej Panny, teraz zaś, kiedy była starsza, nie starała się wcale myśleć inaczej. Ellen była dla niej symbolem tego najwyższego bezpieczeństwa, które znajduje się tylko w niebie czy na łonie matki. Wiedziała, że matka jest uosobieniem sprawiedliwości, prawdy, czułości i głębokiej mądrości, jednym słowem - wielką damą.

Scarlett bardzo pragnęła być podobna do matki. Jedynym szkopułem było to, że kobieta sprawiedliwa, prawdziwa, czuła i poświęcająca się traciła wiele przyjemności w życiu, na pewno zaś - wielu wielbicieli. Życie zaś jest zbyt krótkie, aby można sobie pozwolić na stratę rzeczy tak przyjemnych. Kiedyś, już jako żona Ashleya i starsza pani, kiedy będzie miała na to czas, Scarlett zamierzała stać się podobną do Ellen. Do tego czasu jednak...

## ROZDZIAŁ IV

Tego wieczora przy kolacji Scarlett machinalnie wykonywała funkcje związane z prezydowaniem w zastępstwie matki przy stole, chociaż była wzburzona z powodu strasznej wiadomości o Ashleyu i Melanii. Rozpaczliwie pragnęła powrotu matki od Slattery'ch, czuła się bez niej zgubiona i samotna. Jakim prawem Slattery'owie z powodu swoich wiecznych chorób zabierali Ellen z domu właśnie w chwili, gdy ona, Scarlett, potrzebowała jej tak bardzo?

Podczas nie kończącego się posiłku podniesiony głos Geralda dzwonił jej w uszach tak dotkliwie, iż myślała, że tego dłużej nie zniesie. Zupełnie zapomniał o przedwieczornej rozmowie ze Scarlett i monologował teraz na temat ostatnich wiadomości z Fortu Sumtera, podkreślając niektóre zdania uderzeniem pięścią w stół i wymachiwaniem ramion. Gerald zwykle sam podtrzymywał rozmowę podczas posiłków i Scarlett, zazwyczaj pochłonięta własnymi myślami, nie słyszała go prawie; tego jednak wieczora nie mogła wyłączyć jego głosu, mimo że wyteżała słuch, czy nie usłyszy stukotu kół, zwiastującego powrót Ellen.

Rozumie się, że nie miała zamiaru powiedzieć matce o tym, co tak ciężko przygniotło jej serce, bo Ellen byłaby zgorszona i zmartwiona, że jej rodzona córka kocha człowieka zaręczonego z inną. Ale pochłonięta pierwszą tragedią, jaką przeżywała, tęskniła do samej obecności matki. Czuła się zawsze bezpieczniej, gdy Ellen była przy niej, bo nie było takiej troski, której Ellen nie potrafiłaby zaradzić samym faktem swojego istnienia.

Poderwała się nagle z krzesła słysząc skrzyp kół na podjeździe i znowu usiadła, bo potoczyły się dalej dokoła domu i w stronę podwórza. Nie była to Ellen, bo ona byłaby wysiadła przed frontowym wejściem. Po chwili w ciemności podwórka rozległ się podniecony gwar murzyńskich głosów i donośny murzyński śmiech. Wyglądając przez okno Scarlett spostrzegła, że Pork, który właśnie przed chwilą wyszedł z jadalni, trzymał wysoko smolną główkę, podczas gdy jakieś postacie wysiadały z wozu. Śmiechy i rozmowy brzmiały to głośno, to znowu cichły w ciemności nocnej - przyjemne, swojskie, beztroskie dźwięki, gardłowe i ostre. Potem stopy zaczęły na schodach i po korytarzu prowadzącym do głównego skrzydła domu i zatrzymały się w hallu przed jadalnią. Szepty ustały na chwilę i do pokoju wszedł Pork, niezwykle podniecony, przewracając oczyma i świecąc białością zębów.

- Proszę pana - oświadczył oddychając szybko, a duma młodego małżonka malowała się na jego błyszczącej twarzy - przyjechała nowa kobieta.

- Nowa kobieta? Nie kupiłem żadnej kobiety - rzekł Gerald udając, że marszczy się



groźnie.

- Ale tak, proszę pana, kupił pan! Tak! tak! I właśnie ona tu czeka, bo chce z panem pomówić - odparł Pork chichocząc i zacierając ręce ze wzruszenia.

- No dobrze, przyprowadź tu ją - rzekł Gerald, a Pork odwracając się przywołał z hallu żonę, świeżo przybyłą z plantacji Wilkesów, by stać się teraz mieszkanką Tary. Weszła do pokoju, za nią zaś, prawie zasłonięta obszerną perkalową spódnicą, wsunęła się jej dwunastoletnia córka płacząc się między nogami matki.

Dilcey była wysoka i trzymała się prosto. Mogła mieć lat zarówno trzydzieści, jak sześćdziesiąt. Trudno było odczytać jej wiek z nieruchomych brązowych rysów. Indiańskie pochodzenie wyraźnie malowało się na jej twarzy, zacierając nawet znamiona murzyńskie. Czerwonawy kolor skóry, wąskie wysokie czoło, wystające kości policzkowe, orli nos spłaszczony na końcu i grube murzyńskie wargi - wszystko wskazywało na pomieszanie dwóch ras. Była bardzo spokojna i poruszała się z godnością przewyższającą nawet godność Mammy, bo niania swoją nabyła, Dilcey zaś miała ją we krwi.

Kiedy przemówiła, okazało się, że mówi wyraźniej niż większość Murzynów i staranniej dobiera słowa.

- Dobry wieczór, panienki. Panie Geraldzie, przepraszam, że przeszkadzam, ale przyszedłam, aby podziękować panu raz jeszcze za kupienie mnie i mojej małej. Wielu panów kupiłoby może mnie, ale żaden nie kupiłby mojej Prissy po to tylko, żeby mi zaoszczędzić zmartwienia, więc dziękuję panu. Będę się starała jak najlepiej, aby dowieść, że pamiętam o tym.

- Hum, hrr - chrząknął Gerald, zakłopotany, że tak otwarcie mówi się o jego dobroci.

Dilcey zwróciła się do Scarlett i przelotny uśmiech podniósł kąciki jej oczu.

- Miss Scarlett, Pork opowiedział mi, jak to panienka prosiła pana Geralda, aby mnie kupił. Wobec tego daję paniencie moją Prissy na pokojówkę.

Sięgnęła za siebie i popchnęła małą dziewczynkę do przodu. Prissy była brązowym małym stworzeniem o chudych, ptasich nóżkach i mnóstwie starannie zaplecionych grubymi nićmi warkoczyków, sterczących dokoła jej głowy. Miała przenikliwe, sprytne, rozbiegane oczy i wyraz udanej głupoty na twarzy.

- Dziękuję ci, Dilcey - odrzekła Scarlett - ale obawiam się, że niania sprzeciwi się temu. Niania jest moją pokojową od chwili, gdy się urodziłam.

- Mammy starzeje się - rzekła Dilcey ze spokojem, który by z pewnością rozwścieczył nianię. - Jest doskonałą piastunką, ale panienka już teraz dorosła i potrzebuje zręcznej pokojówki, a moja Prissy służyła pannie Indii przez cały ostatni rok. Umie szyć i czesać

włosy jak dorosła osoba.

Szturchnięta przez matkę, Prissy dygnęła niespodzianie i uśmiechnęła się do Scarlett, która także nie mogła się powstrzymać od uśmiechu.

„Sprytna mała smarkula” - pomyślała, a głośno rzekła: - Dziękuję ci, Dilcey, pomyślimy o tym, kiedy moja matka wróci.

- Dziękuję panience. Życzę państwu dobrej nocy - rzekła Dilcey i odwróciwszy się wyszła z pokoju, a za nią podniecony Pork.

Kiedy uprzątnięto po kolacji, Gerald nadal coś mówił, z niewielkim jednak pożytkiem dla siebie i jeszcze mniejszym dla swoich słuchaczek. Grzmiące jego przepowiednie o grożącej wojnie i retoryczne pytania, czy Południe długo jeszcze będzie znosiło zniewagi Jankesów, wywoływały tylko znudzone: „Tak, papo” i „Nie, papo”. Karina, siedząca na taborecie pod wielką lampą, zagłębiona była w romansie o dziewczynie, która przywdziała habit po śmierci ukochanego, i roniąc łzy wzruszenia wyobrażała sobie siebie w białym kwefie. Zuela, haftująca coś do swojej wyprawy, zastanawiała się, czy uda jej się odwieść Stuarta Tarletona od asystowania Scarlett na jutrzejszej zabawie i olśnić go łagodnością i uległością, którymi się w przeciwieństwie do Scarlett mogła szczycić. Scarlett zaś nie przestawała myśleć o Ashleyu.

Jak papa mógł bez przerwy gadać o Forcie Sumtera i Jankesach, kiedy wiedział, że serce jej pęka? Wzorem osób bardzo młodych nie mogła zrozumieć, że można tak egoistycznie nie zwracać uwagi na jej ból i że świat toczy się dalej, mimo jej cierpienia. W myślach jej panował taki chaos jak po przejściu cyklonu i dziwnym się jej wydawało, że jadalnia, w której siedzi, jest tak spokojna, taka sama jak zwykle. Ciężki stół mahoniowy i kredensy, masywne srebro, kolorowe dywaniki na wywoskowanej posadzce wszystko znajdowało się na zwykłych miejscach, jak gdyby nic się zupełnie nie zdarzyło. Jadalnia była miłym i wygodnym pokojem i Scarlett zwykle bardzo lubiła spokojne godziny, które z rodziną spędzała tam po kolacji, dziś jednak nastrój ten był jej nienawistny i gdyby nie obawiała się głośnych pytań ojca, wymknęłaby się przez ciemny hali na dół, do małego gabinetu Ellen, i wypłakałaby swój smutek na starej kanapie.

Gabinet Ellen był pokojem, który Scarlett lubiła najbardziej. Ellen zasiadała tam co rano przed wysokim sekretarzem, prowadząc książki plantacji i wysłuchując sprawozdań rządcy Jonasza Wilkersona. Tam też zbierała się czasem rodzina. Gerald siadywał w starym fotelu na biegunach, dziewczynki na zniszczonych poduszkach kanapy, zbyt starej, aby stać w pokojach frontowych, Ellen zaś skrzypiała piórem po księgach. Scarlett chciałaby teraz być w tym pokoiku, oprzeć głowę na łonie matki i płakać w spokoju. Dlaczego mama nie wraca tak

długo?

Naraz koła zaskrzybiały ostro na wyźwirowanym podjeździe i cichy głos Ellen, mówiącej coś do stangreta, dotarł do pokoju. Wszyscy podnieśli z ciekawością głowy, kiedy szybkim krokiem weszła do pokoju, zmęczona i trochę smutna. Pokój nappełnił się od razu wonią werbeny, która zawsze ulatywała z fałd sukien Ellen - wonią, którą Scarlett wiązała nierozłącznie z matką.

Mammy niosąc skórzaną torbę szła kilka kroków za Ellen; miała wyдутą dolną wargę i zmarszczone czoło. Mruczała coś ponuro do siebie, kręcąc się po pokoju i starając się swoje uwagi wypowiadać tak cicho, aby nikt ich nie mógł zrozumieć, dość głośno jednak, aby zauważono jej niezadowolenie.

- Przepraszam, że się tak spóźniłam - rzekła Ellen zrzucając kwiciasty szal z ramion i dając go Scarlett, którą przechodząc pogłaskała po policzku.

Kiedy Ellen weszła, twarz Geralda rozjaśniła się od razu.

- Czy ten dzieciak już wreszcie ochrzczony? - zapytał.

- Tak, ale biedactwo nie żyje - odparła Elen. - Obawiałam się, że Emma także umrze, teraz jednak myślę, że uda się ją uratować.

Twarze dziewczynek zwróciły się ku niej, przerażone i zdumione, Gerald zaś potrząsnął tylko głową.

- Lepiej może, że ten dzieciak umarł, biedne stworzenie bez oj...

- Późno już. Zmówimy teraz modlitwę - przerwała Ellen tak spokojnie, że gdyby Scarlett dobrze nie znała swojej matki, nie zauważyłaby wcale, iż zmienia temat.

Warto by było dowiedzieć się, kto jest ojcem dziecka Emmy Slattery. Scarlett wiedziała jednak, że prawdy o tym nigdy się nie dowie od matki. Posądziała o to Jonasza Wilkersona, bo często widywała go spacerującego z Emmą o zmierzchu po szosie. Jonasz był Jankesem i kawalerem, okoliczność jednak, że był rządcą plantacji, wykluczała go zupełnie z życia towarzyskiego powiatu. Nie mógł wejść w żadną z szanujących się rodzin, z nikim nawet nie mógł obcować, z wyjątkiem Slatterych i innej hołoty. Ponieważ wszakże pod względem wykształcenia stał o niebo wyżej od Slatterych, nic dziwnego, że nie chciał się żenić z Emmą, mimo że często się z nią przechadzał o zmierzchu.

Scarlett westchnęła, bo bardzo ją męczyła ciekawość. Na oczach jej matki działały się zawsze rzeczy, o których niczego nie można się było dowiedzieć. Ellen starała się ignorować sprawy sprzeczne z jej pojęciem o przyzwoitości i bez wielkiego powodzenia uczyła Scarlett tego samego.

Teraz zbliżyła się do kominka, aby wyjąć z małej szkatułki różaniec, który zawsze tam

spoczywał, kiedy Mammy odezwała się bardzo stanowczo:

- Miss Ellen, musi pani zjeść kolację, zanim odmówi modlitwy.

- Dziękuję ci, nianiu, ale nie jestem głodna.

- Ja sama zrobię coś do jedzenia i pani zje - rzekła Mammy z oburzeniem, kierując się w stronę kuchni. - Pork! - zawołała. - Powiedz kucharce, aby rozpałała ogień. Miss Ellen wróciła.

W miarę jak schody trzęsły się pod jej krokami, monolog stawał się coraz wyraźniejszy, aż wreszcie do uszu siedzących w jadalni zaczęły dochodzić głośne słowa.

- Mówię ciągle, że nie warto nic robić dla „białej nędzy”. To najgorsi, najniewdzięczniejsi ludzie na świecie. A Miss Ellen nie powinna męczyć się dla ludzi, którzy mieliby własnych Murzynów do pomocy, gdyby byli coś warcu. Ale ja mówię i mówię...

Głos jej przycichł, kiedy weszła w długi, tylko dachem pokryty korytarz wiodący do kuchni. Mammy miała własną metodą wypowiadania swoich poglądów na każdą sprawę. Wiedziała, że poniżej godności prawdziwych białych państwa jest zwracanie uwagi na to, co mówi Murzynka, kiedy mruczy do siebie. Wiedziała, iż muszą udawać, że nie słyszą, co ona mówi nawet jeżeli jest w sąsiednim pokoju i prawie krzyczy. Sposób ten chronił ją więc od nagany, a nie pozostawiał nikomu wątpliwości co do właściwego jej poglądu na każdą sprawę.

Pork wszedł do pokoju niosąc talerz, nakrycie i serwetkę. Za nim szedł Jack, mały dziesięcioletni Murzynek, jedną ręką zapinając pośpiesznie białą marynareczkę, a w drugiej niosąc wachlarz do opędzania much, zrobiony z pokrajanej w cienkie paski, i przywiązanej do długiej trzciny gazety. Ellen miała piękny wachlarz z pawich piór, ale używano go tylko na specjalne okazje, i to po ciężkiej walce, ponieważ Pork, kucharka i Mammy twierdzili uparcie, że pawie pióra przynoszą nieszczęście.

Ellen usiadła na krześle, które Gerald podsunął: cztery głosy przemówiły do niej jednocześnie.

- Mamo, odpruła mi się koronka u nowej sukienki balowej, którą chcę zabrać na jutro wieczór do Dwunastu Dębów. Czy możesz mi ją przyszyć?

- Mamo, suknia Scarlett jest ładniejsza od mojej, a poza tym ja okropnie wyglądam w różowym. Czyby ona nie mogła włożyć mojej różowej i oddać mi swoją zieloną? Jej w różowym lepiej niż mnie.

- Mamo, czy wolno mi będzie być jutro na balu? Mam już skończonych trzynaście lat...

- Pani O'Hara, czybyś uwierzyła? Cicho, dziewczynki, bo wam łapy poprzetrącam!

Cade Calvert był dziś rano w Atlancie i mówi... czy uspokoiacie się wreszcie i dacie mi dojść do słowa? i mówi, że tam straszne podniecenie, że mówią tylko o wojnie, milicja się ćwiczy, tworzą wojsko. I mówią, iż z Charlestonu przyszła wiadomość, że nie chcą tam dłużej znosić jankeskich zniewag.

Zmęczone usta Ellen rozciągały się w uśmiechu, kiedy zwróciła się przede wszystkim do męża, jak żonie przystało.

- Jeżeli rozsądni ludzie w Charlestonie tak uważają, to przypuszczam, że i my wkrótce zaczniemy tak myśleć - powiedziała, ponieważ miała głęboko zakorzenione przekonanie, że poza Savannah większość przyzwoitych i rozsądnych ludzi kontynentu mieszka w tym porcie - przekonanie to zresztą dzielili z nią wszyscy mieszkańcy Charlestonu.

- Nie, Karinko, na przyszły rok, dziecko. Wtedy będzie ci już wolno bywać na balach, nosić dorosłe suknie i świetnie się bawić. Nie rób trąbki, kochanie. Będziesz na barbakoi i możesz zostać na kolacji, ale na bale zaczniesz chodzić dopiero, jak skończysz czternaście lat.

- Daj mi swoją suknię, Scarlett. Przyszyję ci koronkę po modlitwie.

- Zuelo, nie podoba mi się ten ton, kochanie. Suknia twoja jest bardzo ładna i bardzo odpowiednia do twojej cery. Dam ci do niej moje granaty na szyję.

Zuela skrzywiła się za plecami matki tryumfalnie do Scarlett, która miała szczerzy zamiar naszyjnik z granatami wyprosić dla siebie. Scarlett pokazała jej język. Zuela była wstrętna z tym swoim nudzeniem i egoizmem i gdyby nie interwencja Ellen, Scarlett często by jej nacierała uszu.

- A teraz, panie O'Hara, proszę mi opowiedzieć, co pan Calvert jeszcze mówił o Charlestonie - rzekła Ellen.

Scarlett dobrze wiedziała, że matka wcale nie interesuje się ani poetyką, że uważa je za męskie sprawy, którymi żadna prawdziwa dama nie powinna się zajmować. Gerald jednak lubił dzielić się z nią wiadomościami, Ellen zaś przede wszystkim myślała o przyjemnościach męża.

Podczas gdy O'Hara rozwodził się dalej o tym, co wiedział, Mammy postawiła przed swoją panią talerze, złociste sucharki, pierś pieczonego kurczęcia i żółty, ociekający masłem yam. Uszczypnęła małego Jacka, który zabrał się do powolnego poruszania papierowym wachlarzem nad głową Ellen. Mammy stanęła koło stołu śledząc każdy kęs, który Ellen podnosiła z talerza do ust, jak gdyby zamierzała wepchnąć jej jedzenie do gardła, gdyby zauważyła, że Ellen ustaje. Ellen jadła szybko, ale Scarlett widziała, że jest zbyt zmęczona, aby zwracać uwagę na to, co je. Tylko nieubłagany wyraz twarzy niani zmuszał ją do jedzenia.

Kiedy talerz został wreszcie opróżniony, a Gerald był dopiero w połowie opowiadania o złodziejstwie Jankeśów, którzy chcieli wyzwolić Murzynów, ale ani grosza nie dawali za ich wolność, Ellen wstała.

- Czy to już czas na modlitwę? - zapytał niechętnie.

- Tak. Już bardzo późno. O, właśnie bije dziesiąta - powiedziała, gdy zaczął dzwonić zegar. - Karina powinna już od dawna spać. Proszę dać lampę, Pork, a ty, nianiu, daj mi książkę do nabożeństwa.

Poganiany ochryplym szeptem Mammy, Jack postawił wachlarz w kącie i sprzątnął talerze, podczas gdy niania przewracała w szufladzie kredensu szukając zniszczonego modlitewnika Ellen. Pork, wspiąwszy się na palce sięgnął kółka w łańcuchu i wolno ściągnął lampę, aż blat stołu rozjaśnił się, a sufit zatonął w mroku. Ellen zebrała spódnice i uklękła na podłodze, kładąc otwarty modlitewnik na stole przed sobą i składając na nim ręce. Gerald ukląkł obok niej, Scarlett zaś i Zuela zajęły swoje zwykłe miejsca po przeciwnej stronie stołu, składając liczne i sute halki w poduszcзки pod kolanami, aby mniej je bolało klęczenie na twardej podłodze. Karina, dość mała na swój wiek, nie mogła klęczeć wygodnie przy stole, uklękła więc przed krzesłem, oparłszy łokcie na jego siedzeniu. Lubiła tę pozycję, bo kiedy zapadała w sen podczas modlitw, co zdarzało się często, poręcz krzesła zasłaniała ją przed okiem matki.

Służba domowa szurając zbierała się w hallu i klękała w drzwiach. Mammy, osuwając się na podłogę, głośno stęknęła, Pork klęczał wyprostowany sztywno, Róża i Tiria, pokojówki, wdzięcznie wyglądały w swoich barwnych perkalach, kucharka mizernie i żółto pod białym czepkiem. Jack zaś, ledwie żywy ze zmęczenia, ukląkł możliwie daleko od Mammy. Czarne oczy Murzynów jarzyły się oczekiwaniem, bo modlitwa z białym państwem należała do ważnych wydarzeń dnia. Stare i barwne zdania litanii, pełnej wschodnich metafor, niewiele dla nich znaczyły, ale przynosiły ukojenie ich sercom, kiwali się więc pobożnie, odpowiadając z przeciąganiem: „Panie, zmiłuj się nad nami”, „Chryste, zmiłuj się nad nami”.

Ellen przymknęła oczy i zaczęła się modlić, a głos jej wznosił się i opadał, rozkołysany i łagodny. A gdy dziękowała Bogu za zdrowie i pomyślność swego domu, rodziny swojej i Murzynów, głowy pochyliły się w kręgu żółtego światła.

Kiedy skończyła modlitwę za wszystkich zamieszkałych pod dachem Tary, za ojca swego, matkę i siostry, za troje zmarłych dzieci i „wszystkie biedne dusze w czyśćcu”, wzięła w palce różaniec z białych paciorków i zaczęła zdrowaśki. Niczym tchnienie łagodnego wiatru dochodziły ją odpowiedzi wszystkich obecnych - białych i czarnych.

- Święta Maryjo, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi teraz i w godzinę śmierci

naszej.

Modlitwa sprawiła, że mimo tylu przygnębiających przeżyć ogarnęło Scarlett głębokie uczucie spokoju. Wiele rozczarowań dnia i obaw przed jutrem pierzchło, pojawiła się natomiast wyraźna nadzieja. Nie sprawiło tego zwrócenie serca ku Bogu - pobożność Scarlett była raczej powierzchowna. Pokrzepił ją widok pogodnej twarzy matki, zwróconej do tronu Bożego, do jego świętych i aniołów, w modlitwie o błogosławieństwo dla tych, których kochała. Scarlett była pewna, że kiedy Ellen zwracała się ku Bogu, Bóg słuchał.

Ellen skończyła modlitwy, ale Gerald, który nie mógł nigdy znaleźć różańca w porze modłów, zaczął liczyć zdrowaśki ukradkiem na palcach. Gdy zabrzmiał głos ojca, myśli Scarlett rozpieczęły się znowu mimo jej woli. Wiedziała, że powinna była wejrzeć w swoją duszę, Ellen pouczała ją, że pod koniec każdego dnia powinna robić rachunek sumienia, przyznawać się do licznych win i prosić Boga o przebaczenie i siłę do niepowtarzania ich więcej. Scarlett jednak zajęta była wyłącznie wglądaniem w swoje serce.

Opuściła głowę na splecione ręce, tak aby matka nie widziała jej twarzy, i myśli jej znowu powędrowały do Ashleya. Jakże on mógł zgodzić się na poślubienie Melanii, kiedy kochał ją, Scarlett? I kiedy wiedział, jak ona go kocha. Jakże mógł rozmyślnie łamać jej serce?

Aż nagle myśl nowa i świeża rozbłysła jak meteor w jej mózgu.

„Ależ Ashley wcale nie wie, że go kocham!” Omal nie wykrzyknęła na głos ze zdumienia. Wszystko w niej zamarło na długą, przejmującą chwilę, była jakby sparaliżowana, lecz po chwili odzyskała zdolność myślenia.

„Skąd miałby o tym wiedzieć? Zawsze zachowywałam się w stosunku do niego tak obojętnie, dystygowanie i sztywno, że prawdopodobnie myśli, iż jest mi obojętny i że cenię go tylko jako przyjaciela. Tak, i dlatego pewnie nic mi dotąd nie powiedział o swoich uczuciach! Przypuszczam, że miłość jego jest beznadziejna. I dlatego tak na mnie patrzył...”

Szybko wróciła wspomnieniem do tych czasów, kiedy łapała go na przyglądaniu się jej w dziwny sposób, kiedy szare jego oczy, tak doskonale skrywające myśli, były szeroko rozwarte i obnażone i kiedy malował się w nich wyraz udręki i rozpacz. „Jest zgnębiony, ponieważ myśli, że kocham Brenta, Stuarta lub Cade’a. I wydaje mu się, że skoro nie może mnie pojąć za żonę, lepiej, aby uległ woli rodziny i ożenił się z Melanią. Gdyby jednak wiedział, że ja go kocham...”

Z nastroju najgłębszej depresji Scarlett przeszła w nastrój podnieconej radości. To było powodem powściągliwości Ashleya i dziwności jego postępowania. Nie wiedział o niczym! Próżność przysła z pomocą pragnieniu wiary w tę możliwość i przypuszczenie

zamieniło się w pewność. Jeżeli Ashley dowie się, że Scarlett go kocha, pośpieszy do niej. Musi tylko...

„Och! - myślała ugniatając palcami pochylone czoło. - Jakaż ja byłam głupia, że nie pomyślałam o tym dotychczas! Muszę zastanowić się tylko, w jaki sposób mu to powiedzieć. Nie zaręczyliby się z Melanią, gdyby wiedział, że go kocham. Nie mógłby przecież!”

Naraz zdała sobie sprawę z tego, że Gerald skończył modlitwę, i że spoczywa na niej wzrok matki. Szybko zaczęła swoich dziesięć zdrowasiek, odliczając paciorki machinalnie, ale odmawiając modlitwę z tak głębokim wzruszeniem w głosie, że Mammy otworzyła oczy i obrzuciła ją badawczym spojrzeniem. Kiedy skończyła, i Zuela, a potem Karina odmawiały swoje, głowa jej jeszcze była pełna tych nowych, podniecających myśli.

Nawet teraz nie jest jeszcze za późno! Jakże często zdarzały się w powiecie skandale, gdy narzeczona czy narzeczony uciekali od ołtarza z kimś trzecim. A zaręczyny Ashleya nie są jeszcze nawet ogłoszone! Tak, jest jeszcze bardzo dużo czasu!

Jeżeli Ashleya z Melanią nie łączy miłość, a tylko dawno złożone przyrzeczenie, to chyba łatwo mu przyjdzie złamać obietnicę i ożenić się z nią, Scarlett? Z pewnością zrobi to, kiedy się dowie, że ona go kocha! Musi więc teraz postarać się powiedzieć mu to w jakiś sposób. Sposób już się znajdzie! A wtedy...

Scarlett została nagle wyrwana ze swoich rozkosznych marzeń, bo zapomniała przyłączyć się do chóru odpowiedzi na modlitwy i matka patrzyła na nią z wyrzutem. Kiedy dopełniła obrządku, otworzyła na krótką chwilę oczy i rzuciła szybkie spojrzenie na pokój. Klęczące postacie, łagodne światło lampy, cienie rzucone przez kiwających się Murzynów, nawet znajome przedmioty, które wydawały się jej tak nienawistne przed godziną, w jednej chwili przybrały barwę jej własnych wzruszeń; pokój stał się znowu miły i przyjemny. Nigdy nie zapomni tej chwili ani tej sceny!

- Dziewico Przenajświętsza - zaintonowała matka. Zaczynała się litania do Matki Boskiej. Scarlett więc posłusznie odpowiadała: „Módl się za nami”, gdy Ellen ciepłym altem sławiła przymioty Matki Bożej.

Jak zwykle od dzieciństwa chwilę tę Scarlett poświęcała bardziej uwielbieniu dla Ellen niż dla Najświętszej Panienki. Mimo że było to może bluźnierstwem, Scarlett poprzez zamknięte oczy widziała zawsze twarz Ellen, a nie Błogosławionej Dziewicy, kiedy zaś powtarzano prastare zdania: „Stolico mądrości”, „Rózo duchowna”, „Uzdrowienie chorych”, „Ucieczko grzesznych” - były to słowa piękne, ponieważ dotyczyły Ellen. Tego wieczora jednak, powodu zamętu w duszy, Scarlett w całym ceremoniale, w cicho mówionych słowach, w szepcie odpowiedzi odnajdywała piękno przewyższające wszystko, czego



doświadczyła dotychczas. I serce jej zwróciło się ku Bogu w szczerzej wdzięczności za to, że znalazła się ścieżka i dla jej stóp - wyprowadzająca ją z rozpaczki prosto w ramiona Ashleya.

Kiedy przebrzmiało ostatnie „Amen”, wszyscy wstali z pewnym trudem, a Mammy podźwignięta została na nogi wspólnym wysiłkiem Tiny i Róży. Pork wziął długi fidybus z kominka, zapalił go od płomienia lampy i poszedł do hallu. Naprzeciw kręconych schodów stał tam orzechowy kredens, zbyt wielki do jadalni, na nim zaś szereg lamp i świec w lichtarzach. Pork zapalił jedną lampę i trzy świece i z pełną pompą godnością pierwszego szambelana królewskiej sypialni, oświetlającego drogę parze królewskiej, poprowadził procesję na górę, trzymając światło wysoko nad głową. Ellen, wsparta o ramię Geralda, szła za nim, a potem dziewczynki, każda z własną świecą.

Scarlett weszła do swego pokoju, postawiła świecę na wysokiej komodzie i w ciemnej szafie poszukała sukni balowej, którą trzeba było naprawić. Zarzucając ją sobie na ramię, spokojnie przeszła przez korytarz. Drzwi pokoju rodziców były odemknięte; nim zdążyła zapukać, doszedł ją cichy, ale stanowczy głos Ellen.

- Panie O'Hara, powinien pan zwolnić ze służby Jonasza Wilkersona.

Gerald wybuchnął: - No i gdzie ja znajdę drugiego rządcę, który mnie nie będzie okradał?

- A jednak musi zostać zwolniony, natychmiast, jutro rano. Duży Sam jest dobrym nadzorcą i on go zastąpi do czasu przyjęcia innego rządcy.

- A więc to tak! - powiedział Gerald. - Tak, teraz rozumiem! Więc dobry Jonasz zrobił Emmie...

- Musi być zwolniony.

„A więc tak, więc on jest ojcem dziecka Emmy Slattery - pomyślała Scarlett. - Ach, ale czegoż można się spodziewać po Jankesie i takiej dziewczynie?”

Potem, po krótkiej pauzie, podczas której głos Geralda ucichł, zapukała do drzwi i dała matce sukienkę.

Kiedy Scarlett rozebrała się i zgasła świecę, plan jej działania na dzień następny opracowany był we wszystkich szczegółach. Był to plan prosty, bo z odziedziczoną po Geraldzie jednotorowością myśli cele swoje widziała przed sobą jasno i szła do nich po najprostszej drodze.

Przede wszystkim będzie „dumna”, jak zalecił jej Gerald. Od chwili przybycia do Dwunastu Dębów będzie możliwie najweselsza i w najlepszym humorze. Nikt nawet nie domyśli się, że była choć na chwilę przejęta sprawą Ashleya i Melanii. I będzie flirtowała z wszystkimi panami. To może okrutne w stosunku do Ashleya, tym bardziej będzie jej jednak

pragnął. Nie przepuści żadnemu mężczyźnie w odpowiednim do małżeństwa wieku, począwszy od starszawego, rudego Franka Kennedy, który zalecał się do Zueli, kończąc na nieśmiałym, spokojnym, rumieniącym się Karolu Hamiltonie, bracie Melanii. Mężczyźni będą roili się koło niej jak pszczoły koło ula i Ashley z pewnością odejdzie od boku Melanii i dołączy się do tej grupy wielbicieli. Potem w jakiś sposób Scarlett postara się o kilka minut rozmowy z nim z dala od tłumu gości. Miała nadzieję, że wszystko się tak odbędzie, jak obmyśliła, bo inaczej byłoby o wiele trudniej. Ale jeżeli Ashley nie zrobi pierwszego kroku, zrobi go ona.

Kiedy wreszcie znajdą się na osobności, on będzie miał świeżo przed oczyma obraz cisnących się ku niej innych mężczyzn, będzie pod wrażeniem, że każdy z nich stara się o nią, i w oczach jego znowu pojawi się owo spojrzenie pełne smutku i rozpacz. Ona wtedy pocieszy go od razu, mówiąc, że mimo swego powodzenia przenosi go nad wszystkich mężczyzn na świecie. I kiedy przyzna się do tego skromnie i słodko, będzie wyglądała bardzo obiecująco. Rozumie się, że robi to wszystko w sposób jak najbardziej dystyngowany. Nawet przez myśl jej nie przeszło, iż mogłaby mu otwarcie powiedzieć, że go kocha - tego mówić nie wypada. Ale sposób, w jaki mu to miała powiedzieć, był szczegółem, nad którym nie zastanawiała się wcale. Znała już takie sytuacje - po prostu więc przypomniała sobie jedną z nich.

Leżąc w łóżku, w mdłym świetle księżycy, wyobrażała sobie całą tę scenę. Widziała zdziwienie i radość na twarzy Ashleya, kiedy dowie się, że Scarlett jego tylko kocha, i słyszała słowa, jakie wypowie, prosząc ją, aby zechciała zostać jego żoną.

Oczywiście, iż wtedy będzie musiała powiedzieć, że nie może myśleć o poślubieniu mężczyzny, który jest zaręczony z inną, on jednak będzie nalegał, więc ona w końcu da się przekonać.

Potem postanowią uciec jeszcze tegoż dnia do Jonesboro i... Ach może jutro o tej porze Scarlett będzie już panią Wilkes!

Usiadła w łóżku obejmując kolana i przez długą i rozkoszną chwilę czuła się naprawdę panią Wilkes, młodą żoną Ashleya! Potem przejął ją lekki dreszcz. A jeśli nie wszystko uda się tak jak tego chce? Jeżeli Ashley nie zaproponuje jej wcale, aby z nim uciekła? Tę myśl odsunęła od siebie stanowczo.

„Nie chcę o tym teraz myśleć - postanowiła. - Jeżeli zacznę o tym myśleć teraz, będę się musiała martwić. Nie ma powodu, aby sprawy nie miały się ułożyć tak, jak tego chcę - jeżeli Ashley mnie kocha. Tego zaś jestem pewna!”

Podniosła podbródek i jasne jej oczy o ciemnych rzęsach zaślnęły w świetle księżycy.

Ellen nie powiedziała jej dotąd o tym, że pragnienie i osiągnięcie celu to dwie odmienne sprawy, życie nie nauczyło jej jeszcze, że nie zawsze ten wygrywa wyścig, kto biegnie najprędzej. Pełna odwagi leżała w srebrzystym cieniu i snuła plany takie, jakie zwykle snują szesnastolatki, których życie było tak przyjemne, że klęska wydaje się niemożliwością, ładna zaś suknia i czysta cera - wystarczającą bronią do walki z przeznaczeniem.

## ROZDZIAŁ V

Była godzina dziesiąta rano. Dzień kwietniowy był ciepły i złote światło słoneczne przenikało do pokoju Scarlett poprzez niebieskie firanki szerokiego okna. Kremowe ściany żarzyły się blaskiem, meble mahoniowe świeciły czerwienią wina, podłoga lśniła, jak gdyby była ze szkła, a dywaniki tworzyły na niej różnokolorowe plamy.

W powietrzu czuć już było zbliżanie się lata - georgijskiego, upalnego lata. Balsamiczne, łagodne ciepło przenikało do pokoju, ciężkie od zapachów kwiecista, świeżej zieleni drzew i wilgotnej, niedawno zoranej gleby. Z okna swego Scarlett mogła widzieć dwa rzędy żonkili tłoczących się wzdłuż wirowanego podjazdu i złote masy żółtego jaśminu, które chyliły ku ziemi ukwiecone gałązki. Drozdy i sójki, zajęte walką o posiadanie drzewka magnoliowego pod jej oknami, przekrzykiwały się wzajemnie - sójki ostro, kłótliwie, drozdy płaczliwie i cicho.

Takie urocze poranki zwykle wywabiały Scarlett do okna; oparta łokciami o szeroki parapet upajała się zapachami i dźwiękami Tary. Ale tego dnia nie zwróciła uwagi ani na słońce, ani na lazuruwe niebo, tylko pomyślała szybko: „Bogu dzięki, że nie pada”. Na łóżku leżała starannie złożona w dużym tekturowym pudełku zielona jedwabna suknia balowa, rozszywana koronką w kolorze *ecru*. Zapakowana już była na drogę do Dwunastu Dębów, gdzie Scarlett miała ją włożyć na bal. Scarlett jednak wzruszyła tylko ramionami na jej widok. Jeżeli plan jej powiezie się, nie będzie miała okazji nosić tej sukni. Na długo przed balem będzie z Ashleyem w drodze do Jonesboro. Kłopotliwym pytaniem było teraz - jaką suknię ma włożyć na barbakoe?

Która suknia najlepiej podkreśli jej wdzięki, w której spodoba się Ashleyowi najbardziej? I już od ósmej rano mierzyła i odrzucała suknie, teraz zaś stała zirytowana i pełna wątpliwości w koronkowych pantalonach, webowym staniczku i trzech webowych, sutych, przybranych koronką halkach. Rozrzucone części garderoby leżały dokoła na podłodze, łóżku, krzesłach, w barwnych stosach zmiętej materii i wstążek.

Różowa organdynowa z długą, ciemniejszą trochę szarfą była niezła, ale Scarlett nosiła ją ubiegłego lata podczas wizyty Melanii w Dwunastu Dębach i bała się, że Mela ją sobie przypomni. Czarna kreponowa, o bufiastych rękawach i koronkowym kołnierzu, wspaniale podkreślała białosc jej skóry, ale postarzała ją zbyt. Scarlett z niepokojem patrzyła w lustro na swoją twarz szesnastolatki, jak gdyby obawiała się, że dostrzeże na niej zmarszczki i obwisłość podbródka. Nie powinna wyglądać staro i poważnie, ponieważ

Melania jest słodka i dziewczęca. Niebieska muślinowa w pasy miała bardzo piękne wstawki z koronki i tiulu wokół brzegu, ale nie było jej w niej specjalnie do twarzy. Odpowiedniejsza byłaby raczej dla Kariny z tym jej delikatnym profilem i zamglonym spojrzeniem. Scarlett jednak wyglądała w niej jak pensjonarka. Nie wolno jej było tak wyglądać, ponieważ Melania była bardzo opanowana. Zielona z kraciastej tafty, o niezliczonych, oblamowanych aksamitkami falbankach, była bardzo twarzowa - Scarlett lubiła ją najwięcej, bo pogłębiała znakomicie zieloność jej oczu. Na przodzie stanika miała jednak najwyraźniej tłustą plamę. Można by było przypiąć w tym miejscu broszkę, cóż jednak będzie, jeżeli bystry wzrok Melanii wysledzi tę plamę? Pozostawały jeszcze różnokolorowe sukienki kretonowe, które nie były dość odświeżone na tę okazję, suknie balowe i zielona muślinowa w deseń, którą nosiła wczoraj. Była to jednak sukienka popołudniowa. Nie była odpowiednia na rano, gdyż miała króciutkie rękawki i głębokie wycięcie. Nie było jednak wyboru. Ostatecznie nie miała powodu zakrywać swojej szyi, ramion i piersi, choćby nawet absolutnie nie wypadało pokazywać ich przed południem.

Kiedy stała tak przed lustrem i wykręcała się, aby móc obejrzeć się z profilu, pomyślała, że figury swojej może się zupełnie nie wstydzić. Szyję miała krótką, ale okrągłą, ramiona pełne i poważne. Biust jej, wysoko podniesiony gorsetem, był bardzo ładny. Nigdy nie musiała wszywać jedwabnych poduszczynek w podszewkę stanika, jak to robiła większość szesnastoletnich dziewczynek dla uzyskania odpowiedniej figury i talii. Była bardzo zadowolona że odziedziczyła szczupłe białe ręce i małe stopy Ellen, i chociaż wołałaby może mieć do tego także i wzrost Ellen, była ze swego zupełnie zadowolona. „Jaka szkoda, że nie można pokazywać nóg” - myślała podnosząc halki i z żalem przyglądając się ich ładnej linii. Miała bardzo ładne nogi. Przyznawały jej to nawet dziewczęta w szkole w Fayetteville. Jeżeli zaś chodzi o jej talię - równie cienkiej nie miała żadna dziewczyna w Fayetteville, Jonesboro ani okolicy.

Myśl o talii przypomniła jej znowu sprawy praktyczne. Zielona muślinowa sukienka miała w talii siedemnaście cali, Mammy zaś zasnuwała jej gorset jak do czarnej kreponowej, która była o cal szersza, będzie więc ją musiała ścisnąć mocniej. Scarlett otworzyła drzwi i nasłuchiwała chwilę, aż dobiegł ją z hallu odgłos ciężkich kroków niani. Zawołała głośno i niecierpliwie, wiedząc, że może bezkarnie krzyżeć, bo Ellen jest w wędzarni, gdzie wydziela kucharce mięso.

- Są osoby, które myślą, że ja potrafię fruwać - odmruczała Mammy człapiąc po schodach. Weszła nadęta, z miną osoby, która oczekuje walki i gotowa jest ją stoczyć. W wielkich czarnych dłoniach niosła tacę z gorącym jedzeniem. Były tam dwa duże, ociekające

masłem yamy, sterta placków jęczmiennych, polanych syropem, wielki plaster szynki. Kiedy Scarlett zobaczyła to wszystko, irytacja w jej twarzy ustąpiła miejsca zaciętej złości. Podczas mierzenia sukien zapomniała o żelaznej zasadzie Mammy, że przed wyjazdem na jakąkolwiek zabawę panny O'Hara muszą tak się najęść w domu, aby nie mogły jeść na wizycie.

- Nic nie pomoże. Nie zjem tego. Możesz to zabrać z powrotem do kuchni.

Mammy postawiła tacę na stoliku i wzięła się pod boki.

- A właśnie, że zjesz! Ani mi się śni, aby znowu było to samo, co na ostatniej barbakoi, kiedy byłam zbyt chora po zjedzeniu dróbek, żeby ci podać tacę przed odjazdem. Musisz zjeść wszystko!

- A właśnie, że nie zjem! Chodź tutaj, Mammy, i zasznurowuj mnie ciaśniej, bo już późno. Słyszałam przed chwilą, że powóz zajechał przed dom.

Ton Mammy stał się przypochebny.

- Scarlett, bądź dobra i zjedz wszystko. Karina i Zuela zjadły wszystko, co im podałam.

- To na nie wygląda - powiedziała Scarlett lekceważąco. - Mają nie więcej rozumu niż królik. Ja jeść nie chcę! Znudzily mi się już te twoje tace. Nie zapomnę ci nigdy tego, że zmusiłaś mnie do najedzenia się w domu przed wizytą u Calvertów, i kiedy podano lody zrobione na lodzie sprowadzonym aż z Savannah, ja mogłam zjeść tylko łyżeczkę. Dziś chcę się dobrze bawić i jeść tyle, ile mi się spodoba.

Czoło Mammy na dźwięk tej strasznej herezji zmarszczyło się groźnie. To, co młodej panience wypada, a co nie wypada, było tak wyraźnie odgraniczone w umyśle niani jak czarne i białe; pośredniej drogi nie było. Zuela i Karina były w jej mocnych dłoniach ustepliwe jak glina i uwag jej słuchały z poszanowaniem. Ze Scarlett trzeba było zawsze stoczyć walkę, aby ją przekonać, że większość jej zachcianek jest niedystyngowana. Zwycięstwa nad Scarlett przychodziły Mammy trudno i używała do nich forteli, nie znanych białym ludziom.

- Możliwe, że tobie nie zależy na tym, co ludzie mówią o naszej rodzinie, ale mnie zależy - terkotała. - Nie będę stała spokojnie i przysłuchiwała się, jak wszyscy na zabawie mówią, że nie umiesz się zachowywać. Powtarzałam ci tysiąc razy, że prawdziwa dama je jak ptaszek. Nie pozwolę, abyś poszła na zabawę do państwa Wilkes i objadała się tam jak jaki parobek czy jak świnia.

- Mama jest prawdziwą damą, a przecież je - sprzeciwiła się Scarlett.

- Kiedy się jest zameżną, już jeść wolno - odparła Mammy. - Kiedy Miss Ellen była w twoim wieku, nigdy nic nie jadła na wizytach, tak samo jak ciocia Paulina i ciocia Eulalia.

Więc wszystkie powychodziły za mąż.

- Nie wierzę w to. Na tej barbakoi, kiedy ty byłaś chora i nie dałaś mi nic do jedzenia przed wyjazdem, Ashley Wilkes powiedział mi, że lubi, kiedy młoda panna ma zdrowy apetyt.

- To, co panowie mówią, i to, co myślą, to dwie różne rzeczy. Nie zauważyłam też, aby pan Ashley oświadczył ci się kiedykolwiek.

Scarlett zachmurzyła się, chciała coś powiedzieć, ale się powstrzymała. Mammy dotknęła ją tak, że nic nie mogła odpowiedzieć. Widząc wyraz uporu na twarzy Scarlett Murzynka zabrała tace i z właściwą swojej rasie łagodną chytrą zmienila taktykę Kierując się ku drzwiom westchnęła żałośnie.

- No, więc już dobrze. Mówiłam kucharce, kiedy przygotowywała to śniadanie: „Zawsze można poznać prawdziwą damę po tym, że nic nie je” i powiedziałam, że nigdy nie widziałam białej pani, która by mniej jadła od panny Meli Hamilton, kiedy była ostatni raz z wizytą u pana Ashleya - myślę, kiedy była u panny Indii.

Scarlett rzuciła podejrzliwe spojrzenie w stronę Mammy, ale szeroka twarz Murzynki wyrażała zupełną niewinność i żal, że Scarlett nie jest taką damą jak Melania Hamilton.

- Postaw tu tę tacę i zasznurowuj mnie ciaśniej - rzekła Scarlett ze złością. - Postaram się potem coś zjeść. Gdybym zjadła teraz, nie mogłabyś mnie ścisnąć dość mocno.

Maskując swój tryumf Mammy postawiła tacę.

- A co mój koteczek włoży?

- To - rzekła Scarlett wskazując na puszystą masę kwiciastego, zielonego muślinu. W jednej chwili Mammy nasrożyła się znowu.

- Nie, tej sukni nie włożysz. Jest nieodpowiednia na rano. Nie wypada odkrywać szyi przed godziną trzecią, a ta suknia ma krótkie rękawy i duży dekolt. Dostaniesz z pewnością piegów, a ja tego nie chcę, bo dość się namęczyłam smarując cię przez całą zimę serwatką, abyś pozbyła się tych piegów, któreś dostała na słońcu w Savannah. Muszę o tym koniecznie powiedzieć mamie.

- Jeżeli powiesz jej jedno słowo, zanim się ubiorę, nie zjem ani kęsa - rzekła Scarlett chłodno. - Kiedy będę ubrana, nie będzie już czasu, abym się znowu przebierała.

Mammy westchnęła z rezygnacją, bo czuła, że jest pokonana. Z dwojga złego lepiej było, aby Scarlett nosiła poobiednią suknię rano, niż żeby objadała się jak prosię.

- Oprzyj się o coś i wstrzymaj oddech - rozkazała.

Scarlett usłuchała i wypięła się mocno, trzymając się łóżka.

Mammy ciągnęła sznurówkę i szarpała ostro, a kiedy niewielka objętość opancerzonej

fiszbankami talii Scarlett jeszcze się zmniejszyła, duma i rozczenie ukazały się w jej oczach.

- Nikt nie ma tak cienkiej talii jak moje kociątko - rzekła z zadowoleniem. - Ile razy ściągłam Zuelę ciaśniej niż na dwadzieścia cali, prawie mi mdleje.

- Uff! - westchnęła Scarlett ledwie mogąc mówić. - ja nigdy w życiu nie zemdlałam.

- No, nic by nie szkodziło, gdybyś od czasu do czasu mdlała - radziła Mammy. - Taka jestem czasem zuchwała, Scarlett. Chciałam ci już dawno powiedzieć, że to wcale dobrze nie wygląda, że nie mdlejesz, jak widzisz węża czy mysz, czy coś takiego. Nie jak jesteś w domu, ale w towarzystwie. A ja ci przecież mówiłam...

- Och, pośpiesz się! Nie mów tyle. Zobaczysz, że złapię męża. Mimo że nie mdleję i nie płaczę. Ach, mój Boże, ależ mi ciasno! Wkładaj suknię.

Mammy ostrożnie narzuciła dwanaście jardów zielonego muślinu na obszerne halki i zaczęła zapinać z tyłu ciasny, głęboko wycięty stanik.

- Noś szal na ramionach, gdy będziesz na słońcu, i nie zdejmuj kapelusza, nawet jak ci będzie gorąco - nakazywała. - Inaczej wrócisz do domu tak opalona jak stara pani Slattery. Teraz zjedz coś, kochanie, ale nie jedz za prędko. Nie trzeba, aby cię to zemdliło.

Scarlett posłusznie usiadła przed tacą, zastanawiając się, czy potrafi oddychać, kiedy wepchnie w siebie parę kęsów jedzenia. Mammy wzięła duży ręcznik i starannie owiązała go dookoła jej szyi, ściągając białe fałdy nisko na stanik. Scarlett zaczęła od szynki, bo bardzo szynkę lubiła, i żuła wolniutko.

- Chciałabym już jak najprędzej wyjść za mąż - rzekła z żalem, zabierając się ze wstrętem do jarzyny. - Znudziło mi się ciągle udawać i nigdy nie móc robić tego, co chcę. Znudziło mi się udawać, że jem jak ptaszek, i chodzić, kiedy właśnie mam ochotę biegać, i mówić, że słabo mi po walcu, kiedy mogłabym tańczyć przez dwa dni i nie czuć zmęczenia. Znudziło mi się mówić: „Jaki pan nadzwyczajny!” do głupich chłopców, którzy nie mają nawet ćwierci tego rozumu co ja, i udawać, że nic nie rozumiem, aby mężczyźni mogli mi wszystko tłumaczyć i aby byli dumni, że to robią... Nie mogę już jeść.

- Zjedz jeszcze kawałek placka - rzekła Mammy nieubłaganie.

- Dlaczego dziewczyny muszą udawać idiotki, żeby złapać męża? - Może dlatego, że panowie nie wiedzą, czego chcą. Tylko im się zdaje, że wiedzą. I jeżeli daje im się to, czego oczekują, zaoszczędza się sobie wielu przykrości i nie zostaje się starą panną. Bo, widzisz, im się wydaje, że lubią małe dziewczyneczki o ptasich apetytach i ptasich rozumach. Panowie nie lubią się żenić z panienkami, które mają więcej rozumu od nich.

- A jak ci się zdaje, czy mężczyźni nie dziwią się po ślubie, kiedy okazuje się, że żony ich są rozumne? W przyszłości będą robiła i mówiła tylko to, co zechcę, a jeżeli to się



ludziom nie spodoba, będzie mi wszystko jedno.

- Nie, nie będziesz tak robiła - powiedziała Mammy z gniewem. - Nie będziesz tak robiła, póki ja żyję. Zjedz te placki. Zamocz je w sosie.

- Mam wrażenie, że Jankeski wcale nie muszą udawać takich gęsi. Kiedy byliśmy zeszłego roku w Saratoga, zauważyłam, że wiele z nich tak postępuje, jak gdyby miały własny rozum, i to nawet w obecności mężczyzn.

Mammy parsknęła.

- Jankeski! Możliwe, że mówią to, co myślą, ale nie widziałam, żeby się wiele z nich zaręczyło w Saratoga.

- Ale Jankesi także chyba się żenią - sprzeciwiła się Scarlett. - Nie wyrastają przecież z ziemi. Muszę się chyba żenić, aby mieć dzieci. A jest ich przecież tylu.

- Ich mężczyźni żenią się tylko dla pieniędzy - odpowiedziała Mammy stanowczo.

Scarlett umoczyła placek jęczmienny w sosie i zaczęła powoli jeść. Może Mammy i miała trochę racji. Musiało być w jej słowach nieco prawdy, bo i Ellen mówiła to samo, choć inaczej i bardzo oględnie. To prawda, że matki wszystkich jej koleżanek kładły swoim córkom do głowy, aby starały się udawać bezradne, czułe stworzenia o płochliwych spojrzeniach. Wprawdzie już przyjmowanie i utrzymywanie takiej pozy wymagało rozumu.

Możliwe, że jest zbyt porywczą. Czasem sprzeczała się z Ashleyem i szczerze wypowiadała swoje poglądy. Może właśnie to i jej zdrowe zadowolenie z długich spacerów i jazdy konnej odwróciło go od niej ku delikatnej Melanii. Może gdyby zmieniła swoją taktykę... Czuła jednak, że gdyby Ashley uległ jej kobiecym sztuczkom, nie potrafiłaby go już nigdy szanować. Mężczyzna, który jest dość głupi, aby dać się nabrać na mizdrzenie się, mdlenie i okrzyki: "...Och, jaki pan nadzwyczajny!", nie jest wart zachodu. Wszyscy jednak bez wyjątku zdawali się to lubić.

Jeżeli Scarlett stosowała dawniej złą taktykę wobec Ashleya - należało to już do minionej przeszłości. Dziś próbuje innej, właściwszej. Kochała go bardzo i tylko kilka godzin zostało jej na to, by go zdobyć. Jeżeli zemdlenie prawdziwe czy udane pomoże - postara się zemdleć. Jeżeli wdziękzenie się, kokieteria czy pustota spodoba ją mu się więcej, będzie z rozkoszą udawała głupią gąskę, głupszą jeszcze od Kasi Calvert. Jeżeli zaś okażą się potrzebne mocniejsze środki, ucieknie się do nich. Dziś albo nigdy. Nie było nikogo, kto by mógł Scarlett powiedzieć, że jej własne usposobienie, mimo że przeraźliwie żywe, było daleko bardziej interesujące od wszelkich masek, jakie by mogła nałożyć. Gdyby ktoś jej to powiedział, byłaby zadowolona, ale nie uwierzyłaby zapewne. A epoka, w której żyła, także by w to nie mogła uwierzyć, bo nigdy, przedtem ani potem, naturalność kobieca nie stała tak

nisko w cenie.

W powozie, który unosił ją po czerwonej drodze w stronę plantacji Wilkesów, Scarlett odczuwała połączone z wyrzutami sumienia zadowolenie, że matki jej ani Mammy nie będzie na zabawie. Na barbakoi nie będzie nikogo, kto by lekkim podniesieniem brwi czy zmarszczeniem czoła mógł przeszkodzić jej planowi działania. Pewnie, że Zuela z pewnością naplotkuje na nią nazajutrz, ale jeżeli wszystko pójdzie tak, jak Scarlett tego pragnęła, zdenerwowanie rodziny z powodu jej zaręczyn z Ashleyem czy też ucieczki z nim na pewno każe im zapomnieć o wszystkim innym. Tak, była bardzo rada, że Ellen musiała zostać w domu.

Gerald, wypiwszy dla animuszu parę kieliszków koniaku, wymówił rano posadę Jonaszowi Wilkersonowi, Ellen została więc w Tarze, aby przed odejściem rządcy przejrzeć rachunki. Scarlett pocałowała matkę na pożegnanie w małym kantorku, gdzie Ellen siedziała przed założonym papierami sekretarzykiem. Jonasz Wilkerson trzymając kapelusz w ręce stał obok niej, z trudem ukrywając na smagłej, pociągłej twarzy wściekłość z powodu tak bezceremonialnego zwolnienia go z najlepszej w całym powiecie posady. I wszystko to z powodu głupich zalecanek! Powtarzał Geraldowi bez końca, że dziecko Emmy Slattery mogło być równie dobrze spłodzone z nim, jak z kilkunastoma innymi mężczyznami - w co Gerald łatwo uwierzył, ale co mu bynajmniej nie pomogło w oczach Ellen. Jonasz nienawidził wszystkich południowców. Nie cierpiał ich chłodnej uprzejmości w stosunku do niego i pogardy dla jego pozycji społecznej, bardzo dokładnie tą uprzejmością pokrywanej. Najbardziej zaś nienawidził Ellen O'Hara, ponieważ stanowiła symbol tego wszystkiego, co było dlań w południowcach nienawistne.

Mammy, jako najstarsza z kobiet plantacji, została z Ellen, aby jej pomóc, na koźle więc obok Tobiasza siedziała Dilcey, trzymając na kolanach w długim pudle suknie balowe pańienek. Gerald cwałował obok powozu na swoim wielkim koniu, rozgrzany koniakiem i zadowolony, że tak się szybko załatwił z nieprzyjemną sprawą Wilkersona. Zrzucił odpowiedzialność na Ellen i wcale się nie zastanawiał nad przykrością, jaką sprawiła jej niemożność pojechania na zabawę i spotkania z przyjaciółmi, dzień bowiem był śliczny, pola jego były piękne, ptaki śpiewały, a on czuł się tak młodo i beztrosko, że nie mógł myśleć o niczym i nikim. Od czasu do czasu nucił głośno ludowe irlandzkie piosenki albo żalony „Lament nad Robertem Emmetem”.

*Daleko ta ziemia, gdzie grób bohatera...*

Był zadowolony, przyjemnie podniecony perspektywą spędzenia dnia na głośnych rozmowach o Jankesach i wojnie i dumny z widoku trzech ślicznych córek, siedzących w

kolorowych krynolinkach pod małymi, zabawnymi umbrellkami z koronki. Ani jednej myśli nie poświęcił swojej rozmowie ze Scarlett, bo zupełnie wyleciała mu z głowy. Myślał o tym tylko, że Scarlett jest

ładna, że może się nią pochwalić i że dnia tego oczy jej są tak zielone jak wzgórza Irlandii. Ostatnia myśl - ponieważ było w niej nieco poezji - spowodowała, że nabrał o sobie lepszego mniemania, więc zaintonował głośno i trochę fałszywie „Zielony nasz sztandar”.

Scarlett patrząc na ojca z czułym lekceważeniem, jakie matki często mają dla swych małych zarozumiałych synów, wiedziała dokładnie, że o zachodzie słońca będzie pijany w sztok. Wracając do domu w ciemności będzie jak zwykle usiłował przesadzać wszystkie płoty między Dwunastu Dębami a Tarą, należało więc mieć nadzieję, że z pomocą Opatrzności i instynktu swego konia nie skręci karku. Zapomni o moście, przejedzie rzekę wpraw, wróci do domu rycząc głośno i zostanie ułożony do snu na sofie w kantorku przez Porka, który podczas takich okazji zawsze czuwał w hallu frontowym. Zniszczy zupełnie swoje nowe szare sukienne ubranie, co rano go mocno rozzłości, a potem będzie opowiadał Ellen długo i szeroko, jak to koń jego spadł w ciemności z mostka - co będzie oczywistym kłamstwem, w które nikt nie uwierzy, ale które wszyscy przyjmą za dobrą monetę - aby Gerald mógł być dumny ze swojej przebiegłości.

„Papa jest przemiłym, samolubnym, nieodpowiedzialnym człowiekiem” - myślała Scarlett w nagłym przyplywie czułości do niego. Była tak zadowolona i podniecona tego ranka, że sympatią swoją ogarniała świat cały, nie wyłączając Geralda. Była śliczna i wiedziała o tym. Pewna była, że zdobędzie sobie Ashleya jeszcze przed wieczorem; słońce grzało ciepło i łagodnie, a wspaniała wiosna Georgii roztaczała się przed jej oczyma. Wzdłuż drogi krzaczki jeżyn zielenią swoich listków zakrywały czerwone wyrwy, wyżłobione zimowymi deszczami, a nagie głązy granitu, wystające gdzieniegdzie z ziemi, chowały się pod gałązkami dzikich róż, otoczone wieńcem nisko rosnących bladoliliowych fiołków. Na zalesionych wzgórzach nad rzeką kwiaty dereniu świeciły ostrą białością, jak gdyby jeszcze śnieg leżał między zielenią. Kwitnące dzikie jabłonie stały osypane białym i różowym kwieciami, pod drzewami zaś tam, gdzie światło słoneczne plamiło podszycie, dzikie powoje słały się jak różnokolorowy, czerwony, pomarańczowy, koralowy dywan. Powiew wiatru przynosił delikatną woń kwitnących krzewów i świat cały pachniał jak najwspanialszy przysmak.

„Do samej śmierci nie zapomnę tego cudnego dnia - myślała Scarlett. - Może będzie dniem mego ślubu”.

I z drżeniem serca wyobrażała sobie, jak oboje z Ashleym będą jechali szybko przez

ten ukwiecony, zielony świat, po południu lub nazajutrz w nocy, do Jonesboro i do księdza. Rozumie się, że będą musieli wziąć powtórny ślub przed księdzem w Atlancie, to jednak będzie już sprawą Geralda i Ellen. Czuła się niezbyt pewnie, gdy myślała, jak blada ze zmartwienia będzie Ellen, gdy się dowie, że rodzona jej córka uciekła z narzeczonym innej dziewczyny, wiedziała jednak, że matka wszystko przebaczy, gdy się dowie o jej szczęściu. Gerald zaś będzie wymyślał i krzyczał, ale mimo swoich wczorajszych uwag, że nie pozwoliłby jej nigdy wyjść za Ashleya, będzie niezwykle zadowolony ze spowinowacenia się z rodziną Wilkesów.

„O to wszystko zacznę się kłopotać już po ślubie” - myślała odsuwając od siebie te troski.

I Scarlett oddała się obezwładniającej radości w tym słońcu, w tej budzącej się wiosnie, tym bardziej że dachy Dwunastu Dębów zaczynały się już ukazywać za rzeką.

„Będę tam mieszkała przez całe życie, przeżyję pięćdziesiąt lub więcej takich samych wiosen, a dzieciom moim i wnukom opowiem, jak piękna była ta wiosna, najpiękniejsza ze wszystkich”. Tak ją ta myśl rozradowała, że przyłączyła się do ostatniej zwrotki „Zielonego sztandaru”, czym zyskała sobie hałaśliwą aprobatę Geralda.

- Nie rozumiem, z czego się tak dziś cieszysz - rzekła złośliwie Zuela, która jeszcze ciągle rozmyślała nad tym, że jednak w balowej zielonej sukience Scarlett wyglądałaby o wiele ładniej od jej prawej właścicielki. Dlaczego też ta Scarlett nigdy nie chciała jej pożyczać swoich sukien i czepków? I dlaczego mama zawsze stawała po jej stronie i mówiła, że Zueli jest nie do twarzy w zielonym? - Wiesz równie dobrze jak ja, że dziś zostaną ogłoszone zaręczyny Ashleya. Papa mi to rano powiedział. A przecież wiem, że się w nim durzysz od dawna.

- No, i co jeszcze wiesz? - zapytała Scarlett pokazując siostrze język i wcale nie tracąc dobrego humoru. Jakże zdumiona będzie panna Zuzanna jutro o tej porze!

- Zuziu, wiesz dobrze, że tak nie jest - sprzeciwiła się Karina. - To przecież Brent podoba się Scarlett. Scarlett zwróciła uśmiechnięte spojrzenie na młodszą siostrę dziwiąc się, jak może istnieć na świecie istota tak łagodna. Cała rodzina wiedziała, że Karina oddała swoje trzynastoletnie serce Brentowi Tarletonowi, który nie myślał o niej nigdy inaczej jak o małej siostrzyczce Scarlett. Pod nieobecność Ellen wszyscy O'Harowie dokuczali jej z tego powodu do łez.

- Kochanie, zapewniam cię, że nie dbam wcale o Brenta - oświadczyła Scarlett, dość rozradowana, aby być wspaniałomyślną. - I on wcale o mnie nie dba. Przecież on czeka, aż urośniesz!

Mała okrągła twarzyczka Kariny pokryła się rumieńcem. Dziewczynka nie wiedziała, czy ma wierzyć, czy nie.

- Och, Scarlett, czy naprawdę?

- Scarlett, wiesz dobrze, iż mama powiedziała, że Karina jest za młoda, aby myśleć o chłopcach, a ty nagle zwracasz jej tym głowę!

- No, więc idź do mamy i poskarż się, jeżeli masz ochotę - odrzekła Scarlett - chcesz, aby mała była jak najdłużej posłusznym dzieckiem, bo czujesz, że za rok będzie z pewnością ładniejsza od ciebie.

- Jeżeli nie przestaniecie mi się dzisiaj sprzeczać, to zdziele was szpicrutą - ostrzegł Gerald. - Cicho mi zaraz! Zdaje mi się, że słyszę turkot kół. To będą chyba Tarletonowie albo Fontaine'owie.

Kiedy zbliżyli się do skrzyżowania dróg, które po zboczu gęsto zalesionych pagórków prowadziły z Mimozy i Fairhill, stukot kopyt i turkot kół stał się wyraźniejszy, a ostre głosy kobiece, przekomarzające się wesoło, rozległy się zza zasłony drzew. Gerald wysunąwszy się naprzód wstrzymał konia i dał Tobiaszowi znak, aby przystanął na rozstaju.

- To jadą panie Tarleton - oświadczył swoim córkom z wyrazem rozradowania na rumianej twarzy, bo poza Ellen najwięcej ze wszystkich kobiet lubił rudą panią Tarleton. - I ona sama powozi. Ach, to dopiero kobieta, która ma ręce jak stworzone do konia! Lekkie, mocne jak bat, i mimo to tak ładne, że tylko je całować. Wielka szkoda, że żadna z was nie ma takich rąk - dodał rzucając czułe, ale krytyczne spojrzenie na córki. - Karina boi się koni. Zuzia ma ręce jak z żelaza, kiedy się bierze do cugli, a ty, kotku...

- Możliwe, ale mnie w każdym razie koń nigdy nie zrzucił - rzekła Scarlett z oburzeniem. - Pani Tarleton zaś zlatuje z konia na każdym polowaniu.

- I łamie sobie obojczyk jak mężczyzna - rzekł Gerald. - Ani nie mdleje, ani się nie pieści. Ale teraz dość o tym, bo oto już i one.

Podniósł się w strzemionach i dwornym ruchem zdjął kapelusz, kiedy za zakrętem ukazał się powóz Tarletonów, pełen dziewcząt w kolorowych sukniach, parasolek i powiewających szalów. Na koźle, jak Gerald z daleka zauważył, siedziała pani Tarleton. W powozie, mieszczącym cztery jej córki, piastunkę i suknie balowe w długich tekturowych pudełkach, nie starczyłoby już miejsca dla stangreta. Poza tym zaś, Beatrice Tarleton nigdy chętnie nie pozwalała, aby ktokolwiek, czarny czy biały, trzymał lejce, kiedy jej dłonie nie były zajęte. Szczupła, wąsko zbudowana, tak blada, że wydawałoby się, iż płomienne jej włosy wyciągnęły wszystek pigment z twarzy, była jednakowoż uosobieniem zdrowia i niewyczerpanej energii. Urodziła ośmioro dzieci, równie rudych i żywych jak ona, i

wychowała je bardzo dobrze, bo jak mówiono w okolicy, darzyła je taką samą miłością i surową dyscypliną - jak hodowane przez siebie źrebięta. „Trzeba je trzymać w karbach, ale nigdy nie należy ich łamać” - brzmiała dewiza pani Tarleton.

Kochała konie i stale o nich mówiła. Rozumiała je i potrafiła się obchodzić z nimi lepiej od jakiegokolwiek mężczyzny z okolicy. Żrebaki z paddocku wychodziły na trawnik przed domem, podobnie jak i ośmioro dzieci, które nie mogły się pomieścić w domu na wzgórzu; żrebaki, synowie jej, córki i psy myśliwskie chodziły za nią, kiedy robiła obchód plantacji. Przypisywała koniom, zwłaszcza zaś kasztance swojej, Nelly, ludzką inteligencję, a kiedy zajęcia domowe zatrzymywały ją tak, że nie mogła się o zwykłej porze wyrwać na codzienną przejażdżkę, wręczała małemu Murzynkowi cukierniczkę i mówiła: - Daj Nelly trochę cukru i powiedz jej, że zaraz przyjdę.

Z wyjątkiem rzadkich okazji, pani Tarleton chodziła stale w stroju do konnej jazdy, bo czy wybierała się na przejażdżkę, czy nie, zawsze miała zamiar pojeździć konno i dlatego już rano kładła amazonkę. Każdego ranka, w pogodę czy deszcz, siodłano Nelly i prowadzono ją tam i z powrotem przed domem w oczekiwaniu, aż pani Tarleton oderwie się na godzinkę od swoich obowiązków. Fairhill była trudną do prowadzenia plantacją, więc czas niełatwo było znaleźć, przeważnie też Nelly spacerowała całymi godzinami tam i z powrotem, a Beatrice Tarleton chodziła koło swoich zajęć z trenem amazonki, zarzuconym na rękę, świecąc po domu lakierem wysokich butów.

Tego dnia, ubrana w matową, czarną suknię jedwabną o bardzo niewielkiej, niemodnej krynolinie, pani Tarleton wyglądała wcale nie inaczej niż w amazonce, bo suknia była uszyta równie skromnie jak kostium do konnej jazdy, mały zaś czarny kapelusik o długim piórze, spadającym na piwne oko, stanowił dokładną kopię starego kapelusza, który nosiła na polowania.

Strzeliła z bata widząc Geralda i zatrzymała parę swoich niespokojnych koni, cztery zaś dziewczynki wychyliły się z powozu i wydały tak głośne okrzyki powitalne, że kasztany zaczęły się wspinać z przestachu. Przypadkowy obserwator mógłby przypuszczać, że od ostatniego widzenia się Tarletonów z O’Harami minęły lata, kiedy w istocie minęło dwa dni. Panny Tarleton jednak były bardzo towarzyskie i lubiły swoich sąsiadów, specjalnie zaś panny O’Hara. To znaczy lubiły Zuelę i Karinę. Żadna panna w okolicy, z wyjątkiem może tylko głupiej Kasi Calvert, nie lubiła Scarlett naprawdę.

Latem w powiecie odbywały się pieczenia wołów i bale prawie co tydzień, ale dla rudych panien Tarleton z ich prawie nigdy nie słabnącym zapałem do zabaw, każda barbakoia i każdy bal był sprawą tak podniecającą, jak gdyby był pierwszym w ich życiu. Dziewczęta te

były ładne i wesołe i tak teraz ściśnięte w powozie, że krynoliny ich i falbanki wystawały na zewnątrz, a parasolki tręcały się co chwila i zderzały nad dużymi kapeluszami z florenckiej słomki, przybranymi różami i czarnymi aksamitkami. Pod rondami kapeluszy widać było wszystkie odcienie rudych włosów - czerwone włosy Hetty, złocistoblonde Kamili, miedzianokasztanowate Randy i marchewkowe - małej Betsy.

- Udała się pani ta gromadka, łaskawa pani - rzekł Gerald szarmancko, wstrzymując konia koło powozu. - Ale trudno im będzie dorównać matce.

Pani Tarleton mrugnęła okiem i przygryzła z kokieterią dolną wargę, dziewczynki zaś zaczęły wołać: „Mamo, przestań robić oko, bo poskarżymy się papie!” „Słowo daję, panie O’Hara, że mama nigdy nie daje nam dojść do słowa, kiedy zjawia się tak przystojny mężczyzna jak pan”.

Scarlett wraz z innymi śmiała się z tych żartów, ale jak zwykle, swoboda, z jaką panny Tarleton traktowały swoją matkę, dotknęła ją w niewytłumaczony sposób. Zachowywały się w stosunku do matki, jak gdyby była ich rówieśniczką i nie miała więcej niż szesnaście lat. Scarlett myśl sama, że mogłaby tego rodzaju słowa zwrócić do matki, wydawała się bluźnierstwem. A jednak, jednak - stosunek tych dziewcząt do matki był bardzo przyjemny, bo ubóstwiały ją mimo krytykowania jej, łajania i dokuczania. Nie znaczyło to, iżby Scarlett choć przez chwilę myślała, że wołałaby matkę taką jak pani Tarleton - ale przecież czuła, że przyjemnie byłoby móc bawić się razem z matką. Czuła jednak, że nawet taka myśl stanowi nielojalność w stosunku do Ellen, więc bardzo się jej zawstydziła. Wiedziała, że podobne myśli nigdy nie trapią czterech główek pod strzechami rudych włosów i jak zwykle, kiedy czuła się inna od swoich sąsiadek, ogarnęła ją niejasna irytacja.

Mimo że Scarlett potrafiła szybko myśleć i wszelka analiza była jej obca, czuła przecież na wpełń świadomie, że chociaż dziewczęta Tarletonów były rozbrykane jak żrebaki i dzikie jak koty w marcu, miały w sobie pewną jednolitość, która stanowiła część ich dziedzictwa. Zarówno ze strony ojca, jak i matki były prawdziwymi córami Georgii, północnej Georgii, i wnuczkami pionierów. Były pewne siebie i swego otoczenia. Wiedziały instynktem, gdzie przynależą, podobnie jak Wilkesowie, od których tak bardzo się różniły - i nie było w nich nigdy takich konfliktów jak te, które szalały w piersi Scarlett, gdy krew spokojnej, przerafinowanej arystokratki z wybrzeża walczyła o lepsze z mocną, przyziemną krwią irlandzkiego chłopca. Scarlett chciałaby móc wielbić i szanować matkę jak świętą, a jednocześnie ciągnąć ją za włosy i móc jej dokuczać. I wiedziała, że musi się zdecydować na jedno lub drugie. Podobne uczucia rozdzierały ją w towarzystwie chłopców - kiedy jednocześnie chciała uchodzić za delikatną i dobrze ułożoną młodą damę, zarazem zaś być tak

prostą jak hoża dziewoja, której można skraćć parę całusów.

- Gdzie jest Ellen? - zapytała pani Tarleton.

- Wymówiła posadę naszemu rządcy i została w domu, aby przejrzeć z nim rachunki.

A gdzie pan Tarleton i chłopcy?

- Och, wyjechali do Dwunastu Dębów już dawno, aby spróbować ponczu i przekonać się, czy dość mocny, jak gdyby obawiali się, że nie zdążą tego zrobić w ciągu dzisiejszego dnia i nocy! Mam zamiar poprosić Jana Wilkesa, aby ich przenocował, nawet jeżeli będą musieli spać w stajni. Pięciu podpitych mężczyzn to dla mnie za dużo. Trzem mogę ostatecznie dać radę, ale...

Gerald pośpiesznie przerwał jej, aby zmienić temat. Czuł, że córki śmieją się za jego plecami, przypominając sobie zapewne, w jakim stanie on sam przyjechał rok temu z zabawy u Wilkesów.

- A dlaczego łaskawa pani nie jedzie dzisiaj konno? Zupełnie pani niepodobna jest do siebie bez Nelly. Przecież pani to istny stentor.

- Stentor, mój panie nieuku? - zawołała pani Tarleton przedrzeźniając Geralda. - Chciał pan powiedzieć centuar. Stentor to był człowiek o głosie donośnym jak dzwon mosiężny.

- Stentor czy centuar, to tam wszystko jedno - odrzekł Gerald nie zmieszany swoją pomyłką, - A pani dobrodziejka także ma głos jak dzwon, kiedy zwołuje pani swoje psy!

- A widzisz, mamó, czego się doczekałaś - rzekła Hetty. - Mówiłam ci, że wrzeszczysz jak dzikus, kiedy wytropisz lisa.

- Ale nie tak głośno jak ty, kiedy niania ci uszy myje - odgryzła się pani Tarleton. - A masz już przecież szesnaście lat. Co do tego zaś, dlaczego nie jadę dziś wierzchem - no, bo Nelly ożrebiła się dziś wczesnym rankiem..

- Co też pani mówi! - zawołał Gerald z prawdziwym zainteresowaniem, w oczach zaś zaświeciła mu typowa dla Irlandczyka miłość do koni. Scarlett znowu poczuła zakłopotanie, porównując swoją matkę z panią Tarleton. Dla Ellen klacze nigdy się nie żrebiły ani krowy nie cielily. Ba, nawet kury nie składały jaj. Ellen spraw tych po prostu nie dostrzegała. Pani Tarleton jednak nie miała podobnych skrupułów.

- I co się urodziło, czy klaczka?

- Nie, mały śliczny ogierek o nogach długich na dwa łokcie. Musi go pan obejrzeć, panie O'Hara. To prawdziwy koń Tarletonów. Kasztanowaty jak loki Hetty.

- I nawet bardzo podobny do Hetty - powiedziała Kamila i potem z krzykiem skryła się pod masą spódnic, pantalonów i kapeluszy, kiedy Hetty, która rzeczywiście miała długą



twarz, zaczęła ją szczypać.

- Moje własne cztery kłaczki są już dziś od rana nieprzytomne - rzekła pani Tarleton. - Wierzgają od chwili, gdy dowiedzieliśmy się rano o zaręczynach Ashleya z tą małą jego kuzynką z Atlanty. Jak jej na imię? Melania? To miłe dziecko, bardzo dobre, ale nigdy nie mogę zapamiętać ani jej imienia, ani twarzy. Nasza kucharka jest żoną lokaja Wilkesów i to właśnie on przyszedł do niej wczoraj wieczorem z nowiną, że zaręczyny Ashleya ogłoszone zostaną dziś wieczorem, a kucharka powiedziała nam o tym dziś rano. Dziewczynki są tym bardzo podniecone, chociaż ja nie mogę zrozumieć, dlaczego. Wszyscy od wielu lat wiedzieli, że Ashley ożeni się z Melanią, jeżeli nie poślubi którejś ze swoich innych kuzynek, panien Burr z Macon. Tak samo, jak wiadomo powszechnie, że Honey Wilkes wyjdzie za brata Melanii, Karola. Niech mi pan powie, panie O'Hara, czy rzeczywiście Wilkesowie uważają związki małżeńskie poza swoją rodziną za nielegalne? Bo jeżeli...

Scarlett nie słyszała już reszty żartobliwych słów pani Tarleton. Przez jedną krótką chwilę wydało jej się, jak gdyby słońce skryło się za ciemną chmurą, przykrywając świat cieniem, odzierając go z barw. Młoda zieleń wyglądała wątłe, głogi - blade, rozkwitłe zaś dzikie jabłonie, tak pięknie różowe przed chwilą - wyblakłe i ponuro. Schwyciła się kurczowo poduszek powozu, a parasolka zakołysała się w jej dłoni. Co innego było wiedzieć o zaręczynach Ashleya, a co innego - słyszeć, jak ludzie rozmawiają o tym obojętnie. Po chwili wróciła jej odwaga, słońce zajaśniało znowu i krajobraz odzyskał barwy. Uświadomiła sobie, że Ashley ją kocha. To było pewne. I uśmiechnęła się na myśl, jak zdumiona będzie pani Tarleton, kiedy zaręczyny nie zostaną wieczorem ogłoszone - a za to Ashley ucieknie ze Scarlett. Wtedy pani Tarleton opowie sąsiadom, jaka ta Scarlett chytra, że siedziała w powozie i słuchała tego, co mówi się o Melanii, wtedy, gdy ona i Ashley... - Uśmiechnęła się do własnych myśli, a Hetty, która bacznie obserwowała efekt słów matki, opadła na poduszki powozu ze zdziwioną minką.

- Nie zgadzam się z tym, co pan mówi, panie O'Hara - mówiła pani Tarleton z przekonaniem. - Nic dobrego nie wychodzi z tych małżeństw między kuzynami. Już dostatecznie złe jest to, że Ashley żeni się z małą Hamiltonówną, ale żeby Honey miała wyjść za mąż za tego bladego Karolka Hamiltona...

- Honey nigdy nie złapie innego chłopca, jeżeli nie wyjdzie za Karola - rzekła Randa, okrutna, bo pewna swojego powodzenia. - Nigdy nie miała innego adoratora prócz niego i nawet on nie bardzo jest nią zajęty, mimo że są zaręczeni. Scarlett, czy pamiętasz, jak ci asystował na Boże Narodzenie?

- Nie bądź złośliwa, panienko - skarciła Randę matka. - Kuzynowie nie powinni się ze

sobą pobierać, nawet kuzynowie z drugiej linii. To źle się odbija na potomstwie. U ludzi jest inaczej niż u koni. Można połączyć klacz z bratem czy ogiera z córką i jeżeli rasa jest dobra, osiąga się doskonale rezultaty, ale u ludzi jest inaczej. Możliwe, że w ten sposób doskonali się rasę, ale osłabia się energię życiową.

- Ależ łaskawa pani, muszę się pani sprzeciwić! Czy zna pani lepszą rodzinę od Wilkesów? A pobierają się między sobą od czasów Adama i Ewy!

- I dlatego czas najwyższy, aby już przestali, bo to po nich widać. Och, nie mówię o Ashleyu, bo to przystojny chłopak, chociaż nawet i on... Ale niech się pan przyjrzy tym dwóm wyblakłym pannom Wilkes, biedaczkom! Miłe dziewczynki, przyznaję, ale takie mizerne! Albo ta mała panna Melania. Chuda jak sznurek i wątła, że lada wiatr może ją zdmuchnąć, i bez żadnej energii. Nie ma nawet własnego zdania. „Nie, proszę pani” i „Tak, proszę pani”. To wszystko, co ma do powiedzenia. Rozumie pan, co mam na myśli? Że każda rodzina potrzebuje świeżej krwi, dobrej, mocnej krwi, takiej jak moich rudzielców czy pańskiej Scarlett. Nie, niech mnie pan źle nie rozumie. Wilkesowie to w swoim rodzaju przyzwoici ludzie i pan dobrze wie, że bardzo ich lubię. Trzeba jednak być szczerym! Są przerafinowani, jednocześnie zaś nie dość dobrze rozwinięci. Świetnie nadają się na suchy tor, na dobrą pogodę, ale nie wierzę, aby mogli biegać po rozmokłym torze. Opuściła ich jakoś energia i wydaje mi się, że przeciwnościom losu nie będą mogli poradzić. To ludzie na dobrą pogodę. Ja zaś lubię zdrowe konie, które potrafią biegać i w słotę! A to ich pobieranie się w rodzinie zrobiło z nich różnych od wszystkich innych dokoła. Zawsze brzdąkają na fortepianie albo ślęczą nad książką. Jestem nawet przekonana, że Ashley woli czytać, niż polować! Tak, naprawdę tak myślę, panie O’Hara! I niech się pan tylko przyjrzy ich kościom. Za cienkie. Przydałyby się im mocne klacze i ogiery.

- Hm - odchrząknął Gerald, naraz ze zmieszaniem uświadamiając sobie, że ta rozmowa, bardzo interesująca i odpowiednia dla niego, zgorszyłaby z pewnością Ellen. Czuł nawet, że nigdy by mu nie darowała, gdyby dowiedziała się, że córki jej przysłuchiwały się takim rzeczom! Pani Tarleton jednak była głucha na wszystko, kiedy raz dorwała się do swego ulubionego tematu - płodzenia - wszystko jedno, czy koni, czy ludzi.

- Wiem, co mówię, bo miałam dwoje kuzynów, którzy się ze sobą pobrali, i zapewniam pana, że wszystkie ich dzieci miały, biedactwa, tak wyłupiaste oczy jak ropuchy. Kiedy zaś moi rodzice chcieli, abym wyszła za kuzyna z drugiej linii, zaczęłam wierzgać jak źrebak. Powiedziałam: „Nie, mamó. To nie dla mnie. Nie chcę, aby moje dzieci miały guzy na pęcinach i zadyszkę”. No i, mimo, że mama zemdląła, kiedy powiedziałam jej o guzach na pęcinach, byłam stanowcza, a babcia mnie poparła. Również znała się dobrze na hodowli koni

i przyznała mi rację. I pomogła mi uciec z panem Tarletonem. No i niech pan popatrzy na moje dzieci! Duże, zdrowe i nie ma wśród nich ani chorowitego, ani ułamka, chociaż Boyd mierzy tylko pięć stóp i dziesięć cali. A za to Wilkesowie...

- Niech pani nie przypuszcza, że chcę zmienić temat - wtrącił Gerald szybko, bo zauważył zdumienie na twarzy Kariny i błysk niezdrowej ciekawości w oczach Zueli i przeląkł się, że córki zaczną po powrocie zadawać Ellen pytania, z których okaże się, jak nieodpowiednią był dla nich przyzwoitką. Scarlett, co z przyjemnością zauważył, myślała najwidoczniej o innych sprawach, jak przystało prawdziwej damie.

Hetty Tarleton wybawiła go z opresji.

- Na miłość boską, mamó, jedźmy już dalej! - zawołała niecierpliwie. - Słońce strasznie piecze i czuję po prostu, jak mi piegi wyskakują na szyi.

- Chwileczkę jeszcze, łaskawa pani - rzekł Gerald. - Co Pani postanowiła w sprawie sprzedaży koni dla naszego Oddziału? Wojna może teraz lada dzień wybuchnąć i chłopcy chcieliby wiedzieć, jak się tę sprawę załatwi. To Oddział powiatu claytońskiego, chcemy więc dla niego koni z naszego powiatu. Pani jednak, uparta istota, ciągle nam odmawia sprzedaży tych pięknych zwierząt.

- Być może wcale do wojny nie dojdzie - odrzekła dyplomatycznie pani Tarleton, całkowicie zapominając o Wilkesach i ich dziwnych związkach małżeńskich.

- Ależ łaskawa pani, chyba pani nie...

- Mamó - przerwała znowu Hetty - czy nie możesz rozmawiać z panem O'Hara o koniach w Dwunastu Dębach, a nie tutaj?

- O to właśnie chodzi, panno Hetty - rzekł Gerald - zajmę pani nie więcej niż minutę na zegarze. Wkrótce dojedziemy do Dwunastu Dębów, a tam wszyscy mężczyźni, starzy i młodzi, czekają już na wiadomość o koniach. Ach, serce mi po prostu pęka, kiedy taka miła, śliczna pani, jak pani matka, taka się staje skąpa, gdy chodzi o konie! I gdzież się podział pani patriotyzm, pani dobrodziejko? Czy Konfederacja rzeczywiście nic dla pani nie znaczy?

- Mamó - zawołała mała Betsy - Randa usiadła na mojej sukni i zupełnie mi ją pogmiotła!

- No, więc zepchnij Randę na miejsce i bądź cicho. Niech mnie pan teraz wysłucha, Geraldzie O'Hara - odparła, oczy zaś jej zaczęły rzucać ogień. - Niech pan przestanie dopiekać mi Konfederacją! Przypuszczam, że Konfederacja znaczy dla mnie nie mniej niż dla pana, bo mam czterech synów w Oddziale, a pan żadnego! Chłopcy moi umieją sobie jednak radzić sami, a konie moje tego nie potrafią. Oddałabym z chęcią konie za darmo, gdybym wiedziała, że jeździć na nich będą chłopcy, których znam, prawdziwi panowie,

przyzwyczajeni do rasowych zwierząt. Nie wahałabym się wtedy ani chwili. Ale żeby na moich pięknych konikach jeździli ludzie z lasów i inna hołota, która co najwyżej umie dosiadać mułów? Nie, mój panie! Po nocach bym spać nie mogła z obawy, że mają odparzoną skórę od siodeł i że ich dobrze nie czyszczą. Czy pan myśli, że pozwolę, aby nieokrzesani głupcy jeździli na moich delikatnych koniach, aby im cugłami rozdierali pyski i bili je do utraty rozumu? Aż mnie dreszcz teraz przechodzi, gdy o tym myślę! Nie, panie O'Hara, bardzo to ładnie z pana strony, że chce pan nabyć właśnie moje konie, ale niech lepiej pojedzie do Atlanty i kupi jakieś stare szkapy dla swoich gburów. Nie zauważą nawet różnicy.

- Mamo, czy doprawdy nie ruszymy nigdy? - zapytała Kamila przyłączając się do zniecierpliwionego chóru sióstr. - Wiesz przecie dobrze, że w końcu i tak oddasz im te swoje ukochane koniki. Kiedy tatuś i chłopcy zaczną mówić o tym, jak bardzo Konfederacja potrzebuje koni, będziesz płakała, ale je oddasz.

Pani Tarleton uśmiechnęła się i potrząsnęła lejcami.

- Nieprawda, nie zrobię tego nigdy - powiedziała, lekko muskając konie batem. Powóz szybko ruszył.

- To miła kobieta - rzekł Gerald wkładając kapelusz i zawracając do swego powozu. - Ruszaj, Toby. Zmęczymy ją prośbami i wydostaniemy od niej konie. Rozumie się, że w gruncie rzeczy ma rację. Ma rację. Jeśli człowiek nie jest prawdziwym panem, nie powinien jeździć konno. Niech idzie do piechoty. Najgorsze jednak, że nie mamy w naszym powiecie dostatecznej ilości synów plantatorów dla utworzenia całego Oddziału. Coś powiedziała, kotku?

- Papo, proszę cię, jedź za nami albo przed nami. Wzbijasz taką masę kurzu, że aż się dławimy - rzekła Scarlett, która czuła, że nie zniesie rozmowy. Rozmowa odrywała ją od własnych spraw, a bardzo jej zależało na tym, aby doprowadzić do porządku zarówno myśli, jak i twarz, zanim dojedzie do Dwunastu Dębów. Gerald spiął posłusznie konia i w tumanie czerwonego kurzu podążył za powozem Tarletonów, aby dalej rozmawiać o koniach.

## ROZDZIAŁ VI

Przejechali, przez rzekę i powóz zaczął wspinać się pod górę, Zanim jeszcze ukazała się ich oczom plantacja Wilkesów. Scarlett zauważyła słup dymu wznoszący się leniwie nad koronami wysokich drzew i poczuła zmieszane apetyczne zapachy płonących główni orzechowych i pieczonych w całości wieprzów i baranów.

Rowy, w których ogniska paliły się przez całą noc, poprzedzającą barbakoe, teraz pewnie będą już pełne jasnoczerwonych popiołów, mięsiwa zaś będą się nad nimi obracały na roznach, a sok z sykiem będzie ściekał na węgle. Scarlett wiedziała, że zapachy niesione wiatrem idą z gaju dębowego na tyłach głównego budynku plantacji. Jan Wilkes zawsze urządzał barbakoe na łagodnej pochyłości, która wiodła do ogrodu różanego; było to miłe, cieniste miejsce, o wiele przyjemniejsze od tego na przykład, które wybierali zwykle Calvertowie. Pani Calvert nie lubiła mięsa pieczonego na rożnie i oświadczyła, że zapach po nim czuć w domu całymi tygodniami, tak że goście musieli się zawsze prażyć na płaskim, nie ocienionym miejscu, o ćwierć mili od domu. Jan Wilkes jednak, w całym stanie słynący z gościnności, wiedział dokładnie, gdzie urządzać barbakoe.

Długie stoły na kozłach, pokryte najpiękniejszą bielizną stołową Wilkesów, stały zawsze w najgłębszym cieniu, po obu zaś ich stronach ustawiano ławy bez oparcia; krzesła, poduszki i stół z mieszkania rozstawione były na polanie dla tych, którzy nie lubili siedzieć na ławach. W takim odstępnie od gości, aby dym do nich nie dochodził, wykopane były owe długie rowy, gdzie piekły się mięsa, obok nich zaś stały wielkie kotły, z których unosił się przyjemny zapach mięsnego sosu i duszącego się w nim mięsiwa.

Pan Wilkes zawsze mobilizował co najmniej dwunastu Murzynów, którzy biegali z tacami tam i z powrotem, obsługując gości. Za stołami rozpalone było drugie ognisko, gdzie służba domowa, stangreci i pokojówki dam miały własny festyn, składający się z placków, yamów i flaków wieprzowych, które tak miłe były podniebieniu Murzynów - a w sezonie jeszcze i arbużów na zaspokajanie pragnienia.

Gdy zapach kruchej, świeżej wieprzowiny doszedł jej nozdrzy, Scarlett pociągnęła z uznaniem nosem, pełna nadziei, że do czasu, gdy pieczeń będzie gotowa, zbudzi się w niej apetyt. W danej chwili była tak najedzona i tak ściśnięta, iż bała się, że lada chwila dostanie torsji. To byłoby dla niej straszne, bo tylko starzy panowie i bardzo stare panie mogły sobie na to pozwolić bez obawy potępienia przez opinię.

Wjechali na szczyt wyniosłości i biały dom Wilkesów wyłonił się przed nią w całej

swej doskonałej symetrii: z wysokimi kolumnami, szerokimi werandami, płaskim dachem piękny był jak urodziwa kobieta, która tak jest pewna swej urody, że potrafi być miła i uprzejma dla wszystkich. Scarlett lubiła Dwanaście Dębów może bardziej nawet niż Tarę, bo dom Wilkesów odznaczał się statecznym pięknem i dojrzałą godnością, jakiej dom Geralda nie posiadał.

Szeroki, kręty podjazd pełen był już koni wierzchowych, powozów i gości wysiadających i głośno witających przyjaciół. Uśmiechnięci Murzyni, podnieceni jak zwykle podczas przyjęć, prowadzili konie w podwórze, aby je rozsiodłać i wyprząc. Chmary dzieci, czarnych i białych, z krzykiem biegały po jasnozielonej trawie, bawiły się w klasy i w berka i głośno przechwalały, ile będą jadły. Szeroki hall, dzielący dom na dwie połowy, pełen był ludzi, a kiedy powóz O'Harów zajechał przed front, Scarlett zobaczyła barwne jak motyle dziewczęta w krynolinach, wchodzące i schodzące ze schodów, obejmujące się wpół, przystające, aby przechylić się przez rzeźbioną pięknie poręcz i pośmiać się z młodymi ludźmi w hallu na dole.

Przez duże balkonowe okna spostrzegła starsze kobiety, siedzące w salonie, stateczne w ciemnych jedwabiach, wachlujące się z godnością i rozmawiające o dzieciach, chorobach i o tym, kto się z kim ożenił i dlaczego. Lokaj Wilkesów, Tom, kręcił się spiesznie po hallu ze srebrną tacą w ręku, kłaniając się i uśmiechając, gdy wręczał wysokie szklanki młodym ludziom w tabaczkowych i szarych spodniach i cienkich plisowanych koszulach.

Słoneczna frontowa weranda była pełna gości. „Tak, nikogo tu nie brak z całego powiatu” - myślała Scarlett. Czterej młodzi Tarletonowie z ojcem opierali się o wysokie kolumny - bliźnięta Stuart i Brent tuż przy sobie, nierozłączni jak zwykle, Body i Tomasz bliżej ojca, Jima Tarletona. Pan Calvert stał obok swojej jankeskiej żony, która po piętnastu latach pobytu w Georgii jeszcze czuła się obco. Wszyscy byli dla niej grzeczni i uprzejmi, ponieważ trochę się nad nią litowali, nikt jednak nie mógł zapomnieć o tym, że była Jankeską, i w dodatku dawną guwernantką dzieci pana Calverta. Obok niej stali dwaj synowie Calverta, Raiford i Cade, z jasnowłosą siostrą, Kasią, i docinali smagłemu Józefowi Fontaine i Sally Munroe, przyszej jego narzeczonej. Aleksander i Antoni Fontaine szeptali coś do ucha Dimity Munroe i doprowadzali ją do głośnego chichotu. Zjechały się całe rodziny aż z odległego o dziesięć mil Lovejoy, z Fayetteville i z Jonesboro, kilka nawet z Atlanty i Macon. Dom zdawał się nie mieścić całego tego tłumu; wypełniony był nieprzerwanym gwarem rozmów, śmiechów, chichotów, ostrych kobiecych pisków i okrzyków.

Na stopniach ganku stał siwy Jan Wilkes, wyprostowany, promieniejący tym spokojnym wdziękiem i gościnnością, które były tak ciepłe i niezawodne jak słońce letnie w

Georgii. Obok niego stała Honey krygując się i chichocząc, ilekroć witała nowo przybyłych.

Nerwowość i oczywiste pragnienie Honey, aby zrobić wrażenie na każdym z obecnych mężczyzn, kontrastowały bardzo z dystynkcją jej ojca; Scarlett pomyślała mimo woli, że może jednak było trochę prawdy w słowach pani Tarleton. Nie ulegało wątpliwości, że w rodzinie Wilkesów przystojni byli tylko mężczyźni. Gęste, ciemnoblonde rzęsy ocieniały szare oczy Jana i Ashleya Wilkesów - oczy Honey i Indii miały oprawę skąpą i wypłowiałą. Honey wyglądała jak królik, India zaś była wyraźnie brzydka.

Indii nie było nigdzie widać, więc Scarlett domyśliła się, że pewnie jest w kuchni, zajęta wydawaniem ostatnich poleceń służbie. „Biedna India - myślała Scarlett - zawsze miała tyle kłopotów z prowadzeniem domu po śmierci matki, że nie miała okazji znaleźć sobie innego wielbiela poza Stuartem Tarletonem. Nie moja też wina, że Stuart mnie uznał za ładniejszą”.

Jan Wilkes zszedł ze schodów, aby podać ramię Scarlett. Kiedy siadła z powozu, zauważyła, że Zuela wdzięczy się jakoś, domyśliła się więc, że pewnie dostrzegła w gronie gości Franka Kennedy’ego.

Że też Zuela nie może sobie znaleźć lepszego adoratora niż ta stara panna w spodniach! - myślała Scarlett lekceważąco, stojąc na ziemi, i uśmiechając się do Jana Wilkesa.

Frank Kennedy biegł w kierunku powozu, aby pomóc wysiąść Zueli, ona zaś takie wyczyniała grymasy, że Scarlett miała ją ochotę uderzyć. Kennedy miał może więcej ziemi niż inni plantatorzy w powiecie i był dobrotliwym człowiekiem, ale cnoty te nic nie znaczyły wobec faktu, że miał lat czterdzieści, był niepozorny i nerwowy, że miał rzadką, żółtawą bródkę i starokawalerskie, pretensjonalne maniery. Mimo to jednak, pamiętając o swoim planie, Scarlett zdusiła w sobie niechęć i tak się do niego słodko uśmiechnęła, że zatrzymał się z wyciągniętym ku Zueli ramieniem i gapił się ze zdumieniem na Scarlett.

Scarlett wesoło rozmawiała z Janem Wilkesem, lecz oczy jej powędrowały tymczasem w tłum w poszukiwaniu Ashleya, którego nie mogła nigdzie dostrzec. Tymczasem z różnych stron rozległy się okrzyki powitania, a Stuart i Brent Tarletonowie podskoczyli ku niej. Panny Munroe przybiegły i zaczęły się zachwycać jej suknią i w jednej chwili otoczyła ją cała grupa młodzieży, przekrzykującej się nawzajem, aby dać się usłyszeć w tym gwarze. Gdzie jednak podziewał się Ashley? I Karol, i Melania? Starła się nie zwracając niczyjej uwagi rozglądać się dokoła i zajrzeć do hallu, między inne roześmiane grupki.

Kiedy tak rozmawiała, śmiała się i rzucała wokoło szybkie spojrzenia, oczy jej spoczęły nagle na nieznanym panu, który stał samotnie w hallu i przyglądał się jej z

chłodną impertynencją, tak iż jednocześnie odczuła czysto kobiece zadowolenie, że spodobała się mężczyźnie, i zawstydzenie, że może suknia jej jest wycięta zbyt głęboko. Nieznajomy wyglądał raczej poważnie, bo na jakie trzydzieści pięć lat. Był wysoki i tak mocno zbudowany, że Scarlett pomyślała, iż nigdy dotąd nie widziała mężczyzny o tak szerokich ramionach, tak muskularnego - aż zbyt muskularnego jak na dżentelmena. Kiedy oczy jej spotkały się z jego wzrokiem, uśmiechnął się ukazując bardzo białe zęby pod krótko przystrzyżonym czarnym wąsem. Był śniady, ogorzały jak pirat, oczy także miał śmiałe i czarne jak oczy pirata, który taksuje wartość złupionego statku czy porwanej dziewczyny. Na twarzy jego malowała się zimna zuchwałość, usta zaś uśmiechały się tak cynicznie, że Scarlett aż dech zaparło. Czuła, że powinna być takim spojrzeniem obrażona, i była na siebie zła, że wcale tak nie jest. Nie wiedziała, kim był nieznajomy, wyglądał jednak jak człowiek o dobrej krwi w żyłach. Dowodził tego cienki orli nos pod pełnymi wargami, wysokie czoło i szeroko osadzone oczy.

Oderwała od niego wzrok nie uśmiechnąwszy się wcale, on zaś odwrócił się, ponieważ ktoś zawołał: - Rett Butler! Gdzie się pan podziewa? Chcę pana przedstawić pewnej pani o bardzo twardym sercu!

Rett Butler? Nazwisko to nie było obce, łączyło się niejasno z czymś przyjemnie skandalicznym - Scarlett jednak zanadto była teraz zajęta Ashleyem, aby dłużej zastanawiać się nad tą sprawą.

- Muszę pobiec na górę i przyglądnąć sobie włosy - oświadczyła Stuartowi i Brentowi, którzy chcieli ją odciągnąć na bok. - Poczekajcie tu na mnie i nie odchodźcie z żadną inną panną, bo się pogniewam.

Czuła, że ze Stuartem będzie miała tego dnia kłopot, jeżeli zechce flirtować z kimś innym. Wypił już sporo i miał zuchwałe, wyzywające spojrzenie, które, jak wiedziała z doświadczenia, wróżyło niechybną bójkę. Zatrzymała się w hallu, aby przywitać się ze znajomymi i z Indią, która wynurzyła się z głębi domu z potarganymi włosami i czołem zroszonym potem. Biedna India! Dość już smutne było to, że miała wypłowiałe włosy i rzęsy i wystający, świadczący o uporze podbródek, lecz na domiar wszystkiego miała już dwadzieścia lat i była starą panną. Scarlett zastanowiła się, czy India bardzo jej ma za złe odbicie Stuarta. Wiele osób twierdziło, że kocha się w nim nadal, trudno jednak było poznać, co się dzieje w sercu kogokolwiek, kto nosił nazwisko Wilkes. Jeżeli miała to Scarlett za złe, nie okazała tego nigdy, traktując ją zawsze z taką samą chłodną, uprzejmą grzecznością.

Scarlett zamieniła z Indią parę miłych słów i zaczęła wchodzić po szerokich schodach na górę, gdy nagle nieśmiały jakiś głos zawołał ją po imieniu. Odwracając się spostrzegła



Karola Hamiltona. Był to ładny chłopiec o gęstych, miękkich, spadających na czoło brązowych lokach i ciemnobrązowych, czystych i łagodnych oczach wyżła. Nosił eleganckie tabaczkowe spodnie i czarny tużurek, a na plisowanej koszuli czernił mu się szeroki, najnowszej mody krawat. Zarumienił się lekko, kiedy Scarlett odwróciła się u niemu, bo był jeszcze bardzo nieśmiały w stosunku do panien. Jak większość lękliwych mężczyzn, podziwiał płocze, żywe, zawsze pewne siebie dziewczęta w rodzaju Scarlett. Scarlett nigdy nie darzyła go niczym więcej niż zdawkową uprzejmością, teraz więc radosny uśmiech, jakim go przywitała, i wyciągnięcie obu rąk oszołomiło go zupełnie.

- Więc to rzeczywiście pan, panie Karolu, pan jest tym przystojnym chłopcem?! Założę się, że przyjechał pan z Atlanty wyłącznie po to, aby złamać moje biedne serce!

Karol aż osłupiał z radości, kiedy trzymał jej małe, ciepłe dłonie w swoich i patrzył w roześmiane zielone oczy. Dziewczęta mówiły tego rodzaju rzeczy innym chłopcom, ale nigdy jemu. Nie rozumiał, dlaczego traktują go zawsze jak młodszego brata i mimo że są dla niego bardzo miłe, nigdy się z nim nie przekomarzają. Zawsze pragnął, aby panienki flirtowały z nim i żartowały tak jak z innymi chłopcami, mniej od niego przystojnymi i mniej bogato wyposażonymi w dobra tego świata. Podczas nielicznych okazji, kiedy to się wreszcie zdarzało, nie wiedział, co odpowiedzieć, i cierpiał katusze z powodu swojego zakłopotania i niezdarności. Potem nie mógł zasnąć w nocy, bo układał sobie komplementy, które mógł być powiedzieć. Rzadko jednak miewał ku temu drugą sposobność, ponieważ panienki po pierwszej nieudanej próbie przestawały się nim zupełnie interesować.

Nawet w stosunku do Honey, z którą był nieoficjalnie zaręczony i z którą miał się ożenić, jak tylko obejmie w posiadanie swój majątek, był nieśmiały i milczący. Chwilami miał nieprzyjemne wrażenie, że kokietaria Honey i jej władcze spojrzenia nie przynoszą mu wcale zaszczytu, bo Honey tak lubiła chłopców, że te metody stosowałaby z pewnością i do każdego innego, jeźliby miała tylko po temu sposobność. Karol wcale nie był zachwycony perspektywą poślubienia jej, bo nie budziła w nim żadnego z tych gwałtownych uczuć, które, jak wiedział z książek, przystoją zakochanemu. Zawsze pragnął być kochanym przez jakąś piękną, pełną ognia istotę, żywą i nawet złośliwą.

Aż tu nagle Scarlett O'Hara mówi mu o swoim złamanym sercu!

Starał się coś szybko odpowiedzieć i nie mógł, więc w duchu błogosławił ją, że sama podtrzymuje rozmowę, która nie wymaga odpowiedzi. To, co mówiła, było zbyt przyjemne, aby mogło być prawdziwe.

- Niech pan tu poczeka na mnie, aż wrócę, bo chcę, aby pan usiadł koło mnie przy stole. I niech pan się nie zaleca do innych dziewcząt, bo jestem bardzo zazdrosna. - Te, nie

inne słowa spływały z czerwonych ust z dołeczkami po bokach, a czarne rzęsy skromnie przesłoniły zielone oczy.

- Nie, nie będę się do nikogo zalecał - zdołał wreszcie wykrztusić nie wyobrażając sobie, iż Scarlett w tej chwili pomyślała, że wygląda jak cielę prowadzone na rzeź.

Uderzyła go złożonym wachlarzem lekko po ramieniu i zawróciła, aby iść na górę, kiedy oczy jej znowu spoczęły na Recie Butlerze, który stał samotny w odległości kilku kroków od Karola. Słyszał najwidoczniej całą rozmowę, bo uśmiechnął się do niej chytrze jak kot i znowu obrzucił ją spojrzeniem zupełnie pozbawionym uniżoności, do której była przyzwyczajona.

- Do stu tysięcy par beczek! - rzekła do siebie Scarlett w oburzeniu, posługując się ulubionym przekleństwem Geralda. - Przecież ten człowiek tak patrzy... jak gdyby domyślał się, jak wyglądam bez koszuli - i odrzucając dumnie głowę w tył poszła wreszcie na górę.

W sypialni, gdzie leżały okrycia panienek, zastała Kasię Calvert mizdrzącą się przed lustrem i zagryzającą wargi, aby stały się czerwieńsze. Kasia miała zatknięte za pasek świeże róże, dobrane do koloru policzków, a niebieskie jej oczy wyrażały podniecenie.

- Kasiu - zapytała Scarlett starając się podciągnąć suknię wyżej - kto to taki ten niemiły człowiek nazwiskiem Butler

- Więc ty naprawdę nic nie wiesz? - wyszeptała Kasia z przerażeniem, rzucając podejrzliwe spojrzenie do sąsiedniej pokoju, gdzie Dilcey plotkowała z piastunką Honey i Indii. Wyobrażam sobie, jaki pan Wilkes niezadowolony, że on tu przyjechał, ale był z wizytą u Pana Kennedy'ego w Jonesboro - kupował bawełnę czy coś w tym rodzaju - i oczywiście pan Kennedy musiał go ze sobą zabrać. Nie mógł przecież przyjechać tu i jego samego zostawić

- Ale co w tym złego?

- Ależ, moja kochana, on przecież nigdzie nie jest przyjmowany!

- Rzeczywiście?

- Tak.

Scarlett przeżuwała tę wiadomość w milczeniu, bo nigdy dotąd nie znalazła się pod jednym dachem z człowiekiem, którego nie przyjmowano. Było to bardzo podniecające.

- A cóż on takiego zrobił?

- Och, Scarlett, on ma okropną reputację! Nazywa się Rett Butler, pochodzi z Charlestonu i rodzina jego należy tam do najlepszych, ale nie chcą o nim nawet słyszeć. Caro Rett opowiadała mi o nim zeszłego lata. On nie jest z nią spokrewniony, ale ona wszystko o nim wie, jak zresztą wszyscy w Charlestonie. Wyrzucono go z Akademii Wojskowej w West

Point. Pomyśl tylko! I z powodu tak strasznych rzeczy, że Caro nawet o nich nie wie. Prócz tego ma jeszcze na sumieniu tę sprawę pewnej panny, z którą się nie ożenił.

- Ach, powiedzże mi, proszę, jak to było!

- Kochanie, czy rzeczywiście nic nie wiesz? Caro opowiedziała mi to wszystko latem, matka jej pewnie by umarła ze zmartwienia, gdyby wiedziała, że Caro o tym wie. A więc ten pan Butler jeździł z pewną panną kabrioletem po Charlestonie. Nie wiem dokładnie, kto to taki, ale mam pewne podejrzenia. Nie musiała być bardzo dobrze wychowana, bo nie wychodziłaby z nim przecież przed wieczorem bez przyzwoitki. No, wyobraź sobie, moja droga, pewnego dnia nie było ich prawie przez cały wieczór, a kiedy wreszcie wrócili do domu, opowiedzieli, że koń poniósł i rozbił kabriolet i że zabłądzili w lesie. I zgadnij, co było dalej?

- Nie mogę. Powiedz mi sama - rzekła Scarlett z zapalem, spodziewając się czegoś najgorszego. - Następnego dnia oświadczył, że się z nią nie ożeni.

- Och! - rzekła Scarlett, zawiedziona. - Powiedział, że nic jej złego nie zrobił i nie widzi powodu, aby się z nią ożenić. Rozumie się, że brat jej wyzwiał Butlera na pojedynek, ale Butler powiedział, że raczej pozwoli się zastrzelić niż ożeni się z głupią gęsią. Mieli więc pojedynek, Butler zranił brata tej panny, który potem umarł, a sam musiał opuścić Charleston i teraz nie jest przyjmowany - zakończyła Kasia z tryumfem i w samą zresztą porę, bo Dilcey weszła do pokoju, aby zająć się toaletą Scarlett.

- A czy ta panna miała dziecko? - wyszeptła Scarlett do ucha Kasi.

Kasia gwałtownie potrząsnęła głową. - Ale była skompromitowana i bez tego - zasyczała w odpowiedzi.

...Bardzo bym chciała, żeby Ashley mógł mnie skompromitować - nagle pomyślała Scarlett. - Jest takim dżentelmenem, że na pewno by się ze mną potem ożenił. Poczula jednak mimo woli niejasny szacunek dla Retta Butlera, że nie chciał się ożenić z dziewczyną, która okazała się gęsią.

Scarlett siedziała na kanapie z drzewa różanego, w cieniu wielkiego dębu na tyłach domu; falbanki i zakładki jej sukni spadały kaskadą dokoła niej i widać było spod nich koniuszki zielonych safianowych pantofelków - nie więcej niż dwa cale, to jest tylko tyle, ile mogła pokazać prawdziwa dama bez szkody dla swej opinii. W rękach trzymała talerz z ledwo tkniętym jedzeniem. Otaczało ją aż siedmiu kawalerów. Zabawa doszła zenitu; ciepłe powietrze wypełnione było gwarem śmiechów i rozmowy, szczękaniem sztućców i mocnym zapachem pieczonego mięsiwa i wonnych sosów. Chwilami, gdy lekki wiatr zmieniał kierunek, kłęby dymu od ognisk w długich rowach unosiły się nad tłumem gości, witane

przez panie okrzykami udanej zgrozy i gwałtownym machaniem wachlarzy.

Większość młodych panien siedziała w towarzystwie swoich partnerów na długich ławach przy stołach, Scarlett jednak, zdając sobie sprawę z tego, że posiada tylko dwa boki i że wobec tego tylko dwóch mężczyzn naraz może przy niej siedzieć, postanowiła usiąść osobno, aby zebrać wokoło siebie jak najwięcej chłopców.

W altanie siedziały kobiety zameżne, a ciemne ich suknie stanowiły surowy akcent w otaczającej je barwnej wesołości. Mężatki bez względu na wiek, zawsze skupiały się razem, z dala od roześmianych dziewcząt, kawalerów i zabawy - ponieważ na południu kobiety zameżne nie mogły już uchodzić za piękne. Począwszy od babci Fontaine, której podeszły wiek pozwalał przyznawać się do ataków czkawkki, aż do siedemnastoletniej Alicji Munroe, walczącej z mdłościami pierwszej ciąży, wszystkie zagłębione były w nie kończących się genealogicznych i ginekologicznych rozmowach, bardzo przyjemnych i nie mniej pouczających. Rzucając w ich stronę pogardliwe spojrzenia Scarlett pomyślała, że wyglądają jak stado ociężałych wron. Kobiety zameżne nigdy nie miały żadnych rozrywek. Nie przychodziło jej na myśl, że z chwilą gdy poślubi Ashleya, samo przez się zostanie relegowana do altanek i frontowych salonów, do towarzystwa statecznych matron w ciemnych statecznych jedwabiach i na zawsze będzie pozbawiona zabaw i przyjemności. Podobna w tym do większości dziewcząt, sięgała wyobraźnią do ołtarza i nie dalej. Ponadto zaś była teraz zbyt nieszczęśliwa, aby móc myśleć o rzeczach tak dalekich.

Opuściła wzrok na talerz i uszczknęła kawałek herbatnika z elegancją i tak wyraźnym brakiem apetytu, że z pewnością zyskałaby pochwałę Mammy. Mimo że miała koło siebie aż nadmiar adoratorów, czuła się bardzo nieszczęśliwa. W niezrozumiały jakiś sposób plany obmyślane w nocy zawiodły zupełnie, jeżeli chodziło o Ashleya. Zdołała zwabić do siebie tuziny innych kawalerów, tylko nie Ashleya, teraz więc wypełniały ją na nowo straszne, te same co wczoraj obawy, które sprawiły, że serce jej biło najpierw szybko, potem powoli, a policzki czerwieńły się i bładły na przemian.

Ashley nie starał się nawet przyłączyć do stłoczonej wokoło niej grupki, co więcej - od chwili przyjazdu i przywitania się nie mogła z nim nawet słowa na osobności zamienić. Podeszedł do niej wprawdzie w ogrodzie, wtedy jednak u boku jego wisiała Melania - Melania, ledwie sięgająca mu szyi. Melania była szczupłą, wąsko zbudowaną dziewczyną, która sprawiała wrażenie dziecka, przebranego w obszerną krynolinę jej matki - wrażenie, które potęgował jeszcze nieśmiały, prawie wystraszony wyraz jej zbyt wielkich, piwnych oczu. Miała gęste, ciemne włosy, tak skromnie przyciśnięte siatką, że ani jeden kosmyczek nie wymykał się spod niej, i ciemna ta masa podkreślała linię owalu jej twarzy. Była to twarz w

kształcie serca, zbyt szeroka w kościach policzkowych, o zbyt spiczastym podbródku, słodka, nieśmiała i niezbyt ładna, tym bardziej że Melania nie знаła żadnych kobiecych sztuczek, dzięki którym mogłaby swój brak urody zatuszować. Wyglądała na istotę tak prostą jak ziemia, tak dobrą jak chleb, tak czystą jak woda źródłana - i była taka rzeczywiście, miała w ruchach spokojną dystynkcję, która była bardzo ujmująca i nad wiek poważna, bo Melania miała dopiero siedemnaście lat.

Suknia jej z szarej organdy, przepasana wiśniową atlasową szarfą, masą falbanek i plisek tuszowała dziecienną chudość figurki, a złoty kapelusz o długich wiśniowych wstążkach doskonale podkreślał kremowość jej skóry. Ciężkie kolczyki zwisały pod zaplecionymi w kucielki włosami i chwiały się w bliskim sąsiedztwie jej piwnych oczu o blasku leśnego jeziora w zimie, gdy żółkłe liście przeświecają przez spokojną wodę.

Melania witając się ze Scarlett uśmiechnęła się życzliwie i powiedziała, że Scarlett ma bardzo piękną suknię. Scarlett zaś nie mogła się nawet zmusić do oddania komplementu, tak bardzo chciała porozmawiać na osobności z Ashleyem. Od owej chwili Ashley siedział na stołeczku u stóp Melanii, z dala od innych gości, i spokojnie z nią rozmawiał uśmiechając się tym leniwym uśmiechem, który Scarlett tak lubiła. Co gorsza zaś, pod wpływem jego uśmiechu twarz Melanii rozjaśniła się tak bardzo, że nawet Scarlett musiała przyznać, iż zrobiła się prawie ładna. Kiedy Melania patrzyła na Ashleya, jaśniała wewnętrznym ogniem i miłość jej do niego wyraźnie malowała się w jej oczach.

Scarlett starała się nie widzieć tych dwojga, ale nie mogła, po każdym więc spojrzeniu w ich stronę stawała się podwójnie wesoła, śmiejąc się do swoich adoratorów, mówiąc głupstwa, docinając im, w odpowiedzi na komplementy potrząsając głową tak silnie, że aż jej kolczyki podzwaniały. Powtórzyła „tere fere” niezliczoną ilość razy i oświadczyła, że nikomu nie wierzy, ponieważ wie, że nie należy dawać wiary temu, co mówi jakikolwiek mężczyzna. Ashley jednak nie zwracał na nią zupełnie uwagi. Patrzył tylko na Melanię i coś do niej mówił, Mela zaś patrzyła na niego i twarz jej wyrażała zachwyt, że do niego należy. Scarlett była więc bardzo nieszczęśliwa.

Zdawałoby się na pozór, że nie ma do tego żadnych powodów. Była niewątpliwie królową zabaw i ośrodkiem zainteresowania. Furora, jaką czyniła wśród mężczyzn, oraz widoczna zazdrość innych dziewcząt kiedy indziej bawiłyby ją niezmiernie.

Karol Hamilton, rozzuchwalony uprzejmością Scarlett, nie odstępował od jej boku, mimo że bracia Tarleton starali się go wspólnymi siłami odciągnąć. Trzymał wachlarz Scarlett w jednej ręce, nie tknięty talerz z pieczeniową w drugiej i uparcie odwracał wzrok od Honey, która bliska była już łez. Cade siedział po drugiej stronie, skubiąc suknię Scarlett, aby

zwrócić na siebie jej uwagę, i patrząc się pełnymi złości oczyma na Stuarta. Między nim a bliźniętami atmosfera była napięta - padło już wiele ostrych słów. Frank Kennedy kręcił się dokoła zapobiegliwie jak kura mająca tylko jedno kurczątko, biegając spod dębów do stołu i z powrotem i znosząc Scarlett przysmaki, jak gdyby nie było do tego kilkunastu służących. W rezultacie Zuela nie mogąc już, jak przystało damie, dłużej ukrywać swojej pasji, patrzyła z głuchą nienawiścią na siostrę. Mała Karina także była bliska łez, bo mimo zapewnień Scarlett Brent powiedział jej tylko: - Jak się masz, mała? - i pociągnął za wstążkę we włosach, po czym całą swoją uwagę poświęcił Scarlett. Był dla niej zwykle bardzo miły i traktował ją z unizonością, jak zupełnie dorosłą pannę. Karina więc marzyła tajemnie o dniu, w którym wolno jej będzie upiąć włosy, włożyć długą suknię i uznać Brenta za prawdziwego wielbiciela. Teraz zaś nagle zdawało się, jakby przerzucił się zupełnie na stronę Scarlett. Panny Munroe starały się nie okazywać zdenerwowania z powodu zdrady smagłych Fontaine'ów, niemniej jednak wściekały się w duszy, że Tonio i Aleks stoją w otaczającym Scarlett gronie i najwyraźniej czekają na miejsce przy niej, gdyby je zwolnił którykolwiek z chłopców. Swoją opinię o postępowaniu Scarlett zakomunikowały delikatnym wzniesieniem brwi Hetcie Tarleton. „Flirciara” było jedynym właściwym określeniem Scarlett. Jednocześnie otwarty koronkowe parasolki, oświadczyły, że nic więcej już jeść nie będą, i kładąc lekkie dłonie na ramionach najbliższych siedzących mężczyzn, łagodnie poprosiły, aby zaprowadzili je do ogrodu różanego, fontanny i pawilonu w ogrodzie, który chcą obejrzeć. Ten strategiczny odwrót z honorem zauważyły wprawdzie wszystkie obecne kobiety, lecz nie widział go żaden mężczyzna.

Scarlett wybuchła śmiechem, kiedy stwierdziła, że panny Munroe i Hetty usuwają spod zasięgu jej wdzięku trzech mężczyzn pod pozorem oglądania rzeczy znanych na pamięć i wyteżyła wzrok, aby zobaczyć, czy Ashley to zauważył. Ashley jednak bawił się szarfą Melanii i uśmiechał się do niej. Ból ścisnął serce Scarlett. Czowała, że mogłaby z najwyższą rozkoszą podrapać do krwi kremową skórę Melanii.

Kiedy odwracała wzrok od Melanii, spotkała się ze spojrzeniem Retta Butlera, który stał z boku rozmawiając z Janem Wilkesem. Obserwował ją, gdy spojrzała na niego, zaśmiał się bezceremonialnie. Scarlett miała nieprzyjemne poczucie, że człowiek ten, nie przyjmowany w towarzystwie, jest spośród obecnych jedynym, który wie, co kryje się za jej dziką wesołością, i doskonale się tym bawi. Jego by także z rozkoszą podrapała.

„Jeżeli tylko dożyję końca tej barbakoi - myślała - to zostanę po południu, gdy wszystkie dziewczęta pójną spać, na dole, i postaram się rozmówić z Ashleyem. Jestem pewna, że zauważył, jakie mam powodzenie. - Pokrzepiła serce tą nadzieją. - Rozumie się, że

on musi się opiekować Melanią, jako swoją kuzynką, bo zupełnie nie ma powodzenia, i gdyby nie on, musiałyby podpierać ścianę”.

Myśl ta dodała jej nowej otuchy; wszystkie swoje wysiłki skierowała teraz w stronę Karola, którego piwne oczy patrzyły na nią z oddaniem. Dla Karola dzień ten był cudowny, wymarzony, jedyny, zakochał się też w Scarlett bez pamięci. Wobec tego uczucia myśl o Honey odsunęła się w głęboki cień. Honey była świergotliwym wróblem - Scarlett barwnym, rajskim ptakiem. Docinała mu, wyróżniała, zasypywała pytaniami i sama na nie odpowiadała, tak że mógł się jej wydawać bardzo mądrym, chociaż nic niej mówił. Inni chłopcy byli zdziwieni i niezadowoleni z tego widocznego wyróżniania Karola, bo wiedzieli, że Karol byłby zbyt nieśmiały, aby z własnej inicjatywy skleić dwa słowa, ale dobre wychowanie wstrzymywało ich od okazania mu niechęci. Wszyscy byli wzajemnie o siebie zazdrośni i tryumf Scarlett byłby zupełny, gdyby nie obojętność Ashleya.

Kiedy wreszcie ostatnie kęsy wieprzowiny, drobiu i baraniny zostały spożyte, Scarlett zaczęła wyglądać chwili, gdy India wstanie i zaproponuje, aby panie przeszły do pokojów. Była już druga i słońce mocno przygrzewało. India jednak, znużona trzydniowymi przygotowaniami do zabawy, była szczęśliwa, że może odpocząć w cieniu altany, i mówiła coś bardzo głośno do głuchego starszego pana z Fayetteville.

Leniwa senność ogarniała zebranych. Murzyni kręcili się wolniej, uprzątając ze stołów resztki jedzenia. Śmiechy i rozmowy przycichły, niektóre grupy zamilkły zupełnie. Wszyscy czekali na znak gospodyni, że pierwsza część zabawy została zakończona. Wachlarze poruszały się wolniej, a niektórzy z panów już drzemali, zmęczeni gorącem i sytością. Barbakoa skończyła się, a ponieważ słońce stało wysoko, wszyscy radzi byliby odpocząć.

W tej przerwie między poranną ucztą a balem całe towarzystwo wydawało się ciche i spokojne. Tylko chłopcy nie stracili jeszcze energii, która niedawno ożywiała cały tłum gości. Przechodząc od jednej grupy do drugiej, przeciągając słowa, wydawali się postawą podobni do ogierów pełnej krwi i równie jak one niebezpieczni. Lenistwo poobiednie udzieliło się wprawdzie i im, pod nim jednak czaiła się krewkość, zawsze gotowa do wybuchu. Zarówno mężczyźni, jak i kobiety byli przystojni, namiętni, gwałtowni i mimo maski układowych manier niezupełnie ucywilizowani. Znowu przeszedł czas jakiś; słońce stawało się coraz gorętsze, więc Scarlett a z nią inni znowu spojrzeli w stronę Indii. Rozmowa już całkiem przygasła, kiedy we względnej ciszy rozległ się naraz głos Geralda, głośny i pełen pasji. Stojąc w niejkiej odległości od stołów biesiadnych namiętnie spierał się o coś z Janem Wilkesem.

- Do stu tysięcy par beczek, człowieku! Prosić o pokojowy układ z Jankesami? Po tym, jakżeśmy wystrzelali tych zbójów w Forcie Sumtera? Pokojowe załatwienie sprawy?

Południe bronią wykaże, że nie pozwoli się znieważać i że występuje z Unii nie z łaski Unii, ale w poczuciu swojej siły!

„Ach, mój Boże! - pomyślała Scarlett. - Co też ten ojciec robił! Teraz będziemy tu tkwili do samej północy!”

W jednej chwili senność opuściła rozleniwiony tłum i jakby prąd elektryczny przeszył powietrze. Mężczyźni zerwali się z ław i krzeseł wymachując gwałtownie rękami i starając się przekrzyknąć jeden drugiego. Nie rozmawiano o polityce i możliwości wojny przez cały ranek, ponieważ pan Wilkes prosił, aby sprawami tymi nie nudzono dam. Teraz jednak, gdy Gerald wrzasnął „Ford Sumtera”, nikt z obecnych nie pamiętał o prośbie gospodarza.

„Rozumie się, że będziemy walczyć. - Złodzieje jankescy. - Pobjemy ich za miesiąc. - Przecież jeden południowiec da radę dwudziestu Jankesom. - Damy im lekcję, której tak prędko nie zapomną. - Pokojowe rozwiązanie? Przecież to oni nie dają nam spokoju. - A czy Lincoln nie obraził naszych przedstawicieli? - Tak, nie mogli się do niego dostać przez całe tygodnie. - Przysiągł, że nakaże ewakuować Fort Sumtera! - Chcą wojny, dobrze. Postaramy się, aby im się odechciało!” Ponad wszystkimi zaś głosami górował głos Geralda. Scarlett słyszała tylko: „Święte prawo naszych Stanów, na Boga!” - wykrzykiwane raz po raz. W przeciwieństwie do swej córki, Gerald bawił się znakomicie. Secesja, wojna - słowa te, które już od dawna były dla Scarlett bardzo nudne z powodu zbyt częstego ich powtarzania, teraz stały się nienawistne, bo znaczyły, że mężczyźni będą stali tu godzinami i rozprawiali gorączkowo, ona zaś nie będzie miała okazji porozmawiać z Ashleyem. Wiadomo, że wojny nie będzie, i wszyscy o tym dobrze wiedzą. Po prostu lubią tylko o tym rozmawiać. Karol Hamilton nie zerwał się razem z innymi i teraz zostawszy prawie sam ze Scarlett, przysunął się do niej bliżej i z odwagą, zrodzoną z nagłej miłości, szeptał jej wyznania.

- Panno O'Hara, ja... ja już postanowiłem, że jeżeli będzie wojna, pojedę do Południowej Karoliny i tam wstąpię do wojska. Mówią, że pan Wade Hampton organizuje tam oddział kawalerii, a ja oczywiście chciałbym służyć pod jego dowództwem. To wspaniały człowiek i najlepszy przyjaciel mego zmarłego ojca.

Scarlett myślała: „Na co on właściwie czeka, że krzyknę: Hip, hip, hura!?” - bo mina Karola świadczyła wyraźnie o tym, że odsłania jej serdeczną tajemnicę. Nie przyszło jej na myśl, co by i mogła odpowiedzieć, więc tylko patrzyła na niego dziwiąc się w duchu, dlaczego mężczyźni są tak głupi, żeby przypuszczać, iż kobiety interesują się takimi sprawami. Karol przyjął to za wyraz zdumionej aprobaty i ciągnął dalej szybko i odważnie:

- Jeżeli ja wyjadę, czy... czy będzie pani trochę przykro, panno O'Hara?

- Będę co wieczór płakała w poduszkę - rzekła Scarlett żartem. Karol jednak przyjął to



oświadczenie dosłownie i zaczerwienił się z radości. Ręka Scarlett ukryta była w fałdach sukni, poszukał jej więc ostrożnie i mocno uściskał, przerażony własną śmiałością i jej przyzwoleniem.

- Czy będzie się pani za mnie modliła?

„Co za osioł!” - pomyślała Scarlett niechętnie, rozglądając się ukradkiem dokoła, w nadziei, że czyjeś zjawienie się wybawi ją może z kłopotu.

- Czy tak?

- Ale tak, rozumie się, panie Hamilton. Będę odmawiała co najmniej trzy różańce na wieczór.

Karol rozejrzał się dokoła, zaczerpnął tchu i wyprostował się. Byli teraz zupełnie sami - podobna okazja mogła mu się już nigdy nie zdarzyć. A nawet gdyby się zdarzyła, nie wiadomo, czy wtedy zdobyłby się na odwagę.

- Panno O'Hara, mam pani coś do powiedzenia. Ja panią kocham!

- Hm? - zapytała Scarlett nieuważnie, starając się poprzez gromadę sprzeczekających się mężczyzn zobaczyć Ashleya, ciągle jeszcze siedzącego u stóp Melanii.

- Tak - wyszeptał Karol, zachwycony, że Scarlett nie wybuchła śmiechem ani płaczem, ani nie zemdląca, co w jego przekonaniu byłoby w podobnych okolicznościach normalną reakcją młodej panienki. - Kocham panią! Jest pani naj... naj... - i nagle po raz pierwszy w życiu rozwiązał mu się język - najpiękniejszą dziewczyną, jaką znam, najmiłą, najlepszą i najśodsza i kocham panią z całego serca. Nie śmiem mieć nadziei, że mogłaby Pani pokochać takiego jak ja, droga panno Scarlett, ale gdyby mogła mi pani dać choć trochę nadziei, zrobiłbym wszystko w świecie, aby i pani mnie pokochała. Zrobiłbym...

Karol przerwał, ponieważ nie przychodziło mu na myśl nic dostatecznie trudnego do spełnienia, co by Scarlett przekonało o głębi jego uczuć, dodał więc po prostu: - Chciałbym się z panią ożenić.

Scarlett na dźwięk słowa „ożenić się” w jednej chwili wróciła do rzeczywistości. Myślała o małżeństwie i o Ashleju, spojrzał więc na Karola ze źle ukrywaną irytacją. Że też ten cielak narzucił się jej ze swymi uczuciami właśnie w dniu, gdy była tak skłopotana, że odchodziła od zmysłów. Spojrzała w jego brązowe i pełne błagania oczy i nie dostrzegła, że wyrażają pierwszą nieśmiałą miłość, uwielbienie dla ideału, który wreszcie się znalazł, dzikie szczęście i niezmierną czułość, wypełniające go po brzegi. Scarlett przyzwyczajona była do oświadczeń mężczyzn daleko bardziej pociągających od Karola Hamiltona i tak rozsądnych, że nigdy nie ośmieliliby się oświadczyć na barbakoi, gdy miała kroć ważniejsze sprawy w głowie. Widziała przed sobą dwudziestoletniego chłopca, czerwonego jak burak i bardzo

śmiesznego. Bardzo by pragnęła móc mu powiedzieć, jak głupio wygląda. Machinalnie jednak nasunęły się na jej wargi słowa, które Ellen nakazywała mówić w podobnych okolicznościach, i spuszczając z przyzwyczajenia oczy wyszeptała: - Panie Hamilton, doceniam całkowicie wielki zaszczyt, jaki przynosi mi pańska propozycja pojęcia mnie za żonę, ale wszystko to stało się tak nagle, że doprawdy nie wiem, co mam panu odpowiedzieć.

Był to doskonały sposób polechtania próżności mężczyzny a jednocześnie utrzymywania go w niepewności. Karol więc złapał się nań, jak gdyby przynęta ta była czymś nowym, a on pierwszym, który się na nią łapie.

- Będę czekał wiecznie! Musi pani być najpierw zupełnie pewna swoich uczuć. Błagam panią, panno Scarlett, niech mi pani powie tylko, że mogę mieć nadzieję!

- Hm - rzekła Scarlett zdolawszy tymczasem zauważyć, że Ashley, który nie brał udziału w rozmowie o wojnie, znowu uśmiecha się do Melanii. Gdyby przynajmniej ten głupiec, który dobijał się o jej rękę, chciał zamilknąć na chwilę, mogłaby dosłyszeć, co tamci do siebie mówią. Musi usłyszeć, co mówią! Co też takiego mogła powiedzieć Melania, aby w oczach Ashleya odmalowało się takie zainteresowanie?

Słowa Karola znowu zagłuszyły głosy tych dwojga.

- Och, ciszej, proszę! - syknęła do niego, ściskając mu dłoń nie patrząc nań wcale.

Karol zdumiony, a z początku przerażony, zarumienił się na to napomnienie, potem zaś widząc oczy Scarlett skierowane na jego siostrę, uśmiechnął się z ulgą. Scarlett obawiała się, aby ktoś nie posłyszał ich rozmowy. Była zakłopotana, onieśmielona i niespokojna, czy ich ktoś nie słyszy. Karol poczuł w sobie napływ męskiej energii, jakiego dotąd nigdy nie doświadczył, bo po raz pierwszy w życiu udało mu się wprawić kobietę w zakłopotanie. Wrażenie było upajające. Ułożył twarz swoją w wyraz beztroskiej, jak mu się zdawało, obojętności i ostrożnie oddał Scarlett uścisk, aby jej dowieść, że jest mężczyzną światowym, który rozumie i przyjmuje jej wymówkę.

Nie poczuła nawet tego dotknięcia, bo usłyszała wreszcie wyraźnie słodki głos Melanii, największy z jej wdzięków. - Przykro mi, ale nie mogę się z tobą zgodzić, jeżeli chodzi o dzieła pana Thackeraya. To przecież cynik. To nie dżentelmen taki jak na przykład pan Dickens.

„Jakże można mężczyźnie mówić takie głupstwa” - pomyślała Scarlett, gotowa z zadowolenia parsknąć śmiechem. A więc Melania jest typową emancypantką, wszyscy zaś wiedzą dobrze, co mężczyźni sądzą o emancypantkach... Sposobem zainteresowania mężczyzny i podtrzymywania tego zainteresowania było mówienie o nim, potem zaś stopniowo przenoszenie rozmowy na temat samej siebie - i utrzymanie jej długo na tym

temacie. Scarlett uczułaaby pewien niepokój słysząc, że Melania mówi: - Jaki ty jesteś nadzwyczajny! - albo: - Że też potrafisz myśleć o takich sprawach! Mój mały głupi mózg pękłby z pewnością, gdybym spróbowała coś takiego pomyśleć! - Melania jednak, mając mężczyznę u swoich stóp, mówiła z nim tak poważnie jak w kościele. Iskierka nadziei znowu rozbłysła, tak że Scarlett zwróciła rozjaśnione oczy na Karola i uśmiechnęła się z radości. Wniebowzięty tym dowodem jej sympatii, schwycił jej wachlarz i zaczął nim wymachiwać tak energicznie, że włosy Scarlett się zwichrzyły.

- Ashleyu, nie byłeś jeszcze łaskaw podzielić się z nami swoim zdaniem - rzekł Jim Tarleton odchodząc od grupki krzyczących mężczyzn; Ashley przeprosiwszy Melanię powstał i skłonił przed nią. „Nikt na świecie nie jest równie piękny” - pomyślała Scarlett obserwując, ile wdzięku ma jego niedbała poza i jak cudownie gra słońce na jego złotych włosach i wąsach. Nawet starsi mężczyźni umilkli, aby przysłuchiwać się jego słowom.

- Oczywiście, panowie, że jeżeli Georgia postanowi walczyć to i ja będę walczył. Po co bym w przeciwnym razie przystępował do Oddziału? - powiedział. Szare jego oczy otwały się szeroko i zwykła ich senność ustąpiła miejsca powadze, jakiej Scarlett nigdy w nich nie widziała. - Ale podobnie jak mój ojciec mam nadzieję, że Jankesi dadzą nam spokój i wojny nie będzie. - Podniósł z uśmiechem dłoń, gdy doszły go niezadowolone głosy młodych Fontaine'ów i Tarletonów. - Tak, tak, wiem, że zostaliśmy znieważeni i że nas okłamano, ale gdybyśmy to my byli w położeniu Jankesów i oni chcieli wystąpić z Unii, czybyśmy postąpili na ich miejscu inaczej? Pewien jestem, że tak samo. Nie podobałoby się to i nam.

„Znowu swoje - pomyślała Scarlett. - Zawsze się stawia w cudze położenie”. Dla niej istniał zawsze tylko jeden sposób myślenia. Czasem trudno było zrozumieć Ashleya.

- Nie bądźmy zbyt zapalczywi i nie domagajmy się wojny. Większość nieszczęść świata zrodziła się z wojen. A kiedy wojny się kończyły, nikt nigdy nie wiedział, co było ich powodem.

Scarlett pociągnęła nosem. Dobrze, że Ashley miał nieskazitelną opinię człowieka odważnego, bo inaczej mogłoby z nim być źle. Ledwo to pomyślała, a Ashleya otoczył gwar sprzeciwiających się, namiętnych i oburzonych głosów.

W altanie głuchy starszy pan z Fayetteville trącił Indię.

- O co to chodzi? Co oni mówią?

- O wojnie! - wrzasnęła mu India do ucha. - Chcą się bić z Jankesami!

- A, wojna! - krzyknął szukając koło siebie laski i podnosząc się z krzesła z nagłym przyływem energii od lat uśpionej, i ja im coś powiem o wojnie. Ja byłem na wojnie. Ja byłem na wojnie! - Nieczęsto się zdarzało, aby pan McRae miał sposobność porozmawiać o

wojnie, bo córki trzymały go bardzo krótko.

- Wy, wojownicze młode byczki, posłuchajcie i mnie teraz. Nie palcie się do wojny. Ja walczyłem, więc wiem. Byłem na wojnie seminolskiej i byłem tak głupi, że na meksykańską także poszedłem. Nikt z was nie wie, co to wojna. Wydaje wam się, że jedziecie sobie na pięknych koniach, dziewczęta obrzucają was kwiatami, a potem wróćcie jak bohaterzy. A więc nie, nie, panowie. Wojna to głód, odra i zapalenie płuc, to kiszki. Tak, panowie, nie wiecie, co wojna robi z kiszkami człowieka - dyzenteria i takie rzeczy, i...

Panie były zaczerwienione po uszy. Pan McRae stanowił zabytek trwalszej przeszłości, podobnie jak babcia Fontaine ze swoimi kłopotliwie głośnymi czkawkami, ery, o której wszyscy chcieli zapomnieć.

- Pobiegnij i sprowadź tu dziadka - syknęła jedna z córek starszego pana do młodej, stojącej obok niej dziewczynki. - Przysięgam - wyszeptała do wzburzonych matron wkoło siebie - że ojciec staje się co dzień gorszy. Czy panie uwierzą, że dziś, dziś rano powiedział Marysi, która ma dopiero szesnaście lat: „Słuchaj, panienko...” - I głos jej rozplątał się w szepcie, gdy tymczasem wnuczka pana McRae starała się go zawrócić do jego miejsca w altanie.

W całej grupie, kręcącej się pod drzewami, złożonej z uśmiechniętych nerwowo dziewcząt i z namiętnie rozprawiających mężczyzn, tylko jeden człowiek wydawał się zupełnie spokojny. Spojrzenie Scarlett padło na Retta Butlera, który opierał się o drzewo z rękami głęboko wsuniętymi w kieszenie spodni. Stał teraz sam, bo pan Wilkes odszedł od niego, i nie odzywał się ani słowem, gdy rozmowa stawała się coraz gorętsza. Czerwone jego wargi pod krótko przystrzyżonym wąsem były lekko skrzywione, w oczach zaś świeciło wyraźne lekceważenie, jak gdyby słuchał dziecinnych przechwałek. „Ma bardzo nieprzyjemny uśmiech” - pomyślała Scarlett. Słuchał spokojnie, dopóki Stuart Tarleton, ze zwichrzonym włosiem i płonącymi oczyma, nie zaczął powtarzać: - Jak to, pobijemy ich w miesiąc! Dżentelmeni zawsze się biją lepiej od hołoty. W miesiąc... co mówię - w ciągu jednej bitwy.

- Panowie - rzekł Rett Butler miękko, wyraźnie świadczącym o jego pochodzeniu, i nie zmienił pozycji ani nie wyjął nawet rąk z kieszeni - czy mogę powiedzieć słowo? Z zachowania jego podobnie jak z oczu była pogarda tuszowana pozorami uprzejmości, która w dziwny sposób ośmieszała zachowanie się reszty mężczyzn.

Cała grupa zwróciła się ku niemu z grzecznością zawsze należną obcemu.

- Czy ktokolwiek z was, panowie, pomyślał o tym, że na południe od linii Mason-Dixona nie ma ani jednej fabryki broni? Albo o tym, ile jest na Południu odlewni żelaza?

Albo przędzalni wełny, bawełny i garbarni? Czy uświadomili sobie panowie, że nie mamy ani jednego okrętu wojennego i że flota Jankesów zamknie nam w ciągu tygodnia wszystkie porty, tak że nie będziemy mogli wywozić naszej bawełny za granicę? Oczywiście, pewien jestem, że panowie już o tym pomyśleli.

„Ależ on najwyraźniej uważa, że nasi chłopcy to banda głupców!” - pomyślała Scarlett z oburzeniem i krew uderzyła jej na policzki.

Widocznie myśl ta nasunęła się nie tylko jej jednej, bo niektórzy młodzi ludzie zaczęli srożyć się marsowo. Jan Wilkes niby niechcący wrócił szybko na poprzednie swoje miejsce obok gościa, jak gdyby przypominając obecnym, że człowiek ten jest obcym i że w towarzystwie znajdują się damy.

- Bieda z większością nas południowców jest w tym - ciągnął dalej Rett Butler - że albo mało podróżujemy, albo mało korzyści wynosimy z naszych podróży. Rozumie się, że wszyscy panowie wiele podróżowali. Ale co panowie widzieli? Europę, Nowy Jork i Filadelfię, panie zaś były oczywiście w Saratoga - w tym miejscu skłonił się lekko grupie dam w altanie. - Widzieli panowie hotele i muzea, bale i domy gry. I wróciliście do domu przekonani, że nie ma takiego miejsca na świecie jak nasze Południe. Jeżeli chodzi o mnie, to urodziłem się w Charlestonie, ale ostatnich kilka lat spędziłem na Północy. - Jego białe zęby odsłoniły się w uśmiechu, jak gdyby zdawał sobie sprawę z tego, że wszyscy obecni wiedzą, dlaczego nie mieszka już w Charlestonie, i wcale się tym nie przejmował. - Widziałem wiele rzeczy, których nikt z państwa nie widział. Tysiące emigrantów, którzy z ochotą będą walczyć za Jankesów, za wikt i kilka dolarów, fabryki, odlewnie, stocznie, kopalnie żelaza i węgla. Wszystko to, czego my nie mamy. Bo my przecież mamy jedynie bawełnę, niewolników i pewność siebie. Nie my Jankesów, lecz Jankesi nas pokonają w miesiąc.

Przez długą chwilę panowało naprężone milczenie. Rett Butler wyjął cienką batystową chustką z kieszeni marynarki i niedbale strząsał sobie jakieś pyłki z rękawa. Naraz złowróżbny szmer rozległ się wśród zebranych, spod altany zaś doszedł dźwięk podobny do brzęczenia ula rozdrażnionych pszczół. Mimo że Scarlett czuła, iż gorąca krew oburzenia pali jej policzki, rozsądnie podchodząc do sprawy musiała przyznać, że człowiek ten ma racje i że to, co mówi, brzmi sensownie. Nigdy w swoim życiu nie widziała fabryki ani nie знаła nikogo, kto by miał fabrykę. Choćby jednak słowa Butlera były prawdą - jako dżentelmen nie miał prawa wygłaszać podobnych poglądów, i to w dodatku w towarzystwie, kiedy każdy chciał się jak najlepiej bawić.

Stuart Tarleton namarszczywszy czoło wysunął się naprzód, a tuż za nim Brent. Bracia byli doskonale wychowani, więc można było być pewnym, że na barbakoi nie zrobią

sceny, choćby byli do niej sprowokowani. Mimo to jednak wszystkie panie uczuły przyjemne podniecenie, bo nieczęsto miały sposobność widzieć kłótnie czy bójki. Zwykle słyszały o tym z trzecich ust.

- Panie - rzekł Stuart z naciskiem - jak pan to rozumie?

Rett popatrzył na niego uprzejmie, ale drwiąco.

- Rozumiem to - odrzekł - tak jak Napoleon, o którym pan może słyszał, a który kiedyś powiedział: „Bóg jest po stronie najsilniejszej armii!” - I zwracając się do Jana Wilkesa rzekł z uprzejmością wcale nie udaną: - Przyrzekł pan pokazać mi swoją bibliotekę. Czy bardzo panu nie na rękę, abym obejrzał ją teraz? Obawiam się, że będę musiał wrócić do Jonesboro wcześniej przed wieczorem, bo mam tam jeszcze coś do załatwienia.

Odwrócił się ku zebranych, stuknął obcasami i skłonił się jak profesor tańca, bardzo szarmancko jak na tak wysokiego mężczyznę i z taką impertynencją, jak gdyby wymierzył policzek. Potem w towarzystwie Jana Wilkesa przeszedł trawnik, wysoko unosząc swoją ciemną głowę, a dźwięk jego nieprzyjemnego śmiechu doszedł wyraźnie do gości zgromadzonych przy stołach.

Zapanowało zdumione milczenie, potem zaś rozległy się szmery.

India leniwie wstała ze swego miejsca w altanie i skierowała się ku Stuartowi. Scarlett nie słyszała, co mu mówi, ale spojrzenie jej, gdy patrzyła na niego, zbudziło w niej coś w rodzaju wyrzutów sumienia. Było to takie samo spojrzenie jak to, które Melania zwracała na Ashleya, ale Stuart nie zrozumiał go wcale. A zatem India kochała Stuarda. Scarlett pomyślała nagle, że gdyby tak wyzywająco nie flirtowała ze Stuartem na zebraniu politycznym rok temu, Stuart byłby się dawno z Indią ożenił. Po chwili jednak wyrzuty te rozwiały się pod wpływem nowej myśli, że nie jest jej winą, jeżeli inne dziewczyny nie umieją utrzymać przy sobie swoich wielbicieli.

Stuart uśmiechnął się wreszcie do Indii wymuszonym uśmiechem i skinął głową. India prosiła go prawdopodobnie, aby nie szedł za panem Butlerem i nie robił awantury. Pod drzewem zapanował teraz lekki zamęt, bo goście poczęli wstawać i strząsać okruszynki. Mężatki zwoływały piastunki i małe dzieci i zbierały swój przychówek, aby przygotować się do odjazdu, a grupy dziewcząt śmiejąc się i rozmawiając kierowały się w stronę domu, aby poplotkować w sypialniach i zdrzemnąć się trochę przed bale.

Wszystkie panie z wyjątkiem pani Tarleton opuściły plac na tyłach domu, oddając miejsca w altanie i pod drzewami do dyspozycji mężczyzn. Panią Tarleton zatrzymał Gerald, pan Calvert i inni panowie, którzy chcieli otrzymać od niej odpowiedź w sprawie koni dla Oddziału.

Ashley zbliżył się do Karola i Scarlett uśmiechając się w zamyśleniu.

- Zuchwały człowiek, prawda? - zauważył patrząc za odchodzącym Butlerem. - Wygląda jak jeden z Borgiów.

Scarlett zaczęła szybko zbierać myśli, ale nie mogła sobie przypomnieć rodziny w powiecie, Atlancie czy Savannah, która by nosiła to nazwisko.

- Nie znam ich. Czy jest ich krewnym? Kim oni są?

Twarz Karola przybrała dziwny wyraz: niedowierzanie walczyło na niej ze wstydem i miłością. Zwyciężyła miłość, ponieważ zdał sobie sprawę z tego, że gdy dziewczyna jest słodka, łagodna i piękna, może nie posiadać wykształcenia, które by tylko szkodziło jej wdziękowi. Odpowiedział więc szybko: - Borgiowie byli Włochami.

- Ach - rzekła Scarlett, już bez zainteresowania - a zatem cudzoziemcami.

Zwróciła się z najpiękniejszym z uśmiechów do Ashleya, on jednak z jakiejś sobie tylko znanej przyczyny nie patrzył na nią wcale. Patrzył na Karola i na twarzy jego malowało się zrozumienie i jakby litość.

Scarlett stała na klatce schodowej i przez poręcz patrzyła na hall. Był zupełnie pusty. Z sypialni o piętro wyżej dochodził nie kończący się gwar głosów, podnoszących się i opadających, przerywany wybuchami śmiechu i okrzykami: „Nie, nie wierzę, żeś to zrobiła!” i „A co on wtedy powiedział?” Na łóżkach i na sofach w sześciu wielkich sypialniach dziewczęta układały się na spoczynek, zdjawszy suknie, rozluźniwszy gorsety, porozpuszczawszy włosy. Drzemka popołudniowa była powszechnym zwyczajem w okolicy i nigdy nie była bardziej konieczna niż podczas całodziennych zebrań towarzyskich, zaczynających się wczesnym rankiem, a kończących balem trwającym do późnej nocy. Przez pół godziny dziewczęta gadały i śmiały się, potem służące zamykały okiennice, w ciepłym półmroku rozmowy przycichały do szeptów i wreszcie zalegało milczenie, przerywane cichymi, regularnymi oddechami.

Scarlett upewniła się, że Melania leży na łóżku z Hetty Tarleton i Honey, potem zaś wysliznęła się z pokoju i zeszła o piętro niżej. Z okna mogła widzieć mężczyzn siedzących w altanie i pijących z wysokich szklanek, wiedziała więc, że nie ruszą się stamtąd, aż przed wieczorem. Oczy jej wypatrywały Ashleya, ale nie było go tam widać. Nadśluchiwała przez chwilę i wreszcie usłyszała jego głos. Stał jeszcze przed frontem domu i żegnał odjeżdżające z dziećmi panie.

Z mocno bijącym sercem Scarlett szybko zeszła na dół. Co będzie, jeżeli spotka teraz pana Wilkesa? Co powie na usprawiedliwienie swego kręcenia się po domu, kiedy inne dziewczęta odpoczywają? Trudno - musi zaryzykować.

Kiedy doszła do ostatniego stopnia, usłyszała, że służba, krzątająca się w jadalni pod rozkazami lokaja, przenosi stoły i krzesła, aby zrobić miejsce do tańca. Drzwi do biblioteki po drugiej stronie obszernego hallu były uchylone - tam więc wsunęła się cichutko. Chciała tu poczekać, aż Ashley pożegna gości, i zawołać go, kiedy wejdzie do domu.

Biblioteka pogrążona była w półmroku, bo okna były zasłonięte. Mroczny pokój o wysokich półkach, pełnych książek w ciemnych oprawach, podziałał na Scarlett przygnębiająco. Nie było to nazbyt odpowiednie miejsce dla takiego spotkania. Wielka ilość książek zawsze ją przygnębiała, podobnie jak ludzie, którzy lubili czytać. To znaczy wszyscy tacy ludzie z wyjątkiem Ashleya. Drogę w półcieniu zagradały jej wysokie meble, głębokie fotele o wysokich oparciach i szerokich poręczach, specjalnie jak gdyby wykonane dla rosnących Wilkesów, i miękkie, niskie, aksamitne fotele z aksamitnymi podnóżkami - przeznaczone dla dziewcząt. W znacznej odległości, po przeciwnej stronie podłużnego pokoju stała przed kominkiem wielka kanapa, ulubione miejsce Ashleya a jej wysokie oparcie wyglądało, jak olbrzymie jakieś, śpiące zwierzę.

Scarlett przymknęła za sobą drzwi zostawiając tylko małą szparkę i starała się zapanować nad przyspieszonym biciem serca. Usiłowała przypomnieć sobie, co ubiegłej nocy umyśliła powiedzieć Ashleyowi, ale na próżno - nic już nie pamiętała. Czy obmyśliła coś sobie i zapomniała, czy też planowała tylko, że to Ashley jej coś powie? Nie przypominała sobie nic i zimny strach obleciał ją nagle. Gdyby tylko serce przestało jej tak mocno walić, może by mogła coś sobie teraz uplanować. Ale szybkie uderzenia wzmogły się jeszcze, gdy usłyszała, że Ashley pożegnawszy wszystkich wchodzi do hallu frontowego.

Pamiętała jedynie, że go kocha - że kocha w nim wszystko, od wyniosłego osadzenia dumnej głowy począwszy, aż po nogi w zgrabnych wąskich butach, że kocha nawet jego drwiący chwilami śmiech i nawet niezrozumiałe milczenie. Och, gdybyż tylko wszedł teraz po prostu i wziął ją w ramiona, tak aby nic nie musiała mówić! Przecież Ashley ją kocha! - Może gdybym się pomodliła... - Przycisnęła palcami powieki i zaczęła mamrotać do siebie: - Zdrowaś Maria, łaskiś pełna...

- Cóż to, Scarlett - usłyszała głos Ashleya, docierający do niej, mimo że zaszumiało jej w uszach. Pogrążyło ją to w ostateczne zakłopotanie. Stał w hallu i patrzył na nią przez pół otwarte drzwi z drwiącym uśmiechem na ustach.

- Przed kim się tutaj kryjesz, przed Karolem czy przed Tarletonami?

Głośno przełknęła ślinę. A więc zauważył, jak chłopcy cisnęli się dokoła niej! Jakże go kochała teraz, kiedy stał tak z przymrużonymi oczyma, nie widząc zupełnie jej zmieszania. Nie mogła mówić, wysunęła tylko dłoń i wciągnęła go do pokoju. Wszedł, zdziwiony i



zaciekawiony. Wyczuwał w niej jakieś napięcie, oczy jej płonęły dziwnie, jak nigdy przedtem, i nawet w półmroku widać było, że policzki jej pokryte są rumieńcami. Machinalnie zamknął za sobą drzwi i wziął ją za rękę.

- O co chodzi? - zapytał prawie szeptem.

Od dotknięcia jego ręki zaczęła drżeć. A więc wszystko zdarzy się rzeczywiście, tak jak to sobie wymarzyła... Mnóstwo skłębionych myśli przemknęło jej przez głowę, ale żadna nie dała się zamienić w słowa. Drżała więc tylko i patrzyła mu w oczy. Dlaczego nic nie mówi?

- O co chodzi? - powtórzył. - Czy chcesz mi powierzyć jakiś sekret?

Nagle odzyskała mowę, równie nagle opadły z niej wpajane przez całe lata nauki Ellen; szczerą irlandzką naturą Geralda przemówiła przez usta córki.

- Tak, sekret. Kocham cię.

Przez chwilę zapanowało milczenie tak ostre, że wydawać się mogło, iż żadne z nich nie oddycha. Potem Scarlett przestała drżeć, a wypełniło ją szczęście i duma. Czemu nie powiedziała mu tego wcześniej? O ile by to było prostsze niż te dystygowane sztuczki, których ją uczono! Oczy jej spoczęły na jego oczach.

Malowała się w nich konsternacja, niedowierzanie i jeszcze coś - co też to takiego było? Tak! To Gerald wyglądał podobnie, gdy ulubiony jego koń złamał pewnego dnia nogę, gdy musiał go własnoręcznie zastrzelić. Cóż za głupia myśl. Dlaczego jednak Ashley wyglądał tak dziwnie i nic nie mówił? Naraz twarz jego oblekła się w maskę: uśmiechnął się uprzejmie.

- Czy nie wystarczy ci, że zdobyłaś sobie serca wszystkich innych obecnych tu mężczyzn? - rzekł ze znaną jej uprzejmą, drwiącą nutką w głosie. - Czy chcesz, aby i mnie w tej liczbie nie zabrakło? Wiesz przecież dobrze, że moje serce zawsze należało do ciebie. Ostrzyłaś sobie na nim zęby.

Coś się popsuło - popsuło na zawsze! Nie tak to sobie wszystko wyobrażała. W szalonym młyńcu myśli krążących bezładnie po jej mózgu - jedna zaczynała przybierać formę. Z jakiegoś powodu... Ashley udawał, że uważa, iż Scarlett bawi się z nim teraz. Wiedział jednak, że tak nie jest. Scarlett wyczuwała to dokładnie.

- Ashley, Ashley! Powiedz mi... musisz... och, nie dokuczaj mi teraz! Czy serce twoje należy do mnie? Och, mój drogi, ja koch...

Szybko zakrył jej ręką usta. Maską opadła.

- Nie powinnaś mówić takich rzeczy, Scarlett! Nie wolno ci. Nie myślisz tego serio. Znienawidzisz siebie za to, żeś je mówiła i mnie za to, że je słyszałem.

Odrzuciła głowę do tyłu. Gorący, szybki prąd przeszedł po niej,

- Nie potrafię cię nigdy znieawidzić. Mówię ci, że cię kocham, i wiem, że zależy ci na mojej miłości, bo... - Przerwała. Nigdy dotąd nie widziała takiego bólu w twarzy ludzkiej. - Ashleyu, prawda, że zależy ci na mojej miłości, powiedz?

- Tak - rzekł głucho. - Tak, Scarlett.

Gdyby powiedział, że ją nienawidzi, nie przeraziłaby się więcej. Skubała nitki z jego rękawa, nie mogąc wydobyć głosu.

- Scarlett - powiedział - czy nie możemy odejść stąd teraz i zapomnieć, że kiedykolwiek powiedzieliśmy sobie te słowa?

- Nie - wyszeptwała. - Ja nie mogę... Jak to rozumiesz? Czy rzeczywiście nie chcesz mnie poślubić?

- Żenię się z Melanią - odrzekł.

Teraz dopiero spostrzegła, że siedzi w niskim, aksamitnym fotelu, Ashley zaś spoczywający u jej stóp trzyma obie jej ręce w swoich i mocno ściska. Mówił jakieś rzeczy - rzeczy, które nie miały znaczenia. Głowa jej była teraz pusta, pusta bez ani jednej z tych myśli, które szalały w niej jeszcze przed chwilą - słowa zaś jego nie zostawiały większego śladu niż deszcz spływający po szkle. Trafiały do głuchych uszu - słowa szybkie, czule i pełne litości, jak gdyby to ojciec kierował je do zbolełego dziecka.

Przyszła do siebie na dźwięk imienia Melanii i spojrzała w przejrzyste, szare oczy Ashleya. Ujrzała malującą się w nich tę dziwną obcość, która tak ją zawsze przerażała i... jakby wstręt jakiś do samego siebie.

- Ojciec ogłosi nasze zaręczyny wieczorem. Ślub ma się odbyć prędko. Byłbym ci to powiedział, ale myślałem, że wiesz... Myślałem, że wszyscy o tym wiedzą... od wielu lat. Nigdy nie przypuszczałem, abyś ty... Masz tylu adoratorów. Myślałem, że Stuart...

Życie, czucie i rozumienie z wolna wracały do niej.

- Ale powiedziałeś przed chwilą, że zależy ci na mojej miłości.

Ciepłe jego ręce zacisnęły się na jej dłoniach.

- Droga moja, czy chcesz koniecznie, abym mówił ci rzeczy, które cię dotkną?

Milczenie jej zaciążyło na nim.

- Co mam zrobić, abyś mogła zrozumieć? Ty, która jesteś taka młoda i niedoświadczona, nie możesz sobie wcale zdać sprawy z tego, czym jest małżeństwo.

- Wystarczy mi, że cię kocham.

- Miłość to nie dosyć, aby być w małżeństwie szczęśliwym, gdy dwoje ludzi tak się od siebie różni, jak ty i ja. Ty chciałabyś mieć w mężczyźnie wszystko, Scarlett - jego ciało,

serce, duszę, myśli. A gdybyś ich mieć nie mogła, czułabyś się nieszczęśliwa. Ja zaś nie mógłbym ci oddać całego siebie. Nie mógłbym oddać całego siebie nikomu. Nie chciałbym też całej twojej duszy i całego umysłu. Ty zaś byłabyś tym dotknięta i musiałabyś mnie znienawidzić - i to gorzko! Znienawidziłabyś książki, które czytam, i muzykę, którą lubię, bo zabierałaby mnie od ciebie, choćby tylko na chwilę. A ja, może ja...

- Czy ty ją kochasz?

- Melania podobna jest do mnie, pochodzi z tej samej rodziny, rozumiemy się dobrze: Scarlett! Scarlett! Czy nie potrafisz zrozumieć, że para małżeńska nie może żyć ze sobą we względnym spokoju, jeżeli mąż i żona nie są do siebie podobni?

Ktoś już to jej kiedyś powiedział: „Pobierać się ze sobą muszą ludzie podobni, bo inaczej nie ma szczęścia!” Kto to był? Wydawało jej się, jakby to słyszała milion lat temu, ale to i tak nie miało znaczenia.

- Ale mówiłeś przecie, że nie jestem ci obojętna.

- Nie powinienem był tego powiedzieć.

Gdzieś w głębi jej mózgu rozżarzył się jakiś płomień i złość zaczęła górować nad wszystkim innym.

- No, ale skoro byłeś już tak przewrotny, żeś to powiedział...

Twarz jego pobladła.

- Byłem przewrotny, że to powiedziałem, ponieważ wiem, że żenię się z Melanią. Skrzywdziłem ciebie, a więcej jeszcze Mellanię. Nie powinienem był tego powiedzieć, ponieważ czułem, że mnie nie zrozumiesz. Jakże mogę nie kochać ciebie, która ma tę pasję życiową, jakiej mnie brak zupełnie... Ciebie, która może kochać i nienawidzić z namiętnością, na jaką mnie nie stać... Ty jesteś pierwotna jak ogień, wiatr i dzika natura, a ja...

Pomyślała o Melanii i wyobraziła sobie jej łagodne brązowe oczy o rozmarzonym spojrzeniu, jej spokojne małe rączki w czarnych koronkowych mitenkach, jej wyrozumiałe milczenie. I nagle obudziła się w niej ta sama wściekłość, która Geralda skłoniła do zabójstwa, a irlandzkich jej przodków pchała do czynów, które przyplacali gardłem. Nic w niej nie zostało po dobrze wychowanych Robillardach, którzy obojętnym milczeniem przyjmowali wszystkie przeciwności losu.

- Dlaczego nie mówisz jaśniej, ty tchórz! Boisz się małżeństwa ze mną! Wolisz żyć z tą głupią, małą dziewczyną, która nie umie ust otworzyć, chyba żeby powiedzieć „Tak” lub „Nie”, wolisz płodzić z nią podobne do niej, wylęknione bachory! Dlaczego...

- Nie mów tak o Melanii!

- Nie ty mi będziesz zabraniał! Jakim prawem mógłbyś mi zabronić? Ty tchórz!

Utrzymywałaś mnie w przekonaniu, że się ze mną ożenisz...

- Bądź sprawiedliwa - łagodź. - Czy kiedykolwiek...

Nie chciała być sprawiedliwa, mimo iż wiedziała, że Ashley ma rację. Nigdy w stosunku do niej nie przekroczył granic przyjaźni. Kiedy pomyślała o tym, nowy gniew ją ogarnął, gniew zranionej dumy i kobiecej próżności. Narzucała mu się, a on nie dbał o nią wcale. Wolał od niej wybladłą idiotkę Melanię. Och, po stokroć lepiej byłoby, gdyby posłuchała przykazań Ellen i Mammy i nigdy, nigdy nie dała mu nawet poznać, że go lubi - wszystko byłoby lepsze od tego palącego wstydu!

Skoczyła na równo nogi, z zaciśniętymi dłońmi, i on także wstał - a twarz jego wyrażała niemy ból człowieka, który musi patrzeć w oczy bolesnej ponad miarę rzeczywistości.

- Będę cię nienawidziła do samej śmierci, ty tchórze, ty podły, nikczemny... - Jakie by mu powiedzieć słowa? Nie przychodziło jej na myśl nic dostatecznie strasznego.

- Scarlett, proszę cię...

Wyciągnął ku niej rękę, ona jednak nie zastanawiając się uderzyła go w twarz z taką siłą, na jaką było ją stać. Policzek rozległ się w cichym pokoju jak trzaśnięcie z bata; wściekłość Scarlett minęła od razu i serce jej wypełniło się rozpaczą.

Czerwony znak od uderzenia widać było wyraźnie na białej, zmęczonej twarzy Ashleya. Nic nie powiedział, tylko podniósł jej bezwładną dłoń do ust i pocałował. Potem wyszedł z pokoju, zanim mogła coś powiedzieć, i cicho zamknął za sobą drzwi.

Scarlett usiadła; reakcja po ataku wściekłości podcięła jej zupełnie kolana. Ashleya nie było - ale pamięć o jego twarzy, którą uderzyła, będzie ją prześladowała do samej śmierci.

Słyszała, jak stłumione jego kroki cichły w długim korytarzu; w owej chwili dopiero uprzytomniła sobie całą brzydotę swego postępowania. Straciła go na zawsze. Teraz będzie ją nienawidził i ilekroć spojrzy na nią, będzie pamiętał, jak mu się narzucała, mimo że nie dawał jej żadnej zachęty.

„Jestem wcale nie lepsza od Honey” - pomyślała nagle, uświadamiając sobie, jak wszyscy, a najbardziej ona, śmieli się lekceważąco z postępowania Honey. Przypomniała sobie niezdarne jej zachody i głupie szczebioty, gdy zdołała się uwiesić u ramienia chłopca, i myśl ta znowu wywołała w niej wściekłość na siebie samą, na Ashleya, na cały świat. Ponieważ nienawidziła siebie, nienawidziła wszystkich ludzi z całą furią odrzuconej i zdeptanej miłości szesnastolatki. W uczuciu jej mało było prawdziwej czułości i ciepła. Składała się na nie głównie próżność i ślepe zaufanie do własnych wdzięków. Teraz przegrała z kretelem, bardziej jednak dominującą od żalu z powodu poniesionej klęski była obawa, że

wystawiła się na pośmiewisko. Czy naprawdę okazała się tak natarczywa jak Honey? Czy wszyscy się z niej już śmieją? Zaczęła drzeć na samą myśl o tym.

Dłoń jej osunęła się na mały stoliczek. Niechcący zaczęła się bawić małym wazonikiem porcelanowym, na którym wdzięczyły się dwa amorki. Pokój był tak cichy, że byłaby najchętniej krzyknęła, aby przerwać to nieznośne milczenie. Musiała coś zrobić, aby nie zwariować. Podniosła wazonik i rzuciła go przez cały pokój w kierunku kominka. Przeleciał tuż nad wysoką poręczą kanapy i rozbił się z lekkim szczękiem o marmur kominka.

- Tego już za wiele - odezwał się jakiś głos zza kanapy.

Nic nigdy w życiu nie przeraziło jej ani nie zdumiało tak bardzo. Z przerażenia zaschło jej w gardle i nie mogła wydobyć głosu. Złapała się poręczy fotela, gdy zaś Rett Butler podniósł się z kanapy, na której leżał, i skłonił przed nią z przesadną grzecznością, zrobiło jej się słabo.

- Nie dość, że przerwano mi popołudniową drzemkę sceną, której zmuszony byłem wysłuchać, dlaczego jeszcze życie moje ma być narażone na niebezpieczeństwo?

Nie był duchem. Stał tam naprawdę. A więc w imię wszystkich świętych, musiał wszystko słyszeć!

Resztkami sił Scarlett starała się nad sobą zapanować.

- Panie, powinien pan być wcześniej zdradzić swoją obecność!

- Doprawdy? - Białe jego zęby błyszcząły w uśmiechu, a zuchwałe, ciemne oczy śmiały się do niej. - To pani jednak była intruzem. Muszę czekać na pana Kennedy'ego, a czując, że stałem się na dworze personą non grata, pomyślałem, że lepiej moją niemiłą obecność przenieść tutaj, gdzie przynajmniej nikt mi nie będzie przeszkadzał. Niestety jednak! - wzruszył ramionami i zaśmiał się cicho.

Pasja znowu zagrała w niej na myśl, że ten źle wychowany i impertynencki mężczyzna słyszał wszystko - słyszał słowa, które chciałaby wymazać choćby za cenę życia!

- Podśluchiwanie... - zaczęła wściekle.

- Podśluchiwanie bywa czasem wysoce zajmującym i kształcącym zajęciem - śmiał się. - Z długiego doświadczenia w podśluchiwaniu mogę...

- Panie - powiedziała - nie jest pan dżentelmenem!

- Bardzo słuszna uwaga - odpowiedział niedbale. - A pani, panno O'Hara, nie jest damą. - Mogło się wydawać, że bawi się doskonale w jej towarzystwie, bo znowu zaśmiał się cicho. - Żadna kobieta nie może pozostać damą powiedziawszy i zrobiwszy to, czego byłem świadkiem. Muszę jednak stwierdzić, że damy nigdy mnie zbyt nie pociągały. Wiem, co sobie myślą, ale zawsze brak im odwagi czy też zbyt są dobrze wychowane, aby mówić

prawdę. To zaś czasem staje się nudne. Ale pani, droga panno O'Hara, jest dziewczyną o bardzo rzadkiej, wspaniałej odwadze, chylę więc przed panią czoło. Trudno mi zrozumieć, jakie powaby może mieć wytworny pan Wilkes dla osoby o pani burzliwym temperamentem. Powinien był dziękować Bogu na klęczkach za dziewczynę z taką jak pani - jak się wyraził - „pasją życiową

„, ale ponieważ jest ślamazarnym głupcem...

- Pan niewart jest butów mu czyścić! - wykrzyknęła z pasją.

- A miała go pani przecież nienawidzić do samej śmierci! - opadł na kanapę i zaśmiał się głośno.

Gdyby mogła go zabić, zrobiłaby to z rozkoszą. Zamiast tego jednak opuściła pokój z godnością, na jaką było ją stać, i mocno zatrzasnęła za sobą ciężkie drzwi.

Biegła po schodach tak szybko, że kiedy doszła do ich szczytu, zdawało jej się, że zemdleje. Przystanęła opierając się o poręcz, serce biło jej ze złości, upokorzenia i wysiłku tak mocno, że rozsadzało stanik. Starła się głęboko oddychać, ale Mammy zanadto ją ścisnęła gorsetem. Jeżeli zemdleje i ludzie znajdą ją tutaj na schodach, co sobie pomyślą? Och, niech myślą, co chcą; Ashley i ten Butler, i te głupie dziewczyny, które tak są o nią zazdrosne! Po raz pierwszy w życiu żałowała, że nie nosi przy sobie soli trzeźwiących, jak inne dziewczęta - ale nie miała nawet własnego flakonika. Tak się zawsze szczyciła, że nigdy jej się w głowie nie kręci. W żaden sposób nie wolno jej teraz zemdleć!

Stopniowo uczucie słabości zaczęło ustępować. Już za minutę będzie się czuła zupełnie dobrze i wtedy wsunie się cicho do małej garderoby przy sypialni Indii, rozluźni gorset, wejdzie do pokoju i położy się na którymś z łóżek obok śpiących dziewcząt. Starła się uspokoić serce, bo czuła, że wygląda jak szalona. Jeżeli choć jedna z dziewcząt jeszcze nie śpi, domyśli się od razu, że stało się coś złego. A nikt, nikt na świecie nie powinien wiedzieć, że się coś stało.

Przez duże okno klatki schodowej widziała mężczyzn siedzących jeszcze na krzesłach pod drzewami i w altanie. Jakże im zazdrościła! Jak to musi być wspaniale, kiedy się jest mężczyzną i nigdy nie przeżywa takich upokorzeń jak to, które ją spotkało. Gdy tak im się przyglądała wpółprzytomna i zgorączkowana, usłyszała, że ktoś podnieconym głosem pytał o coś kóregoś z Murzynów. Żwir zazgrzytał znowu i przed oczyma jej przemknął jeździec, który skierował się w stronę grup rozleniwionych mężczyzn pod drzewami.

Pewno jakiś spóźniony gość - dlaczego jednak przejechał przez trawnik, który był dumą Indii? Nie mogła go poznać, ale gdy zeskoczył z konia i schwycił Jana Wilkesa za ramię, widziała, że na twarzy jego maluje się podniecenie. Tłum mężczyzn zebrał się dokoła

niego, wysokie szklanki stawiano bezładnie na stoły i ziemię, odkładano wachlarze z liści palmowych. Mimo odległości słyszała gwar głosów, pytań, wołań, wyczuwała gorączkowe napięcie mężczyzn. Potem ponad zmieszane dźwięki wybił się głos Stuarta Tarletona w tryumfalnym krzyku: „Jii - aaj - iij”, jak gdyby nawoływał kogoś na polowanie. Scarlett nie wiedząc o tym, usłyszała wtedy po raz pierwszy okrzyk powstańców.

Kiedy się tak przypatrywała, czterej Tarletonowie, za nimi zaś bracia Fontaine odłączyli się od reszty gości i pobiegli w stronę stajni, wrzeszcząc na cały głos: - Jeems! Hej, Jeems! Siodłaj konie!

„Pożar musiał gdzieś wybuchnąć” - pomyślała Scarlett. Ale pożar czy nie pożar, jej zadaniem było przedostać się do sypialni, zanim zostanie odkryta.

Serce jej biło teraz mniej silnie; na palcach przeszła przez cichy hali. Ciężka, ciepła senność rozlała się po domu, który zdawał się spać tak spokojnie jak dziewczęta i wypoczywać przed wieczorem, gdy stanie w całej swej krasie - pełen muzyki i blasku świateł. Scarlett uchyliła ostrożnie drzwi ubieralni i wsunęła się do pokoju. Rękę jeszcze miała na klamce, gdy przez szparę przeciwnych, prowadzących do sypialni drzwi doszedł jej uszu cichy szept Honey Wilkes.

- Uważam, że Scarlett zachowywała się dzisiaj bardzo nieodpowiednio.

Scarlett poczuła, że serce jej znowu zaczyna bić niespokojnie, i przyłożyła doń bezwiednie rękę, jak gdyby, chcąc je tym naciskiem ukoić. „Podsłuchiwanie bywa często bardzo pouczającym zajęciem” - zabrzmiało jej w pamięci. Czy miała się cofnąć Czy dać poznać swoją obecność i zawstydzić Honey, co by jej się słusznie należało? Następny głos wstrzymał ją od tego zamiaru. Zaprzęg mułów nie mógłby jej z miejsca poruszyć, usłyszała bowiem głos Melanii.

- Och, Honey, przestań! Nie bądź niesprawiedliwa. Ona jest po prostu wesoła i żywa. Uważam, że jest czarująca.

„Och - pomyślała Scarlett wbijając paznokcie w stanię. - Żeby się ta wyblakła smarkula wstawiała za mną!”

To było trudniejsze do zniesienia niż obmowa Honey. Scarlett nigdy nie wierzyła żadnej kobiecie i nigdy żadnej kobiecie, z wyjątkiem swojej matki, nie przypisywała innym motywów postępowania niż egoizm. Melania wiedziała, że może być pewna Ashleya, i dlatego mogła sobie pozwolić na udawanie takiej dobroci. Scarlett nie miała wątpliwości, iż Melania w ten sposób szczyci się swoją zdobyczą i zdobywa uznanie za to, że tak jest miła. Scarlett często używała tych samych chwytów w rozmowie z mężczyznami o innych dziewczynach i zawsze udawało jej się przekonać głupich chłopców o swojej słodyczy i

dobroci.

- No, moja droga - rzekła Honey złośliwie - ty chyba jesteś ślepa.

- Cicho, Honey - zabrzmiał głos Sally Munroe. - Słyszać cię w całym domu.

Honey ściszyła głos, ale ciągnęła dalej:

- Widziałyście przecie same, że flirtowała z każdym, z kim się dało, nawet z panem Kennedym, który adoruje jej własną siostrę. Nigdy czegoś podobnego nie widziałam! I Karolowi też zwracała głowę - Honey zachichotała z zakłopotaniem. - A wiecie przecież, że Karol i ja...

- Czy rzeczywiście? - zaszepotały zgorączkowane głosy.

- No, nie mówcie nikomu, dziewczynki... jeszcze nie! Znowu zabrzmiały chichoty i łóżko zaskrzypiało, jak gdyby ktoś obejmował Honey. Melania zdaje się wyszeptała, że jest bardzo szczęśliwa, iż Honey będzie jej siostrą.

- Za to ja wcale nie będę zadowolona, że Scarlett będzie moją siostrą, bo to jest największa flirtiara, jaką świat widział - rzekł zasmucony głos Hetty Tarleton.

- Ona jest już prawie zaręczona ze Stuartem. Brent wprawie mówi, że ona wcale o Stuartha nie dba, ale to dlatego, że Brent jest w niej także zakochany.

- Jeżeli chcecie znać moje zdanie - rzekła Honey z tajemniczą powagą - to oświadczam wam, że jest tylko jeden chłopiec, który się Scarlett podoba. Jest nim Ashley!

Kiedy szepty znowu zlały się razem, gwałtownie, pytająco, Scarlett poczuła, że przechodzi ją dreszcz obawy i upokorzenia. Honey była głupia, nie umiała się obchodzić z mężczyznami, ale posiadała kobiecą intuicję, której Scarlett nie doceniała. Przykrość i ból, jakie przecierpiała w bibliotece w obecności Ashleya i Retta Butlera, były niczym w porównaniu z tym. Mężczyznom można było ufać, że będą dyskretni, nawet mężczyznom takim pan Butler, ale jeżeli Honey Wilkes zacznie ujadać jak pies na polowaniu, cała okolica będzie wiedziała o wszystkim jeszcze przed wieczorem. A Gerald dopiero wczoraj mówił, że nie życzy sobie, aby cały świat śmiał się z jego córki! To się dopiero będą śmieli! Poczowała strużki potu na plecach.

Głos Melanii, spokojny, opanowany, trochę karcący, wybił się ponad inne:

- Honey, wiesz przecie dobrze, że tak nie jest. I dlatego brzydko, że tak mówisz.

- A właśnie, że tak jest, Melu, i gdybyś nie była tak bardzo zajęta wyszukiwaniem dobra w osobach, które wcale dobre nie są, z pewnością byś zauważyła. I bardzo się cieszę, że tak jest. To jej dobrze zrobi. Jedyne, jak Scarlett O'Hara potrafi robić, to zamęt i odbijanie dziewczętom wielbicieli. Świetnie o tym wiecie, że zabrała Indii Stuartha, mimo że wcale go nie kocha. A dziś starała się nam odbić Kennedy'ego, Ashleya i Karola...



„Muszę wracać do domu! - pomyślała nagle Scarlett. - Chcę do domu!”

Gdybyż tylko mogła magicznym jakimś sposobem przenieść się do Tary, gdzie było bezpiecznie! Gdybyż mogła być z Ellen i patrzeć na nią tylko lub wtulić się w jej suknię, wypłakać się i wykrzyknąć na jej łonie! Jeżeli usłyszy jeszcze jedno słowo, wbiegnie do pokoju i będzie garściami wyrywała jasne, zwichrzone włosy Honey, a na Melanię Hamilton napluje, aby pokazać jej, jak sobie ceni jej litość. Tylko że dziś zachowała się już dość ordynarnie, wcale nie lepiej niż „biała nędza”, i to właśnie było najgorsze.

Przycisnęła rękami spódnicę, aby nie szeleściły, i cofnęła się ukradkiem, jak tropione zwierzę. „Do domu - myślała zbiegając do hallu koło zamkniętych drzwi i cichych pokojów - chcę wracać do domu!”

Była już na frontowym ganku, kiedy nowa myśl wstrzymała ją nagle. Przecież nie może wrócić do domu! Nie wolno jej uciec! Musi przejść przez to piekło, znieść złośliwość dziewcząt, własne upokorzenie i ból. Ucieczka dałaby im jeszcze więcej materiału do plotek.

Biła zaciśniętymi pięściami w wysoką białą kolumnę i żałowała, że nie jest Samsonem, że nie może zburzyć Dwunastu Dębów i pod ich gruzami pogrzebać wszystkich obecnych. Pokaże im jeszcze! Jeszcze pożałują! Nie wiedziała dobrze, jak i co im pokaże, ale chciała to koniecznie zrobić. Dotknie ich dotkliwiej, niż oni ją dotknęli.

Na chwilę zapomniała o Ashleyu jako przedmiocie swojej miłości, przestał być tym wysokim, rozmarzonym chłopcem, którego kochała, i stał się częścią Wilkesów, Dwunastu Dębów, powiatu - tych wszystkich zaś nienawidziła, ponieważ się z niej śmieli. Próżność była silniejsza od miłości w tym jej szesnastoletnim gorącym sercu, w którym nie było teraz miejsca na nic prócz nienawiści.

„Nie pojedę do domu - postanowiła. - Zostanę tutaj i pokażę im, co umiem. I nigdy nie powiem o niczym mamie. Nie, nie powiem nikomu”. - Postanowiła zawrócić i wejść znowu na górę, do innej sypialni.

Odwracając się zobaczyła Karola wchodzącego do domu z przeciwnej strony długiego hallu. Podbiegł do niej, gdy ją zobaczył. Włosy miał zwichrzone, a twarz purpurową z podniecenia.

- Czy wie pani, co się stało!? - wołał z daleka, zanim jeszcze stanął przy niej. - Czy słyszała pani? Paweł Wilson właśnie przyjechał z Jonesboro z wiadomością!

Przerwał na chwilę, aby złapać oddech. Nic nie odpowiedziała i tylko patrzyła na niego.

- Pan Lincoln zwołuje ochotników, chce zebrać siedemdziesiąt pięć tysięcy żołnierzy! Znowu pan Lincoln! Czy mężczyźni rzeczywiście nie mogą się nigdy zdobyć na

myślenie o ważniejszych sprawach? Ten dureń zapewne przypuszcza, że teraz, gdy Scarlett ma złamane serce i zaszarganą na zawsze reputację, może ją obchodzić pan Lincoln!

Karol patrzył na nią. Twarz jej była biała jak papier, a wąskie oczy lśniły jak szmaragdy. Nigdy dotąd nie widział takiego ognia w twarzy żadnej dziewczyny, takiego blasku w niczyich oczach.

- Taki ze mnie niezdara - rzekł - powinienem był to pani ostrożniej powiedzieć. Zapomniałem o wrażliwości kobiet. Przepraszam, że panią przestraszyłem. Nie jest pani słabo, prawda? Czy może podać pani szklankę wody?

- Nie - odrzekła i udało jej się zrećznie jakoś uśmiechnąć.

- Może usiądziemy na ławce? - zapytał biorąc ją pod ramię.

Skinęła głową, a on ostrożnie sprowadził ją z frontowych schodów i powiodł przez trawnik do żelaznej ławki, która stała pod najstarszym dębem przed domem. „Jak kruche i czule są kobiety” - myślał; samo napomknięcie o wojnie i gwałtach przyprawia je o słabość. Pod wpływem tej myśli poczuł się bardzo męskim i starał się być wyjątkowo delikatnym, kiedy pomagał jej usiąść. Wyglądała tak dziwnie, a biała jej twarz promieniała tak niezwykle piękną, że serce zabiło mu mocniej. Czy możliwe, aby o niepokój przyprawiła ją myśl, że i on pójdzie na wojnę? Nie, to zarozumiałość z jego strony, żeby coś takiego pomyśleć? Dlaczego jednak Scarlett przyglądała mu się tak dziwnie? I dlaczego drżały jej ręce, gdy gniotła w nich koronkową chusteczkę? Gęste zaś i czarne jej rzęsy trzepotały tak właśnie jak rzęsy pańienek w romansach, które czytał - nieśmiało i miłośnie.

Trzy razy odchrząknął i trzy razy chciał zacząć mówić, nie udawało mu się jednak. Spuścił oczy, ponieważ zielone jej spojrzenie przeszyło go na wskroś, zupełnie tak, jak gdyby patrzyła gdzieś poza niego.

„Ma masę pieniędzy - myślała szybko Scarlett układając sobie pewien plan w myślach. - Nie ma rodziców, którzy by się mogli do mnie wtrącać, i mieszka w Atlancie. I gdybym teraz od razu wyszła za niego, pokazałabym Ashleyowi, że nie dbam o niego ani trochę, że tylko zawracam mu głowę. Honey po prostu się wścieknie. Nigdy już, nigdy nie złapie innego i wszyscy będą się z niej śmieli do rozpuku. I Melania zła, bo kocha Karola. I Stuart, i Brent. - Nie wiedziała dokładnie, dlaczego im także chce sprawić przykrość - dlatego chyba jedynie, że mieli wstrętne siostry. - I wszyscy będą źli, kiedy będę przyjeżdżała z wizytami w pięknym powozie, z kuframi pięknych sukien, i będę miała własny dom. I nigdy, już nigdy nikt nie będzie się śmiał ze mnie”.

- Rozumie się, że wszystko to oznacza wojnę - rzekł wreszcie Karol po jeszcze kilku nieudanych próbach. - Ale niech się pani nie martwi, panno Scarlett, wojna skończy się w

miesiąc, bo rozbijemy ich w puch! Tak, w puch! Muszę za wszelką cenę sam być przy tym. Zdaje mi się, że bal dzisiejszy będzie nieudany, bo Oddział ma zbiórkę w Jonesboro. Tarletonowie pojechali po okolicy z tą nowiną. Wiem, że wszystkie panie będą tym bardzo zmartwione.

Scarlett powiedziała: - Och - bo nic lepszego nie przychodziło jej na myśl, ale i to wystarczyło.

Powoli przychodziła do siebie i zbierała myśli. Mróz jakiś ściał wszystkie jej uczucia i wydawało jej się, że już nigdy nie będzie się mogła rozgrzać. Czemu by nie wziąć sobie za męża tego ładnego, zarumienionego chłopca? Był nie gorszy od każdego innego, a zresztą było jej wszystko jedno. Nie, już nigdy nic jej nie obejdzie naprawdę, choćby miała dziewięćdziesiąt lat.

- Nie mogę jeszcze teraz zdecydować, czy wyruszyć z legionem Południowej Karoliny pod wodzą pana Wade'a Hamptona, czy z gwardią miasta Atlanty.

Znowu powiedziała „Och”, oczy ich spotkały się i trzepoczące powieki Scarlett podbiły Karola zupełnie.

- Czy poczeka pani na mnie, panno Scarlett? To będzie cud, jeżeli będę miał pewność, że pani czeka na mnie aż do naszego zwycięstwa! - Z zapartym oddechem czekał na jej wyrok, patrząc na kąci jej warg, po raz pierwszy przyglądając się cieniom dokoła jej ust i myśląc, że bardzo by ją chciał pocałować. Dłoń jej, wilgotna od potu, wsunęła się pod jego dłoń.

- Nie chciałabym czekać - powiedziała i oczy jej zaszły mgłą.

Karol, otworzywszy usta ze zdumienia, mocno ścisnął jej rękę. Obserwując go spod spuszczonej powieki Scarlett pomyślała zimno, że wygląda jak zaba. Zająknął się kilka razy, zamknął usta, otworzył je znowu i zarumienił się po uszy.

- Czy wolno mi przypuszczać, że pani mnie kocha?

Nic nie odpowiadając opuściła niżej głowę, Karol zaś ponownie ze stanu ekstazy wpadł w zakłopotanie. Może mężczyzna nie powinien zadawać panience takich pytań? Może nie przystoi jej na nie odpowiadać? Ponieważ Karol nigdy dotąd nie był w takiej sytuacji, nie wiedział teraz, jak ma postąpić. Chciał krzyczeć i śpiewać, całować Scarlett i tarzać się po trawie, a potem rozpowiadać wszystkim, białym i czarnym, że Scarlett go kocha. Chwilowo jednak ścisnął jej rękę tak mocno, że pierścionki wpijały się w jej ciało.

- Czy chce pani poślubić mnie wkrótce, panno Scarlett?

- Hm - powiedziała wyglądając fałdy sukni.

- Może wobec tego urządzimy podwójne wesele, razem z Mel...

- Nie! - odpowiedziała gwałtownie, a oczy jej zaświeciły złowieszczo. Karol poznał, że znowu zrobił błąd. Rozumie się - każda dziewczyna woli mieć swoje własne wesele - i nie dzielić się z nikim tryumfem. Jakaż ona była miła, że nie zwracała uwagi na jego nietakty. Gdyby było ciemno, miałby chyba więcej odwagi, pocałowałby ją w rękę i powiedział to wszystko, na co miał ochotę.

- Kiedy mógłbym porozmawiać z pani ojcem?

- Im wcześniej, tym lepiej - powiedziała modląc się, aby rozluźnił uścisk jej dłoni i aby nie musiała krzyknąć z bólu.

Karol zerwał się z ławki, a Scarlett myślała przez chwilę, że wywinie koziołka. Opanował się jednak. Spojrzał na nią rozpromienionym wzrokiem, w którym odbijała się cała jego prosta, czysta dusza. Nigdy jeszcze dotąd nikt tak na nią nie patrzył i nikt nie miał nigdy tak na nią patrzeć, w swojej dziwnej obojętności zdołała jednak tylko pomyśleć, że Karol wygląda jak cielak.

- Pójdę teraz i odszukam pani ojca - powiedział cały w uśmiechach. - Nie mogę już czekać. Czy wybaczy mi pani... najdroższa? - To pełne czułości słówko przyszło mu z trudem, ale raz je wypowiedziawszy, powtórzył je znowu z wielką przyjemnością.

- Dobrze - odrzekła - poczekam tutaj. Bardzo tutaj chłodno i przyjemnie.

Przebiegł przez trawnik, nikł za domem i Scarlett została sama pod szumiącym dębem. Mężczyźni odjeżdżali spieszenie sprzed stajen, za nimi zaś służący - Murzyni. Młodzi Munroe'owie wymachiwali na odjezdnym kapeluszami, a Fontaine'owie i Calvertowie śpiewając jechali już gościńcem. Czterej Tarletonowie minęli ją pędem. Brent krzyknął do niej: - Mama daje nam swoje konie! Iii - aaj - ii! - Kępki trawy wzbily się w powietrze i Scarlett znowu została sama.

Biały dom o wysokich kolumnach wznosił się przed nią, zawinięty w swojej dystygowanej rezerwie. Już nigdy nie będzie jej domem. Ashley nigdy nie przeniesie jej na rękach przez próg jako swojej oblubienicy. Och, Ashleyu, Ashleyu! Co ja zrobiłam! Głęboko w duszy, pod pokładami zranionej dumy i zimnego wyrachowania, coś boleśnie zadrgało. Rodziło się w niej dojrzałe uczucie, mocniejsze od próżności i upartego egoizmu. Kochała Ashleya, wiedziała, że go kocha, i nigdy bardziej za nim nie tęskniła jak w owej chwili, gdy Karol zniknął za zakrętem wąskiej ścieżki.

## ROZDZIAŁ VII

W dwa tygodnie później Scarlett została żoną Karola, w ciągu następnych dwóch miesięcy stała się wdową. Szybko wyzwoliła się z więzów, które nałożyła na siebie tak spieszenie i bez namysłu, ale nigdy już odtąd nie miała zaznać beztrudnej swobody swoich przedmażeńskich dni. Wdowieństwo nastąpiło natychmiast po pierwszych przeżyciach małżeńskich, ale ku jej przerażeniu i macierzyństwo nie dało na siebie czekać.

W następnych latach swego życia, myśląc o owych ostatnich dniach kwietnia 1861 r., Scarlett nie mogła ich sobie dokładnie przypomnieć. Czas i wydarzenia mieszały się ze sobą, przeplatały jak w koszmarnym, nierealnym i nieprawdopodobnym śnie. A do samej śmierci miała we wspomnieniach tego okresu puste, białe plamy. Szczególnie niejasny był okres między oświadczeniami Karola a ślubem. Dwa tygodnie! Tak krótkie zaręczyny byłyby w czasie pokoju niemożliwe. Normalnie musiałyby trwać przez rok albo co najmniej sześć miesięcy. Ale Południe było rozdarte wojną, wypadki następowały po sobie tak szybko, jak gdyby je nanosił silny wiatr, i powolne tempo dawnych dni wydawało się minione na zawsze. Ellen załamywała ręce i doradzała zwłokę, aby Scarlett mogła sobie jeszcze raz w spokoju wszystko przemyśleć. Na rady jej jednak Scarlett była głucha i nieczuła. Musi wyjść za mąż! I to w dodatku prędko. W ciągu dwóch tygodni.

Dowiedziawszy się, że ślub Ashleya został przesunięty z jesieni na dzień pierwszy maja, tak aby Ashley mógł wyruszyć na wojnę, jak tylko Oddział zostanie powołany, Scarlett ustaliła datę swego ślubu o dzień wcześniej. Ellen protestowała, Karol jednak, pełen nagłej wymowy, bardzo nastawał, bo śpieszył się do Południowej Karoliny, gdzie chciał wstąpić do legionu Wade'a Hampna; Gerald popierał oboje młodych. Był podniecony wojną, zadowolony, że Scarlett robi tak dobrą partię, czemu by więc miał stawać na drodze miłości młodych, zwłaszcza w czasie wojny? Ellen przegłosowana, dała w końcu swoją zgodę, jak wszystkie inne matki na całym Południu. Spokojny ich świat został wywrócony do góry nogami i namowy ich, prośby i rady nie znaczyły nic wobec potężnych sił, które wszystko zmiatały.

Południe pijane było entuzjazmem i podnieceniem. Wszyscy byli pewni, że jedna bitwa zakończy wojnę, więc młodzi ludzie zaciągali się spieszenie, aby zdążyć przed końcem wojny - spieszenie żenili się z ukochanymi, potem zaś pędzili do Wirginii, aby gromić Jankesów. W powiecie odbywało się mnóstwo ślubów i nie było czasu na smutek rozstania. Wszyscy byli tak zajęci i zgorączkowani, że nie myślano o sprawach poważnych. Panie szyły

mundury, robiły skarpetki na drutach i zwijały bandaże, mężczyźni odbywali musztrę i strzelanie. Pociągi pełne wojska co dzień przejeżdżały przez Jonesboro w drodze na północ - do Atlanty i Wirginii. Niektóre oddziały złożone z synów najlepszych rodzin miały barwne mundury - czerwone, jasnoniebieskie i zielone; inne grupy odziane były w samodziały i czapy z szopów, inne, nie umundurowane, nosiły cienkie sukna i piękną bieliznę; wszystkie były na wpół wyćwiczone, na wpół uzbrojone, upojone podnieceniem i krzyczące, jak gdyby wybierały się na piknik. Widok tych mężczyzn wzniecił panikę wśród chłopców w powiecie, że wojna skończy się, zanim dotrą do Wirginii, przyśpieszono więc jeszcze termin wymarszu Oddziału.

Pośród tego zamętu czyniono przygotowania do ślubu i Scarlett, zanim zdołała zebrać myśli, przybrana została w ślubną suknię i welon Ellen i sprowadzona przez ojca po szerokich schodach Tary do hallu pełnego gości. Potem przypomniała sobie jak we śnie tysiące świec jarzących się na ścianach, twarz matki pełną miłości i trochę zdumioną, wargi jej szepecące modlitwę o szczęście córki, Geralda zaczerwienionego od koniaku i dumy, że córka poślubia wraz z Karolem pieniądze oraz dobre i stare nazwiska - i Ashleya, stojącego u dołu schodów i podającego ramię Melanii. Kiedy zobaczyła wyraz jego twarzy, pomyślała: „To nie może być prawdą. W żaden sposób. To koszmar. Zbudzę się i przekonam, że to sen. Nie będę o tym myślała teraz, bo rozplączę się w obecności wszystkich tych ludzi. Nie mogę teraz myśleć, pomyślę o tym później, kiedy będzie mi łatwiej, kiedy nie będę widziała jego oczu”.

Wszystko działo się rzeczywiście jak we śnie: przeszli przez szpaler uśmiechniętych ludzi, twarz Karola była czerwona i głos zająkliwy, ale własne jej odpowiedzi były zdumiewająco wyraźne, niezwykle jasne. Potem powinszowania, pocałunki, toasty i tańce - wszystko, wszystko jak we śnie. Nawet pocałunek Ashleya, nawet cichy szept Melanii: - Teraz jesteśmy prawdziwymi siostrami - były nierzeczywiste. Nawet zdenerwowanie wywołane atakiem spazmów, którym uległa tęga, łatwo wruszająca się ciotka Karola, panna Pittypat Hamilton, miało cechy koszmaru.

Gdy jednak skończyły się wreszcie tańce i toasty i zbliżał się świt, gdy wszyscy goście z Atlanty, którzy nocowali w Tarze i w domu rządcy, ułożyli się do snu na łózkach, sofach i siennikach na podłodze, a wszyscy sąsiedzi rozjechali się do domów, aby wypocząć przed weselem w Dwunastu Dębach, nierealny trans rozbił się jak kryształ w zetknięciu z rzeczywistością. Rzeczywistością był zaczerwieniony Karol, wyłaniający się z jej garderoby w samej tylko nocnej koszuli i starający się uniknąć przerażonego wzroku Scarlett, który mu rzuciła znad wysoko na twarz naciągniętej kołdry.

Wiedziała oczywiście, że małżonkowie zajmują to samo łóżko, ale nigdy nie

przywiązywała do tej sprawy szczególnej wagi. Wydawało jej się to zupełnie naturalne w przypadku ojca i matki, ale nigdy nie wyobrażała sobie tego w stosunku do siebie samej. Teraz po raz pierwszy od czasu barbakoi uświadomiła sobie, co wzięła na swoje barki. Myśl, że ten obcy chłopiec, za którego nie chciała właściwie wyjść za mąż, wchodzi do jej łóżka w chwili, gdy serce jej pęka z żalu z powodu nieprzemyślanego postępuku i z rozpacz, że na zawsze straciła Ashleya - myśl ta była nie do zniesienia. Kiedy Karol nieśmiało zbliżył się do łóżka, wyszeptała ochryple:

- Krzyknę głośno, jeżeli się do mnie zbliżysz. Zrobię to. Na cały głos! Odejdź ode mnie! Nie śmiej mnie dotknąć!

Karol Hamilton spędził zatem noc poślubną w fotelu w kącie pokoju, niezbyt nawet nieszczęśliwy, bo rozumiał, a raczej zdawało mu się, że rozumie skromność i delikatność swojej żony. Godził się poczekać, aż miną jej pierwsze obawy - tylko że... Westchnął szukając wygodnej pozycji, bo wiedział, że już wkrótce wyruszy na wojnę.

Jakkolwiek własny jej ślub był dostatecznie koszmarny, ślub Ashleya był bodaj jeszcze gorszy. Scarlett stała w swojej jabłkowej „poślubnej” sukni w salonie w Dwunastu Dębach, w świetle setek świec, w tym samym tłumie co poprzedniego dnia, i patrzyła, jak nieładna mała Melania Hamilton rozświetliła się pięknnością, w chwili gdy stała się Melanią Wilkes. W owej chwili Ashley odszedł od Scarlett na zawsze. Jej Ashley. Nie, teraz już nie jej Ashley. Czy kiedykolwiek należał właściwie do niej? Wszystko mąciło się jej w głowie, a głowę miała bardzo zmęczoną, bardzo zbolaną. Powiedział jej, że ją kocha, co więc właściwie ich rozdzieliło? Gdyby choć to pamiętała. Uspokoila plotkujące języki w okolicy, wychodząc za Karola, ale czyż miało to teraz jakiegokolwiek znaczenie? Kiedyś wydawało jej się to bardzo ważne, teraz straciło naraz swą wartość. Ważny był jedynie Ashley. Odszedł od niej, ona zaś była teraz żoną człowieka, którego nie tylko nie kochała, ale dla którego czuła wyraźną pogardę.

Och, jakże żałowała tego wszystkiego! Często słyszała zdania, że człowiek jest sam sobie najgorszym wrogiem, ale wydawało jej się to zawsze nieuzasadnionym przysłowiem. Teraz dokładnie zrozumiała jego znaczenie. Jednocześnie zaś z palącym pragnieniem oswobodzenia się od Karola i powrotu do Tary w charakterze, dawnej, niezameżonej dziewczyny - męczyła ją świadomość, że sama sobie jest winna. Ellen chciała ją powstrzymać, ale Scarlett jej nie posłuchała.

Tak zatem przetańczyła w osłupieniu całą noc na weselu Ashleya. Rozmawiała machinalnie, uśmiechała się naiwnie i dziwiła głupocie ludzi, którzy uważali ją za szczęśliwą oblubienicę, a nie wiedzieli, że ma złamane serce. Dzięki Bogu, że tego nie było widać!

Tej nocy, kiedy Mammy rozebrała ją i odeszła, a Karol znowu nieśmiało wyłonił się z garderoby zastanawiając się, czy i drugą noc spędzi w fotelu, Scarlett wybuchła płaczem. Płakała tak bardzo, że Karol wgramolił się do łóżka, aby ją pocieszyć, płakała bez słów, aż w końcu nie stało jej już łez i tylko cicho szlochała na jego ramieniu.

Gdyby nie było wojny, po ślubie nastąpiłby tydzień wizyt po całej okolicy, bale i barbakoje na cześć dwóch młodych par, potem zaś podróż poślubna do Saratogi czy Białej Siarki. Gdyby nie było wojny, Scarlett wkładałaby co dzień nową suknię na przyjęcia do Fontaine'ów, Calvertów czy Tarletonów. Teraz jednak nie było zabaw ani podróży poślubnych. W tydzień po ślubie Karol wyjechał, aby oddać się pod rozkazy pułkownika Wade'a Hamptona, a w dwa tygodnie później wyruszył Ashley z całym Oddziałem i powiat został osierocony.

W czasie dwóch tygodni Scarlett nie widziała Ashleya sam na sam ani na chwilę, nie miała też okazji z nim porozmawiać. Nawet w strasznej minucie rozstania, kiedy w drodze na kolej wstąpił do Tary, nie była z nim sama. Melania, w czepku i szalu, stateczna w swojej świeżo pozyskanej godności mężatki, wisiała u jego ramienia, poza tym zaś wszyscy mieszkańcy Tary, biali i czarni, zebrali się, aby widzieć, jak pan Ashley jedzie na wojnę.

Melania powiedziała: - Pocałuj Scarlett, Ashleju. To teraz moja siostra - więc Ashley pochylił się i dotknął zimnymi wargami policzka Scarlett, twarz zaś jego była napięta i bez uśmiechu. Pocałunek ten wcale nie sprawił Scarlett przyjemności, tak ją bolało, że zawdzięcza go Melanii. Mela objęła ją na pożegnanie.

- Musisz przyjechać do Atlanty z wizytą do mnie i cioci Pittypat, dobrze? Ach, kochanie, tak byśmy pragnęły twego przyjazdu! Chcemy bliżej poznać żonę Karolka...

Minęło pięć tygodni, podczas których nadchodziły od Karola z Południowej Karoliny nieśmiałe, patetyczne i pełne miłości listy, w których mówił o swoich planach na przyszłość, kiedy wojna się skończy, o tym, że dla Scarlett pragnie zostać bohaterem, i o tym, jak wielbi swego dowódcę, Wade'a Hamptona. W siódmym tygodniu nadszedł telegram od samego pułkownika Hamptona, a potem list - miły, wzniosły list kondolencyjny. Karol umarł. Pułkownik byłby depeszował wcześniej, ale Karol, nie przywiązując wagi do swej choroby, nie chciał niepokoić rodziny. Nieszczęsny chłopiec został odarty nie tylko z miłości, którą, jak mu się zdawało, zdobył, ale i z nadziei sławy i bohaterstwa na polu walki. Umarł niesławnie i szybko na zapalenie płuc, które wywiązało się po odrze, umarł - wyszedłszy na spotkanie Jankesów nie dalej niż obóz w Południowej Karolinie.

We właściwym czasie urodził się syn Karola, a ponieważ w modzie było nazywanie chłopców po dowódcach ich ojców, nazwany został Wade'em Hamptonem Hamilton. Gdy



Scarlett przekonała się że jest w ciąży, płakała z rozpaczy i pragnęła śmierci, donosiła jednak dziecko z minimalną przykrością, urodziła je łatwo i wróciła do zdrowia tak szybko, że Mammy powiedziała jej w zaufaniu, że to jest po prostu nieprzyzwoicie: damy powinny cierpieć więcej. Mało miała serca dla tego dziecka, ale starała się to ukrywać. Nie życzyła go sobie, zła była, że przyszło, teraz zaś, kiedy już było, trudno jej było uwierzyć, że to jest jej dziecko, częśćka jej samej. Mimo że fizycznie przyszła do siebie po urodzeniu Wade'a w bezwstydnie krótkim czasie, psychicznie czuła się źle. Opuścił ją humor, chociaż cała plantacja starała się ją rozerwać. Ellen chodziła po domu z nachmurzonym, zatroskanym czołem, Gerald kłął częściej niż dawniej i przywoził jej z Jonesboro niepraktyczne podarki. Nawet stary doktor Fontaine dziwił się, że jego mikstura z siarki, melasy i ziółek nie odnosi pożądanego skutku. Powiedział Ellen na stronie, że złamane serce czyni Scarlett na przemian to kłótnią, to obojętną na wszystko. Ale Scarlett, gdyby zechciała mówić, mogłaby im powiedzieć, że cierpienie jej miało inną przyczynę i było o wiele bardziej skomplikowane. Nie wyznała nikomu, że na jej stan wpływa ostateczna nuda, niezadowolenie z tego, że jest matką, przede wszystkim zaś nieobecność Ashleya.

Nudzila się bardzo i bez przerwy. W powiecie nie było zabaw i życie towarzyskie zamarło, od kiedy milicja wyruszyła na wojnę. Wszyscy ciekawsi młodzi ludzie wyjechali - czterej Tarletonowie, dwaj Calvertowie, Fontaine'owie, Munroe'owie i co młodszy i przystojniejsi chłopcy z Jonesboro, Fayetteville czy Lovejoy. Tylko starsi mężczyźni, kaleki i kobiety zostały, spędzając czas bądź na szydelkowaniu i szyciu, bądź na sadzeniu bawełny i zboża i hodowaniu coraz większej ilości wieprzów, owiec i krów dla armii. Prawdziwych mężczyzn widać było wtedy tylko, gdy oddział zaopatrywania pod wodzą niemłodego wielbiciela Zuela, Franka Kennedy'ego, przyjeżdżał raz na miesiąc na zbiórkę żywności. Mężczyźni w tym oddziale nie byli interesujący, widok nieśmiałychoz zalotów Franka tak Scarlett rozstrajał, że nie mogła nawet grzecznie do niego mówić. Gdybyż on i Zuela chcieli z tym raz wreszcie skończyć!

Nawet jednak gdyby i ci mężczyźni byli ciekawsi, nie stanowiłoby to dla Scarlett wielkiej różnicy. Była teraz wdową i serce jej umarło. Tak przynajmniej wszyscy myśleli oczekując od niej odpowiedniego postępowania. Irytowało ją to tym bardziej, że mimo starań mogła przypomnieć sobie Karola jedynie z miną prowadzonego na rzeź cielecia, w chwili gdy powiedziała mu, że przyjmuje jego oświadczenia. I nawet ten obraz już się zacierał. Była jednak wdową i musiała się odpowiednio zachowywać. Nie dla niej już przyjemności panienek. Musiała być poważna i chłodna. Ellen podkreśliła to z naciskiem, kiedy raz przyłapała Scarlett śmiejącą się wesoło na huśtawce w ogrodzie z jednym z oficerów Franka.

Bardzo tym przejęta powiedziała, że niewiele trzeba, by ludzie zaczęli źle mówić o kobiecie, która jest wdową. Prowadzenie się wdowy musiało być dwa razy bardziej nieskazitelne od postępowania mężatki.

„A Bóg tylko jeden wie - myślała Scarlett słuchając uważnie cichych uwag matki - jak mało rozrywek mają mężatki. Lepiej już więc wdowy grzebać żywcem”.

Wdowa musiała nosić obrzydliwe czarne suknie bez jaśniejszej choćby wypustki, bez kwiatka, wstążki, koronki czy nawet biżuterii, z wyjątkiem żałobnych broszek z onyksu czy naszyjników z włosów zmarłego. A welon krepowy na czepku musiał sięgać kolan i dopiero po trzech latach wdowieństwa mógł być skrócony do ramion. Wdowy nie mogły rozmawiać z ożywieniem ani śmiać się głośno. Nawet kiedy się uśmiechały, uśmiech ich musiał być smutny, prawie tragiczny. A co najstraszniejsze, w żaden sposób nie mogły przejawiać zainteresowania towarzystwem męskim. Gdyby zaś pan jakiś był tak źle wychowany, iżby zdradzał zainteresowanie osobą wdowy, powinna go od razu osadzić na miejscu bardzo krótko i z godnością wypowiedzianą uwagą o zmarłym mężu. „O tak - myślała Scarlett pośpiesznie - niektóre wdowy wychodzą nawet za mąż, ale tylko wtedy, gdy są stare i zwiędłe. Choć Bóg jeden wie, jak dochodzi nawet do tego, kiedy stale są pod obserwacją sąsiadów. Zresztą wychodzą zwykle za jakichś starych, obrzydliwych wdowców z wielkimi plantacjami i mnóstwem dzieci”.

Małżeństwo było już złem dostatecznie wielkim - ale wdowieństwo - ach, wtedy życie związane było na zawsze! Jak głupi byli ludzie, którzy mówili, że mały Wade pewnie jest dla Scarlett wielką pociechą, teraz, po śmierci Karola. Jakże nonsensownie powtarzali, że teraz ma cel w życiu! Każdy po kolei mówił, jak to dobrze, że przynajmniej zostało jej dziecko jako pośmiertny dowód miłości Karola, ona zaś oczywiście nie wyprowadzała nikogo z błędu. Bardzo mało zajmowała się Wadem i czasem trudno jej było uświadomić sobie, że rzeczywiście jest jej dzieckiem.

Co ranka, w chwilę po przebudzeniu się, była znowu Scarlett O'Hara. Słońce padało jasną plamką na drzewko magnoliowe pod jej oknem, drozdy śpiewały i przyjemny zapach smażącej się szynki dochodził do jej nozdrzy. Była znowu młoda i beztroska, potem słyszała rozdrażniony, głodny płacz, i zawsze, zawsze z wielkim zdumieniem myślała: „Skąd się wzięło w domu niemowlę?” Potem dopiero przypominała sobie, że to płacze własne jej dziecko. Wszystko to było bardzo męczące.

A Ashley! Wspomnienie o nim trapiło ją najbardziej. Po raz pierwszy w życiu nienawidziła Tary, nienawidziła długiej, czerwonej drogi, prowadzącej przez wzgórze ku rzece, nienawidziła czerwonych pól z młodymi pędami bawełny. Każda piędź ziemi, każde

drzewo i strumyk, każda ścieżka i miedza przypominały jej o ukochanym. Należał do innej kobiety i poszedł na wojnę, ale duch jego błędził jeszcze w półmroku po drogach, jeszcze uśmiechał się do niej sennym, szarymi oczyma z cienia pod gankiem. Ilekroć słyszała stukot kopyt końskich, dochodzący od rzeki i Dwunastu Dębów, myślała przez krótką, cudowną chwilę - to Ashley jedzie!

Nienawidziła teraz Dwunastu Dębów, a dawniej je kochała! Nienawidziła ich, a jednak ciągnęło ją tam - aby słuchać rozmów Jana Wilkesa i dziewcząt o Ashleyu, aby czytać urywki jego listów z Wirginii. Sprawiało to jej ból, ale musiała słuchać. Nie lubiła sztywnej Indii i głupiej, gadatliwej Honey, wiedziała dobrze, że i one jej nie lubią, ale nie mogła ich nie odwiedzać. Ilekroć wracała z Dwunastu Dębów, kładła się nachmurzona na łóżko i nie chciała wstawać do kolacji.

Ten jej wstręt do jedzenia najbardziej martwił Ellen i Mammy. Niania przynosiła jej smakowite kąski na tacy, napomykając, że teraz, kiedy jest wdową, może jeść, ile jej się podoba, ale Scarlett nie miała apetytu.

Kiedy doktor Fontaine powiedział Ellen z całą powagą, że złamane serce nierzadko prowadzi do anemii i do grobu, Ellen pobladła, bo nosiła w sercu tę samą obawę.

- Czy nie można nic na to poradzić, panie doktorze?

- Zmiana otoczenia będzie dla niej rzeczą najlepszą w świecie - odrzekł doktor, któremu zależało także na pozbyciu się trudnej pacjentki.

Tak więc Scarlett bez wielkiego entuzjazmu, wyjechała z dzieckiem, aby najpierw złożyć wizytę braciom ojca w Savannah, a potem siostrze Ellen, Paulinie i Eulalii w Charlestonie. Wróciła jednak do Tary o miesiąc wcześniej, niż się jej spodziewano, nie tłumacząc wcale przyczyny nagłego powrotu. W Savannah wszyscy byli dla niej bardzo mili, ale Jakub, Andrzej i ich żony byli starzy i najchętniej siedzieli spokojnie w domu i rozmawiali o przeszłości, która Scarlett nie interesowała. To samo powtórzyło się u Robillardów. Charleston zaś wydał się Scarlett okropny.

Ciotka Paulina i mąż jej, mały staruszek, bardzo oficjalny i grzeczny, ale żyjący jeszcze w poprzedniej epoce - zamieszkiwali plantację nad rzeką, o wiele bardziej odosobnioną niż Tara. Najbliższy ich sąsiad mieszkał w odległości dwudziestu mil od nich, odcięty dzunglami cyprysów, gajami dębów, moczarami. Dęby, obrosłe firankami szarego mchu, napełniały Scarlett zgrozą i przypominały opowiadania Geralda o duchach w Irlandii, które błakają się w szarych, świetlistych oparach. Nie było tam nic do roboty, trzeba było przez cały dzień szydełkować, a wieczorami słuchać, jak wuj Carey czyta wyjątki z budujących dzieł pana Bulwer-Lyttona.

Eulalia, ukryta za wysokim murem wielkiego domu na Baterii w Charlestonie, nie była bynajmniej bardziej zajmująca. Scarlett, przyzwyczajona do szerokich przestrzeni, czuła się tam jak w więzieniu. Życie towarzyskie było tutaj bardziej ożywione niż u ciotki Pauliny, ale Scarlett nie lubiła tych gości pełnych fum, tradycji, sądzących ludzi wedle tego, czy pochodzą z dobrej rodziny. Wiedziała bardzo dobrze, że uważają ją za dziecko mezaliansu i że tutaj ciągle się jeszcze dziwią, jak panna Ellen Robillard mogła wyjść za mąż za jakiegoś tam Irlandczyka. Scarlett czuła, że ciotka Eulalia stara się ją za jej plecami usprawiedliwiać. Gniewało ją to, bo do nazwiska przywiązywała równie mało uwagi jak jej ojciec. Była dumna z Geralda i z tego, czego dokonał bez niczyjej pomocy, dzięki swojej mądrej, irlandzkiej głowie. Mieszkańcy Charlestonu bardzo byli dumni z powodu Fortu Sumtera. Na miłość boską, że też nie zdawali sobie sprawy z tego, że gdyby to nie oni byli tak głupi, aby oddać strzał, który rozpętał wojnę - zrobiliby to z pewnością ktoś inny? Poza tym Scarlett przywykła była do energicznych głosów północnej Georgii i rozwlekłe głosy ludzi z nizin wydawały jej się afektowane. Wydawało jej się, że jeżeli kiedykolwiek usłyszy znowu głosy mówiące „paalma” zamiast „palma”, „doom” zamiast „dom” oraz „maama” i „paapa” zamiast „mama” i „papa”, rozplacze się na głos. Irytowało ją to tak bardzo, że podczas pewnej oficjalnej wizyty zaczęła mówić, ku rozpaczyci ciotki, irlandzkim akcentem Geralda. Potem wróciła do Tary. Woląла, aby męczyły ją wspomnienia o Ashleyu niż akcent charlestończyków.

Ellen, dniem i nocą zajęta podwajaniem wydajności Tary dla potrzeb Konfederacji, przeraziła się, gdy jej najstarsza córka wróciła z Charlestonu chuda, blada i bardzo złośliwa. Pamiętała dotąd o dawnym swoim bólu, więc teraz całe noce leżała przy chrapiącym Geraldzie i starała się wymyślić, w jaki sposób mogłaby pocieszyć czy rozerwać Scarlett. Ciotka Karola, panna Pittypat Hamilton, pisała do niej wiele razy, prosząc, aby pozwoliła Scarlett pojechać do Atlanty na dłużej, teraz więc po raz pierwszy Ellen zaczęła się poważniej zastanawiać nad jej projektem.

Panna Hamilton i Melania mieszkały same w swoim wielkim domu i „bez męskiej opieki - pisała panna Pittypat - teraz kiedy nie ma naszego, drogiego Karolka. Oczywiście, że jest w mieście jeszcze i brat mój, Henryk, on jednak nie mieszka z nami. Może Scarlett wspominała Pani o Henryku? Delikatność wzbrania mi pisać o nim więcej. Mela i ja będziemy się czuły o tyle lepiej i pewniej, gdy i Scarlett będzie z nami! Trzy samotne kobiety to zawsze więcej niż dwie. I może się zdarzyć, że droga Scarlett znajdzie tutaj w swoim smutku pociechę, pielęgnując jak Mela naszych dzielnych chłopców w szpitalach... Rozumie się, że Mela i ja bardzo byśmy chciały zobaczyć naszego drogiego bratanka...” Tak więc kufer Scarlett został znowu napełniony jej żalobną wyprawą i znowu puściła się w podróż. Do

Atlanty zabrała Wade'a Hamptona, piastunkę jego, Prissy, głowę pełną napomnień Ellen i Mammy co do tego, jak się ma prowadzić, oraz sto dolarów w banknotach Konfederacji, które dał jej Gerald. Nie bardzo chciało jej się jechać do Atlanty. Uważała ciotkę Pitty za najgłupszą ze starych panien, a myśl, że będzie mieszkała pod jednym dachem z żoną Ashleya, była dla niej straszna. Dom jednak i jego wspomnienia były już dłużej nie do zniesienia, widziała więc chętnie każdą zmianę.

# **CZEŚĆ DRUGA**

## ROZDZIAŁ VIII

Kiedy w majowy dzień 1862 r. pociąg unosił ją na północ, Scarlett myślała, że Atlanta z pewnością nie może być tak nudna jak Charleston czy Savannah, i mimo niechęci do panny Pittypat i Melanii oczekiwała pewnej przyjemności z powrotu do miasta, w którym była po raz ostatni zimą przed wybuchem wojny.

Atlanta interesowała ją zawsze najbardziej ze wszystkich miast, bo kiedy była dzieckiem, dowiedziała się od Geralda, że miasto jest w tym samym co ona wieku. Gdy dorosła, przekonała się, że Gerald naciągnął trochę prawdę, co często robił chcąc, aby słowa jego wypadły ciekawiej; w rzeczywistości jednak Atlanta była tylko o dziewięć lat od niej starsza i jak na miasto, była niezwykle młoda w porównaniu z wszystkimi innymi miastami, o których Scarlett słyszała. Savannah i Charleston miały powagę właściwą swemu wiekowi - pierwsze zbliżało się do dwóchsetnych urodzin, drugie liczyło lat ponad dwieście, co w młodych oczach Scarlett czyniło je podobnymi do starych babuń, wachlujących się leniwie w słońcu. Atlanta jednak należała do tego samego pokolenia co Scarlett i miała w sobie właściwe młodości nieopanowanie rozmach i upór.

Wersja Geralda oparta była na fakcie, że Scarlett i Atlanta zostały w tym samym roku ochrzczone. W ciągu dziesięciu lat przed urodzeniem Scarlett miasto nazywało się kolejno Terminus, potem Martasville i dopiero w roku urodzenia Scarlett stało się ostatecznie Atlantą.

Kiedy Gerald przeprowadził się do północnej Georgii, Atlanty nie było wcale, nie było nawet śladu wioski: stała tam puszcza. Ale już w następnym roku, 1836, państwo dało zezwolenie na budowę w kierunku północno-zachodnim linii kolejowej, przecinającej terytorium niedawno wykupione od Czerokezów. Wiadome było, że kolej ma łączyć Tennessee z Zachodem, ale punkt węzłowy w Georgii był nieokreślony aż do czasu, gdy w rok później inżynier pewien wbił palik w czerwoną ziemię dla oznaczenia południowego kresu tej linii i wówczas Atlanta, jako Terminus, zrodziła się do życia.

W owym czasie wcale nie było jeszcze kolei w północnej Georgii, ilość ich zaś w pozostałych częściach kraju była znikoma. Bezpośrednio jednak przed małżeństwem Geralda z Ellen mała osada o dwadzieścia pięć mil na północ od Tary przerodziła się w miasteczko, a szyny przesunęły się z wolna dalej na północ. Potem zaczęła się prawdziwa era rozbudowy kolei. Ze starego miasta Augusty puszczono w kierunku zachodnim drugą kolej, która połączyła się z nową linią do Tennessee. Ze starej Savannah zbudowano kolej z początku do Macon, w sercu Georgii, potem dalej na północ, przez powiat Geralda do Atlanty, gdzie

połączyła się z dwiema poprzednimi liniami i w ten sposób ułatwiła transporty między portem Savannah a Zachodem. Z tego samego punktu węzłowego, z młodej Atlanty, budować zaczęto nową, czwartą linię, na południowy zachód, od Montgomery i Mobile.

Zrodzona dzięki kolejom Atlanta rosła w miarę rozrastania się ich sieci. Z chwilą wykończenia czterech linii, Atlanta zyskała połączenie z zachodem, południem, z wybrzeżem i przez Augusta z północą i wschodem. Stała się w ten sposób rozstajem wszelkich podróży w kierunku północnym i południowym, wschodnim i zachodnim, i małe miasteczko wkroczyło w fazę gwałtownego rozwoju.

Na przestrzeni czasu niewiele dłuższej niż siedemnaście lat - wiek Scarlett - Atlanta z palika wbitego w ziemię przeistoczyła się w kwitnące małe miasto o dziesięcioletniej ludności, stanowiące ośrodek uwagi całego stanu. Starsze, spokojniejsze miasta skłonne były patrzeć na to młode i zapobiegliwe miasto z uczuciem kury, która wysiedziała kacze jajo. Co było przyczyną, że Atlanta różniła się tak zasadniczo od innych miast Georgii? Dlaczego rozrastała się tak szybko? Ostatecznie, myślały, nie ma czym się pochwalić, chyba koleją i garstką rozpychających się łokciami ludzi.

Ludzie, którzy zaludnili miasto kolejno zwane Terminus, Martasville i Atlanta, rozpychali się istotnie. Niespokojni, energiczni mieszkańcy starszych części Georgii i dalszych stanów ciągnęli do tego miasta, które rozbudowywało się dokoła stacji kolejowej, przybywali pełni entuzjazmu. Budowali składy przy pięciu błotnistych uliczkach koło stacji. Domy stawiali na Whitehall i ulicy Waszyngtona i wzdłuż wysoko położonej drogi, wydeptanej mokasynami niezliczonych pokoleń Indian i zwanej Traktem Brzoskwiniowym. Dumni byli ze swego miasta, dumni z jego rozwoju, dumni z siebie, że się do tego przyczynili. Niechaj starsze miasta nazywają Atlantę, jak chcą, Atlanta nic sobie z tego nie robi.

Scarlett lubiła Atlantę z tych samych względów, dla których potępiała ją Savannah, Augusta czy Macon. Podobnie jak ona, miasto było mieszaniną tego, co w Georgii stare i nowe, przy czym elementy nowe, uparte i mocne, często pokonywały stare. Ponadto zaś czuła jakąś osobistą łączność z miastem, które narodziło się - czy też zostało ochrzczone - w tym samym czasie, co i ona.

Poprzedniego wieczora padał ulewny deszcz, w chwili jednak gdy Scarlett przybyła do Atlanty, świeciło ciepłe słońce, które starało się osuszyć ulice zamienione w kręte potoki czerwonego błota. Na nie zabudowanym placu dokoła stacji miękka ziemia ubijana była i znowu rozrywana nieustannym ruchem kół i wreszcie stała się podobna do olbrzymiej gnojówki: miejscami pojazdy tonęły w błocie aż po piasty kół. Nie kończący się szereg



furgonów wojskowych i ambulansów, ładujących i wyładowujących zapasy i rannych z pociągów, czynił zamęt jeszcze większym: wozy z trudem torowały sobie drogę, woźnice klęli, muły zapadały w błoto, które rozpryskiwało się szeroko dokoła.

Scarlett stanęła na najniższym stopniu wagonu, blada i piękna w swojej żałobie, w welonie okrywającym ją prawie do kostek. Nie chcąc zawalać trzewików i brzegu sukni wahała się, czy zejść, rozglądała się, czy wśród zgiełkowej ciżby wozów, bryczek i powozów nie dostrzeże panny Pittypat. Zażywej różowej damy nie było jednak widać, ale spostrzegłszy, że Scarlett nerwowo kogoś szuka, zbliżył się ku niej, człapiąc przez błoto, szczipły stary Murzyn o siwiejących kędziorach i bardzo okazałej powierzchowności.

- Czy pani jest Miss Scarlett? Ja jestem Piotr, stangret panny Pittypat. Niech pani nie przechodzi przez błoto - rozkazał surowo, widząc, że Scarlett zaczęła zbierać spódnice, aby zejść z wagonu. - Jest pani nie lepsza od panny Pitty, a ta jak dziecko, ciągle sobie nogi moczy. Przeniosę panią.

Mimo swojej pozornej słabości podniósł Scarlett bez trudu i przyglądając się Prissy, która stała na peronie z dzieckiem na ręku, zatrzymał się na chwilę. - Czy to jest niania dziecka? Miss Scarlett, ona przecież jest za młoda na piastunkę jedyne dziecko naszego pana Karola! Ale tym zajmiemy się później. Ty mała, idź za mną i nie upuść czasem dziecka!

Scarlett nie protestowała, że ją Piotr niesie aż do powozu i że tak śmiało krytykuje ją i Prissy. W drodze przez błoto, gdy Prissy z obrażoną miną brnęła za nimi, przypomniała sobie, co Karol opowiadał jej o wuju Piotrze.

„Był z moim ojcem w kampanii meksykańskiej, pielęgnował ojca, kiedy ojciec został ranny - właściwie uratował mu życie. Wuj Piotr wychował Melanię i mnie, bo byliśmy zupełnie mali, kiedy nasi rodzice umarli. Ciotka Pitty poróżniła się w tym czasie ze swoim bratem, naszym wujem Henrykiem, więc zamieszkała z nami, aby się nami opiekować. Jest jednak zupełnie niezaradna - jak duże dziecko - i tak też ją wuj Piotr traktuje. Za nic w świecie nie powzięłaby żadnej decyzji, wobec tego Piotr ją stale w tym wyręcza. To on zdecydował, że powinienem dostawać większą rentę, gdy skończyłem piętnaście lat, i on upierał się, abym pojechał do Harvard na Północ, podczas gdy wuj Henryk wolał, abym studiował w Georgii. On też postanowił, kiedy Mela ma upiąć włosy i zacząć chodzić na bale. To on mówi cioci Pitty, kiedy ma siedzieć w domu, bo jest zbyt zimno czy zbyt mokro, i kiedy ma wkładać szal... To najmądrzejszy Murzyn, jakiego znam, i najbardziej oddany. Całe jednak nieszczęście, że tyranizuje naszą trójkę i że wie, iż nie potrafimy mu się sprzeciwić”.

Słowa Karola potwierdziły się, gdy Piotr wdrapał się na kozioł i wziął bat do ręki.

- Panna Pitty jest zdenerwowana, że nie mogła przyjechać po panią na stację. Bała się,

że panienka będzie obrażona, ale ja powiedziałem, że obłoci się tylko i zniszczy nową suknię i że ja wszystko biorę na siebie. Panno Scarlett, niech lepiej panienka weźmie dziecko. Ta mała tak wygląda, jakby miała ręce z waty.

Scarlett popatrzyła na Prissy i westchnęła. Prissy rzeczywiście nie była najlepszą piastunką. Niedawna jej metamorfoza z chudego podlotka z warkoczykami i w krótkiej sukience w piastunkę w długiej perkalowej sukni i wykrochmalonym białym turbanie zostawiła na niej niezatarte piętno. Nigdy by nie doszła w tak wczesnym wieku do takiej godności, gdyby nie okoliczność, że wojna i nałożona na Tarę kontrybucja czyniły dla Ellen wyzbycie się Mammy, Dilcey czy nawet Róży lub Tiny niemożliwym. Prissy nigdy w swoim życiu nie była dalej niż o milę od Tary czy Dwunastu Dębów, wyniesienie więc do godności niani i perspektywa podróży ledwie się mogły zmieścić w jej małej czarnej główce. Krótka jazda koleją z Jonesboro do Atlanty tak ją zdenerwowała, że Scarlett zmuszona była przez całą drogę trzymać dziecko na kolanach. Teraz widok tyłu domów i ludzi dopełnił miary podniecenia Prissy. Kręciła się na wszystkie strony, pokazywała palcem, podskakiwała i tak potrącała dziecko, że zaczęło boleśnie krzyczeć.

Scarlett tęskniła do mocnych, tęgich ramion Mammy. Wystarczyło, aby Mammy wzięła dziecko na ręce, a uspokajało się natychmiast. Mammy jednak została w Tarze i nic na to nie można było poradzić. Nie pomogłoby także, gdyby Scarlett odebrała od Prissy małego Wade'a. Wrzeszczałyby na jej kolanach tak samo jak na kolanach Murzynki. Poza tym z pewnością zaczęłyby szarpać wstążki jej czepka i pogniótłby jej suknię. Tak więc wołała udać, że nie słyszy uwagi wuja Piotra.

„Może kiedyś nauczę się obchodzić z dziećmi - myślała z irytacją, kiedy powóz trzęsąc się i podskakując wydobywał się z błota koło stacji - ale nigdy nie będę lubiła się z nimi bawić”. A kiedy buzia Wade'a zrobiła się fioletowa od krzyku, warknęła ze złością: - Daj mu smoczek, Prissy. Niech wreszcie przestanie! Wiem, że jest głodny, ale nic na to nie poradzę.

Prissy wyjęła smoczek, który jej rano dała Mammy, i dziecko uspokoiło się od razu. Kiedy zapanował spokój i Scarlett mogła poświęcić się bez przeszkód obserwowaniu nowego otoczenia, humor jej poprawił się znacznie. A nawet, gdy wuj Piotr wymanewrował wreszcie powóz z błota i wjechał na ulicę Brzaskwiniową, poczuła pierwsze od wielu miesięcy uczucie zainteresowania. Jakże się to miasto rozrosło! Była tutaj zaledwie przed rokiem, więc wydawało jej się nieprawdopodobne, że przez ten krótki czas Atlanta mogła się tak zmienić.

Przez ubiegły rok tak była pochłonięta własnymi smutkami, tak znużona rozmowami o wojnie, że nie wiedziała wcale, iż od chwili rozpoczęcia walk Atlanta przeistoczyła się

zupełnie. Te same linie kolejowe, które w czasie pokoju czyniły z miasta ośrodek handlowy, w czasie wojny uczyniły zeń niezmiernie ważny punkt strategiczny. Położone z dala od frontu miasto i jego koleje stanowiły ogniwa łączące dwie armie Konfederacji: armię Wirginii z armią Tennessee i Zachodu. Jednocześnie Atlanta łączyła obie te armie z głębokim Południem, skąd przychodziły rezerwy. Teraz, wobec wzrastających potrzeb wojennych, Atlanta stała się jeszcze ośrodkiem przemysłowym, bazą sanitarną i jednym z głównych punktów zbiorów żywności i środków zaopatrywania dla wojska.

Scarlett rozglądała się w poszukiwaniu małego miasteczka swoich wspomnień. Nie istniało już. Miasto, na które patrzyła, przypominało dziecko, które przez noc wyrosło na ruchliwego, wielkiego olbrzyma.

Atlanta huczała jak ul, dumna ze swego znaczenia dla Konfederacji. Praca nad przestoczeniem ośrodka rolniczego w przemysłowy wrzała dniem i nocą. Przed wojną przedzalni wełny i bawełny, fabryk broni i maszyn było na południe od Marylandu zaledwie kilka - czym wszyscy południowcy bardzo się szczycili. Południe wydawało mężów stanu i żołnierzy, plantatorów i lekarzy, prawników i poetów, ale ani inżynierów, ani mechaników. Niechaj Jankesi obierają tak podłe kariery. Teraz jednak, gdy porty Konfederacji zablokowane były przez jankeskie okręty, a z Europy przeciekała tylko znikoma ilość towarów, przemycanych przez blokadę, Południe starało się produkować na gwałt własne materiały wojenne. Północ zaopatrywana była przez świat cały w surowce i żołnierzy, tysiące Irlandczyków i Niemców zaciągały się do Armii Unii, skuszone dobrym żołdem. Południe mogło liczyć wyłącznie na siebie.

W Atlancie były już więc fabryki wyrabiające niezdarne maszyny do wyrobu broni - niezdarne, ponieważ na Południu brak było maszyn i prawie każde kółko czy śrubka musiały być robione wedle rysunków przesyłanych potajemnie z Anglii. Na ulicach miasta widać było teraz obce twarze; obywatele, którzy jeszcze rok temu nastawiliby uszu na dźwięk zachodnioamerykańskiego akcentu, teraz nie zwracali uwagi na brzmienie obcej wymowy Europejczyków, którzy przedarli się przez blokadę, aby produkować maszyny i broń dla Południa. Byli to fachowcy, bez których trudno by przyszło robić pistolety, karabiny, armaty i proch.

Słyszało się nieledwie bicie serca miasta, kiedy praca wrzała dniem i nocą, aby przez arterie linii kolejowych rozprowadzić broń i amunicję na oba fronty. Pociągi przyjeżdżały i odjeżdżały o każdej porze. Sadze z nowo wybudowanych fabryk padały na mury białych domów. Nocą płonęły ognie pieców hutniczych, młoty zaś stukały długo po ułożeniu się miasta na spoczynek. Tam gdzie jeszcze rok temu stały puste place, teraz wznosiły się nowe

fabryki upręży, siodeł i obuwia, zakłady artyleryjskie, walcownie i odlewnie, produkujące szyny i wagony towarowe dla zastąpienia tych, które niszczyli Jankesi, oraz wiele pomniejszych warsztatów, w których wyrabiano ostrogi, klamry do upręży, namioty, guziki, pistolety i szable. Odlewnie zaczynały już odczuwać brak surowca, bo z powodu blokady coraz bardziej brakowało złomu, zaś kopalnie w Alabamie częściowo nieczynne, ponieważ wszyscy górnicy poszli na front. Sztachety żelazne, żelazne altanki, bramy czy posągi, zdobiące trawniki Atlanty od dawna już powędrowały do pieców odlewniczych.

Przy ulicy Brzoskwiniowej i jej przecznicach rozlokowały się sztaby rozmaitych oddziałów armii, zawsze pełne umundurowanych ludzi - intendentura, korpus łączności, korpus pocztowy, transportowy i sądowy. Na krańcach miasta mieściły się stajnie remontowe, gdzie w wielkich zagrodach tłoczyły się konie i muły, przy bocznych zaś ulicach stały szpitale. Kiedy wuj Piotr objaśniał jej to wszystko, Scarlett pomyślała, że Atlanta jest chyba miastem rannych, bo szpitali ogólnych, szpitali chorób zakaźnych i zakładów dla ozdrowieńców było bez liku. I co dzień pociągi, przystające przy Pięciu Znakach, wyrzucały jeszcze więcej chorych i rannych.

Małe miasteczko sprzed roku należało do przeszłości, a szybko rozwijające się miasto ożywione było nieustanną energią i gwarem. Widok tego pośpiechu podziałał na Scarlett, przywykłą do wiejskiego spokoju i beczynności, bardzo jej się spodobał. Nerwowa atmosfera miasta podniosła ją na duchu. Wydawało jej się, że czuje, jak przyśpieszony, mocny puls miasta bije w zgodzie z jej własnym.

Kiedy powóz wolno podskakiwał po wybojach głównej ulicy przypatrywała się z zainteresowaniem nowym twarzom i nowym gmachom. Trotuary pełne były umundurowanych mężczyzn, noszących odznaki wszystkich rang i wszystkich rodzajów broni, na wąskiej jezdni tłoczyły się pojazdy - powozy, bryczki, ambulanse i furgony wojskowe z cywilnymi woźnicami, którzy klęli gdy muły zapadały w koleiny; kurierzy w szarych mundurach cwałowali przez ulice niosąc rozkazy i depesze od jednego dowództwa do drugiego, rekonwalescenci kuśtykali wolniutko, wspierani przez współczujące damy; z placów musztry, gdzie z rekrutów czyniono żołnierzy, słychać było bicie w bęben i urywane rozkazy. Ze ściśniętym gardłem Scarlett po raz pierwszy ujrzała niebieskie mundury jankeskie, kiedy wuj Piotr pokazał jej końcem bata oddział wymizerowanych żołnierzy, prowadzonych przez pluton konfederatów na stację, skąd miano ich przetransportować do obozu jeńców.

„Och - pomyślała Scarlett, po raz pierwszy od czasu pamiętnej barbakoi ożywiając się trochę - zdaje się, że spodoba mi się tutaj. To takie podniecające!”

Miasto było żywsze nawet, niż przypuszczała, ponieważ nowych barów otwarto całe mnóstwo; prostytutek, ciągnących za wojskiem, były roje, a domy nierządu, ku zgorszeniu pobożnych osób, prosperowały wspaniale. Hotele, pensjonaty i domy prywatne pełne były gości, którzy przyjeżdżali w odwiedziny do rannych, leczących się w wielkich szpitalach Atlanty. Zabawy, bale, wenty odbywały się co tydzień; ślubów wojennych było bez liku; oblubieńcy, przybyli na urlop w szarych mundurach ze złotymi szamerunkami i panny młode w szmuglowanych jedwabiach - przechodzili pod szpalerem obnażonych szabli. Toasty wznoszono przemycanym szampanem, potem zaś przelewano łyżki rozstania. Po ciemnych, wysadzonych drzewami ulicach niosły się co noc roztańczone kroki, salony rozbrzmiewały dźwiękami pianina i sopranami, które zmieszane z głosami żołnierzy śpiewały melancholijnie: „Gdy trąbki obwieszczą rozejm” lub „Nadszedł twój list, za późno, niestety” - żalosne ballady, które sprowadzały łyżki wzruszenia do oczu, nie znających jeszcze prawdziwych cierpień.

W miarę jak posuwali się ulicą przez lepkie błoto zasypywała Piotra pytaniami, na które odpowiadał wskazując jej rozmaite rzeczy końcem bata, bardzo dumny, że może się pochwalić swoimi wiadomościami.

- To jest arsenał. Tak, tam jest skład armat i tym podobnych rzeczy. Nie, to nie są składy, tylko biura blokady. Doprawdy, panienska nie wie, co to są biura blokady? To są biura, gdzie siedzą cudzoziemcy, którzy kupują naszą konfederacką bawełnę, przewożą do Charlestonu i Wilmingtonu i za to dostarczają prochu. Nie, nie wiem, jacy to są cudzoziemcy. Miss Pitty mówi, że to Anglicy, ale ja nie rozumiem ani słowa z tego, co mówią. Tak, teraz jest bardzo dużo dymu i sadze niszczą jedwabne stopy panny Pitty. To z odlewni i z walcowni. A jaki to hałas robią w nocy! Nikt spać nie może. Nie, nie mogę przystanąć, żeby panienska wszystko zobaczyła. Przyrzekłem pani Pitty, że przywiozę panienkę do domu... Miss Scarlett, proszę się ukloncie. Pani Merriweather i pani Elsing kłaniają się panience.

Scarlett przypomniała sobie niejasno dwie panie tego nazwiska, które były na jej ślubie, wiedziała także, że są najlepszymi przyjaciółkami panny Pitty. Odwróciła się więc szybko w kierunku wskazanym przez Piotra i ukloniła się uprzejmie. Dwie damy siedziały w powozie przed składem materiałów. Właściciel i dwaj subiekci stali na chodniku, rozkładając przed paniami sztuki materiału. Pani Merriweather była wysoką, tęgą kobietą, tak ściśniętą gorsetem, że biust jej sterczał groźnie naprzód jak dziób okrętu. Do siwych jej włosów przysztukowana była fryzowana grzywka, wyzywająco brązowa i kłócąca się wyraźnie z resztą fryzury. Pani Merriweather miała okrągłą, bardzo czerwoną twarz, która wyrażała dobrotliwy spryt, wolę i despotyzm. Pani Elsing była młodsza od niej - szczudła i wątła; była

kiedyś znaną pięknnością i dotąd jeszcze cechowała ją zwiędła elegancja i wytworna wyniosłość. Dwie te damy i trzecia jeszcze, pani Whiting, stanowiły podpory Atlanty. Królowały nad trzema kościołami - zarówno nad księżmi, jak nad członkami chóru i parafianami. Organizowały wenty i wieczory szycia dla biednych, patronowały balom i piknikom, wiedziały, kto zrobił dobrą partię, a kto nie, kto ukradkiem oddawał się pijaństwu, kto spodziewał się dziecka i kiedy. Były autorytetami w sprawie genealogii wszystkich, którzy „liczyli się” w Georgii, Południowej Karolinie i Wirginii, innymi zaś stanami nie interesowały się zupełnie, ponieważ były przekonane, że nikt, „kto się liczy”, nie może z nich pochodzić. Wiedziały, co jest zachowaniem się odpowiednim, a co nie, i nie wahały się dzielić z innymi swoją opinią - pani Merriweather głośno, pani Elsing przeciągając wytwornie, przyciszonym głosem, pani Whiting zaś zrozpaczonym szeptem, który miał wyrażać wstręt jej do poruszania podobnych tematów. Trzy te damy nie cierpiały się i nie ufały sobie tak serdecznie jak członkowie pierwszego rzymskiego Triumwiratu, a ścisła ich przyjaźń wynikała prawdopodobnie z tej właśnie przyczyny.

- Powiedziała już Pitty, że musisz pracować w moim szpitalu! - zawołała pani Merriweather uśmiechając się do Scarlett. - Nie angażuj się z panią Meade ani z panią Whiting.

- Nie, proszę pani - rzekła Scarlett nie mając pojęcia, o czym pani Merriweather mówi, ale odczuwając przyjemność z powodu tak ciepłego przywitania. - Mam nadzieję, że zobaczymy się wkrótce.

Powóz sunął powoli dalej i na chwilę zatrzymał się nawet, aby pozwolić przejść z kosztami pełnymi bandaży, dwóm paniom, które skacząc z kamienia na kamień usiłowały przedostać się na drugą stronę zabłoconej jezdni. W tej samej chwili zauważyła Scarlett kobietę w dość jaskrawej sukni - zbyt jaskrawej jak na ulicę - i w szalu indyjskim o długiej frędzli. Odwróciła się, aby jej się lepiej przyjrzeć: była to wysoka, ładna kobieta o wyzywającej twarzy i gęstych rudych włosach, o odcieniu, który nie wydawał się naturalny. Po raz pierwszy w życiu Scarlett widziała kobietę, która z pewnością „coś robiła” ze swoimi włosami, toteż przyglądała jej się jak urzeczona.

- Wuju Piotrze, kto to taki?

- Nie wiem.

- Z pewnością Piotr wie. Pewna tego jestem. Kto to jest?

- Nazywa się Bella Watling - rzekł wuj Piotr, pogardliwie wysuwając dolną wargę.

Scarlett od razu zauważyła, że nie poprzedził nazwiska słowem „panna” ani „pani”.

- Kim ona jest?

- Panno Scarlett - rzekł Piotr surowo, okładając batem przerażonego konia - panna Pitty z pewnością nie będzie zadowolona, Jak panienka będzie zadawała niepotrzebne pytania. W tym mieście pełno jest teraz ludzi, o których nawet wspominać nie warto.

„Dobry Boże! - pomyślała Scarlett milknąc od razu. - To pewnie jest kobieta złego prowadzenia!”

Nigdy dotąd nie widziała tego rodzaju kobiet, odwróciła więc głowę i długo patrzyła za nieznajomą, dopóki nie straciła jej z oczu.

Składy i nowe wojenne budynki rozrzucone były teraz rzadziej i między nimi było więcej pustych placów. Zostawili wreszcie za sobą dzielnicę handlową i zaczęli mijać domy prywatne. Scarlett poznawała je jak starych znajomych: więc dom Leydenów - dystyngowany i okazały; Bonnellów - o małych białych kolumnach i zielonych okiennicach; spokojny czerwony dom rodziny McLure za żywopłotem z bukszpanów. Posuwali się teraz wolniej jeszcze niż dotąd, bo z ganków, ogrodów i okien wołały do Scarlett znajome panie. Niektóre znała pobieżnie, inne przypominała sobie, większości jednak nie znała wcale. Pitty z pewnością rozgłosiła wiadomość o jej przyjeździe na całe miasto. Małego Wade'a trzeba było ciągle podnosić i pokazywać, aby mogły go obejrzeć panie, które mimo błota odważyły się zbliżyć do brzegu chodnika. Wszystkie wołały, że Scarlett musi należeć do ich kółek szycia i dziergania i do komitetów szpitalnych, przyrzekała więc na prawo i lewo.

Kiedy mijali niezgrabny dom o zielonych okiennicach, mała Murzynka, wyglądająca ich ze schodów, zawołała „o, już jedzie” i z domu wyszedł doktor Meade z żoną i trzynastoletnim synkiem Filipem, wydając okrzyki powitania. Scarlett przypomniała sobie, że i ich poznała na swoim ślubie. Pani Meade weszła na słupek przed domem i wyciągała szyję, aby zobaczyć dziecko, doktor jednak nie zważając na błoto przedarł się do samego powozu. Był wysoki, bardzo chudy, miał spiczastą siwą bródkę, ubranie zaś wisiało na nim luźno jak na wieszadle. Atlanta uważała go za źródło wszelkiej siły i wszelkiej mądrości, nic więc dziwnego, że i on sam w to w końcu uwierzył. Chociaż miał zwyczaj wyrażania się jak wyrocznia i trochę napsuszony sposób bycia, był może najprzyzwoitszym człowiekiem w mieście.

Teraz uściskał rękę Scarlett, połechtął Wade'a w brzuszek, wypowiadając zdawkowe zachwyty, po czym oświadczył, że ciotka Pittypat zobowiązała się słowem, iż Scarlett będzie z pewnością należała do komitetu opieki nad chorymi, któremu przewodniczyła pani Meade.

- Ależ ja to już przyrzekłam stu paniom! - zawołała Scarlett.

- I pani Merriweather, założę się! - wykrzyknęła pani Meade z oburzeniem. - A niechże ją wszyscy! Ona z pewnością wychodzi do wszystkich pociągów!

- Przrzekłam, bo nie wiedziałam, o co tu chodzi - wyznała Scarlett. - Co to właściwie takiego te „kobiety szpitalne”?

Zarówno doktor, jak i jego żona zdawali się być zgorzeleni jej ignorancją.

- No tak, była pani zakopana na wsi i dlatego nie wie pani o niczym - usprawiedliwiała ją pani Meade. - Utworzyliśmy komitety, które pielęgnują chorych w rozmaitych szpitalach i w różne dni. Opiekujemy się rannymi, pomagamy lekarzom, robimy bandaże, szyjemy odzież, a kiedy ranni czują się dość dobrze, aby wypisać się ze szpitala, zabieramy ich do swoich domów, gdzie odbywają rekonwalescencję przed powrotem do wojska. Opiekujemy się także żonami i rodzinami niezamożnych czy biednych żołnierzy. Doktor Meade pracuje w szpitalu Instytutu, gdzie ja mam swój komitet. Wszyscy twierdzą, że doktor dokazuje cudów i...

- Ale, ale, pani Meade - rzekł doktor z czułością. - Nie chwal mnie tak prosto w oczy! Muszę przynajmniej to robić, skoro nie pozwalasz mi się zaciągnąć do wojska.

- Kto, ja? - zawołała z oburzeniem. - To miasto ci nie pozwala! Scarlett, kiedy ludzie dowiedzieli się, że mąż mój chce jechać do Wirginii i wstąpić do armii w charakterze lekarza, wszystkie panie podpisały petycję, aby został w mieście. Rozumie się, że miasto nie dałoby sobie bez niego rady.

- Ale, ale, pani Meade - rzekł doktor lubując się najwidoczniej w tych pochwałach. - Może to dość, że mamy już jednego chłopca na froncie.

- A ja pójdę na przyszły rok! - zawołał mały Filip podskakując z podniecenia. - Będę doboszem! Już się uczę grać na bębnie. Czy chce pani posłuchać? Zaraz przyniosę mój bębenek.

- Nie, nie teraz - rzekła pani Meade, z wyrazem nagłego niepokoju w twarzy, przyciągając chłopca do siebie. - Nie pójdziesz jeszcze w przyszłym roku, kochanie. Może dopiero za dwa lata.

- Wtedy już przecież wojny nie będzie! - zawołał niecierpliwe wyrrywając się matce. - A przrzekłaś mi przecież!

Oczy rodziców spotkały się nad głową chłopca i Scarlett zauważyła to spojrzenie. Starszy ich syn, Darcy, był w Wirginii, całe więc uczucie przelewali teraz na młodszego, pozostałego w domu.

Wuj Piotr chrząknął znacząco.

- Pannie Pitty było słabo, kiedy wyjeżdżałem z domu, i z pewnością zemdleje, jeżeli nas długo nie będzie.

- Do widzenia. Zajdę do was po południu! - zawołała pani Meade. - Niech pani powie



ode mnie Pitty, że jeżeli nie przystąpi pani do mego komitetu, stan jej pogorszy się z pewnością znacznie.

Powóz ruszył i potoczył się po błotnistej drodze.

Scarlett uśmiechała się, oparta o poduszki. Już czuła się lepiej niż w ostatnich miesiącach. Atlanta - tłumna, ludna, śpiesząca się, nerwowa, była miejscem bardzo przyjemnym, bardzo podniecającym, o wiele miłszym od samotnej plantacji za Charlestonem, gdzie głosy aligatorów przerywały nocną ciszę; miłszym od Charlestonu drzemącego w ogrodach za wysokimi murami; miłszym od Savannah o szerokich, wysadzanych palmami ulicach i zamulonej rzece. Tak, chwilowo miłszym nawet od Tary - chociaż Tara bardzo była droga jej sercu.

Dziwnie żywotne było to miasto o wąskich błotnistych uliczkach, miasto między czerwonymi pagórkami - surowe i pierwotne, doskonale odpowiadające surowości i pierwotności Scarlett, ledwie przykrytej warstwą poloru. Toteż Scarlett uczuła nagle, że miejsce jej jest tutaj, nie w pogodnych i cichych starych miastach nad żółtymi wodami.

Domy stały teraz w coraz większych odstępach, jedno od drugich. Wychylając się Scarlett zobaczyła wreszcie czerwone mury i gontowy dach domu panny Pitty. Był to jeden z ostatnich domów na północy miasta. Za nim ulica Brzoskwiniowa zwązła się i gubiła pod starymi drzewami pobliskiego lasu. Ładny drewniany parkan pomalowany był na białe, a ogródek przed domem zółcił się ostatnimi żonkilami sezonu. Na stopniach frontowych stały dwie kobiety w czerni, za nimi zaś tęga Mulatka z dłońmi ukrytymi pod fartuchem, ukazując białe zęby w uśmiechu. Tłuściutka panna Pittypat przestępowała ze wzruszenia z nogi na nogę i jedną ręką przyciskała obfity pierś, aby uspokoić bicie serca. Scarlett ujrzała Melanię stojącą obok niej i z nagłym przyplywem niechęci zdała sobie sprawę, że plamą na słońcu jej pobytu w Atlancie będzie ta drobna osóbką w żałobnej czerni z gładko, poważnie przczesаныmi włosami i czułym uśmiechem powitania na owalnej twarzączce.

Kiedy mieszkaniec Południa decydował się na zapakowanie kufra i wyjazd w odwiedziny o dwadzieścia mil od domu, wizyta rzadko trwała krócej niż miesiąc, zwykle zaś znacznie dłużej. Południowcy tak samo lubili jeździć z wizytami, jak i przyjmować u siebie i czasem krewni, przyjeżdżający na Boże Narodzenie, zostawali aż do lipca. Młode pary, odbywające poślubną turę oficjalnych wizyt, zatrzymywały się czasem w miłym jakimś domu do chwili urodzenia drugiego dziecka. Starsi wujowie czy ciotki przyjeżdżali na obiad w niedzielę i zostawali przez długie lata, aż do swojej śmierci. Goście nie sprawiali żadnych kłopotów, bo domy były duże, służba liczna, a wyżywienie kilku dodatkowych osób było drobiazgiem w tym kraju wszelakiej obfitości. Z wizytami jeździli ludzie każdego wieku i

plci - młode małżeństwa, matki przedstawiające krewnym nowo narodzone dzieci, rekonwalescenci, sieroty, panny, które rodzice wysyłali z domu, aby przeszkodzić nieodpowiedniej partii, i panny, które osiągnąwszy niebezpieczny wiek nie zdołały się zaręczyć i teraz jechały „na wyswatanie” do krewnych w inne okolice. Goście stanowili urozmaicenie i rozrywkę w wolno płynącym życiu Południa, zawsze więc byli mile widziani.

Scarlett przyjechała do Atlanty nie mając pojęcia na jak długo. Gdyby pobyt jej okazał się równie nieudany jak w Savannah czy Charlestonie, miała wrócić do domu za miesiąc. Jeżeliby się czuła dobrze, mogła zostać, jak długo chciała. Ledwie jednak przyjechała, ciotka Pitty i Melania zaczęły z nią walkę, aby przeprowadziła się do nich na stałe. Wytaczały wszelkie możliwe argumenty.

Chciały ją mieć przy sobie, ponieważ ją kochały. Były same i bały się nocą w tym wielkim domu, ona zaś była taka śmiała, że dodawała im odwagi. Była tak urocza, że widok jej pocieszał je w smutku. Teraz, po śmierci Karola, miejsce jej i jej syna było przy jego rodzinie. Ponadto zaś połowa domu należała teraz do niej, zapisana testamentem Karola. Co najważniejsze zaś - Konfederacja potrzebowała każdej pary rąk do szycia, szydełkowania, zwijania bandaży i pielęgnowania rannych.

Wuj Karola, Henryk Hamilton, który mieszkał po kawalersku w hotelu „Atlanta” koło stacji, także poważnie rozmawiał ze Scarlett na ten temat. Był to niski, tęgi, gniewliwy pan o różowej twarzy, długich siwych włosach i absolutnym braku wyrozumiałości dla kobiecych strachów i humorów. Z tego też względu ledwie raczył rozmawiać z panną Pittypat. Od dzieciństwa krańcowo różnili się usposobieniem, pogniwiali się zaś zupełnie z powodu krytyki Henryka co do sposobu wychowania Karola: „Robisz wstrętną babę z syna żołnierza!” Przed wielu laty Henryk tak siostrze nawymyślał, że dotąd Miss Pitty wspomina go tylko przyciszonym głosem i tak niechętnie, iż obcy człowiek mógł łatwo pomyśleć, że zacyzny stary adwokat jest co najmniej mordercą. Kłótnia wybuchła pewnego dnia, gdy Pitty chciała podjąć pięćset dolarów z kapitału, nad którym pieczę miał Henryk, i ulokować tę sumę w akcjach nie istniejącej kopalni złota. Henryk odmówił jej wypłacenia tej sumy i stwierdził kategorycznie, że Pitty nie ma więcej rozumu od kwoki i że on, Henryk, dostaje szału, gdy przebywa w jej towarzystwie dłużej niż pięć minut. Od tego dnia Pitty widywała się z nim tylko oficjalnie raz na miesiąc, gdy jechała do jego kancelarii po pieniądze na utrzymanie. Po tych krótkich wizytach kładła się do łóżka na resztę dnia, na przemian łkając i wachając sole trzeźwiące. Melania i Karol, którzy byli z wujem w doskonałych stosunkach, nieraz proponowali jej, że ją chętnie wyręczą, Pitty jednak w odpowiedzi zaciskała tylko dziecinnie usta i odmawiała. Henryk był krzyżem, który musiała dźwigać. Karol i Melania

wnioskowali z tego, że ciotka czerpała głęboką przyjemność z tych regularnych wzruszeń - jedynych w jej spokojnym życiu.

Wuj Henryk polubił Scarlett od razu, ponieważ, jak mówił, widział, że mimo swoich głupich póż posiada parę ziarenek rozsądku. Był kuratorem majątku nie tylko Melanii i Pitty, ale także i tego, który Scarlett odziedziczyła po Karolu. Scarlett była przyjemnie zdziwiona dowiedziawszy się, że jest osobą zamożną, bo prócz połowy domu ciotki Pitty, Karol zostawił jej jeszcze i ziemię, i place w mieście. Składy zaś i sklepy na ulicy przy dworcu, które stały na jej placach, od chwili wybuchu wojny wzrosły trzykrotnie w cenie. Właśnie podczas zaznajamiania jej z tymi sprawami finansowymi wuj Henryk poruszył sprawę przeniesienia się jej na stałe do Atlanty.

- Kiedy Wade Hampton dorośnie, będzie bogatym młodzieńcem - powiedział. - Jeżeli Atlanta rozwijać się będzie dalej w tym tempie, majątek jego pomnoży się dziesięciokrotnie w ciągu dwudziestu lat, należałoby zatem chłopca wychowywać tam, gdzie jego majątek, aby nauczył się go pilnować, no i opiekować się także fortuną Pitty i Melanii. Będzie wkrótce jedynym mężczyzną w naszej rodzinie, bo przecież ja wiecznie żyć nie będę. Jeżeli chodzi o Piotra, to uważał za sprawę przesadzoną, że Scarlett zostaje w mieście na zawsze. Nie mógłby pojąć tego, by jedyny syn Karola wychowywał się nie pod jego okiem. Scarlett słysząc te argumenty uśmiechała się i nic nie odpowiadała, nie chcąc się do niczego zobowiązywać, póki nie wiedziała, czy spodoba jej się w Atlancie i czy będzie się dobrze czuła w otoczeniu rodziny męża. Wiedziała także, że będzie musiała zyskać zgodę Geralda i Ellen. Ponadto zaś teraz, gdy była z dala od Tary, bardzo za nią tęskniła: brak jej było czerwonych pól, zielonych krzaczków bawełny i ciszy o zmierzchu. Po raz pierwszy zaczęła niejasno rozumieć, co miał na myśli Gerald mówiąc, że miłość do ziemi ma się we krwi.

Nie dawała więc chwilowo ostatecznej odpowiedzi co do czasu trwania swojej wizyty i tymczasem wżywała się w atmosferę czerwonego domu u wylotu ulicy Brzoskwiniowej.

Mieszkając z rodziną Karola w domu, w którym wyrósł, Scarlett zaczynała teraz lepiej rozumieć tego chłopca, który uczynił ją żoną, wdową i matką w tak szybkim czasie. Łatwo było pojąć dlaczego był tak nieśmiały, tak skromny i pełen ideałów. Jeżeli Karol odziedziczył nawet pewne cechy po surowym, nieustraszonym, porywczym żołnierzu, jakim był jego ojciec, to zatarły się one już w dzieciństwie pod wpływem kobiecej atmosfery, w której się wychował. Przywiązany był bardzo do dziecinnej Pitty a Melanię kochał głębiej niż przeciętny brat siostrę, trudno zaś było znaleźć dwie łagodniejsze i mniej od nich zaradne kobiety.

Ciotka Pittypat ochrzczona została właściwie przed sześćdziesięciu laty imionami Sara

Janina, ale od niepamiętnych czasów, gdy tak ją przezwiał ojciec, imię to przyłgnęło do niej. Przez liczne lata, które nastąpiły po tym drugim chrzcie, wiele w niej zaszło zmian, które ów przydomek uczyniły śmiesznie nieodpowiednim. Z szybko drepczącej dziewczynki zostały jej jedynie dwie drobne stopy, zbyt małe w stosunku do tuszy, i skłonność do wesołego, bezmyślnego szczebiotu. Pitty była tęga, różowa na twarzy, siwiutka i zawsze trochę zadyszana z powodu zbyt ciasno zasznurowanego gorsetu. Trudno jej było chodzić dalej niż do najbliższej przecznicy na tych jej małych nóżkach, wtłoczonych w zawsze przyciasne pantofle. Serce jej biło mocniej za lada wzruszeniem i Pitty nie wstydziła się mdleć, ile razy nadarzała się jej sposobność. Wszyscy wiedzieli dobrze, że te omdlenia są przeważnie udane, ale za bardzo ją lubili, by jej o tym mówić. Lubili ją, psuli jak dziecko i nie brali poważnie - wszyscy z wyjątkiem brata jej, Henryka.

Pitty przekładała plotki nade wszystko inne, nawet nad rozkosze stołu, i całymi godzinami potrafiła pleść o cudzych sprawach w niewinny, dobrotliwy sposób. Nie pamiętała nigdy nazwisk, dat ani nazw miejscowości i często mieszała uczestników jednego dramatu z bohaterami innego, co zresztą nikogo nie wprowadzało w błąd, bo nikt nie słuchał tego, co mówiła. Nikt nie opowiadał jej rzeczy naprawdę drastycznych czy prawdziwych skandali, bo należało szanować jej dziewicze uszy, mimo że miała lat sześćdziesiąt - wszyscy też przyjaciele opiekowali się nią i pieścili jak duże dziecko.

Melania pod wieloma względami podobna była do ciotki. Miała tę samą nieśmiałość, rumieniła się równie często i niespodzianie, była tak samo skromna, ale posiadała sporo rozumu. „Tak, przyznaję, w niektórych sprawach” - myślała Scarlett niechętnie. Podobnie jak ciotka Pitty, Melania miała twarz niewinnego dziecka, które nigdy nie zaznało niczego prócz prostoty, dobroci, prawdy i miłości - dziecka, które nie widziało zła ni podłości i nie umiałoby się nawet na nich poznać. Ponieważ sama była zawsze szczęśliwa, chciała, aby wszyscy dokoła niej byli szczęśliwi lub przynajmniej zadowoleni. Z tego względu stale dopatrywała się cech dobrych we wszystkich ludziach i o tych tylko mówiła. Nie było tak niezręcznej służącej, aby Mela nie odkryła w niej niezwykłego oddania czy dobroci, nie było tak brzydkiej dziewczyny, aby nie dopatrzyła się w niej ładnej figury czy szlachetnego charakteru, ani tak bezwartościowego i nudnego mężczyzny, któremu by się nie przyjrzała z punktu widzenia możliwości, a nie dokonań.

Z powodu tych jej zalet, które wypływały z prawdziwie szlachetnego serca, każdy garnął się do niej, któż bowiem mógłby się oprzeć osobie odkrywającej w bliźnich swoich cechy dodatnie, których istnienia nawet się nie domyślają? Miała więcej przyjaciółek niż jakakolwiek inna panienka w mieście i nawet więcej przyjaciół, mimo że nie miała

wielbicieli, bo brak jej było egoizmu i uporu w zdobywaniu sobie serc męskich.

Melania postępowała właściwie tak, jak tego uczono wszystkie panienki na Południu - starała się, aby wszyscy w jej otoczeniu byli zadowoleni i dobrze się czuli. Ten właśnie spisek kobiet sprawiał, że południowcy stali się tak bardzo miłymi ludźmi. Kobiety wiedziały, że kraj, w którym mężczyźni są zadowoleni, pewni siebie i bezpieczni w swojej przez nikogo nie zadraśniętej próżności, stanie się z pewnością rajem dla kobiet. Od kolebki więc aż do grobu starały się, aby rzeczywiście byli zadowoleni z siebie, a pogodni mężczyźni odpłacali im szczerze w monecie galanterii i uwielbiana. Mężczyźni chętnie dawali kobietom wszystko w świecie, odmawiając im jedynie rozumu. Scarlett miała te same metody postępowania co Melania, ale uciekała się do nich z wystudiowanym artyzmem i doskonałym sprytem. Różnica między nimi dwiema polegała na tym, że podczas gdy Melania mówiła przyjemne i pochlebne rzeczy z chęci sprawienia ludziom choćby krótkotrwałej radości, Scarlett zawsze miała w tym ukryty swój cel.

Przebywając w towarzystwie Pitty i Meli, dwóch najbardziej ukochanych kobiet, Karol nie dowiedział się niczego o twardej rzeczywistości życia, dom zaś, w którym wyrósł na mężczyznę, był miękki jak ptasie gniazdko. W porównaniu z Tarą był to spokojny, staromodny, wytworny dom. Scarlett bardzo w nim brakło męskiego zapachu koniaku, tytoniu i pomady do włosów, ochrypłych głosów i soczystych przekleństw, strzelb, siodeł, lejc i wałęsających się pod nogami psów. Brakło jej odgłosów kłótni, które rozlegały się w Tarze, ilekroć się Ellen odwróciła - kłótni Mammy z Porkiem, Róży z Tiną, jej własnych przykrych sprzeczek z Zuelą, wrzaskliwych pogrózek Geralda. Nic dziwnego, że Karol był „babą”, skoro wychował się w takim domu. Tutaj nigdy nie czuło się zdenerwowania, głosy nigdy nie podnosiły się, każdy łagodnie stosował się do życzeń drugiego i w końcu wszyscy robili to, czego sobie życzył czarny, siwiejący despota w kuchni. Scarlett, która wyrwawszy się spod kontroli Mammy, spodziewała się większej swobody, przekonała się z żalem, że na dystygowane zachowanie się, zwłaszcza jeżeli chodzi o wdowę po panu Karolu, wuj Piotr ma nawet surowsze poglądy niż Mammy.

W takiej atmosferze Scarlett przychodziła powoli do siebie i nim się spostrzegła, odzyskała dawny humor. Miała zaledwie siedemnaście lat, wspaniałe zdrowie i energię, a rodzina Karola starała się, jak mogła, aby jej życie umilić. Jeżeli im się to nie udawało w pełni, nie była to ich wina, bo nikt nie mógł jej przecie usunąć z serca bólu, który odświeżał się, ilekroć wypowiedano imię Ashleya. Melania zaś wspominała go tak często! Poza tym jednak i Melania, i Pitty były niezmordowane, aby ukoić smutek który, jak sobie wyobrażały, zżerał Scarlett. Własny swój ból odsunęły na bok, aby tylko ją rozerwać. Troskały się o jej

jedzenie, o godziny popołudniowego spoczynku i pory przejażdżek powozem. Nie dość, że podziwiała ją z zapalem - chwaliły jej rozum, figurę, małe ręce i nogi, białą skórę - ale powtarzały jej to często, głaszcząc ją, obejmując i całując dla podkreślenia prawdy swoich czułych słów.

Scarlett nie bardzo dbała o pieszczoty, ale topniała pod wpływem komplementów. Nikt w Tarze nie mówił jej nigdy tak przyjemnych słów. Mammy cały swój czas poświęcała właściwie tępieniu jej zarozumiałości. Mały Wade także przestał jej teraz przeszkadzać, bo cała rodzina i wszyscy sąsiedzi, biali i czarni, ubóstwiali go i ciągle spierali się, kto ma go trzymać na kolanach. Melania zwłaszcza bardzo go kochała. Nawet kiedy wrzeszczał jak oszalały, Melania uważała, że jest rozkoszny, i mówiła mu to, dodając: - Och, najmilsze moje kochanie! Jakżebym chciała, abyś był mój!

Czasem Scarlett z trudem mogła ukryć swoje prawdziwe uczucia - bo nie przestała uważać ciotki Pitty za wyjątkowo głupią starą pannę, a niezdarność jej i ciągle mdlenia irytowały ją bardzo. Melanii nie lubiła z zazdrosną niechęcią, która ciągle wzrastała. Czasem musiała wychodzić nagle z pokoju, gdy Mela, rozpromieniona z miłości i dumy, mówiła o Ashleyu albo czytała na głos jego listy. Ale mimo to życie płynęło tak szczęśliwie, jak to było możliwe w danych okolicznościach. Atlanta była z pewnością bardziej interesująca od Savannah, Charlestonu czy Tary i tyle dawała niezwykłych, wojennych zajęć, że Scarlett nie miała czasu na rozmyślanie czy zadumę. Czasem tylko, gasząc świecę i składając głowę na poduszkę, wzdychała i myślała: „Gdybyż Ashley nie był żonaty! Gdybym ja nie musiała pracować w tym przebrzydłym szpitalu! Ach, gdybyż mi było wolno mieć wielbicieli!” Od pierwszej chwili nie lubiła opiekowania się chorymi, ale nie mogła się od tego obowiązku uchylić, bo należała do komitetów pani Meade i pani Merriweather. Znaczyło to, że cztery ranki tygodniowo musiała spędzać w dusznym, śmierdzącym szpitalu, ubrana w fartuch zakrywający ją od szyi do stóp i w turban z ręcznika. Wszystkie mężatki w Atlancie, stare czy młode, pracowały w szpitalu i czyniły to z entuzjazmem, który Scarlett wydawał się prawie fanatycznym. Uważały za oczywiste, że i ona płonie tym samym zapalem, i byłyby bardzo zgorzone, gdyby wiedziały, jak mało Scarlett interesuje się wojną. Gdyby nie ciągła obawa, że Ashley może zostać zabity, wojna nie obchodziłaby jej wcale, chorych zaś pielęgnowała dlatego po prostu, że nie wiedziała, jak się od tego wykręcić.

Rozumie się, że zajęcia to nie miało w sobie nic romantycznego. Dla Scarlett było synonimem jęków, maligny, śmierci i smrodów. Szpitale pełne były brudnych, zarośniętych, owszonych mężczyzn, którzy śmierdzili strasznie i mieli rany dość okropne, aby każdego przyprawić o mdłości. Szpitale cuchnęły gangreną i odór ten prześladował ją zwykle jeszcze

długo po wyjściu na ulicę - był to słodkawy opar choroby, który lgnął do włosów i rąk, męczył w snach. Muchy, komary i moskity brzęczącymi, dźwięcznymi rojami wypełniały sale szpitalne tak dokuczając chorym, że aż klęli lub płakali. Scarlett zaś, drapiąc się sama od ukąszeń, wachlowała rannych liśćmi palmowymi tak długo, aż zaczynały ją boleć ramiona, i życzyła wszystkim nagłej śmierci.

Melania jednak zdawała się nie zwracać uwagi na zapachy, rany czy nagość - co Scarlett uważała za rzecz niezwykłą w kobiecie tak bojaźliwej i skromnej. Czasem, kiedy doktor Meade oczyszczał zaropiałe rany, Melania trzymając miski i instrumenty była bardzo blada. Raz nawet, po jakiejś operacji, Scarlett zastała ją w schowku na bieliznę, spokojnie wymiotującą w ręcznik. Jak długo jednak była przy rannych, Melania była miła, współczująca i tak pogodna, że wszyscy mężczyźni nazywali ją aniołem miłosierdzia. Scarlett także by była rada mieć taki przydomek, ale aby go zyskać, należało dotykać mężczyzn pokrytych wszami, wsadzać palce do gardła nieprzytomnych pacjentów, dla sprawdzenia, czy nie połknęli kawałka tytoniu do żucia, bandażować kikuty i oczyszczać z robaków jęczące się rany. Nie, stanowczo nie lubiła pielęgnowania chorych.

Może by to wszystko stało się znośniejsze, gdyby było jej wolno olśniewać wdziękami rekonwalescentów, z których niektórzy byli przystojni i z dobrych rodzin, tego jednak robić nie mogła z powodu swego wdowieństwa. Młode panienki, którym nie wolno było pielęgnować, aby nieprzystojne widoki nie obrażały ich dziewiczych oczu, miały pod swoją opieką ozdrowieńców. Nie związane małżeństwem ani wdowieństwem, robiły wielkie podboje i nawet najbrzydsze dziewczęta, jak ponuro obserwowała Scarlett, bez trudu zdobywały sobie teraz narzeczonych.

Poza beznadziejnie chorymi lub ciężko rannymi mężczyznami Scarlett widywała wyłącznie kobiety, i to ją także gniewało, ponieważ nie lubiła kobiet ani im nie ufała, co gorsze zaś, nudziła się bardzo w ich towarzystwie. Trzy razy w tygodni musiała jednak chodzić z Melanią na wieczory szycia lub zwijania bandaży. Dziewczęta, które znały Karola, były dla niej na tych zebraniach miłe i uważne, zwłaszcza Fahny Elsing i Maybelle Merriweather, córki dwóch znakomitych dam miasta. Odnosiły się jednak do niej z szacunkiem, należnym osobie starszej i doświadczonej, ciągle zaś ich rozmowy o tańcach i kawalerach budziły w Scarlett i zazdrość, że nie dzieli ich rozrywek, i żal, że wdowieństwo odgradza ją od nich na zawsze. Była przecież trzy razy ładniejsza od Fanny i Maybelle! Och, jak niesprawiedliwe było życie! Jak źle, że wszyscy myśleli, iż serce jej jest w grobie, kiedy to było nieprawdą! Było w Wirginii, z Ashleyem!

Mimo jednak tych drobnych nieprzyjemności Atlanta bardzo się Scarlett podobała.

Wizyta jej przeciągała się coraz dłużej, a tygodnie mijały szybko.



## ROZDZIAŁ IX

Tego letniego poranka Scarlett siedziała w oknie swojej sypialni i ze smutkiem przyglądała się wozom i powozom pełnym dziewcząt, żołnierzy i przyzwoitek, wyjeżdżającym z ulicy Brzoskwiniowej do lasu po gałęzie do udekorowania sali, w której wieczorem miała się odbyć wenta na rzecz szpitali. Na czerwonej drodze cienie wysokich drzew mieszały się z plamami słonecznego blasku, a kopyta końskie wzbijały małe tumany rdzawego pyłu. Wóz, jadący na przedzie, mieścił czterech tęgich Murzynów z siekierami do ścinania gałęzi oraz przykryte serwetkami kosze, kobiałki pełne prowiantów i kilkanaście arbuzów. Dwaj czarni przy dźwiękach banjo i harmonii śpiewali we własnej przeróbce pieśń „O zuchach z kawalerii”. Za nimi sunęła wesoła kawalkada - osłonięta od słońca małymi parasolkami: dziewczęta w kwiecistych perkalowych sukniach, lekkich szalach, czepkach i mitenkach; starsze panie, łagodnie uśmiechające się wśród śmiechów i rzucanych z powozu do powozu żartów i docinków; rekonwalescenci ze szpitala, wciśnięci między tęgie opiekunki i szczupłe dziewczęta, nadskakujące im troskliwie; oficerowie na koniach, towarzyszący powozom stępa - koła skrzypiały, dźwięczały ostrogi, połyskiwały złote szamerunki, parasolki chwiały się, wachlarze poruszały, rozbrzmiewał śpiew Murzynów. Kto żyw, wyjeżdżał za miasto po zielen i na pikniki w lesie. „Wszyscy - myślała Scarlett ponuro - z wyjątkiem mnie”.

Wszyscy wołali do niej i machali chusteczkami przejeżdżając koło jej okna, starała się więc odpowiadać równie wesoło, ale przychodziło jej to z trudem. Ostry, dojmujący ból ścisnął jej serce i wolno podchodził do gardła, do oczu zaś napływały łzy.

Wszyscy jechali na piknik, tylko nie ona. I wszyscy szli na wentę i bal wieczorem - z wyjątkiem jej, Scarlett. Ścisłej - wszyscy z wyjątkiem jej, Pittypat, Meli i innych nieszczęsnych kobiet, które były w żałobie. Ale Mela i Pitty nic sobie z tego nie robiły. Nawet nie przyszło im na myśl, że mogłyby się wybrać. Scarlett - przeciwnie. Chciała iść na bal - strasznie chciała!

Była to po prostu krzyżująca niesprawiedliwość. Pracowała nad przygotowaniem wenty dwa razy więcej od każdej dziewczyny. Zrobiła pończochy, czapeczki dzieciinne, kołderki wełniane, rękawiczki, ząbki koronkowe, wymalowała porcelanowe miseczki i filiżanki dla wąsatych panów. Na kilkunastu poszewkach wyhaftowała sztandar Konfederacji. (Gwiazdy wyszły wprawdzie trochę krzywo, niektóre były prawie okrągłe, inne miały sześć czy nawet siedem ramion, ale efekt ogólny był dobry). Przez wczorajszy dzień pracowała aż

do zupełnego wyczerpania w zakurzonej szopie przy zbrojowni, przystrajając żółtą, różową i zieloną bibułą stoiska pod ścianami. Wobec dozoru pań z Komitetu Szpitalnego była to zwykła ciężka praca, a nie przyjemność. Praca w obecności pani Merriweather, pani Elsing czy pani Whiting nigdy nie była przyjemnością, ponieważ poganiały człowieka, jakby był nie lepszy od zwykłego Murzyna. I w dodatku trzeba było jeszcze wysłuchać, jak przechwalają się powodzeniem swoich córek. Co najgorsze zaś, Scarlett, pomagając Pitty i kucharce w pieczeniu tortów na loterię fantową, sparzyła sobie dwa palce.

Teraz zaś, napracowawszy się jak wyrobница, musiała się z godnością wycofać, kiedy zabawa miała się właśnie rozpocząć. Och, to wcale nie było sprawiedliwe, że mąż jej nie żył, a dziecko wrzeszczało w sąsiednim pokoju, i że musiała być poza nawiasem wszystkich przyjemności! Jeszcze rok temu mogła tańczyć i nosić kolorowe suknie zamiast tej wstrętnej żałoby i była właściwie zaręczona z trzema chłopcami na raz. Miała dopiero siedemnaście lat i nie wytańczyła się jeszcze wcale. Och, to było bardzo niesprawiedliwe! Życie omijało ją jak te wozy na rozgrzanej drodze - życie, szare mundury, dźwięczące ostrogi, kwieciste suknie organdy i śpiewy przy banjo. Starła się uśmiechać i nie wymachiwać ze zbytnim zapalem chustką do mężczyzn, których znała doskonale, bo oglądała ich w szpitalu, trudno jednak było nie pokazywać dołeczków, trudno udawać, że serce jest w grobie - kiedy tak wcale nie było.

Kłanianie się i powiewanie chusteczką nagle jednak ustało, kiedy do pokoju Scarlett weszła Pittypat, zadyszana jak zwykle po wdrapaniu się na schody, i odciągnęła ją bezceremonialnie od okna.

- Czyś ty postradała zmysły, kochanie, że kłaniasz się mężczyznom z okna swojej sypialni? Scarlett, jestem doprawdy zgorzonna! Co by twoja matka na to powiedziała?

- Przecież nikt nie wie o tym, że to moja sypialnia.

- Ale może się komuś zdawać, że to twoja sypialnia, i to na jedno wychodzi. Kochanie, nie powinnaś robić tego rodzaju rzeczy. Wszyscy zaczną mówić o tobie, że jesteś zalotna. Ponadto zaś pani Merriweather z pewnością wie, że to twoja sypialnia.

- Przypuszczam więc, że to ta stara plotkara o tym rozgada.

- Cicho, kochanie! Dolly Merriweather jest moją najlepszą przyjaciółką.

- Mimo to jest plotkarką, ciociu. Ach, ciociu, niechże ciocia nie płacze! Zapomniałam zupełnie, że jestem w sypialni. Nigdy już tego nie zrobię... Chciałam po prostu zobaczyć ich odjazd. Bardzo żałuję, że nie jestem z nimi.

- Kochanie!

- Nic na to nie poradzę. Tak mnie już znudziło siedzenie w domu.

- Scarlett, przyrzeknij mi, że nie będziesz więcej mówiła podobnych rzeczy. Ludzie zaczęliby zaraz gadać. Powiedzieliby, że nie okazujesz szacunku dla pamięci biednego Karola...

- Och, ciociu, przestań płakać!

- No widzisz, teraz i ty zaczynasz płakać - łkała Pittypat. Z pewną satysfakcją szukając w kieszeni chusteczki.

Dziwny ból doszedł już wreszcie do gardła, Scarlett rozplakała się więc na głos - nie z żalu za biednym Karolkiem, jak sobie wyobrażała Pitty, ale dlatego, że turkot kół i śmiechy wreszcie ucichły. Melania wpadła ze swego pokoju ze zmarszczonym z niepokoju czołem, z rozpuszczonymi czarnymi włosami i szczotką w ręce.

- Najdroższe moje! Co się stało?!

- Karolek! - łkała Pittypat, oddana już całkowicie przyjemności głośnego płaczu, i złożyła głowę na ramieniu Meli.

- Och - rzekła Mela, sama bliska płaczu na dźwięk imienia brata. - Bądź silna, ciociu. Nie płacz. Och, Scarlett.

Scarlett rzuciła się na łóżko i płakała w głos, łkając z żalu za swoją straconą młodością, za rozrywkami, które były jej wzbronione, łkając z rozpaczą i oburzeniem dziecka, które płaczem mogło niegdyś wiele wskórać, a teraz wie, że i łzy nic nie pomogą. Ukryła głowę w poduszkę, płakała i kopała nogami puchową kołdrę.

- Wolałabym już nie żyć! - łkała gwałtownie. Na widok takiego bólu łzy Pittypat ustały, Mela zaś pobiegła w stronę łóżka, aby pocieszyć bratową.

- Najmilsza, nie płacz! Pomyśl, jak bardzo Karol cię kochał, i niechaj cię to pokrzepi! Staraj się myśleć o swoim dzieciątku!

Oburzenie, że jej nie rozumieją, połączone z żalem, że jest poza nawiasem życia, odebrały Scarlett głos. Dobrze się stało, bo gdyby mogła mówić, wykrzyczałaby wiele prawd prostymi słowami Geralda. Melania klepała ją po ramieniu, Pitty zaś krzątała się ciężko po pokoju i zasuwiała firanki.

- Niech ciocia tego nie robi! - krzyknęła Scarlett podnosząc czerwoną i zapuchniętą twarz z poduszki. - Nie jestem jeszcze zupełnym trupem, aby mi tu ciocia firanki zasuwiała w biały dzień, chociaż Bóg świadkiem, że wolałabym nie żyć! Och, proszę, idźcie sobie i dajcie mi święty spokój!

Znowu ukryła twarz w poduszkę. Po krótkiej naradzie szeptem, dwie pochylone nad nią kobiety wyszły wreszcie z pokoju. Słyszała, jak Melania cicho mówi na schodach do Pittypat:

- Ciociu Pitty, wolałabym, abyś nie mówiła ze Scarlett o Karolu. Wiesz dobrze, jak to na nią działa. Biedactwo, robi tak dziwną minę i stara się wstrzymać łzy. Nie powinniśmy jej tego utrudniać.

Scarlett kopnęła kołdrę w bezsilnej wściekłości, starając się przypomnieć sobie jak najgorsze przekleństwo.

- Do stu tysięcy par beczek! - zawołała wreszcie i trochę jej ulżyło. Że też Melania mogła z taką rezygnacją siedzieć w domu, nie mieć żadnych rozrywek, nosić żałobę po bracie, gdy miała dopiero osiemnaście lat! Melania zdawała się nie wiedzieć czy też nie zwracać uwagi na to, że życie omija ją ze srebrzystym dźwiękiem ostróg.

„Bo z niej taka ślamazara - myślała Scarlett gniotąc poduszkę. - I nigdy nie miała takiego powodzenia jak ja, więc wyrzeczenie nie przychodzi jej tak ciężko jak mnie... A... poza tym ma Ashleya, a ja... ja... ja nie mam nikogo!” I na tę bolesną myśl znowu zaczęła szlochać.

W tym ponurym nastroju przesiedziała u siebie aż do południa i nawet wtedy widok młodzieży powracającej z pikniku i wozów naładowanych zielenią, paprocią i bluszczem nie poprawił jej humoru. Wszyscy byli pomęczeni, ale weseli, znowu jej się kłaniali i ona znowu odpowiadała posepnie. Życie było sprawą beznadziejną i żyć z pewnością nie było warto.

Wyzwolenie przyszło w postaci najmniej spodziewanej, kiedy w czasie poobiedniej drzemki przyjechały pani Merriweather z panią Elsing. Zdumione, że goście zjawiają się o tak niezwykłej porze, Melania, Scarlett i ciotka Pittypat zerwały się ze snu, szybko zapięły staniki, przygładziły włosy i zeszły do salonu.

- Dzieci pani Bonnel mają odrę - zaczęła pani Merriweather, wyrażając spojrzeniem, że uważa panią Bonnel osobiście za to odpowiedzialną.

- A panny McLure wezwano do Wirginii - rzekła pani Elsing ledwie słyszalnym głosem, wachlując się leniwie, jak gdyby ani to, ani nic innego nie miało właściwie znaczenia. - Dallas McLure został ranny.

- Jakie to straszne! - zawołały chórem trzy panie Hamilton. - Czy biedny Dallas...

- Nie. Ma tylko przestrelone ramię - wyjaśniła pani Merriweather szybko. - Chodzi o to, że wszystko to razem nie mogło się zdarzyć w czasie mniej odpowiednim. Panny McLure jadą na Północ, aby go sprowadzić do domu. Ale na Boga, nie mamy czasu, aby tu siedzieć i rozmawiać z wami. Musimy prędko wracać do zbrojowni i skończyć dekorowanie sali. Pitty, potrzebujemy ciebie i Meli wieczorem na zastępstwo pani Bonnel i panien McLure.

- Ależ, Dolly, my nie możemy pójść...

- Nie mów „nie możemy”, Pittypat Hamilton - powiedziała pani Merriweather

stanowczo. - Potrzebna nam jesteś do nadzoru nad Murzynami, którzy będą podawali. To była funkcja pani Bonnel. A ty, Melu, musisz się zająć stoiskiem panien McLure.

- Och, my naprawdę nie możemy... przecież biedny Karol nie żyje dopiero od...

- Wiem, co się dzieje w waszych sercach, ale dla Sprawy nie istnieją zbyt wielkie ofiary - wtrąciła pani Elsing cicho i przekonywująco.

- Och, bardzo byśmy chciały wam pomóc, ale... czy nie możecie znaleźć jakichś młodych, ładnych dziewcząt na zastępstwo?

Pani Merriweather parsknęła głośno.

- Nie wiem, co się stało tym dzisiejszym pannom. Nie mają poczucia odpowiedzialności. Wszystkie dziewczęta, które nie mają stoisk, wykręcają się od nich jak najęte. Och, ja wiem dlaczego. Po prostu chcą mieć więcej czasu na zawracanie głowy oficerom, i to wszystko. A prócz tego boją się, że za stołami nie będzie widać ich nowych sukien. Życzyłabym sobie, aby ten przemysłnik - jakże on się nazywa?...

- Kapitan Butler - podsunęła pani Elsing.

- Życzyłabym sobie, aby sprowadzał więcej lekarstw dla szpitali, a mniej krynolin i koronek. Wszystkie suknie, jakie będę dzisiaj podziwiała, pochodzą od niego. Kapitan Butler... dźwięk tego nazwiska przyprawia mnie o mdłości. Słuchaj, Pitty, nie mam teraz czasu na przekonywanie was. Musicie przyjść. Ciebie nikt nie dostrzeże w tylnym pokoju, a Mela nie będzie się rzucała w oczy. Stoisko tych biednych panien McLure jest w samym kącie i dość nieładne, więc nikt nie zobaczy.

- Uważam, że powinniśmy pójść - rzekła Scarlett starając się zdławić swój zapał i nadać twarzy wyraz powagi i spokoju. - Tyle chociaż możemy zrobić dla szpitala.

Żadna z pań nie wymieniła nawet imienia Scarlett, odwróciły się więc i spojrzały na nią ostro. Nawet w tej krytycznej chwili nie ośmieliły się zaproponować wdowie od ledwie roku ukazania się w towarzystwie. Scarlett wytrzymała ich spojrzenie otwierając oczy w dzieciennym zdumieniu.

- Uważam, że powinniśmy pójść i postarać się pomóc, wszystkie trzy. Myślę, że i ja powinnam być z Melą przy stoisku, bo uważam, że będzie lepiej wyglądało, jeżeli pójdziemy razem, niż gdyby poszła tylko jedna z nas. Czy zgadzasz się ze mną, Melu?

- Hm... - zaczęła Mela bezradnie. Perspektywa ukazania się podczas żałoby w publicznym miejscu, na zabawie, była tak niesłychana, że nie wiedziała, co ma robić.

- Scarlett ma rację - powiedziała pani Merriweather zaobserwowała, że opór Meli słabnie. Wstała i poprawiła suknię. - Wszystkie trzy musicie przyjść. No, Pitty, nie zaczynaj mi się tylko wymawiać. Pomyśl tylko, jak bardzo szpital potrzebuje pieniędzy na nowe łóżka

i lekarstwa. Przekonana jestem, że Karolek chętnie by pomógł sprawie, dla której zginął.

- No, więc dobrze - rzekła Pittypat, jak zwykle bezradna w zetknięciu z silniejszą indywidualnością - skoro uważasz, że ludzie to rozumieją.

„Zbyt dobre, aby było prawdziwe! Zbyt dobre, aby było prawdziwe!” - śpiewało rozradowane serce Scarlett, gdy wsuwała się niepostrzeżenie do stoiska przystrojonego różowożółtą bibułą. A więc rzeczywiście była na zabawie! Po całorocznym odosobnieniu, po czarnej krepie, przyciszonych głosach i wariowaniu z nudów, rzeczywiście była na zabawie! Na największej ze wszystkich, które kiedykolwiek odbyły się w Atlancie. Mogła widzieć ludzi i światła, słyszeć muzykę i na własne oczy oglądać piękne koronki, atłasy i stroje, które słynny kapitan Butler przemycił przez blokadę podczas swojej ostatniej podróży.

Usiadła na małym stołeczku za kontuarem stoiska i rozglądała się po długiej hali, która jeszcze do południa była nagą i brzydka salą musztry. Ileż się panie musiały napracować, aby doprowadzić zbrojownię do tego stanu! Teraz wyglądała pięknie. „Wszystkie świece i lichtarze Atlanty zebrano dziś w tej sali” - myślała. Srebrne, dwunastoramienne, porcelanowe, zdobne u podstawy ślicznymi figurynkami, stare, wyniosłe świeczniki, pełne pachnących berberysiem świec różnych wielkości i kolorów - stały na kozłach do broni pod ścianami, na długich, przystrojonych kwiatami stołach, na kontuarach stoisk, nawet na parapetach otwartych okien, gdzie płomienie ich chwiały się lekko od ciepłych, letnich powiewów.

Wielka, brzydka lampa, wisząca pośrodku sali na zardzewiałych łańcuchach, była przystrojona nie do poznania gałązkami bluszczu i dzikiego wina, już zwiędłymi od gorąca. Kąty sali oddzielone były wonnymi gałęziami sośniny, tworząc altany dla opiekunek i starszych pań. Girlandy bluszczu i dzikiego wina wisiały wszędzie, na ścianach, nad oknami, na kolorowych draperiach stoisk. I wszędzie między zielenią, na sztandarach i chorągwiach, świeciły jasne gwiazdy Konfederacji na niebieskoczerwonym tle.

Podium dla orkiestry wyglądało wyjątkowo pięknie. Ukryte było za parawanem zieleni i gwiazdzistej draperii: zebrano tam wszystkie rośliny doniczkowe z całego miasta - pelargonie, hortensje, kaktusy, nawet cztery ulubione fikusy pani Elsing ustawiono na honorowych miejscach w czterech rogach podwyższenia.

W udekorowaniu przeciwległej strony sali panie przeszły same siebie. Na ścianie tej wisiały wielkie portrety prezydenta Davisa i „małego Aleksa” z Georgii, Aleksandra Stephensa, wiceprzewodniczącego Konfederacji. Nad portretami rozpięto olbrzymi sztandar, pod nim zaś na długich stołach stał plon ogrodów Atlanty - paprocie, róże szkarłatne, żółte i białe, naręcza długich mieczyków, masy różnokolorowych nasturcji, wysokie, sztywne

malwy, górujące ciemnopąsowymi i kremowymi koronami nad resztą kwiatów. Pomiedzy kwiatami płonęły świece pogodnie jak na ołtarzu. Na to wszystko zdawały się patrzeć dwa portrety dwóch bardzo różnych ludzi: Davis o chudych policzkach i chłodnych oczach ascety, z dumnie zaciśniętymi wąskimi wargami; Stephens o ciemnych, ognistych, głęboko osadzonych oczach i twarzy, na której humor zmazywał wyraz bólu i cierpienia. Ci dwaj ludzie byli powszechnie wielbieni.

Starsze panie z komitetu, na których barkach spoczywała odpowiedzialność za powodzenie wenty, kręciły się z taką ważnością jak statki pod wszystkimi żaglami, przynaglały spóźnione mężatki i chichoczące dziewczęta do stoisk, a potem wracały do tylnych pokojów, gdzie przygotowywano bufet. Ciotka Pitty podreptała za nimi.

Muzycy jeden po drugim wchodzili na estradę, czarni, uśmiechnięci, o tłustych policzkach, świecących już od potu, i zaczęli stroić skrzypce, pociągając z powagą smyczkami. Stary Levi, stangret pani Merriweather, który dyrygował orkiestrą na wszystkich wentach, balach i ślubach, od czasu gdy Martasville przemianowano na Atlantę, dał znak smyczkiem, że muzyka się rozpoczyna.

Prócz gospodyń było jeszcze niewiele osób, toteż wszystkie oczy zwróciły się ku niemu. Potem skrzypce, basetle, harmonijki i banjo zgodnie i wolno zaczęły grać „Lorenę” - do słuchu chwilowo, ponieważ tańce miały się rozpocząć później, gdy wszystkie stoiska wyzbędą się towarów. Scarlett czuła, jak serce jej bije mocniej, gdy doszły ją tony melancholijnego walca.

*Słońce nisko na niebie, Loreno,*

*Lata z wolna mijają, Loreno...*

*Znowu śniegi pokryły murawę,*

Raz-dwa-trzy, raz-dwa-trzy, balancez, obrót - dwa-trzy. Jaki to piękny walc! Scarlett rozłożyła ręce, przymknęła oczy i kołysała się lekko w takt smutnej melodii. W tych tragicznych rymach o minionej miłości Loreny było coś takiego, co ją wzruszyło i sprowadzało do oczu łzy.

Naraz, jak gdyby powołane do życia tonami walca, z oświetlonej promieniami księżycy ulicy zaczęły dochodzić dźwięki, stukot kopyt końskich i turkot kół, śmiechy i kłótnie nawoływania się Murzynów, spierających się o miejsca postoju swoich powozów. Zgiełk zapanował na schodach i beztraska wesołość, świeże głosy dziewczęce mieszały się z niskimi tonami ich towarzyszy, słyhać było powitania i okrzyki radości, gdy panienki witały się ze znajomymi, z którymi rozstały się nie dalej niż po południu.

Sala ożywiła się w jednej chwili. Pełna była dziewcząt w jasnych, kolorowych

sukniach o wielkich krynolinach, spod których wyglądały koronkowe pantalone; pod falbankami staników rysowały się małe, młode piersi; koronkowe szale były niedbale zarzucone na ramiona; wachlarze, haftowane szychem i malowane, z puchu łabędziego i z pawich piór - zwisały na cienkich aksamitkach u przegubu dłoni; brunetki miały włosy gładko odgarnięte z uszu i upięte w koki tak ciężkie, że ściągały ich głowy do tyłu; blondynki o masach jasnych włosów zwiniętych w loki nosiły złote, długie kolczyki, podzwaniające koło uszu. Koronki, jedwabie, szamerowania i wstążki, przemycane przez blokadę, pokazywano z tym większą dumą, że stanowiły dodatkowy afront w stosunku do Jankesów.

Nie wszystkie kwiaty miasta ustawiono w hołdzie przed portretami przywódców Konfederacji. Najmniejsze, najpiękniej pachnące przystrajały suknie młodych dziewcząt. Herbaciane róże były zatknięte za różowe uszka, gałązki jaśminu i pączki różane w formie okrągłych bukietów wpięte były w kaskady loczków lub skromnie wsunięte za atłasowe szarfy - aby przed upływem nocy znaleźć się jako cenna pamiątka na sercach żołnierzy w szarych mundurach.

W tłumie tyle było mundurów, tylu mężczyzn, których Scarlett знаła z łóżek szpitalnych, z ulicy, z placu musztry! Mundury były wspaniałe, dumnie błyszczące guzikami i plecionym szamerowaniem na mankietach i kołnierzach, czerwone zaś, żółte i niebieskie pasy na spodniach - odznaki rozmaitych rodzajów broni - znakomicie odcinały się od szarości tła. Purpurowe i złote szarfy chwiały się tam i sam, szable lśniły i uderzały o świecące buty, ostrogi dzwoniły i brzęczały.

„Jacy to wspaniali mężczyźni” - myślała Scarlett z dumą w sercu, obserwując, jak rzucają powitania, kłaniają się znajomym, pochylają nisko nad dłońmi starszych pań. Wszyscy wyglądali bardzo młodo, mimo sumiastych płowych wąsów czy ciemnych bród, bardzo pięknie i walecznie, zwłaszcza ci z rękami na temblaku czy bandażami na czołach, mocno odcinającymi się od opalonych twarzy. Niektórzy chodzili o kulach, a panny troskliwie drepczące przy nich, aby dotrzymać im kroku, wyraźnie były dumne z bohaterstwa swoich towarzyszy. Pomędzy mundurami był jeden pysznie kolorowy, zaćmiewający barwne szatki pańien i wyróżniający się z tłumu jak ptak podzwrotnikowy - mundur żuawa z Luizjany, o bufiastych, niebieskobiałych spodniach w pasy, kremowych getrach i obcisłej, czerwonej marynarce. Nosił go ciemny, uśmiechnięty, niski młodzieniec z ręką na temblaku, przysięgły wielbiciel Maybelle Merriweather, nazwiskiem Rene Picard. Ze szpitali przyszedli wszyscy ci, którzy mogli chodzić, zjawili się wszyscy żołnierze na urlopach oraz urzędnicy kolejowi i pocztowi z całego okręgu między Atlantą a Macon. Jakież zadowolone będą panie! Szpital z pewnością zarobi furę pieniędzy!



Z ulicy słyszeć się dało bicie w bębny, dudnienie stóp, pełne podziwu okrzyki stangretów. Zabrzmiała pobudka i basowy głos nakazał rozejść się. Po chwili oddział rezerwowej gwardii w barwnych mundurach zatupotał na wąskich schodach i wypełnił salę, kłaniając się, salutując, ściskając dłonie. Do gwardii należeli młodzi chłopcy, dumni z tej zabawy w wojnę, niecierpliwie czekający chwili, gdy wyruszą za rok do Wirginii, jeżeli wojna potrwa tak długo; starzy ludzie o siwych brodach, paradujący w mundurach i szczytający się sławą swoich synów na froncie. Do milicji należeli mężczyźni w średnim wieku i kilku starszych, ale także i garstka chłopców w wieku poborowym. Ci nosili się nie tak dziarsko jak młodszy i starsi od nich wiekiem - bo już ludzie zaczęli sarkać, że nie zaciągnęli się do armii.

Dziwne się wydawało, że wszyscy zmieścili się w sali! Chwilę temu wydawała się ogromna, teraz zaś była natłoczona po brzegi, gorąca od zapachu wody kolońskiej, pomady do włosów, kwiatów i palących się świec, duszna od pyłu, wzbijanego szuraniem tyłu par stóp po podłodze. Zgiełk i gwar głosów zagłuszał nawet muzykę; jak gdyby przejęty radością i podnieceniem tłumu, stary Levi przerwał „Lorenę” w pół taktu i ostro pociągnął smyczkiem. Rzepoląc zajadle orkiestra zaczęła grać pieśń „Niebieski Sztandar”.

Sto głosów podjęło ją wesoło. Trębacz gwardii wdrapawszy się na podium przyłączył się do muzyki w chwili, gdy zaczęto chórem śpiewać, srebrzyste wysokie tony trąbki wybijały się ponad śpiew tłumu, wywoływały gęsią skórę na nagich ramionach pań i zimne dreszcze głębokiego wyruszenia:

*Niech nam żyje, niech żyje, niech żyje!*

*Niech nam żyje nasz sztandar niebieski!*

*Z jedną gwiazdą niebieski nasz sztandar!*

Zaintonowali drugą zwrotkę. Scarlett śpiewając wraz z innymi słyszała za sobą wysoki sopran Melanii, przejmujący i czysty jak dźwięk trąbki. Odwróciwszy się ujrzała Mele z przyciśniętymi do piersi rękami, z zamkniętymi oczyma, z których kącików sączyły się łzy. Gdy muzyka umilkła, uśmiechnęła się dziwnie do Scarlett i ocierając oczy skrzywiła się, jak gdyby chciała się usprawiedliwić.

- Jestem taka szczęśliwa - szepnęła - i tak dumna z naszych żołnierzy, że nie mogłam powstrzymać się od płaczu.

W oczach jej malował się fanatyczny blask, który rozświetlił jej twarzyczkę i uczynił ją prawie piękną.

Równie promienne były twarze innych kobiet. Gdy skończyła się pieśń, łzy dumy

spływały po różowych i pomarszczonych policzkach, na wargach kwitły uśmiechy, oczy błyszczały, gdy zwracały się na mężczyzn - kochanków, synów i mężów. Wszystkie były piękne tą olśniewającą urodą, która przeistacza najbrzydszą kobietę, gdy czuje, że jest osłaniana i kochana przez mężczyznę, i gdy miłość tę oddaje tysiąckrotnie.

Kochały swoich mężczyzn, wierzyły w nich, ufały im do ostatniego tchnienia. Jakże mogła spać na nie kiedykolwiek klęska, gdy między nimi a Jankesami stał mocny jak stal mur szarych mundurów? Czy istnieli kiedykolwiek w historii dzielniejsi od nich mężczyźni, bardziej bohaterscy, rycerscy lub czuli? Cóż innego jak walne zwycięstwo mogło uwieńczyć Sprawę tak słuszną i tak sprawiedliwą? Sprawę, którą ukochały równie gorąco jak mężczyźni, Sprawę, której oddały serca, pracę swych rąk, Sprawę, o której mówiły, myślały i śniły - Sprawę, której poświęciłyby swoich najbliższych, gdyby zaszła tego potrzeba, i stratę swoją obnosiły tak dumnie, jak żołnierze bojowe sztandary.

Była to szczytowa chwila poświęcenia i miłości, apogeum Konfederacji, bo ostateczne zwycięstwo było za pasem. Tryumfy Stonewalla Jacksona w Dolinie i klęska Jankesów w siedmiodniowej bitwie pod Richmondem wyraźnie o tym świadczyły. Jakżeby zresztą mogło być inaczej pod wodzą takich ludzi jak Lee

i Jackson? Jeszcze jedno zwycięstwo i Jankesi padną na kolana błagając o pokój, mężczyźni wrócą do domów, rozpoczną się powitania, nastanie radość. Jeszcze jedno zwycięstwo, a wojna będzie skończona!

Rozumie się, że były domy pogrążone w żałobie, że były dzieci, które nigdy nie miały widzieć twarzy ojców, i bezimienne groby nad samotnymi strumykami w Wirginii czy w cichych górach Tennessee, ale czyż sprawa nie była warta takiej ceny? O jedwab, herbatę czy cukier było trudno, ale z tego żartowało się tylko. Zresztą odważni ludzie sprowadzali te rzeczy przez blokadę, pod samym nosem Jankesów, i to czyniło posiadanie ich o wiele bardziej podniecającym. Wkrótce już jednak Rafał Semmes i flota konfederacka zajmą się okrętami wojennymi Jankesów i porty znowu otworzą się szeroko. Prócz tego Anglia przyjdzie Konfederacji z pomocą, bo fabryki angielskie musiały stanąć z powodu braku bawełny z Południa. Oczywiście arystokracja angielska całym sercem była po stronie Konfederacji, ponieważ arystokracji zawsze łatwo porozumieć się z sobą, aby przeciwstawić się rasie groszorbów w rodzaju Jankesów.

Tak więc kobiety szeleściły jedwabiami, śmiały się i patrząc na swoich mężczyzn wzrokiem pełnym dumy, czuły, że miłość w obliczu niebezpieczeństwa i śmierci jest podwójnie słodka, co przynosi ze sobą dziwne podniecenie.

Kiedy Scarlett znalazła się w tłumie, serce jej zaczęło walić ze wzruszenia, że po tak

długiej przerwie znowu jest na zabawie, gdy jednak spostrzegła niezrozumiałe dla niej podniecenie na otaczających ją twarzach, radość jej szybko uleciała. Wszystkie obecne na balu kobiety jaśniały wzruszeniem, którego ona nie odczuwała. To wprawiało ją w zakłopotanie i przygnębienie. Sala przestała się jej wydawać piękna, dziewczęta nie były już strojne, a zapal dla Sprawy, który malował się na wszystkich twarzach, wydał jej się nagle - po prostu śmieszny!

W minucie olśnienia, od którego nagłości aż otworzyła usta, zrozumiała, że nie dzieli z tymi kobietami ani ich zawziętej dumy, ani chęci poświęcenia dla Sprawy i siebie, i wszystkiego, co posiadały. Zanim zdążyła z przerażeniem pomyśleć: „Nie, nie! Nie powinnam mieć podobnych myśli! To straszne, to grzeszne!” - wiedziała, że Sprawa dla niej nic nie znaczy i że nudzi ją wysłuchiwanie tego, co o niej mówią ludzie o płonących fanatyzmem oczach. Sprawa nie wydała jej się święta. Wojna nie była rzeczą świętą, ale szkodliwą - bo zabijała setki mężczyzn, pochłaniała wiele pieniędzy i uniemożliwiała zbytek. Scarlett uświadomiła sobie w owej chwili, że znudzona jest wiecznym szydełkowaniem, zwijaniem bandaży i skubaniem szarpi, które niszczyło jej paznokcie. I ach, tak bardzo była zmęczona szpitalem! Wzbudzał w niej wstręt odór ropiejących ran, nudziło słuchanie wiecznych jęków, przerażona była zmianami, jakie śmierć malowała na zapadłych twarzach.

Rozejrzała się ostrożnie dokoła, kiedy te zdradzieckie, bluźniercze myśli przechodziły jej przez głowę - bojąc się, aby ich nikt przypadkiem nie wyczytał z jej twarzy. Och, czemuż nie mogła czuć tak jak inne kobiety! Były szczere i prawdziwe w tym swoim oddaniu Sprawie. Myślały naprawdę tak, jak mówiły.

A gdyby ktoś kiedykolwiek zaczął podejrzewać, że ona... Nie, nie nikt nie powinien dowiedzieć się o tym. Musi w dalszym ciągu udawać entuzjazm i dumę, których wcale nie czuje, grać nadal swoją rolę wdowy po oficerze Konfederacji, wdowy, która znosi dzielnie swój ból, która czuje, że śmierć jej męża nie poszła na marne, bo przyczyniła się do tryumfu Sprawy.

Och, dlaczego była tak różna, tak inna od tych pełnych oddania kobiet? Nigdy nie będzie umiała pokochać niczego ani nikogo tak bezinteresownie, jak one. Jakież przykre było to uczucie, uczucie dziwnej jakiejś samotności - a Scarlett nigdy dotąd nie czuła się samotna ani cieleśnie, ani duchowo. Z początku starała się zagłuszyć te myśli, ale bezwzględna i twarda uczciwość w stosunku do samej siebie, która była cechą jej natury, nie pozwoliła na to. Tak więc, podczas gdy wenta trwała, podczas gdy razem z Melanią załatwiała kupujących, którzy podchodzili do ich stoiska, Scarlett nie przestawała intensywnie myśleć, starając się usprawiedliwić sama przed sobą - co było dla niej zresztą nietrudnym zadaniem.

Inne kobiety były głupie i histeryczne z tym swoim wiecznym gadaniem o patriotyzmie i Sprawie, a i mężczyźni byli nie lepsi, mówiąc w kółko o koniecznościach życiowych i o sprawach Stanów. Ona jedna, Scarlett z O'Harów Hamilton, posiadała zdrowy, twardy, irlandzki rozsądek. Nie miała zamiaru błąźnić się udawaniem przesadnego oddania dla Sprawy, ale nie chciała zdradzać prawdziwych swoich uczuć - to byłoby nie mniej głupie. Była dość rozsądna, aby do sytuacji tej odnieść się praktycznie; nikt nie powinien się dowiedzieć, co rzeczywiście czuje. Jak by się wszyscy obecni dziwili, dowiedziawszy się, co Scarlett myśli naprawdę! Jak by się zgorszyli, gdyby nagle weszła na estradę i oświadczyła, że uważa, iż wojna powinna się skończyć, aby wszyscy mogli wrócić do domu i zająć się zbiorami bawełny, aby znowu były zabawy, wielbiciele i mnóstwo jasnozielonych sukien. Na krótką chwilę ta próba rozgrzeszenia samej siebie podniosła ją na duchu, po sali jednak rozglądała się w dalszym ciągu z niechęcią. Kiosk panien McLure był mało okazały, jak zresztą uprzedziła pani Merriweather, zdarzały się więc długie okresy, kiedy nikt nie podchodził w tę stronę i Scarlett musiała się przyglądać z zazdrością rozbawionemu tłumowi. Melania wyczuwała jej nastrój, ale przypisując go tęsknocie za Karolem nie starała się wszczynać rozmowy. Zabijała czas układaniem przedmiotów na sprzedaż w sposób bardziej dekoracyjny, podczas gdy Scarlett siedziała beczynn timer i ponuro patrzyła na salę. Nawet kwiaty pod portretami Davisa i Stephensa przestały jej się podobać.

„Wygląda to jak ołtarz - sarkała w duchu. - Można by pomyśleć, że to Bóg Ojciec i Syn Boży, tak ich tu adorują!” Pomyślawszy to, przerażona swoją śmiałością przeżegnała się szybko i ze skruchą, ale po chwili niepokój jej minął.

„Bo przecież to prawda! - polemizowała ze swoim sumieniem. - Wszyscy odnoszą się do nich jak do świętych, a to tylko ludzie, i w dodatku bardzo brzydcy”.

Pewnie, że pan Stephens nie odpowiadał za swój wygląd, bo przez całe życie był ciężko chory, ale pan Davis... Spojrzała na dumną twarz o czystych rysach kamei. Najbardziej irytowała ją kozia bródka. Mężczyźni powinni być albo gładko ogoleni, albo mieć wasy lub porządną brodę.

„Ta kostropata bródka tak wygląda, jak gdyby nie mógł sobie na większą pozwolić” - myślała nie dostrzegając chłodnej mądrości, malującej się na twarzy człowieka, który wziął na siebie odpowiedzialność za stworzenie nowego narodu.

Nie, Scarlett wcale już teraz nie była zachwycona - a z początku tak się cieszyła, że znowu jest między ludźmi! Teraz już jej nie wystarczyło, że na nich patrzy. Była na wencie, ale nie brała w niej udziału. Nikt nie zwracał na nią uwagi i była jedyną niezamężną młodą kobietą, która nie miała adoratora. A przez całe swoje życie była zawsze ośrodkiem uwagi!

Działa jej się wielka niesprawiedliwość! Miała siedemnaście lat i stopy jej niecierpliwie uderzały o podłogę, tak bardzo chciało jej się hasać i tańczyć. Miała siedemnaście lat, męża na cmentarzu w Oakland, małe dziecko w domu ciotki Pitty - i wszyscy byli przekonani, że nie powinna narzekać na swój los. Miała bielsze piersi, cieńszą talię i mniejsze nóżki od wszystkich obecnych na sali dziewcząt, ale musiała zachowywać się, jak gdyby leżała w grobie obok Karola pod płytą z napisem: „Ukochana żona itd.”

Nie była już dziewczyną, która może tańczyć i flirtować, i nie była kobietą, która musi siedzieć z innymi mężatkami i krytykować tańczące i flirtujące dziewczęta. Nie była jeszcze w wieku odpowiednim do wdowieństwa. Wdowy powinny być stare - tak bardzo stare, aby nie mieć już ochoty do tańca, flirtu lub olśniewania ludzi. Och, to doprawdy było niesprawiedliwe, że Scarlett musiała siedzieć skromnie w kącie i być obrazem wdowiej godności i przyzwoitości, gdy miała zaledwie siedemnaście lat! Nie było sprawiedliwie, że musiała spuszczać oczy i mówić cichym głosem, gdy mężczyźni, nierzadko przystojni, podchodzili do jej stoiska.

Na każdą dziewczynę w Atlancie przypadało trzech mężczyzn. Nawet najbrzydsze dziewczęta nosiły się jak piękności - ach, i co najgorsze, miały śliczne, prześliczne suknie!

Scarlett zaś siedziała ponura jak czarny kruk w ciężkiej, podpiętej pod samą szyję taftowej sukni z długimi rękawami, bez najmniejszej wypusteczki czy skrawka koronki, bez żadnego klejnotu, z wyjątkiem onyksowej broszki Ellen - siedziała i patrzyła, jak wyświeżone dziewczęta wiszą u ramion przystojnych chłopców. I wszystko dlatego, że Karol Hamilton zachorował na zapalenie płuc! Nie umarł nawet w blasku bohaterstwa, w bitwie, i Scarlett nie mogła się nim głośno szczyścić.

Pełna buntu oparła łokcie na kontuarze i spoglądała na tłum, wbrew często powtarzanej nauce Mammy, aby nie opierała się na łokciach, bo zrobią się pomarszczone i brzydkie. Cóż więc z tego, że zrobią się brzydkie? Już nigdy prawdopodobnie nie będzie miała okazji pokazania ich. Rozglądała się pożądliwie po migających przed nią sukniach, kremowych jedwabnych z girlandami pączków różanych, różowych atłasowych z osiemnastoma falbankami obrzeżonymi czarną aksamitką; jasnoniebieskich taftowych o szerokich spódnicach i kaskadach pienistych koronek; patrzyła na obnażone ramiona, na prześliczne kwiaty przy stanikach. Maybelle Merriweather, wsparta na ramieniu swego zuawa, szła w stronę sąsiedniego stoiska w zielonej sukni muslinowej, tak szerokiej, że talia jej wydawała się aż nieprawdopodobnie cienka. Suknia była bardzo zmarszczona i miała falbanki z kremowej koronki Chantilly, sprowadzonej z Charlestonu ostatnim transportem przemycanych towarów. Maybelle więc puszyła się w niej tak bezczelnie, jak gdyby to ona

go przemyciła, a nie słynny kapitan Butler.

„Mój Boże, jak mnie byłoby do twarzy w tej sukni - myślała Scarlett z dziką zawiścią w sercu. - Maybelle ma talię jak krowa. Ten odcień zielonego jest moim kolorem i tak świetnie podkreśliłyby moje oczy! Czemu właśnie blondynki upierają się, aby nosić zielony? Maybelle ma skórę koloru stęchłego sera. I pomyśleć tylko, że nigdy już nie będę mogła nosić zielonego, nawet jak już zdejmę tę żałobę! Nawet jak mi się uda powtórnie wyjść za mąż! Będę musiała nosić wstrętne suknie szare, brązowe i lila”.

Przez chwilę znowu zastanawiała się nad niesprawiedliwością losu. Jakże krótko trwał czas wesołości, pięknych sukien, tańca, kokietowania... Tylko kilka krótkich, zbyt krótkich lat! Potem wychodziło się za mąż, nosiło ciemne suknie, miało dzieci, traciło figurę, siedziało na balach w kącie, w towarzystwie innych rozsądnych mężatek, i tańczyło tylko z mężem albo ze starszymi panami, którzy deptali po nogach. A jeżeli się tego nie przestrzegało, inne panie zaczynały obmawiać, wtedy zaś traciło się reputację i przynosiło wstyd rodzinie. Jakąż stratą czasu było uczenie się przez całą młodość, jak się podobać i jak przyciągać mężczyzn, jeżeli wiedzę tę stosowało się przez rok lub najwyżej dwa! Kiedy przypomniawszy sobie nauki, jakich udzielały jej Ellen i Mammy, wiedziała, że były dobre i gruntowne, ponieważ dawały dobre wyniki. Istniały ustalone prawa, których trzeba się było ściśle trzymać, aby wszelkie wysiłki uwieńczone były powodzeniem.

W stosunku do starszych pań należało być miłą, prostą i udawać możliwie głupią, bo stare kobiety były chytre i przyglądały się dziewczętom zazdrośnie jak koty, gotowe do skoku za lada nieostrożnym spojrzeniem czy słowem. W stosunku do starszych panów panna powinna być zuchwałą, ciętą, nieledwie wyzywającą, aby łechtać próżność tych starych durniów. Czuli się wtedy młodo, szczykali w policzki i oświadczaali, że jest się małą kokietką. Rozumie się, że wtedy należało się czym prędzej zarumienić, gdyż inaczej nie przestaliby wcale szczypać (bo sprawiało im widoczną przyjemność), i powiedzieliby synom, aby wystrzegali się takiej flirciary.

W stosunku do młodych dziewcząt i młodych mężatek trzeba było być słodką jak miód, całować je przy każdej okazji, choćby się je widywało po dziesięć razy dziennie. Trzeba je było czule obejmować i dać się obejmować przez nie, choćby się tego niecierpiało. Należało się bezkrytycznie zachwycać ich sukniami i dziećmi, docinać przyjaźnie na temat powodzenia, chwalić mężów, skromnie chichotać i twierdzić, że własne wdzięki bledną w porównaniu z ich urokami. Przede wszystkim zaś nie należało nigdy mówić tego, co się myśli, bo i one tego w żadnym wypadku nie robiły.

Mężom innych kobiet dawało się spokój, choćby byli odpalonymi wielbicielami i

bardzo się podobałi. Jeżeli było się zbyt uprzejmą dla młodych mężów, żony ich oświadczały, że się jest flirciarą, zyskiwało się złą reputację i trudno było znaleźć starającego się.

Natomiast z młodymi kawalerami - ach, tutaj sprawa przedstawiała się całkiem inaczej! Można się było do nich cicho śmiać, a kiedy spieszenie podchodzili i pytali o powód śmiechu, odmawiało się odpowiedzi, zaczynało śmiać głośniejsze i w ten sposób zapewniało sobie nieustanne pytania i ciągłą asystę. Można było spojrzeniem przyrzec wiele podniecających rzeczy, które mężczyznę zmuszały do rozmowy sam na sam. A kiedy wreszcie to się stało, można było udawać bardzo, bardzo obrażoną lub bardzo, bardzo złą, gdy mężczyzna chciał ukraść całusa. Można go było zmusić do przeprosin, że jest tak brutalny, przebaczyć mu tak słodko, żeby znowu nie odstępował i starał się pocałować po raz drugi. Czasem, ale niezbyt często, pozwalało się na pocałunek. (Tego jej Ellen i Mammy nie uczyły, przekonała się jednak sama, że to bardzo skuteczne). Potem zaczynałaś płakać i oświadczałaś, że nie wiesz, co cię naszło, i że teraz z pewnością młodzieniec straci dla ciebie, szacunek. Wtedy zaczynał czule ocierać łzy i zwykle oświadczał się od razu, aby dowieść, jak bardzo cię szanuje. A poza tym można było... Och, można było na tyle rzeczy pozwolić sobie z kawalerami i Scarlett tak dobrze je znała - niuanse zalotnych spojrzeń, półśmiechów z wachlarza, poruszanie biodrami, aby krynolina chwiała się jak dzwon, łzy, śmiechy, pochlebstwa, okazywanie sympatii. Ach, żadna z tych sztuczek nigdy nie zawiodła - nigdy, poza przypadkiem Ashleya. Nie, było krzyżującą niesprawiedliwością przyswojenie sobie tych wszystkich mądrych sztuczek, używanie ich przez tak krótki czas i odrzucenie na zawsze. Jak by to było cudownie, gdyby można było nie wychodzić za mąż, zawsze pięknie wyglądać w bładozielonych sukniach i wiecznie być otoczoną rojem przystojnych mężczyzn! Tylko że jeżeli to trwało zbyt długo, zaczynało się być starą panną jak India Wilkes i wszyscy mówili „biedne stworzenie”, niemiłym, pełnym fałszywego współczucia tonem. Nie, ostatecznie lepiej nawet może było wyjść za mąż i zachować swoją dumę nawet za cenę wyrzeczenia się przyjemności.

Och, jakież niedobre było życie! Czemuż była taką idiotką i poślubiła akurat Karola, aby życie jej skończyło się, gdy miała lat zaledwie szesnaście!

Przerwała to swoje pełne oburzenia i buntu rozmyślanie, bo tłum zaczął się skupiać pod ścianami. Panie trzymały krynoliny, aby ich nieostrożne pchnięcie nie przesunęło i nie ukazało więcej pantalonów, niż wypada. Scarlett wspięła się na palce i zobaczyła, że kapitan milicji wchodzi na podium. Wrzasnął jakiś rozkaz i połowa kompanii zrównała szeregi. Zaczęła się musztra w szybkim tempie, która sprowadziła im pot na czoła i zyskała brawa i wiwaty ze strony zgromadzonych. Scarlett klaskała w dłonie wraz z innymi, a kiedy

milicjanci rozeszli się zmęczeni w stronę kiosków z limoniadą i ponczem, zwróciła się do Melanii, czując, że powinna czym prędzej powiedzieć coś na temat Sprawy.

- Wspaniale się prezentują, prawda? - zaczęła.

Melania zajęta była przekładaniem wełnianych wyrobów na konturze.

- Większość z nich prezentowałaby się znacznie lepiej w szarych mundurach i w Wirginii - odrzekła nie starając się wcale ściszyć głosu.

Kilka dumnych matek milicjantów, stojących nie opodal, usłyszało jej uwagę. Pani Guinan zrobiła się purpurowa, a potem zbladła, ponieważ jej dwudziestopięcioletni Willy także należał do kompanii.

Scarlett zdumiona była, że tego rodzaju słowa wychodzą z ust Meli.

- Ależ Melu!

- Wiesz dobrze, że mam rację, Scarlett. Nie mówię o małych chłopcach ani o starcach. Ale bardzo wielu członków milicji doskonale nadaje się do noszenia broni i to właśnie powinni teraz robić.

- Ale, ale... - zaczęła Scarlett, która nigdy dotąd nie zastanawiała się nad tym. - Ktoś przecie musi zostać w domu, aby... - (Co to powiedział Willy Guinan tłumacząc jej swoją obecność w Atlancie?) - Ktoś musi zostać w domu, aby bronić naszego stanu przed inwazją.

- Nikt na nas nie szykuje inwazji i nie ma zamiaru tego zrobić - odrzekła Mela chłodno, patrząc w stronę grupy milicjantów. - Najlepszym zaś sposobem obrony przed najeźdźcą jest obecność w Wirginii i walka z Jankesami. Co się zaś tyczy tego gadania, że milicja zostaje tutaj, aby zapobiec buntowi Murzynów, to jest to przecież największe głupstwo, jakie kiedykolwiek słyszałam. Czemuż by się nasi ludzie mieli buntować? To wymówka dla tchórzy! Założę się, że pobilibyśmy Jankesów w miesiąc, gdyby wszystkie milicje stanowe poszły do Wirginii. Otóż to!

- Ależ Melu! - zawołała znowu Scarlett patrząc na nią ze zdziwieniem.

Ciemne, łagodne oczy Meli rzucały gniewne błyski.

- Mój mąż nie bał się iść na wojnę ani twój. Ale wołałabym, aby obaj nie żyli, niżby mieli tu siedzieć w domu. Och, kochanie, wybacz mi! Jakże jestem bezmyślna i okrutna!

Pogłaskała ją czule po ramieniu. Scarlett nie odwracała od niej wzroku. Nie myślała jednak wcale o zmarłym Karolu. Myślała o Ashleyu. Czy mogłoby się zdarzyć, aby i on zginął? Odwróciła się szybko i uśmiechnęła machinalnie, widząc zbliżającego się doktora Meade.

- Jak się miewacie, dziewczęta? - przywitał je. - Ładnie z waszej strony, żeście przyszły. Wiem, jakim to jest dla was poświęceniem. Ale wiem także, że zrobiliście to dla



Sprawy. Zawierzę wam pewien sekret. Mam doskonały sposób na przysporzenie szpitalowi pieniędzy, obawiam się jednak, że niektóre z pań będą się bardzo na mnie oburzały.

Przerwał i śmiał się cicho, skupiając swoją siwą bródkę.

- Cóż to takiego? Niech nam pan doktor powie!.

- Po namyśle postanowiłem, że i wam nic nie powiem. Musicie mnie jakoś poprzeć w wypadku, gdyby komitety kościelne chciały mnie za to przepędzić z miasta. No, ale robię to wszystko dla szpitala. Zobaczycie. Nigdy niczego podobnego nie było.

Odszedł uroczyście w stronę grupy dam w kącie. W chwili gdy młode kobiety chciały wspólnie odgadnąć ów sekret, do kiosku zbliżyli się dwaj starsi panowie oświadczając głośno, że proszą o dziesięć metrów wstawki: „Ostatecznie starsi panowie są lepsi od żadnych” - pomyślała Scarlett odmierzając wstawkę i godząc się skromnie na głaskanie po podbródku. Potem staruszkowie powędrowali do kiosku z limoniadą, a miejsce ich zajęli inni. Stoisko Scarlett i Meli nie przyciągało tylu kupujących, co inne, z których rozlegał się głośny śmiech Maybelle Merriweather, chichoty Fanny Elsing i wesołe przekomarzanie się panien Whiting. Mela sprzedawała mężczyznom niepotrzebne przedmioty tak spokojnie i fachowo jak sklepowa, Scarlett zaś starała się ją naśladować.

Przed innymi stoiskami były tłumy. Nieliczni panowie, którzy podchodzili do Scarlett i Meli, mówili o tym, że chodzili na uniwersytet z Ashleyem, który jest wspaniałym żołnierzem, albo pełnym szacunku tonem wspominali Karola, stwierdzając, że śmierć jego jest dla Atlanty niepowetowaną stratą.

Nagle muzyka zaczęła grać skoczne melodie. Scarlett wydało się, że zacznie głośno płakać. Chciała tańczyć, bardzo chciała tańczyć! Patrzyła na salę, przebierała nogami w takt muzyki, a zielone jej oczy świeciły gorączkowo. W najdalszym rogu sali mężczyzna świeżo przybyły i stojący jeszcze w drzwiach zobaczył jej spojrzenie, poznał ją i zaczął się bacznie przypatrywać tym płonącym oczom w nadąsanej, pełnej buntu twarzy. Potem uśmiechnął się do siebie widząc niemą zachętę, jaką zrozumiałby każdy mężczyzna.

Nosił czarne korty, był wysoki, wyższy od stojących w pobliżu oficerów - szeroki w ramionach i wąski w stanie, a stopy jego w lakierowanych trzewikach były śmiesznie małe. Poważne, czarne ubranie, biała plisowana koszula i spodnie, obcignięte rzemykami pod podeszwami butów, dziwnie kłóciły się z jego figurą i twarzą; był przesadnie wymuskany, nosił strój dandysa na ciele potężnym i zdradzającym siłę pod pozorami leniwego wdzięku. Nieznajomy był brunetem, czarne zaś jego wąsy, niewielkie i krótko przystrzyżone, sprawiały cudzoziemskie wrażenie przy wspaniałych sumiastych wąsach kawalerzystów. Wyglądał na człowieka o nieposkromionych apetytach i był zapewne taki. Unosiła się dokoła niego

atmosfera pewności siebie i nieprzyjemnej zuchwałości, a w śmiałych jego oczach, wlepionych w Scarlett, malowała się złośliwość. Wreszcie czując na sobie jego spojrzenie, zwróciła się ku niemu.

Mózg jej przeszyło niejasne wspomnienie, ale nie mogła sobie uświadomić, skąd zna tego człowieka. Ponieważ jednak był pierwszym od wielu miesięcy mężczyzną, który zdradził zainteresowanie jej osobą, rzuciła mu wesoły uśmiech. Lekko dygnęła, kiedy się skłonił, w chwili zaś, gdy wyprostował się i skierował w jej stronę giętkim, jak gdyby od Indian zapożyczonym krokiem, omal nie krzyknęła z przerażenia, ponieważ przypomniała sobie, kto to taki. Stała jak skamieniała, podczas gdy on torował sobie drogę przez tłum. Potem odwróciła się instynktownie, zdecydowana uciec do bufetu, ale suknia jej zaczepiła się o jakiś wystający gwóźdź. Szarpnęła nią wściekle, rozdarła, za późno... Nieznajomy był już przy niej.

- Zechce mi pani pozwolić - rzekł pochylając się i odczepiając falbankę. - Nie spodziewałem się, że mnie pani sobie przypomni, panno O'Hara.

Głos jego brzmiał przyjemnie, był opanowanym i melodyjnym głosem dżentelmena, lekko zatracającym akcentem charlestońskim.

Spojrzała na niego błagalnie, zacerwieniona po uszy na wspomnienie ostatniego z nim widzenia, i spotkała spojrzenie bardzo czarnych oczu, lśniących bezlitosną wesołością. Że też ze wszystkich ludzi na świecie nawinąć się dziś musiał właśnie ten straszny człowiek, świadek owej sceny z Ashleyem, która dotąd nie dawała jej spać po nocach. Ten łajdak, który uwodził dziewczęta i nie był przyjmowany w szanujących się domach; ten gozdzien pogardy mężczyzna, który powiedział - i słusznie - że Scarlett nie jest damą.

Melania odwróciła się na dźwięk jego głosu. Po raz pierwszy w życiu Scarlett podziękowała Bogu za istnienie szwagierki.

- Co to? Ależ to pan Rett Butler, prawda? - rzekła Melania z miłym uśmiechem i wyciągnęła rękę. - Poznałam pana...

- ...podczas pamiętnej okazji ogłoszenia pani zaręczyn - skończył za nią, pochylając się nad jej dłonią. - Cieszę się, że mnie sobie pani przypomina.

- I co też pan porabia z dala od Charlestonu, panie Butler?

- Nudne interesy to sprawiają, łaskawa pani. Odtąd będę częściej wpadał do Atlanty. Doszedłem do przekonania, że samo sprowadzanie towarów nie wystarcza, należy jeszcze zająć się ich rozdziałem.

- Sprowadzanie towarów... - zaczęła Mela marszcząc czoło i nagle uśmiechnęła się radośnie. - A zatem to pan chyba jest słynnym kapitanem Butlerem, o którym tyle słyszymy! Przecież wszystkie obecne tutaj panny noszą suknie, które pan przewiózł przez blokadę!

Scarlett, czy to nie nadzwyczajne?... Co ci jest, kochanie? Słabo ci? Usiądź na chwilę.

Scarlett opadła na stół oddychając tak szybko, że bała się, iż pęknie jej sznurówka. Och, że też mogła się zdarzyć rzecz taka straszna! Nigdy nie przypuszczała, że jeszcze spotka tego człowieka. Butler wziął jej czarny, leżący na kontuarze wachlarz i zaczął ją wachlować troskliwie, zbyt troskliwie, bo choć twarz jego była poważna, oczy nie przestawały się śmiać.

- Bardzo tu jest duszno - powiedział. - Nic dziwnego, że panna O'Hara poczuła się słabo. Czy wolno mi panią podprowadzić do okna?

- Nie - odparła Scarlett tak ostro, że Mela popatrzyła na nią ze zdumieniem.

- Scarlett nie jest panną O'Hara - powiedziała. - Jest teraz panią Hamilton. Jest moją siostrą - i Mela spojrzała na nią z czułością. Scarlett uczuła, że mogłaby udusić kapitana Butlera za wyraz, jaki pojawił się na jego śniadej twarzy pirata.

- Pewien jestem, że bardzo to sobie obydwie piękne panie cenią - rzekł, lekko się skłaniając. Podobną uwagę zrobiłby każdy mężczyzna na jego miejscu, w jego ustach jednak zabrzmiała tak, jakby myślał coś wręcz przeciwnego.

- Sądzę, że i mężowie pań są tu dzisiaj na tej wspaniałej zabawie? Bardzo by mi było przyjemnie odnowić z nimi znajomość.

- Mąż mój jest w Wirginii - rzekła Mela, dumnie podnosząc głowę. - Ale Karol... - Głos jej załamał się nagle.

- Umarł w polu - rzekła Scarlett wyraźnie, prawie ze złością. „Czy ten potwór naprawdę nie ma zamiaru odejść?” Mela patrzyła na nią z przerażeniem, kapitan zaś uczynił gest skruchy.

- Drogie panie, jakże ja mogłem! Proszę mi wybaczyć. Pozwólcie mi jednak powiedzieć, że umrzeć za ojczyznę, to żyć wiecznie.

Melania uśmiechnęła się do niego przez łzy, Scarlett zaś poczuła, że gniew i bezsilna nienawiść szarpią jej trzewia. Znowu zrobił miłą uwagę, komplement w tym samym stylu, jaki by każdy inny dżentelmen zrobił w podobnych okolicznościach, myślał jednak coś wręcz odmiennego. Kpił z niej. Wiedział, że nie kochała Karola. A Mela była tak głupia, że nie umiała przejrzeć jego myśli. „Och, na miłość boską, niechże ich tylko nikt nie przejrzy! - myślała z przerażeniem. - Czyżby zdobył się na rozprowadanie tego, co wie? Nie był dżentelmenem, trudno zaś przewidzieć, co potrafią mężczyźni, którzy nie są dżentelmenami”. Scarlett nie wiedziała, jaką miarą ich mierzyć. Spojrzała na niego i zobaczyła, że usta jego ściągnęły się grymasem udanego współczucia, podczas gdy nie przestawał jej wachlować. Wygląd jego dziwnie na nią podziałał. Nagle wraz z nowym przyływem niechęci do Butlera wróciła jej siła. Bez słowa wyrwała mu wachlarz z ręki.

- Czuję się już dobrze - rzekła cierpko. - Nie potrzebuje pan targać mi niepotrzebnie włosów.

- Scarlett, kochanie! Panie kapitanie, musi jej pan wybaczyć. Ona, ona zmienia się nie do poznania, kiedy wypowiada się przy niej imię naszego biednego Karola. Ponadto zaś... możliwe, że nie powinniśmy byli tu przychodzić. Jesteśmy jeszcze w żałobie, rozumie pan, a dla Scarlett to duży wysiłek... widok tych tańców i wesołości. Biedactwo!

- Rozumiem doskonale - rzekł Butler z wymuszoną powagą, kiedy jednak odwrócił się i obrzucił Melanią spojrzeniem, sięgającym samego dna jej łagodnych, strapionych oczu, wyraz jego twarzy zmienił się i w ciemnych oczach odmalowały się szacunek i sympatia. - Dzielna z pani kobieta, pani Wilkes.

„A o mnie ani słowa!” - pomyślała Scarlett z wściekłością, podczas gdy Mela uśmiechnęła się z zakłopotaniem i odpowiedziała:

- Ależ skąd, panie kapitanie! W ostatniej chwili okazało się, że komitet potrzebuje nas do tego kiosku, bo... Prosi pan o powłoczkę? Ta z wyhaftowaną flagą jest bardzo ładna.

Melania zwróciła się do trzech kawalerzystów, którzy stanęli przy kontuarze. Przez chwilę myślała, że kapitan Butler jest bardzo sympatyczny. Potem pomyślała, że lepiej byłoby, gdyby coś grubszego niż satyna oddzielało brzeg jej sukni od spluwaczki, stojącej tuż za kioskiem, bo kawalerzyści celując w spluwaczkę bynajmniej celnie nie trafiali. Potem zapomniała o kapitanie, Scarlett i spluwaczce, bo podchodziło do niej coraz więcej kupujących.

Scarlett siedziała bez ruchu na taborecie wachlując się, nie śmiejąc spojrzeć w górę i życząc sobie gorąco, aby kapitan Butler jak najprędzej wrócił na swój statek, gdzie było jego miejsce.

- Czy mąż pani nie żyje od dawna?

- O, tak, już od dawna. Od roku blisko.

- Dla pani to eon cały, jak sądzę.

Scarlett nie wiedziała, co to jest eon, ale ponieważ w głosie kapitana brzmiało wyzwanie nie odpowiedziała nic.

- Czy długo była pani zamężna? Proszę mi wybaczyć te pytania, ale tak dawno nie byłem w tych okolicach...

- Dwa miesiące - rzekła Scarlett niechętnie.

- To straszna tragedia - powiedział lekko.

„A niechże go wszyscy - myślała z pasją. - Gdyby ktokolwiek inny był na jego miejscu, mogłaby go zmrozić spojrzeniem i powiedzieć mu, żeby sobie poszedł. On jednak

wie o Ashleyu i wie, że nie kochałam Karolka. Mam więc związane ręce”. - Nie odpowiedziała, nie spuszczać wzroku z wachlarza.

- I dziś pokazuje się pani po raz pierwszy w miejscu publicznym?

- Wiem, że to dziwnie wygląda - wyjaśniła pośpiesznie. - Chodzi o to, że panny McLure, które miały zająć się tym kioskiem, musiały wyjechać, a że nie było nikogo na zastępstwo, więc Melania i ja...

- Nie ma zbyt wielkich ofiar dla Sprawy.

To samo powiedziała przecież pani Elsing, ale słowa jej brzmiały zupełnie inaczej! Gorzkie słowa zaczęły się jej cisnąć na wargi, ale powstrzymała je całą siłą. Ostatecznie była na wencie nie dla Sprawy, ale dlatego, że się jej znudziło wieczne siedzenie w domu.

- Zawsze uważałem - rzekł z namysłem - że system żałoby, oblekania kobiet w czarną krepę na całe życie i zabraniania im zwykłych rozrywek, jest nie mniej barbarzyński od hinduskiej „sutti”.

- Suki?

Zaśmiał się, a Scarlett zawstydziła się swego nieuctwa. Nie cierpiała osób, które używały nie znanych jej słów.

- W Indiach pali się zwłoki zmarłych mężów, żony zaś ich muszą wstępować na stosy żałobne i są palone żywcem.

- Jakież to straszne! Po co to robią? Czy policja nie może im tego zabronić?

- Oczywiście, że nie. Żona, która by nie chciała się poddać tej praktyce, zostałaby potępiona przez całe społeczeństwo. Wszystkie bogobojne matrony hinduskie zaczęłyby ją obgadywać, że nie postępuje jak dobrze wychowana dama... tak samo jak te godne, siedzące w kącie matrony zaczęłyby obgadywać panią, gdyby zjawiła się pani tutaj w czerwonej sukni i poprowadziła galopa. Osobiście uważam, że „sutti” jest zwyczajem bardziej ludzkim od naszego zwyczaju grzebania wdów za życia.

- Jak śmie pan twierdzić, że jestem pogrzebana żywcem?

- Jak wielce cenią nasze kobiety łańcuchy, którymi są skute! Uważa pani zwyczaj hinduski za barbarzyński, ale czy ośmieliłaby się pani przyjść dziś tutaj, gdyby nie okoliczność, że Konfederacja potrzebuje pani?

Tego rodzaju argumenty zawsze wprawiały Scarlett w zakłopotanie. Argumenty Butlera były zaś tym bardziej kłopotliwe, że czuła w nich ziarno prawdy. Teraz jednak nadszedł moment, aby go zgnębić.

- Rozumie się, że nie byłabym przyszła. Byłoby to... byłoby to brakiem poszanowania... mogłoby się ludziom wydawać, że nie kocha...

Oczy jego, pełne cynizmu, łowiły jej słowa, utknęła więc w pół zdania. Wiedział, że nie kochała Karolka, i nie chciał pozwolić, aby wypowiedziała to, co należało powiedzieć. Jakąż straszną, okropną rzeczą było mieć do czynienia z człowiekiem, który nie jest dżentelmenem! Dżentelmen zawsze udawał, że wierzy damie, choćby był przekonany, że dama kłamie. Na tym polegała, między innymi, rycerskość ludzi Południa. Dżentelmen zawsze postępował zgodnie ze zwyczajem, mówił właściwe rzeczy i ułatwiał życie damom. Ten człowiek najwidoczniej nie dbał o zwyczaje i wyraźnie lubił mówić o rzeczach, o których nikt nigdy nie rozmawiał.

- Czekam w napięciu.

- Uważam, że jest pan wstrętny - rzekła bezradnie, spuszczać oczy.

Pochylił się przez kontuar, tak że usta jego znalazły się przy jej uchu, i syknął, bardzo udanie naśladowując „czarny charakter” ze sztuk, które od czasu do czasu wystawiano w sali Ateneum: Nie obawiaj się, piękna pani! Nie zdradzę twojej serdecznej tajemnicy!

- Och - szepnęła gorączkowo - jakże pan może mówić takie rzeczy!

- Chciałem tylko panią uspokoić. Czy wolałaby pani, abym powiedział: „Bądź moją, piękna damo, bo inaczej wszystko rozgłoszę!”

Mimo woli podniosła na niego oczy i stwierdziła, że patrzy na nią figlarnie, jak mały chłopiec. Nagle roześmiała się. Trzeba przyznać, że sytuacja była naprawdę trochę głupia. On także roześmiał się tak głośno, że kilka pań spojrzęło z kąta w ich stronę. Widząc, jak dobrze bawi się wdowa po Karolu Hamiltonie z nikomu nie znanym mężczyzną, zaczęły szeptać do siebie krytyczne uwagi.

Rozległo się bicie w bęben i wiele osób zaczęło wołać „szsz”, bo doktor Meade wszedł na estradę i rozłożył ręce na znak, że chce mówić.

- Składamy serdeczne dzięki czarującym damom, których niezmordowany, patriotyczny wysiłek ukoronował tę wentę nie tylko sukcesem materialnym, ale przeistoczył tę brzydką salę w rozkoszną altanę, w ogród, godzien mieścić wszystkie te urocze pączki, które widzę dokoła.

Obecni zaczęli bić brawo.

- Panie nie szczędziły nie tylko czasu, ale i pracy rąk własnych, a piękne, wystawione na sprzedaż w kioskach przedmioty są tym bardziej cenne, że wykonane zostały rękami naszych uroczych dam.

Z kolei rozległy się okrzyki uznania, Rett Butler zaś, oparty niedbale o kontuar blisko Scarlett, szepnął:

- Uroczysty kozioł, prawda?

Zdumiona, przerażona prawie tą obrazą majestatu najbardziej szanowanego obywatela Atlanty, Scarlett spojrzała na niego z wyrzutem. Doktor jednak naprawdę wyglądał jak kozioł, gdy siwa jego bródka chwiała się na wszystkie strony, z trudnością więc powstrzymywała śmiech.

- To wszystko jednak nie wystarcza. Dobre panie z komitetu szpitalnego, których chłodne dłonie ukołysy niejednego ból i wydarły ze szponów śmierci niejednego z dzielnych chłopców, rannych w walce o wielką naszą Sprawę, dobrze znają nasze potrzeby. Nie będę ich zatem wyliczał. Musimy mieć więcej pieniędzy na zakup lekarstw i materiałów opatrunkowych, w Anglii. Dodam nawiasem, że jest tu dzisiaj w naszym gronie nieustraszony kapitan, który z takim powodzeniem przedziera się od roku przez blokadę, a i teraz sprowadził nam potrzebne lekarstwa! Kapitan Rett Butler!

Mimo że nie przygotowany, kapitan uklonił się z wdziękiem. „Zbyt nisko” - myślała Scarlett starając się ten ukłon zanalizować. Zdawało jej się, że jakby przesadzał w uprzejmości, ponieważ bardzo lekceważył wszystkich obecnych. Rozległy się oklaski, kiedy kapitan się kłaniał, a panie z kąta wyciągały szyje, aby mu się lepiej przyjrzeć. A więc to z nim rozmawia wdowa po biednym Karolu Hamiltonie! Zaledwie rok po śmierci Karolka!

- Potrzebne nam złoto i o nie właśnie będę prosił - ciągnął dalej doktor. - Proszę o ofiarę, ale o ofiarę tak niewielką w porównaniu z ofiarami naszych dzielnych chłopców, że wyda się wszystkim państwu śmiesznie małą. Łaskawe panie, proszę o waszą biżuterię. A właściwie nie ja o nią proszę. Nie, żąda jej Konfederacja, Konfederacja jej potrzebuje, wiem więc, że nikt się od tej ofiary nie uchyli! Jak pięknie lśnią klejnoty na pięknych rączkach! Jak cudownie świecą złote broszki na piersiach naszych patriotek! O ileż piękniejszą jednak od wszystkich klejnotów i złota Indii jest ofiara! Złoto zostanie stopione, drogie kamienie sprzedane, a pieniądze zużyte na zakup lekarstw i pomocy szpitalnych. Łaskawe panie, za chwilę przejdą między wami dwaj z naszych dzielnych rekonwalescentów z koszykami i... - Reszta jego słów utonęła w tumultie i gwarze braw i wiwatów.

Pierwszym uczuciem Scarlett było zadowolenie, że żałoba nie pozwala jej nosić cennych kolczyków i złotego łańcucha po babce Robillard oraz złotej, nakładanej czarną emalią bransoletki i broszki z granatów. Ujrzała, że mały żuaw z wiklinowym koszykiem na zdrowym ramieniu obchodzi jej stronę sali, a młode i stare kobiety, śmiejąc się, niecierpliwie szarpią bransoletki, piszczą z udanego bólu zdejmując z przekłutych uszu kolczyki, odpinają sobie nawzajem zamki naszyjników, zdejmują broszki. Słychać było lekki szcęk metalu uderzającego o metal i głosy: „Proszę poczekać! Już odpięłam!” Maybelle Merriweather ściągnęła z ręki śliczne bliźniacze bransoletki, które nosiła na ramieniu. Fanny Elsing

wołając: „Mamo, czy pozwalasz?”, wyjmowała z loków stroik z drobnych, oprawnych w złoto perełek, stary klejnot rodzinny. Przy wrzucaniu każdego klejnotu do koszyka rozlegały się oklaski i wiwaty.

Uśmiechnięty mały człowieczek z pełnym koszykiem na ręce podszedł do stolika Scarlett; kiedy przeszedł obok Retta Butlera, ten niedbale wrzucił do koszyka piękną złotą cygarnicę. Podszedł do Scarlett; gdy oparł koszyk na kontuarze, potrząsnęła głową rozkładając wymownie ręce na znak, że nie ma co ofiarować. Przykro jej było, że jest jedyną osobą, która nic nie daje. Naraz spostrzegła błysk swojej szerokiej obrączki ślubnej.

Na chwilę przypomniała sobie z zakłopotaniem twarz Karola - jak wyglądał, gdy wsuwał jej obrączkę na palec. Ale wspomnienie było mgliste, i niejasne z powodu irytacji, jaką myśl o mężu zawsze w niej budziła. Karol... to on przecież był przyczyną, że życie ją omijało, że stała się starą kobietą.

W nagłym postanowieniu szarpnęła pierścionek, ale nie schodził jej z palca. Żuaw przesunął się w stronę Melanii.

- Proszę poczekać! - zawołała Scarlett. - Mam coś dla pana! - Zdjęła wreszcie obrączkę i w chwili gdy chciała ją wrzucić do koszyka pełnego łańcuchów, zegarków, pierścionków, broszek i bransolet, spotkała spojrzenie Retta Butlera. Wargi jego rozchylone były uśmiechem. Z wyzwaniem rzuciła obrączkę, na wierzch koszyka.

- Och, moja najmilsza! - szepnęła Melania obejmując ją oczyma rozjaśnionymi miłością i dumą. - Ty dzielna, dzielna dziewczyno! Proszę, proszę poczekać, panie poruczniku. I ja mam coś dla pana!

Szarpnęła swoją obrączkę, której nigdy dotąd, od chwili gdy ją Ashley wsunął na jej palec, nie zdejmowała. Scarlett wiedziała lepiej od innych, czym jest dla niej ta obrączka. Zeszła z palca z trudem i na krótką chwilę spoczęła w kurczowo zaciśniętej małej dłoni. Potem cicho spadła do koszyka. Dwie młode kobiety patrzyły za żuawem odchodzącym w stronę grupy starszych pań - Scarlett z wyzwaniem, Mela z wyrazem bardziej bolesnym niż łyzy. Wszystko to nie uszło uwagi stojącego obok nich mężczyzny.

- Gdybyś ty nie była tak odważna, i ja nigdy bym się na to nie zdobyła - rzekła Mela obejmując Scarlett w pół i leciutko ją ściskając. Przez chwilę Scarlett chciała się uwolnić z tego uścisku i krzyknąć: „Na miłość boską!” co siły w płucach, jak Gerald w chwili wielkiej złości, ale poczuła spojrzenie Retta Butlera i postarała się gorzko uśmiechnąć. Przykre było, że Mela zawsze źle rozumiała motywy jej postępowania - ale może lepiej, że jednak nie domyślała się prawdy.

- Jaki to piękny gest - rzekł Rett Butler cicho. - Podobnie ciężkie ofiary dodają serca



dzielnym naszym chłopcom.

Cierpkie słowa cisnęły się na wargi Scarlett i tylko z wielkim trudem udało jej się je powstrzymać. We wszystkim, co Butler mówił, brzmiało szyderstwo. Nie lubiła go z całego serca, kiedy tak stał niedbale oparty o kiosk. Musiała jednak przyznać, że działał na nią pokrzepiająco, był dziwnie żywy, ciepły, podniecający. Wszystkie irlandzkie właściwości budziły się w niej pod wpływem wyznania, jakie czytała w jego czarnych oczach. Przyrzekła sobie, że ukróci tego człowieka. Znajomość tajemnicy Scarlett dawała mu przewagę, która ją gnębiła, postanowiła więc, że postara się to sobie powetować. Chwilowo zdusiła w sobie ochotę powiedzenia mu szczerze, co o nim myśli. „Do cukru zawsze więcej much lgnie niż do octu” - jak mawiała Mammy, Scarlett zamierzała więc złapać i tę muchę, bo nie chciała być zdana na łaskę Butlera.

- Dziękuję panu - powiedziała łagodnie, rozmyślnie nie zwracając uwagi na jego szyderstwo. - Komplement taki, wypowiedziany przez człowieka tak sławnego jak kapitan Butler, jest niezmiernie cenny.

Odrzucił głowę w tył i zaczął się głośno śmiać - po prostu ryczeć, jak Scarlett pomyślała z pasją, znowu rumieniąc się po uszy.

- Dlaczego nie powiedziała pani tego, co pani naprawdę myśli? - zapytał zniżając głos, aby tylko Scarlett mogła go słyszeć. - Dlaczego nie powiedziała pani, że jestem łotrem, że nie jestem dżentelmenem i żebym się stąd czym prędzej wynosił, bo inaczej zawoła pani jednego z naszych dzielnych chłopców, aby się ze mną rozprawił?

I znowu miała ostrą odpowiedź na końcu języka, ale i tym razem powstrzymała się bohaterskim wysiłkiem i powiedziała:

- Ależ panie kapitanie! Co też pan mówi! Jak gdyby nie było to powszechnie wiadome, jaki pan jest sławny i dzielny, i jaki... jaki...

- Rozczarowałem się co do pani - powiedział.

- Rozczarował się pan?

- Tak. Za pierwszym naszym spotkaniem pomyślałem sobie, że nareszcie poznałem dziewczynę, która jest nie tylko piękna, ale i odważna. A teraz stwierdzam, że jest pani tylko piękna.

- Czy znaczy to, że uważa mnie pan za tchórza? - Scarlett napuszyła się jak kwoka.

- Właśnie. Nie ma pani odwagi, aby mówić to, co pani myśli. Kiedy ujrzałem panią po raz pierwszy, pomyślałem: Oto dziewczyna jedna na milion. Niepodobna jest do tych innych małych idiotek, które wierzą we wszystko, co mówią im mamusie, i zgodnie z tym postępują, bez względu na to, co czują. I które ukrywają swoje uczucia, pragnienia i małe tragedie pod

maską układnych słów. Myślałem, że panna O'Hara jest osobą o rzadkiej odwadze. Wie, czego chce, i nie boi się ani tego wypowiadać, ani ciskać wazonikami.

- Och! - zawołała nie panując nad wściekłością. - A więc w tej chwili powiem panu, co myślę. Gdyby posiadał pan jakie takie obejście, nie podszedłby pan do mnie i nie odnowił znajomości. Wiedziałby pan, że nie życzę sobie pana widzieć! Pan jednak nie jest dżentelmenem! Jest pan nikczemnym, źle wychowanym człowiekiem! I wyobraża pan sobie, że dlatego, iż pana małe obrzydliwe stateczki przemycają towary, wolno panu zjawiać się tutaj i drwić z mężczyzn, którzy są prawdziwie odważni, i z kobiet, które wszystko poświęcają dla Sprawy...

- Dość już, dość - prosił uśmiechając się. - Zaczęła pani bardzo dobrze i mówiła pani to, co pani rzeczywiście myśli, niech więc pani broń Boże nie zaczyna mówić o Sprawie. Nudzi mnie już słuchanie tego i gotów byłbym się założyć, że i panią także...

- Jak to, skąd pan... - zaczęła straciwszy wątek i nagle urwała, wściekła na siebie, że wpadła w zasadzkę.

- Zanim mnie pani zauważyła, stałem przez chwilę w drzwiach i przyglądałem się pani - rzekł. - Przyglądałem się także innym młodym damom. Wszystkie wyglądały tak, jak gdyby twarze ich odlane zostały wedle tego samego wzoru. Pani twarz miała inny wyraz. Łatwo było odczytać pani myśli. Nie skupiały się dokoła tego, co pani robi, i założyłbym się nawet, że nie myślała pani o Sprawie ani o szpitalu. Na twarzy miała pani wypisane, że chce pani tańczyć i bawić się, i że tego pani nie wolno. Dlatego była pani zła. Niech się pani przyzna, czy nie mam racji?

- Nie mam panu nic więcej do powiedzenia, panie kapitanie - rzekła tak chłodno, jak tylko mogła, starając się zachować resztki swojej godności. - Mimo że jest pan „wielką osobistością” z powodu przemytu przez blokadę, nie ma pan prawa do obrażania niewiast!

- Ja „wielką osobistością”?! To chyba żarty. Błagam, niech mi pani udzieli jeszcze minuty swego cennego czasu, zanim odejdę w nieznane. Nie chciałbym, aby tak urocza patriotka jak pani miała złudzenia co do moich zasług dla sprawy Konfederacji.

- Nie chcę słuchać pańskich przechwałek.

- Przymyt przez blokadę jest dla mnie interesem, na którym zarabiam wiele pieniędzy. Kiedy rzecz ta przestanie mi dawać zarobki, rzucę ją. Co pani o tym myśli?

- Myślę, że jest pan sprzedajnym łotrem, wcale nie lepszym od Jankesów.

- Racja! - roześmiał się. - I właśnie Jankesi pomagają mi robić pieniądze. Nie dalej jak miesiąc temu statek mój był w porcie nowojorskim, skąd zabrałem ładunek.

- Co takiego? - zawołała Scarlett, mimo woli zaciekawiona i podniecona. - Czy nie

ostrzelali pana?

- Moja naiwna pani! Rozumie się, że nie! Niemalą jest i po tamtej stronie dzielnych patriotów, którzy nic nie mają przeciw zarobkom na dostarczaniu towarów Konfederacji. Wprowadzam swój statek do Nowego Jorku, kupuję w jankeskich firmach, oczywiście sub rosa, i odjeżdżam sobie. Kiedy zaś staje się to zbyt niebezpieczne, jadę do Nassau, dokąd ci sami patrioci jankescy sprowadzają dla mnie proch, naboje i jedwabie dla pań. To o wiele wygodniejsze niż podróże do Anglii. Czasem tylko trudno wracać potem do Charlestonu czy Wilmingtonu, ale nie uwierzy pani, ile można zdziałać małą sztuką złotą.

- Och, wiem dobrze, że Jankesi są nikczemni, ale nie przypuszczałam...

- Po cóż oburzać się na Jankesów tylko z tego powodu, że w uczciwy sposób chcą zarobić na handlu z obecnymi nieprzyjaciółmi? Za sto lat nie będzie to miało żadnego znaczenia. Wynik wojny i tak jest przesądzony. Wiedzą przecież, że Konfederacja i tak zostanie pokonana, czemu by więc nie mieli zarobić na wojnie?

- Kto zostanie pokonany? My?

- Rozumie się.

- Czy zechce pan łaskawie teraz naprawdę odejść, czy też będę musiała zawołać mój powóz i odjechać do domu, aby się wreszcie pana pozbyć?

- W gorącej wodzie kąpana mała buntowniczką - rzekł znowu z nagłym uśmiechem. Skłonił się jednak i odszedł, zostawiając ją w bezsilnej wściekłości i oburzeniu. Przeżywała rozczarowanie trudne do zanalizowania, podobne do żalu dziecka, gdy pryskają jego złudzenia. Jakże śmiało odrzucił z blasku ludzi przemycających przez blokadę! I dlaczego ośmielał się twierdzić, że Konfederacja zostanie pobita! Za to należałoby go rozstrzelać - rozstrzelać jak zdrajcę! Rozejrzała się po sali, pełnej znajomych ludzi, pewnych wygranej, odważnych, poświęcających się - i przeszył ją zimny dreszcz. Pokonani? Ci ludzie? Ależ nie, z pewnością nie! Sama myśl o tym była niemożliwa, zdradziecka.

- O czym tak szeptałaś z kapitanem Butlerem? - zapytała Melania zwracając się do Scarlett, kiedy rozeszli się kupujący. - Zauważyłam, że pani Merriweather nie spuszcza cię z oczu, a wiesz przecież, kochanie, ile ona plotkuje.

- Och, ten człowiek jest niemożliwy, to jakiś niewychowany cham - rzekła Scarlett. - Jeżeli zaś chodzi o tę starą panią Merriweather, to niech sobie gada. Znudziło mi się zachowywać dla jej przyjemności jak trusia.

- Ależ Scarlett! - zawołała Melania ze zdumieniem.

- Cicho! - rzekła Scarlett. - Doktor Meade zabiera się do nowej przemowy.

Zgromadzeni uciszyli się znowu, kiedy doktor zaczął przemawiać dziękując paniom,

które z taką ochotą ofiarowały swoją biżuterię.

- A teraz, panie i panowie, pozwolę sobie zaproponować pewną niespodziankę - innowację, która zgorszy może niektórych z państwa. Proszę jednak nie zapominać, że robię to dla szpitala i z myślą o naszych chłopcach, którzy się tam leczą.

Wszyscy zaczęli się cisnąć w stronę doktora, bardzo zaciekawieni, starając się domyślić, co też takiego może stateczny doktor zaproponować, co by mogło kogokolwiek zgorszyć.

- Teraz rozpoczną się tańce i pierwszym będzie oczywiście galop, a potem walc. Następne tańce, polki, szoty i mazurki, także poprzedzone będą krótkimi galopami. Ponieważ znam łagodną rywalizację o pierwszeństwo w prowadzeniu galopów, zatem... - doktor otarł czoło i rzucił wyzywające spojrzenie w stronę kąta, gdzie pomiędzy innymi damami siedziała jego żona.

- Panowie, każdy, kto zechce poprowadzić galopa z wybraną przez siebie damą, musi za nią ofiarować najwyższą sumę. Ja będę przewodniczył licytacji, a dochód obrócony będzie na cel szpitala.

Wachlarze skamieniały na chwilę w powietrzu, a szmer podnieconych szeptów przeleciał po sali. W kącie starszych pań zawrzało. Pani Meade, starając się poprzeć męża, którego pomysł w duchu potępiała, znalazła się w wyraźnej mniejszości. Panie Elsing, Merriweather i Whiting były czerwone z oburzenia. Nagle jednak gwardia głośno krzyknęła „hura”, które podjęte zostało przez wszystkich mężczyzn w mundurach. Młode dziewczęta klaskały w dłonie i podskakiwały radośnie.

- Czy nie zdaje ci się, że to przypomina trochę... targ niewolników? - szepnęła Melania patrząc niepewnie w stronę gotowego do walki doktora, który dotąd był dla niej symbolem doskonałości.

Scarlett nie odpowiedziała nic, ale oczy jej zaświeciły, a serce ścisnęło się dziwnym bólem. Gdybyż nie była wdową! Gdybyż mogła na chwilę stać się znowu Scarlett O'Hara, w zielonej sukni, przepasanej ciemnozieloną szarfą - to ona by z pewnością poprowadziła galopa. Tak, bez wątpienia! Kilkunastu mężczyzn biłoby się o nią i na wyścigi ofiarowywało pieniądze. Och, że też musi wbrew woli siedzieć pod ścianą i przyglądać się, jak pierwszego galopa poprowadzą Fanny czy Maybelle, jako najbardziej wzięte dziewczyny w Atlancie!

Ponad tumult wzbił się głos małego żuawa o wyraźnym, kreolskim akcencie: - Jeżeli wolno... dwadzieścia dolarów za pannę Maybelle Merriweather.

Zarumieniona Maybelle oparła się o ramię Fanny i obie dziewczyny zaczęły chichotać ukrywszy jedna drugiej głowy na ramionach. Tymczasem inne głosy poczęły wywoływać

inne nazwiska, inne sumy. Doktor Meade znowu się uśmiechnął nie zważając na oburzone szepty, dochodzące ze strony kąta komitetu pań.

Z początku pani Merriweather oświadczyła głośno i kategorycznie, że jej Maybelle nigdy nie weźmie udziału w takiej imprezie. Kiedy jednak imię Maybelle wywoływane było coraz częściej, a osiągnięta przez nią suma doszła do siedemdziesięciu pięciu dolarów, opór jej zaczął kruszeć. Scarlett oparła łokcie na kontuarze i prawie nienawistnym spojrzeniem obrzucała roześmianych ludzi, którzy z dłońmi pełnymi banknotów Konfederacji oblegali estradę.

Teraz wszyscy zaczną tańczyć - wszyscy z wyjątkiem jej i starych bab. Teraz rozpocznie się wspaniała zabawa dla wszystkich, tylko nie dla niej. Widziała Retta Butlera stojącego w pobliżu doktora. Dojrzał ją, zanim mogła zmienić wyraz twarzy. Jeden kącik ust opuścił mu się w uśmiechu, a jedna brew podniosła do góry. Wystawiła podbródek i odwróciła się od niego. Naraz usłyszała swoje nazwisko, wypowiedziane niewątpliwie charlestońskim akcentem, który wyróżniał się na tle innych głosów.

- Pani Karolowa Hamilton - sto pięćdziesiąt dolarów w złocie.

W tłumie zapanowała nagle cisza ze względu tak na sumę, jak i na nazwisko. Scarlett była tak oszołomiona, że nie mogła się poruszyć. Siedziała w dalszym ciągu z głową opartą na rękach, z rozszerzonymi ze zdumienia oczyma. Wszyscy patrzyli w jej stronę. Widziała, że doktor pochyła się do kapitana Butlera i coś mu szeptem do ucha. Mówił mu prawdopodobnie, że Scarlett jest w żałobie i że nie tańczy. Widziała, że Rett leniwie wzrusza ramionami.

- Może zatańczy pan z inną z naszych pięknych pań? - pytał doktor.

- Nie - odrzekł Rett wyraźnie, rozglądając się niechętnie po tłumie - tylko z panią Hamilton.

- Ależ powiadam panu, że to niemożliwe - powtórzył doktor z irytacją. - Pani Hamilton nie zechce...

Scarlett usłyszała głos, który wydał jej się obcy.

- Owszem, zechcę.

Porwała się na równe nogi, a serce jej biło tak mocno, że obawiała się, iż nie zrobi kroku, biło z wrażenia, że znowu jest ośrodkiem powszechnej uwagi, że jest najwięcej pożądana ze wszystkich obecnych kobiet, i ach, że wreszcie znowu będzie tańczyła!

- Och, wszystko mi jedno. Wszystko mi jedno, co powiedzą! - szeptała do siebie, ogarnięta słodkim szaleństwem. Dumnie podniosła głowę i szybko wyszła ze stoiska, stukając obcasami jak kastanietami, szeroko otwierając czarny jedwabny wachlarz. Przez mgnienie oka widziała wyraz niedowierzania na twarzy Meli, zgorszenie malujące się na obliczach

starszych dam, podniecenie dziewcząt, entuzjazm żołnierzy.

Stała na środku sali i Rett Butler podchodził do niej ze złośliwie drwiącym uśmiechem na ustach, torując sobie drogę przez tłum. Było jej teraz wszystko jedno - niechby był sobie samym nawet Abrahamem Lincolnem! Za chwilę będzie tańczyła! Poprowadzi galopa! Lekko dygnęła przed nim, uśmiechnęła się ślicznie, on zaś skłonił się, z ręką na gorsie plisowanej koszuli. Przerażony z początku Levi zorientował się szybko i wrzasnął:

- Panowie proszą panie do galopa!

Orkiestra zaczęła grać „Dixie”, najlepszą z melodii do galopa.

- Jakże pan śmiał wystawić mnie tak na pokaz, panie kapitanie?

- Ależ droga pani, przecież pragnęła pani tego najwyraźniej!

- Jak pan mógł tak głośno wywołać moje nazwisko?

- Powinna była pani odmówić.

- Ależ... ja to robię dla Sprawy. Ja... ja nie mogłam przecież myśleć o sobie, kiedy pan ofiarował tak wielką sumę, i to w dodatku w złocie. Niech się pan nie śmieje, wszyscy patrzą na nas.

- I nie przestanę patrzeć. Niech pani nie usiłuje mamicić mnie tą gadaniną o Sprawie. Chciała pani tańczyć, więc umożliwiłem to pani. Ten marsz jest ostatnią figurą galopa, prawda?

- Tak. Teraz naprawdę muszę przerwać i wrócić do kiosku.

- Dlaczego? Czy nadepnałem pani na nogę?

- Nie. Ale obawiam się, że zaczną na mnie plotkować.

- Czy to panią rzeczywiście wzrusza? Tak w głębi serca wzrusza?

- No, wie pan!

- Przecież nie popełnia pani żadnej zbrodni, prawda? Czemu nie chce pani zatańczyć ze mną i walca?

- Gdyby moja matka dowiedziała się...

- Ciągle jeszcze trzyma się pani mamusinej spódnicy...

- Och, w pana interpretacji wszystkie cnoty wyglądają bardzo głupio.

- Bo istotnie są głupie. Czy przejmuje się pani plotkami?

- Nie, ale... No, lepiej nie mówmy o tym. Bogu dzięki, że walc się zaczyna. Galop zawsze mnie męczy.

- Niech pani odpowiada na moje pytania. Czy przejmowała się pani kiedykolwiek opinią innych kobiet?

- Och, skoro pan tak mnie do muru przypiera - nie! Ale wypada, aby się z nią liczyć.

Dziś jednak o nic nie dbam.

- Brawo! Wreszcie zaczyna pani myśleć samodzielnie, zamiast, posługiwać się gotowymi poglądami innych ludzi. To początek mądrości.

- Ale...

- Gdy pani będzie tak oplotkowana jak ja, przekona się pani dopiero, jak małe to posiada znaczenie. Niech pani pomyśli, że nie jestem przyjmowany w żadnym domu w Charlestonie. Nawet ofiary moje dla naszej świętej i słusznej Sprawy nie zdołały przełamać tego bojkotu.

- Jakie to straszne!

- Ach, wcale nie. Póki człowiek nie straci reputacji, nie zdaje sobie sprawy, jakim była mu ona ciężarem i czym jest prawdziwa wolność.

- Ależ pan mówi straszne rzeczy!

- Straszne, lecz prawdziwe. Jeżeli ma się dość odwagi lub dość pieniędzy, można sobie doskonale poradzić bez dobrej opinii.

- Nie wszystko można kupić za pieniądze.

- To chyba ktoś starszy musiał pani powiedzieć! Sama nigdy by pani nie wymyśliła takiego banału. Czego zdaniem pani nie można kupić?

- Och, no... nie wiem. W każdym razie ani szczęścia, ani miłości.

- W zasadzie można. Jeżeli zaś nie ma się szczęścia ani miłości, można sobie kupić doskonale ich namiastki.

- A czy pan ma bardzo dużo pieniędzy, panie kapitanie?

- Jakież to nietaktowne pytanie, pani Hamilton! Bardzo się pani dziwię. Tak, mam pieniądze. Jak na młodego człowieka, zdanego od wczesnej młodości na własne siły, dorobiłem się dość dużego majątku. Jestem pewien, że na blokadzie zarobię milion dolarów na czysto.

- Ach, nie!

- Ach, tak! Ludzie przeważnie nie zdają sobie sprawy z tego, że można tyleż samo zarobić na burzeniu cywilizacji, co na jej budowaniu.

- Jak pan to rozumie?

- Pani krewni i moi, i większość tu obecnych ludzi dorobiła się pieniędzy na przeistaczaniu puszczy w kraj cywilizowany. To się nazywa budowaniem państwa. Zarabia się na tym doskonale. Więcej jednak jeszcze zarabia się na burzeniu państwa.

- O jakim pan państwie mówi?

- O tym, w którym żyjemy, o Południu, o Konfederacji, królestwie bawełny, które

kruszy się i rozpada pod naszymi stopami. Większość ludzi nie widzi jednak tego i nie potrafi wykorzystać sytuacji stworzonej tym rozkładem. Ja na tym zrobię fortunę.

- A więc pan rzeczywiście myśli, że zostaniemy zwyciężeni?

- Tak. Po co uprawiać strusią politykę?

- Boże, jakże mnie męczy rozmowa o tych sprawach. Czy pan nigdy nie mówi przyjemnych rzeczy, panie kapitanie?

- Czy wolałaby pani, gdybym mówił, że oczy pani podobne są do dwóch bliźniaczych akwariów, po brzegi napełnionych przejrzystą, zieloną wodą, i że gdy złote rybki wypływają na powierzchnię wody, o tak, jak teraz, wygląda pani diablo pięknie?

- Nie, to mi się nie podoba... Prawda, że muzyka jest wspaniała? Mogłabym tańczyć walca wiecznie. Nie wiedziałam, że tak mi tego było brak.

- Jest pani najlepszą tancerką, jaką kiedykolwiek trzymałem w ramionach.

- Panie kapitanie, proszę mnie tak mocno nie ścisnąć! Ludzie patrzą na nas!

- A gdyby nikt nie patrzył, jak by pani na to zareagowała?

- Panie kapitanie, pan się zapomina!

- Ależ ani na chwilę. Jakżebym mógł, mając panią tak blisko?... Co to za melodia?

Czy nowa?

- Tak. Prawda, że cudowna? Zdobyliśmy ją na Jankesach.

- Jak się to nazywa?

- „Gdy się skończy wreszcie wojna”.

- Czy zna pani słowa? Niech mi ją pani zaśpiewa.

*Czy pamiętasz, ukochany,*

*Ten rozstania smutny czas,*

*Gdyś mi klęcząc wyznał miłość,*

*Zanim los rozłączył nas?*

*Jakże byłeś wtedy dumny,*

*Szary mundur zdołał cię,*

*Przyrzekałeś, że nie zdradzisz*

*Ni ojczyzny, ani mnie.*

*Teraz płacząc smutna sama,*

*Ronię gorzkie łzy bez słów.*

*Gdy się skończy wreszcie wojna,*

*Los nas złączy z sobą znów.*

- W oryginale było oczywiście „niebieski mundur”, ale my zmieniliśmy to na



„szary”... Pan doskonale tańczy walca, panie kapitanie. Czy wie pan, że wysocy mężczyźni są przeważnie złymi tancerzami? I pomyśleć, że lata całe upłyną, zanim znowu będę mogła tańczyć...

- Skądże znowu? Tylko kilka minut. Poproszę panią do następnego galopa, potem do następnego, potem znowu do następnego...

- Och, nie! Nie mogłabym tańczyć! Niech pan tego nie robi! Straciłabym reputację!

- Już i tak porwana jest w strzępy, więc drugi taniec nie zaszkodzi jej tak bardzo. Może zresztą ustąpię panią innym panom po pięciu czy sześciu tańcach, ale ostatni taniec rezerwuję dla siebie.

- No, dobrze. Wiem, że jestem szalona, ale wszystko mi jedno dzisiaj. Nie dbam o to, co ludzie powiedzą. Tak mi się już znudziło siedzenie w domu... Będę dziś tańczyła bez przerwy...

- A nie będzie pani nosiła krepy? Nie cierpię żałobnych sukien.

- Ach, nie, jakżebym mogła zdjąć żałobę?... Panie kapitanie, proszę mnie tak mocno nie ścisnąć. Będę się na pana bardzo gniewała.

- Bardzo panią lubię, kiedy się pani gniewa. Znowu panią ścisnę - o tak - aby się przekonać, czy się pani naprawdę na mnie pogniewa. Nie ma pani pojęcia, jaka była pani urocza tego dnia w Dwunastu Dębach, kiedy była pani wściekła i tłukła wazoniki.

- Ach, proszę pana! Czy rzeczywiście zawsze będzie pan o tym pamiętał?

- Tak, to jedno z moich najcenniejszych wspomnień. Doskonale wychowana dama z Południa, z domieszką krwi irlandzkiej... Jest pani typową Irlandką, czy wie pani o tym?

- Mój Boże, już koniec muzyki i ciocia Pitty idzie tu z bufetu... Pewnie jej pani Merriweather opowiedziała o wszystkim. Och, na miłość boską, chodźmy stąd i stańmy przy oknie. Nie chcę, żeby mnie teraz tu przyłapała. Ma oczy wielkie jak spodeczki... to bardzo zły znak.

## ROZDZIAŁ X

Następnego dnia przy rannych waflach Pittypat była bliska płaczu, Melania milcząca, Scarlett zaś gotowa na wszystko.

- Nie dbam o plotki. Założę się, że więcej pieniędzy przysporzyłam szpitalowi niż wszystkie inne dziewczęta razem, więcej niż dała nam sprzedaż tych nikomu niepotrzebnych starych rzeczy.

- Ach, Boże, ale czy tu chodzi o pieniądze? - jęczała Pittypat załamując ręce. - Oczom własnym nie wierzyłam. Bo przecież biedny Karolek nie żyje zaledwie od roku... A ten straszny kapitan Butler tak ciebie kompromitował, to okropny człowiek, Scarlett! Pani Coleman, kuzynka pani Whiting, której mąż wrócił z Charlestonu, opowiadała mi o nim. Jest parszywą owcą w doskonałej rodzinie. Och, że też któryś z Butlerów doczekał się takiego jak on syna! Nie przyjmują go w żadnym domu w Charlestonie., ma jak najgorszą opinię i z pewną panną miał coś takiego, coś tak skandalicznego, że pani Coleman nie знаła nawet szczegółów tej sprawy...

- Nie sędzę, aby kapitan Butler był aż taki zły - rzekła Mela łagodnie. - Wydał mi się doskonale wychowanym dżentelmenem i jeżeli uświadomić sobie, ile odwagi trzeba, aby przemycać przez blokadę...

- On wcale nie jest odważny - rzekła Scarlett perfidnie, polewając wafle syropem. - Robi to wyłącznie dla pieniędzy. Tak mi powiedział. Nie dba wcale o Konfederację i twierdzi, że zostaniemy pokonani. Natomiast tańczy bosko.

Dwie kobiety aż zamarły z przerażenia.

- Znudziło mi się siedzenie w domu i nie mam zamiaru dłużej tego robić. Skoro na mnie plotkują z powodu wczorajszego wieczoru, znaczy to, że i tak straciłam reputację, więc nie ma znaczenia, co jeszcze powiedzą.

Nie zdawała sobie sprawy, że powtarza słowa Retta Butlera. Przyszły w samą porę i dokładnie pasowały do tego, co sama myślała.

- Och, Scarlett! Co powie twoja matka, kiedy się dowie o wszystkim? Co pomyśli o mnie?

Zimny dreszcz obleciał Scarlett na myśl o strapieniu Ellen, gdyby się miała dowiedzieć o jej skandalicznym postępowaniu. Pocieszyła się jednak szybko, że Atlanta leży w pewnej odległości od Tary. Pitty z pewnością nic nie powie Ellen. Postawiłoby to ją w bardzo złym świetle jako oficjalną opiekunkę Scarlett. Jeżeli zaś Pitty nie wygada się, nic jej

nie może grozić.

- Myślę - rzekła Pitty - tak, myślę, że najlepiej będzie, jeżeli napiszę o tym do Henryka, chociaż bardzo nie lubię do niego pisać. Ale on jest jedynym mężczyzną w naszej rodzinie, trzeba więc, aby porozmawiał poważnie z kapitanem Butlerem. Ach, Boże, gdyby Karolek żył... Scarlett, przyrzeknij mi, że nigdy, nigdy więcej nie będziesz rozmawiała z tym człowiekiem!

Melania siedziała bez ruchu ze splecionymi rękami, a wafle stygły na jej talerzu. Wstała teraz i podchodząc od tyłu do Scarlett, zarzuciła jej ręce na szyję.

- Kochanie - rzekła - nie przejmuj się tym wszystkim. Rozumiem cię, postąpiłaś bardzo dzielnie i bardzo pomogłaś szpitalowi. A jeżeli ktokolwiek ośmieli się pisać choć słowo na ciebie, ja się tym zajmę. Ciociu, przestań płakać. Scarlett było z pewnością bardzo ciężko, że nigdzie nie mogła być. Przecież to jeszcze dziecko. - Głaskała Scarlett po czarnych włosach. - Możliwe, że wszystkie trzy czułybyśmy się lepiej, gdybyśmy od czasu do czasu chodziły na przyjęcia. Byłyśmy z pewnością bardzo samolubne kryjąc się w domu z naszym zmartwieniem. Czasy wojenne różnią się od zwykłych. Kiedy pomyślę o tych wszystkich żołnierzach, którzy są z dala od domu i nie mają znajomych, do których mogliby wieczorami przychodzić, i o tych w szpitalach, dość zdrowych, aby wstawać, ale nie dość silnych, aby wrócić do szeregów... Rozumie się, żeśmy były samolubne. Powinniśmy choćby w tej chwili wziąć do domu trzech rekonwalescentów, jak inni ludzie, i zapraszać co niedziela żołnierzy na obiady. No, Scarlett, przestań się dąsać. Ludzie nie będą plotkowali, jeżeli im wytłumaczymy twoje motywy. My wiemy przecież, żeś bardzo kochała Karolka...

Scarlett bynajmniej się nie dąsała, drażniły ją tylko miękkie ręce Melanii na włosach. Chciała potrząsnąć głową i powiedzieć: „A jakże, terefer!” , bo jeszcze dobrze pamiętała, jak gwardziści, milicjanci i żołnierze ze szpitala dobijali się choćby o jeden z nią taniec. Najmniej zaś w świecie życzyła sobie, aby właśnie Mela stawała w jej obronie. Mogła się sama bronić, Bogu dzięki, a jeżeli stare plotkary zechcą gadać - doskonale potrafi sobie dać w życiu radę bez nich. Na świecie było dość przystojnych oficerów, nie potrzebowała się troszczyć o opinię starych bab.

Pittypat ocierała już sobie oczy, słysząc krzepiące słowa Melanii, gdy do pokoju weszła Prissy z grubym listem.

- Dla pani, panno Melu. Mały Murzynek przyniósł.

- Dla mnie? - zdziwiła się Mela rozdzierając kopertę.

Scarlett zajadała wafle, niczego więc nie zauważyła, aż nagle usłyszała głośny szloch Meli i podniósłszy głowę zobaczyła, że ciotka Pitty kurczowo przyciska rękę do serca.

- Ashley nie żyje! - łkała Pitty odchylając głowę do tyłu i bezwiednie opuszczając rękę.

- Ach, mój Boże! - krzyknęła Scarlett.

- Nie! Nie! - wołała Melania. - Szybko! Gdzie sole trzeźwiące, Scarlett? Cicho, cioteczko, cicho, czy lepiej ci teraz? Oddychaj głęboko. Nie, to nie od Ashleya. Tak mi przykro, że was przeraziłam. Płakałam ze szczęścia... - otworzyła nagle zaciśniętą dłoń i przycisnęła jakiś przedmiot do ust. - Taka jestem szczęśliwa... - i znowu wybuchnęła płaczem.

Scarlett rzuciła na nią przelotne spojrzenie i dostrzegła, że Mela trzyma w dłoni szeroką złotą obrączkę.

- Przeczytaj to - rzekła Mela wskazując list rzucony na podłogę. - Och, jakież on jest miły, jaki dobry!

Scarlett, zdumiona, podniosła arkusik papieru i przebiegła wzrokiem po słowach, wypisanych śmiałym charakterem pisma; „Konfederacji potrzebne jest może życie mężczyzn, ale od kobiet nie wymaga ofiary z głębi serca. Zechce Szanowna Pani przyjąć ten dowód wielkiej mojej czci. Proszę nie myśleć, że ofiara Pani poszła na marne, ponieważ wykupiłem ten pierścionek za cenę dziesięciokrotnej jego wartości. Kapitan Rett Butler”.

Melania wsunęła obrączkę na palec i przyglądała jej się z czułością.

- A mówiłam wam, że to dżentelmen, prawda? - rzekła zwracając się do Pittypat, radośnie uśmiechnięta mimo łez spływających jej po policzkach. - Tylko dżentelmen pełen subtelności mógł się domyślić, z jakim bólem rozstałam się z tą... Poślę zamiast tego złoty łańcuch. Ciociu Pitty, musisz napisać do kapitana Butlera karteczkę i zaprosić go na obiad w niedzielę, abym mogła mu podziękować osobiście.

Z powodu wzruszenia ani Mela, ani Pitty nie zwróciły uwagi na to, że kapitan Butler nie odesłał obrączki Scarlett. Ona jednak pomyślała o tym z niezadowoleniem. Wiedziała dobrze, że to nie subtelność spowodowała rycerski gest kapitana Butlera. Chciał dostać zaproszenie do domu panny Pitty i wyczuł nieomylnie, w jaki sposób najłatwiej będzie mu je uzyskać.

„Bardzo mnie zgnębiła wiadomość o Twoim niedawnym zachowaniu się” - brzmiał początek listu Ellen. Scarlett, która czytała go siedząc przy stole, nachmurzyła się bardzo. Złe nowiny wędrują, jak się okazuje, szybko. Często słyszała w Charlestonie i Savannah pogląd, że mieszkańcy Atlanty bardziej lubią plotki i wtrącanie się do nie swoich spraw od innych południowców; teraz gotowa była w to uwierzyć. Wenta odbyła się w poniedziałek wieczorem, a list nadszedł już we czwartek. Która ze starych bab zdobyła się na napisanie do

Ellen? Przez chwilę podejrzewała Pittypat, ale szybko odrzuciła tę myśl. Biedna Pittypat drżała ze strachu, aby i jej nie potępiono za postęпки Scarlett, i była ostatnią osobą, która by zawiadomiła Ellen o zachowaniu się jej córki. Zrobiła to zapewne pani Merriweather.

„Trudno mi po prostu uwierzyć, że mogłaś się do tego stopnia zapomnieć. Pomijam milczeniem niestosowność Twojego ukazania się w publicznym miejscu w czasie żałoby - bo zdaję sobie sprawę, że kierowało Tobą gorące pragnienie przyjscia z pomocą szpitalowi. Ale tańczyć, i w dodatku z człowiekiem pokroju kapitana Butlera! Wiele o nim słyszałam (bo któż nie słyszał?), a Paulina pisała mi w zeszłym tygodniu, że jest to człowiek o złej sławie i że w Charlestonie nie ma wstępu do domu własnej rodziny, z jedynym wyjątkiem matki, którą unieszczęśliwił. Jest to człowiek do gruntu zepsuty, który skorzystał prawdopodobnie z Twojej młodości i niewinności, aby Cię zniesławić i publicznie skompromitować tak Ciebie, jak i całą Twoją rodzinę. Jak też mogła panna Pittypat tak zaniedbać swoje obowiązki wobec Ciebie?”

Scarlett spojrzała przez stół na ciotkę. Starsza pani poznała pismo Ellen i małe jej usta wyduły się z przestachu jak buzia dziecka, które się boi łajania i pragnie je odzegnać łzami.

„Serce mi się kraje na myśl, że mogłaś się tak dalece zapomnieć. Chciałam wezwać Cię natychmiast do domu, ale zostawiam tę rzecz do uznania Twego ojca. Przyjedzie w piątek do Atlanty, aby porozmawiać z kapitanem Butlerem i odwiedzić Cię do domu. Obawiam się, że mimo moich próśb będzie dla Ciebie surowy. Wierzę i wierzyć nie przestanę, że tylko młodość Twoja i bezmyślność były powodem tak niestosownego zachowania się. Nikt bardziej ode mnie nie pragnie służyć naszej świętej Sprawie, i bardzo sobie życzę, aby córki moje czuły podobnie jak ja, ale żeby wstyd przynosić...”

Dużo jeszcze było zdań w tym rodzaju, ale Scarlett nie dokończyła listu. Była naprawdę bardzo przerażona. Hardość jej nagle uleciała. Czuła się tak samo niepewnie, jak wtedy, gdy mając dziesięć lat rzuciła przy stole kromkę chleba z masłem w twarz Zueli. Pomyśleć tylko, że łagodna jej matka tak ją ostro gromi i że ojciec przyjeżdża do miasta, aby rozmówić się z kapitanem Butlerem... Zaczęła sobie uprzytamniać całą powagę tej sprawy. Gerald z pewnością będzie dla niej surowy. Czuła dobrze, że tym razem nie wymiga się od kary siedzeniem na kolanach i robieniem słodkich minek.

- Czy... czy jakieś złe wiadomości? - drżącym głosem zapytała Pittypat.

- Papa przyjeżdża jutro i pewnie wsiądzie na mnie jak na łysą kobyłę - rzekła Scarlett z żalością.

- Prissy, przynieś mi sole - wyszeptła Pitty odsuwając się z krzesłem od stołu i nie kończąc posiłku. - Czuję się bardzo... słabo...

- Ma je pani w kieszeni - rzekła Prissy stojąca przy Scarlett, bardzo podniecona sensacyjnym dramatem. Wybuchy złości pana Geralda były zawsze bardzo interesujące, jeżeli nie kierowały się w jej stronę. Pitty zaczęła przetrząsać kieszenie i podniosła wreszcie flakonik do nosa.

- Musicie obie trzymać moją stronę i nie zostawiać mnie z ojcem ani na chwilę samej!  
- wołała Scarlett. - On tak was lubi, że nie zrobi mi awantury, kiedy będziecie ze mną.

- Ja nie będę mogła być przy tobie - rzekła Pittypat niedosłyszalnie i wstała od stołu. -  
Ja... czuję się bardzo źle. Muszę się położyć. Będę leżała przez cały dzień jutrzejszy. Musisz ojca przeprosić w moim imieniu.

„Stchórzyła” - pomyślała Scarlett patrząc na nią ze złością.

Mela przyłączyła się do obrony, mimo że zbladła z przerażenia na samą myśl o spotkaniu z gniewnym panem O’Harą. - Ja... ja pomogę ci wytłumaczyć ojcu, że zrobiłaś to wyłącznie dla szpitala. Jestem pewna, że ojciec zrozumie.

- Ale ja wcale nie jestem tego pewna - rzekła Scarlett. - Och, raczej umrę, a nie wrócę do Tary z tym wstydem, jak tego chce mama!

- Ach, nie chcesz chyba wracać do domu! - zawołała Pittypat wybuchając płaczem. -  
Gdybyś wyjechała, zmuszona byłabym... tak, zmuszona poprosić Henryka, aby zamieszkał z nami, a wiesz przecież, że nie potrafię być z nim razem ani chwili. Tak się boję być w domu sama jedna z Melą, gdy tylu obcych mężczyzn jest w mieście! Ty jesteś tak odważna, że nie brak mi mężczyzny, kiedy jesteś z nami!

- Och, ojciec nie może cię przecież zabrać do Tary! - rzekła Mela z taką miną, jak gdyby i ona miała się za chwilę rozplakać. - Dom twój jest teraz tu, u nas... Co byśmy bez ciebie poczęły?

„Byłybyście zadowolone, że się mnie pozbywacie, gdybyście wiedziały, co o was myślę” - pomyślała Scarlett gorzko, żałując w duchu, że to Melania musi ją bronić przed atakami Geralda. Nieprzyjemnie jest, gdy broni ktoś, kogo się bardzo nie lubi.

- Może trzeba, abyśmy odprosiły kapitana Butlera... - zaczęła Pittypat.

- Skądże znowu! To byłoby szczytem nietaktu! - zawołała Mela z rozpaczą.

- Pomóżcie mi się położyć. Czuję, że będę chora - jęczała Pittypat. - Och, Scarlett, dlaczego toś zrobiła?

Kiedy Gerald przyjechał następnego dnia po południu, Pittypat leżała w łóżku. Zza zamkniętych drzwi zapewniała go wielokrotnie, jak bardzo żałuje, że nie może go widzieć, i pozostawiła przydowanie przy kolacji dwom przerażonym dziewczętom. Gerald złowrogo milczał, mimo że pocałował Scarlett i uszczypnął Melanię w policzek, nazywając ją „kuzynką

Melą”. Scarlett wolałaby głośne przekleństwa i wymysły. Wierna swojej obietnicy, Melania trzymała się boku Scarlett jak nikły cień. Gerald zaś był zbyt wielkim dżentelmenem, aby w jej obecności robić córce wyrzuty. Scarlett musiała przyznać, że Melania zachowuje się bardzo dobrze, udając, jakby nic w ogóle nie zaszło i po skończeniu kolacji wciągając Geralda w rozmowę.

- Niech mi pan opowie łaskawie wszystkie nowiny z naszego powiatu - rzekła uśmiechając się do niego. - India i Honey piszą bardzo mało, a wiem, że pan jest doskonale o wszystkim poinformowany. Jak tam było na ślubie Józia Fontaine’a?

Gerald trochę zmiękł pod wpływem pochlebstwa i odparł, że ślub był cichy, „nie taki jak wasze”, bo Józio miał tylko dwa dni urlopu. Mała Sally Munroe wyglądała bardzo ładnie. Nie, nie przypominał sobie, jaką suknię nosiła, ale słyszał, że nie dostała wcale sukien „poślubnych”.

- To niemożliwe! - wykrzyknęły zgorszona dziewczęta.

- Ależ na pewno, bo wcale nie miała dni „poślubnych” - wyjaśnił Gerald i roześmiał się głośno, zapominając, że podobne uwagi nie są stosowne dla uszu dam. Na dźwięk jego śmiechu Scarlett odzyskała humor; błogosławiła w duchu takt Melanii.

- Józio musiał następnego dnia wracać do Wirginii - dodał spieszenie Gerald. - Nie składali wcale wizyt po ślubie i nie było żadnych przyjęć. Dwaj młodsi Tarletonowie są w domu.

- Słyszałyśmy o tym. Czy już zdrowi?

- Nie byli wcale ciężko ranni. Stuart miał ranę w kolanie, a Brent postrzelone ramię. Czy słyszałyście i o tym, że za waleczność byli wymienieni w rozkazie?

- Nie! Proszę nam o tym opowiedzieć!

- Odważni są obaj do szaleństwa. Myślę, że to z powodu swego irlandzkiego pochodzenia - rzekł Gerald zarozumiale. - Nie pamiętam już, czego dokonali, dość na tym, że Brent został porucznikiem.

Scarlett zadowolona była, słysząc o ich czynach, zadowolona w sposób egoistyczny. Chłopców, którzy niegdyś byli jej wielbicielami, nie przestawała uważać za swoją własność i wydawało jej się, że ich chwalebne uczynki przyczyniają się do jej sławy.

- A poza tym mam jeszcze jedną nowinę, która was mocno obejdzie - rzekł Gerald. - Mówią, że Stuart znowu jeździ w konkury do Dwunastu Dębów.

- Do Honey czy do Indii? - zapytała Mela z ciekawością, podczas gdy Scarlett popatrzyła na ojca z oburzeniem.

- Do panny Indii, oczywiście. Przecież był jej wielbicielem do czasu, gdy go ta moja

smarkuła skokietowała.

- Och - rzekła Mela, trochę zakłopotana szczerością Geralda.

- Poza tym zaś Brent zaczął jakoś częściej zaglądać do Tary. Ot, i wszystko!

Scarlett zaniemówiła. Odstępstwo jej byłych wielbicieli było dla niej nieledwie zniewagą. Zwłaszcza jeżeli sobie uświadomić, jak obaj chłopcy rozpaczali, gdy ich zawiadomiła, że wychodzi za Karola. Stuart nawet groził, że zastrzeli jego, Scarlett lub siebie, albo wszystkich troje. Było to bardzo denerwujące.

- Czy do Zueli? - zapytała Mela uśmiechając się z zadowoleniem. - Myślałam zawsze, że pan Kennedy...

- Ach, ten? - rzekł Gerald. - Frank Kennedy ciągle jeszcze kręci się koło niej tak nieśmiało, jakby się bał własnego cienia, i jeszcze chwila, a zapytam go wprost o jego intencje, jeżeli sam się nie wypowie. Nie. Brent przyjeżdża do naszej małej.

- Do Kariny?

- Przecież to jeszcze dziecko! - rzekła Scarlett ostro, nagle odzyskując mowę.

- Ona jest zaledwie o rok młodsza niż ty, gdy wychodziłaś za męża - odrzekł Gerald. - Czyżbyś zazdrościła siostrze dawnego wielbiciela?

Mela zarumieniła się znowu, nie przywykła do takiej szczerości, i zadzwoniła na Piotra, aby przyniósł deser. Gorączkowo szukała w myśli tematu rozmowy, który by nie dotyczył spraw osobistych i odciągnął uwagę Geralda od celu jego przyjazdu. Nie mogła niczego wymyślić, na szczęście jednak Gerald, raz przełamawszy milczenie, nie potrzebował innej podniety jak kilku par uszu, które by go słuchały. Mówił dalej o złodziejstwach wydziału aprowizacji, który co miesiąc nakładał wyższe daniny, o bezdennej głupocie Jeffersona Davisa i o przewrotności Irlandczyków, których ściągala do armii jankeskiej wysokość żołdu.

Kiedy na stół postawiono wino i dwie młode kobiety zabierały się do odejścia, Gerald spojrział spod oka na córkę i poprosił, aby została z nim na chwilę sama. Scarlett rzuciła rozpaczliwie spojrzenie na Melę, która bezsilnie szarpała chusteczkę i wreszcie wyszła, cicho zamykając za sobą drzwi.

- Słuchaj no, panienko! - krzyknął Gerald nalewając sobie szklanekę wina. - Ładnie mi się tutaj sprawujesz! Czyżbyś już miała zamiar łapać męża, mimo że tak niedawno owdowiałaś?

- Nie tak głośno, tatusiu, służba...

- Już z pewnością i oni wiedzą, jak wszyscy inni, o wstydzie, który na nas sprowadziłaś. Twoja biedna matka aż się rozchorowała ze zmartwienia, a ja wstydzę się



ludziom spojrzeć w oczy. To przecież hańba! Nie, kochanie, nie myśl, że tym razem ugłaskasz mnie łzami - dodał pośpiesznie i z pewnych przestachem, widząc, że Scarlett zaczyna szybko trzepotać powiekami i usta zwiącać w trąbkę. - Znam cię dobrze. Wiem, że potrafiłabyś flirtować na stypie po własnym mężu. Nie płacz. Nie powiem ci dziś nic więcej, bo chcę przede wszystkim zobaczyć się z tym kapitanem Butlerem, który tak lekko sobie ceni reputację mojej córki. Ale rano... No, no, już przestań płakać. Nic ci to nie pomoże, ani trochę. Tym razem będę stanowczy i jutro zabiorę cię do Tary, abyś nam znowu jakiego wstydu nie narobiła. Nie płacz, malutka. Zobacz, co ci przywiozłem! Czy to nie śliczny prezent? No, popatrz tylko! Jakżeś mi mogła zrobić tyle zmartwienia i narazić na przyjazd tutaj, kiedy wiesz, jak bardzo jestem zajęty? No, nie płacz już!

Melania i Pittypat spały już od dawna, kiedy Scarlett leżała bezsennie w ciepłym mroku z sercem ciężkim i pełnym strachu. Wyjechać z Atlanty teraz, kiedy życie zaczyna się na nowo! Stanąć teraz przed Ellen! Raczej umrzeć, niż spojrzeć w oczy matce! Życzyła sobie śmierci, teraz, w tej chwili, aby wszyscy pożałowali, że tacy byli dla niej niedobrzy. Kręciła się i rzucała na rozgrzanej pościeli, gdy doszły ją jakieś dźwięki z cichej, śpiącej ulicy. Były bardzo znajome, choć jeszcze niewyraźne. Wskoczyła z łóżka i podeszła do okna. Ulica, ocieniona drzewami, była ciemna pod usianym gwiazdami niebem. Hałas zbliżał się coraz bardziej: turkot kół, stukot kopyt końskich i jakieś głosy. I nagle Scarlett uśmiechnęła się, bo domyśliła się wszystkiego, słysząc zachrypy od wódki głos o irlandzkim akcencie. Mimo że nie było tego dnia sesji sądowej w Jonesboro, Gerald wracał do domu w takim samym stanie jak z miasteczka.

Dojrzała kabriolet, który zatrzymał się przed domem, wysiadły zeń niewyraźne postacie. Ktoś ojcu towarzyszył. Dwie osoby zatrzymały się przy bramie, usłyszała szcęk zamka i wyraźne słowa Geralda:

- Teraz zaśpiewam panu „Lament nad Robertem Emmetem”. To jest pieśń, którą powinien pan znać, młody człowieku. Nauczę pana.

- Bardzo chętnie ją poznam - odparł jego towarzysz ze śmiechem w głosie. - Może jednak nie teraz, panie O’Hara.

„O mój Boże, to znowu ten wstrętny Butler!” - pomyślała Scarlett, z początku bardzo zła. Potem nabrała otuchy. Dobrze przynajmniej, że nie pozabijali się nawzajem. I pewnie są ze sobą w dobrych stosunkach, skoro wracają o tej porze do domu razem i w takim stanie.

- Właśnie że zaśpiewam i właśnie że pan posłucha, bo inaczej zastrzelę pana, bo pan jest orańczykiem.

- Nie orańczykiem, charlestończykiem.

- To wcale nie lepiej. To jeszcze gorzej. Mam dwie bratowe w Charlestonie, więc wiem.

„Czy ojciec chce, aby o tym wiedziało całe sąsiedztwo?” - pomyślała Scarlett z przerażeniem, sięgając po peniuar. Cóż jednak mogła zrobić? Nie mogła zejść na dół o tej godzinie, aby wciągnąć ojca na górę po schodach.

Naraz Gerald, który opierał się o bramę, odchylił głowę w tył i głębokim basem zaczął śpiewać „Lament”. Scarlett oparła łokcie na parapecie okna i słuchała, śmiejąc się wbrew woli. Pieśń była bardzo piękna, tylko ojciec nie umiał niestety śpiewać. Bardzo ją lubiła, przez chwilę więc poddała się melancholii tych wierszy.

*Daleko ta ziemia, gdzie grób bohatera,*

*Wzdychają dworzanie, dokoła...*

Pieśń brzmiała dalej. W pokojach Pittypat i Meli rozległy się szmery. Biedne stworzenia, z pewnością bardzo się tym przejmą. Nie były przyzwyczajone do pełnokrwistych mężczyzn typu Geralda. Kiedy pieśń dobiegła końca, dwa cienie zlały się w jeden, weszły za bramę i po schodkach na górę. Słysząc było dyskretne pukanie do drzwi.

„Zdaje mi się, że powinnam zejść na dół - pomyślała Scarlett. - Ostatecznie to jest przecież mój ojciec, a biedna Pitty raczej umrze, niżby miała go teraz zobaczyć”. - Nie chciała, aby służba widziała Geralda w jego obecnym stanie. Jeżeli zaś Piotr zechce go ułożyć do snu. Gerald zrobi awanturę. Jeden tylko Pork umiał się z nim obchodzić.

Zapięła peniuar pod samą szyję, zapaliła świecę i zbiegła po ciemnych schodach do frontowego hallu. Postawiwszy świecę na schodach otworzyła drzwi i w migotliwym świetle ujrzała Retta Butlera, równie starannie ubranego jak zwykle, podpierającego jej małego, tęgiego ojca. „Lament” stanowił prawdopodobnie łabędzią pieśń Geralda, ponieważ teraz bezwładnie wisiał u ramienia swego towarzysza. Zgubił gdzieś kapelusz, jego gęste i długie włosy zmierzwione były w siwą grzywę, krawat miał pod jednym uchem, a na gorsie koszuli lepkie plamy od trunków.

- To zdaje się ojciec pani? - zapytał kapitan Butler z uśmiechem na smagłej twarzy. Objął jej negligę szybkim spojrzeniem, które zdawało się przenikać ją na wskroś.

- Niech go pan tu wprowadzi - rzekła krótko, wstydząc się swego stroju, wściekła na Geralda, że naraził ją na drwiny tego człowieka.

Rett pchał Geralda naprzód. - Czy mam pani pomóc zaprowadzić ojca na górę? Sama nie da sobie pani rady. Jest ciężki.

Otworzyła usta z przerażenia na tę zuchwałą propozycję. Cóż by Pittypat i Melania pomyślały słysząc, że kapitan Butler wchodzi na górę?

- Matko Przenajświętsza. Nie! Położymy go tu w salonie na kozetce.
- Ładnie to pani obmyśliła!
- Niech pan teraz przynajmniej tyle nie gada! Tutaj. Niech co pan położy.
- Czy mam mu ściągnąć buty?
- Nie. Spał już w nich nieraz.

Wściekła była na siebie, że to powiedziała, bo Butler roześmiał się cicho, układając Geralda.

- A teraz niech pan już idzie, proszę.

Wyszedł do ciemnego hallu i podniósł kapelusz, który rzucił na podłogę koło drzwi.

- Do zobaczenia na obiedzie w niedzielę - rzekł i zamknął bezszelestnie drzwi za sobą.

Scarlett zerwała się o pół do szóstej, zanim służba zaczynała się krzątać po domu, i cichutko zeszła na dół. Gerald już nie spał. Siedział na kanapie, podpierając rękami głowę, jak gdyby chciał ją zgnieść między piętami. Spojrzał ukradkiem na wchodzącą Scarlett. Oczy go bolały tak bardzo, że aż jęknął z wysiłku.

- A niech go wszyscy!

- Bardzo ładnie się sprawujesz, papo - zaczęła wściekłym szeptem. - Czy to słychane rzeczy, żeby przychodzić do domu o takiej porze i budzić sąsiadów głośnym śpiewaniem!?

- A bo ja śpiewałem?

- Śpiewałeś? Echo budziłeś śpiewając „Lament”!

- A ja nic nie pamiętam!

- Ale za to sąsiedzi zapamiętają to do samej śmierci i ciotka Pittypat, i Melania.

- Matko bolesna - jęknął Gerald, z trudem poruszając zeschniętymi wargami. -

Wszystko mi z głowy wyleciało, pamiętam tylko, jak gra się zaczęła.

- Gra?

- No tak, bo ten łotr Butler chwalił się, że jest najlepszym pokerzystą na...

- Ile przegrałeś?

- Ależ ja oczywiście wygrałem! Parę kieliszków zawsze mi dobrze robi przy pokerze.

- Zajrzyj do portfela.

Wolno i niechętnie, jak gdyby każdy ruch sprawiał mu ból, Gerald wyjął portfel z kieszeni marynarki i otworzył go. Był pusty. Popatrzył nań w niemym zdumieniu.

- Pięćset dolarów - powiedział. - A chciałem kupić w mieście rozmaite rzeczy dla pani O'Hara, teraz zaś nie mam nawet na bilet powrotny.

Kiedy Scarlett patrzyła na pusty portfel ojca, w głowie jej zrodziła się myśl i szybko zaczęła dojrzewać.

- Nie będę się mogła pokazać w tym mieście na ulicy - zaczęła. - Skompromitowałeś nas wszystkich.

- Cicho, mała. Czy nie widzisz, że mi głowa pęka?

- Przychodzisz do domu pijaniusieńki, grasz w karty z człowiekiem takim jak kapitan Butler, śpiewasz po nocy, ile sił w płucach, budzisz całą okolicę i przegrywasz wszystkie pieniądze.

- Ten człowiek za dobrze gra w karty, aby był dżentelmenem. On...

- Co też mama powie, kiedy dowie się o tym?

Spojrzał na nią z rozpaczliwym niepokojem.

- Nie masz chyba zamiaru powiedzieć tego matce? Zmartwiłaby się chyba!

Scarlett nie odpowiedziała, tylko wydeła wargi.

- Pomyśl tylko, jaką by to jej przykrość sprawiło. Ona jest taka dobra.

- I pomyśleć, papo, że dopiero wczoraj wieczorem ty mówiłeś, że ja przynoszę wstyd rodzinie! Ja, która zatańczyłam może ze dwa razy, aby przysporzyć pieniędzy żołnierzom! Och, mogłabym płakać!

- No, nie płacz - perswadował Gerald. - Tego by moja biedna głowa, która już i tak pęka, nie zniosła.

- A ty mówiłeś, że ja...

- Koteczku, no, koteczku, nie gniewaj się za to, co ci twój biedny, stary ojciec powiedział. Nie mówiłem serio i nie rozumiem w ogóle, o co tu chodzi! Na pewno jesteś dobrą dziewczynką, Scarlett.

- A chciałeś mnie za karę zabrać ze sobą do domu.

- Ach, kochanie, nie zrobiłbym tego przecież. Chciałem cię tylko nastraszyć. A nie powiesz nic mamie o tych pieniądzach, bo i tak się bardzo martwi, że takie mamy wydatki?

- Nie - rzekła Scarlett szczerze - nie powiem, jeżeli pozwolisz mi zostać tutaj i zapewnisz mamę, że to, co na mnie mówią, to plotki, robione przez stare, obrzydliwe babska.

Gerald spojrzał żałośnie na córkę.

- To po prostu szantaż.

- A to, co ty zrobiłeś, to był po prostu skandal.

- No, więc - zaczął przy pochlebnie - zapomnijmy najlepiej o tym wszystkim. Jak ci się zdaje, czy taka miła i dobra pani, jak panna Pittypat, ma w domu choć trochę koniaku? A niech to wszyscy...

Scarlett odwróciła się i na palcach przeszła przez cichy hali do jadalni, po butelkę koniaku, którą z Melą nazywały „flakonem zemdleń”, bo Pittypat zawsze nalewała sobie z

niej łyk do kieliszka, ilekroć czuła się bliska zemdlenia - albo udawała, że tak się czuje. Na twarzy jej malował się tryumf. Nie czuła wcale wstydu, że tak źle potraktowała ojca. Teraz Gerald będzie uspokajał Ellen kłamstwami, jeżeli jakaś inna wtrącałka znowu do niej napisze. Będzie mogła zostać w Atlancie. Będzie robiła, co jej się podoba, bo słaba Pittypat nie zdoła jej niczego zabronić. Otworzyła kredens i stała przez chwilę nieruchomo, przyciskając do piersi butelkę i szklanę.

Widziała przed sobą długi szereg pikników nad szemrzącymi wodami Strumienia Brzoskwiniowego, barbakoje na Górze Kamiennej, przyjęcia i bale, podwieczorki taneczne, przejażdżki powozem i niedzielne zimne kolacje. Będzie brała udział w tym wszystkim, będzie w samym sercu życia, w samym centrum tłumu mężczyzn. A mężczyźni zakochiwali się teraz łatwo, gdy spełniało się dla nich drobne usługi w szpitalu: Już teraz szpital nie będzie jej tak nudził. Łatwo było rozkochać w sobie mężczyzn przychodzących po długiej, chorobie do zdrowia. Wpadali w ręce mądrej dziewczyny niczym brzoskwinie w Tarze, gdy lekko potrząsało się drzewkiem.

Wróciła do ojca z rzeźwiącym trunkiem dziękując Bogu, że słynna mocna głowa pana O'Hary nie wytrzymała tym razem szeregu „kolejek”, i zapytując siebie, czy przypadkiem Rett Butler nie przyczynił się do tego?

## ROZDZIAŁ XI

Pewnego popołudnia w następnym tygodniu Scarlett wróciła ze szpitala zmęczona i zła. Była znużona, bo stała przez cały ranek na nogach; zła, bo pani Merriweather zbeształa ją ostro za siedzenie na łóżku żołnierza podczas robienia mu opatrunku. Ciotka Pitty i Melania w najlepszych kapeluszach stały na ganku z Wade'em i Prissy, gotowe do wyruszenia na wizyty. Scarlett poprosiła, aby ją zwolniły od tego, i udała się na górę, do swego pokoju.

Kiedy ucichł zupełnie turkot powozu i miała pewność, że nikogo z rodziny nie ma w domu, wsunęła się cicho do pokoju Meli i zamknęła drzwi na klucz. Pokój ten był wymuskany, mały i bardzo dziewiczy; był spokojny i rozgrzany ukośnymi promieniami zachodzącego słońca. Podłoga, doskonale wywoskowana, pokryta była małymi, jaskrawymi dywanikami, a białe ściany niczym nie ozdobione. Jeden tylko kąt pokoju Melania zamieniła w sanktuarium.

Tutaj, pod udrapowanym sztandarem Konfederacji, wisiała szabla o złotej rękojeści, którą ojciec Melanii nosił podczas wojny meksykańskiej i którą odziedziczył Karol. Obok wisiała szarfa Karola i pistolet w olstrach. Pomędzy szablą a pistoletem mieścił się dagerotyp samego Karola, bardzo sztywnego i napuszonego w nowym mundurze. Jego wielkie piwne oczy zdawały się świecić z dagerotypu, a na ustach igrał nieśmiały uśmiezek. Scarlett nawet nie spojrzała na portret, tylko szybkim krokiem przeszła przez pokój w stronę kwadratowej szkatułki do listów, stojącej na stoliku koło wąskiego łóżka. Wzięła paczkę listów pisanych przez Ashleya do Meli i przewiązanych niebieską wstążeczką. Na wierzchu leżał list, który nadszedł tego samego dnia, i ten właśnie otworzyła.

Gdy Scarlett po raz pierwszy zaczęła potajemnie czytywać listy Ashleya, miała tak wielkie wyrzuty sumienia i tak się bała przyłapania na gorącym uczynku, że ledwie mogła drżącymi rękoma otwierać koperty. Teraz to niezbyt zresztą silnie w niej rozwinięte poczucie honoru zagłuszone zostało częstym powtarzaniem wykroczenia - obawa zaś przed Melą ustąpiła zupełnie. Niekiedy myślała jeszcze ze ściśniętym sercem: „Co by powiedziała mama, gdyby wiedziała o tym?” Czuła, że Ellen wolałaby ją widzieć martwą niż winną podobnego postępu. Z początku bardzo to ją gnębiło, bo jeszcze ciągle pragnęła być pod każdym względem podobna do matki. Pokusa jednak czytania tych listów była tak wielka, że myśl o Ellen schodziła na drugi plan. W tym czasie Scarlett już się wprawiała w odsuwanie na bok nieprzyjemnych myśli. Nauczyła się mówić: „Nie będę myślała o tej czy owej nieprzyjemnej sprawie teraz. Zastanowię się nad nią jutro”. Zazwyczaj, kiedy nadchodziło jutro, myśl albo

nie przychodziła jej do głowy wcale, albo tak była stonowana zwłoką, że wcale nie była przykra. Tak więc i sprawa czytania listów Ashleya nie bardzo trapiła jej sumienie.

Melania zawsze czytała na głos duże wyjątki tych listów ciotce Pitty i Scarlett. Te jednak części, których nie czytała, nie dawały Scarlett spokoju i doprowadzały do czytania ukradkiem korespondencji szwagierki. Chciała wiedzieć, czy Ashley zaczął kochać żonę po ślubie. Chciała wiedzieć, czy udawał miłość do niej. Czy zwracał się do niej czule? Jakie uczucia wyrażał i jak gorąco?

Starannie zatem wyprostowała list.

Równe, niewielkie litery Ashleya skakały jej przed oczami, gdy czytała „Droga moja żono”. Odetchnęła z ulgą. A więc jeszcze nie nazywał Meli „Kochaniem” ani „Najdroższą”.

„Droga moja żono. Piszesz do mnie, że niepokoisz się, czy nie ukrywam przed Tobą prawdziwych moich myśli, i pytasz, co mnie zajmuje ostatnimi czasy...”

„Matko Przenajświętsza! - myślała Scarlett z przerażeniem. - Czy nie ukrywa swoich myśli? Czyżby Mela wyczytała, co się dzieje w jego sercu? Albo w moim? Czyżby podejrzewała, że ja i on?...”

Ręce jej drżały ze strachu, gdy znowu podniosła list do oczu, ale uspokoiła się, czytając następny ustęp.

„Droga żono, jeżeli ukrywam cokolwiek przed Tobą, to dlatego, że nie chcę kłaść ciężarów na Twoje barki ani dodawać do trosk o moje fizyczne bezpieczeństwo - dodatkowych, o spokój mego ducha. Trudno mi jednak ukryć coś przed Tobą, ponieważ znasz mnie zbyt dobrze. Nie niepokój się o mnie. Nie jestem ranny. Nie byłem chory. Mam dość jedzenia i nawet od czasu do czasu sypiam w łóżku. Żołnierz nie może niczego więcej wymagać. Ale, Melanio, ciężkie troski gnębią moje serce, która pragnę przed Tobą otworzyć.

Podczas nocy letnich leżę bezsennie, gdy cały obóz już śpi, patrzę w gwiazdy i zastanawiam się ciągle na nowo: «Po co tu jesteś, Ashleyu Wilkes? Dlaczego właściwie walczysz?»

Nie dla honoru i sławy, to pewne. Wojna jest sprawą brudną, ja zaś brudu nie lubię. Nie jestem żołnierzem i nie pragnę szukać chwilowej chwały pod paszczami armat. A jednak biorę udział w wojnie - ja, którego Bóg przeznaczył do egzystencji miłującego książki obywatela ziemskiego. Bo, Melanio, pobudka nie burzy mojej krwi, nogi moje nie skaczą w takt bębna i widzę bardzo jasno, że zostaliśmy zwiedzeni, oszukani z powodu naszej pychy, ponieważ myśleliśmy, że każdy z nas potrafi sprzątnąć z kilkunastu Jankesów, ponieważ wierzyliśmy, że bawelna rządzi światem. Zwiodły nas także słowa i hasła, przesady, i nienawiść - które padały z ust ludzi bardzo przez nas cenionych i szanowanych: «Królestwo

bawełny. Niewolnictwo. Prawa Stanów. Śmierć Jankesom».

Tak więc, gdy leżę na swoim kocu, patrzę w gwiazdy i pytam, o co walczę? Myślę o prawach Stanów, o bawełnie, o Murzynach, o Jankesach, których nauczono nas nienawidzić, i wiem, że nie walczę o żadną z tych rzeczy. Zamiast tego widzę Dwanaście Dębów. Przypominam sobie, jak światło księżycy przecieka między białymi kolumnami, jak nieziemsko wyglądają magnolie otwierające się nocą i jak pnące róże oceniają ganek w najgorętszym nawet słońcu. I widzę matkę szyjącą na ganku, jak widywałem ją często, gdy byłem małym chłopcem. Słyszę Murzynów wracających o zmierzchu z pól do domu, zmęczonych, śpiewających, niecierpliwie wyglądających kolacji, i słyszę skrzyp korby, która spuszcza wiadro do chłodnej studni. Widzę drogę schodzącą ku rzece poprzez pola bawełny i opary, nisko kładące się nad nimi o zmroku. W imię tego jestem tutaj ja, dla którego obojętna jest śmierć, cierpienie czy słowa, który nie czuje nienawiści do nikogo. Może to właśnie nazywa się patriotyzmem - ta miłość domu i ojczyzny? Wydaje mi się jednak, Melanio, że uczucie to sięga jeszcze głębiej. Bo, Melanio, te rzeczy, o których wspominam, są tylko symbolami spraw, dla których narażam życie, symbolami tego życia, które bardzo kocham, ale które, obawiam się, minęło już na zawsze, niezależnie od tego, jak się szansę rozłożą. Bo czy wygramy wojnę, czy przegramy, zwyciężonymi będziemy my.

Jeżeli wygramy tę wojnę i zdobędziemy nasze wysnzione królestwo bawełny, poniesiemy klęskę i tak, bo staniemy się innymi ludźmi i nie będziemy mogli wrócić do dawnego spokojnego życia. Świat będzie u naszych stóp, będzie domagał się bawełny; będziemy mogli naznaczyć ceny, jakie nam się spodoba. Wtedy, obawiam się, niczym nie będziemy się różnili od Jankesów, z których chęci zarabiania, wzbogacania się i kultu pieniądza drwimy teraz. Jeżeli zaś przegramy, Melanio, jeżeli przegramy!...

Nie boję się niebezpieczeństwa, niewoli, ran ani nawet śmierci, o ile śmierć jest mi pisana, boję się bardzo natomiast, że gdy skończy się ta wojna, nigdy nie będziemy dawnymi ludźmi. Ja zaś należę do czasów dawnych. Nie przynależę do tej szalonej, krwawej terażniejszości i jestem pewien, że nie zmieszczę się w żadnej przyszłości, jakkolwiek bym się o to starał. Ani ty nie nadasz się do niej, moja droga, ponieważ oboje jesteśmy jednej krwi. Nie wiem, co przyniesie przyszłość, z pewnością jednak nie będzie tak piękna ani tak doskonała jak przeszłość.

Leżę i przyglądam się śpiącym obok mnie chłopcom i zastanawiam się, czy Tarletonowie, Aleks lub Cade mają podobne myśli. Myślę o tym, czy wiedzą, że walczą dla sprawy, która była przegrana już w chwili, gdy oddano pierwszy strzał - bo sprawą naszą jest nasz sposób życia, a ten minął już na zawsze. Nie sądzę jednak, by o tym myśleli, i dlatego są



ode mnie o wiele szczęśliwsi.

Nie przewidywałem tego wszystkiego, gdy prosiłem o Twoją rękę, Melanio. Myślałem o wspólnym życiu w Dwunastu Dębach, takim jak dawniej - spokojnym, łatwym, niezmiennym. Podobni jesteście bardzo do siebie, Melanio, kochamy te same spokojne sprawy - widziałem więc przed nami długą przestrzeń cichych lat, w których moglibyśmy czytać, słuchać muzyki i marzyć. Nigdy jednak nie przewidywałem wojny! Że też coś takiego mogło się nam wszystkim zdarzyć - burzenie starego porządku, krwawa rzeź i nienawiść! Melanio, nic nie jest tego warte - ani prawa Stanów, ani niewolnicy, ani bawełna. Nic niewarte jest tego, co cierpimy teraz, ani tego, co może nam się przytrafić, bo jeżeli nas Jankesi zwyciężą, przyszłość kryje dla nas niesłychaną grozę. A, droga moja, jest zupełnie możliwe, że nas zwyciężą.

Nie powinienem pisać tych słów. Nie powinienem tego nawet myśleć. Pytałaś mnie jednak, co kryje się w moim sercu - mówię Ci więc: strach przed klęską. Czy pamiętasz, jak na barbakoi, w dniu ogłoszenia naszych zaręczyn, człowiek pewien, nazwiskiem Butler, sądząc z akcentu pochodzący z Charlestonu, omal nie wywołał awantury swoją uwagą o ignorancji południowców? Czy pamiętasz, jak Tarletonowie chcieli go zastrzelić, bo twierdził, że mamy za mało hut i fabryk, składów i okrętów, arsenałów i wytwórni maszyn? Czy pamiętasz, jak mówił, że flota jankeska tak nas zablokuje, że nie będziemy mogli wywozić bawełny? Człowiek ten miał rację. Do walki przeciw nowym karabinom Jankesów mamy muszkiety z czasów rewolucji, wkrótce zaś blokada będzie tak szczelna, że nawet leki dla szpitali nie będą się mogły przez nią przecisnąć. Należało uważniej słuchać cyników takich jak Butler, którzy znali prawdę - zamiast słuchać polityków, którzy «czuli» i gadali. Butler powiedział, że Południe do prowadzenia wojny posiada tylko bawełnę i arogancję. Teraz bawełna nasza jest bezwartościowa, została więc nam, jak on to nazwał, tylko arogancja. Ja jednak arogancję tę nazywam bezprzykładną odwagą. Jeżeli...”

Scarlett nie kończąc listu starannie złożyła go i wsunęła z powrotem do koperty, zbyt znudzona, aby czytać dalej. Ton listu zdeprymował ją jakoś, za wiele było napomnień o klęsce. Ostatecznie nie po to czytała ukradkiem korespondencję Melanii, aby poznawać dziwne i nieinteresujące poglądy Ashleya. Dość się już ich nasłuchiwała siadując z nim na ganku w Tarze za dawno minionych dni.

Jedyne, co chciała wiedzieć, to czy listy jego tchnęły namiętnością do żony. Jak dotąd - nie. Przeczytała wszystkie listy ze szkatułki i w żadnym z nich nie wyczytała nic, czego by brat nie mógł napisać do siostry. Pełno w nich było czułości, humoru, opisów - nie były to jednak listy kochanka. Scarlett dość dużo w swoim życiu otrzymywała listów miłosnych, aby

umieć wyczuć nutę prawdziwej namiętności. Tej nuty brakło tutaj. Jak zwykle po czytaniu listów Ashleya ogarnęło ją uczucie zadowolenia, bo poczuła pewność, że Ashley jeszcze ją kocha. Zawsze też dziwiła się złośliwie, dlaczego Melania nie rozumie tego, że Ashley kocha ją tylko jak przyjaciółkę. Melanii niczego najwidoczniej w tych listach nie brakło, ponieważ nigdy nie otrzymywała innych listów, z którymi by mogła porównać listy Ashleya.

„Bo też on pisze wariackie listy - myślała Scarlett. - Gdyby kiedykolwiek mój mąż pisał do mnie takie bzdury, dałabym ja mu szkołę! Przecież nawet Karol pisał lepiej!”

Uporządkowała listy, odczytując daty, przypominając sobie ich treść. Nie było w nich poetycznych opisów biwaków i potyczek, jakimi Darcy Meade urozmaicał listy swoje do rodziców albo biedny Dallas McLure do starszych swych sióstr, panien Faith i Fope. Państwo Meade i panny McLure z dumą czytali te listy całemu sąsiedztwu, Scarlett zaś niejednokrotnie odczuwała wstyd, że Melania swoich listów od Ashleya czytać na głos nie może.

Wydawać by się mogło, jak gdyby Ashley pisząc do Meli starał się nie myśleć o wojnie i zakreślał dokoła nich dwojga krąg magiczny, za którego obrębem zostawało to wszystko, co zdarzyło się od incydentu w Forcie Sumtera. Zdawał się prawie nie pamiętać, że wojna się toczy. Pisał o książkach, które czytali, o pieśniach, które śpiewali, o wspólnych starych przyjaciółach i o miastach, które zwiedzał podczas podróży po Europie. We wszystkich listach brzmiała nuta tęsknoty do Dwunastu Dębów. Całe stronicę poświęcał wspomnieniom polowań, przejażdżek konnych po cichych leśnych ścieżkach w mroźne gwiazdziste noce jesienne, pisał o barbakojach, ucztach rybnych, spokoju nocy księżycowych i pogodnym wdzięku starego domu.

Scarlett myślała o słowach z tego listu, który właśnie przeczytała: „Nigdy jednak nie przewidywałem tego! Nigdy!”, i wydały jej się krzykiem rozpaczony w obliczu czegoś, czego nie mógł znieść, a znosić musiał. To ją zastanowiło, bo skoro nie bał się ran ani śmierci, to czegoż mógł się bać? Nie umiejąc analizować, nie mogła dać sobie rady z tym zagadnieniem.

„Wojna wstrząsnęła nim, a on... on nie lubił rzeczy, które go wytrącają z równowagi... Mnie, na przykład... Kochał mnie, ale bał się ze mną ożenić, ponieważ... ze strachu, że zmienię jego sposób myślenia czy życia. Nie, nie tego bał się właściwie. Ashley nie jest tchórzem. Nie może być tchórzem, skoro został wymieniony w rozkazie dziennym i skoro pułkownik Sloan napisał do Meli, jaką odwagę wykazał prowadząc ludzi do ataku. Kiedy Ashley raz coś postanowi, jest bardzo odważny i zdecydowany na wszystko, ale... Żyje swoimi myślami zamiast żyć pośród świata otaczającego; nie lubi brać udziału w życiu... Och, nie wiem sama, co w nim takiego tkwi. Gdybym go wiele lat temu mogła zrozumieć,

przekonana jestem, że ożeniłby się ze mną”.

Stała tak przez chwilę, przyciskając listy do piersi, myśląc z tęsknotą o Ashleyu. Uczucie jej dla niego nie zmieniło się od dnia, w którym go pokochała. Czuła na myśl o nim to samo wzruszenie, które ogarnęło ją, gdy Ashley uśmiechając się podjechał konno pod ganek w Tarze, a włosy jego lśniły srebrzyście w słońcu porannym. Miłość jej ciągle jeszcze była uwielbieniem czternastoletniej dziewczynki dla mężczyzny, której nie może zrozumieć, dla mężczyzny posiadającego wszystkie te cechy, których sama nie ma, i dlatego podziwia. Ashley był dla niej ciągle jeszcze ucieleśnieniem dziewczęcego marzenia o Rycerzu bez Skazy; niczego nie pragnęła więcej niż jego wzajemności, nie chciała niczego prócz pocałunku. Czytając jego listy utwierdziła się w przekonaniu, że Ashley kocha ją, Scarlett, mimo że ożenił się z Melanią - i to wystarczyło jej w zupełności. Była jeszcze bardzo młoda i zupełnie nie rozbudzona. Gdyby kłopotliwa nieporadność i wstydlive pieszczoty Karola poruszyły w niej głęboką strunę uśpionej namiętności, marzenia o Ashleyu nie ograniczyłyby się do myśli o pocałunku. Kilka jednak księżycowych nocy z Karolem nie zdołało rozbudzić jej ciała ani namiętności. Karol nie dał jej żadnego pojęcia o tym, czym może być namiętność, czułość, prawdziwa bliskość cielesna i duchowa.

Miłość była dla niej poddaniem się niezrozumiałemu męskiemu szałowi, którego kobiety dzielić nie mogły; bolesnym i wstydlwym procesem, który prowadził niezmiennie do jeszcze boleśniejszego procesu rodzenia. Nie było dla niej niespodzianką, że małżeństwo jest właśnie czymś takim. Ellen wspominała jej przed ślubem, że małżeństwo to stan, który kobiety muszą znosić z godnością i siłą, szepty zaś innych mężatek, które słyszała w okresie wdowieństwa, utwierdzały ją w tym przekonaniu. Zadowolona była, że skończyła z małżeństwem i namiętnością.

Skończyła z małżeństwem, ale nie z miłością, bo miłość jej do Ashleya była czymś innym, czymś, co nie miało nic wspólnego, z żądzą - czymś świętym i oszalamiająco pięknym, wzruszeniem, które rosło potajemnie w długie dni przymusowego milczenia, karmiąc się dawnymi wspomnieniami i zawsze nową nadzieją.

Westchnęła, starannie przewiązując wstążeczką paczkę listów i zastanawiając się po raz tysięczny nad tym, co też było takiego w Ashleyu, co wymykało się jej rozumieniu. Starła się przemyśleć tę sprawę, aby dojść do zadowalających wniosków, ale, jak zwykle, nieskomplikowany jej umysł nie mógł wyciągnąć ostatecznej konkluzji. Odłożyła listy do szkatułki i zamknęła jej wieko. Potem zmarszczyła czoło, bo przypomniała sobie ostatni ustęp przeczytanego listu, wzmiankę Ashleya o kapitanie Butlerze. Dziwne, że Ashley dotąd pamiętał, co ten łotr powiedział rok temu. Kapitan Butler był niewątpliwie łotrem, mimo że

tańczył bosko. Tylko skończony łotr mógł mówić o Konfederacji takie rzeczy jak on na wencie.

Zbliżyła się do lustra w przeciwległym kącie pokoju i z zadowoleniem przyglądała włosy. Poweselała od razu - jak zwykle na widok swej białej skóry i skośnych zielonych oczu - i uśmiechnęła się do siebie, aby przyjrzeć się swoim dołeczkom. Potem wymazała z pamięci obraz kapitana Butlera i usiłowała przypomnieć sobie, jak Ashley lubił jej uśmiech. Wyrzuty sumienia, że kocha męża innej kobiety i że czytuje jego listy do niej, nie zmąciły jej przyjemności, że jest młoda, ładna i że na nowo zyskała pewność miłości Ashleya.

Otworzyła drzwi z klucza i z lekkim sercem zeszła po kręconych schodach. Na półpiętrze zaczęła śpiewać „Gdy się skończy wreszcie wojna...”

## ROZDZIAŁ XII

Wojna toczyła się dalej, przeważnie z powodzeniem, ale ludzie przestali mawiać: „Jeszcze jedno zwycięstwo i będzie pokój”, podobnie jak przestali twierdzić, że Jankesi są tchórzami. Było teraz, jasne dla wszystkich, że Jankesi wcale tchórzami nie są i że trzeba więcej niż jednego zwycięstwa, aby ich pokonać. Konfederacja miała jednak za sobą zwycięstwa w Tennessee, odniesione przez generałów Morgana i Forresta, tryumf zaś w drugiej bitwie pod Bull Run był tak namacalny, jak gdyby zdarto tam skalpy z nieszczęsnych Jankesów. Te rzekome skalpy drogo jednak opłacono. Szpitale i domy Atlanty przepełnione były chorymi i rannymi i coraz więcej kobiet przywdziewało żałobę. Monotonny rząd grobów żołnierskich na cmentarzu oaklandzkim wydłużał się co dzień.

Waluta konfederacka spadała alarmująco, w związku zaś z tym podskoczyły ceny żywności i ubrań. Wydział zaopatrywania armii obkładał artykuły żywnościowe takimi podatkami, że ludność Atlanty zaczęła na tym cierpieć. Białą mąkę trudno było dostać i była tak droga, że zaczęto używać chleba żytniego zamiast sucharów, bułek i wafli. Rzeźnicy nie mieli wołowiny i bardzo mało baraniny, przy czym te gatunki mięsa były w takiej cenie, że tylko bogaci mogli sobie na nie pozwolić. Wieprzowiny było jeszcze pod dostatkiem, podobnie jak drobiu i jarzyn.

Blokada portów Konfederacji zacieśniła się jeszcze i artykuły takie jak herbata, kawa, jedwab, fiszbiny, woda kolońska, żurnale i książki - stały się drogie i niedostępne. Nawet najtańsze tkaniny bawełniane sięgały zawrotnych cen, a panie z żalem nosiły suknie przez dwa sezony. Krosna, które od lat stały na strychach, odkurzono teraz, i w każdym prawie salonie zaczęto tkać samodziały.

Wszyscy - żołnierze, cywile, kobiety, dzieci i Murzyni - tkali na wyścigi. Szary kolor, barwa munduru konfederatów, znikł właściwie, miejsce zaś jego zajął samodział w piaskowym odcieniu.

Szpitala odczuwały już brak chininy, kalomelu, opium, chloroformu i jodiny. Bandaże lniane i bawełniane stały się tak cenne, że nie wyrzucano ich po zużyciu, lecz każda z pań, pielęgnujących w szpitalach, zabierała do domu kosze krwawych strzępów, które wyprane i odprasowane służyły nowym chorym.

Dla Scarlett, która dopiero co wynurzyła się z poczwarki wdowieństwa, wojna była okresem wesołości i rozrywek. Brak odzieży i jedzenia wcale jej nie trapił, tak się cieszyła ze swego powrotu w świat.

Kiedy myślała o nudzie ubiegłego roku, o dniach mijających monotennie, wydawało jej się, że teraz życie bieży niepowstrzymanym pędem. Każdy poranek zapowiadał podniecającą przygodę, bo był początkiem dnia, w którym miała poznać nowych mężczyzn, chcących ją widywać, mówić jej, że jest piękna, że szczęściem jest walczyć i umierać dla niej. Kochała Ashleya ciągle i z całej duszy, ale to jej nie przeszkadzało doprowadzać innych mężczyzn do oświadczenia się o jej rękę.

Wojna, która była tłem wszystkich wydarzeń, przydawała stosunkom towarzyskim przyjemnej swobody, na którą starsze osoby spoglądały z niepokojem. Matki zastawały obcych mężczyzn u córek, mężczyzn, którzy zjawiali się bez listów polecających i o których pochodzeniu nic nie było wiadomo. Stwierdzały z przerażeniem, że panowie ci siadują z ich córkami ręką w rękę. Pani Merriweather, która po raz pierwszy pocałowała się z mężem po ślubie, ledwie wierzyła swoim oczom, gdy przyłapała Maybelle na całowaniu się z małym zuawem, Rene Picardem, a konsternacja jej wzrosła jeszcze, ponieważ Maybelle nie chciała się wcale tego wstydzić. Fakt, że Rene niezwłocznie poprosił o jej rękę, niczego nie naprawił. Pani Merriweather była przekonana, że na Południu nastąpił zupełny upadek obyczajów, i często tę opinię wypowiadała na głos. Inne matki zgadzały się z nią całym sercem twierdząc, że to wina wojny.

Mężczyźni jednak, którzy mieli umrzeć za tydzień czy miesiąc, nie mogli czekać przez rok na pozwolenie nazywania dziewczyny po imieniu - przed którym, oczywiście, dodawali słowo „panno”.

Nie mogli także narażać się na oficjalne i przewlekłe konkury, jakie przed wojną nakazywał dobry ton. Zdarzało się, że oświadczali się teraz po trzech czy czterech miesiącach. Panny zaś, które doskonale wiedziały, że dama powinna ręki swej odmówić przynajmniej trzykrotnie, z ochotą przyjmowały oświadczenia już za pierwszym razem.

Ta bezceremonialność sprawiała właśnie, że Scarlett doskonale się bawiła podczas wojny. Gdyby nie przykry obowiązek doglądania rannych i nuda, z jaką łączyło się zwijanie bandaży, nie miałyby nic przeciwko temu, aby wojna trwała wiecznie. Właściwie nawet i szpital znosiła teraz lepiej i spokojniej, ponieważ stanowił doskonałe pole do nowych zdobyczy. Bezradni chorzy ulegali jej wdziękom bez walki. Wystarczyło zmienić im bandaż, obmyć twarz, poprawić poduszki i trochę ich powachlować, a już byli zakochani. Ach, jaka to była rozkosz po ostatnim nudnym roku!

Scarlett nawróciła do punktu, w którym była przed wyjściem za mąż za Karola. Zdawało jej się, że nigdy nie była zameżna, nigdy nie odczuła wstrząsu po śmierci męża, nigdy nie urodziła Wade'a. Wojna, małżeństwo i poród przeszły po niej nie poruszając żadnej

głębszej struny - była właściwie niezmieniona. Miała dziecko, którym opiekowali się inni tak czule, że mogła o nim prawie nie pamiętać. W duszy swojej i sercu była znowu Scarlett O'Hara, najpiękniejszą dziewczyną w powieści. Myśli i zajęcia miała takie same jak dawniej, tylko że pole jej działania rozszerzyło się ogromnie. Nie dbając o opinię przyjaciółek ciotki Pitty, zachowywała się tak jak przed zamążpójściem, chodziła na przyjęcia, tańczyła, jeździła konno z żołnierzami, flirtowała; robiła to samo, co w czasach panieństwa, tylko że nosiła żałobę. Wiedziała, że zdjęcie jej byłoby kroplą, która by przepełniła miarę pobłażliwości Pittypat i Meli. Była więc teraz wdową równie czarującą jak dawniej panną, miłą - gdy mogła postępować wedle własnej woli, uprzejmą - dopóki było to jej na rękę, prózną, pewną siebie i ufną w swe powodzenie.

Teraz była szczęśliwa, mimo że przed niewielu tygodniami czuła się bardzo źle - szczęśliwa w towarzystwie wielbicieli, głoszących pochwałę jej wdzięków, tak szczęśliwa, jak to było możliwe wobec ożenku Ashleya z Melanią i jego pobytu na froncie. Łatwiej jednak zносиła myśl, że Ashley należy do innej, kiedy był daleko. Ze względu na setki mil dzielących Atlantę od Wirginii wydawał się własnością jej tak samo jak Melanii.

Tak więc miesiące jesienne roku 1862 przechodziły Scarlett szybko na doglądaniu rannych, zwijaniu bandażu, tańcach, przejażdżkach i krótkich wizytach w Tarze. Odwiedziny te kończyły się przeważnie rozczarowaniem, bo miała podczas nich mało okazji do długich i spokojnych rozmów z matką, do których tęskniła w Atlancie; miała mało czasu, aby siedzieć przy Ellen, wdychać zapach werbeny, unoszący się z jej sukien, czuć na policzkach łagodną pieśczętę jej miękkich dłoni.

Ellen była teraz chuda i bardzo zajęta od rana do późnej nocy. Żądania wydziału zaopatrywania armii wzrastały z miesiąca na miesiąc, Ellen musiała więc starać się je zaspokoić produktami z Tary. Nawet Gerald po raz pierwszy od wielu lat musiał się wziąć do roboty, bo nie mając rządcy na miejsce Jonasza Wilkersona, sam objeżdżał pola. Wobec tego, że Ellen miała tylko czas na krótki pocałunek na dobranoc, a Gerald był całymi dniami w polu, dom rodzinny wydawał się Scarlett nudny. Nawet siostry były zajęte własnymi sprawami. Zuela doszła już do „porozumienia” z Frankiem Kennedy i śpiewała „Gdy się skończy wreszcie wojna” ze znaczącą miną, której Scarlett nie mogła strawić, Karina zaś zbyt było pochłonięta marzeniami o Brencie Tarletonie, aby stanowić ciekawe towarzystwo.

Mimo że Scarlett jeździła do Tary z wielką radością, nie było jej przykro, gdy od Meli i Pitty nadchodziły listy, wzywające ją niezmiennie do powrotu. Ellen zwykle wzdychała wtedy, zasmucona myślą, że najstarsza córka i jej jedyne wnuczki opuszczają ją znowu.

- Nie mogę być tak samolubna, aby zatrzymywać cię tutaj, kiedy jesteś potrzebna w szpitalu w Atlancie - mówiła. - Tylko widzisz, kochanie, nie mam teraz nigdy czasu dla ciebie, nie mogę z tobą rozmawiać i czuć naprawdę, że wciąż jeszcze jesteś moją małą córeczką.

- Jestem nią i zawsze będę - mawiała Scarlett i kryła głowę na ramieniu Ellen w poczuciu nagłej winy. Nie mówiła bowiem Ellen, że do Atlanty ciągnie ją perspektywa tańców i zdobywania wielbicieli, a nie myśl o służbie dla Konfederacji. Wiele było spraw, które w tych czasach ukrywała przed matką. Przede wszystkim jednak ukrywała fakt, że Rett Butler często bywa w domu ciotki Pittypat.

W miesiącach, które nastąpiły po wencie, Rett odwiedzał panie Hamilton, ilekroć był w mieście, zabierał Scarlett na przejażdżki powozem, towarzyszył jej na wieczorki taneczne i wенты i czekał w powozie przed szpitalem, aby ją odwieźć do domu. Scarlett nie bała się już, że Rett zdradzi komukolwiek jej tajemnicę, ale w głębi duszy zawsze pamiętała o tym, że zna ją z najgorszej strony i że wie całą prawdę o Ashleyu. Ta świadomość powstrzymywała ją od ostrych odpowiedzi, gdy Rett ją drażnił. Drażnił ją zaś bardzo często.

Rett Butler miał przeszło trzydzieści lat i był znacznie starszy od wszystkich wielbicieli, jakich Scarlett kiedykolwiek miała, trudno jej więc było kierować nim tak jak innymi. Miał taką minę, jak gdyby go nic nie dziwiło, a wiele rzeczy śmieszyło, najwięcej zaś zdawał się bawić doprowadzaniem Scarlett do niemej wściekłości. Często wybuchała złością na skutek jego zręcznych docinków, bo wraz z pozorami słodczy, odziedziczonymi po Ellen, posiadała i irlandzki temperament Geralda. Dotąd umiała się opanowywać wyłącznie w obecności Ellen. Teraz z wysiłkiem musiała dławić w sobie ostre repliki, ponieważ bała się drwiącego uśmiechu Retta. Wołałaby, gdyby i on czasem tracił panowanie nad sobą.

Po każdej utarczce z Rettem - a rzadko wychodziła z nich obronną ręką - Scarlett powtarzała sobie, że Rett jest niemożliwy, źle wychowany, że nie jest dżentelmenem, i przyobiecowała sobie święcie, że nic z nim więcej nie będzie miała do czynienia. Wcześniej jednak czy później zjawiał się znowu w Atlancie, składał wizytę, rzekomo ciotce Pittypat, i z przesadną galanterią wręczał Scarlett pudełko słodczy, które jej przywiózł z Nassau. Albo też zamawiał sobie miejsce przy niej na koncercie lub zapraszał do tańca i Scarlett zwykle była tak ubawiona jego uprzejmą bezczelnością, że zaczynała się śmiać i zapominała o jego przeszłych przewinach do czasu popełnienia następnych.

Mimo że miał tyle nieprzyjemnych wad, wyglądała jego wizyt z niecierpliwością. Miał w sobie coś niepokojącego czego nie mogła zanalizować - coś, co różniło go od wszystkich znajomych mężczyzn. Uroda jego rosnącego ciała zostawiała niezatarte wrażenie,



impertynencja i drwina, kryjące się w jego ciemnych oczach, były dla Scarlett wyzwaniem.

„Można by pomyśleć, że jestem w nim zakochana - myślała ze zdumieniem. - Ale nie kocham go przecież, nie mogę więc tego po prostu zrozumieć”.

Uzucie niepokoju nie mijało jednak. Kiedy Rett przychodził z wizytą, jego pełnokrwista męskość sprawiała, że dystygowany dom ciotki Pitty zaczynał się wydawać mały, nikły i trochę zatęchły. Nie tylko Scarlett wbrew woli tak dziwnie reagowała na jego obecność: nawet ciocia Pitty była zmieszana i podniecona wizytami Retta.

Mimo iż Pitty wiedziała, że Ellen nie aprobowała by wizyt kapitana Butlera u swej córki, mimo iż wiedziała, że opinii dobrego towarzystwa charlestońskiego nie należy lekceważyć, na lep wyszukanych komplementów Retta i ucałowań w rękę szła jak mucha do miodu. Ponadto przywoził jej zwykle z Nassau drobne upominki, które - jak ją zapewniał - kupował specjalnie dla niej i przemycił przez blokadę z narażeniem życia: szpilki, agrałki, guziki, jedwab do szycia czy szpilki do włosów. Drobiazgów tych nie można już było dostać w Atlancie - panie nosiły we włosach ręcznie strugane szpilki drewniane, a zamiast guzików żółędzie obciążane materiałem - Pitty brakło więc siły, aby nie przyjmować tych dowodów pamięci, zwłaszcza że po dziecinnemu lubiła niespodzianki i nie mogła się oprzeć pokusie otwierania zawiniątek kapitana Butlera. Odpakowawszy raz zaś paczuszkę, nie potrafiła odmówić przyjęcia подарunku. Przyjąwszy prezent, nie umiała znowu zebrać się na odwagę i oświadczyć Rettowi, że ze względu na jego złą reputację byłoby lepiej, aby nie odwiedzał trzech samotnych, pozbawionych opieki kobiet. Ciotka Pitty niezmiennie czuła potrzebę męskiej opieki, gdy kapitan Butler zjawiał się w jej domu.

- Nie wiem, czemu to przypisać - wzdychała bezwolnie. - Ale... myślę nawet, że kapitan byłby miłym, przyjemnym człowiekiem, gdybym czuła naprawdę, że... że w głębi serca rzeczywiście szanuje kobiety. Od chwili zwrotu jej obrączki Melania uważała, że Rett jest dżentelmenem o wyjątkowej subtelności i delikatności, uwaga ta więc bardzo ją oburzała. Mimo że Rett był dla niej niesłuchanie uprzejmy, nie wyzbyła się w stosunku do niego nieśmiałości, jaka cechowała ją zresztą w stosunku do każdego mężczyzny, którego nie znała od dzieciństwa. Współczuła mu - co bardzo by prawdopodobnie ubawiło Retta, gdyby o tym wiedział. Była przekonana, że to jakieś niepowodzenie spaczyło jego życie, uczyniło go twardym i zgorzkniałym, i uważała, że brak mu zapewne miłości odpowiedniej kobiety. W całym swoim spokojnym życiu nie widziała jeszcze prawdziwego zła, toteż nie mogła uwierzyć w jego istnienie, kiedy zaś dochodziły ją plotki na temat Retta i owej panny z Charlestonu, była zgorszona i pełna niedowierzania. Pogłoski te zamiast ją zniechęcić do niego, wzmagaly tylko jej uprzejmość, bo wyobrażała sobie, że powinna mu wynagrodzić

krzywdę, którą mu ludzie wyrządzają.

Scarlett milcząco podzielała zdanie ciotki Pitty. Czuła, że Rett nie ma szacunku dla żadnej kobiety, z wyjątkiem może jedynej Melanii. Ilekroć spojrzenia jego ślizgały się po niej samej, wydawało jej się, że jest naga. Nie znaczy to, iżby Rett kiedykolwiek coś jej śmiałego powiedział. Wtedy obrzuciłaby go gradem oburzonych słów. Oczy jego patrzyły ze śniadej twarzy bezczelnie, jak gdyby wszystkie kobiety uważał za swoją własność, po którą może w odpowiedniej chwili sięgnąć. Tylko na Melanię patrzył inaczej. Gdy na nią spozjrzał, nigdy nie było w jego oczach chłodnej oceny, nigdy drwin; i w głosie jego brzmiała inna nuta, gdy zwracał się do niej, nuta uprzejmości, szacunku, szczerzej gotowości do usług.

- Nie rozumiem, dlaczego jest pan dla niej miłszy niż dla mnie - rzekła Scarlett zjadliwie pewnego popołudnia, gdy Melania i Pitty poszły się zdrzemnąć i została z Rettem sama.

Przez godzinę przyglądała się, jak Rett trzymał pasmo włóczki, którą Melania nawijała na kłębek, obserwowała uprzejmy, nieprzenikniony wyraz jego twarzy, gdy mówiła długo i z dumą o Ashleyu i jego awansie. Scarlett wiedziała, że Rett nie ma dobrego mniemania o Ashleyu i że jego nominacja na majora mało go obchodzi. A przecież odpowiadał jej grzecznie i robił właściwe uwagi na temat odwagi Ashleya.

„A jeżeli ja przypadkiem choćby wspomnę imię Ashleya - myślała z rozdrażnieniem - podnosi jedną brew do góry i uśmiecha się tym paskudnym, wszechwiedzącym uśmiechem!”

- Jestem od niej o wiele ładniejsza - ciągnęła dalej - nie rozumiem więc, czemu jest pan dla niej o tyle miłszy.

- Czy wolno mi przypisać to pytanie zazdrości?

- Och, tego proszę sobie nie wmawiać!

- Jeszcze jedna zawiedziona nadzieja. Jestem „miłszy” dla pani Wilkes dlatego, że na to zasługuje. Jest jedną z niewielu dobrych, szczerych i niesamolubnych istot, jakie znam. Możliwe jednak, że pani nie zdołała zauważyć tych jej zalet. Ponadto zaś, mimo swojej młodości, należy do szczupłego grona prawdziwie wielkich dam, jakie dane mi było spotkać.

- Czy chce pan przez to powiedzieć, że mnie pan nie uważa za wielką damę?

- Wydaje mi się, że już podczas naszego pierwszego spotkania ustaliliśmy oboje, że pani w ogóle nie jest damą.

- Och, więc znowu jest pan wstrętny i znowu mi pan to przypomina... Jakże pan może tak ciągle pamiętać ten dziecinny atak złości? Było to dawno temu, bardzo od tego czasu wyrosłam i zapomniałabym o tym zupełnie, gdyby pan nie docinał mi ciągle i nie przypominał.

- Nie sędzę, iżby to była dziecinna złość, i nie przypuszczam, żeby się pani zmieniła. Zdolna jest pani teraz tak samo jak dawniej do rzucania wazonów, jeżeli coś czy ktoś sprzeciwi się pani. Teraz jednak może pani robić to, co się pani podoba, nie ma więc potrzeby tłuczenia bibelotów.

- Och, jest pan... Żałuję, że nie jestem mężczyzną! Wyzwałabym pana i...

- I została zabita za swoją fatygę. Umiem trafić w monetę dziesięciocentową z odległości pięćdziesięciu jardów. Niech pani lepiej pozostanie przy swojej własnej broni - dołęczkach, wazonikach i tym podobnych.

- Jest pan po prostu łajdakiem.

- Czy chce pani, abym się na panią ciężko obraził? Przykro mi, ale spotka panią rozczarowanie. Nie może mnie pani rozzłościć epitetami, w których jest wiele prawdy. Pewnie, że jestem łajdakiem, czemu nie! Żyjemy w wolnym kraju i człowiek ma prawo być łajdakiem, jeżeli tak mu się podoba. Tylko hipokrytki pokroju drogiej pani, o sercu czarnym jak moje, starają się to ukryć przed światem i wpadają we wściekłość, gdy im powiedzieć prawdę w oczy.

Spokojny jego uśmiech i z przeciąganiem w głosie wypowiedane uwagi rozbrajały Scarlett zupełnie. Nigdy dotąd nie spotkała człowieka, który by był tak zupełnie nieczuły na docinki. Broń szyderstwa, chłodu czy wymysłów wypadała jej z rąk, ponieważ żadne jej słowo nie potrafiło go dotknąć. Przekonała się nieraz, że kłamca zwykle najgorzej zapewnia o swojej prawdomówności, tchórz o odwadze, człowiek źle wychowany o doskonałych manierach, nicpoń o honorze. Rett - przeciwnie. Przyznawał się do wszystkich wad, śmiał się i zachęcał ją do dalszego urągania.

W czasie tych miesięcy zjawiał się i znikał, przyjeżdżał nie zapowiedziany i odjeżdżał nie żegnając się. Scarlett nigdy nie mogła wykryć, jakie interesy sprowadzają go do Atlanty. Wiedziała, że inni kapitanowie nie uważają za konieczne zapuszczać się tak daleko w głąb lądu. Wyładowywali transporty w Wilmingtonie czy Charlestonie, gdzie czekały już na nich gromady kupców i spekulantów z całego Południa, zbierających się tam celem zakupu na aukcjach przemyczonego towaru. Scarlett chętnie by myślała, że Rett odbywa te podróże wyłącznie dla niej, ale mimo swej nieprzeciętnej próżności nie mogła w to uwierzyć. Gdyby Rett choć raz zaczął się do niej zalecać, gdyby jej zrobił scenę zazdrości o mężczyzn, którzy się do niej garnęli, gdyby brał ją czule za rękę, prosił o podobiznę czy chusteczkę na pamiątkę, mogłaby tryumfować, że uległ wreszcie jej wdziękowi. On jednak pozostawał irytująco nieczuły i co gorsza, zdawał się domyślać wszystkich sztuczek, przy pomocy których starała się go omotać.

Ilekróć Rett przyjeżdżał do miasta, w świecie kobiet zapanowywało podniecenie. Nie tylko bowiem towarzyszyła mu romantyczna aura odwagi, ale i drażniący element zepsucia. Miał tak fatalną opinię. Po każdym zaś zebraniu starszych dam Atlanty opinia ta pogarszała się, co czyniło go tylko bardziej pożądanym dla młodych dziewcząt. Ponieważ większość ich była zupełnie niewinna, wiedziały o nim tylko to, że był „rozwiązły z kobietami” - a o tym, jak postępuje mężczyzna „rozwiązły”, nie miały pojęcia. Słyszały także szept, że nie przepuści żadnej dziewczynie. Przy takiej opinii dziwne się wydawało, że od chwili gdy po raz pierwszy zjawił się w Atlancie, Rett nie starał się żadnej panią pocałować nawet w rękę. To jednak czyniło go tym bardziej tajemniczym i drażniącym.

Był mężczyzną, o którym mówiło się w Atlancie najwięcej, oczywiście jeżeli wyłączyć bohaterskich żołnierzy. Wszyscy znali szczegóły usunięcia go z West Point za pijaństwo i „jakąś sprawę z pewną kobietą”. Straszny skandal charlestoński, historia panny, którą skompromitował i której brata zabił, był własnością publiczną. Korespondencja ze znajomymi w Charlestonie wyjaśniła ponadto, że ojciec Retta, czarujący starszy pan o żelaznej woli i sztywnym karku, wyrzucił go bez grosza z domu, kiedy Rett miał lat dwadzieścia, i wykreślił imię jego z Biblii rodzinnej. Potem Rett powędrował w okresie gorączki złota w 1849 r, do Kalifornii, stamtąd zaś do Ameryki Południowej i Kuby - skąd sprawozdania o jego „działalności” nie były zbyt zachęcające. Awantury z kobietami, kilka pojedynków, przemyt broni dla rewolucjonistów w Ameryce Środkowej i co najgorsze, zawodowa gra w karty, były szczegółami kariery Retta, o których mówiło się w Atlancie.

Mało było w Georgii rodzin, które by nie miały nieszczęścia posiadania jednego przynajmniej krewnego, który przegrał w karty pieniądze, dom, ziemię i niewolników. To jednak było co innego. Mężczyzna mógł zgrać się w karty do nitki i w dalszym ciągu być dżentelmenem, ale karciarz zawodowy był na zawsze wyłączony poza nawias dobrego towarzystwa.

Gdyby nie zmienione z powodu wojny warunki i zasługi Retta dla rządu Konfederacji, nigdy by go nie przyjmowano w Atlancie. Teraz jednak najbardziej nawet twardzi ludzie czuli, że patriotyzm wymaga od nich większej tolerancji. Bardziej sentymentalni skłaniali się do poglądu, że czarna owca rodziny Butlerów nawróciła się i stara się odpokutować swoje grzechy. Panie uważały, że obowiązkiem ich jest ułatwienie mu tego, zwłaszcza że był człowiekiem nieustraszoną. Wszyscy wiedzieli dobrze, że losy Konfederacji zależą w równym stopniu od zręczności statków, przerywających blokadę jankeską, jak od męstwa żołnierzy na froncie. Opowiadano, że kapitan Butler jest jednym z najlepszych pilotów Południa, że jest odważny do szaleństwa i wcale nie ma nerwów. Wychowany w

Charlestonie, znał każdy przesmyk, zatoczkę, mieliznę i skały wybrzeży Karoliny, i nie mniej swobodnie poruszał się po wodach koło Wilmingtonu. Nigdy dotąd nie stracił statku ani nie był zmuszony do zatopienia ładunku. Na początku wojny pojawił się niewiadomo skąd, z dostatecznym kapitałem, aby kupić jeden mały szybki stateczek, teraz zaś, gdy na przemycanych towarach zarabiano się po dwieście procent, posiadał już cztery statki. Miał doskonałych pilotów, którym dobrze płacono i którzy potrafili wyslizgiwać się pod osłoną nocy z Charlestonu i Wilmingtonu i wywozić bawełnę do Nassau, Anglii czy Kanady. Przetwórnictwo bawełny w Anglii stało bezczynne, robotnicy cierpieli nędzę, więc każdy, komu udało się prześliznąć przez linię jankeskich okrętów, mógł dyktować w Liverpoolu ceny, jakie chciał. Statki Retta miały wyjątkowe szczęście zarówno przy wywożeniu bawełny, jak i przy wwożeniu materiałów wojennych, których Południe tak bardzo potrzebowało. Tak, panie stanowczo uważały, że można wiele przebaczyć i zapomnieć człowiekowi tak odważnemu.

Rett był postacią nawet i zewnętrznie niecodzienną, ludzie oglądali się więc za nim. Hojnie wydawał pieniądze, jeździł na ostrym czarnym ogierze, nosił ubrania najwykwintniej skrojone i uszyte. To wystarczało już, aby go wyróżniać, ponieważ mundury żołnierzy były teraz niechlujne i zniszczone, a odzież ludności cywilnej, nawet najbardziej odświętna, nosiła ślady starannych reperacji i łatań. Scarlett nigdy w swoim życiu nie widziała czegoś podobnie eleganckiego jak spodnie Retta, piaskowe, kraciaste czy w pepitkę. Miał niezwykle piękne kamizelki, zwłaszcza jedną, białą z surowego jedwabiu, haftowaną w maleńkie pączki różane. Nosił ubrania z niedbałą elegancją, jak gdyby nie zdając sobie sprawy z ich wytworności.

Mało która z pań mogła się oprzeć jego wdziękowi, gdy starał się jej przypodobać, wreszcie więc nawet i pani Merriweather uległa i zaprosiła go na obiad w niedzielę.

Maybelle Merriweather miała wyjść za swego żuawa podczas najbliższego jego urlopu i płakała gorzko, myśląc o ślubie, ponieważ wymarzyła sobie, że będzie miała białą atlasową suknię ślubną, na Południu zaś nie można było dostać białego atlasu. Nie mogła nawet pożyczyć sobie sukni, ponieważ wszystkie atlasowe ślubne suknie sprzed kilku laty zostały dawno pocięte na sztandary bojowe. Patriotycznie nastrojona pani Merriweather na próżno starała się wyperswadować córce tę zachciankę, na próżno zapewniała, że samodział jest najodpowiedniejszym strojem dla oblubienic Południa. Maybelle chciała atlasu. Gotowa była wyrzec się dla dobra Sprawy szpilek do włosów, guzików, ładnych pantofelków, słodczy i herbaty, życzyła sobie jednak białej atlasowej sukni.

Rett dowiedziawszy się o tym od Melanii przywiózł z Anglii niezliczone metry lśniącego białego atlasu i welon koronkowy i ofiarował je Maybelle w prezencie ślubnym. Zrobił to w tak elegancki sposób, że nie można było nawet pomyśleć o zapłacie. Maybelle zaś

tak się uradowała, że chciała go pocałować. Pani Merriweather wiedziała, że przyjęcie tak kosztownego подарunku - w dodatku z ubrania - było wysoce niewłaściwe, nie mogła jednak odmówić, gdy Rett oświadczył najbardziej kwiecistym swoim stylem, że żaden materiał nie jest zbyt piękny, by okrywać ciało narzeczonej dzielnego bohatera Konfederacji. Nolens volens więc pani Merriweather zaprosiła go na obiad, sądząc w głębi duszy, że wyróżnienie to jest więcej niż dostatecznym rewanżem za podarunek.

Rett nie dość na tym, że przywiózł atlas, potrafił jeszcze doradzić Maybelle, jak ma uszyć suknię ślubną. W owym sezonie noszono w Paryżu szersze krynoliny i krótsze spódnice. Falbany były już niemodne, natomiast doły spódnic wycinane były w zęby, spod których wyglądały lamowane haleczki. Dodał także, że na ulicach nie widywał pantalonów, z czego wnosi, że są już chyba passe. Pani Merriweather zwierzyła się potem pani Elsing, iż bała się, że Rett zachęcony do kontynuowania rozmowy powiedziałby jej dokładnie, jakiego rodzaju majteczki noszą paryżanki.

Gdyby Rett nie był tak zdecydowanie męski, ta zdolność do pamiętania szczegółów sukien, kapeluszy i fryzur wyrobiłaby mu opinię człowieka zniewieściałego. Panie czuły się dość nieswojo, zasypując go pytaniami o modzie, nie omieszkały jednak tego robić. Były tak odcięte od świata mody jak rozbitkowie na morzu, bo z powodu blokady o żurnale było niezmiernie trudno. Tak słabe miały wyobrażenie o wszystkim, co dzieje się na świecie, że pamięć Retta do falbanek stanowiła dla nich znakomitą namiastkę „Żurnalu Godeya”. Rett potrafił obserwować szczegóły bardzo ważne dla kobiet, po każdym więc powrocie z zagranicy można go było widzieć otoczonego wieńcem pań, którym opowiadał, że czepki nosi się w tym roku mniejsze i prawie na czubku głowy, że przybiera się je piórami, a nie kwiatami, że cesarzowa Francji zmieniła uczesanie balowe i zamiast koka nosi włosy zaczesane do góry i odsłaniające uszy, że suknie balowe są znowu tego roku niesłychanie głęboko wycięte.

Przez kilka miesięcy Rett był najbardziej popularnym i romantycznym człowiekiem w mieście, mimo swojej dawnej złej reputacji, mimo niejasnych pogłosek, że zajmuje się nie tylko przemytem przez blokadę, ale i spekulacją na artykułach żywnościowych. Ludzie, którzy go nie lubili, mawiali, że po każdej jego wizycie w Atlancie ceny idą o pięć dolarów w górę. Mimo jednak tych na ucho szeptanych plotek potrafiły zachować popularność, gdyby mu na niej zależało. Mogło się jednak wydawać, że zakosztowawszy towarzystwa statecznych obywateli i patriotów, zyskawszy ich szacunek i niechętną sympatię, zaczął robić wszystko, co możliwe, aby się im narazić na nowo i dowieść, że postępowanie jego było tylko maskaradą, która przestała go bawić.

Zdawać by się mogło, że darzy bezosobową pogardą wszystkich i wszystko na Południu, szczególnie zaś Konfederację, i że nie stara się tego wcale ukrywać. Uwagi jego na temat Konfederacji sprawiły, że Atlanta zaczęła mu się przyglądać najpierw w zdumieniu, potem chłodno, wreszcie z nietajoną pasją. Zanim skończył się rok 1863, mężczyźni zaczęli mu się kłaniać z wyszukaniem chłodem, panie zaś przywoływały córki do swego boku, gdy Rett zjawiał się na zebraniu towarzyskim.

Przyjemność sprawiało mu najwidoczniej nie tylko urażenie szczerego i gorącego patriotyzmu Atlanty, ale i przedstawianie siebie samego w najgorszym świetle. Kiedy życzliwi ludzie chwalili go za odwagę w przemyśle przez blokadę, odpowiadał z przesadną uprzejmością, że zawsze boi się niebezpieczeństwa, tak samo jak się go boją żołnierze na froncie. Wszyscy wiedzieli dobrze, że pośród żołnierzy Konfederacji nie ma tchórzów, uważano więc to twierdzenie za wyjątkowo irytujące. O żołnierzach nie mówił inaczej, jak „nasi dzielni chłopcy” lub „nasi szarzy bohaterowie”, lecz takim tonem, że brzmiało to gorzej niż najstraszniejsza zniewaga. Kiedy przedsiębiorcze młode kobiety w nadziei ucięcia flirtu dziękowały mu, że należy do liczby walczących za nie bohaterów, kłaniał się nisko i oświadczał, że nie jest tak wcale, bo byłby gotów robić to samo dla Jankesek, gdyby miał zarabiać równie dużo.

Ze Scarlett Rett stale mówił w ten sposób od czasu pierwszego spotkania na wencie, teraz jednak te drwiny w głosie brzmiały i podczas rozmów z innymi. Gdy chwalono go za usługi składane Konfederacji, odpowiadał niezmiennie, że na blokadzie robi dobre interesy. Gdyby mógł zarabiać tyle samo na dostawach rządowych, mawiał kierując wzrok na ludzi, którzy się tym trudnili, z pewnością zrezygnował by ze względu na niebezpieczeństwa blokady i zajął się dostarczaniem Konfederacji tandetnych materiałów, cukru mieszanego z piaskiem, stęchłej mąki i przegniłej skóry. Na większość jego uwag trudno było znaleźć odpowiedź, co sprawiało, że były tym bardziej nieznośne. Z powodu dostaw dla rządu było już kilka skandali. Listy od żołnierzy z frontu były pełne skarg, że buty zdzierają im się w tydzień, że proch nie chce się zapalać, uprząż rwie się przy mocnym szarpnięciu, mięso jest zepsute, a mąka pełna wołków. Mieszkańcy Atlanty wyobrażali sobie, że ludzie, którzy dostarczają rządowi takich towarów, muszą pochodzić z Alabamy, Wirginii czy Tennessee, nigdy jednak z Georgii. Bo czyż dostawcy z Georgii nie należeli do najlepszych rodzin? Czy to nie oni pierwsi dawali ofiary na fundusze szpitalne i na pomoc dla sierot po żołnierzach? Czyż nie oni najgłośniej śpiewali „Dixie” i najnatarczywiej domagali się, w słowach przynajmniej, krwi Jankesów? Fala wściekłości na spekulantów jeszcze w owym czasie nie wezbrała, słowa więc Retta przyjmowano jako jeden więcej dowód jego złego wychowania.

Nie zadowalał się aluzjami co do sprzedajności ludzi na wysokich urzędach i wątpliwościami co do odwagi żołnierzy na froncie, ale znajdował widoczną przyjemność w narażaniu obywateli miasta na zenujące sytuacje. Nie mógł się powstrzymać od piętnowania przechwałek, hipokryzji i bezkrytycznego patriotyzmu swoich bliźnich, podobnie jak mały chłopiec nie może się powstrzymać od nakłucia balonika szpilką. Demaskował uroczystych głupców, odsłaniał ignorantów i bigotów i robił to w tak subtelny sposób, tak świetnie wyprowadzał swe ofiary w pole pozorami uprzejmości i zainteresowania, że nim się mogły spostrzec, demaskowane były jak puste, nadęte i trochę śmieszne istoty.

Scarlett nawet w okresie, gdy miasto zaczynało tolerować Retta, nie miała co do niego najmniejszych złudzeń. Wiedziała, że wyszukana jego galanteria i kwiecisty styl zabarwione są nutką ironii. Wiedziała, że gra rolę odważnego patrioty dlatego tylko, że go to bawi. Czasami przypominał jej chłopców, z którymi się wychowała, młodych Tarletonów, z ich przedziwną skłonnością do płatania figlów, diabłem podszytych Fontaine'ów, dokuczliwych i psotnych, czy Calvertów, którzy całe noce potrafili spędzać na szukaniu zaczepki. Była jednak między nimi ta różnica, że pod pozorną lekkomyślnością Retta kryła się jakaś złośliwość, złowroga prawie w swojej brutalności.

Mimo że nie miała co do niego złudzeń, wołała go, kiedy odgrywał rolę romantycznego kapitana. Przede wszystkim dlatego, że wówczas jej zażyłość z nim wydawała się bardziej naturalna. Była więc bardzo niezadowolona, gdy przestał się maskować i zaczął się świadomie narażać ludziom w Atlancie. Niezadowolona była, bo uważała to za niemądre, poza tym ostra krytyka osoby Retta odbijała się także i na niej.

Na wieczorne muzycznym, urządzonym przez panią Elsing na rzecz rekonwalescentów, Rett skazał się ostatecznie na ostracyzm. Tego popołudnia dom pani Elsing był po brzegi pełen żołnierzy na urlopie, ozdrowieńców ze szpitali, członków gwardii i milicji, mężatek, wdów i młodych panien. Wszystkie krzesła w domu były zajęte i goście stali nawet na schodach. Wielka kryształowa waza, którą w drzwiach trzymał lokaj pani Elsing, została dwukrotnie wypełniona srebrnymi monetami, które goście składali w ofierze. Już to samo było wielkim osiągnięciem, ponieważ w owym czasie srebrny dolar wart był sześćdziesiąt papierowych. Wszystkie panny o jakich takich uzdolnieniach śpiewały lub grały na fortepianie, żywe obrazy zyskały gorące pochwały i uznanie. Scarlett była bardzo z siebie zadowolona, bo nie tylko odśpiewała z Melanią wzruszający duet „Gdy rosa osiada na kwiatach” i na bis piosenkę murzyńską, lecz także w ostatnim żywym obrazie wyobrażała symbol Konfederacji. Wyglądała bardzo ponętnie. Nosiła drapowaną grecką białą tunikę, przepasaną czerwoną i niebieską szarfą, w jednej ręce trzymała gwiazdzisty sztandar, drugą, z



szablą Karola, wyciągała do klęczącego przed nią kapitana Ashburna z Alabamy.

Kiedy się żywy obraz skończył, mimo woli poszukała wzroku Retta, aby sprawdzić, czy ocenił należycie jej aparycję. Z uczuciem rozczarowania przekonała się, że zajęty był żywą rozmową z jakimś panem i wcale jej prawdopodobnie nie zauważył. Scarlett mogła wyczytać z twarzy ludzi, którzy otaczali Retta, że byli na niego wściekli i oburzeni.

Skierowała się w jego stronę i w chwili zupełnej ciszy, która zdarza się czasem podczas najbardziej ludnych zgromadzeń, usłyszała, jak Willy Guinan z milicji miejskiej pyta wyraźnie: - Jeżeli pana dobrze rozumiem, twierdzi pan, że Sprawa, dla której oddali życie nasi bohaterowie, nie jest Sprawą świętą?

- A gdyby pana przejechał pociąg, czy uważałby pan także, że śmierć pana uświęca firmę eksploatującą kolej? - zapytał Rett bardzo łagodnie, jak gdyby prosił o udzielenie informacji.

- Panie - rzekł Willy drżącym głosem - gdybyśmy nie znajdowali się pod tym dachem...

- Drzę na samą myśl, co by się mogło zdarzyć - odrzekł Rett - ponieważ odwaga pańska jest powszechnie znana.

Willy zaczerwienił się, a wszystkie rozmowy przycichły. Zapanowało ogólne zakłopotanie. Willy był zdrowy, silny, w wieku poborowym, a dotąd nie był na froncie. Na swoje usprawiedliwienie miał to, że był jedynym synem swojej matki i że ostatecznie ktoś musiał służyć w milicji, która broniła stanu. Kiedy jednak Rett wspomniał o jego odwadze, spośród grupy oficerów rozległy się lekkie chichoty.

„Och, czemuż on nie trzyma języka za zębami! - myślała Scarlett z oburzeniem. - Psuje całą zabawę!”

Czoło doktora Meade nachmurzyło się groźnie.

- Możliwe, że dla pana nie istnieje nic świętego, młody człowieku - rzekł tonem, jakiego zawsze używał w przemowach - wiele jest jednak spraw świętych dla patriotów i patriotek Południa. Oswobodzenie naszego kraju od najeźdźcy jest jedną, prawa Stanów drugą i...

Rett nie wydawał się przejęty, a w głosie jego brzmiała nutka lekkiego znudzenia.

- Wszystkie wojny są święte - rzekł. - Przynajmniej dla tych, którzy zmuszeni są walczyć. Gdyby ludzie, którzy rozpoczynają wojny, nie czynili ich jednocześnie świętymi, komu by się chciało walczyć? Ale niezależnie od tego, jakie podżegające hasła demagogowie rzucają idiotom, którzy walczą, i niezależnie od tego, jak szlachetne cele przypisują wojnom, cel wszystkich wojen jest jeden. Jest nim pieniądź. Wszystkie wojny są w rzeczywistości

walką o pieniądze. Tylko że na nieszczęście niewielu ludzi zdaje sobie z tego sprawę. Uszy mają pełne dźwięku trąb i bębnow i pięknych słów mówców pozostających w domu. Czasem hasłem jest „Wybawcie Grób Chrystusa z rąk pogan!”, czasem „Precz z papieżem!”, czasem „Wolność!”, czasem zaś „Bawelna, Niewolnictwo i prawa Stanów!”

„Cóż, na Boga, ma z tym wspólnego papież? - pomyślała Scarlett. - Albo Grób Chrystusa?”

Kiedy jednak skierowała się w stronę rozgorączkowanej grupy mężczyzn, zobaczyła, że Rett kłania się swobodnie i idzie przez tłum ku drzwiom. Rzuciła się za nim, ale pani Elsing przytrzymała ją za spódnicę.

- Niechaj idzie! - rzekła donośnym głosem, który rozległ się głośno po całym pokoju. - Niechaj idzie! Jest zdrajcą, spekulantem! Jest zmiją, którą wyhodowaliśmy na własnej piersi!

Rett stojąc już w hallu z kapeluszem w rękę usłyszał to, bo zresztą było to przeznaczone dla jego uszu, i odwróciwszy się, przez chwilę patrzył na pokój. Potem skierował wzrok wprost na płaską pierś pani Elsing, uśmiechnął się drwiąco i kłaniając się wyszedł.

Pani Merriweather wracała do domu z paniami Hamilton i ledwie rozsiadłszy się w powozie, wybuchła:

- Otóż i masz, Pittypat Hamilton! Teraz powinnaś być zadowolona!

- Z czego? - wykrzyknęła Pitty z przestachem.

- Z zachowania się tego łajdaka Butlera, którego przyhołubiłaś.

Pittypat zmieszała się, zbyt zgnębiona tym oskarżeniem, aby móc przypomnieć pani Merriweather, że i ona niejedną raz gościła u siebie Retta Butlera. Scarlett i Melania pomyślały o tym od razu, ale wdrożone do grzeczności wobec starszych, nic nie powiedziały. Zamiast tego zaczęły się uważnie przyglądać swoim rękawiczkom.

- Znieważył nas wszystkich i całą Konfederację! - mówiła pani Merriweather, a wielki jej biust falował gwałtownie pod błyszczącą pasmanterią stanika. - Powiedzieć, że walczymy dla pieniędzy! Powiedzieć, że nasi przywódcy nas okłamują! Należałoby go za to uwięzić. Tak, wiem, co mówię. Porozmawiam o tym z doktorem Meade. Gdyby pan Merriweather żył, ho, ho, potrafiłby się nim zająć! A teraz, Pittypat, musisz mnie posłuchać. Nie powinnaś pozwolić, aby ten łotr przestąpił kiedykolwiek próg twego domu!

- Och! - wyszeptała Pitty bezsilnie, z miną taką, jakby była na mękach. Obejrzała się na dwie młode kobiety ze skromnie spuszczonej oczami, potem z wyrazem nadziei popatrzyła na plecy wuja Piotra. Wiedziała, że łowi każde słowo, miała więc nadzieję, że odwróci się może i weźmie udział w rozmowie, jak mu się to często zdarzało. Miała nadzieję,

że powie: - No, panno Dolly, proszę dać pannie Pitty spokój. - Piotr jednak nie ruszał się wcale. Nie lubił Retta Butlera i biedna Pitty wiedziała o tym. Westchnęła więc tylko i powiedziała: - Skoro ty uważasz, Dolly, że...

- Owszem, uważam - odrzekła pani Merriweather stanowczo. - Nie mogę zrozumieć, co ciebie skłoniło do przyjmowania tego człowieka. Po dzisiejszym zajściu żadna szanująca się rodzina nie zechce go widywać. Musisz się zdobyć na odwagę i wymówić mu dom.

Z kolei zwróciła ostre spojrzenie na dziewczęta. - Mam nadzieję, że i wy weźmiecie moje słowa pod uwagę - ciągnęła dalej - bo to w dużej mierze wasza wina, ponieważ byłyście dla niego bardzo uprzejme. Powiedzcie mu grzecznie, ale stanowczo, że nie życzyście sobie jego obecności i nielojalnych słów w waszym domu.

Scarlett pieniała się już, gotowa wierzgnąć jak koń pod dotknięciem obcej ręki. Bała się jednak mówić. Nie mogła się narazić, aby pani Merriweather znowu napisała list do Ellen.

„Ty stara kwoko! - myślała, purpurowa z powstrzymywanej złości. - Jak by to było pięknie, gdybym mogła ci powiedzieć, co sobie myślę o tobie i twojej chęci rządzenia całym światem.

- Nigdy bym w życiu nie przypuszczała, że usłyszę tak straszne słowa o naszej świętej Sprawie - ciągnęła dalej pani Merriweather, płonąca już ogniem oburzenia. - Ktokolwiek uważa, że nasza Sprawa nie jest święta i sprawiedliwa, powinien zawisnąć na pierwszej lepszej gałęzi! Nie życzę sobie, aby któraś z was, dziewczęta, kiedykolwiek z nim mówiła... Na miłość boską, Melu, co się z tobą dzieje?

Mela była blada jak płótno, a oczy jej rozszerzyły się nadmiernie.

- Ja jednak będę z nim mówiła - powiedziała cicho. - Nie będę dla niego niegrzeczna. Nie wymówię mu domu.

Pani Merriweather zaczęła sapać głośno, jakby ją ktoś nagle uderzył. Ciotka Pitty otwarła usta z przerażenia, wuj Piotr zaś odwrócił się na koźle.

„Dlaczego też ja nie zdobyłam się na odwagę, aby jej to powiedzieć? - myślała Scarlett, zazdrosna i zarazem pełna podziwu. - Że też ta mała Mela ma dość siły, aby się sprzeciwić starej Dolly!”

Meli trzęsły się ręce, ale spiesznie ciągnęła dalej, jak gdyby bojąc się, że ją opuści odwaga:

- Nie będę dla niego niegrzeczna z powodu jego poglądów, bo... Nie powinien był może mówić tego na głos, to było nietaktowne, ale... ale Ashley myśli tak samo. Nie mogę zatem wymówić domu człowiekowi, który myśli to samo, co mój mąż. Byłoby to niesprawiedliwe.

Pani Merriweather zaczerpnęła tchu i natarła na Melę.

- Melu Hamilton, nigdy w życiu nie słyszałam podobnego kłamstwa! Nie urodził się jeszcze Wilkes, który by był tchórzem...

- Nie powiedziałam wcale, że Ashley jest tchórzem - rzekła Melania, a w oczach jej pojawiły się błyski. - Powiedziałam, że myśli to samo, co kapitan Butler, tylko wypowiada to innymi słowami. I nie rozgłasza swoich poglądów na zebraniach towarzyskich. Mnie to jednak napisał.

Scarlett starała się sobie przypomnieć, jakie słowa Ashleya mogą uprawniać Melę do takiej opinii, treść jednak listów, które ukradkiem czytała, wylatywała jej z głowy z chwilą, gdy kończyła je czytać. Wydawało jej się, że Melania po prostu postradała zmysły.

- Ashley pisał mi, że nie powinniśmy prowadzić wojny z Jankesami. I że namówieni zostaliśmy do tego przez polityków i mówców, gadających głupstwa i utrwalających w nas uprzedzenia - mówiła Mela szybko. - Pisał, że nic w świecie nie wynagrodzi nam tego, co stracimy na wojnie. Pisał, że w wojowaniu nie ma żadnej chwały, lecz tylko nędza i brud.

„Och! To ten list - myślała Scarlett. - Czy Ashley rzeczywiście tak myślał?”

- Nie mogę w to uwierzyć - rzekła pani Merriweather stanowczo. - Nie zrozumiałaś Ashleya.

- Nie zdarza mi się nie rozumieć Ashleya - odrzekła szybko Melania, mimo że wargi jej drżały. - Rozumiem go doskonale. Pisał to samo, co mówił kapitan Butler, tylko w łagodniejszej formie.

- Powinnaś się wstydzić, porównując człowieka pokroju Ashleya Wilkesa z łotrem w rodzaju kapitana Butlera! Przypuszczam zatem, że i ty uważasz, iż Sprawa nasza nic nie znaczy!

- Ja... ja nie wiem, co ja uważam - zaczęła niepewnie Melania, którą opuściła już energia, a zaczął ogarniać strach z powodu swojej szczerości. - Ja... oddałabym życie dla Sprawy, tak samo jak Ashley. Ale... ale... uważam, że należy tego rodzaju kwestie pozostawiać mężczyznom, którzy są od nas mądrzejsi.

- Nigdy w życiu nic podobnego nie słyszałam - parsknęła pani Merriweather. - Stań, wuju Piotrze, minąłeś mój dom!

Wuj Piotr, wsłuchany w rozmowę za plecami, rzeczywiście minął dom pani Merriweather, zawrócił więc konia. Pani Merriweather wysiadła, a wstążki jej kapelusza chwiały się jak żagle na wietrze.

- Jeszcze tego pożałujecie - powiedziała.

Wuj Piotr zaciął konia.

- Młoda pani powinna się wstydzić, że doprowadziła pannę Pitty do takiego stanu - zaczął łajać.

- Nie jestem w żadnym stanie - odparła niespodzianie Pitty, którą mniejsze wzruszenia doprowadzały często do zemdleń. - Melu, kochanie, wiem, że zrobiłaś to wyłącznie dla mnie. Jestem zadowolona, że ktoś tę Dolly trochę ukrócił. Ona już za bardzo lubi się panoszyć. Że też zdobyłaś się na taką odwagę! Zdaje mi się jednak, że nie powinnaś była powiedzieć tego o Ashley'u.

- Ależ to prawda - odrzekła Mela i zaczęła cichutko płakać. - I nie wstydę się wcale, że on tak myśli. Uważa, że wojna jest zła, ale mimo to chce za Sprawę walczyć i umrzeć, a to wymaga przecież znacznie większej odwagi, niż gdyby ją uważał za słuszną.

- Na Boga, panno Melu, niech panienka nie płacze na środku miasta - jęknął wuj Piotr ruszając z kopyta. - Ludzie zaczną mówić straszne rzeczy. Niech panienka poczeka, aż dojedziemy do domu.

Scarlett nic nie powiedziała. Nie uścisnęła nawet dłoni, która Mela wsunęła w jej dłoń. Czytała listy Ashleya tylko w jednym celu - aby dowiedzieć się, czy Ashley kocha ją jeszcze. Teraz Melania nadała inne znaczenie tym ustępom jego listów, po których oczy Scarlett ledwie się prześliznęły. Dotknęło ją, że ktoś tak doskonały jak Ashley może myśleć to samo, co człowiek pokroju Retta Butlera. Myślała więc: „Obaj znają prawdę o tej wojnie, z tą różnicą, że Ashley gotów jest umrzeć dla Sprawy, a Rett nie. Dowodziłoby to w takim razie większego rozsądku Retta. - Na chwilę przeraziła się, że pomyślała coś podobnego o Ashleyu. - Obaj znają tę samą nieprzyjemną prawdę, ale Rett nie boi się spojrzeć jej w oczy i drażnić ludzi mówieniem o niej, a Ashley ledwie sam może unieść jej ciężar”.

## ROZDZIAŁ XIII

Za namową rozjuszonej pani Merriweather doktor Meade zaczął występować przeciw Rettowi. Napisał list do gazety, w którym wprawdzie nie nazywał Retta po imieniu, ale pozwalał się domyślać, o kogo chodzi. Redaktor, wyczuwając towarzyską doniosłość tego listu, umieścił go na drugiej stronie, co było wielką innowacją, ponieważ pierwsze dwie strony pisma poświęcone były wyłącznie ogłoszeniom o kupnie lub sprzedaży niewolników, mułów i pługów, reklamom trumien, domów do wynajęcia czy na sprzedaż, kuracji na tajemne choroby, środków na poronienia i lekarstw na niemoc męską.

List doktora był pierwszym głosem w chórze oburzenia, jakie wzbierać zaczęło na całym Południu przeciw spekulantom, paskarzom i dostawcom rządowym. Stosunki w Wilmingtonie, głównym porcie, przez który szedł przemyt po zamknięciu portu w Charlestonie blokadą Jankesów, osiągnęły rozmiary jawnego skandalu. Speculanci tłumnie przybywali do Wilmingtonu i mając pod dostatkiem gotówki skupywali ładunki towarów i przetrzymywali je do czasu zwyczajki cen. Zwyczajka następowała nieuchronnie, ponieważ z powodu braku artykułów pierwszej potrzeby ceny skakały z miesiąca na miesiąc. Ludność cywilna musiała się obywać bez wielu rzeczy albo kupować je po wyśrubowanych cenach, biedota zaś i klasa średniozamożna cierpiała coraz większy niedostatek. Zwyczajka cen spowodowała obniżenie waluty Konfederacji, ludzi ogarnęła nieopisana żądza zbytków. Ci, którzy uprawiali przemyt przez blokadę, mieli pozwolenie na przywóz artykułów pierwszej potrzeby, a handlem przedmiotami luksusowymi mogli zajmować się tylko ubocznie, teraz jednak statki ich wypełnione były właśnie tymi towarami z prawie całkowitym pominięciem towarów, których Konfederacja gwałtownie potrzebowała. Wszyscy gorączkowo kupowali te zbytki z obawy, że ceny będą z każdym dniem wyższe, a wartość pieniądza spadnie.

Na domiar złego z Wilmingtonu do Richmondu prowadziła tylko jedna linia kolejowa i podczas gdy tysiące worków mąki i skrzynek psuło się i gniło na stacjach, czekając dostawy do miejsca przeznaczenia, spekulanci, sprzedający wino, taftę czy kawę, zawsze potrafili dostarczyć te towary do Richmondu w dwa dni po wyładowaniu ich w Wilmingtonie.

Pogłoski, które dotąd kursowały po cichu, zaczęto powtarzać na głos: że mianowicie Rett Butler nie tylko zajmuje się przemytem przez blokadę i ładunki swoich czterech statków sprzedaje po wyśrubowanych cenach, ale że skupuje ładunki innych dostawców i spekuluje na ogólną zwyczajkę cen. Mówiono, że stoi na czele spółki posiadającej ponad milion dolarów kapitału, która obrała sobie siedzibę w Wilmingtonie i w porcie skupuje towary przemyczone

przez blokadę. Spółka miała rzekomo liczne składy w tym mieście i w Richmondzie, pełne artykułów spożywczych i odzieży przeznaczonych na spekulację. Zarówno żołnierze, jak i ludność cywilna mocno już odczuwali niedostatek, oburzenie więc na Butlera i innych spekulantów było olbrzymie.

„Wielu jest odważnych i dzielnych patriotów w antyblokadowym korpusie marynarki konfederackiej - brzmiało zakończenie listu doktora Meade - ludzi pełnych poświęcenia, którzy narażają życie i całe majątki, aby przyjść Konfederacji z pomocą. Nazwiska tych ludzi zapisane są w sercach wszystkich lojalnych południowców i nikomu na myśl nie przyszłoby wypominać im te skromne pieniężne wpływy, które mają w zamian za narażanie życia. Są to ludzie czystych rąk, których czcimy wysoko. Nie o nich oczywiście mówię.

Są jednak jeszcze i inni, łajdacy, podszywający się pod maskę bohaterów dla pokrycia własnych samolubnych korzyści - na nich to właśnie, na te sępy w ludzkiej skórze, którzy sprowadzają atłasy i koronki, gdy żołnierze umierają z braku chininy, którzy ładują statki z herbatą i winem, gdy nasi bohaterowie wiją się w bólach - na nich powinien spaść gniew i zemsta narodu walczącego za sprawę najbardziej sprawiedliwą. Przeklinam te wampiry, ssące krew serdeczną ludzi idących za Robertem Lee - wampiry, dla których słowo »Sprawa« nic nie znaczy. Jakże łagodni jesteśmy, że tolerujemy pośród nas obecność tych szakali w lakierowanych butach, podczas gdy nasi chłopcy boso idą w bój! Jakże możemy ich cierpieć, ich, ich szampana i pasztety sztrasburskie, gdy żołnierze nasi drżą z zimna przy skąpych polowych ogniskach i żywią się zgniłym boczkiem? Wzywam wszystkich lojalnych konfederatów do napiętnowania tych ludzi!”

Atlanta przeczytała, a ponieważ miejska wyrocznia wydała wyrok, wszyscy lojalni konfederaci na wyścigi starali się piętnować Retta Butlera.

Z domów, w których bywał jesienią roku 1862, otwarty dlań został w r. 1863 tylko dom panny Pittypat; Gdyby zaś nie interwencja Melanii, i tam by go nie przyjmowano. Ciotka Pittypat była zdenerwowana, ilekroć Rett zjawiał się w mieście. Dobrze wiedziała, że przyjaciele jej krytykują ją za to, iż pozwala mu u siebie bywać, nie miała jednak odwagi wymówić mu domu. Ilekroć Rett przyjeżdżał, Pitty mocno zagryzała grube wargi i oświadczała dziewczętom, że spotka go u drzwi i zabroni wejść do salonu. I ilekroć zjawiał się z małą paczuszką w rękę i z gotowym komplementem na temat wdzięku jej i urody, Pitty miękła.

- Nie wiem po prostu, co robić - jęczała. - On patrzy na mnie, a ja... ja boję się śmiertelnie tego, co mógłby zrobić, gdybym mu powiedziała coś niemiłego. On ma przecież tak złą reputację. Jak myślicie, czy mógłby mnie uderzyć... albo... albo... Och, Boże, gdybyż

tylko Karolek żył! Scarlett, ty musisz mu powiedzieć, żeby tu więcej nie przychodził... powiedzieć w grzeczny sposób. Ach, Boże! Wydaje mi się, że to ty go zachęcasz do tych wizyt, mimo że całe miasto plotkuje. I co też powie twoja matka, jeżeli się kiedykolwiek o tym dowie? Melu, nie bądź dla niego tak uprzejma. Bądź zimna, oficjalna, może wtedy zrozumie. Och, Melu, jak myślisz, może by dobrze było, gdybym napisała parę słów do Henryka i prosiła go, żeby się rozmówił z kapitanem Butlerem?

- Nie, wcale nie byłoby dobrze - odparła Melania. - Nie mam zamiaru być niegrzeczna dla kapitana. Uważam, że ludzie bezmyślnie robią ten hałas dokoła jego osoby. Pewna jestem, że kapitan wcale nie popełnia tych wszystkich brzydkich rzeczy, które mu przypisują doktor Meade i pani Merriweather. Z pewnością nie spekulowałby na cenach żywności wiedząc, że ludzie cierpią głód. Jak to, przecież dał mi nawet sto dolarów dla sierot! Pewna jestem, że jest tak samo lojalnym patriotą jak każdy z nas, tylko jest zbyt dumny, aby się bronić przed zarzutami. Wie ciocia przecież, jak uparci potrafią być mężczyźni wyprowadzeni z równowagi.

Ciotka Pitty niewiele wiedziała o mężczyznach, zarówno wyprowadzonych z równowagi, jak i innych - załamywała więc tylko bezradnie swoje tłuste rączki. Jeżeli chodzi o Scarlett, to zdążyła się już przyzwyczaić do tego, że Mela miała zwyczaj dopatrywania się zalet w każdym człowieku. Melania była głupia, ale na to nie można było nic poradzić.

Scarlett wiedziała, że Rett wcale nie jest patriotą, i mimo że nawet na mękach nie przyznałaby się do tego, nie obchodziło to jej wcale. Małe prezenty, które przywoził jej z Nassau, drobnostki, które damie wypadało przyjmować od obcego mężczyzny, interesowały ją nade wszystko. Wobec niemożliwie wyśrubowanych cen jakżeby mogła sobie pozwolić na igły, słodycze czy szpilki do włosów, gdyby mu wymówiła dom? Nie, łatwiej było przerzucić odpowiedzialność na ciotkę Pitty, która była ostatecznie głową domu, opiekunką i wyrocznią w sprawach tego, co wypada. Scarlett wiedziała, że na mieście plotkują z powodu wizyt Retta w ich domu i że obgadują także i ją; wiedziała jednak i o tym, że w opinii Atlanty Melania Wilkes nie jest zdolna do niestosownych postępów, dopóki więc Melania broniła Retta, wizyty jego miały pozory przyzwoitości.

Życie jednakże byłoby dla Scarlett znacznie przyjemniejsze, gdyby Rett mógł odwołać swoją herezję. Nie musiałyby być wtedy narażona na przykrość asystowania podczas czynionych mu na ulicy, nawet w jej towarzystwie, afrontów.

- Po co wypowiada pan głośno takie rzeczy, nawet jeżeli je pan myśli? - złościła się. - Gdyby pan myślał sobie, co się panu podoba, ale trzymał język za zębami, wszystko ułożyłoby się znacznie lepiej.



- To zdaje się jest pani system, prawda, moja zielonooka hipokrytko? Ach, Scarlett, Scarlett! Spodziewałem się po pani większej odwagi w postępowaniu. Wyobrażałem sobie, że Irlandczycy mówią to, co myślą, i gwizdzą na resztę. Niech mi pani wyzna, czy nie wydaje się pani niekiedy, że pęka pani pod naporem wypowiedzianych słów?

- Tak... właściwie tak - wyznała Scarlett niechętnie. - Bardzo mnie nudzi to wieczne gadanie o Sprawie, rano, w południe i wieczór. Ale na miłość boską, gdybym przyznała się do tego, nikt by ze mną nie rozmawiał i żaden z chłopców nie zaprosiłby mnie do tańca!

- Ach, rozumie się, a tańczyć przecież trzeba, obowiązkowo! A zatem przyznaję, że bardzo podziwiam pani opanowanie, ale sam nie potrafiłbym się zdobyć na nic podobnego. Nie mogę też drapować się w togę romantycznego patriotyzmu, choćby mi w niej bardzo było do twarzy. Dość mamy niemądrych patriotów, którzy kładą w blokadę wszystkie swoje pieniądze i po wojnie zostaną bez grosza. Mnie wcale nie zależy ani na znalezieniu się w ich towarzystwie, ani na uświetnianiu szeregów patriotów, ani na powiększaniu liczby osób podupadłych. Niechaj mają aureolę świętości dokoła swoich głów. Zaslugują na nią - w tej chwili jestem szczery - co więcej zaś, aureola będzie jedyną rzeczą, która im za rok pozostanie w majątku.

- To brzydko z pana strony, że wspomina pan o takich rzeczach wiedząc bardzo dobrze, iż Francja i Anglia opowiedzą się lada chwila po naszej stronie i...

- Ależ Scarlett! Pani chyba czytała gazetę?! Dziwię się pani bardzo. Niech pani tego nigdy więcej nie robi. To źle działa na mózgi kobiece. Dla pani jednak wiadomości mogę powiedzieć, co następuje, ponieważ byłem w Anglii przed miesiącem: Anglia nigdy nie przyjdzie z pomocą Konfederacji. Anglia nie ma zwyczaju stawiać na przegraną kartę. Dlatego właśnie jest Anglią. Ponadto zaś tłusta Holenderka, która tam siedzi na tronie, jest osobą bogobojną i potępia niewolnictwo. Niechaj angielscy robotnicy zdychają z głodu dlatego, że nie możemy dostarczać Anglii bawełny, ale nigdy, przenigdy nie poprze się handlarzy niewolnikami! Jeżeli zaś chodzi o Francję, to siedzący tam na tronie słaby naśladowca Napoleona zbyt zajęty jest utrwalaniem władzy francuskiej w Meksyku, aby się zajmować nami. Przeciwnie, nawet bardzo jest z tej wojny zadowolony, bo dzięki niej nie możemy wojsk jego wyprzeć z Meksyku... Nie, Scarlett, wiara, że otrzymamy poparcie z zagranicy, jest wymysłem gazet, które starają się podtrzymać ducha w południowcach. Konfederacja jest skazana na zagładę. Teraz już żyje podobnie jak wielbłąd, z zapasów swego garbu, a jak wiadomo, zawartość nawet największych garbów nie jest niewyczerpana. Ja mam zamiar jeszcze przez sześć miesięcy prowadzić przemyt przez blokadę, a potem to rzucam. Potem będzie to zbyt ryzykowne. Wtedy sprzedam swoje statki jakiemuś postrzelonemu

Anglikowi, któremu będzie się wydawało, że potrafi je przeprowadzić przez blokadę. Tak czy inaczej, nie przejmuję się tym zbyt. Mam już dość pieniędzy, ulokowanych w angielskich bankach i w złocie. Nie dla mnie bezwartościowe papierzyska.

Słowa jego, jak zwykle, brzmiały bardzo rozsądnie. Mimo że inni ludzie nazwaliby te jego oświadczenia zdradą, Scarlett wydawały się pełne zdrowego rozsądku i prawdy. Jednocześnie wiedziała, że nie powinna tak myśleć, że powinna była oburzać się i wściekać. Ponieważ zaś tak nie było, mogła udawać, że tak jest. Czuła, że wtedy będzie bardziej godna szacunku i bardziej dystygowana.

- Uważam, że wszystko, co doktor Meade napisał o panu, jest świętą prawdą, panie kapitanie. Jedynym sposobem odkupienia pańskich przewin byłoby zaciągnięcie się do wojska po sprzedaniu statków. Był pan w szkole w West Point i...

- Mówi pani jak kaznodzieja, który namawia do zaciągania się w szeregi. A dajmy na to, że wcale nie chcę się zrehabilitować? Czemu miałbym walczyć o zachowanie porządku, który mnie potępił? Bardzo mi będzie przyjemnie, kiedy ten porządek runie.

- Nic nie wiem o żadnym porządku - rzekła niechętnie.

- Nie? A przecież tkwi w nim pani, jak i ja tkwiłem, choć gotów bym się założyć, że tak samo go pani nie cierpi jak ja. Czy wie pani, dlaczego stałem się parszywą owcą rodziny Butlerów? Dla tej jedynej i ważnej przyczyny, że nie umiałem przystosować się do Charlestonu i nie mogłem. Charleston zaś to symbol Południa. Nie wiem, czy zdaje sobie pani sprawę, jaka to nuda. Tyle rzeczy należy robić, dlatego że robiło się je zawsze. Tyle rzeczy zupełnie niewinnych nie wolno robić z tej samej przyczyny. Tyle było spraw, których bezsens mnie raził. To, że nie ożeniłem się z ową młodą damą, o której pani zapewne słyszała, dopełniło miary. Czemuż jednak miałem się żenić z nudną idiotką, której na skutek wypadku nie mogłem odprowadzić do domu przed zmierzchem? I dlaczego miałem dopuścić do tego, aby jej brat, szaleniec, strzelał do mnie i trafił, kiedy umiałem strzelać celniej od niego? Gdybym był dżentelmenem, rozumie się, że pozwoliłbym się zastrzelić w pojedynku, i to zmaszałoby plamę z herbu Butlerów. Ja jednak... wolałem żyć. Żyję więc dotąd i bardzo się dobrze bawię... Gdy myślę o moim bracie, żyjącym wśród świętych krów Charlestonu i oddającym im pokłony, kiedy przypominam sobie jego opasłą żonę, jego wieczorki pod wezwaniem świętej Cecylii i odwieczne pola ryżowe, odczuwam wielką przyjemność, że zerwałem z tym porządkiem. Scarlett, nasz południowy sposób życia jest tak przestarzały jak feudalny ustrój średniowiecza. Dziwić się tylko należy, że przetrwał tak długo. Musiał przeminać, i właśnie teraz mija. A pani chce, abym słuchał mówców pokroju doktora Meade, którzy wmawiają we mnie, że nasza sprawa jest święta i sprawiedliwa? Chce pani, abym tak

się podniecił waleniem w bęben, by schwycić muszkiet, popędzić do Wirginii i przelewać krew za Marse'a Roberta? Czy myśli pani, że jestem doprawdy aż tak głupi? Całowanie ręki, która mnie karci, to nie moja specjalność. Teraz wyrównuję swoje porachunki z Południem. Południe skazało mnie kiedyś na zagładę. Nie umarłem z głodu, teraz zaś dość zarabiam na przedśmiertnych drgawkach tego kraju, aby tym sobie powetować swoje stracone dziedzictwo.

- Uważam, że jest pan nikczemny i wyrachowany - rzekła Scarlett bez wielkiego przekonania. Wszystko, co Rett mówił, wchodziło jej w jedno ucho, a wychodziło drugim, jak każda rozmowa, która nie dotyczyła jej samej. Jakaś część trafiła jej jednak do przekonania. Rzeczywiście - tyle było głupich zwyczajów rządzących życiem porządnych ludzi. Na przykład ona sama miała udawać, że serce jej jest w grobie, kiedy wcale tak nie było. I jak też się wszyscy gorszyli, że tańczyła na wencie! I jak wszyscy podnosili z oburzeniem brwi, gdy zrobiła coś czy powiedziała, co różniło się odrobinę od słów czy postępów innych młodych kobiet. Mimo to jednak była zła, że Rett atakuje te właśnie tradycje, które i ją bardzo drażniły. Zbyt długo żyła w otoczeniu ludzi, którzy uznawali obłudę za znak dobrego wychowania, aby nie poczuć zmieszania, gdy własne jej myśli obleczone zostały w słowa.

- Wyrachowany? Nie, patrzę tylko dalej niż inni. Może być zresztą, że jest to synonim sprzedajności. W każdym bądź razie tak będą uważali ludzie, którzy nie widzą jeszcze tego, co ja widzę. Każdy lojalny konfederat, który w roku 1861 miał w majątku tysiąc dolarów gotówką, mógł zrobić to samo, co ja, jakże jednak niewielu było dość praktycznych, aby wykorzystać swoje możliwości! Tak, na przykład, zaraz po upadku Fortu Sumtera, zanim ustanowiono blokadę, kupiłem za psie pieniądze kilka tysięcy bel bawełny i przewiozłem ją do Anglii. Dotąd leży w składzie w Liverpoolu. Jeszcze jej nie sprzedałem. Trzymam ją do czasu, gdy fabryki angielskie będą musiały mieć bawełnę i zapłacą mi za nią taką cenę, jaką im podyktuję. Nie będę zdziwiony, jeżeli dostanę dolara za funt.

- Dostanie pan dolara za funt bawełny, kiedy słonie zaczną się gnieździć na drzewach!

- Pewien jestem, że dostanę. Bawełna kosztuje już teraz siedemdziesiąt dwa centy za funt. Będę bogatym człowiekiem, gdy skończy się wojna, Scarlett, bo byłem dalekowzroczny... przepraszam, wyrachowany. Powiedziałem pani kiedyś, że są dwa momenty sprzyjające robieniu dużych majątków, jeden, gdy się kraj buduje, drugi - gdy się rozpada w gruzy. Na budowie zarabia się powoli, na zniszczeniu prędko. Niech sobie pani zapamięta moje słowa. Kiedyś może przydadzą się pani.

- Bardzo wysoko cenię sobie dobre rady - rzekła Scarlett z najwyższą ironią, na jaką ją było stać. - Nie potrzebuję jednak rad. Czy przypuszcza pan, że ojciec mój jest biedakiem?

Mam dość pieniędzy, aby zaspokoić wszystkie moje potrzeby, poza tym odziedziczyłam majątek po Karolu.

- Mam wrażenie, że francuscy arystokraci myśleli to samo jeszcze w chwili, gdy wózkami wieziono ich na szafot...

Rett często podkreślał w rozmowach ze Scarlett sprzeczność zachodzącą między faktem, że nie zdjęła żałoby, a tym, że bierze udział we wszystkich imprezach towarzyskich. Lubił jasne kolory, a więc żałobne suknie Scarlett i długi welon, spływający od kapelusza do samych jej stóp, raziły go i bawiły. Ona jednak uparcie trzymała się swej ponurej czerni wiedząc, że gdyby przed upływem wielu lat zaczęła nosić inne kolory, miasto szemrałoby głośniejsze niż dotychczas. Ponadto zaś, jakby to wytłumaczyła swojej matce?

Rett wyraźnie twierdził, że welon nadaje Scarlett wygląd wrony, a czarne suknie postarzają ją o dziesięć lat. Nieuprzejme te oświadczenia sprawiały, że biegła do lustra sprawdzać, czy rzeczywiście wygląda na lat dwadzieścia osiem.

- Sądziłem, że ma pani inne ambicje, niż stać się podobną do pani Merriweather - szydził. - I lepszy gust, niż paradować w tym welonie na widomy znak żalu, którego pani nigdy zapewne nie czuła. Chciałbym się z panią założyć, że za dwa miesiące zrzuci pani ten obrzydliwy kapelusz z welonem, a włoży ostatni model z Paryża.

- Skądże znowu? Proszę mi więcej o tym nie wspominać - rzekła Scarlett, nieprzyjemnie dotknięta jego aluzją. Rett, który właśnie wybierał się znowu do Wilmingtonu, a stamtąd za granicę, pożegnał ją ze śmiechem.

Pewnego pięknego letniego ranka w kilka tygodni później znowu się zjawił, trzymając w ręku oklejone barwnym papierem pudełko do kapeluszy. Przekonawszy się, że Scarlett jest sama w domu, otworzył je od razu. Owinięty w arkusz bibułki, leżał tam kapelusik - model, na którego widok wykrzyknęła: „Och, jakież to чудо!” i wyciągnęła instynktownie rękę. Odwyczajonej od widoku nowych rzeczy, czepek ten wydał się najpiękniejszym kapeluszem, jaki kiedykolwiek widziała. Był z ciemnozielonej tafty, podbity jasnozielonym surowym jedwabiem. Wstążki do zawiązania pod brodę były szerokie na dłoń i także jasnozielone. Dokoła zaś runda tego cudeńka wiło się fryzowane strusie pióro.

- Niech pani go zmierzy - rzekł Rett uśmiechając się do Scarlett.

Przebiegła przez pokój w stronę lustra, włożyła kapelusz, odgarniając włosy z uszu, aby widać było jej koleczki, i zawiązała wstążki pod brodą.

- Jak mi w nim jest? - zapytała odwracając się do Retta i tak potrząsając głową, aby pióro chwiało się dumnie. Wiedziała jednak, że wygląda ślicznie, zanim ujrzała potwierdzenie tego w jego oczach. Wyglądała prowokująco, a zielona podszewka kapelusza znakomicie

podkreślała szmaragdową zieleń jej oczu.

- Ach, panie Reticie, czyj to jest kapelusz? Kupię go w tej chwili. Dam panu za niego wszystko, co mam w majątku.

- To jest pani kapelusz - odparł. - Któż inny mógłby nosić ten odcień zielonego? Czy nie uważa pani, że znakomicie zapisałem sobie w pamięci kolor pani oczu?

- Czy pan rzeczywiście kupił go dla mnie?

- Tak, na pudełku zaś jest adres „Rue de la Paix”, jeżeli to pani mówi cośkolwiek.

Nie mówiło jej to nic, tym bardziej że zajęta była uśmiechaniem się do swego odbicia w lustrze. W tej chwili nic ją nie obchodziło ponad to, że wyglądała ślicznie, w pierwszym modnym kapeluszu, jaki miała na sobie od dwóch lat. Jakichże podbojów dokona w takim kapeluszu] Nagle jednak uśmiech zamarł na jej twarzy.

- Co się stało? Czy czepek przestał się już pani podobać?

- Och, nie, jest cudny, ale... Ach, Boże, jak mi szkoda zakryć krepą ten piękny zielony kolor i pofarbować pióro na czarno.

Szybko podszedł do niej i zwinnymi palcami odwiązał jej kokardę pod brodą. W jednej chwili kapelusz znalazł się z powrotem w pudełku.

- Co pan wyrabia? Powiedział pan przecież, że kapelusz jest dla mnie?

- Ale nie po to go pani przywoziłem, aby go pani przefarbować na żałobny czaprak. Łatwo znajdę inną damę o zielonych oczach, która lepiej oceni mój gust.

- Och, tego pan nie zrobi! Umrę, jeżeli go nie będę miała. Ach, proszę pana, niech pan nie będzie wstrętny! Proszę mi go zostawić.

- Po to, aby go pani przerabiała na paskudztwo takie jak inne pani kapelusze? Nie.

Odebrała mu pudełko. Czy może dopuścić, aby to marzenie, w którym wyglądała tak młodo i rozkosznie, przeszło w ręce innej kobiety? Och, nigdy! Przez chwilę wyobrażała sobie zgorszenie Pitty i Melanii. Pomyślała o tym, co powie Ellen, i zadrżała. Próżność zwyciężyła jednak.

- Nie przerobię go. Przysięgam panu. Proszę mi go zostawić.

Podał jej pudełko z lekko drwiącym uśmiechem i przyglądał się jej, gdy znowu włożyła kapelusz i puszyła się przed lustrem.

- Ile on kosztuje? - zapytała zaszepiając się nagle. - Mam teraz tylko pięćdziesiąt dolarów, ale w przyszłym miesiącu...

- W walucie Konfederacji powinien kosztować około dwóch tysięcy dolarów - odrzekł Rett uśmiechając się na widok jej przerażenia.

- Boże świąty... No, a gdybym dała panu pięćdziesiąt dolarów teraz, a resztę, gdy

dostanę...

- Nie chcę od pani pieniędzy - rzekł. - Przywiozłem pani kapelusz w prezencie.

Scarlett aż otworzyła usta ze zdumienia. W dziedzinie podarków od mężczyzn granica tego, co wypada, wytyczona była bardzo wyraźnie.

- Słodczyce i kwiaty, kochanie - powtarzała jej często Ellen - i ewentualnie tomik poezji, album lub mała flaszeczka perfum to jedyne rzeczy, jakie dama może przyjąć od znajomego pana. Nigdy, w żadnym wypadku, nie należy przyjmować kosztownych podarunków, nawet od narzeczonego. Szczególnie zaś biżuterii, przedmiotów osobistego użytku, nawet rękawiczek i chusteczek do nosa. Gdybyś zaczęła przyjmować jakieś prezenty, panowie domyśliliby się od razu, że nie jesteś prawdziwą damą i byłiby w stosunku do ciebie zbyt śmiali.

„Och, Boże - pomyślała Scarlett patrząc najpierw na swoje odbicie w lustrze, potem na nieprzenikniętą twarz Retta. - Nie mogę mu przecież powiedzieć, że nie przyjmę tego kapelusza. Na to jest za ładny. Wolałabym... wolałabym już nawet, żeby się na coś ośmielił, oczywiście na coś bardzo małego...” - Potem zawstydziała się na tę myśl i zarumieniła po uszy.

- Ja... Ja dam panu te pięćdziesiąt dolarów...

- Jeżeli pani to zrobi, wyrzucę je na śmietnik. Albo lepiej jeszcze, kupię mszę na intencję zbawienia pani duszy. Pewien jestem, że to dobrze pani zrobi.

Roześmiała się wbrew woli i na widok lustrzanego odbicia uśmiechniętej twarzy, ocienionej zielonym kapeluszem, zdecydowała się momentalnie.

- A jakie ma pan wobec mnie zamiary?

- Będę kusił panią prezentami dopóty, aż dziewczęce pani ideały prysną zupełnie i zdana pani zostanie na moją łaskę lub niełaskę - powiedział. - Przyjmuj najwyżej słodczyce i kwiaty od panów, kochanie - zaczął przedrzeźniać, Scarlett wybuchła więc śmiechem.

- Jest pan mądrym nicponiem o czarnym charakterze, panie Recie, bo doskonale pan wie, że kapelusz jest zbyt piękny, abym mogła go nie przyjąć.

W oczach jego malowała się ironia i zachwyty dla jej urody.

- Oczywiście lepiej będzie, jeżeli pani powie pannie Pitty, że dała mi pani próbkę tafty i zielonego jedwabiu i narysowała mi pani fason kapelusza, a ja wyciągnąłem za to od pani pięćdziesiąt dolarów.

- Nie. Powiem, że zapłaciłam sto dolarów, a wtedy ciotka rozpowie o tym na całe miasto, wszyscy będą zieleni z zazdrości i będą sobie nawzajem opowiadali, jaka to ja jestem rozrzutna. Musi mi pan jednak przyrzec, że mi pan już nigdy nic podobnie kosztownego nie przywiezie. Bardzo to ładnie z pana strony, ale naprawdę nie mogłabym przyjąć od pana nic

więcej.

- Doprawdy? No, więc oświadczam pani, że będę przywoził pani prezenty, kiedy mi się spodoba, ilekroć zobaczę coś ładnego, co podkreślałoby pani wdzięki. Przywiozę pani ciemnozielony surowy jedwab pod kolor kapelusza. Uprzedzam panią jednak, że jestem wymagający. Kuszę panią kapeluszami i świecidełkami i wreszcie wciągnę w przepaść. Niech pani pamięta, że nigdy nie robię niczego bez powodu i nigdy nie daję niczego za darmo. Zawsze każę sobie za wszystko płacić.

Czarne jego oczy prześliznęły się po jej twarzy i spoczęły na wargach. Scarlett opuściła wzrok, bardzo zmieszana. Rozumie się, że Rett teraz pozwoli sobie na rozmaite rzeczy, jak słusznie przepowiadała Ellen. Pocałuje ją albo będzie się starał pocałować; jedno z dwojga. Jeżeli mu odmówi, może się zdarzyć, że zerwie jej kapelusz z głowy i podaruje go innej dziewczynie. Z drugiej strony, jeżeli pozwoli mu na jeden skromny pocałunek, będzie jej może przywoził inne piękne prezenty w nadziei uzyskania drugiego. Mężczyźni bardzo wielką wagę przywiązują do pocałunków, Bóg jeden wie dlaczego. I bardzo często po jednym pocałunku zakochują się w dziewczynie na zabój i stają się jej niewolnikami, pod warunkiem, rozumie się, że dziewczyna jest mądra i skąpi potem czułości. Byłoby bardzo przyjemnie, gdyby się Rett Butler w niej zakochał, wyznał jej to i zebrał o pocałunek lub uśmiech. Tak, pozwoli mu się pocałować.

On jednak nie uczynił ani kroku w jej kierunku. Rzuciła mu bokiem spojrzenie spod przymkniętych powiek i wyszeptwała zachęcająco:

- Więc naprawdę zawsze pan sobie każę płacić? A jakiej zapłaty oczekuje pan ode mnie?

- Nad tym się jeszcze zastanowię.

- No, więc jeżeli się panu zdaje, że wyjdę za pana za mąż z wdzięczności za kapelusz, to się pan myli - rzekła śmiało i tak mocno potrzęsnęła głową, że pióro na kapeluszu zachwiało się gwałtownie.

Białe zęby Retta błysnęły pod małym wąsem.

- Madame, pochlebia sobie pani, nie mam zamiaru ożenić się ani z panią, ani żadną inną kobietą. Nie jestem kandydatem do małżeństwa.

- Rzeczywiście? - zawołała stropiona nieco i zdecydowana, że teraz ona z kolei okaże się śmiała. - A ja nie mam zamiaru nawet pana pocałować.

- Dlaczego zatem ściąga pani usta w tak komiczny sposób?

- Och! - zawołała patrząc w lustro i spostrzegając, że czerwone jej wargi rzeczywiście złożyły się jak do pocałunku. - Och! - powtórzyła bardzo zdenerwowana i tupnęła nogą. - Jest

pan najwstrętniejszym człowiekiem, jakiego znam, i może mi się pan więcej nie pokazywać na oczy.

- Gdyby pani tak rzeczywiście myślała, podeptałaby pani kapelusz. Ach, ach, jakże pani jest zła i jak pani z tym do twarzy! No, Scarlett, szybko, niech pani podepcze kapelusz, aby mnie przekonać, co sobie pani myśli o mnie i o moich prezentach.

- Niech pan nie śmie dotykać mego kapelusza - powiedziała przytrzymując go rękami na głowie i odsuwając się trochę. Rett podszedł do niej śmiejąc się cicho i wziął obie jej ręce w swoje.

- Och, Scarlett, taka jest pani młoda, że aż ręce opadają - powiedział. - Pocałuję panią zatem, ponieważ zdaje się pani na to czekać - i pochylając się niedbale, musnął wąsami jej policzek. - No, a teraz, czy nie uważa pani za stosowne uderzyć mnie w twarz, aby stało się zadość zwyczajom?

Z obrażoną miną spojrzała mu w oczy i wyczytała w ich ciemnej głębi tyle wesołości, że wybuchła śmiechem. Doprawdy trudno było dać sobie z nim radę. Jeżeli nie chciał się z nią ożenić ani jej nawet pocałować, to czego właściwie chciał? Jeżeli nie był w niej zakochany, to dlaczego przychodził tak często i przywoził jej prezenty?

- Tak jest lepiej - rzekł. - Scarlett, wywieram zły wpływ na panią i jeżeli ma pani choć trochę rozumu, powinna się mnie pani jak najszybciej pozbyć, o ile pani potrafi. Jestem bowiem bardzo natrętny. Ale to fakt, że źle na panią działałam.

- Czy rzeczywiście?

- Czy sama pani tego nie widzi? Od dnia, gdy spotkałem panią na wencie, postęпки pani zaczęły się stawać skandaliczne, i to dzięki mnie. Kto panią namówił, aby pani zaczęła tańczyć? Kto zmusił do przyznania się, że nie uważa pani, iż nasza święta Sprawa jest święta i sławna? Kto wpoił w panią przekonanie, że mężczyźni, którzy umierają za wzniosłe prawdy, są głupcami? Kto namawia panią do zrzucenia żałoby o wiele lat wcześniej? I wreszcie, kto skusił panią do przyjęcia prezentu, którego nie powinna przyjąć żadna dama, dbająca o swoją opinię?

- Pochlebia pan sobie, łaskawy panie kapitanie. Nigdy nie popełniłam nic tak bardzo skandalicznego i byłabym to wszystko zrobiła i bez pańskiej pomocy.

- Wątpię o tym - powiedział i stał się nagle poważny i smutny. - Byłaby pani jeszcze dotąd bolejącą wdową po Karolu Hamiltonie, sławioną za dobre uczynki w stosunku do rannych. Z czasem jednak może...

Scarlett już nie słuchała, ponieważ znowu przeglądała się z zadowoleniem w lustrze myśląc, że zaraz po południu pójdzie w nowym kapeluszu do szpitala i zanieśli kwiaty



ozdrowieńcom. Wcale jej na myśl nie przyszło, że w ostatnich słowach Retta było wiele prawdy. Nie zdawała sobie sprawy, że Rett otworzył jej wrota więzienia, jakim było dla niej wdowieństwo, i oswobodził ją, by znowu jak dawniej mogła królować wśród niezameźnych kobiet, mimo że właściwie od dawna winna była prowadzić żywot bogobojnej mężatki. Nie widziała także, że pod jego wpływem daleko odbiegła od nauk Ellen. Zmiany dokonywały się tak stopniowo, że wyzwalamie się spod jednej tradycji zdawało się niemiec związku z naigrywaniem się z innej, to wszystko zaś pozornie nie pozostawało w łączności z Rettem. Nie zdawała sobie sprawy, że za jego namową zaczęła lekceważyć wiele najsurowszych nakazów swojej matki, tyczących tego, co wypada, a co nie, że zaczęła zapominać trudnej sztuki postępowania jak dama.

Wiedziała tylko, że kapelusz jest najbardziej twarzowym, jaki kiedykolwiek miała, że nie kosztuje ją ani grosza i że Rett kocha się w niej prawdopodobnie, jakkolwiek nie chce się do tego przyznać. Postanowiła sobie stanowczo, że zmusi go z czasem do wyznania.

Następnego dnia Scarlett stała z grzebieniem w dłoni przed lustrem, trzymając w ustach szpilki do włosów, i starała się zrobić sobie nową fryzurę, którą Maybelle świeżo wróciwszy z wizyty do Richmond przywiozła jako ostatnią pasję stolicy. Nazywało się to uczesanie „Koty, szczury i myszy” i było bardzo trudne. Włosy należało przedzielić pośrodku i ułożyć w trzy wałki różnej grubości po obu stronach głowy, przy czym najbliższy przedziału wałek zwał się „kotem”. „Kot” i „szczur” dawały się łatwo ułożyć, ale z „myszy” uparcie wypadały szpilki. Mimo to Scarlett postanowiła za wszelką cenę zmienić uczesanie, bo Rett, który miał przyjść na kolację, zawsze spostrzegał i omawiał każdą innowację jej fryzury czy stroju.

Kiedy biedziła się tak ze swymi gęstymi, upartymi lokami” a kropelki potu występowały jej z wysiłku na czoło, usłyszała lekkie kroczyki w hallu na dole i domyśliła się, że to Melania wróciła ze szpitala. Słyszając jednak, że wbiega po schodach przesadzając po dwa stopnie, zatrzymała dłoń ze szpilką w powietrzu, zaniepokojona, czy nie stało się co złego, ponieważ Melania poruszała się zwykle dostojnie, jak stara matrona. Rzuciła się do drzwi i otworzyła je szeroko. Melania zaś wpadła zarumieniona i przerażona, z miną dziecka, które coś przeskrobało.

Na policzkach jej znaczyły się ślady łez, kapelusz zsunięty był z głowy i wisiał na wstążkach, a krynolina chwiała się gwałtownie. Ścisnęła coś w ręce, a dokoła niej unosił się zapach ciężkich, tanich perfum. - Och, Scarlett! - zawołała zamykając za sobą drzwi i ciężko siadając na łóżku. - Czy ciocia jest już w domu? Nie ma jej? Och, to Bogu dzięki! Scarlett, tak mi jest przykro, że wołałabym nie żyć! Omal nie zemdlałam, a wuj Piotr jeszcze mi grozi, że

wszystko opowie cioci!

- Co opowie cioci?

- Że rozmawiałam z tą... panną... panią... - Melania wachlowała się chusteczką. - No, z tą rudą kobietą, Bellą Watling!

- Ależ Melu! - zawołała Scarlett tak zgorzozona, że nie mogła nic więcej powiedzieć.

Bella Watling była tą rudowłosą osobą, którą Scarlett widziała na ulicy w dniu swego przyjazdu do Atlanty, kobietą najbardziej osławioną teraz w mieście. Do Atlanty w ślad za żołnierzami ściągnęło wiele prostytutek, ale Bella wyróżniała się spośród nich zarówno ognistym kolorem włosów, jak i pretensjonalnymi, przesadnie modnymi sukniami. Na ulicy Brzoskwiniowej czy w innych eleganckich dzielnicach zjawiała się rzadko, kiedy się to jednak zdarzało, przyzwoite kobiety szybko przechodziły na drugą stronę, aby ich nie widziano w jej pobliżu. A teraz nagle Melania przyznaje się, że z nią rozmawiała! Nic dziwnego, że wuj Piotr był oburzony.

- Gotowam umrzeć, jeżeli ciocia Pitty dowie się o tym! Wiem, że zaczniesz płakać i potem opowie o tym wszystkim w mieście, a ja się spalę ze wstydu - płakała Melania. - A ja wcale nie jestem winna. Nie mogłam... nie mogłam przecież od niej uciec. Byłoby to przecież niegrzecznie. Scarlett, było mi jej po prostu... żal. Czy uważasz, że jestem złym człowiekiem, dlatego że tak myślę?

Scarlett jednak mało była zainteresowana etyczną stroną tej sprawy. Podobnie jak większość niewinnych i dobrze wychowanych kobiet niezmiernie była ciekawa życia prostytutek.

- Czego chciała od ciebie? Jak mówi?

- Och, mówiła bardzo niegrammatycznie, ale czułam, że biedaczka stara się być bardzo wykwinna. Wychodziłam ze szpitala, a ponieważ wuja Piotra i powozu nie było, pomyślałam sobie, że pójdę pieszo do domu. Kiedy przechodziłam koło domu Emersonów, okazało się, że ona tam stoi za płotem! Och, dzięki Bogu, że Emersonowie są teraz w Macon! Powiedziała: „Bardzo proszę, pani Wilkes, niech mnie pani zechce wysłuchać”. Nie wiem, skąd zna moje nazwisko. Wiedziałam, że powinnam oddalić się jak najszybciej, ale... widzisz, Scarlett, wyglądała trochę smutno i... tak, jak gdyby o coś prosiła. Nosila czarną suknię i czarny kapelusz, nie była wymalowana i wyglądałaby zupełnie przyzwoicie, gdyby nie te czerwone włosy. Zanim zdążyłam odpowiedzieć, zaczęła: „Wiem, że nie powinnam rozmawiać z panią, starałam się jednak porozumieć z tą starą, napszoną kwoką, panią Elsing, ale mnie wypędziła ze szpitala”.

- Czy naprawdę nazwała panią Elsing starą kwoką? - zapytała Scarlett radośnie i

roześmiała się.

- Och, nie śmieję się, proszę! To wcale nie jest zabawne. Okazuje się, że panna... no, ta kobieta... chciała zrobić coś dla szpitala. Czy wyobrażasz sobie coś podobnego? Zaoferowała się, że będzie co rano pielęgnowała chorych, rozumie się więc, że pani Elsing mało na tę myśl nie dostała ataku i wyprosiła ją ze szpitala. A potem powiedziała mi: „Ale mimo to chcę pomagać w jakiś sposób. Jestem przecież taką samą dobrą konfederatką jak inne”. Zapewniam cię, Scarlett, że byłam wzruszona tą jej propozycją. Mówię ci, ona nie może być całkiem zła, jeżeli chce coś zrobić dla Sprawy. Czy uważasz, że jestem nieprzyzwoita, bo tak mówię?

- Na miłość boską, Melu, co to ma do rzeczy, czy ty jesteś przyzwoita? A co jeszcze mówiła?

- Mówiła, że czekała na panie idące, ze szpitala. Pomyślała sobie, że ja... że ja mam miłą twarz, więc mnie zatrzymała. Miała trochę pieniędzy, chciała więc, abym je wzięła, dała na szpital i nikomu nie mówiła, skąd pochodzą. Powiedziała, że pani Elsing nie pozwoliłaby tych pieniędzy ruszać, gdyby dowiedziała się, skąd są. Skąd są! Pomyśl. I właśnie wtedy omal nie zemdlałam! Byłam tak zmieszana i tak bardzo chciałam iść sobie, że powiedziałam tylko: „Ach, to bardzo ładnie z pani strony” czy inny jakiś idiotyzm, a ona uśmiechnęła się i odrzekła: „Pani mówi jak chrześcijanka” i wsunęła mi tę brudną chusteczkę do rąk. Uff, czy czujesz ten zapach?

Melania wyciągnęła męską chustkę, zbrudzoną i mocno uperfumowaną, w którą zawiniętych było kilka monet.

- Dziękowała mi i mówiła jeszcze, że co tydzień będzie mi przynosiła pieniądze, aż zajechał wuj Piotr i mnie spostrzegł! - Mela wybuchła płaczem i położyła głowę na poduszce.

- A kiedy zobaczył, z kim rozmawiam, Scarlett, krzyknął na mnie! Nikt na mnie nigdy w życiu nie krzychał. Powiedział: „Proszę mi w tej chwili wsiadać do powozu!” Rozumie się, że wsiadłam, a on przez całą drogę robił mi wymówki, nie pozwolił mi dojść do słowa i obiecywał, że wszystko opowie ciotce Pitty. Scarlett, zjeżdż na dół i poproś go, aby nic nie mówił! Może ciebie wysłucha. Ciocia się rozchoruje, kiedy się dowie, że spojrzałam tej kobiecie w twarz. Czy zrobisz to dla mnie?

- Tak, zaraz pójdę. Ale zobaczymy najpierw, ile tutaj pieniędzy. Waży ta chustka sporo.

Odwiązała węzełek. Garść złotych monet wysypała się na łóżko.

- Scarlett, aż pięćdziesiąt dolarów! I w dodatku w złocie! - wołała zdumiona Melania licząc błyszczące monety. - Powiedz, jak uważasz, czy powinno się zużyć takie... pieniądze,

w ten sposób... zarobione dla naszych chłopców? Mnie się zdaje, że Bóg zrozumie, że ona chciała pomóc, i nie zwróci uwagi, że to pieniądze skalane. Kiedy przypomnę sobie, czego potrzeba nam w szpitalu...

Scarlett jednak nie słuchała jej wcale. Patrzyła na brudną chustkę i pełna była upokorzenia i wściekłości. W rogu chustki był monogram, inicjały „R. K. B.”. W górnej szufladzie jej komody leżała taka sama chustka - chustka pożyczona jej poprzedniego dnia przez Butlera do obwiązania łądyg polnych kwiatów, które razem zrywali. Miała zamiar oddać mu ją wieczorem przy kolacji.

A więc Rett zadawał się z tą wstrętną kreaturą i ofiarowywał jej pieniądze! Stąd pochodziła ofiara na szpital. Złoto zarobione na blokadzie. I pomyśleć tylko, że Rett ma czelność patrzeć przyzwoitej kobiecie w oczy, widując się z taką osobą! I pomyśleć, iż mogło jej się wydawać, że Rett jest w niej zakochany! Teraz wiedziała już, że tak na pewno nie jest.

Kobiety upadłe i wszystko, co ich dotyczyło, było dla Scarlett sprawą tajemniczą i oburzającą. Wiedziała, że mężczyźni bywają u tych kobiet w celach, o których prawdziwa dama nie powinna nawet wspominać - albo jeżeli wspominała, to szeptem, niezbyt wyraźnie i używając dyskretnych omówień. Wydawało jej się zawsze, że tylko zwyczajni, ordynarni mężczyźni odwiedzają takie kobiety. Dotychczas nigdy jej przez myśl nie przeszło, że przyzwoici mężczyźni - to znaczy mężczyźni, których spotykała w dobrych domach i z którymi tańczyła - mogą robić takie rzeczy. Odkrycie to otwierało przed nią zupełnie nowe, przerażające myśli. Może zatem wszyscy mężczyźni robili to samo! Już dość nieprzyjemne było to, że własne żony zmuszali do takich nieprzyzwoitych funkcji, ale żeby jeszcze spotykać się z upadłymi kobietami i płacić im za takie usługi! Och, wszyscy mężczyźni byli podli, a Rett Butler był chyba najgorszy ze wszystkich!

Weźmie tę chustkę i rzuci mu ją w twarz, pokaże mu drzwi i nigdy już, nigdy więcej nie będzie z nim mówiła. Ale nie, nie może czegoś podobnego zrobić. Nie może mu nigdy dać do zrozumienia, że wie o istnieniu upadłych kobiet, że wie o tym, iż Rett je odwiedza. Prawdziwa dama nie może czegoś podobnego wiedzieć.

„Och - myślała z furją. - Gdybym nie była damą, czegóż bym tej gadzinie nie powiedziała!”

I gniotąc chustkę w dłoni zeszła do kuchni w poszukiwaniu wuja Piotra. Przechodząc koło pieca, wrzuciła chustkę do ognia i z bezsilną złością przyglądała się, jak płonie.

## ROZDZIAŁ XIV

Serca wszystkich południowców napełniły się nadzieją z nadejściem lata roku 1863. Mimo niedostatku i cierpień, spekulacji żywnościowej i pokrewnych jej plag, mimo śmierci, chorób i strat, które nie ominęły żadnej prawie rodziny, na Południu znowu zaczęto powtarzać: „Jeszcze jedno zwycięstwo, a wojna będzie skończona”, powtarzać to z jeszcze większą pewnością niż roku poprzedniego. Jankesi okazali się twardym orzechem do zgryzienia, ale wreszcie zaczęto się do nich dobierać.

Boże Narodzenie roku 1862 było okresem wesołym dla Atlanty i całego Południa. Konfederacja odniosła walne zwycięstwo pod Fredericksburgiem. Liczba zabitych i rannych Jankesów sięgała tysięcy. Podczas świąt panowała powszechna radość - radość i wdzięczność, że karta odwraca się wreszcie. Żołnierze w szarych mundurach przeistoczyli się teraz w wytrawnych wojowników, generałowie dowiedli swej odwagi, wszyscy byli więc przekonani, że kiedy na wiosnę podejmie się działania wojenne, Jankesi zmiażdżeni zostaną ostatecznie.

Nadeszła wreszcie wiosna i wraz z nią rozpoczęcie kampanii. W maju Konfederacja odniosła nowe zwycięstwo pod Chancellorsville. Południe pękało z dumy.

W Georgii nieudany najazd kawalerii Unii stał się jeszcze jednym tryumfem konfederatów. Ludzie śmieli się radośnie i poklepywali nawzajem po plecach, mówiąc: „Tak, tak! Musieli zmykać, kiedy stary Nathan Bedford Forrest wsiadł im na kark!” W końcu kwietnia pułkownik Streight na czele oddziału kawalerii jankeskiej, liczącego tysiąc osiemset ludzi, zrobił zniemacka wypad w głąb Georgii, kierując się do Romy, miasta położonego o niecałe sześćdziesiąt mil na północ od Atlanty. Miał zuchwały plan przecięcia linii kolejowej między Atlantą a Tennessee i skierowania się potem na południe ku Atlancie, gdzie chciał zniszczyć fabryki i zapasy amunicji, skupione w tym ważnym punkcie węzłowym. Był to plan odważny i drogo kosztowałby Południe, gdyby nie interwencja Forresta. Z oddziałem liczącym jedną trzecią siły Jankesów - ale złożonym z wyborowych jeźdźców - pocwałował za Jankesami, wydał im bitwę, zanim dosięgli Romy, tępił ich dniem i nocą, aż wreszcie udało mu się wziąć w niewolę cały oddział.

Wiadomość o tym doszła do Atlanty prawie równocześnie z nowiną o zwycięstwie pod Chancellorsville, miasto szalało więc z radości. Zwycięstwo pod Chancellorsville było może ważniejsze, ale pojmanie w niewolę jeźdźców Streighta po prostu ośmieszyło Jankesów.

„Nie, panie, z naszym starym Forrestem nie ma żartów” - powtarzano radośnie w

Atlancie, ilekroć na nowo wspomniano to zwycięstwo.

Fala powodzenia Konfederacji wezbrała i całą ludność Południa ogarnęła radość. Prawda, że Jankesi pod wodzą Granta oblegali Vicksburg od połowy maja. Prawda, że Południe poniosło niepowetowaną stratę, gdy Stonewall Jackson został śmiertelnie ranny pod Chancellorsville. Prawda, że Georgia straciła jednego ze swych najdzielniejszych i najślawniejszych synów, gdy generał Cobb padł pod Fredericksburgiem. Ale jasne, że Jankesi nie będą mogli wytrzymać więcej takich klęsk jak pod Fredericksburgiem i Chancellorsville. Będą się już wkrótce musieli poddać, a wtedy wojna wreszcie się skończy.

Nadeszły pierwsze dni lipca, a wraz z nimi pogłoski, potem potwierdzone przez kurierów, że Lee maszeruje w głąb Pensylwanii. Lee wkroczył na terytorium nieprzyjacielskie! Lee wydaje bitwę. A zatem będzie to ostatnia bitwa w tej wojnie.

Atlanta szalała z wielkiego podniecenia, radości i chęci odwetu. Teraz wreszcie przekonają się Jankesi, jak smakuje wojna w ich własnym kraju! Teraz ocenią, jak przyjemnie jest patrzeć na zniszczenia żyznych pól, na konfiskatę koni i bydła, na palenie domów, więzienie starców i młodych chłopców, skazywanie na śmierć głodową kobiet i dzieci.

Wszyscy wiedzieli, co Jankesi zrobili w Missouri, Kehtucky, Tennessee i Wirginii. Nawet małe dzieci potrafiły recytować z nienawiścią i wstrętem listę okrucieństw jankeskich na podbitych terytoriach. Atlanta pełna już była uciekinierów ze wschodu Tennessee, i z pierwszej ręki wiadomo było, co przecierpieli. W owej części kraju sympatycy Konfederacji byli w mniejszości, sroga ręka wojny spadła więc na nich ciężko, jak i w innych stanach granicznych - bo sąsiad denuncjował sąsiada, a brat zabijał brata. Uciekinierzy ci głośno domagali się puszczenia z dymem całej Pensylwanii i nawet łagodniejsze staruszki ogarnięte były pragnieniem odwetu.

Kiedy jednak dowiedziano się, że Lee wydał zarządzenie, aby nie ruszać własności prywatnej w Pensylwanii, że postanowił, iż grabieże będą karane śmiercią i że armia będzie płaciła za każdy zarekwirowany przedmiot - popularność jego zachwiała się poważnie, mimo że cieszył się olbrzymim szacunkiem. Nie wpuszczać ludzi do bogatych składów tego zamożnego stanu? Co sobie generał Lee właściwie myśli? Przecież chłopcy są wygłodzeni i potrzebują butów i koni!

Krótką kartką, przesłaną przez Darcy Meade'a do ojca, pierwsza bezpośrednia wiadomość, jaka doszła Atlantę w początku lipca, podawana była z rąk do rąk przy akompaniamencie głosów rosnącego oburzenia.

„Tatusiu, czy możesz mi się postarać o parę butów? Chodzę już od dwóch tygodni boso i nie mam widoków na otrzymanie nowych butów. Gdybym nie miał tak dużych stóp,

mógłbym przywłaszczyć sobie buty któregoś z zabitych Jankesów, bo tak robią inni chłopcy, ale dotąd nie znalazłem jeszcze Jankesa, który by nosił ten sam numer obuwia, co ja. Jeżeli chcesz przesłać mi buty, nie posyłaj pocztą. Ktoś na pewno ukradnie je w drodze i nawet nie będę się temu dziwił. Wsadź Filipa do pociągu i niech mi je przywiezie. Napiszę wkrótce, gdzie się zatrzymamy. Dotąd nie wiem nic, jak to tylko, że idziemy na północ. Jesteśmy teraz w Marylandzie i mówi się, że maszerujemy do Pensylwanii.

Tatusiu, myślałem, że będziemy mogli pokazać Jankesom próbkę tego, co sami robili, ale Generał powiedział: Nie. Ja zaś osobiście wolę zostać rozstrzelany, a móc podpalić dom jankeski. Tatusiu, dzisiaj szliśmy przez najwspanialsze pola pszenicy, jakie w swoim życiu widziałem. Nie ma w naszych stronach takiego zboża. Muszę wyznać, że trochę w tym zbożu rabowaliśmy, każdy na własną rękę, bo byliśmy bardzo głodni. Generał zaś i tak się o tym nigdy nie dowie. Ale to niedojrzałe zboże zaszkodziło nam tylko. Wszyscy chłopcy mają dyzenterię, która się od pszenicy pogorszyła. Łatwiej jest maszerować z raną w nodze niż z dyzenterią. Tatusiu, postaraj się koniecznie o jakieś buty dla mnie. Jestem teraz kapitanem, a kapitan nie może chodzić bez butów, chociażby nawet nie miał nowego munduru ani epoletów”.

Armia była jednak w Pensylwanii - i to było najważniejsze. Jeszcze jedno zwycięstwo i wojna się skończy, a wtedy Darcy będzie miał niejedną parę butów, chłopcy powrócą do domów i wszyscy znowu będą szczęśliwi. Oczy pani Meade wilgotniały, gdy wyobrażała sobie powrót syna do domu, powrót na zawsze.

Trzeciego lipca nagle zamilkły druty telegraficzne prowadzące z Północy, zamilkły aż do południa dnia czwartego, gdy zaczęły, napływać do sztabu Atlanty ułamkowe i nieścisłe wieści. W Pensylwanii rozgrywały się podobno groźne walki w pobliżu małego miasteczka pod nazwą Gettysburg, gdzie zebrała się cała armia generała Lee. Wiadomości były niepewne i nadchodziły opieszale, ponieważ bitwa toczyła się na terytorium nieprzyjaciela, a raporty przechodziły przez Maryland i Richmond i stamtąd dopiero do Atlanty. Niepewność wzrastała i strach z wolna rozpełzał się po mieście. Brak wiadomości gnębił wszystkich. Rodzice mający synów na froncie modlili się żarliwie, by Bóg ich ustrzegł od wysłania do Pensylwanii, ci zaś, którzy wiedzieli, że bliscy ich są w tym samym pułku co Darcy Meade, zaciskali zęby i powtarzali, że branie udziału w rozstrzygającej bitwie z Jankesami jest wielkim zaszczytem.

W domu ciotki Pitty trzy kobiety patrzyły na siebie z ledwie ukrywanym przerażeniem. Ashley służył w tym samym pułku co Darcy.

Na piąty dzień nadeszły złe nowiny nie z Północy, lecz z Zachodu. Vicksburg padł,

padł po długim i morderczym oblężeniu, właściwie więc cała rzeka Missisipi, od St. Louis do Nowego Orleanu, była w rękach Jankesów. Front Konfederacji został rozbity. W każdym innym czasie wiadomość o tej klęsce napełniałaby Atlantę strachem i lamentem. Teraz nikt nie chciał myśleć o Vicksburgu. Wszyscy myśleli o generale Lee w Pensylwanii i o bitwie, którą miał wydać. Strata Vicksburga nie byłaby katastrofą, gdyby Lee odniósł zwycięstwo na Wschodzie. Tam były miasta takie, jak Filadelfia, Nowy Jork, Waszyngton. Zajęcie ich sparaliżowałoby siły Północy i wynagrodziło klęskę nad Missisipi.

Godziny wlokły się i czarne cienie klęski rozpościerały nad miastem, tak przesłaniając upalne słońce, że aż ludzie ze zdumieniem spoglądali w niebo, jak gdyby nie dowierzając, że może być jasne i niebieskie, nie zaś mroczne i ciężkie od deszczowych chmur. Grupki kobiet gromadziły się wszędzie: na gankach, na chodnikach, nawet na środku ulic, zapewniając się nawzajem, że brak wiadomości równa się dobrym wieściom, starając się jedna drugą pocieszyć i usiłując nadrabiać miną. Straszne jednak pogłoski, że Lee został zabity i bitwa przegrana, że liczba poległych jest olbrzymia, przebiegały po spokojnych ulicach szybko jak strzały. Jakkolwiek nikt jeszcze nie chciał w nie wierzyć, ludność całych dzielnic, smagana paniką, biegła do śródmieścia, do redakcji gazet i do dowództwa, błagając za wszelką cenę o wiadomości, choćby złe.

Tłumy wystawały przed stacją, pragnąc dowiedzieć się czegoś od przyjezdnych, przed telegrafem, przed zdezorientowanym sztabem. Były to tłumy dziwnie ciche, zupełnie spokojne, bezustannie rosnące. Nie rozmawiano między sobą. Czasem tylko ostry głos jakiegoś starca pytał o nowiny, a tłum, zamiast brać z tego asumpt do rozmów, zdawał się jeszcze bardziej przycichać i w odpowiedzi słychać było tylko znane na pamięć zdanie: „Jeszcze żadnych wiadomości poza tym, że na Północy toczą się walki”. Liczba kobiet pieszo i w powozach coraz to wzrastała; gorąco, spotęgowane wonią ciasno stłoczonych ciał i kurzem, wznoszonym przez niespokojne stopy, było nie do opisanego. Kobiety nic nie mówiły, ale blade ich i zacięte twarze były bardziej wymowne od słów.

Nie było w mieście osoby, której syn, brat, ojciec, kochanek czy mąż nie brałby udziału w tej bitwie. Wszyscy czekali na wiadomość, że śmierć nawiedziła ich domy. Spodziewali się takiej wiadomości. Nie oczekiwali jednak klęski. Tę myśl odsuwali na bok. Najbliżsi ich umierają może nawet w tej chwili na spalonych słońcem pagórkach Pensylwanii. W tej chwili łamią się może szeregi wojsk Południa jak kłosa pod gradem, ale Sprawa, o którą walczą, zwyciężona być nie może. Ludzie umierają całymi tysiącami, ale z krwi ich zrodzą się nowe szeregi mężczyzn w szarych i piaskowych mundurach, które z okrzykiem powstańczym na ustach zastąpią ich w boju. Skąd się wezmą ci ludzie - nie wiedział nikt.



Było to bowiem tak pewne jak to, iż w niebie jest sprawiedliwy i groźny Bóg, że Lee jest wielki, a armia Wirginii niezwycięzona.

Scarlett, Melania i panna Pittypat siedziały w otwartym powozie naprzeciw redakcji „Wiadomości Codziennych”, osłonięte tylko parasolkami. Dłonie Scarlett trzęsły się tak, że parasol podskakiwał nad jej głową, Pitty była tak zdenerwowana, że nie przestawała poruszać nozdrzami jak królik, Melania siedziała nieruchomo, jak wyrzeźbiona z kamienia, i tylko oczy jej rozszerzały się coraz bardziej, w miarę jak czas mijał. Odezwała się w ciągu dwóch godzin tylko jeden raz, wyjmując z torby flakonik soli trzeźwiących i wręczając go ciotce - po czym po raz pierwszy w życiu przemówiła do niej twardo i nieczule.

- Weź to, ciociu, na wypadek, gdyby ci było słabo. Uprzedzam cię jednak, że jeżeli zemdlejesz, będziesz musiała pojechać do domu z wujem Piotrem, bo ja się stąd nie ruszę, póki nie usłyszę o... póki nie usłyszę nowin. I nie pozwolę, aby Scarlett stąd odeszła.

Scarlett nie miała zamiaru odchodzić, nie miała zamiaru wyzbywać się możliwości usłyszenia wieści o Ashleyu. Nie ruszyłaby się z miejsca, nawet gdyby panna Pitty umarła. Gdzieś daleko stąd Ashley walczył jeszcze, a może już nie żył, a redakcja gazety była jedynym miejscem, gdzie mogła się dowiedzieć prawdy.

Rozglądała się dokoła, spostrzegając znajomych i sąsiadów - panią Meade w przekrzywionym czepku, obejmującą piętnastoletniego Filipa; panny McLure starające się drżącymi wargami zasłaniać wystające zęby; wyprostowaną jak matka-Spartanka panią Elsing, której niepokój przejawiał się tylko nieporządkiem fryzury, i bladą jak trup Fanny. „Z pewnością Fanny nie martwi się tak o swego brata, Hugona. Czyżby miała na froncie ukochanego, o którym nikt nie wie?” Pani Merriweather siedziała w swym powozie i głaskała dłoń Maybelle, której cięża była tak bardzo widoczna, że dziwić się należało, iż nie wstydzi się pokazywać między ludźmi. „O cóż właściwie ona się martwi? Nikt nie słyszał, by wojska z Luizjany także były w Pensylwanii. Prawdopodobnie jej kudłaty mały zuaw jest w tej chwili bezpieczny w Richmondzie”.

W tłumie dało się zauważyć jakieś poruszenie. Ludzie rozstąpili się, gdy Rett Butler ostrożnie skierował swego konia w stronę powozu panny Pitty. Scarlett pomyślała: „Ależ on ma odwagę, że zjawia się tutaj w chwili, gdy mało trzeba, aby tłum rozszarpał każdego, kto nie nosi munduru. - Kiedy zbliżał się, pomyślała szybko, że sama pierwsza by to zrobiła. - Jak też śmiał siedzieć na pięknym koniu, w połyskujących butach i eleganckim białym ubraniu płóciennym, wymuskany i dobrze odżywiony, palący kosztowne cygaro, gdy Ashley i inni chłopcy walczą z Jankesami, bosci, omdlewający w upale, głodni, zżerani przez choroby?”

Złe spojrzenia kierowały się w stronę Retta, który wolno przeciskał się przez tłum.

Starcy mrucze pod nosem, pani Merriweather zaś, która się niczego nie bała, uniosła się trochę w swoim powozie i rzekła głośno. „Spekulant”, tonem, który przekształcił to słowo w najgorszy i najjadowitszy epitet. Rett nie zwracał jednak uwagi na nikogo, zdjął kapelusz przed Melą i ciotką Pitty i wstrzymując konia koło Scarlett, pochylił się ku niej i wyszeptał: - Czy nie uważa pani, że teraz byłby odpowiedni moment, aby doktor Meade poczęstował nas swoją znaną przemową o zwycięstwie, które jak orzeł siada na naszych sztandarach?

Ledwie żywa z niepokoju, zwróciła się do niego szybko jak rozzłoszczony kot, gotowa rzucić mu w twarz obelżywe jakieś słowo, on jednak powstrzymał ją od tego gestem.

- Przyjechałem tutaj, aby paniom powiedzieć - rzekł głośno - że byłem w głównej kwaterze i dowiedziałem się, że pierwsze listy ofiar właśnie zaczęły nadchodzić.

W jednej chwili powstał szmer wśród tych, którzy słyszeli jego słowa. Tłum zakłóysał się, gotów ruszyć na ulicę Whitehall, w kierunku sztabu.

- Proszę się stąd nie ruszać! - zawołał Rett unosząc się w siodle i dłonią nakazując milczenie - Listy zostały wysłane do redakcji obu gazet i właśnie się drukują. Proszę pozostać na swoich miejscach.

- Ach, panie kapitanie - rzekła Mela zwracając się ku niemu ze łzami w oczach. - Jak to szlachetnie z pańskiej strony, że przyjechał pan nam to powiedzieć! Kiedy rozlepią listy?

- Powinny być gotowe za chwilę, pani Melanio. Zostały posłane do redakcji przed pół godziną. Major w dowództwie nie chciał o tym nikogo zawiadamiać, ponieważ bał się, że tłum zdemoluje redakcję, starając się czegoś dowiedzieć. O! Proszę spojrzeć!

Okno redakcji otwarło się i wyciągnęła się dłoń trzymająca plik wąskich pasków korekty, uwalanych świeżym tuszem i gęsto zadrukowanych nazwiskami. Tłum wrywał je sobie z rąk, darł je na połowy. Ci którzy już mieli listy, starali się wydostać z ciżby, aby móc je przeczytać, nie mający ich jeszcze pchali się naprzód krzycząc: - Puśćcie mnie!

- Proszę potrzymać mi lejce - rzekł Rett zeskakując z konia i rzucając uzdę wujowi Piotrowi. Widać było jego szerokie bary, górujące nad tłumem, gdy przepychał się, brutalnie roztrzając ludzi. W jednej chwili wrócił niosąc kilka arkuszy. Podał jeden Melanii, a resztę rozdał pomiędzy panie w najbliższych powozach, panny McLure, panie Meade, Merriweather i Elsing.

- Prędko, Melu! - zawołała Scarlett ze ściśniętym gardłem, nie posiadając się ze zniecierpliwienia i widząc, że Meli tak się trzęsą ręce, iż wcale czytać nie może.

- Weź to - wyszeptała Mela, a Scarlett gorączkowo wyrwała jej listę. Litera W. Gdzie są nazwiska na W? O, tutaj, na samym dole, zasmarowane tuszem „White” czytała drżącym głosem. „Wilkins... Wi... Zebulion...” - Och, Melu, nie ma go na liście! Nie ma! Na miłość

boską, ciociu! Melu, podaj jej sole. Trzymaj ją, Melu!

Melania płacząc ze szczęścia podparła chwiejącą się na wszystkie strony głowę panny Pitty i podsunęła jej pod nos sole trzeźwiące. Scarlett wsparła tęą starą pannę z drugiej strony, a serce jej szalało z radości, że Ashley żyje. Nie jest nawet ranny! Jaki dobry jest Bóg, że go oszczędził! Jaki...

Usłyszała cichy jęk i odwracając się ujrzała, że Fanny Elsing składa głowę na piersi matki, że lista spada na środek powozu. Widziała, że wąskie wargi pani Elsing drżały, gdy brała córkę w ramiona i spokojnie mówiła do stangreta: „Do domu. Prędko”. Scarlett rzuciła szybkie spojrzenie na listę. Hugon Elsing nie figurował na niej. Fanny miała pewnie ukochanego, który zginął. Tłum rozstał się ze współczuciem przed powozem pań Elsing, za którymi podążył lekki kabriolet panien McLure. Panna Faith powoziła sama, z twarzą kamienną, z mocno zaciśniętymi ustami. Panna Hope, na której twarzy rozlał się śmiertelny ból, siedziała wyprostowana koło niej, trzymając się mocno spódnic siostry. Wyglądały jak bardzo stare kobiety. Młodszy ich brat, Dallas, był jedynym ich ukochanym i jedynym krewnym, jakiego miały na świecie. Został zabity.

- Melu! Melu! - wołała Maybelle z radością w głosie. - Rene ocalony! I Ashley także! Och, Bogu niechaj będą dzięki! - Szal zsunął się z jej ramion, ale tym razem ani ona, ani pani Merriweather nie zwracały na to uwagi. - Och, pani Meade! Rene... - Głos jej załamał się nagle: - Melu, spójrz! Pani Meade, co pani jest? Czyżby Darcy?

Pani Meade miała opuszczoną głowę i nie podniosła jej wcale na dźwięk, swego nazwiska, ale z twarzy małego Filipa łatwo można było wszystko odczytać.

- Cicho, cicho, mamó - powtarzał bezradnie.

Pani Meade podniosła głowę i spojrzała Melanii w oczy.

- Darcy już teraz nie potrzebuje butów - powiedziała.

- Och, najmilsza pani! - zawołała Mela wybuchając płaczem. Odsunęła ciotkę Pitty na ramię Scarlett, wy dostała się z powozu i pobiegła do pojazdu doktorowej.

- Mamusiu, masz jeszcze mnie - rzekł Filip usiłując pocieszyć śmiertelnie bladą matkę. - A jak pozwolisz, pójdę także i pozabijam Jan...

Pani Meade ścisnęła go z całej siły za ramię i powiedziała zdławionym głosem: - Nie!

- Filip, uspokój się w tej chwili! - syknęła Melania siadając koło pani Meade i obejmując ją serdecznie.

- Czy myślisz, że matkę to pocieszy, jak i ciebie zabiją? Nigdy czegoś równie głupiego nie słyszałam. Zawieź nas do domu, prędko!

Kiedy Filip zaciął konia, odwróciła się do Scarlett:

- Jak tylko odwieziesz ciocię do domu, przyjdź do pani Meade. Panie kapitanie, czy zechce pan zawiadomić doktora? Jest teraz w szpitalu.

Powóz ruszył wśród przeredzającego się tłumu. Niektóre z kobiet płakały z radości, większość jednak oniemiała pod ciężkimi ciosami, jakie na nie spadły. Scarlett pochyliła się nad powalaną listą, czytając szybko, szukając nazwisk znajomych. Teraz, gdy wiedziała, że Ashley ocalał, mogła pomyśleć i o innych ludziach. Och, jakże długa była ta lista! Jak ciężka danina Atlanty i całej Georgii!

Wielkie nieba! „Calvert - Raiford, porucznik”. Raiff. Przypomniała sobie nagle dawno miniony dzień, gdy razem postanowili uciec z domu, ale wrócili o zmierzchu, bo byli głodni i bali się ciemności.

„Fontaine - Józef, szeregowiec”. Mały, narwany Józio! A Sally dopiero co urodziła dziecko!

„Munroe - Lafayette, kapitan”. Lafe był zaręczony z Kasią Calvert. Biedna Kasia! Poniosła podwójną stratę - brata i narzeczonego. Strata Sally była jednak większa - straciła brata i męża. Och, to przecież było zbyt straszne! Bała się po prostu czytać dalej. Ciotka Pitty ciężyla jej na ramieniu i nie przestawała wzdychać, więc Scarlett odsunęła ją bezceremonialnie w kąt powozu i czytała dalej.

Nie, nie - to niemożliwe, aby aż trzy razy powtarzało się na liście nazwisko „Tarleton”. Może... może drukarz w pośpiechu powtórzył je tyle razy. Ale nie. Było wyraźnie, „Tarleton - Brenton, szeregowiec”. A Boyd, zabity w pierwszym roku wojny, leżał Bóg wie gdzie w Wirginii... Wszyscy czterej bracia Tarleton zabici! Tom i leniwe długonogie bliźnięta, tak lubiące plotki i głupie figle, i Boyd, który miał wdzięk profesora tańca i język jadowity jak zmija.

Nie mogła czytać dalej. Nie chciała wiedzieć, ilu jeszcze chłopców, z którymi razem wyrosła, z którymi tańczyła, flirtowała i całowała się, figurowało na tej liście. Chciałaby móc płakać czy krzyżeć, aby rozluźnić uścisk żelaznych kleszczy, chwytających ją za gardło.

- Przykro mi bardzo, Scarlett - rzekł Rett. Spojrzała na niego. Zapomniała, że stał obok niej. - Czy wielu z pani znajomych?

Skinęła głową i z trudem wyszeptala: - Ktoś z każdej rodziny w powiecie... i wszyscy... wszyscy trzej Tarletonowie.

Twarz Retta była spokojna, prawie ponura, w oczach nie było ani śladu ironii.

- A to jeszcze nie koniec - rzekł. - To dopiero pierwsze listy, i w dodatku niekompletne... Jutro będą nowe. - Zniżył głos, tak aby go nikt w pobliżu nie słyszał. - Scarlett, generał Lee prawdopodobnie przegrał bitwę. Słyszałem w dowództwie, że cofnął się

do Marylandu.

Podniosła na niego przerażone oczy, ale przyczyną jej przestachu nie była klęska generała. Nowe listy ofiar jutro! Jutro. Nie myślała o jutrze, tak z początku była szczęśliwa, że nazwiska Ashleya nie ma na liście. Jutro. Cóż znowu! Już teraz, w tej chwili Ashley może nie żyje, a ona dowie się o tym dopiero jutro albo od jutra za tydzień.

- Och, kapitanie, po co są wojny na świecie? Byłoby o tyle lepiej, gdyby Jankesi chcieli płacić za Murzynów albo gdybyśmy się zgodzili oddać im swoich za darmo.

- Tu nie chodzi o Murzynów, Scarlett. To jest jedynie pretekst. Wojny zawsze będą istniały, ponieważ mężczyźni je kochają. Kobiety nie lubią wojen, mężczyźni jednak przedkładają je nawet nad miłość kobiet.

Usta wykrzywiły mu się zwykłym uśmiechem, z twarzy zaś uleciała powaga. Uchylił swego panamskiego kapelusza.

- Do widzenia. Jadę teraz do doktora Meade. Spodziewam się, że ironia losu, który chce, abym to ja go zawiadomił o śmierci syna, ujdzie teraz jego uwagi. Później jednak będzie mu nieprzyjemnie na myśl, że to spekulant przyniósł mu wiadomość o śmierci bohatera.

Scarlett podała pannie Pitty szklanekę grogu do łóżka, zostawiła ją pod opieką Prissy i kucharki i poszła do państwa Meade. Pani Meade była na górze, czekając na powrót męża, w salonie zaś na dole siedziała tylko Melania, cichym głosem rozmawiając z grupą składających kondolencje sąsiadów. Zajęta była przerabianiem sukni żałobnej, którą pani Elsing pożyczyła doktorowej. Dom pełen był kwaśnego zapachu farby domowej roboty, ponieważ w kuchni kucharka popłakując farbowała wszystkie suknie pani Meade.

- Jak się doktorowa czuje? - zapytała Scarlett po cichu.

- Ani jednej łzy nie uroniła - odparła Mela. - To straszne, kiedy kobieta nie może płakać. Nie rozumiem, jak mężczyźni potrafią znosić wszystkie bóle i nie płakać. Myślę, że to dlatego, że są silniejsi i odważniejsi od kobiet. Doktorowa mówiła, że sama pojedzie do Pensylwanii i sprowadzi jego ciało do domu. Doktor nie może opuścić szpitala.

- To będzie dla niej straszne! Czy Filip nie mógłby pojechać?

- Pani Meade boi się, że się zaciągnie do wojska, jak tylko się stąd wyrwie. Wiesz, że jest nad wiek rozwinięty, a teraz zaczynają już brać szesnastoletnich chłopców.

Sąsiedzi wychodzili kolejno, nie chcąc czekać na powrót doktora do domu, i Scarlett z Melanią zostały same, szyjąc pośpiesznie w salonie. Melania była smutna, ale spokojna, mimo że łzy kapały jej na suknię, którą trzymała w ręku. Nie przyszło jej widocznie na myśl, że walki trwają i że Ashley także już może nie żyje. Z przerażeniem w sercu Scarlett

zastanawiała się, czy powiedzieć Melanii o tym, co słyszała od Retta, czy też zatrzymać to dla siebie. Wreszcie postanowiła nic nie mówić. Melania nie powinna się nigdy dowiedzieć, jak bardzo Scarlett niepokoi się o Ashleya. Dziękowała Bogu, że wszyscy, z Melą i Pitty na czele, byli zbyt pochłonięci własnymi kłopotami, aby zwracać uwagę na jej zachowanie.

Po dłuższej chwili szycia w milczeniu usłyszały głosy i odsuwając firankę zobaczyły doktora Meade, zsiadającego z konia przed domem. Był przygarbiony, a głowa zwisała mu tak nisko na piersi, że siwa bródka rozłożyła się jak wachlarz. Wszedł wolno do domu, odłożył kapelusz i walizkę i nic nie mówiąc pocałował obie dziewczyny. Potem wolniutko wszedł na górę. Po chwili na dół zszedł Filip, wyrośnięty, niezgrabny, nieszczęśliwy. Młode kobiety czekały, czy się do nich nie przysiadzie, on jednak wyszedł na ganek, usiadł na najwyższym stopniu i ukrył twarz w dłoniach...

Mela westchnęła.

- Zły jest, że nie pozwalają mu się zemścić na Jankesach. Ma już piętnaście lat! Och, Scarlett, jakżebym ja chciała mieć takiego syna!

- Żeby ci go zabili? - krótko spytała Scarlett myśląc o Darcym.

- Lepiej mieć syna, który polegnie na wojnie, niż wcale nie mieć dzieci - rzekła Melania i głośno przełknęła ślinę. - Ty nie możesz tego zrozumieć, Scarlett, bo masz Wade'a, ale ja... Och, Scarlett, ja tak bardzo chciałabym mieć dziecko! Pewnie jesteś oburzona na mnie, że mówię tak otwarcie, ale jestem szczerą. Zresztą wiesz, że każda kobieta tego pragnie.

Scarlett powstrzymała się siłą od wybuchu.

- Jeżeli Bóg dopuści, że Ashley... polegnie mogłabym to łatwiej znieść, gdybym miała dziecko, choć wołałabym umrzeć z nim razem. Ale Bóg dałby mi siłę do przetrzymania tego. Nie mogłabym jednak przeboleć jego śmierci, jeżelibym nie miała z nim dziecka, które by mnie pocieszyło. Och, Scarlett, jaka ty jesteś szczęśliwa! Mimo żeś straciła Karola, masz jego syna. A jeżeli Ashley polegnie, mnie nic nie zostanie. Scarlett, przebacz mi, ale czasem bywam o ciebie zazdrosna.

- Zazdrosna, o mnie? - zawołała Scarlett w nagłym poczuciu winy.

- Tak, bo ty masz syna, a ja nie mam. Czasem nawet wmawiam sobie, że Wade jest mój, bo to takie straszne, jak się nie ma dzieci!

- Głupstwa pleciesz - rzekła Scarlett z ulgą. Obrzuciła szybkim spojrzeniem pochyloną nad szyciem drobną postać o zarumienionej twarzy, Melania może sobie pragnąć dzieci, ale budowy odpowiedniej do ich rodzenia niestety nie ma. Ma wzrost dwunastoletniej dziewczynki, wąskie biodra i bardzo płaską pierś. Sama myśl o tym, że Mela mogłaby mieć

dziecko, była Scarlett niemą. Pociągnęła za sobą inne myśli, które od siebie stale odsuwała. Gdyby Melania miała dziecko z Ashleyem, Scarlett poczułaby, że odebrano jej coś, co było tylko jej własnością.

- Wybacz mi, proszę, to, co powiedziałam o chłopcu. Wiesz przecież, że go bardzo kocham. Nie gniewasz się na mnie, prawda?

- Nie bądź głupia - rzekła Scarlett krótko. - Wyjdź lepiej na ganek, i zobacz, co się dzieje z Filipem. Zdaje mi się, że płacze.

## ROZDZIAŁ XV

Armia konfederacka, odepchnięta w głąb Wirginii, zatrzymała się na zimowe leże nad rzeką Rapidan - od czasu klęski pod Gettysburgiem była to wynędzniała, zdziesiątkowana armia - kiedy zaś zbliżyło się Boże Narodzenie, Ashley przyjechał na urlop. Scarlett, widząc go po raz pierwszy od dwóch lat, przeraziła się gwałtownością swoich uczuć. Stojąc w salonie Dwunastu Dębów podczas ślubu jego z Melanią myślała, że nigdy w życiu nie potrafi kochać go mocniej niż w owej bolesnej chwili. Teraz jednak wiedziała, że ówczesne jej uczucie było miłością zepsutego dziecka, które pozbawiono zabawki. Obecne uczucia jej były wyostrzone długimi marzeniami o Ashleyu, spotęgowane milczeniem i tęsknotą.

Ashley Wilkes, który zjawił się w wyblakłym, łatanym mundurze, Ashley o włosach spłowiałych od słońca, był kimś zupełnie innym niż spokojny i rozmarzony chłopiec, którego przed wojną kochała do szaleństwa. I tysiąc razy bardziej godnym miłości. Teraz był ogorzały i chudy - dawniej bładny i szczupły - długie zaś złote wąsy, opuszczone nad ustami na sposób kawalerski, nadawały mu idealny wygląd żołnierza.

Trzymał się sztywno w swoim starym mundurze. Pistolet nosił w zniszczonym olstrach, szabla uderzała o jego wysokie buty, nie oczyszczone ostrogi połyskiwały matowo - oto był major Ashley Wilkes, z kawalerii armii Południa. Widać było, że przywykł do dawania rozkazów, zyskał pewność siebie i poczucie władzy - dokoła ust jego potworzyły się surowe zmarszczki. Obcość jakaś tchnęła z jego kwadratowych ramion, z zimnego spojrzenia oczu. Dawniej powolny i raczej ospały, teraz stał się szybki jak kot, który się czai, bystry jak człowiek w stałym nerwowym napięciu. W oczach jego kryło się znużenie, opalona skóra ciasno obciągała kości policzkowe - był ciągle jeszcze pięknym Ashleyem, jednocześnie zaś zupełnie kimś innym.

Scarlett planowała początkowo, że spędzi Boże Narodzenie w Tarze, po nadejściu jednak depezy Ashleya żadna siła ludzka, nawet wyraźny rozkaz rozżalonej Ellen, nie mógł jej wyciągnąć z Atlanty. Gdyby Ashley pojechał do Dwunastu Dębów, pośpieszyłaby do Tary, aby żyć w jego pobliżu. Napisał jednak do rodziny, aby przyjechała do miasta, i pan Wilkes z córkami był już w Atlancie. Jechać teraz do domu i nie móc być z nim razem po dwóch długich latach rozłąki? Nie słyszeć jego głosu, nie czytać w jego oczach, że o niej nie zapomniał? Nigdy! Dla żadnej matki w świecie!

Ashley przyjechał cztery dni przed świętami z grupą innych młodych mężczyzn z powiatu - bardzo przeredzoną po Gettysburgu. Był w ich liczbie Cade Calvert, chudy,



wyschnięty. Cade, kaszlący bez przerwy; dwaj młodzi Munroe, nieprzytomni z podniecenia z powodu pierwszego od r. 1861 urlopu, oraz Aleks i Tonio Fontaine'owie, pijani, zawadiaccy i zaczepni. Chłopcy mieli dwie godziny czasu przed pociągiem do domu, a że powstrzymanie Fontaine'ów od bicia się ze sobą i z nieznanymi ludźmi na stacji wymagało nie lada dyplomacji, Ashley przyprowadził ich do ciotki Pittypat.

- Wydawałoby się, że mieli dość walk w Wirginii - rzekł z goryczą Cade przypatrując się, jak dwaj bracia wzięli się za łby o pierwszeństwo pocałowania podnieconej i zachwyconej ciotki Pitty. - Ale nie. Upijają się i robią burdy od chwili, gdyśmy zajechali do Richmondu. Tam ich zatrzymali żandarmi i gdyby nie wymowa Ashleya, musieliby spędzić święta w pace.

Scarlett jednak ledwie słyszała, co mówi Cade, tak była wniebowzięta, że znowu jest pod jednym dachem z Ashleyem. Jakże mogła myśleć nawet w ciągu tych dwóch lat, że inni mężczyźni są mili, przystojni czy interesujący? Jak mogła pozwalać na ich zaloty, kiedy na świecie był Ashley? Znowu zatem był w domu, oddzielony od niej tylko szerokością dywanu. Z całej siły musiała panować nad łzami szczęścia, które napływały, jej do oczu, gdy go widziała siedzącego na kanapie między Melą a Indią, objętego przez Honey od tyłu. Gdybyż to ona miała prawo siedzieć przy nim i trzymać go za rękę! Gdybyż mogła co parę chwil ciągnąć go lekko za rękaw, dla sprawdzenia, czy rzeczywiście jest blisko, gdybyż mogła trzymać dłoń jego w swojej i jego chusteczką ocierać sobie łzy radości! Wszystko to bowiem, nie wstydząc się wcale, robiła teraz Melania. Zbyt szczęśliwa, by zachować rezerwę, uwiesiła się u ramienia męża i wzrokiem, uśmiechem, łzami dawała wyraz swemu uwielbieniu. Scarlett zaś była zbyt szczęśliwa, aby mieć o to żal, zbyt zadowolona, aby czuć zazdrość. Ashley był nareszcie w domu!

Co chwila przykładła dłoń do policzka, w który ją pocałował, przypominała sobie dotknięcie jego warg i uśmiechała się. Nie pocałował jej oczywiście od razu. Mela rzuciła mu się w ramiona krzycząc słowa bez sensu, obejmując go tak mocno, jak gdyby nie chciała go nigdy od siebie puścić. Potem India i Honey zaczęły ścisnąć go i wyrywać prawie z ramion Meli. Potem całował się z ojcem - spokojnie i czule - pocałunkiem, w którym wyczuwało się ich wielkie przywiązanie do siebie. Potem przyszła kolej na ciotkę Pitty, która podskakiwała ze wzruszenia na swoich małych nóżkach. Wreszcie zwrócił się do Scarlett, otoczonej przez chłopców, którzy chcieli ją całować, powiedział: - Och, Scarlett! Ty śliczne, małe stworzenie! - i pocałował ją w policzek.

Pocałunek ten rozwiął wszystko, co chciała mu na powitanie powiedzieć. Dopiero w wiele godzin później uświadomiła sobie, że nie pocałował jej w usta. Wtedy zaczęła się

gorączkowo zastanawiać, czy pocałowałby ją, gdyby byli sami, czy pochyliłby nad nią swe smukłe ciało, podniósł ją i trzymał przy sobie przez długą, długą chwilę? Ponieważ zaś czuła się szczęśliwsza z tym przekonaniem, wyobrażała sobie, że tak by się właśnie z nią przywitał. Ale na wszystko jeszcze będzie czas, mieli cały tydzień przed sobą. Z pewnością będzie mogła mieć go na chwilę tylko dla siebie, a wtedy powie mu: „Czy pamiętasz nasze długie przejażdżki po nam tylko znanych drogach?”, „Czy pamiętasz księżyc tego wieczora, gdy siedzieliśmy na ganku w Tarze i ty deklamowałeś mi wiersz?” (Wielkie nieba! Jakież to był wiersz?), „Czy pamiętasz to popołudnie, kiedy zwichnęłam sobie nogę, a ty musiałeś mnie o zmierzchu przynieść na rękach do domu?” Och, tyle było zdań, które by można rozpocząć od słów: „Czy

pamiętasz?” Tyle najcenniejszych wspomnień, które odświeżyłyby mu w pamięci piękne dni, kiedy jeździli we dwoje po całym powiecie jak bez troskie dzieci; tyle szczegółów, które by mu na myśli przywiodły dni poprzedzające ukazanie się na widowni Melanii Hamilton. Podczas rozmowy zaś mogłaby może wyczytać w jego oczach wzruszenie, znak jakiś, że za barierą przywiązania małżeńskiego do Melanii kocha jeszcze ją, kocha tak namiętnie jak w dniu barbakoi, gdy wyznał jej całą prawdę. Nie myślała o tym, co nastąpiłoby, gdyby Ashley wyznał jej swoją miłość wyraźnie. Wystarczy jej świadomość, że ją kocha... Tak, Scarlett może poczekać, może pozwolić Melanii na wzruszoną godzinę obejmowania Ashleya i płaczu. Jej chwila także nadejdzie. Bo w gruncie rzeczy, cóż takie dziewczętko, jak Melania może wiedzieć o miłości?

- Najmilszy, wyglądasz jak obszarpaniec - rzekła Melania, kiedy jej pierwsze wzruszenie minęło. - Kto wyłatał ci mundur i dlaczego łaty są niebieskie?

- A mnie się wydawało, że wyglądam niezmiernie elegancko - odparł Ashley przyglądając się sobie. - Porównaj mnie tylko z tamtymi oberwańcami, a lepiej mnie ocenisz. Mojzesz wyłatał mi mundur. Zdawało mi się, że zrobił to doskonale, tym bardziej że nigdy przedtem nie miał igły w ręku. Jeżeli zaś chodzi o łaty, to kiedy trzeba wybierać między dziurami w spodniach a łatami wyciętymi z mundurów jeńców jankeskich - wyboru właściwie nie ma. Zamiast więc nazywać mnie obszarpańcem, powinnaś dziękować Bogu, że mąż twój nie wrócił do domu boso. W zeszłym tygodniu buty moje zdarły się zupełnie i byłbym przyjechał do domu w workach na nogach, gdyby nie udało mi się zabić dwóch jankeskich wartowników. Buty jednego z nich doskonale na mnie pasują.

Wyciągnął swe długie nogi w podniszczonych wysokich butach, aby wszyscy mogli je podziwiać.

- Natomiast mnie w butach drugiego wartownika wcale nie jest wygodnie - rzekł

Cade. - Są o dwa numery za małe i niemożliwie mnie gniotą. Mimo to przyjadę do domu jako człowiek bardzo wytworny.

- Ta wstrętna świnia nie chce dać butów żadnemu z nas - rzekł Tonio. - A na nasze małe, arystokratyczne nogi byłyby w sam raz. Wstydę się matce pokazać w tych chodakach. Przed wojną nie pozwoliłaby podobnych nosić nawet Murzynowi.

- Nie martw się - rzekł Aleks zerkając na buty Cade'a. - Zdejmiemy mu je w pociągu. Nie wstydę się pokazać mamie, nie mam jednak zamiaru kokietować Dimity Munroe gołymi palcami u nóg.

- Jak to, przecież to moje buty! Ja pierwszy chciałem je mieć - rzekł Tonio patrząc wściekle na brata. Melania więc, bojąc się, by znowu nie wybuchła jedna ze słynnych bójek, rozdzieliła chłopców i nakazała spokój.

- Miałem brodę, którą chciałem się pochwalić przed wami - rzekł Ashley, z zakłopotaniem trąc twarz, na której znać było zadrażnienia po goleniu. - Broda była tak piękna, że ani generał Stuart, ani Nathan Bedford Forrest nie mieli ładniejszej. Kiedyśmy jednak przyjechali do Richmondu, te dwa łobuzy - tu wskazał na Fontaine'ów - postanowili, że ponieważ golą swoje brody i ja powinienem się rozstać ze swoją. Trzymali mnie za ręce i golili, dziwię się więc bardzo, że głowy mi razem z brodą nie zgolili. Tylko dzięki wstawiennictwu Evana i Cade'a zdołałem uratować wąsy.

- Oto jest ludzka wdzięczność, pani Melanio! Powinna mi pani podziękować. Nie poznałaby pani Ashleya i z pewnością nie wpuściłaby go pani do domu - rzekł Aleks. - Zrobiliśmy to, bo chcieliśmy mu się zrewanżować za przekonanie żandarmów, aby nas nie wsadzili do więzienia. Ashley, jeżeli powiesz na nas jeszcze jedno słowo, zgolimy ci wąsy, nawet w tej chwili.

- Och, nie, dziękuję bardzo! - zawołała pośpiesznie Mela obejmując Ashleya z przestraczem... bo dwaj czupurni chłopcy gotowi byli spełnić tę groźbę. - Bardzo mi się jego wąsy podobają.

- Oto jest miłość - rzekli bracia, poważnie kiwając do siebie głowami.

Kiedy Ashley odwiózł chłopców na stację powozem ciotki Pitty, Melania pochwyciła Scarlett za rękę.

- Straszny jest ten jego mundur! Ależ się ucieszy z mojej kurtki! Gdybym mogła jeszcze dostać materiał na spodnie!

Kurtka Ashleya była dla Scarlett tematem bardzo bolesnym, ponieważ wołałaby, aby to ona, nie zaś Melania dawała mu ją w prezencie na gwiazdkę. Szare sukno mundurowe było teraz droższe od rubinów, Ashley więc nosił samodział jak inni. Nawet piaskowych

materiałów było mało, wielu żołnierzy nosiło zdobyte na jeńcach mundury jankeskie, ufarbowane na ciemnobrązowy kolor w wyciągu z łupin orzechowych. Melania jednak dzięki szczęśliwemu przypadkowi dostała kawałek sukna, wystarczający na kurtkę - wprawdzie krótką, ale jednak szarą kurtkę. Pielęgnowała niegdyś w szpitalu młodego chłopca z Charlestonu i gdy umarł, posłała jego matce kosmyk włosów syna, skąpą zawartość kieszeni i pełen współczucia list z dokładnym opisem ostatnich jego chwil, przemilczając straszne cierpienia. Wywiązała się między nimi korespondencja. Dowiedziawszy się z listu, że Melania ma na froncie męża, matka chłopca przysłała jej kawałek szarego sukna i mosiężne guziki, które kupiła dla syna. Był to śliczny materiał, gruby, ciepły, o matowym połysku - z pewnością przemycony przez blokadę i bardzo kosztowny. Teraz był już w rękach krawca, którego Melania poganiała, aby zdążył go uszyć na święta. Scarlett dałaby wszystko, co miała, aby móc Ashleyowi sprawić resztę munduru, ale potrzebnych materiałów nie można było w Atlancie dostać.

Przygotowała już wprawdzie dla niego prezent, ale drobny, tracący wszelkie znaczenie wobec wspaniałości podarunku Melanii. Była to podręczna torebka, uszyta z flaneli i zawierająca wszystkie cenne igły, przywiezione przez Retta z Nassau, trzy lniane chusteczki do nosa - z tego samego źródła - dwie szpulki nici i parę małych nożyczek. Chciała jednak dać mu jeszcze coś bardziej osobistego, coś takiego, co na przykład może żona dać mężowi - koszulę, parę rękawiczek czy kapelusz. Och tak, za wszelką cenę! Mała, płaska furażerka, którą nosił Ashley, wyglądała po prostu śmiesznie. Scarlett nie lubiła nigdy tych czapek. Mimo że nawet Stonewall Jackson nosił taką czapkę zamiast szerokiego filcowego kapelusza - uważała, że to mu bynajmniej nie przysparza godności. W Atlancie można było dostać tylko kapelusz z szorstkiej wełny, te zaś były nie o wiele lepsze od śmiesznych furażerek.

Rozmyślając o kapeluszu przypomniała sobie Retta Butlera. Miał niezliczoną ilość nakryć głowy - panamy na lato, wysokie cylindry na wizyty, małe kapelusiki do polowania oraz szerokie filcowe - brązowe, czarne i granatowe. Po co mu ich było aż tyle, gdy najukochańszemu jej Ashleyowi deszcz z pewnością kapał za kołnierz?

„Poproszę Retta, aby dał mi nowy, czarny kapelusz - postanowiła. - Przepaszę go szarą wstążką, przyszyję nowe naszywki Ashleya. Będzie wyglądał pięknie”.

Przerwała te marzenia, bo pomyślała, że trudno może będzie dostać kapelusz bez żadnego wyjaśnienia. Nie mogła się przyznać przecież, że kapelusz chciała dać Ashleyowi. Rett z pewnością podniósłby brwi w górę, jak zwykle, gdy choćby przelotnie wspominała imię Ashleya, i odmówiłby jej prawdopodobnie. Wymyśli więc jakąś żalną historię o żołnierzu w szpitalu, któremu potrzebny jest kapelusz, i Rett nigdy się prawdy nie dowie.

Przez całe popołudnie tak manewrowała, aby zostać z Ashleyem choćby na parę minut sama, ale Melania nie opuszczała go ani na chwilę. Honey zaś i India z błyszczącymi z podniecenia oczyma chodziły za nim po domu krok w krok. Nawet stary pan Wilkes, najwidoczniej dumny z syna, nie miał sposobności spokojnie z nim porozmawiać.

To samo powtórzyło się przy kolacji, gdy wszyscy zasypywali Ashleya pytaniami na temat wojny. Wojna! Kogo obchodzi wojna? Scarlett nie sądziła, żeby Ashleya ten przedmiot bardzo interesował. Nie przestawał gawędzić, śmiał się często i prowadził rozmowę z większą swadą niż kiedykolwiek dawniej, ale powiedział właściwie bardzo niewiele. Opowiadał żarty i anegdoty o znajomych, wesoło wspominał trudy, głód, długie marsze podczas słyoty i szczegółowo opisywał, jak wyglądał generał Lee, gdy przejeżdżając obok jego oddziału podczas odwrotu spod Gettysburga zapytał: „Panowie, czy należycie do wojsk Georgii? To dobrze, bo cóż byśmy poczęli bez was, georgijczyków?”

Scarlett wydawało się, że nie przestaje mówić, aby uniknąć odpowiedzi na pytania. Kiedy zauważyła, że Ashley spuszcza wzrok przed przenikliwym, pełnym smutku spojrzeniem swego ojca, zbudził się w niej lekki niepokój i zastanowienie, co też się kryje w sercu Ashleya? Te jednak uczucia szybko minęły, bo w duszy jej nie było miejsca na nic innego prócz zadowolenia z jego widoku i gorącego pragnienia porozmawiania z nim w spokoju.

Zadowolenie to trwało, dopóki wszyscy, siedzący półkolem przy kominku, nie zaczęli ziewać i pan Wilkes z córkami nie odszedł do swego hotelu. Wtedy zaś, gdy z Ashleyem, Melanią i ciotką Pittypat Scarlett wchodziła po schodach za niosącym lampkę wujem Piotrem, nagły mróz objął jej serce. Do chwili gdy razem stali w hallu na górze, Ashley był jej, tylko jej własnością, choć nie mogła z nim słowa na osobności zamienić. Teraz jednak, kiedy powiedzieli sobie dobranoc, zauważyła, że policzki Melanii pokrywają się nagle purpurą i że cała drży. Oczy miała wlepione w dywan i mimo że zdawała się być trochę przerażona, czuło się, że jest szczęśliwa. Nie podniosła nawet głowy, gdy Ashley otworzył przed nią drzwi sypialni, tylko szybko w nie weszła. Ashley pożegnał się krótko i wcale nie spojrzął w oczy Scarlett.

Drzwi zamknęły się za nim i Scarlett została sama, ogarnięta nagłą rozpaczą. Ashley nie należał już do niej. Należał do Melanii. I przez całe życie Melania będzie miała prawo wchodzić z nim do pokoju i zamykać za sobą drzwi - odgradzając się od reszty świata...

I oto Ashley znowu odjeżdżał z powrotem do Wirginii, z powrotem do długich marszów w mokrym śniegu, do biwaków na błocie, do trudów, niedostatku i ryzyka, że jasna uroda jego młodej głowy i dumnego ciała zmieciona zostanie w jednej chwili. Tydzień pełen

niezwykłego piękna i blasku, godziny, wezbrane szczęściem, przeminęły na zawsze.

Minał szybko jak sen tydzień pachnący sośniną i choinką rozświetloną małymi świeczkami i pozłotką robioną w domu - tydzień, którego minuty upływały w takt podnieconego bicia serca. Był to ruchliwy tydzień, a wewnętrzna, dziwna jakaś potrzeba pchała jeszcze Scarlett do zapełniania każdej minuty zdarzeniami, które by mogła rozpatrywać po wyjeździe Ashleya, faktami, nad którymi mogłaby się zastanawiać do woli podczas miesięcy bez końca, czerpiąc z nich pociechę i ukojenie. Tańczyła, śpiewała, załatwiała sprawunki dla Ashleya, uprzedzała jego życzenia, uśmiechała się, gdy on się uśmiechał, śledziła za nim wzrokiem, tak że każda linia jego ciała, każde drgnienie powiek, każdy grymas ust zapisywał się niezatarte w jej duszy - bo tydzień mija szybko, a wojna trwa wiecznie...

Teraz siedziała na kanapie w salonie, trzymając na kolanach swój pożegnalny prezent dla niego, czekała, aż pożegna się z Melanią, i modliła się, aby zszedł na dół sam i aby łaska Nieba pozwoliła jej na krótkie sam na sam. Łowiła chciwie dźwięki dochodzące z góry, ale dom był dziwnie cichy, tak cichy, że słyszała wyraźnie swój oddech. Ciotka Pitty łkała w swoim pokoju w poduszkę, bo Ashley pożegnał się z nią już przed pół godziną. Z sypialni Melanii nie słychać było ani odgłosu szeptów, ani płaczu. Scarlett wydawało się, że Ashley już całe godziny siedzi w tym pokoju; goryczą napelniał ją każdy moment, który spędzał z żoną, bo chwile mijały szybko, a czasu było już niewiele.

Przypomniała sobie wszystko, co chciała mu w ciągu ubiegłego tygodnia powiedzieć. Nie miała jednak sposobności i może teraz nie będzie jej miała.

Wiele głupstw takich, jak: „Ashleyu, przyrzeknij mi, że będziesz ostrożny, dobrze?”, „Proszę cię, uważaj, aby nie przemoczyć sobie nóg. Tak łatwo się zaziębiasz”, „Nie zapominaj wkładać gazet pod koszulę na piersi. To doskonale chroni przed wiatrem”. Było jeszcze i wiele innych spraw, które chciała poruszyć, wiele słów, znacznie ważniejszych, które chciała od niego usłyszeć lub wyczytać z jego oczu, gdyby ich nie mógł czy nie chciał wypowiedzieć głośno.

Tyle miała rzeczy do powiedzenia i tak mało czasu! Nawet te pozostałe chwile zostaną jej wydarte, jeżeli Melania odprowadzi go do drzwi czy do powozu. Dlaczego nie stworzyła odpowiedniej okazji w minionym tygodniu? Zawsze jednak Melania była u boku męża, a oczy jej pieściły go z uwielbieniem - albo też dniem i nocą dom pełen był przyjaciół i krewnych i w rezultacie Ashley nigdy nie był sam. Potem, późno w noc, drzwi sypialni zamykały się i zostawał sam na sam z Melanią. Ani razu w ciągu tych ostatnich dni nie zdradził się przed Scarlett spojrzeniem czy słowem, że czuje do niej cośkolwiek więcej niż

przywiązanie, jakie ma brat do siostry czy przyjaciel dla długoletniej przyjaciółki. Nie mogła więc pozwolić, aby odjechał może na zawsze, a ona została w niepewności, czy jeszcze ją kocha. Gdyby poległ, mogłaby do końca swoich dni pielęgnować w sobie pociechę, że kochał ją potajemnie.

Po czekaniu, które zdawało się wiecznością, usłyszała wreszcie jego kroki w sypialni na górze, a potem odgłos otwarcia i zamknięcia drzwi. Usłyszała kroki jego na schodach. Był sam!

Dzięki niechaj będą Bogu za to! Melania była pewno zbyt przejęta rozstaniem, aby wyjść z pokoju. A więc będzie go miała dla siebie na kilka bezcennych chwil!

Schodził wolno po schodach, ostrogi jego dzwoniły i Scarlett słyszała ciche uderzenie szabli o cholewy. Kiedy wszedł do salonu, miał posępny wyraz oczu. Usiłował uśmiechnąć się, ale twarz miała tak bladą i umęczoną, jak twarz człowieka, z którego krew uchodzi. Scarlett wstała, gdy wszedł, myśląc z dumą, że był najprzystojniejszym żołnierzem, jakiego kiedykolwiek widziała. Pas jego i długie olstry lśniły, a srebrne ostrogi i pochwa szabli błyszczały od wielokrotnego czyszczenia. Nowa kurtka nie leżała zbyt dobrze, bo krawiec się spieszył i niektóre szwy wypadły krzywo. Szarość jej odcinała się od piaskowych, znoszonych i połatanych spodni i zniszczonych butów, lecz gdyby nawet nosił srebrną zbroję, nie mógłby się Scarlett wydawać piękniejszym rycerzem.

- Ashleyu - zaczęła prosić - czy mogę cię odprowadzić na stację?

- Proszę cię, zostań w domu, Scarlett... Ojciec i dziewczęta będą na dworze. Ponadto zaś wolę pożegnać się z tobą tutaj, niż zapamiętać cię marznącą na stacji. Wspomnienia są teraz bardzo ważne.

Momentalnie zmieniła plan. Jeżeli India i Honey, które tak bardzo jej nie lubią, będą go odprowadzały, nie zdoła z nim spokojnie zamienić słowa.

- Wobec tego nie pójdę - powiedziała. - Popatrz, Ashleyu! Mam dla ciebie jeszcze jeden prezent.

Onieśmielona teraz, w chwili gdy miała już mu wręczyć podarunek, wolno rozwinęła paczkę. Leżała w niej długa szarfa z grubego jedwabiu, zakończona ciężką frędzlą. Rett Butler przywiózł jej z Hawany przed kilkoma miesiącami żółty szal, bogato haftowany w kwiaty i czerwone i niebieskie ptaki. W ciągu ubiegłego tygodnia cierpliwie wypruła haft, rozcięła szal i zeszyła w długą szarfę.

- Scarlett, to przecież piękne! Czy zrobiłaś to sama? Będę zatem cenił to sobie tym więcej. Pomóż mi to włożyć, moja droga. Chłopcy pozielenieją z zazdrości, gdy mnie zobaczą wystrojonego w nową kurtkę i w taką szarfę.

Owinęła jaskrawy pas jedwabiu dokoła jego smukłej talii, a końce szarfy zawiązała w węzeł. Wprawdzie Melania dała mu nową kurtkę, ale szarfa była jej darem, jej nagrodą, czymś, na co będzie mógł patrzeć w bitwie, co będzie mu ją przypominało. Odstąpiła w tył i oglądała go z dumą, myśląc sobie, że nawet sam generał Stuart w swojej szarfie i pióropuszu nie wygląda tak wspaniale jak jej ukochany.

- To piękne - powtarzał rozczesując frędzle. - Zdaje mi się jednak, że pocięłaś sobie suknię czy szal na tę szarfę. Nie powinnaś była tego robić, Scarlett. W dzisiejszych czasach tak trudno o ładne rzeczy.

- Och, Ashleyu, ja bym...

Chciała powiedzieć: „Ja bym serce pokrajała, abyś mógł je nosić” - ale rzekła tylko:

- ...ja bym wszystko zrobiła dla ciebie.

- Czy naprawdę? - zapytał i twarz jego rozjaśniła się trochę. - A więc, Scarlett, możesz coś dla mnie zrobić, coś, co ułatwi mi rozstanie.

- Co takiego? - zapytała radośnie, gotowa przyrzec rzeczy najtrudniejsze.

- Scarlett, czy możesz mi przyrzec, że będziesz się opiekowała Melą w moim zastępstwie?

- Opiekowała się Melą?

Gorzkie rozczarowanie wypełniło jej serce. Więc to była jego ostatnia prośba, kiedy tak chciała przyrzec mu coś pięknego, coś efektownego! Potem zaś ogarnął ją gniew. Ta chwila była jej własna, jej i Ashleya. A przecież mimo że Melanii nie było, cień jej stał i teraz między nimi. Jakże mógł prosić ją o taką rzecz?

On jednak nie zauważył rozczarowania na jej twarzy. Jak dawniej oczy jego patrzyły poprzez nią gdzieś dalej, wcale jej nie widząc.

- Tak, opiekuj się nią, pilnuj jej. Ona jest bardzo wątpa, a wcale nie zdaje sobie z tego sprawy. Zniszczy się zupełnie, pielęgnując chorych i szyjąc. I taka jest łagodna i nieśmiała. Poza ciotką Pitty, wujem Henrykiem i tobą nie ma żadnych bliskich krewnych, tylko kuzynów z trzeciej linii w Macon. Ciotka Pitty, Scarlett, wiesz najlepiej, jaka ona dziecinna. Wuj Henryk jest starym człowiekiem. Melania kocha cię bardzo, nie tylko dlatego, że byłaś żoną Karola, ale dlatego - no, dlatego, że jesteś sobą. Kocha cię jak siostrę. Scarlett, trapią mnie koszmary, kiedy pomyślę, co się z nią stanie, jeżeli mnie zabiją i nie będzie się miała do kogo zwrócić! Czy mi przyrzekasz?

Nie słyszała nawet jego ostatniego pytania, tak bardzo przeraziła się złowrogich słów: „Jeżeli mnie zabiją”.

Co dzień czytała listy poległych, czytała ze ściśniętym sercem, czując, że świat się dla



niej skończy, jeżeli zabiją Ashleya. Zawsze jednak, zawsze miała wewnętrzne przekonanie, że nawet gdy cała armia Konfederacji zostanie rozbita, Ashley się uratuje. Teraz zaś on sam wypowiedział te straszne słowa! Pokryła się gęsią skórka, a później zimnym potem, bo ogarnął ją zabobonny strach, którego nie mogła zwalczyć rozumem. Była w dostatecznej mierze Irlandką, aby wierzyć w przeczucia, zwłaszcza zaś w przepowiednie śmierci, a w szarych oczach Ashleya wyczytała głęboki smutek, który tłumaczyła sobie jako smutek człowieka dotkniętego zimnym palcem śmierci.

- Nie mów tak! Nie myśl tak nawet! To zły omen mówić na głos o śmierci! Och, zmów jakąś modlitwę, szybko!

- Ty ją za mnie zmówisz i zapalisz na dodatek kilka świeczek - rzekł uśmiechając się z powodu jej przerażenia.

Ona jednak nie mogła odpowiedzieć, tak była przerażona obrazami, które przed sobą widziała, obrazem Ashleya leżącego na śniegu w Wirginii i umierającego z daleka od niej... On tymczasem mówił dalej, a w głosie jego brzmiała nuta takiego smutku, takiej rezygnacji, że strach jej wzmógł się jeszcze, a gniew i rozczarowanie znikły bez śladu.

- Proszę cię o to dlatego, Scarlett, że nie wiem, co się stanie ze mną ani z kimkolwiek z nas. Kiedy jednak przyjdzie koniec, będę z dala stąd, nawet jeżeli wyżyję... zbyt daleko, aby móc się opiekować Melanią.

- Ko... koniec? Czego?

- Koniec wojny... i koniec świata.

- Ależ Ashleyu, ty chyba nie myślisz, że Jankesi nas pobiją? Przez cały tydzień opowiadałeś, jak silny jest generał Lee...

- Przez cały tydzień kłamałem, jak wszyscy mężczyźni, którzy przyjeżdżają na urlop. Po cóż miałbym przerażać Melanię i ciotkę Pitty, gdy mogę im teraz tego strachu zaoszczędzić? Tak, Scarlett, myślę, że Jankesi nas zwyciężą. Gettysburg był początkiem końca. Wy tutaj w domu jeszcze o tym nic nie wiecie. Nie uświadamiacie sobie, jak sprawy stoją... Scarlett, niektórzy z moich żołnierzy chodzą boso, a śnieg w Wirginii jest głęboki... A kiedy widzę ich biedne, odmrożone nogi, owinięte szmatami i starymi workami, kiedy widzę krwawe ślady na śniegu i wiem, że ja mam parę butów, chciałbym oddać buty i także chodzić boso.

- Och, Ashleyu, musisz mi przyrzec, że tego nie zrobisz!

- Kiedy zaś potem patrzę na Jankesów, widzę koniec wszystkiego. Przecież, Scarlett, Jankesi kupują sobie w Europie żołnierzy całymi tysiącami! Większość jeńców, których ostatnio pojaliśmy, nie mówi nawet po angielsku. To Niemcy, Polacy i dżicy Irlandczycy,

którzy mówią po gaelicku. A kiedy my tracimy człowieka, nie mamy go kim zastąpić. Kiedy niszczy się nam para butów, nie mamy drugiej. Jesteśmy osaczeni ze wszystkich stron, Scarlett. A nie możemy przecież walczyć z całym światem.

Myślała z gwałtownością: „Niechby cała Konfederacja rozpadła się w proch! Niechaj się świat skończy, bylebyś ty nie umarł! Nie mogłabym żyć, gdybyś ty zginął!”

- Mam nadzieję, że nie powtórzysz nikomu tego, co tobie, Scarlett, powiedziałem. Nie chcę nikogo straszyć. I, moja droga, nie niepokoiłbym i ciebie tymi rzeczami, gdybym nie musiał ci wytłumaczyć, dlaczego chcę, abyś opiekowała się Melą. Ona jest słaba i wątła, a ty jesteś silna, Scarlett. Sprawi mi to wielką ulgę, jeżeli zyskam pewność, że będziecie razem, w wypadku, gdy się coś stanie. Przrzekasz mi, prawda?

- O, tak! - zawołała, bo w tej chwili, widząc śmierć koło niego, przrzekłaby mu wszystko. - Ashleyu, Ashleyu! Ja nie chcę, abyś odjeżdżał! Nie mogę tego po prostu znieść!

- Musisz być odważna - odrzekł i głos trochę mu się zmienił. Stał się dźwięczniejszy, głębszy i słowa padały teraz szybciej, jak gdyby gnała je wewnętrzna potrzeba.

- Musisz być dzielna. Bo jakże ja to inaczej zniosę?

Oczywiście poszukała jego wzroku, szybko i radośnie, zastanawiając się, czy chciał powiedzieć, że rozstanie się z nią łamie mu serce tak samo jak jej. Twarz miał równie bolesną jak w chwili, gdy wszedł do pokoju. Z oczu niczego nie mogła wyczytać. Pochylił się teraz, wziął twarz jej w dłonie i pocałował ją lekko w czoło.

- Scarlett! Scarlett! Ty jesteś piękna, mocna i dobra. Piękna jest nie tylko twoja twarz, moja droga, ale ty cała - ciało twoje, serce i dusza.

- Och, Ashleyu - wyszeptała, szczęśliwa i wzruszona jego słowami i dotknięciem jego ust. - Nikt, tylko ty...

- Wierzę, że znam cię lepiej niż większość ludzi, i widzę w tobie te wszystkie głęboko ukryte piękne rzeczy, których inni z pośpiechu czy bezmyślności nie dostrzegają.

Umilkł nagle, puścił jej twarz, ale nie przestał patrzeć w jej oczy. Czekwała chwilę w napięciu, czy powie coś jeszcze, wyteżęła słuch, czy usłyszy magiczne dwa słowa. Nie doczekała się ich jednak. Patrzyła zapamiętale w jego twarz, a wargi jej drżały - bo czuła, że Ashley nic już nie powie.

Tego drugiego zawodu serce jej nie mogło znieść. Wyszeptała cicho: „och” i usiadła, bo oczy jej napełniły się łzami. Naraz usłyszała złowróbnny hałas, który jej uświadomił nieodwołalność wyjazdu Ashleya. Poganin, słyszący pluskanie wody dokoła łodzi Charona, z pewnością nie czuł się gorzej niż ona w owej chwili. Wuj Piotr, nakryty derką, podjechał przed dom i czekał na Ashleya.

Ashley powiedział bardzo cicho: - Do widzenia! - wziął ze stołu duży filcowy kapelusz, który Scarlett wycygała od Retta, i skierował się w stronę ciemnego przedpokoju. Z ręką na klamce odwrócił się i spojrzał na nią długim, rozpaczliwym spojrzeniem, jak gdyby chciał na zawsze zapamiętać każdy szczegół jej twarzy i postaci. Poprzez mgłę łez patrzyła na jego twarz, ból serca mówił jej teraz, że Ashley odjeżdża, że będzie z dala od jego opieki, z dala od bezpiecznej przystani domu, z dala od jej życia, może już na zawsze - nie powiedziawszy tych słów, które tak bardzo chciała usłyszeć. Czas biegł szybko jak górski potok i teraz było już za późno. Potykając się przebiegła przez salon, wpadła do przedpokoju i zatrzymała Ashleya, chwytając go za końce szarfy. - Pocałuj mnie - szepnęła. - Pocałuj mnie na pożegnanie! Ramiona jego otoczyły ją łagodnie, pochylił głowę ku jej twarzy. Czując dotknięcie jego warg na swoich otoczyła mu momentalnie szyję ramionami i mocno pocałowała. Przez mgnienie oka przycisnął całe jej ciało do swego. Potem poczuła nagle naprężenie wszystkich jego mięśni. Rzucił niecierpliwie kapelusz na podłogę i oderwał jej rękę od swojej szyi.

- Nie, Scarlett, nie - rzekł cicho trzymając jej obie ręce w uścisku, który bolał.

- Kocham cię - powiedziała zdławionym głosem. - Zawsze cię kochałam. Nigdy nie kochałam nikogo innego. Wyszłam za Karolka, bo myślałam, że sprawi ci to przykrość. Och, Ashleyu, kocham cię tak bardzo, że poszłabym za tobą pieszo do Wirginii, byle być blisko ciebie. Gotowałabym dla ciebie, czyściła buty i konia. Ashleyu, powiedz, że mnie kochasz! Będę to wspominała do końca swoich dni!

Pochylił się raptownie, aby podnieść kapelusz, i wtedy zobaczyła jego twarz. Była to najbardziej zboląca twarz, jaką kiedykolwiek miała widzieć - twarz, z której opadła maska. Malowała się na niej miłość do niej, radość, że go kocha - przede wszystkim jednak wstyd i rozpacz.

- Do widzenia - powiedział ochryple.

Drzwi wejściowe otworzyły się, zimny wiatr wpadł do domu i poderwał firanki. Scarlett drżała patrząc, jak Ashley biegnie w stronę powozu, jak rozwiewają się frędzle jego szarfy, jak szabla jego błyszczy w mdłym świetle zimowego dnia.

## ROZDZIAŁ XVI

Styczeń i luty roku 1864 minęły zimne i deszczowe, znacząc się coraz powszechniejszym przygnębieniem i smutkiem. Niezależnie od klęsk pod Gettysburgiem i Vicksburgiem, front środkowy Południa został przełamany. Po ciężkich walkach całe prawie terytorium stanu Tennessee zajęte zostało przez Jankesów. Nawet jednak i ta strata nie zdołała złamać ducha południowców. Prawda, że ponura determinacja zajęła miejsce radosnych nadziei, ale ludzie ciągle jeszcze spodziewali się, że spod chmury wyjrzy wreszcie słońce, tym bardziej iż Jankesi zostali we wrześniu odparci, gdy po zwycięstwie w Tennessee usiłowali zająć Georgię.

Na południowo-zachodnim krańcu stanu, pod Chickamauga, po raz pierwszy od wybuchu wojny odbyła się ogromna bitwa na ziemi Georgii. Jankesi zajęli Chattanooga i pomaszerowali przez przełęcz górskie do Georgii, ponieśli jednak ciężkie straty.

Atlanta i jej koleje odegrały poważną rolę przy przechyleniu szali zwycięstwa pod Chickamauga na stronę Południa. Dzięki kolei, która prowadziła z Wirginii do Atlanty i dalej do Tennessee, wojska generała Longstreeta szybko przetransportowano na pole walki. Z mierzącej siedemset mil linii usunięto wszystkie pociągi, a wszystkie wagony oddano wojsku, aby nic nie stało na przeszkodzie transportowi posiłków.

Atlanta przyglądała się przejeżdżającym przez miasto pociągom, wagonom pasażerskim, towarowym i otwartym platformom, pełnym wykrzykujących mężczyzn. Jechali głodni i niewyspani, bez koni, ambulansów i zapasów żywności, i nie czekając na nie, prosto z pociągów rzucali się w wir bitwy. Jankesi zostali więc wyparci z Georgii z powrotem do Tennessee.

Było to jedno z większych dokonań wojny, Atlanta więc dumna była z tego, że to jej pociągi przyczyniły się do zwycięstwa.

Południe bardzo jednak potrzebowało dobrych wieści spod Chickamauga, aby podnieść się na duchu na czas zimy. Nikt już teraz nie przeczył, że Jankesi są dobrymi żołnierzami i że mają dobrych dowódców. Grant był rzeźnikiem, który nie dbał o to, ilu ludzi wysyła na śmierć dla jednego zwycięstwa, ale zwycięstwa odnosił. Nazwisko Sheridana napawało strachem serca południowców. Poza tym słyszało się coraz częściej nazwisko jakiegoś Shermana. Wybił się podczas walk w Tennessee i na Zachodzie i sława jego jako zdecydowanego i bezwzględneho wojownika ustalała się coraz pewniej.

Rozumie się, że żaden z nich nie mógł się równać z generałem Lee. Wiara w generała

i w armię jeszcze nie osłabła. Pewność bliskiego zwycięstwa trwała niezachwianie. Wojna jednak ciągnęła się zbyt długo. Tylu zabitych, tylu rannych i okaleczonych, tyle wdów i sierot... I wiadomo było, że walki potrwać jeszcze długo, co znaczyło jeszcze więcej zabitych i rannych, więcej wdów i sierot.

Sprawę pogarszała nieufność do rządu, która z wolna ogarniała ludność cywilną. Wiele gazet jawnie oskarżało prezydenta Davisa i jego sposób prowadzenia wojny. W rządzie Konfederacji były rozdziewki i tarcia między prezydentem a generałem. Waluta spadała z dnia na dzień. Butów i odzieży dla armii było mało, żywności i lekarstw jeszcze mniej. Kolejne potrzebowały nowych wagonów i nowych szyn dla zastąpienia tych, które niszczyli Jankesi. Generałowie w polu domagali się nowych zaciągów, a o rekruta było coraz trudniej. Co gorsza, gubernatorzy niektórych stanów, jak Brown z Georgii, odmawiali wysłania oddziałów milicji i broni poza granice stanów. W oddziałach stanowych służyło wiele tysięcy zdolnych do noszenia broni mężczyzn, których armia potrzebowała, ale rząd na próżno domagał się ich przysłania.

Po ponownym spadku waluty ceny znowu podskoczyły. Wołowina, wieprzowina i masło kosztowały po trzydzieści pięć dolarów funt, mąka - tysiąc czterysta dolarów worki, soda - sto dolarów, herbata - pięćset dolarów funt. Ciepła odzież, o którą zresztą było bardzo trudno, osiągnęła tak niemożliwe ceny, że panie z Atlanty podszywały stare suknie gałgankami i gazetami, aby ochronić się przed chłodem. Buty kosztowały od dwustu do ośmiuset dolarów para, w zależności od tego, czy zrobione były z tektury, czy z prawdziwej skóry. Panie nosiły teraz bambosze ze starych wełnianych szali lub pociętych dywanów. Podeszwy robione były z drzewa.

Prawda polegała na tym, że Północ trzymała Południe w stanie nie kończącego się oblężenia, choć mało kto zdawał sobie z tego sprawę. Okręty wojenne Jankesów zacieśniały w portach swoją blokadę, przez którą trudno się było przedostać.

Południe żyło zawsze z bawełny, artykuły zaś, których nie produkowało, importowano - teraz jednak nie można było ani sprzedawać, ani kupować. Gerald O'Hara miał trzyletni zbiór bawełny w spichrzach, ale mało było z tego korzyści. W Liverpoolu dostałby za nią sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów, nie było jednak sposobu wywiezienia bawełny do Anglii. Gerald z bogacza stał się człowiekiem, który nie wie, z czego wyżywi zimą rodzinę swoją i Murzynów.

Większość plantatorów bawełny na Południu była w tej samej sytuacji. Z powodu zacieśnienia się blokady nie można było wywieźć zbiorów na rynki angielskie, tym samym więc nie było pieniędzy na zakup potrzebnych artykułów. Potrzeby zaś rolniczego Południa,

prowadzącego wojnę z przemysłową Północą, zwiększały się stale - zwłaszcza potrzebowano rzeczy, których nigdy w czasie pokoju nie sprowadzano.

Sytuacja ta była wymarzona dla spekulantów i paskarzy, nie brakło więc ludzi, którzy ją wykorzystywali. W miarę jak żywności i odzieży było mniej, a ceny coraz bardziej skakały, oburzenie na spekulantów stawało się powszechniejsze i groźniejsze. Na samym początku 1864 r. nie można było otworzyć gazety, aby nie napotkać pełnych oburzenia artykułów wstępnych, w których spekulantów nazywano sępami i pijawkami i apelowano do rządu, aby zabrał się do nich silną ręką. Rząd robił, co mógł, wysiłki te spełzły jednak na niczym, ponieważ gnębiły go jeszcze i inne zmartwienia. Opinia nie zwracała się przeciw nikomu tak ostro jak przeciw Rettowi Butlerowi. Sprzedał statki, gdy przemyt przez blokadę stał się zbyt niebezpieczny, i teraz otwarcie zajmował się spekulacją artykułami żywnościowymi. Wiadomości o nim, dochodzące z Richmondu czy Wilmingtonu, sprawiały, że ci, którzy przyjmowali go dawniej, palili się teraz ze wstydu.

Mimo tych wszystkich utrapień i przykrości ludność Atlanty wzrosła podczas wojny z dziesięciu tysięcy do dwudziestu. Nawet blokada dodała miastu splendoru. Od niepamiętnych czasów największą rolę w handlu i największe znaczenie miały na Południu miasta nadbrzeżne, teraz jednak, gdy porty były zamknięte, a miasta wybrzeża oblężone czy zajęte przez wroga, Południe zdane zostało wyłącznie na siebie. Do głosu doszła część centralna, mogąca przyczynić się do wygrania wojny, i Atlanta stała się głównym ośrodkiem życia. Ludność miasta cierpiała nędzę, głód, choroby i śmierć w tym samym stopniu, co reszta Konfederacji; ale miasto Atlanta zyskało raczej, niż straciło na wojnie. Atlanta, serce Konfederacji, pulsowała żywo, a koleje, które były jej arteriami, tętniły nie kończącym się strumieniem ludzi, broni, towarów.

W innych czasach Scarlett trapiłaby się z powodu swoich nędznych sukien i łatanych butów, teraz jednak nie dbała o to, ponieważ jedyny człowiek, na którym jej zależało, i tak nie mógł jej oglądać. Była szczęśliwa podczas tych dwóch miesięcy, szczęśliwsza niż w ubiegłych latach. Czyż nie czuła bicia serca Ashleya w chwili, gdy objęła go za szyję? Czyż nie widziała wyrazu rozpaczki na jego twarzy, wyznania więcej mówiącego od słów? Kochał ją. Była tego pewna teraz, przekonanie to zaś było tak przyjemne, że stała się nawet lepsza dla Melanii. Mogła teraz Melanii żałować - żałować i trochę nią gardzić za jej ślepotę i głupotę.

„Gdy wojna wreszcie się skończy... myślała. - Gdy się skończy, wtedy...”

Czasem zastanawiała się z lekkim niepokojem: „Co wtedy?” Myśl tę odrzucała jednak szybko. Gdy wojna się skończy, wszystko się jakoś ułoży. Jeżeli Ashley kocha ją, nie zechce przecież żyć z Melanią. O rozwodzie jednak także nie można było myśleć, Ellen i Gerald,

gorliwi katolicy, nigdy by nie pozwolili jej poślubić rozwiedzionego mężczyzny. Znaczyłoby to, że wyrzeka się Kościoła! Scarlett rozmyślała nad tym i postanowiła, że jeżeli dojdzie do wyboru między Kościołem a Ashleyem, wybierze Ashleya. Ale, ach, jaki to będzie skandal! Rozwodnicy byli na indeksie nie tylko Kościoła, ale i towarzystwa. Rozwiedzionych nie przyjmowano nigdzie. Ona jednak gotowa była poważyc się dla Ashleya i na to. Wszystko była w stanie dla niego poświęcić.

Każda rzecz ułoży się jakoś pomyślniej, gdy wojna się skończy. Jeżeli kocha ją tak bardzo, znajdzie na wszystko sposób. Albo ona mu jakiś sposób podsunie. I z każdym dniem, który mijał, coraz silniej upewniała się w swoim sercu, że Ashley ją kocha, coraz mocniej była przekonana, że gdy Jankesi zostaną wreszcie zwyciężeni, wszystko ułoży się jak najpomyślniej. Ashley wprawdzie mówił, iż Jankesi zwyciężą Południe, Scarlett uważała to jednak za puste gadanie. Musiał być zmęczony i smutny, gdy to powiedział. W gruncie rzeczy nie obchodziło ją to wcale, czy Jankesi zwyciężą, czy nie. Najważniejsze było, aby wojna skończyła się szybko i Ashley mógł wrócić do domu.

Nagle, kiedy roztopy marcowe uniemożliwiły wychodzenie z domu, padł straszny cios. Melania z oczyma błyszczącymi z radości, z głową pochyloną powiedziała jej, że spodziewa się dziecka.

- Doktor Meade powiada, że urodzi się w końcu sierpnia lub we wrześniu - rzekła. - Przypuszczałam tak, ale do dzisiaj nie miałam pewności. Och, Scarlett, czy to nie nadzwyczajne? Tak ci zazdrościłam Wade'a i tak pragnęłam mieć dziecko! I tak się bałam, że nie będę miała dziecka, a chciałabym ich mieć kilkanaścioro!

Scarlett czesała się przed spaniem, kiedy jej Mela to powiedziała. Przerwała teraz czesanie, a ręka z grzebieniem zawisła jej w powietrzu.

- Boże złoty! - powiedziała i przez chwilę nie mogła niczego zrozumieć. Potem nagle przypomniała sobie zamknięte drzwi sypialni Meli i przeszył ją ból tak ostry, jak gdyby Ashley był własnym jej mężem i dowiedziała się teraz o jego zdradzie. Dziecko Ashleya. Och, jakże on mógł, kiedy kochał ją, a nie Melę.

- Wiem, że jesteś zdziwiona - paplała Melania jednym ciągiem. - Czy to nie nadzwyczajne? Och, Scarlett, nie wiem zupełnie, jak o tym napisać Ashleyowi! Nie wstydziłabym się tak bardzo, gdybym mu to mogła powiedzieć osobiście - czy też... właściwie nie powiedzieć, ale dać mu stopniowo do zrozumienia... no wiesz...

- Boże złoty! - rzekła Scarlett, prawie z jękiem. Grzebień wypadł jej z ręki i musiała się oprzeć o toaletkę, aby nie upaść.

- Kochanie, co się z tobą dzieje? Wiesz przecież sama, że rodzenie dzieci to nic

straszego. Sama tak mówiłaś. Nie potrzebujesz się o mnie martwić, choć to ładnie z twojej strony, że się tym przejęłaś tak bardzo. Wprawdzie doktor Meade powiedział, że jestem... - Melania zarumieniła się w tym miejscu - że jestem bardzo wąsko zbudowana, ale wszystko powinno przejść dobrze i... Słuchaj, Scarlett, czyś ty napisała do Karolka i powiedziała mu o tym, że Wade ma się urodzić, czy też zrobiła to twoja matka lub pan O'Hara? Och gdybym ja miała matkę, która by mnie wyreczyła! Nie wiem po prostu, jak...

- Cicho! - rzekła Scarlett gwałtownie. - Cicho!

- Och, Scarlett, ja wiem, że jestem głupia! Przepraszam cię. Wiem, że wszyscy ludzie szczęśliwi są samolubni. Na chwilę... zupełnie zapomniałam o Karolku...

- Cicho! - powtórzyła znowu Scarlett starając się nad sobą zapanować i doprowadzić twarz do porządku. Melania nie powinna się dowiedzieć, co się w niej działo.

Melania, najtaktowniejsza z kobiet, miała teraz łzy w oczach z powodu swego egoizmu. Że też mogła przypomnieć Scarlett te straszne chwile wiedząc, iż Wade urodził się w wiele miesięcy po śmierci biednego Karola! Jakże mogła być tak bezmyślna?!

- Pozwól, abym cię rozebrała, kochanie - rzekła pokornie. - Natrę ci trochę głowę.

- Zostaw mnie w spokoju - rzekła Scarlett z kamiennym wyrazem twarzy. Melania zaś, wybuchając płaczem z żalu do siebie samej, uciekła z pokoju zostawiając Scarlett samą - szarpaną zranioną dumą, rozczarowaniem i zazdrością.

Wydawało jej się, że nie potrafi dłużej mieszkać pod jednym dachem z kobietą, która nosiła dziecko Ashleya, projektowała ucieczkę do Tary, do domu, gdzie było jej miejsce. Nie wiedziała, jak będzie mogła patrzeć na Melanię i nie wydać swej tajemnicy. Następnego ranka wstała zdecydowana, że natychmiast po śniadaniu spakuje kufry. Ale kiedy zasiadły do śniadania, Scarlett milcząca i ponura, Pitty niespokojna, a Melania smutna - przyniesiono telegram.

Zaadresowany był do Melanii i nadany przez służącego Ashleya, Mojżesza.

„Szukałem go wszędzie, ale nie mogę znaleźć. Czy wracać do domu?”

Żadna z kobiet nie wiedziała, co to znaczy, ale oczy ich spotkały się rozszerzone strachem i Scarlett zapomniała o decyzji powrotu do domu. Nie kończąc śniadania pojechały do miasta, aby zadeszować do dowódcy Ashleya, w chwili jednak gdy wchodziły na pocztę, doręczono im telegram.

„Z zalem zawiadamiam, że major Wilkes nie wrócił z rekonesansu trzy dni temu. Wiadomości nadeśle?”

Powrót do domu był straszny: ciotka Pitty płakała w chusteczkę, Melania siedziała sztywno, a Scarlett skuliła się w kącie powozu. Natychmiast po powrocie Scarlett potykając



się poszła do siebie, schwyciła ze stolika różaniec, padła na kolana i próbowała się modlić. Żadna modlitwa nie przychodziła jej jednak na pamięć. Ogarnął ją śmiertelny strach, pewność, że Bóg odwrócił od niej swe oblicze. Pokochała żonatego mężczyznę, chciała go zabrać z żoną, Bóg więc pokarał ją za to jego śmiercią. Chciała się modlić, ale nie mogła oczu podnieść ku Niebu. Chciała płakać, ale nie miała łez. Łzy gniotły ją, paliły, ale spłynąć nie chciały.

Drzwi jej pokoju otwarły się nagle i weszła Melania. Twarz jej wyglądała jak serce wycięte z białego papieru w ramce czarnych włosów, a oczy były szeroko rozwarte jak oczy dziecka, które zabłąkało się w ciemności.

- Scarlett - rzekła wyciągając dłoń. - Musisz przebaczyć mi to, co powiedziałam wczoraj, bo ty jesteś wszystkim, co mi zostało. Och, Scarlett, ja wiem, że on nie żyje!

Nagle znalazła się w ramionach Scarlett, drobne jej piersi wznosiły się od łkań, i po chwili obie leżały na łóżku obejmując się mocno, i Scarlett także płakała, płakała z twarzą przyciśniętą do twarzy Melanii, a łzy jej mieszały się ze łzami Meli. Były bardzo bolesne, ale stokroć lepsze od tępego bólu. „Ashley nie żyje, nie żyje - myślała - i to ja go zabiłam swoją miłością!”

Zaczęła łkać na nowo, a Mela czerpiąc pociechę z jej łez objęła ją mocniej za szyję.

- Na szczęście - szeptała - na szczęście zostało mi jego dziecko.

„A mnie - myślała Scarlett, zbyt zboleła, aby móc myśleć o zazdrości - mnie nie zostało nic... nic... nic... tylko wspomnienie jego twarzy w chwili, gdy żegnał się ze mną”.

Pierwsza wiadomość brzmiała: „Zaginiony - prawdopodobnie zabity”, i to wydrukowano na liście ofiar. Melania z dziesięć razy depeszowała do pułkownika Sloana i wreszcie otrzymała list, pełen współczucia, wyjaśniający, że Ashley wyjechał ze swoim szwadronem na rekonesans i nie powrócił. Wobec pogłosek o utarczce za linią frontu Jankesów, Mojżesz, oszalały ze zmartwienia, naraził własne życie, szukając ciała, Ashleya, ale go nie znalazł. Melania, dziwnie teraz spokojna, przesłała mu pieniądze i polecenie, aby wracał do domu.

Kiedy na późniejszej liście wydrukowano „Zaginiony - prawdopodobnie w niewoli”, nadzieja i radość ożywiły smutny dom. Melanii nie można było wyciągnąć z poczty; wychodziła do każdego pociągu w nadziei, że otrzyma list. Czuła się teraz źle, ciąża dawała jej się w nieprzyjemny sposób we znaki, ale nie słuchała zaleceń doktora Meade i nie chciała leżeć w łóżku. Ogarnęła ją gorączkowa energia. Nie mogła usiedzieć w miejscu; nocami zaś, długo po tym, gdy Scarlett się kładła, słychać było jej kroki w sąsiednim pokoju.

Pewnego dnia wróciła do domu podtrzymywana w powozie przez Retta Butlera.

Zemdlała na poczcie, a Rett, który przechodził, zobaczył jakieś zbiegowisko i odwiózł ją do domu. Zaniósł ją po schodach do sypialni i podczas gdy zaniepokojeni domownicy kręcili się na wszystkie strony w poszukiwaniu grzejki, kołder i koniaku, Rett układał Melę na łóżku.

- Pani Melanio - zapytał nagle - prawda, że spodziewa się pani dziecka?

Gdyby nie to, że Melania była ledwie żywa, zboleła na ciele i duchu, zemdlałaby słysząc takie pytanie. Nawet w towarzystwie znajomych kobiet rumieniła się, gdy ktoś wspominał o jej stanie, wizyty zaś u doktora Meade były dla niej koszmarem. Zupełnie nie była przygotowana na takie pytanie ze strony mężczyzny, i to w dodatku Retta Butlera. Ponieważ jednak leżała bezwładnie na łóżku, skinęła tylko głową. Zrobiwszy to, trochę się uspokoiła, bo Rett miał bardzo współczującą minę i widać było, że się tą nowiną przejął.

- Musi pani zatem więcej dbać teraz o siebie. Takie męczenie się i martwienie nic pani nie pomoże, a dziecku może zaszkodzić. Jeżeli mi pani pozwoli, pani Melanio, użyję wszystkich moich stosunków w Waszyngtonie i dowiem się, co się dzieje z panem Wilkesem. Jeżeli jest jeńcem, będzie na liście jankeskiej, jeżeli zaś nie będzie go tam... to... każda pewność lepsza jest od niepewności. Musi pani jednak przyrzec to, o co proszę. Niech się pani pilnuje, bo inaczej Bóg mi świadkiem, że nie ruszę palcem w tej sprawie.

- Och, jaki pan jest dobry! - zawołała Melania. - Jak też ludzie mogą opowiadać o panu takie straszne rzeczy? - I zawstydzona swoim brakiem taktu i tym, że o stanie swoim rozmawiała z mężczyzną, zaczęła cicho płakać. Kiedy Scarlett wpadła do pokoju z gorącą cegłą, owiniętą w flanelę, zastała Retta głaszczącego Melę po dłoni.

Rett dotrzymał słowa. Ani Scarlett, ani Mela nie dowiedziały się nigdy, jakich użył wpływów. Bały się pytać, wiedząc, że odpowiedź byłaby dowodem jego ścisłego kontaktu z Jankesami. Upłynął miesiąc, zanim otrzymał wiadomość, która napełniła je początkowo radością, potem zaś stała się źródłem niepokoju i rozpacz.

Ashley żył! Był ranny i wzięty do niewoli, dokumenty zaś stwierdzały, że znajduje się w Rock Island, obozie jeńców w stanie Illinois. W pierwszej chwili myślały tylko o tym, że żyje. Ale kiedy wrócił im spokój, popatrzyły na siebie i powiedziały: „Rock Island” takim samym głosem, jak gdyby powiedziały: „Piekło!” Bo podobnie jak nazwa Andersonville budziła grozę na Północy, dźwięk słowa Rock Island wywoływał dreszcz w sercu każdego południowca, który tam miał krewnych.

Kiedy Lincoln odmówił wymiany jeńców uważając, że wojna będzie prędzej zakończona, jeżeli Konfederacja będzie musiała żywić i pilnować jeńców Unii - tysiące żołnierzy jankeskich znajdowały się w Andersonville, w Georgii. Konfederacja miała wówczas mało żywności, brakło jej opatrunków i lekarstw dla własnych chorych i rannych.

Nie miała się czym dzielić z jeńcami. Jeńców karmiono tym samym, co żołnierzy w polu, tłustą wieprzowiną i suchą fasolą. Jankesi więc, tak żywieni, padali jak muchy, czasem po stu dziennie. Rozgniewany tymi raportami rząd Północy zaczął z kolei ostrzej traktować jeńców Konfederacji; najgorszym obozem stał się obóz w Rock Island. Pożywienia było tam mało, jedną kołdrą nakrywali się trzej mężczyźni, a ospa, zapalenie płuc i tyfus tak się krzewiły, że miejsce to zaczęto nazywać „zadzumionym”. Trzy czwarte jeńców wymarło w tym obozie. I w tym właśnie strasznym miejscu był Ashley! Ashley żył, ale był ranny i internowany w Rock Island, w Illinois, a w chwili gdy go pojmano, leżał tam jeszcze z pewnością głęboki śnieg! Czy nie umarł od ran, od czasu gdy Rett otrzymał tę wiadomość? Czy nie zaraził się ospą? Czy może leżał w gorączce i nie miał kołdry do nakrycia?

- Och, panie kapitanie, czy nie ma sposobu... Czy nie może pan użyć swoich wpływów, aby go wymieniono? - wołała Melania.

- Prezydent Lincoln, sprawiedliwy i miłosierny, on, płaczący rzewnymi łzami nad panią Bisby, która straciła pięciu synów, nie uroni ani jednej łzy nad tysiącami Jankesów, ginących w Andersonville - rzekł Rett, a usta drżały mu z oburzenia. - Nie przejmie się nawet i tym, że wszyscy wymrą. Wydał już rozkaz. Nie ma wymiany jeńców. Ja... nie mówiłem pani jeszcze, o tym, pani Melanio, ale mąż pani mógł się wydostać z obozu i nie skorzystał z tego.

- Och, to niemożliwe! - zawołała Melania z niedowierzaniem.

- Owszem, to prawda. Jankesi rekrutują żołnierzy do służby nadgranicznej i walki z Indianami, i rekrutują ich właśnie spośród żołnierzy Konfederacji. Każdy jeńiec, który złoży przysięgę na wierność i zaciągnie się na dwa lata do oddziałów walki z Indianami, zostaje z niewoli zwolniony i wysłany na Zachód. Pan Wilkes jednak odmówił.

- Och, jakże on mógł to zrobić? - zawołała Scarlett. - Dlaczego nie złożył przysięgi? Mógłby zdezerterować i wrócić do domu, a z więzienia byłby się przecież wydostał.

Melania rzuciła się na nią jak furia.

- Jak możesz przypuszczać, że Ashley mógłby coś takiego zrobić? Zdradzić Konfederację, złożyć nikczemną przysięgę, a potem złamać słowo dane Jankesom! Wołałabym usłyszeć, że umarł w Rock Island, niż wiedzieć, że złożył przysięgę. Jeżeli umrze w więzieniu, będę z niego dumna. Gdyby jednak zrobił coś takiego, nie mogłabym mu nigdy spojrzeć w oczy. Nigdy! Dobrze rozumiem, dlaczego odmówił!

Gdy Scarlett odprowadzała Retta do drzwi, zapytała z oburzeniem:

- Gdyby pan był na miejscu Ashley'a, czy nie zaciągnąłby się pan do wojska Jankesów, aby nie umrzeć w tym zapowietrzonym miejscu, i czy nie uciekłby pan potem?

- Rozumie się, że bym to zrobił - odparł Rett błyskając zębami pod wąsem.

- Dlaczego więc Ashley tego nie zrobił?

- Ponieważ jest dżentelmenem - rzekł Rett, Scarlett zaś zastanawiała się długo, jak można zmieścić tyle cynizmu i pogardy w jednym tak czcigodnym słowie.

# **CZEŚĆ TRZECIA**

## ROZDZIAŁ XVII

Nadszedł maj roku 1864 - tak gorący i suchy, że kwiaty wędły w pąkach - i oto Jankesi pod wodzą generała Shermana znowu wkroczyli do Georgii od strony Daltonu, o sto mil na północny zachód od Atlanty. Krążyły pogłoski, że tam, na pograniczu Georgii i Tennessee, będą się toczyły ostre walki. Jankesi gotowali się do zaatakowania Kolei Zachodniej i Atlantyckiej, linii łączącej Atlantę z Tennessee i Zachodem, tej samej, po której jesienią przewożono wojska do zwycięskiej bitwy pod Chickamauga.

Atlanta nie była przejęta perspektywą walki pod Daltonem. Miejsce, w którym koncentrowały się wojska jankeskie, odległe było zaledwie o kilka mil na południowy wschód od pola bitwy pod Chickamauga. Raz już Jankesów odparto, gdy chcieli się przedrzeć przez przełęcz górskie w tej okolicy, więc i teraz zostaną odparci.

Atlanta, a z nią cały stan wiedział, że Georgia ma zbyt ważne znaczenie dla Konfederacji, aby generał Józef Johnston pozwolił Jankesom zbyt długo zabawić w jej granicach. Stary Joe na czele swojej armii nie przepuści ani jednego Jankesa na południe od Daltonu, ponieważ zbyt wiele zależy od normalnego toczenia się spraw w Georgii. Nie zniszczony wojną stan stanowił ogromny spichrz, fabrykę i magazyn Konfederacji. Produkował większą część broni i prochu dla wojska oraz znaczną ilość towarów wełnianych i bawełnianych. Pomiędzy Atlantą a Daltonem leżało miasto Roma, z odlewnią dział i innymi gałęziami przemysłu, oraz Etowah i Allatoona, gdzie znajdowały się największe odlewnie żelaza na południe od Richmondu. W Atlancie samej były nie tylko fabryki pistoletów i siodeł, namiotów i sprzętu wojennego, ale największe na Południu walcownie, dyrekcje głównych kolei i olbrzymie szpitale. Co więcej - Atlanta była punktem węzłowym czterech kolei, od których losy Konfederacji były ściśle zależne.

Nikt zatem nie martwił się zbyt. Ostatecznie Dalton był bardzo daleko, bo tuż przy granicy Tennessee, wojna zaś w Tennessee toczyła się od trzech lat i ludzie przyzwyczaili się już do myśli, że stan ten jest odległym polem walki, tak prawie odległym jak Wirginia czy dorzecze Missisipi. Ponadto od Jankesów oddzielał Atlantę stary Joe, wszyscy zaś wiedzieli dokładnie, że po śmierci Stonewalla Jacksona nie ma, poza samym generałem Lee, lepszego odeń dowódcy.

Doktor Meade podsumował poglądy ludności cywilnej na ten temat, gdy pewnego ciepłego wieczoru majowego oświadczył na werandzie ciotki Pitty, że Atlanta nie ma się czego obawiać, bo generał Johnston stoi w górach niewzruszenie jak żelazny mur.

Zgromadzeni przysłuchiwali mu się ze zmiennymi uczuciami, bo wszyscy ci, którzy w gasnącym świetle dnia kołysali się spokojnie w fotelach na biegunach i przyglądali się, jak pierwsze ómy czarodziejsko latają w mroku, mieli ciężkie troski na sercach. Pani Meade obejmując w pół Filipa modliła się o słusność słów doktora, ponieważ wiedziała, że kiedy front przysunie się bliżej, Filip będzie musiał pójść. Miał już teraz szesnaście lat i należał do gwardii. Fanny Elsing, blada i wymizerowana od czasu Gettysburga, starała się nie myśleć o strasznym obrazie, który wyrzył się na zawsze w jej pamięci - obrazie porucznika Dallasa McLure umierającego w ciągnionym przez woły wozie podczas długiego, okropnego odwrotu do Marylandu.

Kapitana Careya Ashburna znowu bolało bezwładne ramię, ponadto zaś gnębiła go myśl, że starania jego o względy Scarlett nie cieszą się wielkim powodzeniem. Sytuacja ta trwała mniej więcej od czasu nadejścia wiadomości o wzięciu do niewoli Ashleya Wilkesa - chociaż kapitanowi nie nasuwał się żaden związek między tymi dwoma zdarzeniami. Scarlett i Melania myślały o Ashleyu, jak zwykle, gdy ważne zajęcia czy konieczność prowadzenia konwersacji nie odwracały ich uwagi od jego osoby. Myśli Scarlett były gorzkie i smutne. „Nie żyje już pewno - myślała - bo inaczej dałby znak życia...” Melania ciągle powściągając strach mówiła sobie: - Żyje z pewnością. Wiem o tym. Gdyby umarł, poczułabym to od razu. - Rett Butler siedział w cieniu wygodnie rozparty, skrzyżowawszy długie nogi w eleganckich butach ciemna zaś jego twarz była jak zwykle nieprzenikniona. Na kolanach miał śpiącego Wade'a, który trzymał w małej rączce oczyszczoną dokładnie kosteczkę. Scarlett pozwalała Wade'owi nie kłaść się spać, kiedy Rett przychodził, bo nieśmiały chłopczyk bardzo Retta lubił, a i Rett, co dziwniejsze, zdawał się tę sympatię dziecka odwzajemniać. Obecność dziecka zwykle męczyła Scarlett, w ramionach Retta jednak Wade zawsze zachowywał się grzecznie. Ciotka Pitty zajęta była powstrzymywaniem głośnego odbijania po twardym łykowanym kogucie, którego jedli na kolację.

Rano panna Pitty postanowiła z zalem, że należy zarżnąć tego patriarchę, bo inaczej sam zdechnie ze starości i tęsknoty za swoim dawno już zjedzonym harem. Przez długie dni kogut spacerował samotnie po pustym podwórku, zbyt smutny, aby pisać. Kiedy wuj Piotr ukręcił mu szyję, Pitty zaczęły trapić wyrzuty sumienia na myśl, że spożyje go *en famille*, podczas gdy tak wiele przyjaciół od całych tygodni nie jadło drobiu, zaproponowała więc zaproszenie gości na kolację. Melania, która była już w piątym miesiącu ciąży i od dwóch tygodni nie chodziła z wizytami ani nie przyjmowała nikogo, była tym pomysłem zdumiona. Pitty jednak była tym razem stanowcza. Egoizmem byłoby nie podzielić się kogutem z przyjaciółmi; jeżeli Melania podniesie krynolinę trochę wyżej, nikt nie zwróci uwagi na jej

stan, ponieważ biust ma płaski jak dawniej.

- Ależ, ciociu, zrozum, że ja nie mam ochoty widzieć ludzi, gdy Ashley...

- Nie powinnaś się zachowywać, jakby Ashleya... już nie było - rzekła ciotka Pitty drżącym głosem, bo w sercu miała pewność, że Ashley nie żyje. - Jest równie żywy jak ty... Zresztą rozrywka dobrze ci zrobi. Ponadto zaś chcę zaprosić Fanny Elsing także. Pani Elsing bardzo mnie prosiła, abym postarała się ją rozweselić i wyciągnąć z domu...

- Ależ, ciociu, przecież to okrucieństwo, wyciągać ją między ludzi, kiedy biedny Dallas umarł tak niedawno...

- Słuchaj, Melu, gotowam się rozplakać, jeżeli nie przestaniesz mi się sprzeciwiać. Ostatecznie jestem twoją ciotką i wiem, co wypada, a co nie. I chcę zaprosić gości.

Tak więc ciotka Pitty postawiła na swoim. W ostatniej chwili zjawił się jeszcze jeden gość, którego ani nie oczekiwała, ani sobie nie życzyła. W chwili, gdy zapach pieczonego koguta roznosił się po domu, Rett Butler, powróciwszy z którejś ze swoich tajemniczych podróży, zapukał do drzwi niosąc duże pudło cukierków pod pachą, a na ustach mając przesadny komplement pod adresem Pitty. Pitty nie miała innej rady, jak zaprosić go na kolację, chociaż wiedziała, co sobie o nim myślą państwo Meade i jak Fanny nie cierpi mężczyzn nie noszących munduru. Ani państwo Meade, ani panie Elsing nie rozmawialiby z Rettem na ulicy, ale w domu znajomej musieli być oczywiście dla niego uprzejmi. Tym bardziej, że teraz Melania broniła go goręcej niż kiedykolwiek przedtem. Po staraniach jego w sprawie Ashleya oświadczyła publicznie, że dom jej stoi dla niego otworem, dopóki będzie żył i niezależnie od wszystkiego, co o nim inni ludzie mówią.

Obawy ciotki Pitty ustąpiły trochę, gdy przekonała się, że Rett zachowuje się poprawnie. Obsługiwał Fanny z takim współczującym szacunkiem, że nawet uśmiechnęła się do niego blade - kolacja przeszła więc doskonale. Była to królewska uczta. Carey Ashburn przyniósł garstkę herbaty, którą znalazł w kapciuchu jeńca jankeskiego, wziętego z Andersonville, każdy dostał więc po filiżance cennego trunku, lekko pachnącego tytoniem. Na kolację mieli po kasku starego, łykowego ptaka, porcję nadzienia z mielonej kukurydzy, doprawionego cebulką, talerzyk suszonego groszku oraz sporo ryżu z sosem, trochę wodnistym, bo bez mąki. Na deser była legumina z bulw i słodycze Retta, kiedy zaś Rett poczęstował panów prawdziwymi cygarami hawańskimi, którymi delektowali się przy porzeczkowym winie, wszyscy zgodnie stwierdzili, że kolacja była Lukullusową ucztą.

Kiedy panowie przysiedli się do pań, które wcześniej wyszły na frontowy ganek, zaczęto rozmawiać o wojnie. Rozmowy zawsze toczyły się teraz dokoła wojny, choćby miały inny punkt wyjścia - czasem były smutne, czasem wesołe, zawsze jednak obracały się wokół



wojny. Treść ich stanowiły romanse i śluby wojenne, śmierć w szpitalu lub w polu, zdarzenia z życia obozowego, bitew czy marszów, odwaga, tchórzostwo, humor, rozpacz, straty i nadzieje. Zawsze nadzieje. Nadzieje niewzruszone i stałe mimo klęsk poprzedniego lata.

Gdy kapitan Ashburn oświadczył, że prosił o przeniesienie z Atlanty do Daltonu i że je uzyskał, panie czułym wzrokiem objęły jego sztywne ramię, a dumę i wzruszenie ukryły oświadczając, że nie pozwolą mu odjeżdżać, bo któż im będzie asystował?

Carey zmieszał się i ucieszył, słysząc te słowa z ust starych panien i statecznych mężatek pokroju pani Meade, Melanii, ciotki Pitty czy Fanny, i chciał wierzyć, że Scarlett rzeczywiście myśli tak, jak mówi.

- Ależ kapitan wróci bardzo prędko - rzekł doktor obejmując przyjaźnie Careya. - Odbędzie się co najwyżej jeszcze jedna potyczka, po czym Jankesi czmychną do Tennessee. Tam zaś zajmie się nimi generał Forrest. Panie wcale się nie potrzebują obawiać bliskości Jankesów, bo generał Johnston ze swoją armią stoi w górach niewzruszenie jak żelazny mur. Tak jak prawdziwy żelazny mur - powtórzył smakując ostatnie zdanie. - Sherman nigdy nie zdoła się przedostać. Nie potrafi starego Joe poruszyć z miejsca.

Panie uśmiechnęły się z uznaniem, bo najbłahsze oświadczenie doktora uważane było za niezbitą prawdę. Mężczyźni znali się na tych sprawach o wiele lepiej od kobiet, jeżeli więc doktor twierdził, że Johnston stoi mocno jak żelazny mur, to z pewnością prawda. Głos zabrał tylko Rett. Od czasu kolacji nic nie mówił, siedział w mroku spokojnie i trzymając w objęciach śpiące dziecko przysłuchiwał się rozmowom o wojnie z grymasem na wargach.

- O ile wiem, to Sherman ma teraz po otrzymaniu posiłków ponad sto tysięcy ludzi.

Doktor odpowiedział mu krótko. Odkąd dowiedział się, że spędzi wieczór w towarzystwie człowieka, którego tak serdecznie nie lubił, był wyraźnie zirytowany. Tylko szacunek dla panny Pittypat i okoliczność, że Rett był jej gościem, powstrzymały go od wyraźniejszego zaakcentowania swoich uczuć.

- No, więc co z tego? - warknął teraz, w odpowiedzi.

- Pamiętam, że kapitan Ashburn powiedział przed chwilą, iż generał Johnston ma tylko czterdzieści tysięcy ludzi, wliczając w to także dezertersów, których ostatnie zwycięstwo skłoniło do powrotu w szeregi.

- Panie - wtrąciła się pani Meade z oburzeniem. - W armii Konfederacji nie ma dezertersów.

- Bardzo panią przepraszam - odparł Rett z przesadną uniżonością. - Miałem na myśli te setki ludzi, którzy zapomnieli wrócić z urlopu do swoich pułków, i tych, którzy wyleczyli się z ran przeszło sześć miesięcy temu, a teraz zajmują się w domu zwykłymi sprawami lub

wiosenną orką.

Oczy mu zabłyśły. Pani Meade zagryzła wargi. Scarlett chciała się głośno roześmiać z jej porażki, bo Rett odpowiedział jej znakomicie. Setki mężczyzn ukrywały się na moczarach i w górach, stawiając opór żandarmom, którzy ich chcieli siłą zmusić do powrotu do armii. Oświadczyli, że wojna była „wojną bogatych kosztem biednych”, że mieli jej dosyć. Liczebnie przewyższali ich jednak ci, którzy, choć wciągnięci na listę dezertersów, nie mieli zamiaru dezertersować na zawsze. Byli to ludzie, którzy od trzech lat daremnie czekali na urlopy i w ciągu tego czasu otrzymywali pełne błędów listy z domu, „Głodne jeźdźmy”. „Nie będzie zbiorów lato - nie ma komu orać. Głodne jeźdźmy”. „Wojsko zabrało nam wszystko, od ciebie nie mieliśmy dawno pieniędzy. Jemy suszoną fasolę”.

Chór głosów rozbrzmiewał coraz głośniejsze: „Jesteśmy głodni, żona twoja, dzieci, rodzice. Kiedy się to wreszcie skończy? Kiedy wrócisz do domu? Jesteśmy głodni, głodni, głodni!” Kiedy w przeredzającej się armii przestano udzielać urlopów, żołnierze zaczęli brać je sobie sami. Wracali orać ziemię, siać zboże, naprawiać domy i stawiać płoty. Dowódcy oddziałów rozumieli tę sytuację, wyczuwali, że opór będzie mocny, pisali więc do tych ludzi, prosząc, aby wrócili do swoich kompanii, a nie będą ukarani. Żołnierze wracali zazwyczaj, gdy upewnili się, że grozę głodu odpędzili od swoich najbliższych przynajmniej na kilka miesięcy. „Urlopy rolnicze” nie były uważane za tak haniebne jak dezercja w obliczu wroga, niemniej jednak bardzo osłabiały armię.

Doktor Meade przerwał pośpiesznie nieprzyjemne milczenie, mówiąc bardzo chłodno:

- Panie kapitanie, różnica liczebna między naszą armią a armią Jankesów nigdy nie miała znaczenia. Jeden konfederat starczy na kilkunastu Jankesów.

Panie potakująco skinęły głowami. O tym wiedzieli wszyscy.

- Było to prawdą na początku wojny - rzekł Rett. - Może i nadal pozostałoby prawdą, gdyby żołnierze Konfederacji mieli kule do karabinów, buty na nogach i jedzenia pod dostatkiem. Prawda, kapitanie Ashburn?

Głos Retta ciągle był jeszcze cichy i pełen doskonale udanej pokory. Carey Ashburn był zakłopotany. Widoczne było, że i on także bardzo nie lubi Retta. Chętnie poparłby doktora, nie mógł jednak kłamać. Postarał się o przeniesienie na front mimo swojej bezużytecznej ręki, ponieważ zdawał sobie sprawę, w przeciwieństwie do ludności cywilnej, z całej powagi sytuacji. Wielu innych mężczyzn, beznogich, ślepych na jedno oko, bez palców, bez rąk, wracało z intendentury czy ze służby szpitalnej lub pocztowej do dawnych swoich pułków. Wiedzieli, że staremu Joe potrzebni są wszyscy.

Kapitan nic nie odpowiedział, więc doktor Meade tracił panowanie nad sobą

wybuchnął: - Nasi ludzie już nieraz walczyli boso i o głódzie, a odnosili zwycięstwa! I teraz będą walczyli i zwyciężą! Powtarzam panu, że generał Johnston nie ustąpi ani cala! Góry zawsze, od niepamiętnych czasów, były ostoją i fortecą napadanych narodów. Niech pan przypomni sobie choćby... choćby Termopile!

Scarlett myślała z natężeniem, ale nazwa „Termopile” nic jej nie mówiła.

- W Termopilach żołnierze polegli do ostatniego czy tak, panie doktorze? - zapytał Rett, a wargi jego rozchyliły się lekkim uśmiechem.

- Czy chce mnie pan obrazić, młody człowieku?

- Panie doktorze! Ależ proszę pana! Źle mnie pan zrozumiał! Ośmieliłem się zapytać pana o to, bo nie jestem zbyt mocny w historii starożytnej.

- Gdy zajdzie tego potrzeba, żołnierze nasi wyginą do ostatniego, a nie pozwolą Jankesom posunąć się w głąb Georgii - odrzekł gniewnie doktor. - Nie będzie jednak tej potrzeby. Wyprą Jankesów z Georgii po pierwszym starciu.

Ciotka Pittypat wstała i szybko poprosiła Scarlett, aby zagrała coś i zaśpiewała gościom. Spozrzęła, że rozmowa schodzi na śliskie i niebezpieczne tory. Spodziewała się tego, bo zatrzymała Retta na kolację. Zawsze były nieprzyjemności, kiedy zjawiał się Rett. Dlaczego powstawały, Pitty nie mogła właściwie pojąć. Ach, Boże! Co też się Scarlett podoba w tym człowieku? I dlaczego droga Mela zawsze go tak broni?

Kiedy Scarlett posłusznie przeszła do salonu, na ganku zapanowało milczenie nabrzmiałe urazą do Retta. Jakże bowiem można było nie uwierzyć całym sercem i duszą w niezłomność generała Johnstona i jego żołnierzy? Wiara ta była obowiązkiem. Ci zaś ludzie, którzy byli dość podli, aby nie wierzyć, powinni byli przynajmniej trzymać język za zębami.

Scarlett zagrała kilka akordów i głos jej spłynął ku zgromadzonym na ganku łagodnie, smutno, słowami popularnej piosenki:

*Na salę szpitalną o ścianach bielonych,  
Gdzie ranni żołnierze konają bez winy,  
Pokłuci bagnetem, przeszyci kulami,  
Wniesiono rannego kochanka dziewczyny.  
Kochanka dziewczyny! Młodego, dzielnego!  
Na twarzy wybladłej i gładkiej świeciło  
Przelotne światełko chłopięcej urody,  
Mające zagasnąć pod chłodną mogiłą.*

„Matowe i zwichrzone były złote jego loki” - pojękiwał sopranik Scarlett. Fanny porwała się z krzesła i rzekła cichym, zdławionym głosem: - Zaśpiewaj coś innego!

Pianino nagle zamilkło. Scarlett oniemiała ze zdumienia i zakłopotania. Potem spiesznie i fałszywie zaczęła grać pierwsze takty „Szarego munduru” i na dysonansie urwała uświadomiwszy sobie, że i ta piosenka jest nie mniej rzewna. Znowu zamilkła, bo nie wiedziała zupełnie, co zagrać. Wszystkie pieśni mówiły o śmierci, rozłące i cierpieniu.

Rett szybko wstał, posadził Wade’a na kolanach Fanny i poszedł do salonu.

- Niech pani zagra „Mój stary dom w Kentucky” - poddał łagodnie, a Scarlett zaczęła pieśń z ochotą. Głos jej zlał się z doskonałym basem Retta, kiedy zaś przeszli do drugiej strofki, goście na ganku odetchnęli z ulgą, chociaż i ta pieśń nie była zbyt wesoła.

*Już tylko kilka dni będę dźwigał brzemię!*

*Nigdy dla mnie nie zapłonie błysk światła daleki!*

*Już tylko kilka dni, a zwalimy się na ziemię,*

*Wtedy, mój domu w Kentucky, żegnaj mi na wieki!*

Przepowiednia doktora Meade sprawdziła się - w pewnym stopniu przynajmniej. Johnston rzeczywiście stał mocno jak wał żelazny w górach nad Daltonem, w odległości stu mil od Atlanty. Stał tak niewzruszenie i tak zdecydowanie zagradzał Shermanowi drogę do Atlanty, że Jankesi cofnęli się w końcu i odbyli walną radę. Oporu szarych nie mogli przełamać wprost, a zatem przeszli pod osłoną nocy przez przełęcz górskie, chcąc otoczyć Johnstona półkolem i przeciąć linię kolejową w Resace, piętnaście mil za Daltonem.

Kiedy konfederaci spostrzegli się, że dwie ważne linie kolejowe znajdują się w niebezpieczeństwie, opuścili swoje do upadłego bronione kryjówki w górach i nocą ruszyli ostrym marszem do Resaki krótszą, prostą drogą. Jankesi schodząc z gór zastali ich przygotowanych do odparcia ataku; za barykadami - baterie gotowe były do strzału, bagnety połyskiwały tak samo jak w Daltonie.

Atlanta była zdumiona i trochę zaniepokojona, gdy ranni z Daltonu przywieźli strzępy wiadomości o marszu starego Joe do Resaki. Zdawało się, jak gdyby na północnym zachodzie ukazała się mała, ciemna chmurka, pierwsza chmurka zwiastująca letnią burzę. Co sobie właściwie generał myśli, że pozwala Jankesom zająć dalszych osiemnaście mil terytorium Georgii. Góry stanowiły naturalną twierdzę, jak słusznie powiedział doktor Meade. Czemu zatem stary Joe nie zatrzymał tam Jankesów?

Johnston walczył pod Resaką rozpaczliwie i znowu odparł Jankesów, ale Sherman, stosując ciągle tę samą taktykę, część swojej armii rzucił, znów półkolem naprzód, przekroczył rzekę Oostanula i ponownie zaatakował linię kolejową na tyłach armii konfederackiej. Szare wojska odwołane zostały z okopów do obrony kolei i zmęczone bezsennością, wyczerpane marszami i walkami, przede wszystkim zaś głodne, wечно

głodne, szybkim marszem ruszyły w dolinę. Doszły do miasteczka Calhoun, o sześć mil od Resaki, wcześniej od Jankesów, okopały się tam i znowu gotowe były do ataku. Atak nastąpił, odbyła się ostra walka i Jankesów odepchnięto jeszcze raz. Wyczerpani konfederaci leżeli pod bronią i modlili się o wytchnienie i spokój. Nie pisane im było jednak wytchnienie. Sherman posuwał się nieubłaganie krok za krokiem, otaczając ich szerokim kręgiem, zmuszając do ponownego cofania się celem obrony linii kolejowej.

Konfederaci maszerowali śpiąc, zbyt zmęczeni, aby myśleć. W chwilach jednak, gdy myśleli, powtarzali sobie, że ufają starymu Joe. Widzieli, że cofają się, ale widzieli także, że nie są pokonani. Brak im tylko było ludzi do pozostawienia w okopach i uniemożliwienia Shermanowi ruchów, ot i wszystko. Jankesów mogli pobić i bili ich, ilekroć zdarzała się otwarta walka. Jak się ten odwrót skończy, nie wiedzieli. Stary Joe wiedział jednak, co robi, i to im wystarczało. Poprowadził odwrót po mistrzowsku, ponieważ strat po ich stronie było mało, natomiast wielu zabitych i jeńców po stronie nieprzyjaciela. Nie stracili ani jednego wozu i tylko cztery działa. Obronili także linię kolejową na swoich tyłach. Sherman nie mógł jej nawet tknąć, mimo swoich ataków, szarż kawaleryjskich i otaczania ich na flankach.

Kolej. Jeszcze do nich należała ta cienka droga żelazna, wijąca się poprzez słoneczną dolinę w stronę Atlanty. Żołnierze kładli się do snu w miejscach, skąd mogli widzieć szyny, lśniące blado w świetle gwiazd. Kładli się i często nie wstawali więcej, a ostatnim obrazem, jaki zapisywał się w ich zdumionych oczach, był obraz szyn świecących w nieznośnym żarze.

Kiedy wojska cofały się w doliny, poprzedzała je armia uciekinierów. Plantatorzy i osadnicy, bogaci i biedni, czarni i biali, kobiety i dzieci, starcy, umierający, kaleki, ranni, kobiety ciężarne zapełniali drogi do Atlanty w pociągach, pieszo i konno, w pojazdach i wozach - naładowanych wysoko kuframi i dobytkiem. Uciekinierzy wyprzedzali o pięć mil armię w odwrocie, zatrzymując się w Resace, Calhoun, Kingstonie i spodziewając się na każdym postoju, że dowiedzą się, iż Jankesi zostali odparci, i będą mogli wrócić do swoich domów. Nie było jednak powrotu po rozżarzonej od słońca drodze. Szare wojska miały puste dwory, opuszczone fermy, samotne chaty o drzwiach otwartych na rozcież. Tu i ówdzie widać było samotną kobietę, pozostałą z kilku niewolnikami; Murzyni wychodzili na drogę, witali żołnierzy, przynosili dzbany wody dla spragnionych ludzi, opatrywali rannych, a zmarłych grzebali na cmentarzykach wojskowych. Przeważnie jednak słoneczna dolina była wyludniona i pusta, a na spieczonych polach stało nie zżęte zboże.

Otoczony w Calhoun ponownie, Johnston cofnął się do Adairsville, gdzie odbyło się ostre starcie, potem do Cassville i wreszcie na południe do Carlesville. Nieprzyjaciel znajdował się teraz o pięćdziesiąt pięć mil za Daltonem. Przy kościele Nowej Nadziei,

piętnaście mil dalej, przy gorąco bronionej drodze, szare pułki okopały się, aby stawić bardziej zdecydowany opór. Nadciągały nieubłagane wojska niebieskie, sunąc wolno jak olbrzymi wąż, zwijając się, uderzając, cofając się i atakując znowu. Pod kościołem Nowej Nadziei zawrzała walka, która trwała bez ustanku przez jedenaście dni: wszystkie ataki jankeskie krwawo odparto. Aż wreszcie Johnston, ponownie otoczony, musiał cofnąć swoje rzednące szeregi znowu o kilka mil.

Liczba konfederatów zabitych i rannych pod kościołem Nowej Nadziei była bardzo znaczna. Ranni całymi pociągami napływali do Atlanty, ku wielkiemu przerażeniu miasta. Nigdy dotąd, nawet po bitwie pod Chickamauga, nie widziano tylu rannych; Szpitale były przepełnione. Ranni leżeli na podłogach pustych magazynów i w składach na belach bawełny. Wszystkie hotele, pensjonaty i mieszkania prywatne pełne były cierpiących. Ciotce Pitty przypadła pewna ich część, mimo jej protestów, że nie wypada, aby obcy mężczyźni znajdowali się pod jej dachem, kiedy Melania jest w poważnym stanie i widok ran może spowodować przedwczesny poród.. Melania jednak podciągnęła krynolinę wyżej, aby ukryć pod nią poszerzającą się figurę, i ranni zjawili się w domu z czerwonej cegły. Odtąd nie było końca gotowaniu, podnoszeniu, poprawianiu na posłaniach i wachlowaniu chorych, nie było końca praniu, zwijaniu bandaży, skubaniu szarpi i upalnym nocom, bezsennym z powodu krzyków majaczących w sąsiednim pokoju mężczyzn. Wreszcie zapchane miasto nie mogło pomieścić nikogo więcej i nadmiar rannych posyłano do szpitali w Macon i Auguście.

Fala rannych, którzy przynosili sprzeczne nowiny, i wystraszonych uciekinierów, zapelniających i tak już zatłoczone miasto, sprawiła, że Atlanta była w stanie ciągłego podniecenia. Mała chmura na horyzoncie w wielką, groźną chmurę gradową. Wydawało się, jak gdyby powiał od niej chłodny, przejmujący wiatr.

Nikt nie przestał jeszcze wierzyć w niezwyciężoność wojsk, wszyscy jednak, a przynajmniej ludność cywilna, stracili wiarę w generała. Kościół Nowej Nadziei był odległy o trzydzieści pięć mil zaledwie od Atlanty! Generał dopuścił do tego, by Jankesi zmusili go do cofnięcia się o sześćdziesiąt pięć mil w ciągu trzech tygodni! Dlaczego nie wytrzymał ich naporu, zamiast stale się cofać? Był głupcem, zdecydowanym głupcem! Starszyzna w gwardii i członkowie milicji stanowej, bezpieczni w Atlancie, twierdzili, że poprowadziliby kampanię sto razy lepiej, i rysowali na obrusach mapy, aby dowieść swojej racji. Kiedy szeregi generała topniały coraz bardziej i musiały się cofać coraz dalej, zaczął rozpaczliwie prosić gubernatora Browna o przysłanie mu z pomocą gwardii i milicji. Wojska stanowe nie kwapiły się jednak do tego. Gubernator oparł się już raz przeciw żądaniu Davisa. Dlaczego miałyby ulec prośbom generała Johnstona?

Walka i odwrót! Walka i odwrót! Na przestrzeni siedemdziesięciu mil i w ciągu dwudziestu pięciu dni konfederaci byli w walkach prawie co dzień. Kościół Nowej Nadziei pozostał teraz za nimi - był wspomnieniem w krwawej mgle podobnych wspomnień upału, kurzu, głodu, zmęczenia, wleczenia się po czerwonych, wyboistych drogach, człapania po czerwonym błocie, odwrotów, okopywania się, walki - odwrotów, okopywania się, walki. Kościół Nowej Nadziei stał się koszmarem, podobnie zresztą jak Big Shanty, gdzie zatrzymali się i walczyli jak lwy. Ale mimo że kosili Jankesów, aż pola były niebieskie od trupów, przybywało ich coraz więcej, wciąż zjawiali się nowi. Złowrogiem przetrzucanie niebieskich wojsk na południowy wschód, w stronę tyłów konfederatów, w stronę kolei i Atlanty - trwało nieprzerwanie.

Z Shanty zmęczone, wycieńczone szeregi cofnęły się głównym gościńcem do Góry Kennesaw, koło miasteczka Marietta, i tutaj rozłożyły się szeroko na przestrzeni dziesięciu mil. Na stromych zboczach gór wykopali okopy, baterie zaś ustawili na szczycie. Klnąc, ociekając potem, żołnierze sami wyciągali ciężkie działa nad przepaściami, bo muły nie mogły się utrzymać na tych pochyłościach. Kurierzy i ranni, przybywający do Atlanty, uspokajali przerażoną ludność miasta. Góra Kennesaw była niezdojta. Tak samo zresztą jak pobliska Góra Sosnowa i Góra Stracona, na których także stały wojska. Jankesi nie zdołają poruszyć ludzi starego Joe ani ich oskrzydlić, bo baterie na szczytach górskich panują nad wszystkimi drogami w promieniu wielu mil. Atlanta odetchnęła swobodniej, ale...

Góra Kennesaw leżała przecież w odległości zaledwie dwudziestu dwu mil od miasta!

W dniu, gdy pierwsi ranni z Kennesaw zaczęli napływać do Atlanty, powóz pani Merriweather znalazł się przed domem panny Pitty o niesłychanej porze - o siódmej rano. Stary Levi przywiózł polecenie, aby Scarlett ubrała się natychmiast i przysłała do szpitala. Fanny Elsing i panny Bonnel, wyrwane ze snu, siedziały już w powozie ziewając, piastunka Fanny nachmurzona sterczała na koźle, trzymając na kolanach koszyk świeżo upranych bandaży. Scarlett wstała bardzo niechętnie, bo tańczyła do świtu na zabawie gwardii i miała jeszcze zmęczone nogi. Po cichu przeklinała niezmordowaną, nieskazitelną panią Merriweather, rannych i całą Konfederację stanów Południa, a Prissy zapinała jej tymczasem najstarszą i najbardziej zniszczoną suknię perkalową, którą nosiła do pracy w szpitalu. Przełknąwszy pośpiesznie gorzki wywar z palonej kukurydzy i suszonych bulw, który uchodził za kawę, zeszła wreszcie na dół.

Znudziło jej się to wieczne pielęgnowanie. Postanowiła od razu powiedzieć pani Merriweather, że Ellen pisała do niej, aby przyjechała z wizytą do Tary. Nic jej to zresztą nie pomogło, bo szacowna matrona, z rękawami zakasanyimi po łokcie, okryta po szyję

obszernym fartuchem, obrzuciła ją tylko ostrym spojrzeniem i rzekła: - Nie opowiadaj mi tu teraz podobnych głupstw, Scarlett Hamilton. Napiszę jeszcze dziś do twojej matki i powiem jej, że jesteś nam bardzo potrzebna. Pewna jestem, że zrozumie to i pozwoli ci zostać w mieście. A teraz włóż zaraz fartuch i pobiegnij do doktora Meade. Potrzebna mu jesteś do asystowania przy opatrunkach.

„Och, Boże - pomyślała Scarlett posepnie - w tym właśnie sęk. Mama każe mi zostać tutaj, a ja umrę, jeżeli dłużej będę wahała te smrody! Wolałabym być starą babą i dyrygować młodymi kobietami. Nie musiałabym wtedy być popychana tu czy tam i mogłabym wreszcie powiedzieć babci Merriweather, aby sobie poszła do diabła!”

Tak, miała dość szpitala, duchoty i smrodu, wszy i widoku zbolałych, nie umytych ciał. Jeżeli pielęgnowanie miało w sobie kiedykolwiek cechy jakiejś nowości i romantyzmu, to teraz należały one do przeszłości. Co więcej, żołnierze ranni podczas odwrotu nie byli wcale ciekawi. Nie okazywali najmniejszego zainteresowania jej osobą i mieli bardzo mało do powiedzenia poza pytaniami: - Co słyhać na froncie? Co robi stary Joe? O, to mądry chłop, ten nasz stary Joe. - Scarlett nie uważała starego Joego za mądrego. Tylko tego dokonał, że dopuścił, aby Jankeśi weszli osiemdziesiąt mil w głąb Georgii. Nie, ranni teraz wcale nie byli zajmujący. Ponadto zaś, wielu z nich umierało szybko i cicho, bo nie mieli już sił do zwalczania zakażenia krwi, gangreny, tyfusu czy zapalenia płuc, które wywiązały się, zanim zdążyli dotrzeć do Atlanty i otrzymać pomoc lekarską.

Dzień był gorący i muchy wpadały całymi rojami przez otwarte okna, wielkie, uparte muchy, które bardziej dokuczały chorym niż ból. Fala smrodów i cierpienia dokoła Scarlett potęgowała się z każdą chwilą. Jej świeżo wykrochmalona suknia była mokra od potu, gdy sunęła za doktorem Meade niosąc w ręku wielką miednicę.

Och, jakimże wstrętem napełniało ją asystowanie doktorowi i powstrzymywanie torsji, gdy parzyła, jak błyszczącym nożem nacinał zgangrenowane ciała! I ach, jak okropne było słuchanie krzyków z sali operacyjnej, gdzie robiono amputacje! I mdłe poczucie bezsilnej litości na widok napiętych, bladych twarzy okaleczonych mężczyzn, czekających swojej kolejki, mężczyzn, których uszy pełne były wrzasków, którzy czekali na straszne słowa: - Przykro mi bardzo, mój chłopcze, ale trzeba będzie odjąć tę rękę. Tak, tak, wiem. Czy widzi pan jednak te czerwone pręgi? Muszę rękę odjąć.

Chloroformu było teraz tak niewiele, że używano go tylko przy najtrudniejszych amputacjach, opium było niezmiernie cenne i stosowane tylko, aby przyśpieszyć śmierć, nie zaś do ulżenia cierpieniom. Chininy i jodiny nie było wcale. Tak, Scarlett miała stanowczo dość tego wszystkiego i tego ranka żałowała, że nie może wzorem Melanii wymówić się od



pracy w szpitalu ze względu na swój stan. Była to jedyna wymówka, jaką w tym czasie jeszcze uznawano.

W południe zdjęła wreszcie fartuch i wysliznęła się ze szpitala korzystając z tego, że pani Merriweather zajęta była pisaniem listu dla postępującego analfabety z gór. Czuła, że dłużej już nie wytrzyma. Znosiła tego dnia szpital jak najgorszą katorgę, wiedziała zaś, że kiedy zacznie się napływ rannych z pociągu przybywającego w południe, będzie miała zajęcie aż do zmierzchu - prawdopodobnie bez posiłku.

Poszła pośpiesznie krótką przecnicą w stronę ulicy Brzaskwiniowej, wdychając czyste powietrze tak głęboko, jak pozwalał jej na to ciasno zasznurowany gorset. Na rogu zatrzymała się, nie wiedząc, co ze sobą począć, wstydząc się wracać do domu, zdecydowana, że do szpitala nie pójdzie - gdy nagle zauważyła przejeżdżającego Retta Butlera.

- Wygląda pani jak żona gałganiarza - powiedział patrząc na jej połataną suknię, przepoconą teraz i zalaną wodą, która pryskała z miednicy. Scarlett była wściekła z zakłopotania i oburzenia. Dlaczego Rett zawsze patrzył na strój kobiet i był tak niedelikatny, aby robić uwagi o obecnym stanie jej toalety?

- Nie chcę nawet słuchać tego, co pan mówi. Niech pan wysiądzie, pomoże mi wsiąść i zawiezie mnie gdziekolwiek, gdzie nikt mnie nie zobaczy. Nie chcę wracać do szpitala, choćby mieli mnie za to ukamienować! Na miłość Boską, nie ja zaczęłam tę wojnę, nie widzę więc powodu, dlaczego miałabym się zapracowywać na śmierć i...

- O, niegodna zdrajczynie świętej Sprawy!

- Kocioł garnkowi przygania! Niech mi pan lepiej pomoże wsiąść. Nie obchodzi mnie, co pan chciał teraz robić. Musi mnie pan zabrać na przejażdżkę.

Rett wyskoczył z powozu, Scarlett zaś pomyślała mimo woli, że przyjemnie jest popatrzeć na mężczyznę, który jest cały, któremu nie brak oczu ani żadnej kończyny, który nie jest biały z bólu ani żółty z gorączki, a przeciwnie, dobrze odżywiony i zdrow. W dodatku zaś Rett był doskonale ubrany. Marynarkę i spodnie miał z jednakowego materiału i zrobione na miarę, nie za luźne ani nie za ciasne, by uniemożliwiać ruchy. Ubranie jego było nowe, nie zniszczone, nie widać było spod niego nagiego ciała ani owłosionych nóg. Rett tak wyglądał, jak gdyby nie miał żadnych kłopotów, i sam ten fakt był zdumiewający w czasie, gdy inni mężczyźni mieli stroskany, zgnębiony, ponury wygląd. Smągła jego twarz była teraz łagodna, czerwone usta, wykrojone delikatnie jak usta kobiety i bardzo zmysłowe, uśmiechały się, gdy unosił Scarlett na stopień powozu.

Mięśnie jego wielkiego ciała zarysowały się pod ubraniem, gdy siadł koło niej. Jak zwykle, tak i teraz oszołomiło ją poczucie jego wielkiej fizycznej siły. Jak urzeczona

przyglądała się zarysowi jego potężnych ramion pod marynarką. Uczucie to było trochę niepokojące, trochę przerażające. Ciało jego wydawało się tak twarde i nieustępliwe jak jego dusza. Miał przyjemną, pełną wdzięku siłę, był leniwy jak pantera wygrzewająca się na słońcu i podobnie jak ona, zawsze gotowy do skoku.

- Mała oszustka z pani - powiedział cmokając na konia. - Tańczy pani przez całą noc z żołnierzami i rozdaje im róże i wstążki zapewniając, że chętnie oddałaby pani życie dla Sprawy, a kiedy przychodzi do opatrzenia kilku ran i poiskania trochę wszy, szybko pani ucieka.

- Czy nie zechciałby pan porozmawiać o czymś innym i jechać trochę szybciej? Przy moim szczęściu dziadek Merriweather gotów teraz wyjść ze swego sklepu i powiedzieć tej starej - myślę - pani Merriweather, że mnie widział.

Rett lekko musnął klacz batem; ruszyła szybciej w stronę Pięciu Znaków, poprzez szyny kolejowe, które dzieliły miasto na dwie części. Pociąg z rannymi właśnie przyjechał. Sanitariusze pracowali gorączkowo w upalnym słońcu, przenosząc chorych do ambulansów i zamkniętych wozów sanitarnych. Scarlett widząc ich wcale nie poczuła wyrzutów sumienia, tylko ulgę, że udało jej się uciec.

- Jestem już zmęczona i znudzona na śmierć tym szpitalem - powiedziała obciążając wydymającą się spódnicę i zawiązując czepek mocniej pod brodą. - Co dzień przybywa więcej i więcej rannych. To wszystko wina generała Johnstona. Gdyby oparł się był Jankesom w Daltonie, nie byłiby...

- Ależ oparł się Jankesom, niemądre dziecko. Gdyby zaś nie ruszył się z miejsca, Sherman otoczyłby go i stał na puch między dwoma skrzydłami swojej armii. Johnston straciłby wtedy kolej, o którą właśnie walczy.

- Ach, dobrze już, dobrze - odparła Scarlett nie mająca pojęcia o strategii. - W każdym bądź razie to jego wina. Powinien był coś zrobić. Uważam, że należałoby mu odebrać dowództwo. Czemu nie stawia oporu, zamiast ciągle się cofać?

- Niczym się pani nie różni od tych, którzy wrzeszczą „precz z Johnstonem” dlatego, że nie dokonuje cudów. Pod Daltonem był zbawicielem, teraz pod Kennesaw jest judaszem, a wszystko to w ciągu krótkich sześciu tygodni. A jeżeli uda mu się odepchnąć Jankesów choćby o dwadzieścia mil, stanie się znowu zbawicielem. Dziecko drogie, Sherman ma dwa razy tyle ludzi co Johnston i może sobie pozwolić na stratę dwóch ludzi na każdego z naszych dzielnych chłopców. Johnston zaś nie może stracić ani jednego żołnierza. Koniecznie potrzebuje posiłków i co dostaje? Posyłają mu „pieszczoszków Joe Browna”. Dużo mu oni pomogą!

- Czy milicja naprawdę zostaje powołana na front? I gwardia także? Nic o tym nie słyszałam. Skąd pan o tym wie?

- Krążą takie pogłoski. Przyszły dziś rano pociągiem z Milledgeville. Zarówno milicja jak i gwardia mają zostać wysłane na odsiecz generałowi Johnstonowi. Tak, protegowani gubernatora Browna powąchają może wreszcie proch. Wyobrażam sobie, że bardzo to niektórych z nich zaskoczy. Pewien jestem, że nie spodziewali się wysłania na bój. Gubernator prawie im przyrzekł, że ich będzie osłaniał. No, to im tylko dobrze zrobi. Wyobrażali sobie, że są bezpieczni, ponieważ gubernator sprzeciwił się Davisowi i odmówił wysłania ich do Wirginii. Twierdził, że potrzebni mu są do obrony stanu. Nikt z nich nie przypuszczał, że wojna przyjdzie na ich własne podwórko i że rzeczywiście będą musieli bronić swego własnego stanu.

- Jakże pan może tak bezlitośnie kpić! Niechże pan pomyśli o starszych panach i małych chłopcach z gwardii! Przecież teraz pójdzie mały Filip Meade i dziadek Merriweather, i wuj Henryk Hamilton!

- Nie mówię o małych chłopcach ani o weteranach z wojny meksykańskiej. Mówię o dzielnych młodych ludziach w rodzaju Willy Guinana, którzy lubią nosić ładne mundury i wymachiwać szabelką...

- A pan?

- Droga pani, to mnie bynajmniej nie dotknęło! Ja nie noszę munduru i nie macham szablą, a losy Konfederacji nic a nic mnie nie obchodzą. Co więcej, nie mam zamiaru umierać ani w gwardii, ani w żadnej innej broni. Miałem dość z wojskiem do czynienia w West Point i to mi wystarczy na całe życie... Tak, ale mimo to życzę staremu Joe powodzenia. Generał Lee nie może mu posłać posiłków, bo zajęty jest walką z Jankesami z Wirginii. Tak więc wojska stanowe Georgii są jedynymi posiłkami, na które Johnston może liczyć. Zasluguje na coś więcej, ponieważ jest doskonałym strategiem. Zawsze i wszędzie zjawia się wcześniej od Jankesów. Będzie się jednak musiał teraz ciągle cofać, aby bronić kolei. I niech pani zapamięta moje słowa, jeżeli Jankesi zepchną go z gór na płaszczyznę w pobliżu Atlanty, jatki zaczną się wtedy na dobre.

- W pobliżu Atlanty? - zawołała Scarlett. - Wie pan przecież doskonale, że Jankesi nigdy tutaj nie dojdą!

- Kennesaw odległe jest stąd tylko o dwadzieścia dwie mile. Idę z panią o zakład...

- Rett, niech pan spojrzy tam na ulicę! Co tam za tłum? To nie są żołnierze. Któż to może być... Ależ... to przecież Murzyni!

Od wylotu ulicy wznosił się tuman czerwonego kurzu i dochodził tupot wielu par stóp

oraz chór ponad stu murzyńskich głosów, głębokich i pełnych, śpiewających jakąś pieśń. Rett zatrzymał powóz przy chodniku, a Scarlett z ciekawością przyglądała się spoconym, czarnym ludziom z motykami i łopatami na ramionach - eskortowanych przez oficera i oddział żołnierzy z odznakami korpusu saperów.

- Cóż na Boga... - zaczęła znowu.

Potem oczy jej zaświeciły się na widok olbrzyma idącego ze śpiewem w pierwszym szeregu. Mierzył przeszło sześć stóp, był czarny jak heban, poruszał się z wdziękiem silnego zwierzęcia, a gdy śpiewał „Znijdź, Mojżesz”, białe zęby błyskały mu w twarzy. Nie było chyba na całym świecie drugiego Murzyna tego wzrostu o tak donośnym głosie jak Duży Sam, ekonom z Tary. Cóż jednak robił on tutaj, z dala od domu, teraz, gdy nie było rządcy i on stanowił prawą rękę Geralda?

Kiedy Scarlett uniosła się ze swego miejsca, aby przyjrzeć mu się lepiej, olbrzym spostrzegł ją i czarna jego twarz rozjaśniła się uśmiechem radości. Zatrzymał się, rzucił łopatę i puścił się w jej stronę, wołając do otaczających go Murzynów: - Boże Przenajświętszy! To przecież panna Scarlett! Słuchaj, Aposto! Słuchaj, Eliaszu! Słuchaj, Proroku! To przecież nasza Miss Scarlett!

W szeregu Murzynów powstał zamęt. Tłum zatrzymał się niepewnie, uśmiechając się przyjaźnie, a Duży Sam, za nim zaś trzej tędzy Murzyni przebiegli przez drogę w stronę powozu. W tyle biegł wściekły, wrzeszczący oficer.

- Równajcie szeregi, ludzie! Równajcie w tej chwili, bo wam... Ach, to przecież pani Hamilton! Witam panią. Dzień dobry panu. Dlaczego podżega mi pani ludzi do buntu i nieposłuszeństwa? Bóg jeden wie, ile miałem z nimi dziś rano kłopotu.

- Och, panie kapitanie, niech ich pan nie karci! To nasi ludzie. To jest Duży Sam, nasz ekonom, oraz Eliaszu, Aposto i Prorok z Tary. Muszą przecież ze mną porozmawiać. Jak się macie, chłopcy?

Wyciągnęła do wszystkich rękę. Mała jej, biała dłoń zniknęła kolejno w czarnych wielkich łapach” a czterej Murzyni pękali z zadowolenia z powodu spotkania i z dumy, że mogą swoim towarzyszom pokazać, jaką mają piękną panienkę.

- Co wy tutaj robicie, chłopcy, tak daleko od Tary? Założę się, żeście uciekli. Czy boicie się, że was przychwycą patrole?

Śmieli się z zadowolenia, że się Scarlett z nimi przekomarza.

- My, uciekli? - rzekł Duży Sam. - Nie, my nie tacy, żeby uciekać. Przyszli po nas i nas wybrali, bo jesteśmy czterej najwięksi i najmocniejsi w Tarze. - Białe jego zęby błysnęły z dumą. - Specjalnie po mnie przysłali, bo umiem dobrze śpiewać. Tak, panienko, sam pan

Frank Kennedy przyjechał i zabrał nas ze sobą.

- Ależ po co, Samie?

- Na Boga, panno Scarlett! To panienka nie wie? Mamy kopać rowy dla białych panów, aby mogli się w nich schować, jak przyjdą Jankesi.

Kapitan Randall i siedzący w powozie zamienili ze sobą uśmiechy, słysząc to naiwne wyjaśnienie.

- Pan Gerald oczywiście bardzo się złościł, kiedy mnie zabrali, bo powiedział, że nie poradzi sobie beze mnie. Ale pani Ellen na to powiedziała: „Niech go pan Kennedy zabierze. Konfederacji Duży Sam bardziej się przyda niż nam”. I dała mi dolara i poleciła, abym robił wszystko, co mi biali panowie każą. I teraz tu jestem.

- Co to wszystko ma znaczyć, panie kapitanie?

- Och, to bardzo proste, łaskawa pani. Musimy umocnić fortyfikacje dokoła Atlanty kilkoma rzędami rowów strzeleckich, a że generał nie ma dość ludzi, aby można ich zabrać z frontu, więc zebraliśmy po wsiach najsilniejszych Murzynów do roboty.

- Ale...

Zimny strach obleciał nagle Scarlett. Kilka rzędów rowów strzeleckich! Po co im rowy? W ciągu ostatniego roku wykopano dokoła Atlanty reduty ziemne na baterie, w odległości mili tylko od centrum miasta. Te wielkie reduty połączono z okopami, które kilkoma rzędami otaczały miasto. A teraz jeszcze rowy strzeleckie!

- Ale... po cóż nam jeszcze mocniejsze fortyfikacje od tych, które mamy? Przecież i te nie będą nam potrzebne. Generał z pewnością nie dopuści...

- Obecnie nasze fortyfikacje są tylko o milę od miasta - rzekł kapitan Randall krótko. - To zaś jest za blisko, aby było wygodne czy bezpieczne. Nowe okopy będą dalej. Rozumie pani, jeszcze jeden odwrót, a żołnierze nasi znajdą się w Atlancie.

Natychmiast pożałował ostatniego zdania, bo oczy Scarlett rozszerzyły się przestraszeniem.

- Oczywiście rzecz jednak, że nie będziemy się już więcej cofali - dodał pośpiesznie. - Pozycje nasze dokoła Góry Kennesaw są bardzo mocne. Baterie umieszczone są na szczytach górskich i strzegą wszystkich dróg, więc Jankesi nie zdołają się przedostać.

Scarlett jednak dostrzegła, że kapitan spuszcza oczy pod leniwym, przenikliwym spojrzeniem Retta, i bardzo się przeraziła. Przypomniała sobie uwagę Retta: gdy Jankesi zepchną go z gór na płaszczyznę, zaczną się jatki...

- Och, panie kapitanie, czy przypuszcza pan...

- Ależ nie, skądże znowu! Niech się pani nie niepokoi bez potrzeby. Stary Joe lubi

tylko zabezpieczać się na wszelkie sposoby. Jedynie dlatego kopiemy dodatkowe okopy... Teraz jednak czas już na mnie. Cieszę się bardzo ze spotkania pani... Chłopcy, pożegnajcie się z waszą panią, bo już ruszamy.

- Do widzenia, chłopcy. Jeżeli zachorujecie albo zostanieie ranni, zawiadomcie mnie o tym. Mieszkam przy ulicy Brzoskwiniowej, o, w tej stronie, w ostatnim prawie domu w mieście. Poczekajcie chwilę... - Poszperała w swojej torebce. - Och, mój Boże, nie mam ani centa. Panie Reticie, niech mi pan z łaski swojej pożyczy trochę pieniędzy. Proszę, Samie, kupcie trochę tytoniu dla siebie i reszty chłopców. Bądźcie posłuszni i róbcie to, co wam kapitan Randall każe.

Bezładne szeregi uformowały się ponownie, kurz na nowo uniósł się czerwoną chmurą i Duży Sam znowu zaczął śpiewać:

*Znijdź, Mojżeszu! Znijdź na ziemię Egipską!*

*Rozkaż Faraonowi, by wyzwolił mój lud*

*Z niewoli!*

- Panie Reticie, kapitan Randall pewnie mnie okłamał, jak każdy mężczyzna. Nie powiedział mi prawdy, ponieważ bał się, bym nie zemdląła. Czy rzeczywiście kłamał? Och, panie Reticie, jeżeli nie ma niebezpieczeństwa, to po co umacniają fortyfikacje? Czy armia ma tak mało ludzi, że muszą już brać Murzynów?

Rett cmoknął na konia.

- Armia cierpi, niestety, na brak ludzi. Dlaczego by powoływali gwardię pod broń? Jeżeli zaś chodzi o okopy, to widzi pani, wszelkie fortyfikacje mają podobno wartość na wypadek oblężenia. Generał pragnie się widać przygotować do stawienia tutaj ostatecznego oporu.

- Oblężenie! Och, niech pan zawróci konia. Jadę do Tary, prosto do Tary, już, w tej chwili!

- Co się pani stało?

- Oblężenie! Na miłość Boską, oblężenie. Słyszałam o oblężeniach! Papa przeżył jedno, czy też może to nie on, a on tylko opowiadał mi o tym...

- Jakież to oblężenie?

- Oblężenie Droghedy, kiedy Cromwell zwyciężył Irlandczyków. Nie było wtedy nic do jedzenia. Papa opowiadał, że ludzie umierali z głodu na ulicach, w końcu zaś jedli koty i szczury, i nawet karaluchy. Mówił także, że przed poddaniem się ludzie zjadali się nawzajem, chociaż nie bardzo mi się w to chce wierzyć. Potem zaś Cromwell zdobył miasto i wszystkie kobiety zostały... Oblężenie! Matko Najświętsza!

- Jest pani największą ignorantką, jaką w swoim życiu spotkałem. Oblężenie Droghedy miało miejsce w roku tysiąc sześćset którymś, więc pan O'Hara nie żył wtedy z pewnością. Poza tym zaś Sherman nie jest Cromwellem.

- Nie, jest znacznie gorszy! Mówią, że...

- Jeżeli zaś chodzi o dziwne dania, jakie Irlandczycy jedli podczas oblężenia, to osobiście muszę przyznać, że wolałbym świeżego soczystego szczura od tych potraw, które mi ostatnio podają w hotelu. Zdaje mi się, że będę się musiał przenieść do Richmondu. Tam przynajmniej dają dobrze jeść, jeżeli ma się dość pieniędzy, aby za to płacić. - Widać było, że naigrawa się z jej przerażenia.

Scarlett, zła teraz, że okazała swój niepokój, zawołała:

- Nie rozumiem, dlaczego siedzi pan tutaj tak długo! Myśli pan wyłącznie o swojej wygodzie, o jedzeniu i tym podobnych rzeczach.

- Nie znam przyjemniejszego sposobu spędzenia czasu niż jedzenie i hhhm... podobne rzeczy - powiedział. - Siedzę zaś tutaj dlatego, że choć czytałem wiele o rozmaitych oblężeniach miast czy fortec, nigdy nie byłem ich świadkiem naocznym. Dlatego więc chyba zostanę tutaj i przypatrzę się wszystkiemu. Nic mi się stać nie może, bo nie należę do walczących, a chcę mieć nowe przeżycia. Niech pani nigdy nie przepuszcza sposobności nowych przeżyć, Scarlett. Wzbogacają duszę człowieka.

- Moja dusza jest dostatecznie bogata.

- Może ma pani rację, ja bym jednak powiedział... Powinienem wszakże być rycerski... Możliwe także, że zostaję w Atlancie, aby uratować panią, gdy oblężenie zacznie się na dobre. Nigdy dotąd nie ratowałem dziewicy w opresji. To także byłoby nowym przeżyciem.

Wiedziała, że Rett się z nią drażni, ale w słowach jego wyczuła pewną powagę. Potrząsnęła głową.

- Nie będzie mnie pan musiał ratować. Potrafię sobie sama poradzić, dziękuję.

- Niech pani tego nie mówi, Scarlett! Wolno to pani myśleć, ale nigdy, nigdy niech pani tego głośno nie mówi mężczyźnie. To właśnie jest wadą kobiet jankeskich. Byłyby niezmiernie czarujące, gdyby ciągle nie zapewniały wszystkich, że umieją sobie radzić same i dziękują. Co zabawniejsze, mówią najczęściej prawdę. Dlatego więc mężczyźni pozostawiają je samym sobie.

- To dobre porównanie - powiedziała chłodno, bo nie było dla kobiety Południa gorszej zniewagi niż porównanie z Jankeską. - Zdaje mi się jednak, że chce mnie pan nastraszyć mówiąc o oblężeniu. Wie pan dobrze, że Jankesi nigdy nie zdobędą Atlanty.

- Założę się z panią, że zjawią się tutaj w ciągu miesiąca. Założę się o pudełko cukierków... - Ciemne jego oczy spoczęły na jej ustach. - Lub o pocałunek.

Na krótką chwilę obawa przed Jankesami znowu ścisnęła serce Scarlett, usłyszawszy jedno słowo „pocałunek” zapomniała o wszystkim. To był teren znajomy i o wiele bardziej interesujący od operacji wojennych. Z trudem powściągnęła uśmiech zadowolenia. Od dnia, gdy jej podarował zielony kapelusz, Rett nie robił żadnych awansów, które by mogła sobie tłumaczyć jako przejawy miłości. Nigdy nie dawał się wciągnąć w rozmowę na tematy osobiste, mimo największych wysiłków z jej strony. A teraz nagle, bez żadnej prowokacji, sam wspomniał o pocałunku!

- Nie życzę sobie tego rodzaju rozmowy - powiedziała chłodno i zmarszczyła brwi. - Nie mówiąc o tym, że równie wielką przyjemność sprawiłoby mi pocałowanie na przykład wieprza.

- Bywają rozmaite gusty. Słyszałem zresztą, że Irlandczycy lubią świnie do tego stopnia, że trzymają je pod łózkami. Ale zapewniam panią, Scarlett, że potrzebuje pani pocałunków. Brak ich pani. Wszyscy wielbiciele zanadto panią szanowali, Bóg wie dlaczego, albo też bali się pani tak bardzo, że nie umieli z panią postępować. Rezultat jest taki, że stała się pani nieznośnie zarozumiała. Powinna się pani zacząć całować, i to z kimś, kto się na tym rozumie.

Rozmowa nie poszła w kierunku, jaki Scarlett chciała jej nadać. Zresztą z Rettem zawsze tak było. Był to zawsze pojedynek, z którego Scarlett wychodziła pokonana.

- I wydaje się panu zapewne, że to pan jest do tego odpowiedni? - zapytała z sarkazmem, z trudem powstrzymując złość.

- O, tak, gdybym miał na to ochotę - rzekł niedbale: - Mówią, że świetnie całuję.

- Och - zaczęła, oburzona tym wyraźnym lekceważeniem swoich wdzięków. - Jak pan... - Nagle jednak opuściła wzrok ze zmieszaniem.

Rett uśmiechnął się, ale w ciemnych głębiach jego oczu zabłysnął na chwilę mały, ostry płomyczek.

- Pewien jestem, że dziwi się pani, dlaczego nie chciałem nigdy ponowić niewinnego całusa, który dałem pani w dniu gdy przywiozłem kapelusz.

- Nie dziwiłam się wcale...

- Nie jest więc pani przyzwoitą panienką, Scarlett, i bardzo mi przykro, że się pani do tego przyznaje. Wszystkie przyzwoite panienki dziwią się, dlaczego mężczyźni nie starają się ich całować. Wiedzą, że nie powinny tego chcieć i że powinny udawać obrażone, mimo wszystko jednak chcą, aby mężczyźni próbowali... Ale, droga pani, niech pani nie traci



nadziei... Kiedyś pocałuję panią, i pewien jestem, że bardzo się to pani spodoba. Nie teraz jednak, i proszę, aby nie była pani zbyt niecierpliwa.

Scarlett znowu wpadła we wściekłość. W słowach Retta było zawsze zbyt wiele prawdy. No, ale teraz miała go już naprawdę dość. Jeżeli kiedykolwiek ośmieli się do niej zalecać, ona mu pokaże!

- Czy nie zechciałby pan z łaski swojej zawrócić konie, panie kapitanie? Chciałabym wrócić do szpitala.

- Czy rzeczywiście, mój aniele opiekuńczy? A więc woli pani wszy i brudy od rozmowy ze mną? Nie mogę się oczywiście sprzeciwić, gdy para ochoczych rąk wyrywa się do pracy dla naszej świętej Sprawy. - Zawrócił konia i pojechali w stronę Pięciu Znaków.

- Co do tego zaś, dlaczego nie robię pani awansów - ciągnął dalej swobodnie, jak gdyby nie dostrzegłszy, że Scarlett dała mu poznać, iż przerywa konwersację - to czekam tylko, aż pani trochę dorośnie. Widzi pani, całowanie pani teraz nie sprawiłoby mi wcale przyjemności, a jestem wielkim egoistą. Nigdy nie lubiłem całować dzieci.

Powściągnął uśmiech, gdy kącikiem oka dostrzegł, że piersi Scarlett wznoszą się od milczącego oburzenia.

- Ponadto zaś - ciągnął łagodnie dalej - czekam, aż wspomnienia o czcigodnym Ashleyu Wilkesie trochę przygasną.

Na wspomnienie imienia Ashleya ostry ból przeszył Scarlett i nagle łzy napłynęły jej do oczu. Przygaśnie? Wspomnienie o Ashleyu nigdy w jej sercu nie przygaśnie, choćby nie żył nawet od tysiąca lat. Pomyślała o Ashleyu rannym, umierającym w dalekim jankeskim więzieniu, nie mającym koldry do przykrycia się ani nikogo bliskiego, kto by podał mu rękę - i wypełniła ją nienawiść do tego dobrze odżywionego człowieka, który siedząc koło niej kpił wyraźnie, mimo że głos jego brzmiał łagodnie.

Zbyt była dotknięta, aby odpowiedzieć, jechali więc przez dłuższą chwilę w zupełnym milczeniu.

- Teraz rozumiem już właściwie wszystko, co się tyczy pani i Ashleya - kończył Rett. - Zacząłem swoje obserwacje od dość gwałtownej sceny w Dwunastu Dębach i od tego czasu dowiedziałem się wielu rzeczy, ponieważ miałem oczy otwarte. Jakich rzeczy? Och, że pała pani jeszcze do niego romantyczną, pensjonarską miłością, którą on odwzajemnia w tym stopniu, w jakim pozwala mu na to jego szlachetna natura. Że pani Wilkes nic o tym nie wie. Że zatem we dwoje płatacie jej wspaniałego figla. Rozumiem właściwie wszystko z wyjątkiem jednej rzeczy, która wznieca moją ciekawość. Czy czcigodny Ashley naraził kiedykolwiek na szwank swoją nieśmiertelną duszę i pocałował panią?

Kamienne milczenie i odwrócenie głowy były jedyną odpowiedzią.

- Ach, a zatem pocałował panią. Przypuszczam, że wtedy, gdy przyjechał na urlop. Teraz zaś, kiedy już prawdopodobnie nie żyje, pani pieści to wspomnienie w swoim sercu. Pewien jestem jednak, że zapomni pani szybko o tym pocałunku, a gdy to się stanie, ja...

Odwróciła się, ku niemu z furją.

- Niech pana... diabeł porwie - rzekła mocno, ze zwięzonymi z wściekłości oczyma. - I niech mnie pan wypuści z tego powozu, bo inaczej skoczę pod koła. Nie chcę nigdy więcej z panem rozmawiać.

Rett zatrzymał powóz, zanim jednak zdołał wysiąść i podać jej rękę, Scarlett wyskoczyła. Suknia jej zaczepiła się o jedno z kół i przez chwilę przechodnie koło Pięciu Znaków mogli oglądać wiele haleczek i koronkowe pantalone. Rett pochylił się szybko i oswobodził Scarlett. Rzuciła się naprzód bez słowa, bez jednego spojrzenia, on zaś zaśmiał się cicho i zaciął konia.

## ROZDZIAŁ XVIII

Po raz pierwszy od rozpoczęcia wojny słycać było w Atlancie odgłos bitwy. Wczesnym rankiem, zanim życie budziło się w mieście, słyszało się odległe granie dział na Górze Kennesaw, ciche, przytłumione dudnienie jakby dalekich grzmotów. Chwilami potęgowało się ono do tego stopnia, że górowało nad turkotem pojazdów w południe. Ludzie starali się nie słyszeć tych dźwięków, rozmawiali, chodzili za swoimi sprawami, jak gdyby nie pamiętając, że Jankesi znajdują się w odległości dwudziestu dwu mil - ale uszy ich ciągle łowiły te odgłosy. Miasto przybrało zatroskany wygląd. Przy wszystkich zajęciach ludzie przede wszystkim słuchali, słuchali, a bicie ich serc przyspieszało się po sto razy dziennie. Czy dudnienie nie staje się głośniejsze? Czy też tak się tylko wydaje? Czy generał Johnston odeprze „ich” tym razem? Czy odeprze...?

Panika mogła wybuchnąć lada chwila. Napięcie nerwowe, które wzrastało z każdym dniem odwrotu, teraz dochodziło do zenitu. O obawach swoich nie rozmawiano. Temat ten był zakazany. Nerwowości dawano ujście w coraz głośniejszych krytykach generała Johnstona. Sherman był tuż koło bram Atlanty. Jeszcze jeden odwrót, a konfederaci cofną się do miasta.

Dajcie nam generała, który nie będzie się cofał! Dajcie nam człowieka, który będzie stawiał Jankesom opór i walczył!

W takt dalekiego grzmienia dział milicja stanowa - „pieszczoszki Joe Browna” - i gwardia wymaszerowały z Atlanty, aby bronić mostów i promów na rzece Chatahoochee na tyłach Johnstona. Dzień był szary, pochmurny, a kiedy szli przez Pięć Znaków, drogą do Marietty, zaczął mżyć drobny deszczyk. Całe miasto wyległo na ulice, aby ich pożegnać. Ludzie stali ciasno pod drewnianymi daszkami sklepów na ulicy Brzoskwiniowej i starali się okazywać entuzjazm.

Scarlett i Maybelle Merriweather-Picard dostały pozwolenie na wyjście ze szpitala i pożegnanie żołnierzy, ponieważ wuj Henryk Hamilton i dziadek Merriweather służyli w gwardii - stały więc teraz w tłumie wraz z panią Meade, wspinając się na palce, aby lepiej widzieć, Scarlett, mimo że skłonna, jak większość południowców, wierzyć wyłącznie w rzeczy przyjemne i pocieszające na temat położenia armii, czuła zimny dreszcz, gdy przyglądała się różnobarwnym szeregom. Sprawy z pewnością stały bardzo źle, skoro powołano na front tę zbieraninę symulantów, starców i chłopaczków! W przechodzących szeregach sporo było młodych i zdolnych do służby wojskowej ludzi - ci wystrojeni byli w

kolorowe mundury specjalnie dobranych oddziałów milicji, w pióropusze i szarfy. Przeważali jednak starcy i młodzi chłopcy, na których widok serce Scarlett ścisnęło się litością i przerażeniem. Siwowłosi mężczyźni, starsi od jej ojca, starali się kroczyć zwawo, w szeregach, w rytm piszczałek i bębnow. Dziadek Merriweather, otulony dla ochrony przed deszczem najlepszym pledem pani Merriweather, siedł w pierwszym szeregu i salutował paniom z uśmiechem. One machały do niego chusteczkami i wołały mu wesoło „do widzenia” - ale Maybelle chwytając Scarlett za ramię szepnęła jej: - Och, biedny mój dziaduś! Jedna ulewa zwali go z nóg! Ma ischias...

Wuj Henryk Hamilton maszerował w następnym szeregu. Miał nastawiony na uszy kołnierz długiego czarnego płaszcza, dwa pistolety meksykańskie za pasem i małą torbę podróżną w ręce. Obok niego siedł jego służący, Murzyn, równie stary jak on - i trzymał rozpostarty parasol, którym osłaniał swojego pana i siebie. Ramię w ramię ze starszymi szli chłopcy, którzy wszyscy nie mieli jeszcze szesnastu lat. Wielu uciekło ze szkół, aby zaciągnąć się do wojska; tu i ówdzie szły małe grupki w mundurach kadetów akademii wojskowych - czarne kogucie pióra na ich szarych, małych czapkach były mokre od deszczu, tak jak i płócienne pasy, skrzyżowane na piersiach. Wśród nich siedł i Filip Meade, z dumą niosący szablę i pistolety zmarłego brata, w kapeluszu zawadiacko włożonym na bakier. Pani Meade z wysiłkiem uśmiechała się do niego, póki jej nie minął, ale potem oparła głowę o ramię Scarlett, jak gdyby nagle opuściły ją siły.

Wielu żołnierzy nie miało nawet broni, bo brak było już i karabinów, i amunicji. Mieli nadzieję, że zdobędą je na zabitych lub wziętych do niewoli Jankesach. Wielu miało długie noże myśliwskie za cholewami, a w rękach grube drągi o żelaznych końcach, tak zwane „piki Joe Browna”. Szczęśliwsi mieli przewieszane przez ramię stare muszkiety i rogi prochu przy pasach.

Johnston stracił podczas odwrotu około dziesięciu tysięcy ludzi. Potrzebował dziesięciu tysięcy nowych. „A posyłają mu tę garstkę” - myślała Scarlett z przerażeniem.

Kiedy artyleria przejeżdżała z turkotem, opryskując błotem tłum gapiów, wzrok jej padł na Murzyna jadącego na mule przy jednej z armat. Był to młody, ciemnobrązowy Murzyn o poważnym wyrazie twarzy. Przyjrząwszy mu się lepiej Scarlett wykrzyknęła: - To przecież Mojżesz! Mojżesz Ashleya! Co on tutaj robi? - Przedarła się przez tłum aż do jezdni i zawołała: - Mojżeszu, zatrzymaj się!

Chłopak widząc ją wstrzymał cugle, uśmiechnął się z zachwytem i zaczął złaźić z muła. Jadący za nim przemoknięty do nitki sierżant zawołał: - Nie zatrzymuj mi się, chłopcze, bo cię ukatrupię! Przecież w końcu musimy kiedyś dojechać do tych gór!

Mojżesz spoglądał niepewnie to na sierżanta, to znowu na Scarlett, zeszła więc przez kałużę błota na jezdnię i przytrzymała Murzyna za strzemień.

- Och, tylko chwileczkę, sierzancie! Nie zsiadaj z muła, Mojżeszu. Skąd się tu wzięłaś?

- Idę znowu na wojnę, Miss Scarlett. Tym razem ze starym panem Janem.

- Z panem Wilkesem? - Scarlett nie posiadała się ze zdumienia. Pan Wilkes miał blisko siedemdziesiąt lat. - Gdzie jest twój pan?

- Na samym końcu, przy ostatniej armacie, panno Scarlett. O, tam!

- Teraz muszę panią przeprosić. Ruszaj naprzód, chłopcze!

Scarlett przez chwilę stała bez ruchu po kostki w błocie. „Ach, nie! - myślała. - To niemożliwe. Za stary jest na to. Nie lubi wojny tak samo jak Ashley!” Cofnęła się o kilka kroków w stronę chodnika i bacznie przyglądała się mijającym ją twarzom. Aż wreszcie, kiedy przejechało ostatnie działo i jego obsługa, dostrzegła go, jak szczupły, wyprostowany, ze zmoczonymi od deszczu włosami, jechał na małej kasztanowatej klaczy, która omijała kałużę, z taką gracją, jak dama w jedwabnej sukni. Ale ta klacz to przecież była Nelly! Nelly pani Tarleton! Najukochańszy koń Beatrice Tarleton!

Kiedy pan Wilkes zobaczył Scarlett stojącą w błocie, wstrzymał konia i zeskoczywszy zeń podszedł ku niej z uśmiechem radości.

- Bardzo cię chciałem zobaczyć, Scarlett. Miałem dla ciebie wiele poleceń i pozdrowień od rodziców i siostr. Nie starczyło mi jednak czasu. Przybyliśmy tu dziś rano i jak widzisz, już nas dalej wysyłają.

- Och, panie Wilkes! - wołała z rozpaczą, ściskając go za rękę. - Niech pan z nimi nie idzie. Po co pan to robi?

- A więc myślisz, że jestem już za stary! - pan Wilkes uśmiechnął się jak Ashley. - Może jestem zbyt stary, aby maszerować, ale dość jeszcze młody, aby jechać konno i strzelać. Pani Tarleton była tak uprzejma, że pożyczyła mi Nelly, mam więc doskonałego kania! Mam nadzieję, że nic jej się nie stanie, bo inaczej nie śmiałybym się pokazać na oczy pani Tarleton. Nelly jest ostatnim koniem, jaki jej został. - Pan Wilkes śmiał się, aby rozwiać do reszty obawy Scarlett. - Twoi rodzice i siostry miewają się dobrze i przesyłają ci serdeczne ukłony. Ojciec twój omal z nami dziś nie poszedł!

- Skądże znowu ojciec?! - zawołała Scarlett w przerażeniu. - Skądże! Czy także chcesz iść na wojnę?

- Już nie, ale początkowo chciał. Oczywiście, że trudno mu chodzić ze względu na sztywne kolano, koniecznie jednak chciał pojechać z nami. Pani O'Hara zgodziła się na to

pod warunkiem, że dobrze przeskoczy przez płot na pastwisku, bo, jak mówiła, w wojsku drogi bywają bardzo niebezpieczne. Ojciec myślał, że pójdzie mu to gładko, ale... czy uwierzysz? Kiedy zbliżył się do płotu, koń stanął dęba i ojciec spadł na ziemię! Cud prawdziwy, że nie skręcił sobie karku! Wiesz jednak, jak jest uparty. Podniósł się i zaczął próbować znowu. No, i, Scarlett, spadł z konia trzy razy, i pani O'Hara z pomocą Porka musiała go ułożyć do łóżka. Gerald był wściekły z tego powodu i zaklinał się, że twoja matka „zadała jakiś czar tej bestii”. Ojciec nie nadaje się do czynnej służby, Scarlett. Nie potrzebujesz się tego wstydić. Ostatecznie, ktoś musi przecież zostać w domu i pilnować zbiorów dla armii... Scarlett nie czuła wcale wstydu, tylko wielką ulgę.

- Wysłałem Honey i Indię do Macon, do moich krewnych, Bur rów, a pan O'Hara będzie teraz doglądał Dwunastu Dębów i Tary... A teraz muszę już iść, moja droga. Pozwól mi pocałować twoją śliczną buzię.

Scarlett nastawiła policzek i ból ścisnął ją za gardło. Bardzo lubiła pana Wilkesa. Kiedyś, dawno temu, miała nadzieję, że zostanie jego synową.

- Ten pocałunek oddaj Pittypat, a ten Melanii - powiedział całując ją lekko jeszcze dwa razy. - A jak się miewa Melania?

- Dziękuję, zupełnie dobrze.

- Ach! - znowu na nią spojrzał, a raczej poprzez nią, w dal jak Ashley, szarymi oczyma, które patrzyły w inny jakiś świat. - Bardzo pragnąłbym widzieć mego pierwszego wnuka. Do widzenia, droga Scarlett.

Wskoczył na Nelly, pocałował nie wkładając kapelusza i włosy mokły mu na deszczu. Scarlett wróciła na swoje miejsce przy Maybelle i pani Meade i wtedy dopiero pojęła całkowicie sens ostatnich słów pana Wilkesa. W przesadnym strachu zaczęła się szybko żegnać. Wyszepiała nawet kilka pierwszych słów modlitwy. Pan Wilkes mówił o śmierci, tak samo jak Ashley. A teraz Ashley... Nigdy nie należy mówić o śmierci! Drażni się tym tylko zły los. Kiedy we trzy wracały w stronę szpitala, Scarlett modliła się: „Oszczędź go, Panie Boże! Oszczędź jego i Ashleya!”

Odwrót z Daltonu do Góry Kennesaw trwał od pierwszych dni maja do połowy czerwca, gdy więc mijały upalne, deszczowe dni, a Sherman nie wypierał konfederatów ze stromych, spadzistych zboczy, nadzieja obudziła się znowu. Nastrój ludności poprawił się i zaczęto się zyczliwiej wyrażać o generale Johnstonie. Gdy minął mokry czerwiec i zaczął się jeszcze bardziej deszczowy lipiec, a konfederaci walcząc rozpaczliwie w okopach na wyżynie ciągle jeszcze trzymali Shermana w szachu, szaleńcza wesołość zapanowała w Atlancie. Nadzieja uderzała do głów jak trunek.

Hura! Hura! Mamy ich wreszcie! Rozpoczęła się epidemia zabaw i balów. Ilekroć żołnierze z pola walki przyjeżdżali do miasta, wydawano dla nich kolacje z tańcami - panny zaś, dziesięciokrotnie przewyższające liczbą mężczyzn, walczyły o tańce z nimi.

Atlanta przepelniona była przyjezdnymi, uciekinierami, rodzinami rannych w szpitalach oraz żonami i matkami żołnierzy walczących u stóp gór. Chciały być blisko nich na wypadek, gdyby ich raniono. W dodatku panny z tych części powiatu, gdzie nie było innych mężczyzn niż starcy lub mali chłopcy, urządziły najazd na miasto. Ciotka Pitty bardzo była tym zgorziona, bo domyślała się, że sprowadza je do Atlanty chęć złapania mężów, bezwstyd więc takiego postępowania sprawiał, iż biadała, jakie to straszne czasy nastały. Scarlett także krytykowała je ostro. Nie życzyła sobie konkurencji szesnastoletnich dziewczynek, których świeże policzki i radosne uśmiechy wynagradzały brak nowych sukien i łatanе buty. Ona wprawdzie miała ładniejsze i nowsze suknie niż większość kobiet, ponieważ Rett Butler przywiózł jej materiały w ostatnim transporcie, jaki zdołał przemycić, ale miała już lat dziewiętnaście i starzała się, a mężczyźni mieli dziwny zwyczaj oglądania się za głupimi podlotkami.

Jako wdowa z dzieckiem miała stanowczo mniejsze szansę od tych ładnych dziewczątek. W tych jednak pełnych podniecenia dniach wdowieństwo i macierzyństwo ciążyło jej mniej niż kiedykolwiek przedtem. Zajęta szpitalem w dzień, a zabawą w nocy, rzadko widywała Wade'a. Czasem zapominała, nawet na długo, że w ogóle ma dziecko.

Podczas ciepłych, wilgotnych nocy letnich domy Atlanty były otwarte szeroko dla żołnierzy, obrońców miasta. Pałacyki przy ulicy Waszyngtona i Brzoskwiniowej błyszcząły światłem, gdy goszczono uwalanych błotem bohaterów z okopów, a dźwięki banjo i skrzypiec, szuranie tańczących stóp i swobodne śmiechy niosły się daleko w ciszy nocnej. Grupki młodzieży otaczały pianina i śpiewały ochoczo smutne słowa: „Nadszedł twój list, za późno, niestety!”, podczas gdy obszarpani kawalerowie patrzyli znacząco na dziewczęta, śmiejące się zza wachlarzy z kogucich piór, i błagali je, by nie czekały, aż będzie za późno. Żadna zresztą nie miała teraz zamiaru czekać. Fala nerwowej wesołości i podniecenia, która ogarnęła miasto, niosła je wprost przed ołtarz. W ciągu tego miesiąca, gdy Johnston odpierał nieprzyjaciela na Górze Kennesaw, odbyła się niezliczona ilość ślubów, do których zaczerwienione ze szczęścia narzeczone stroiły się w pożyczone na gwałt od przyjaciółek szmatki, narzeczeni zaś podzwaniiali szablą po łatanych spodniach. Tyle było radości, tyle zabaw, tyle rozrywek! Hura! Johnston stawia Jankesom opór w odległości dwudziestu dwu mil od miasta!

Tak, okopy dokoła Góry Kennesaw były niezdobyte. Po dwudziestu pięciu dniach

walki nawet generał Sherman w to uwierzył, bo straty poniósł olbrzymie. Zamiast więc kontynuować atak, rozrzucił swoją armię szerokim kołem po płaszczyźnie, aby stanąć między konfederatami a Atlantą. Manewr strategiczny powiódł mu się znowu. Johnston zmuszony był zejść z wyżyn, których tak skutecznie bronił, aby zabezpieczyć z kolei tyły. W walkach stracił jedną trzecią swoich ludzi, niedobitki zaś jego wojsk leniwie wlokły się w deszcz w stronę rzeki Chattahoochee. Konfederaci nie mieli już więcej posiłków, a kolej, którą Jankesi władali teraz na przestrzeni od Tennessee aż do frontu, co dzień przynosiła Shermanowi świeże wojska i amunicję. Tak więc szara armia cofnęła się przez błotniste pola w stronę Atlanty.

Z chwilą utraty niezwyciężonej rzekomo pozycji, nowa fala strachu ogarnęła miasto. Przez dwadzieścia pięć szczęśliwych, szalonych dni i nocy wszyscy zapewniali wszystkich, że to się nigdy nie stanie. A teraz nagle się stało! Z pewnością jednak uda się generałowi zatrzymać Jankesów po przeciwnej stronie rzeki. Choć, o zgrozo! Rzeka była bardzo blisko - o siedem mil od miasta!

Sherman przebywając rzekę oskrzydlił konfederatów znowu, więc szare szeregi musiały się pośpiesznie przeprowiać wplaw przez żółte wody, między najeżdżcą a Atlantą... Szybko okopali się na północ od miasta w Dolinie Brzoskwiniowej. W Atlantcie zapanowała panika i rozpacz.

Walka i odwrót! Walka i odwrót! Każdy odwrót przybliżał Jankesów do miasta. Dolina Brzoskwiniowa odległa była zaledwie o pięć mil od Atlanty! Cóż sobie generał właściwie myśli? Okrzyki: „Dajcie nam człowieka, który będzie stawiał opór i walczył!” dotarły nawet do Richmondu. Tam wiadano, że zdobycie Atlanty będzie znaczyło przegraną wojnę, kiedy więc armia przekroczyła rzekę Chattahoochee, odebrano generałowi Johnstonowi dowództwo. Miejsce jego zajął generał Hood, dowódca jednego z korpusów armii. Miasto odetchnęło z ulgą. Hood nie będzie się cofał. Hood, wysoki, energiczny mężczyzna o dużej brodzie i płonących oczach, pochodził z Kentucky i miał opinię człowieka nieustępliwego. Z pewnością zdoła wypchnąć Jankesów z Doliny Brzoskwiniowej, za rzekę, i dalej jeszcze, aż do samego Daltonu. Armia jednak wołała: „Dajcie nam starego Joe!”, ponieważ przebyła z nim razem trudną drogę z Daltonu i wiedziała lepiej od ludności cywilnej, ile pokonał przeszkód.

Sherman nie czekał wszakże, aż Hood przygotowuje się do ataku. W dzień po zmianie naczelnego dowództwa generał jankeski szybko uderzył na miasteczko Dekatur, o sześć mil od Atlanty, zajął je i zniszczył tam tor kolei łączącej Atlantę z Augusta, Charlestonem, Wilmingtonem i Wirginią. Sherman zadał Konfederacji śmiertelny cios. Czas już wreszcie na ostateczną walkę! Atlanta domagała się energicznej akcji!



Aż wreszcie pewnego skwarne go popołudnia lipcowego spełniło się życzenie miasta. Generał Hood nie ograniczał się do stawiania oporu i walki. Zaatakował Jankesów nad Strumieniem Brzoskwiniowym, rzucając swych ludzi na szeregi niebieskich, mimo że żołnierzy Shermana było przeszło dwa razy więcej.

Modląc się, aby atak Hooda był skuteczny, słuchano w przerażeniu odgłosu strzałów armatnich i karabinowych, które choć padały o pięć mil od centrum miasta, brzmiały tak głośno, jak z sąsiedniej ulicy. Słyszało się już dudnienie baterii, widziało dym, który unosił się nad wierzchołkami drzew niczym płonące nisko chmury, ale przez długie godziny nic nie było wiadomo o losach bitwy.

Późno po południu nadeszły pierwsze wiadomości - niepewne, sprzeczne, przerażające. Przynieśli je żołnierze ranni w pierwszych godzinach bitwy. Napływali pojedynczo i w gromadkach, a lżej ranni podpierali tych, którzy z trudem chodzili. Wkrótce nieprzerwany ich pochód sunął w stronę szpitali. Twarze mężczyzn były czarne od prochu, kurzu i potu, rany - otwarte, krew zastygła w strupy, dokoła których krążyły muchy. Dom ciotki Pitty był jednym z pierwszych, do których doszli ranni idąc z północy ku miastu; jeden za drugim wtaczali się za furtkę, opadali na zieloną murawę i jęczeli: - Wody!

Przez całe gorące popołudnie Pitty i wszyscy jej domownicy, czarni i biali, stali w słońcu z kubłami i bandażami, rozdając kubki wody i przewijając rany, aż nie stało bandaży i wyczerpał się zapas dartych na pasy prześcieradeł i ręczników. Ciotka Pitty zapomniała zupełnie, że mdleje zwykle na widok krwi, i pracowała, aż małe jej nogi w zbyt ciasnych pantoflach tak spuchły, że odmówiły jej posłuszeństwa. Nawet Melania, bardzo już ciężka, nie pamiętała o należytej skromności i gorączkowo pracowała ze Scarlett, Prissy i kucharką, aż twarz jej stała się tak zboląla jak twarze rannych. Kiedy w końcu zemdląla, trzeba ją było położyć na stole kuchennym, bo wszystkie łóżka, krzesła i sofy w domu zajmowali już ranni.

Zapomniany w tym rozgardiaszu mały Wade przycupnął za balustradą frontowego ganku i patrzył na trawnik przed domem jak przerażony królik w klatce - oczy miał szeroko rozwarte, ssał bez przerwy palec, miał nieustanną czkawkę. W pewnej chwili Scarlett spostrzegła go i zawołała ostro: - Idź na podwórze i baw się tam, Wade! - ale malec był zbyt przejęty scenami, które rozgrywały się przed nim, aby jej usłuchać.

Na trawniku rozłożyli się żołnierze, zbyt zmęczeni, aby iść dalej, zbyt słabi od ran, aby się ruszać. Tych wuj Piotr wsadzał do powozu i przewoził do szpitala, robiąc kurs kilkanaście razy, aż stary koń pokrył się pianą. Pani Meade i pani Merriweather także przysłały swoje powozy, które również jechały i wracały, aż resory trzeszczały pod ciężarem rannych.

Później, w letnim, gorącym zmierzchu, nadjechały z pola walki ambulanse i wozy pokryte zabłoconym płótnem. Potem wozy drabiniaste i nawet prywatne pojazdy, zarekwirowane przez korpus sanitarny, mijały dom ciotki Pitty podskakując po wyboistej drodze, pełne rannych i konających i znaczyły krwawe ślady na czerwonym piasku. Na widok kobiet z kubłami wody i czerpakami zatrzymywały się i chór rannych brzmiał na przemian krzykiem i szeptem: - Wody!

Scarlett podtrzymywała chwiejące się głowy, wlewała wodę między spieczone wargi, przyskała nią na zakurzone, rozgorączkowane ciała i na otwarte rany, aby sprawić żołnierzom choć krótką ulgę. Na palcach podchodziła z pełnymi kubkami do woźniców ambulansów i pytała ich z duszą na ramieniu: - Jakie nowiny? Jakie wiadomości?

Wszyscy odpowiadali niezmiennie: - Nie wiemy dokładnie, proszę pani. Jeszcze za wcześnie, aby wiedzieć.

Nadeszła parna noc. Nie było przewiewu, a płonące pochodnie sosnowe, trzymane przez Murzynów, jeszcze wzmagały gorąco. Kurz zatykał nozdrza Scarlett i wysuszał jej wargi. Suknia, perkalowa, rano tak czysta i wykrochmalona, była przepocona i uwalana krwią i brudem. A zatem to miał na myśli Ashley, pisząc, że wojna to nie sława, lecz brud i nędza...

Zmęczenie nadawało zdarzeniom nierealne, koszmarnie znamiona. To, co się działo, nie mogło być realne - albo też, jeżeli było rzeczywistością - świat musiał chyba oszaleć. Inaczej, po cóż stałaby tutaj w spokojnym ogródku ciotki Pitty wśród chybotliwych świateł i chlustała wodą na konających żołnierzy? Tylu z nich było jej wielbicielami... Teraz widząc ją próbowali się blado uśmiechać. Tylu mężczyzn, których znała doskonale, potykało się na tej ciemnej, zapyłonej drodze, tylu mężczyzn umierało w jej oczach, a roje moskitów i komarów lgnęło do ich zakrwawionych twarzy - tylu mężczyzn, z którymi tańczyła i śmiała się, dla których grała i śpiewała, którym dokuczała, których pocieszała, których kochała... troszeczkę...

Znalazła Careya Ashburna na samym dnie wozu, pod kupą rannych, ledwie żywego od rany w głowie. Nie mogła go jednak wydostać nie poruszając przy tym sześciu innych mężczyzn, musiała więc pozwolić, aby go zawieziono do szpitala. Potem dowiedziała się, że zmarł, zanim go lekarze zdążyli opatrzyć, i że został gdzieś pochowany, nikt nie wiedział gdzie. Tylu mężczyzn spoczęło już tego miesiąca w płytkich, pośpiesznie wykopanych grobach na cmentarzu oaklandzkim. Melania była bardzo strapiona, że nie mogła przesłać pasma włosów Careya matce jego w Alabamie.

Późnym wieczorem, kiedy plecy bolały je coraz bardziej, a kolana drżały ze zmęczenia, Scarlett i Pitty coraz niecierpliwiej pytały żołnierzy: - Jakie wiadomości, jakie

nowiny?

Pod koniec wreszcie długich, wolno mijających godzin otrzymywać zaczęły odpowiedzi, które sprawiły, że z bladym strachem spojrzały sobie w oczy.

- Cofamy się. Musimy się cofać. Przewyższają nas o całe tysiące. Odcięli kawalerię Wheelera koło Dekatur. Będziemy musieli iść na odsiecz. Nasi chłopcy wejdą wkrótce do miasta.

Scarlett i Pitty objęły się mocno, aby nie upaść.

- Czy... Czy Jankesi zbliżają się do miasta?

- Tak, zbliżają się, ale daleko nie zajdą, łaskawa pani. Niech się pani nie obawia, nie zajmą Atlanty. Nie, proszę pani, mamy całe mile okopów dookoła miasta. Słyszałem na własne uszy, jak stary Joe mówił: „Potrafię utrzymać Atlantę!” Tak, ale nie ma już starego Joe. Mamy teraz... - Uspokój się, ty głupcze! Nie strasz tych pań! - Jankesi nigdy nie zajmą miasta, łaskawa pani. Dlaczego nie jada panie do Macon czy gdzie indziej, gdzie jest bezpieczniej? Czy nie mają tam panie krewnych? Jankesi wprawdzie nie wejdą do Atlanty, ale lepiej dla pań będzie wyjechać teraz gdzieś dalej. Strzelanina będzie pewno mocna...

Następnego dnia, w ciepłym porannym deszczu, pokonana armia przechodziła całym tysiącami przez Atlantę, wycieńczona głodem i zmęczeniem, wyniszczona siedemdziesięciu sześciu dniami bitew i odwrotów. Konie ich wyglądały jak wygłodniałe strachy na wróble, a podwozia powiązane były kawałkiem sznurów i rzemieni. Nie szli jednak bezładnie ani w rozsypce. Maszerowali w szeregu dość karnie mimo wycieńczenia. Podarte czerwone sztandary bojowe powiewały na deszczu. Nauczyli się odwrotów pod wodzą starego Joe, który uważał, że odwrót jest nie mniej ważną sprawą od ataku. Brodate, wynędzniałe szeregi wypełniły ulicę Brzoskwiniową przy dźwiękach pieśni: „Maryland, mój Maryland”, a całe miasto wyległo na ulice, aby dodać żołnierzom otuchy. W zwycięstwie czy w klęsce, zawsze byli „ich chłopcami”.

Milicja stanowa, która tak niedawno weszła w pole strojna w nowe mundury, nie różniła się teraz niczym od starych żołnierzy, tak była brudna i obdarta. W oczach jej członków pojawił się nowy wyraz. Trzy lata zwlekania, usprawiedliwiania się, że nie są na froncie, należały już do przeszłości. Zamienili bezpieczeństwo na tyłach na znoje bitew. Wielu z nich zamieniło łatwe życie na trudną śmierć. Teraz byli weteranami, weteranami, którzy po krótkiej służbie dobrze odkupili swoje przewiny. Szukali twarzy przyjaciół w tłumie i patrzyli w nie dumnie, z wyzwaniem. Mogli teraz chodzić z podniesioną do góry głową.

Dalej szli starcy i chłopcy z gwardii. Starsza generacja ledwie powłóczyła nogami,

chłopcy mieli wyraz twarzy zmęczonych dzieci, przedwcześnie obarczonych problemami ludzi dojrzałych. Scarlett dojrzała Filipa Meade i ledwie go poznała, tak był czarny od prochu i brudu, tak wyczerpany nerwowo i zmęczony. Wuj Henryk szedł kulejąc, bez kapelusza, okryty podartym płaszczem ceratowym. Dziadek Merriweather jechał okrakiem na podwoziu armaty, a bosc nogi owinięte miał kawałkiem koca. Mimo że szukała go bacznie, Scarlett nie dostrzegła nigdzie Jana Wilkesa.

Weterani Johnstona szli równym, swobodnym krokiem, jakiego nauczyli się w ciągu trzech lat. Mieli jeszcze dość energii, aby uśmiechać się i wymachiwać rękami do ładnych dziewcząt i drwić na głos z mężczyzn w cywilu. Byli w drodze do okopów okalających miasto - do prawdziwych fortyfikacji, głębokich, osłoniętych workami piasku i ostro zakończonymi drewnianymi palikami. Fortyfikacje te otaczały w odstępach milowych całe miasto - czerwone rowy z czerwonymi nasypami - i czekały na mężczyzn, którzy je zapelnia.

Tłum wołał do żołnierzy tak samo przyjaźnie, jak gdyby witał ich w zwycięstwie. Strach czał się we wszystkich sercach, ale teraz, gdy prawdę już znano, gdy zdarzyło się najgorsze i wojna przyszła na własne ich podwórko, w mieście dokonana się przemiana. Nie było paniki ani hysterii. Uczucia, kryjące się w sercach, nie przejawiały się na twarzach. Wszyscy wyglądali wesoło, jakkolwiek wesołość ta była bardzo sztuczna. Wszyscy starali się witać wojsko odważnym, pełnym wiary uśmiechem. Wszyscy powtarzali sobie ostatnie słowa starego Joe, w chwili, gdy odbierano mu dowództwo: - Potrafię utrzymać Atlantę!

Teraz gdy z kolei Hood musiał się cofać, wielu, wraz z żołnierzami, żałowało, że to nie stary Joe jest na jego miejscu, ale nikt nie śmiał tego wypowiedzieć głośno, czerpano więc tylko otuchę z ostatnich słów Johnstona.

- Potrafię utrzymać Atlantę!

Nie dla Hooda była ostrożna taktyka Johnstona. Zaatakował Jankesów na wschodzie i na zachodzie. Sherman opasywał miasto jak zapaśnik starający się trafić w słabe punkty przeciwnika, Hood zaś nie pozostał w rowach strzeleckich i nie czekał na atak Jankesów. Wyszedł im zuchwale na spotkanie i napadł na nich ostro. W ciągu kilku dni stoczył bitwy pod Atlantą i pod Ezrą - poważne bitwy, wobec których walki w Dolinie Brzoskwiniowej wydawały się lekką utarczką. Jankesi jednak nie przestawali się posuwać naprzód. Ponieśli dotkliwe straty, lecz mogli sobie na nie pozwolić. Baterie ich pluły bez przerwy pociskami na Atlantę, zabijając ludzi w domach, zdzierając dachy z budynków, ryjąc wielkie dziury na ulicach. Ludność kryła się w piwnicach, w jamach ziemnych i płytkich tunelach, wykopanych pod skrzyżowaniami ulic. Atlanta była obleżona.

W ciągu jedenastu dni od chwili objęcia dowództwa generał Hood stracił prawie tyłu

ludzi, co Johnston w czasie siedemdziesięciu dni bitew i odwrotów. Atlanta zaś była otoczona z trzech stron.

Kolej z Atlanty do Tennessee była teraz całkowicie w rękach Shermana. Armia jego stała za linią kolejową na wschodzie i droga na południowy zachód do Alabamy także była przecięta. Tylko odcinek południowy, w kierunku Macon i Savannah, jeszcze funkcjonował normalnie. Miasto pełne było żołnierzy i rannych, natłoczone uciekinierami, i jedna linia nie wystarczała do zaspokojenia jego niezbędnych potrzeb. Dopóki jednak kolej znajdowała się w rękach południowców, Atlanta mogła się opierać.

Scarlett była przerażona, gdy zrozumiała, jak ważna stała się teraz kolej, jak zapalczywie będzie o nią walczył Sherman i jak rozpaczliwie będzie jej bronił Hood. Ten bowiem odcinek kolei przechodził przez jej rodzinny powiat i przez Jonesboro. A Tara leżała o pięć mil od powiatowego miasta! Tara wydawała się spokojną przystanią w porównaniu z piekłem, jakim się stała Atlanta, ale Tara była odległa zaledwie o pięć mil od Jonesboro!

Scarlett i inne damy siedziały pod malutkimi parasolami na płaskim dachu składów i przyglądały się walkom w dniu bitwy pod Atlantą. Kiedy jednak pociski po raz pierwszy zaczęły padać na ulicę, panie schroniły się do piwnic. Tego samego wieczora kobiety, dzieci i starcy zaczęli uciekać z miasta. Udawali się do Macon. Wiele osób, które owego wieczora wsiadły do pociągu, zmieniło miejsca pobytu po pięć i sześć razy w czasie odwrotu Johnstona spod Daltonu. Teraz podróżowali swobodniej, niż kiedy przyjechali do Atlanty. Większość miała tylko torby podróżne i trochę żywności w węzełkach. Czasem widać było przerażoną służbę, która niosła do pociągu srebrne dzbany, noże czy widelce i portrety rodzinne, uratowane w pierwszym etapie ucieczki;

Panie Merriweather i Elsing nie chciały wyjechać z Atlanty. Potrzebne były w szpitalu, ponadto zaś, jak dumnie oświadczyły, nie bały się i cała nawet armia Jankesów nie zdołałaby ich wystraszyć z domów. Fanny jednak i Maybelle z dzieckiem pojechały do Macon. Pani Meade po raz pierwszy od dnia ślubu nie posłuchała męża i zdecydowanie odmówiła prośbie doktora, by schroniła się w bezpieczne miejsce. Twierdziła, że potrzebna jest doktorowi. Co ważniejsze, Filip znajdował się gdzieś w okopach pod Atlantą, chciała więc być blisko na wypadek...

Pani Whiting jednak wyjechała, a z nią wiele innych pań z otoczenia Scarlett. Ciotka Pitty, która nie przestawała atakować Johnstona z powodu jego polityki cofania się, pierwsza zaczęła pakować kufry. Miała, jak mówiła, delikatne nerwy i nie mogła znieść strzelaniny. Bała się, że zemdleje na odgłos detonacji i nie będzie mogła skryć się w piwnicy. Poza tym wcale się nie bała. Starła się ułożyć dziecinne usta w marsowy grymas, na próżno jednak.

Postanowiła pojechać do Macon do kuzynki, starej pani Burr, i zabrać ze sobą dziewczętą.

Scarlett nie chciała jechać do Macon. Mimo że bała się kul, wolała zostać w Atlancie, niż jechać do Macon, bo z całego serca nienawidziła starej pani Burr. Przed wielu laty pani Burr nazwała ją „flirciarą”, ponieważ przyłapała ją na całowaniu się z jej synem Willym podczas jakiejś wizyty u Wilkesów. Oświadczyła więc ciotce Pitty, że pojedzie do domu, do Tary. Niech ciotka zabierze ze sobą Melę, jeśli chce.

Na te słowa Melania rozplakała się z przerażenia i z żalu. Kiedy Pitty pobiegła do doktora Meade, Melania schwyciła Scarlett za ręce i zaczęła błagać:

- Kochanie, nie jedź do Tary i nie opuszczaj mnie teraz! Bez ciebie będzie mi bardzo smutno. Och, Scarlett, czuję, że umrę, jeżeli nie będzie cię przy mnie, gdy dziecko się urodzi! Tak... Tak, wiem, że będzie przy mnie ciocia, która jest taka dla mnie dobra... Tylko że ona nigdy nie miała dziecka i czasem tak mnie irytuje, że chce mi się płakać. Nie zostawiaj mnie teraz samej, kochanie. Byłaś dla mnie jak siostra, poza tym zaś - tu uśmiechnęła się słabo - przyrzekłaś Ashleyowi, że będziesz się mną opiekowała. Powiedział mi, że cię o to poprosi.

Scarlett patrzyła na nią z podziwem. Jakże Mela mogła ją tak kochać, kiedy ona tak bardzo jej nie lubiła, że ledwo to mogła ukryć? Jak mogła być tak zaślepiona, aby nie domyślać się jej tajemnej miłości do Ashleya? Zdradziła się tym wielokrotnie podczas miesięcy udręki i czekania na wiadomości od niego. Melania jednak nie widziała nic, Melania dostrzegająca tylko dobro w tych, których lubiła... Tak, przyrzekła Ashleyowi, że będzie się opiekowała Melanią. Ach, Ashleju! Ashleju! Już pewnie nie ma cię na świecie, nie ma od wielu miesięcy! Ale obietnica ta wiąże mnie teraz i obowiązuje!

- Rzeczywiście - odpowiedziała szorstko - przyrzekłam mu to i nie cofam mojego przyrzeczenia. Nie chcę jednak jechać do Macon, do tej fałszywej kuzynki Burr. Wydrapałabym jej oczy od razu po przyjeździe! Chcę pojechać do domu, do Tary, i mogę cię z sobą zabrać. Mamusia na pewno bardzo się z tego przyjazdu ucieszy.

- Och, bardzo chętnie! Twoja matka jest taka dobra! Wiesz jednak, że ciotka umrze z niepokoju, jeżeli nie będzie przy urodzeniu dziecka, a zdaje mi się, że nie chce pojechać do Tary. Tara jest za blisko frontu, a ciocia chce być w miejscu bardziej bezpiecznym.

Doktor Meade, który przybiegł zdyszany, sądząc po alarmie, jaki wszczęła Pitty, że Mela ma przedwczesny poród, był oburzony i wcale tego nie ukrywał. Dowiedział się o przyczynie zdenerwowania, rozstrzygnął kwestię w słowach bardzo kategorycznych.

- Melu, to wykluczone, abyś teraz mogła jechać do Macon Nie odpowiadam za ciebie, jeżeli gdziekolwiek wyruszysz. Pociągi są przepelnione i niepewne. Pasażerowie mogą w każdej chwili zostać wyproszeni z wagonów, jeżeli okaże się, że pociągi są potrzebne dla

rannych czy dla transportu wojsk i żywności. W twoim stanie...

- Ale gdybym pojechała ze Scarlett do Tary...

- Mówię ci, że nie chcę, abyś się gdziekolwiek ruszała. Do Tary jedzie się tym samym pociągiem co do Macon i warunki podróży są takie same. Ponadto zaś nikt nie wie dokładnie, gdzie są Jankesi, są jednak wszędzie i blisko. Możliwe jest, że właśnie twój pociąg zostanie zatrzymany przez wroga. Gdybyś zaś nawet bezpiecznie zdołała dojechać do Jonesboro, czekałaby cię jeszcze pięćmiłowa droga końmi do Tary. To nie jest wyprawa dla kobiet w odmiennym stanie. Prócz tego, od czasu gdy doktor Fontaine zaciągnął się do wojska, nie ma w powiecie doktora.

- Są jednak akuszerki.

- Ja mówię o doktorze - odrzekł szorstko i oczy jego bezwiednie spoczęły na delikatnej figurce Meli. - Nie chcę, abyś się stąd ruszała. Może to dla ciebie być niebezpieczne. Nie chcesz chyba urodzić dziecka w pociągu ani w bryczce, prawda?

Pod wpływem tych szczerych słów panie zaczerwieniły się i zamilkły.

- Musisz zostać tutaj, gdzie mogę do ciebie zaglądać. Powinnaś się nawet położyć. Nie biegaj mi tam i z powrotem do piwnicy. Ostatecznie, nie jest tu aż tak bardzo niebezpiecznie. Pobjemy Jankesów lada chwila... A więc, panno Pitty, niech pani sobie wyjeżdża do Macon i zostawi te młode damy tutaj.

- Bez opieki? - zawołała Pitty przerażona.

- To przecież są mężatki - rzekł doktor niechętnie. - Zresztą pani Meade jest o dwa domy dalej. I tak nie mogą teraz przyjmować gości, gdy Mela jest w takim stanie. Wielkie nieba, panno Pitty! Przecież teraz jest wojna! Nie można myśleć o tym, co wypada, a co nie wypada. Musimy myśleć o zdrowiu Meli.

Doktor wyszedł z pokoju i poczekał na ganku, frontowym na Scarlett.

- Będę z tobą szczerą, Scarlett - zaczął skubiąc swoją siwą brodę. - Wydajesz mi się kobietą rozsądną, więc zaoszczędź mi rumieńców. Nie chcę nawet słyszeć o tym, aby Mela ruszyła się z miejsca. Wątpię, czy przetrzymałaby podróż. Czeka ją trudny poród, nawet w najlepszych warunkach... Jak wiesz, ma bardzo wąskie biodra i poród będzie zapewne kleszczowy, nie chcę więc, aby asystowała przy tym jakaś ciemna murzyńska akuszerka. Kobiety o jej budowie nie powinny mieć w ogóle dzieci, ale... W każdym razie zapakuj kufer panny Pitty i wyślij ją do Macon. Jest tak przerażona, że będzie tylko denerwowała Melę, a to jej może zaszkodzić. A teraz, panienko - popatrzył na nią przenikliwie - nie opowiadaj mi tylko, że chcesz jechać do domu. Zostaniesz z Melą, dopóki się dziecko nie urodzi. Nie boisz się chyba, prawda?

- Ach, nie, skąd! - skłamała Scarlett energicznym głosem.

- Jesteś dzielną kobietą. Pani Meade będzie się wami opiekowała, jeżeli zajdzie tego potrzeba. Poza tym przyślę wam starą Betsy, aby wam gotowała, jeżeli panna Pitty zabierze ze sobą swoją służbę. Wszystko to nie potrwa długo. Dziecko powinno się urodzić w ciągu najdalej pięciu tygodni, nie można jednak niczego przewidzieć, ponieważ to pierwsze dziecko i warunki zewnętrzne nie bardzo sprzyjają. Może się to także stać lada dzień.

Tak więc ciotka Pitty wylewając potoki łez pojechała do Macon i zabrała ze sobą wuja Piotra i kucharkę. Powóz i konie podarowała szpitalowi w przyпіlywie patriotyzmu, którego natychmiast pożałowała i to wywołało nowe łzy. A Scarlett i Melania zostały z Wade'em i Prissy same w domu, który był teraz o wiele cichszy, mimo że strzelanina trwała nieprzerwanie.



## ROZDZIAŁ XIX

W tych pierwszych dniach oblężenia, kiedy Jankesi przypuszczali próbne szturmowanie miasta, Scarlett tak była przerażona wybuchami pocisków, że mogła co najwyżej przycupnąć bezradnie, zakrywając rękoma uszy, i czekać chwili, gdy przeniesiona zostanie do wieczności. Słyszając przeciągłe świsty, zwiastujące rozpoczęcie strzelaniny, biegła do pokoju Melanii, rzucała się na łóżko koło niej, po czym obie obejmowały się mocno, jęcząc i chowając głowy pod poduszkę. Prissy i Wadę kryli się w piwnicy i tam siedzieli w pełnej pajęczyn ciemności. Prissy - wrzeszcząc na cały głos. Wadę - płacząc i czkając.

Scarlett dusząc się pod puchowymi poduszkami, gdy śmierć szalała nad głową, milcząco klęła Melanię, że z jej powodu nie może chronić się w bezpieczne miejsce pod schodami. Doktor jednak zabronił Melanii chodzić i Scarlett musiała być przy niej. Z obawą, iż w każdej chwili może zostać rozerwana w strzępy, łączył się równie silny strach, że dziecko Melanii może się urodzić lada chwila. Pot oblewał Scarlett, ilekroć o tym myślała. Co pocznie, jeżeli Melania zacznie rodzić? Wiedziała, że raczej dopuści, by Melania umarła, niż wyjdzie na ulicę szukać doktora, kiedy pociski padają jak deszcz w kwietniu. Wiedziała także, że Prissy groźbą najgorszych katuszy nie da się zmusić do wyjścia z domu. Co więc będzie, jeżeli Melania zacznie rodzić?

Sprawy te szeptem omawiała z Prissy pewnego wieczora, gdy wspólnie przygotowały kolację dla Meli. Prissy dość niespodziewanie uspokoiła jej obawy.

- Miss Scarlett, nawet jeżeli doktor nie będzie mógł przyjść, gdy nadejdzie czas panny Meli, niech się pani nie martwi. Dam sobie radę. Znam się na rodzeniu. Przecież moja mama jest akuszerką i ja także mam być akuszerką, może pani na mnie polegać.

Scarlett odetchnęła swobodniej, dowiedziawszy się, że para doświadczonych rąk jest w pobliżu, tym niemniej jednak pragnęła, aby wszystko to było już poza nią. Tak bardzo chciała wydostać się spod zasięgu kul, do spokoju Tary, że modliła się co wieczór, aby dziecko przyszło na świat nazajutrz i aby została zwolniona ze swojej obietnicy i mogła wyjechać z Atlanty. Tara wydawała się jej bezpieczna i bardzo daleka od tych wszystkich nieszczęść i kłopotów.

Scarlett tęskniła za domem i za matką jak nigdy dotąd. Gdyby mogła być blisko Ellen, nie bałaby się wcale nikogo ani niczego. Co wieczór, po dniu ogłuszającego huku pocisków, kładła się do łóżka zdecydowana, iż następnego ranka powie Melanii, że nie może już dłużej wytrzymać w Atlancie, że musi jechać do domu, a Melania niech się przeniesie do pani

Meade. Ale gdy tak leżała na poduszce, stawało przed nią wspomnienie twarzy Ashleya, patrzącej na nią po raz ostatni, skurzonej od wewnętrznego bólu, ale uśmiechniętej blado: „Będiesz się opiekowała Melanią, prawda? Ty jesteś taka silna... Przyrzeknij mi”. I Scarlett przyrzekła. Gdzieś w dalekim świecie Ashley leżał nieżywy. Mimo to jednak patrzył na nią, zmuszał do dotrzymania obietnicy. Nie wyjeżdżała więc z Atlanty.

W odpowiedzi na listy Ellen, pełne próśb, aby wracała do domu, odpisywała, że oblężenie nie jest niebezpieczne, tłumaczyła położenie Melanii i przyrzekała, że przyjedzie natychmiast po urodzeniu się dziecka. Ellen, która sama miała silne poczucie więzi rodzinnej, choćby w stosunku do rodziny męża, godziła się niechętnie, aby Scarlett została, domagała się jednak, aby bezzwłocznie wysłała do domu Wade’a i Prissy. Projekt ten spotkał się z całkowitym uznaniem Prissy, która teraz przy każdym niespodziewanym dźwięku zaczynała szczerkać zębami i popadała w zupełne ogłupienie. Spędzała przy tym tyle czasu w piwnicy, że dwie młode kobiety nie miałyby co jeść, gdyby nie pomoc starej Betsy państwa Meade.

Scarlett nie mniej od matki pragnęła, aby Wade wyjechał z Atlanty, nie tylko ze względu na bezpieczeństwo dziecka, ale i dlatego że jego obłądny strach irytował ją bardzo. Wade z powodu bezustannego bombardowania przestał mówić i nawet w chwilach ciszy trzymał się kurczowo spódnicy Scarlett, zbyt wystraszony, aby płakać. Bał się kłaść wieczorem do łóżka, bał się spać, aby Jankesi nie przyszli i nie zabrali go we śnie, a dźwięk jego cichego, nerwowego pochlipywania w nocy działał na nerwy. W duszy była tak samo przerażona jak on, złościło ją jednak, że jego napięta, zboląta twarzyczka przypomina jej o tym co chwila. Tak, Tara była znacznie bezpieczniejszym miejscem dla Wade’a. Prissy go, tam zabierze i wróci natychmiast, aby asystować przy porodzie Meli.

Zanim jednak Scarlett zdążyła wysłać tych dwoje w drogę do domu, nadeszła wiadomość, że Jankesi zawrócili się na południe i że walki odbywają się wzdłuż linii kolejowej między Atlantą a Jonesboro. Jeżeli zatem Jankesi zatrzymają pociąg, którym pojedzie Wade i Prissy... Na tę myśl Scarlett i Melania aż pobladły, bo wszyscy dokładnie wiedzieli, że okrucieństwa Jankesów w stosunku do bezbronych dzieci były jeszcze większe niż w stosunku do kobiet. Bała się więc wysłać Wade’a do domu i mały został w Atlancie - przerażony, milczący duszek, drepczący rozpaczliwie za matką, lękający się choćby na chwilę puścić z rąk jej spódnice.

Oblężenie trwało przez cały upalny lipiec. Burzliwe dni następowały po nocach chmurnego, złowrogiego milczenia. Miasto zaczęło się powoli zżywać z niebezpieczeństwem. Wydawało się, jak gdyby po najgorszym, które się zdarzyło, nie było się już czego obawiać. Obawiano się oblężenia, doczekano się go ostatecznie i nie było to tak bardzo straszne. Życie

mogło się toczyć i toczyło się prawie zwykłym trybem. Wiedziano, że siedzi się na wulkanie, ale do chwili wybuchu wulkanu niczego nie można było przedsięwziąć. Po co więc martwić się zawczasu? Może się zresztą zdarzyć, że wulkan wcale w końcu nie wybuchnie. Wystarczy spojrzeć, jak generał Hood broni przed Jankesami wrót miasta! I jak kawaleria walczy o kolej do Macon! Sherman nigdy nie zdoła jej zdobyć!

Mimo jednak pozornej beztroski w obliczu padających pocisków, mimo skąpych racji żywności i ignorowania Jankesów, oddalonych zaledwie o pół mili, mimo bezgranicznej ufności w siłę wynędzniałej linii szarych żołnierzy w okopach - mieszkańców Atlanty gnębiła szalona niepewność, co przyniesie następny dzień. Niepewność, troski, smutek, głód, udreka, jaką były zmienne nadzieje, męczyły i zżerały miasto.

Stopniowo i Scarlett nabrała otuchy i przystosowała się, prawem litościwej natury, która pozwalała cierpliwie znosić to, na co nie ma rady. Wprawdzie ciągle jeszcze podskakiwała za każdym hukem wystrzału, ale nie biegła już z krzykiem, by ukryć się pod poduszką Meli. Teraz przełykała tylko głośniejszą ślinę i mówiła niedbale:

- Ależ to było blisko, prawda?

Bała się mniej także i dlatego, że życie nabierało powoli cech snu, zbyt straszego, aby mógł być prawdziwy. Nie mogło być prawdą, że to ona, Scarlett O'Hara, jest w takim położeniu, że niebezpieczeństwo śmierci czyha na nią co godzina, co minuta. Nie mogło być prawdą, że spokojna treść życia mogła się w tak krótkim czasie tak bardzo zmienić.

Niereczywiste było, groteskowe, nierealne, że niebo, o świtanie zwykle tak niebieskie, było teraz zasnuwane dymem z armat, który wisiał nad miastem jak ciężka chmura gradowa; ciepłe powiewy dnia, nasycone przejmującą słodyczą powojów czy pnących róż, zdawały się przerażające, gdy pociski świstały na ulicach jak w dzień sądu ostatecznego i rozrzucały odłamki żelaza na setki jardów, rozdzierając na kawałki ludzi i zwierzęta.

Spokojne, śpiące sjezty popołudniowe należały do przeszłości, bo mimo że odgłosy bitwy przycichały od czasu do czasu, ulica Brzoskwiniowa była głośniejsza i ożywiona o każdej porze dnia. Przejeżdżały po niej działa i ambulanse, ranni kuśtykali z okopów, oddziały wojska przechodziły przyśpieszonym marszem, przenoszone z rowów strzeleckich po jednej stronie miasta do okopów po drugiej stronie, kurierzy pędzili do dowództwa, jak gdyby od nich zależały losy Konfederacji.

Gorące noce przynosiły pewien spokój, ale spokój ten wydawał się złowrogi. W ciche noce cisza była zbyt wielka - jak gdyby żaby, chrząszcze i senne drozdy zbyt były przerażone, by odzywać się zwykłym nocnym chórem. Od czasu do czasu spokój nagle przerywał trzask ognia muszkietów z ostatniej linii okopów. Często późnym wieczorem, gdy gasły lampy,

Melania już spała, a śmiertelne milczenie zalegało miasto, Scarlett, leżąc bezsennie, słyszała zgrzyt furtki i ciche, natarczywe pukanie do frontowych drzwi.

Żołnierze o niewidocznych twarzach stali na ciemnym ganku, z mroku mówiły do niej głosy. Czasem kulturalny jakiś głos prosił: - Łaskawa pani, najuniżeniej przepraszam, że panią trudzę, ale czy mógłbym dostać wody dla siebie i swego konia? - Czasem odzywał się twardy akcent górala, czasem nosowe tony mieszkańców równin dalekiego Południa, czasem miękkie przeciąganie mieszkańców wybrzeża, które wzruszało ją, bo przypominało głos Ellen.

- Panienko, mam ze sobą kolegę, którego chciałem zabrać do szpitala, ale boję się, że mi tak długo nie pociągnie. Czy może go pani przenocować tutaj?

- Pani, jestem głodny. Czy mogę dostać choćby kaczan kukurydzy?

- Madame, proszę mi wybaczyć natarczywość, ale czy pozwoli mi pani spędzić noc na ganku? Zobaczyłem róże, poczułem zapach powojów i tak mi to przypomniało dom rodzinny, że ośmieliłem się...

Nie, noce te nie mogły być prawdą! Były koszmarem, żołnierze zaś jego częścią składową - żołnierze bez ciał i bez twarzy, głosy odzywające się do niej z ciepłego mroku. Pompowała wodę, podawała jedzenie, wynosiła poduszki na ganek, opatrywała rany, podtrzymywała brudne głowy konających. Nie, to nieprawdopodobne, że zdarzało się to właśnie jej!

Pewnego razu, pod koniec lipca, do drzwi zapukał nocą wuj Henryk Hamilton. Nie miał teraz parasola ani torby, ani okrągłego brzuszka, skóra jego różowej, tłustej twarzy zwisała luźno, jak fałdy skóry na pysku buldoga, a długie siwe włosy były nieopisanie brudne. Był prawie bosy, oblażył wszami i bardzo głodny, ale tak samo gderał jak dawniej.

Mimo jego uwagi: - Głupia ta wojna, w której tak starzy ludzie jak ja muszą dźwigać karabiny - obie kobiety doznały wrażenia, że wuj Henryk dobrze się bawi. Potrzebny był tak samo jak młodzi ludzie i robił to samo, co młodzi. Mógł ponadto, w przeciwieństwie do dziadka Merriweather, dotrzymać młodym kroku, jak powiedział z zadowoleniem. Ischias bardzo dziadkowi dokuczał, więc dowódca chciał go zwolnić, dziadek jednak nie chciał wracać do domu. Szczerze oświadczył, że woli przekleństwa i zrzęczenia dowódcy od towarzystwa synowej i jej bezustannych żądań, aby nie żuł tytoniu i co dzień mył sobie brodę. Wizyta wuja Henryka była krótka, bo miał tylko czterogodzinny urlop, z czego dwie godziny musiał zużyć na długą drogę od okopów i z powrotem.

- Dziewczęta, nie zobaczę was teraz tak prędko - oświadczył siadając w sypialni Meli i z rozkoszą mocząc odparzone stopy w zimnej wodzie, którą mu Scarlett podała w miednicy. -

Kompania nasza wyrusza rano z miasta.

- Dokąd? - zapytała przerażona Melania chwytając go za ramię.

- Nie dotykaj mnie - rzekł wuj Henryk ze złością. - Obłączę wszami. Wojna byłaby piknikiem, gdyby nie wszy i dyzenteria. Dokąd idziemy? No, nie mówiono mi o tym wprawdzie, ale zdaje mi się, że wiem. Idziemy na południe, w stronę Jonesboro, chyba żebym się mylił.

- Po co w stronę Jonesboro?

- Ponieważ będą tam podobno ostre walki, dziecko. Jankesi chcą zdobyć kolej, jeżeli im się uda. Jeżeli zaś dokażą tego, wtedy żegnaj, Atlanto!

- Och, wuju Henryku, a czy myśli wuj, że im się to powiedzie?

- Cóż znowu, moje małe! Nie! Jakżeby mogli zdobyć kolej, jeżeli ja tam będę? - Wuj Henryk uśmiechnął się na widok ich przerażonych twarzy i znowu poważniejąc dodał:

- Walka będzie zacięta, dziewczynki. Musimy zwyciężyć. Wiecie zapewne, że Jankesi zdobyli już wszystkie koleje z wyjątkiem tej jednej do Macon, ale to nie wszystko. Nie wiecie z pewnością, że zajęli wszystkie drogi, wszystkie ścieżki i miedze z wyjątkiem traktu McDonough. Atlanta leży w worku, którego sznury są w Jonesboro. Jeżeli zatem Jankesi zdobędą tam kolej, będą mogli sznury zacisnąć i przyduszą nas, jak dusi się schwytanego oposa. Nie możemy zatem dopuścić, aby zdobyli jeszcze i ten odcinek... Muszę już iść, dziewczynki. Przyszedłem, aby się z wami pożegnać i przekonać się, czy Scarlett jest jeszcze z tobą, Melu.

- Rozumie się, że jest ze mną - rzekła Mela z czułością. - Niech się wuj o nas wcale nie troszczy, a za to uważa na siebie.

Wuj Henryk otarł nogi o dywanik i stęknął wciągając podarte buty.

- Muszę już iść.- powiedział. - Czekaj mnie pięćmilowy spacer. Scarlett, przygotuj mi trochę jedzenia na drogę. Daj mi wszystko, co masz.

- Wuju Henryku... czy to... czy położenie rzeczywiście takie groźne?

- Groźne? Tak, na Boga, tak! Nie bądź gąską. To nasze ostatnie podrygi.

- Czy myśli wuj, że dojdą i do Tary?

- Ależ... - zaczął wuj Henryk zirytowany, że Scarlett po kobiecemu dostrzega tylko sprawy osobiste, a pomija kwestie ogólne. Po chwili jednak widząc jej przerażoną, stroskaną twarz, zmięknął trochę.

- Rozumie się, że nie. Tara leży o pięć mil od kolei, Jankesom zaś zależy wyłącznie na niej. Masz nie więcej rozumu niż kura, panienko. - Przerwał nagle. - Nie myśl, że przyszedłem dziś taki kawał drogi po to tylko, aby się z wami pożegnać. Mam złą nowinę dla

Meli, ale nie miałem serca jej tego powiedzieć. Powiem to więc tobie i ty jej to powtórz.

- Ashley chyba nie... Wuj chyba nic nie słyszał o... tym... że nie żyje...?

- Skąd mogłem słyszeć o Ashleyu, kiedy stałem w okopach w błocie aż po samo siedzenie? - zapytał stary pan zgryźliwie. - Nie. Chodzi o jego ojca. Jan Wilkes nie żyje.

Scarlett usiadła nagle, z na wpół zapakowaną paczką w ręce.

- Przyszedłem, aby to Meli powiedzieć, ale nie mogłem. Ty musisz to zrobić. I oddaj jej te rzeczy.

Wyciągnął z kieszeni ciężki złoty zegarek z wieloma breloczkami, małą miniaturę dawno zmarłej pani Wilkes i parę masywnych spinek. Dopiero na widok zegarka, który wielokrotnie widywała w rękach Jana Wilkesa, Scarlett uświadomiła sobie, że ojciec Ashleya nie żyje naprawdę. Była zbyt zgnębiona, aby płakać czy mówić. Wuj Henryk kręcił się, kaszłał, ale nie patrzył na nią, aby nie widzieć łez, które by go roztkliwiły.

- To był dzielny człowiek, Scarlett. Powiedz Meli i o tym. Powiedz jej, aby napisała do jego córek. Mimo swoich lat był dobrym żołnierzem. Trafił go pocisk armatni. Padł prosto na niego i na jego konia. Konia rozerwał... Ja sam zastrzeliłem to biedne stworzenie. Była to śliczna klacz.. Zawiadom o tym panią Tarleton. Bardzo była do niej przywiązana. Zapakuj już mi wreszcie to jedzenie, dziecko. No, no, nie przejmuj się tak bardzo. Czy może być dla starca śmierć lepsza niż na polu walki, jak przystało młodemu?

- Och, on nie powinien był umrzeć! Nie powinien był wcale iść na wojnę. Powinien był żyć i przyglądać się, jak rosną jego wnuki, a potem umrzeć spokojnie w łóżku. Och, po cóż poszedł? Nie godził się z secesją, nienawidził wojny i...

- Wielu z nas czuje podobnie i cóż z tego? - Wuj Henryk gniewnie wytarł nos. - Czy wydaje ci się, że mnie w moim wieku szczególnie bawi służenie za cel jankeskim strzelcom? Ale dla prawdziwego dżentelmena nie ma teraz wyboru. Pocałuj mnie na pożegnanie, dziecko, i nie martw się o mnie. Wyjdę jakoś cało z tej wojny...

Scarlett pocałowała go i słyszała, jak w ciemności schodził po schodach, słyszała szcęk zamka przy furtce. Przez chwilę stała patrząc na pamiątki po Janie Wilkesie, po czym poszła na górę, aby zawiadomić o jego śmierci Melanię.

Pod koniec lipca nadeszła niedobra, przewidziana przez wuja Henryka wiadomość, że Jankesi znowu półkolem podeszli w stronę Jonesboro. Przecięli tor kolejowy cztery mile za miastem, ale zostali odparci przez kawalerię konfederacką, a saperzy ociekający potem naprawili szkodę.

Scarlett szalała z niepokoju. Przez trzy dni czekała i strach szarpał jej serce. Wreszcie nadszedł uspokajający list od Geralda. Nieprzyjaciel nie doszedł do Tary. Słyszeli odgłosy

bitwy, ale nie widzieli Jankesów.

List Geralda był tak pełen dumy, że Jankesi zostali odepchnięci od kolei, jak gdyby to on sam własnoręcznie dokonał tego wyczynu. Na trzech stronach pisał o męstwie żołnierzy, potem zaś pod koniec listu krótko wspomniał, że Karina jest chora. Tyfus, jak przypuszcza pani O'Hara. Stan nie jest groźny. Scarlett więc nie powinna się o nią troskać, pod żadnym również pozorem nie ma przyjeżdżać do domu, nawet gdyby pociągi znowu zaczęły kursować. Pani O'Hara jest teraz bardzo zadowolona, że Scarlett i Wade nie przyjechali do domu na początku oblężenia. Pani O'Hara prosi, aby Scarlett poszła do kościoła i zmówiła kilka różańców na intencję wyzdrowienia Kariny.

Scarlett poczuła wyrzuty sumienia po przeczytaniu ostatniego zdania, bo już od wielu miesięcy nie była w kościele. Kiedyś zapomnienie to wydawałoby się jej śmiertelnym grzechem, teraz jednak niechodzenie do kościoła przestało być sprawą groźną. Posłuchała jednak prośby matki i zamknawszy się w pokoju, szybko wyklepała różaniec. Wstając z klęczek nie czuła się tak pokrzepiona na duchu, jak zdarzało się to jej dawniej po modlitwie. Od pewnego czasu czuła wyraźnie, że Bóg nie opiekuje się ani nią, ani Konfederacją czy Południem, mimo milionów modlitw co dzień zanoszonych przed Jego oblicze.

Tego wieczora usiadła na ganku frontowym z listem Geralda na sercu i dotykała go od czasu do czasu, wywołując przed oczy obraz Tary i Ellen. Lampa w oknie salonu rzucała złote blaski na obrosły winem ganek, a gąszcz pnących róż i powojów odgradzał ją pachnącą ścianą od świata. Noc była wyjątkowo spokojna. Od zachodu słońca nie słychać było nawet wystrzałów i świat wydawał się bardzo odległy. Scarlett wolno bujała się w fotelu, samotna, bardzo nieszczęśliwa od chwili przeczytania wiadomości z Tary, i pragnęła, aby ktokolwiek, byle kto, bodaj pani Merriweather, był teraz przy niej. Pani Merriweather była jednak w szpitalu na dyżurze, pani Meade - w domu, zajęta Filipem, który przyjechał z frontu, Melania zaś spała. Nie było nawet nadziei, że ktoś przypadkiem wstąpi. Niespodziani goście nie zjawiali się już od tygodnia, bo wszyscy mężczyźni, którzy mogli chodzić, byli w okopach albo w pościgu za Jankesami w okolicach Jonesboro.

Nieczęsto się zdarzało, aby Scarlett była tak zupełnie samotna. Bardzo tego nie lubiła. Kiedy była sama, musiała myśleć, myśli zaś nie były w tym czasie bardzo przyjemne. Podobnie jak wszyscy, nabrała zwyczaju myślenia o przeszłości, o zmarłych.

Tego wieczora, gdy miasto było spokojne, mogła zamknąć oczy i wyobrazić sobie, że znowu jest w wiejskiej ciszy Tary i że życie jej wcale się nie zmieniło. Wiedziała jednak, że życie w powiecie nigdy już nie będzie takie, jak było. Myślała o czterech Tarletonach - o rudych bliźniętach. Tomie i Boydzie - i wielki smutek ścisnął ją za gardło. Przecież Stuart czy

Brent mógł zostać jej mężem. Teraz, gdy wojna się skończy i Scarlett wróci do Tary, nigdy nie usłyszy ich głośnych okrzyków, gdy galopem przemierzali aleję cedrową. A Raiford Calvert, który tańczył tak bosko, już nigdy nie zaprosi jej do tańca. Ani Munroe'owie, ani mały Józio Fontaine, ani...

- Och, Ashleyu! - załkała, kryjąc głowę w dłoniach. - Nigdy nie zżyję się z myślą, że ciebie nie ma!

Usłyszała skrzyp furtki, szybko podniosła głowę i otarła ręką wilgotne oczy. Wstała i zobaczyła, że Rett Butler idzie w stronę domu z szerokim kapeluszem panamskim w dłoni. Nie widziała go od owego dnia, gdy z takim impetem wysiadła z jego powozu przy Pięciu Znakach. Oświadczyła wówczas, że nie życzy sobie go oglądać. Teraz jednak była taka rada, że może z kimś porozmawiać, że obecność czyjaś oderwie ją od myśli o Ashleyu, iż szybko o tym oświadczeniu zapomniała. Rett prawdopodobnie także zapomniał o owym incydencie, bo usiadł na schodach u jej stóp, nawet nie wspominając o nieporozumieniu.

- A więc nie uciekła pani do Macon! Słyszałem, że panna Pitty wyjechała, myślałem więc, że i pani tu nie ma. Widząc jednak światło zaszedłem, aby zobaczyć, co się tu dzieje. Dlaczego została pani w mieście?

- Aby dotrzymać Meli towarzystwa. Widzi pan, ona... no po prostu Mela nie może teraz wyjechać.

- Co takiego? - zapytał i w świetle lampy Scarlett dostrzegła, że zmarszczył czoło. - Nie chce mi pani chyba powiedzieć, że pani Wilkes jest jeszcze tutaj? To przecież wielka nierozwaga. To niebezpieczne w jej stanie.

Scarlett umilkła zakłopotana, ponieważ stan Meli nie był tematem, który by można roztrząsać z mężczyzną. Była zakłopotana także i tym, że Rett wiedział, jak to jest dla Melanii niebezpieczne. Tego rodzaju wiadomości nie przystały kawalerowi.

- Bardzo z pana strony nieładnie, że nie myśli pan o tym, co mnie się może przytrafić - zauważyła cierpko.

W oczach jego błysnęło rozbawienie.

- Założę się, że umiałaby się pani oprzeć nawet Jankesom.

- Bynajmniej tego nie uważam za komplement - odrzekła niepewnie.

- To wcale nie miał być komplement - powiedział. - Kiedy wreszcie przestanie się pani doszukiwać komplementu w każdym słowie mężczyzny?

- Prawdopodobnie dopiero na łożu śmierci - odparła i uśmiechnęła się na myśl, że zawsze będzie dość mężczyzn, którzy będą chcieli jej pochlebiać, choć Rett nigdy tego nie czynił.



- Próżność, próżność - powiedział. - Dobrze przynajmniej, że przyznaje się pani do niej.

Otworzył cygarnicę, wyjął z niej ciemne cygaro i przytknął je na chwilę do nosa. Zapłonęła zapalka. Rett oparł się o balustradę schodków i objąwszy rękami kolana palił przez chwilę w milczeniu. Scarlett bujała się nadal w fotelu. Ogarniała ich cisza ciemnej, gorącej nocy. Drozd, gnieźdzący się w gąszczu róż i powojów, zbudził się i wydał jeden nieśmiały, płynny dźwięk. Potem, jak gdyby zmieniwszy zamiar, znów umilkł.

Z cienia rozległ się nagle śmiech Retta, cichy i łagodny.

- Więc pani została z panią Wilkes! To najdziwniejsza sytuacja, jaką kiedykolwiek w życiu spotkałem!

- Nie widzę w niej nic dziwnego - odrzekła niechętnie, nastroszywszy się od razu.

- Nie? Brak pani zatem obiektywizmu. Kiedyś wydawało mi się, że pani nie lubi pani Wilkes. Uważa ją pani za niemądrą i niepoważną, a patriotyzm jej nudzi panią wyraźnie. Nigdy nie przepuszcza pani okazji, aby powiedzieć o niej coś przykrego, wydaje mi się więc dziwne, że nie myśląc wcale o sobie została z nią pani tutaj w czasie oblężenia. Dlaczego pani to zrobiła?

- Ponieważ jest siostrą Karolka... i odnosiła się do mnie zawsze jak prawdziwa siostra - odrzekł Scarlett z największą godnością, na jaką mogła się zdobyć, chociaż policzki jej płonęły ze złości.

- Chciała pani powiedzieć: ponieważ jest wdową po Ashleyu Wilkesie.

Scarlett szybko wstała, ledwie hamując gniew.

- Byłabym panu przebaczyła pana niegodziwy ostatni postępek, teraz jednak nie zrobię tego. Nigdy bym panu nie pozwoliła przyjść tutaj na ganek, gdybym była w lepszym nastroju i...

- Niech pani usiądzie i przyglądzi nastroszone piórka - rzekł Rett innym tonem. Wyciągnął rękę i siłą wepchnął ją z powrotem w fotel. - Dlaczego pani jest w złym nastroju?

- Bo miałam dzisiaj list z Tary... Jankesi są niedaleko domu, moja najmłodsza siostra ma tyfus i... i... tak więc, choćbym nawet mogła pojechać do domu, jak tego pragnęłam, matka nie pozwala mi na to, żebym się nie zaraziła. Och, Boże, a ja tak strasznie chcę jechać do Tary!

- No, no, niech pani nie płacze - powiedział łagodnie. - Jest pani daleko bezpieczniejsza w Atlancie, nawet gdyby weszli tu Jankesi niż w Tarze. Jankesi nic pani nie zrobią, a tyfus to straszna rzecz.

- Jankesi nic mi nie zrobią? Jak pan może mówić takie rzeczy?

- Moja droga pani, Jankesi to nie diabły. Nie mają rogów ani kopyt, wbrew temu, co pani zdaje się myśleć. Podobni są zupełnie do południowców... tylko że, oczywiście, o wiele gorzej wychowani, no i mają straszny akcent.

- Ale Jankesi przecież...

- Zniewoliliby panią? Nie przypuszczam. Chociaż jestem pewien, że mieliby na to ochotę.

- Jeśli pan będzie mówił obrzydliwe rzeczy, wejdę do domu! - zawołała zadowolona, że w mroku nie widać rumieńców na jej twarzy.

- Niech pani będzie znowu szczerą. Czy nie myślała pani właśnie o tym?

- Nie, oczywiście że nie!

- Oczywiście że tak! Nie potrzebuje się pani na mnie gniewać, że umiem odczytywać pani myśli. O tym tylko myślą przyzwoicie wychowane i niewinne damy Południa. To tylko mają w głowie. Założę się, że nawet i wdowy w rodzaju pani Merriweather.

Scarlett nic nie mogła odpowiedzieć, bo przypomniała sobie, że istotnie, ilekroć podczas tych trudnych dni dwie lub trzy damy schodziły się razem, szeptem mówiły o podobnych wypadkach, które miały miejsce w Wirginii, Tennessee czy Luizjanie - nigdy bliżej domu. Jankesi gwałcili kobiety, kłuli bagnetami na śmierć małe dzieci i palili domy nad głowami starców. Wszyscy o tym wiedzieli, chociaż nie mówiło się o tym głośno. I gdyby Rett był sprawiedliwy, przyznałby, że to prawda. I nie wspominałby o tym wcale. Chociażby dlatego, że to wcale nie było śmieszne.

Słyszała, że Rett śmieje się cicho. Czasem bywał obrzydliwy. Właściwie, najczęściej nawet był obrzydliwy. To straszne, kiedy mężczyzna wie, co kobiety naprawdę myślą i o czym naprawdę ze sobą mówią. Kobieta czuje się jak rozebrana w jego obecności. Mężczyźni nie mogli takich rzeczy wiedzieć od przyzwoitych kobiet. Scarlett była oburzona, że Rett odczytał jej myśli. Lubiła wierzyć, że stanowi dla mężczyzn zagadkę, a dla Retta była przezroczysta jak szkło.

- Skoro już mówimy o takich rzeczach - ciągnął dalej - czy jest w domu opiekunka pani czy przyzwoitka? Czcigodna pani Merriweather czy pani Meade? Panie te tak na mnie zawsze patrzą, jak gdyby wiedziały, że przychodzę tu w niecnym zamiarach.

- Pani Meade zwykle wstępuje tutaj wieczorami - odrzekła Scarlett, zadowolona, że może zmienić temat rozmowy. - Dzisiaj jednak nie mogła przyjść. Przyjechał jej syn, Filip.

- Jakie to szczęście - powiedział cicho - że jest pani wreszcie sama.

Głos jego sprawił, że serce jej zabiło rozkosznie i czuła, że się rumieni. Tyle razy słyszała podobny ton w głosie zakochanych mężczyzn, że wiedziała już, iż zwiastuje

wyznanie miłosne. Och, jakież to zabawne! Jeżeli Rett powie jej teraz, że ją kocha, zaczniesz się nad nim znęcać i odpłaci mu te wszystkie sarkastyczne uwagi, jakie robił na jej temat w ciągu ostatnich trzech lat! Tak mu dokuczy, że wynagrodzi sobie nawet to straszne upokorzenie, kiedy widział, jak uderzyła w twarz Ashleya. A potem powie mu łagodnie, że żywi dlań tylko siostrzane uczucia, i wycofa się z tej sprawy z honorem. Roześmiała się nerwowo w przyjemnym oczekiwaniu.

- Niech pani nie chichocze - powiedział i biorąc jej rękę odwrócił ją i przytknął wargi do otwartej dłoni. Pod dotknięciem jego gorących ust całe jej ciało drgnęło niespokojnie. Wargi Retta powędrowały do przegubu dłoni. Wiedziała, że wyczuje przyspieszone bicie jej pulsu, starała się więc oswobodzić rękę. Na to nie liczyła wcale - na tę zdradziecką falę uczucia, która ją ogarnęła, która pchała ją ku niemu, kazała gładzić go po włosach i tęsknić za chwilą, gdy usta jego spoczną na jej ustach.

„Nie kocham go przecież - powtarzała sobie w zmieszaniu. - Kocham Ashleya”. Jak jednak wytłumaczyć to uczucie, pod którego wpływem drżały jej ręce i dziko trzepotało serce?

Rett roześmiał się cicho.

- Proszę nie szarpać ręki! Nie zrobię pani nic złego!

- Mnie by pan miał coś złego zrobić? Nie boję się pana, panie Reticie Butler, ani żadnego mężczyzny na świecie! - zawołała wściekła, że głos jej drży równie mocno jak ręce.

- To godne podziwu uczucie. Proszę jednak ściszyć głos, bo pani Wilkes gotowa panią usłyszeć. I niech się pani uspokoi. - Wydawało się, jak gdyby był zachwycony jej zmieszaniem.

- Scarlett, prawda, że mnie pani lubi?

Czegoś w tym rodzaju właśnie oczekiwała.

- Owszem, czasami - odpowiedziała ostrożnie. - Kiedy nie postępuje pan jak nicpoń.

Roześmiał się znowu i przycisnął jej dłoń do swego szorstkiego policzka.

- A mnie się zdaje, że lubi mnie pani właśnie dlatego, że jestem nicponiem. Tak niewielu niepodrabianych nicponiów widziała pani w swoim spokojnym życiu, że właśnie moja odrębność podoba się pani.

Nie spodziewała się takiego zwrotu rozmowy, znowu więc bez powodzenia starała się oswobodzić swoją rękę.

- To nieprawda! Lubię miłych mężczyzn, mężczyzn, o których wiadomo, że zawsze zachowują się jak należy.

- Chce pani powiedzieć, mężczyzn, których może pani za nos wodzić. To zresztą tylko

kwestia definicji. To nie ma znaczenia.

Znowu pocałował ją w dłoń i znowu przeszył ją dreszcz.

- Ale jednak mnie pani lubi. Czy mogłaby mnie pani kiedykolwiek pokochać, Scarlett?

„Ach! - pomyślała z tryumfem. - Mam go wreszcie!”

Odpowiedziała z wyszukanyim chłodem: - Nie sądzę. To znaczy... nie... chyba że postarałby się pan bardzo naprawić swoje postępowanie.

- Ale ja wcale nie mam zamiaru go naprawiać! Znaczy to więc, że nie mogłaby mnie pani pokochać? Tego się właśnie spodziewałem. Bo jakkolwiek lubię panią ogromnie, nie kocham pani, byłoby więc dla pani tragedią, gdyby powtórnie musiała pani cierpieć męki nieodwzajemnionej miłości, prawda, droga pani? Czy mogę tak panią nazywać, Mrs Hamilton? Zresztą będę tak panią nazywał, czy pozwoli pani, czy nie, więc i tak wszystko jedno, pozory jednak muszą być zachowane.

- Więc pan mnie nie kocha?

- Nie, niestety, nie. Czy spodziewała się pani, że jest inaczej?

- Niechże pan nie będzie tak zarozumiały!

- A więc jednak spodziewała się pani, że tak! Szkoda, że muszę rozwiać pani nadzieje! Powinienem właściwie panią kochać, bo jest pani czarująca i ma pani zdolności do wielu rzeczy zupełnie bezużytecznych. Wiele jest jednak pań, które posiadają wdzięk i także same zdolności i tak samo są do niczego niezdatne jak pani. Nie, nie kocham pani. Lubię panią jednak szalenie, za elastyczność pani sumienia, za samolubstwo, którego nie stara się pani nawet ukryć, a także za spryt i praktyczność, które, obawiam się, odziedziczyła pani po niezbyt odległych swoich przodkach, irlandzkich chłopach.

Chłopach! Cóż to, obraża ją jeszcze?! Zaczęła się milcząco zżymać.

- Niech pani nie przerywa - prosił ściskając jej rękę. - Lubię panią, ponieważ sam posiadam te właściwości, a natury podobne zawsze się przyciągają. Zdaję sobie sprawę, że pieści pani jeszcze wspomnienie o boskim i jakże niemądrym panu Wilkesie, który już prawdopodobnie od sześciu miesięcy spoczywa w grobie, ale w sercu pani musi się znaleźć miejsce i dla mnie. Scarlett, niechże się pani przestanie wrywać! Oświadczam się pani przecież! Pragnę pani od pierwszej chwili, gdy zobaczyłem panią w hallu w Dwunastu Dębach, oczarowującą biednego Karolka Hamiltona. Pragnę pani bardziej niż jakiegokolwiek kobiety w świecie i czekam na panią dłużej niż na jakąkolwiek kobietę.

Tchu jej zabrakło ze zdziwienia, gdy usłyszała ostatnie słowa. Mimo wszystkich swoich docinków kochał ją. Tak był jednak przekorny, że nie chciał wyznać tego otwarcie i

ubrać w odpowiednie słowa, aby go nie wyśmiała. Dobrze zatem, pokaże mu teraz, co umie, i to natychmiast.

- Czy mam rozumieć, że prosi pan o moją rękę?

Puścił jej dłoń i roześmiał się tak głośno, że aż podskoczyła na fotelu.

- Nie, dobry Boże, nie! Czy nie mówiłem pani, że nie nadaję się do małżeństwa!

- A więc... więc... co...

Rett wstał i kładąc rękę na sercu skłonił się zabawnie.

- Droga Scarlett - rzekł spokojnie - składam hołd pani inteligencji i proszę, aby pani została moją kochanką, dobrowolnie, mimo że pani nie uwiodłem.

Kochanką!

Słowo to rozniosło się echem po jej mózgu. Wiedziała, że Rett potwornie ją obraził. W tej pierwszej chwili zdumienia nie czuła się jednak wcale obrażona. Wzbierało w niej oburzenie, że Rett uważa ją za osobę tak głupią. Musiał ją uważać za idiotkę, skoro proponował jej coś podobnego, zamiast poprosić ją o rękę, jakby należało. Wściekłość, zraniona próżność i rozczarowanie skłębiły się w jej sercu i zanim zdążyła pomyśleć o względach moralnych, które powinna mu przeciwstawić, wypowiedziała słowa, które pierwsze nasunęły się jej na myśl:

- Kochanką! I cóż by mi z tego przyszło poza kupą dzieciaków?

I nagle przerażona otworzyła usta, gdy uświadomiła sobie, co powiedziała. Rett zanosił się od śmiechu i patrzył na nią, oniemiałą teraz, przyciskającą chusteczkę do ust.

- Właśnie dlatego panią lubię! Jest pani jedyną szczerą kobietą, jaką znam, jedyną kobietą, która widzi praktyczną stronę zjawisk i nie obleka wszystkiego w puste słowa o grzechu i moralności. Każda inna kobieta najpierw zemdłaby, a potem pokazałaby mi drzwi.

Scarlett porwała się na równe nogi, purpurowa ze wstydu. Jakże mogła powiedzieć coś podobnego! Jakże mogła, ona, córka Ellen, osoba doskonale wychowana, spokojnie słuchać tak poniżających słów, a potem tak bezwstydnie odpowiedzieć? Powinna była przecież krzyknąć z oburzenia. Powinna była zemdleć. Powinna się była wyniośle odwrócić i bez słowa odejść z ganku. Teraz już za późno!

- Otóż pokażę panu drzwi! - krzyknęła nie myśląc o tym, że Melania lub państwo Meade ją usłyszą. - Precz stąd! Jak śmie pan mówić podobne rzeczy! Co zrobiłam, aby pana ośmielić, aby mógł pan przypuszczać... Proszę stąd iść i więcej nie wracać! Teraz mówię serio. Niech pan nie śmie tutaj przychodzić na przeprosiny ze swoimi głupimi paczkami szpilek czy wstążek. Powiem... powiem wszystko mojemu ojcu i ojciec zabije pana!

Rett podniósł kapelusz i ukłonił się nisko. W świetle lampy ujrzała jego lśniące w

uśmiechu zęby. Nie wstydził się najwidoczniej wcale, bawiły go jej słowa, bo przyglądał się jej z niesłabnącym zainteresowaniem.

Och, jakież był obrzydliwy! Scarlett wykręciła się na pięcie i skierowała do domu. Chciała zatrzaskać za sobą drzwi, ale haczyk, który je przytrzymał, był zardzewiały. Bezskutecznie starała się go wyciągnąć.

- Czy pozwoli pani sobie pomóc? - zapytał.

Czując, że znowu wybuchnie, jeżeli zostanie z nim razem jeszcze chwilę, wbiegła bez słowa na schody. Kiedy doszła do pierwszego piętra, usłyszała, jak Rett zatrzaskuje za nią drzwi.